

MIKE CAREY

KREW NIE WODA

Przełożyła Paulina Braiter

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2010



Tytuł oryginału:

Thicker Than Water

Copyright © 2009 by Mike Carey

Copyright for the Polish translation

© 2010 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Joanna Figlewska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Ilustracja i opracowanie graficzne okładki:

Jarek Krawczyk

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-163-8

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. (22) 813-47-43, fax (22) 813-47-60

e-mail kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. (22) 721-30-00

www.olesiejuk.pl

Druk i oprawa:

drukarnia@dd-w.pl

Dla Barbary i Erica z miłością.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować mojemu bratu, Dave'owi, który wrócił ze mną do Liverpoolu, bym mógł porównać moje wspomnienia z tym, co pozostało w rzeczywistości. To były dziwne dni, a bez niego byłyby znacznie trudniejsze. Dziękuję także A., za napisanie oryginału, na którym oparłem wiersz Marka, i opowiedzenie mi choć trochę, jak to jest czuć to, co on.

Spis treści:

1.....	6
2.....	19
3.....	35
4.....	53
5.....	70
6.....	81
7.....	93
8.....	104
9.....	119
10.....	135
11.....	155
12.....	162
13.....	177
14.....	188
15.....	204
16.....	223
17.....	238
18.....	251
19.....	259
20.....	269
21.....	285
22.....	301
23.....	306
24.....	322
25.....	330

1

Tak by to wyglądało, gdybyście obserwowali wszystko z zewnątrz. I tak opisały to gazety, kiedy w końcu dowiedziały się o tej historii.

Dziesięć minut przed północą, trzeciego lipca, z Coppetts Road, na frontowy podjazd Ośrodka Opieki Charlesa Stangera w Muswell Hill, w północnym Londynie, zjechała furgonetka. To był zwykły wysoki biały bedford bez żadnych oznakowań, ale zaparkował tuż przy drzwiach, w zatoczce z napisem TYLKO DLA KARETEK.

Z furgonetki wysiadła kobieta w towarzystwie dwóch mężczyzn - kobieta była ubrana w nieskazitelny czarny kostium, mężczyźni w jasnobłękitne stroje pielęgniarzy. Kobieta miała na nosie duże proste okulary, które nadawały jej wygląd surowej nauczycielki - choć jednocześnie była niepokojąco piękna i poruszała się w sposób sprawiający, że owa surowość stawała się ironiczną, niemal prowokacyjną pozą. Przejrzała się w bocznym lusterku, przechylając głowę w lewo, a potem w prawo, i przyglądając się sobie krytycznie kątem oka.

- Wyglądasz ślicznie - powiedział jeden z mężczyzn.

Kobieta posłała mu znaczące spojrzenie, na widok którego uniósł ręce w kąpiąco przepraszającym geście. „Tylko tak mówię”.

Noc była niezwykle duszna, ciepła i bardzo cicha. W samym Ośrodku Stangera, nocą zazwyczaj będącym źródłem wielu niepokojących odgłosów - krzyków, szlochów, przekleństw, profetycznych wizji - także panowała nietypowa cisza. Zakłócał ją jedynie śpiew świerszczy, niezrażonych skromnymi rozmiarami otaczających budynek trawników, wyraźnie zbyt małych, by podtrzymać jakikolwiek ekosystem. Ale w końcu działało się to w Londynie - może świerszcze też musiały dojeżdżać do pracy, jak każdy.

Cała trójka weszła do środka przez wahadłowe drzwi. Kobieta maszerowała na przodzie.

Pielęgniarka pełniąca dyżur w recepcji widziała, jak zajeżdżają furgonetką, i obserwowała ich od chwili wejścia. Musiała nacisnąć przycisk otwierający drugie drzwi, zainstalowane niedawno w celu wzmocnienia ochrony kliniki. Zrobiła to, nie czekając na zapowiedź, ponieważ ich oczekiwała, ściśle rzecz biorąc, stanowiło to naruszenie przepisów bezpieczeństwa.

Zauważyła, że obaj mężczyźni nie wyglądają zbyt przekonująco w roli pielęgniarzy. Jeden był smukłym Azjatą, podobnym nieco do Bruce'a Lee i roztaczającym wokół siebie aureę, którą najdelikatniej można by nazwać piracko-zawadiacką. Drugi nosił strój pielęgniarzowski jak piżamę, w której przespał już trzy noce, a sardoniczny, pewny siebie wyraz jego twarzy wzbudził w niej instynktowną nieufność. Ciemne włosy miał potargane, a usta odrobinę niesymetryczne - jeden z kącików przekrzywiał się nieco niżej niż drugi, nawet w chwilach bezruchu nadając jego twarzy wyraz cierpkiego rozbawienia bądź złości i zepsucia.

Wszystko to jednak zauważyła w przelocie, bo niemal całą uwagę natychmiast skupiła na kobiecie. Nie sprawiał tego wyłącznie fakt, iż z całej trójki to ona wyraźnie dowodziła: miała coś magnetycznego w twarzy i figurze, a przez to samo patrzenie na nią wywoływało czystą, nieskalaną rozkosz.

Trzeba uczciwie przyznać, że prezentowała się niezwykle i nader atrakcyjnie. Włosy i oczy miała czarne, skórę białą - nieskazitelną bielą śniegu czy też kości, daleką od różowo-beżowego odcienia, który w normalnych okolicznościach nazywamy białą cerą. Ze względu na czarny strój, rozjaśniony jedynie kilkoma akcentami ciemnej szarości, wyglądała jakby wyszła z czarno-białego zdjęcia.

Kobieta przywitała pielęgniarkę uprzejmym skinieniem głowy i podeszła do biurka.

- Doktor Powell - przedstawiła się głosem niskim jak u mężczyzny, ale zdecydowanie bogatszym w tony i niuanse. - Z Kliniki Ontologii Metamorficznej w Paddington. Przyjechaliśmy po waszego pacjenta.

Położyła na blacie cztery kartki formatu A4: formularz transferowy, wystawiony przez lokalne władze, dokument sądowy przyznający tymczasową opiekę prawną i dwa egzemplarze podpisanego i poświadczanego notarialnie listu ze szpitala Queen Mary w Paddington, potwierdzające przekazanie niejakiego Rafaela Ditko pod opiekę i jurysdykcję szpitala. List podpisano: Jenna-Jane Mulbridge.

Pielęgniarka za biurkiem zaledwie pobieżnie przebiegła wzrokiem wszystkie dokumenty. W skrytości ducha podziwiała swobodną pewność siebie doktor Powell, bardzo imponujący strój doktor Powell i, brutalnie mówiąc, rewelacyjne ciało doktor Powell. Sama siostra miała zaledwie metr pięćdziesiąt osiem wzrostu, zazdrościła zatem kobiecie jej długich nóg. Zauważyła także, jak doskonale czarne włosy doktor, sięgające ramion, lecz surowo zaczesane do tyłu, okalają bladą, idealnie piękną twarz. Dostrzegła, że jej bluzka jest zapięta pod samą szyję, bez śladu dekoltu: może dlatego, że krągłości pani doktor i tak były raczej bujne, jej sutki duże i ewidentnie sterczące, a brak jakichkolwiek linii i zmarszczek na bluzce

świadczył wyraźnie o nieobecności stanika. Cokolwiek więcej przekraczałyby subtelną granicę między tym, co podniecające a tym co nieprzyzwoite.

Nagle w umyśle pielęgniarki pojawiła się niespodziewana wizja, od której jej policzki zalały się rumieńcem. Wyobraziła sobie, jak rozpina tę bluzkę, powoli rozsuwa na boki i całuje namiętnie jedną z piersi pani doktor. Nie była lesbijką - nigdy dotąd nawet nie myślała w ten sposób o innej kobiecie - lecz czarne, bezdenne oczy za okularami jakby zachęcały do podobnej bliskości i obiecywały odwzajemnienie jej. A może sprawił to zapach pani doktor, jeszcze bardziej uderzający niż jej wygląd? Z początku wydawał się niemal ostry, z nutami potu i ziemi, po sekundzie jednak wszystko zagłuszyła niemal bolesna słodycz.

- Musi pani podstemplować list na dole - dodała pani doktor tym samym poruszającym głosem.

Zawstydzona pielęgniarka pozbierała szybko myśli i zrobiła co jej kazano, choć wciąż miała przed oczami zarys twarzy i torsu pani doktor, niczym powidok. Drżącymi palcami sięgnęła po pieczętkę i przystawiła ją szybko.

- I podpisać - dodała pani doktor.

Pielęgniarka posłuchała.

- Z tego co mi wiadomo, pana Ditko przygotowano już do transferu. - Pani doktor złożyła list i schowała do kieszeni. - Nie chciałabym pani ponaglać, ale mamy dziś do załatwienia jeszcze jedną wizytę i już jesteśmy spóźnieni.

W istocie zjawili się kwadrans przed zaplanowanym czasem, lecz pielęgniarka nie zamierzała psuć tej chwili sporami. Bardzo lubiła Nicka Cave'a i w tym momencie w jej głowie zadźwięczał fragment jednej z jego piosenek. *Piękność tak wielka, że nie do zniesienia.*

Wezwała szefa zmiany, bo sama nie mogła opuszczać swego stanowiska. Zadzwoiła jednak tylko raz i miała nadzieję, że nie będzie się śpieszył. Tymczasem zajęła panią doktor rozmową, nie zwracając uwagi na obu mężczyzn, jakby w ogóle nie istnieli. Później nie potrafiła w żaden sposób ich opisać: nie miała nawet pewności, czy byli czarni, czy biali. Jeśli o nią chodzi, mogli mienić się odcieniami jaskrawej zieleni.

Kierownik zmiany zjawił się nazbyt szybko, przedstawił się nieco przypoehlebnie czcigodnym gościom i poprowadził ich głównym korytarzem, znikając jej z oczu. Pielęgniarka odprowadziła ich tęsknym spojrzeniem. Powinna była przynajmniej poprosić o numer telefonu. Ale co by z nim zrobiła? Była hetero. I mężatką. Na moment ogarnęło ją szaleństwo, teraz z trudem próbowała dopasować jego wspomnienie do własnej definicji

swojej osoby. Jak smakuje kobieca pierś? I czemu nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby się dowiedzieć?

Kierownik zmiany przeżywał mniej więcej to samo; w jego przypadku dodatkową komplikację stanowił bolesny wzwód, którego dostał po zaledwie paru krokach wędrówki u boku pani doktor.

- Pan Ditko jest w aneksie - wyjaśnił i zwolnił nieco, by zamaskować erekcję. - W specjalnie wybudowanym pomieszczeniu. To bardzo skomplikowany projekt - i bardzo kosztowny - lecz wasza profesora Mulbridge wydawała się przekonana, że potrafi go odtworzyć.

- W KOM dysponujemy bardzo hojnymi środkami - odparła pani doktor chłodnym, obojętnym tonem, nie dając po sobie poznać, że dostrzegła oznaki kryzysu, z jakim walczył kierownik zmiany. - Nasz roczny budżet wynosi osiemdziesiąt milionów, dodatkowo uzupełniają go dotacje z różnych źródeł. Ciała pana Ditko jest już gotowa i czeka na niego.

Kierownik zmiany skrzywił się.

- Wolimy nie używać słowa „ciała”... - zaczął.

Tymczasem jednak dotarli do celu i w zderzeniu z masywnymi, stalowymi drzwiami, przypominającymi wrota bankowego skarbcza, garść eufemizmów, którą miał już na końcu języka, wydała mu się nagle dziwnie niesmaczna, toteż umilkł.

Przy drzwiach czekał na nich rosły pielęgniarz. Widząc skinienie głowy kierownika, odsunął rygle. Dostępu do środka broniły trzy grube zasuwki u góry, pośrodku i na dole, a także potężny wpuszczany zamek - kolejny nowy dodatek - któremu jeden z sanitariuszy (nie pirat, jego kolega) przyglądał się z nieskrywaną fascynacją.

- Spodziewałem się, że profesora Mulbridge osobiście zechce nadzorować transfer - zauważył lekkim tonem kierownik zmiany. - Od bardzo dawna próbowała do niego doprowadzić.

- Ma w tej chwili mnóstwo na głowie - rzekł mężczyzna, gapiąc się na zamek w drzwiach. - Ratuje świat, od ducha do ducha.

Ta uwaga wydała się kierownikowi dziwnie lekceważąca i dlatego utkwiała mu w głowie. Podobnie jednak jak pielęgniarzka w recepcji, odkrył, że niewiarygodnie piękna pani doktor działa na jego umysł niczym magnes, przyciągając jego uwagę za każdym razem, gdy próbował pomyśleć o czymkolwiek innym. Boże, pachniała - właściwie czym? Czym dokładnie? Cokolwiek to było, miał ochotę jeść ów zapach garściami.

Drzwi otwały się, ukazując pomieszczenie będące w gruncie rzeczy pustym sześcianiem, pozbawionym wszelkich sprzętów i ozdób. Wypełniało je równomiernie rozproszone białe ostre światło. Sufit, ściany i podłoga także były białe.

Pośrodku pokoju stał jedyny przedmiot - stalowa rama, wysoka na około dwa metry i szeroka na ponad metr. Był to w zasadzie prostokąt ze stali: dwa pionowe pręty połączone z dwoma poziomymi. Na dole doczepiono do niego trzy pary ogumowanych kółek na poprzecznych osiach, tak szerokich, że zapewniały całej strukturze nader potrzebną stabilność.

Wzdłuż wewnętrznych krawędzi ramy zamontowano około dwudziestu stalowych zaczepów, do których umocowano grube, elastyczne kable. Pośrodku ramy wisiał człowiek, ubrany w okrywający całe ciało kaftan bezpieczeństwa, do którego podczepiono wolne końce kabli. W efekcie przypominał muchę tkwiącą w pajęczynie. Mężczyzna w ramie szarpał się i zwijał, lecz kable absorbowały jego poruszenia tak, że przesuwiał się najwyżej cal w każdą stronę.

Jego ruchy były ociężałe i nieskoordynowane. Wyglądał na odurzonego. Oczy otwierał nienaturalnie szeroko, miał tak powiększone źrenice, że nie było widać białek. Kąciki warg zwisały wyraźnie i zebrała się w nich odrobina śluzowatej cieczy.

- OPG - oznajmił kierownik zmiany, jakby uznał, że widok wymaga potwierdzenia. - Trzydzieści mikrogramów, domięśniowo. Jeśli chcielibyście zabrać je ze sobą, mamy kilka gotowych działek, a mało prawdopodobne, byśmy ich potrzebowali po wyjeździe Ditko i...

- Nie trzeba - oznajmił mężczyzna, który odezwał się wcześniej. - Dzięki. Mamy własne sposoby na uspokojenie pana Ditko.

- Kierownik zmiany wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. Uważajcie, to bardzo ciężkie.

- Poradzimy sobie.

Pani doktor weszła do celi, obróciła ramę jedną ręką - na widok tego wyczynu oczy kierownika się rozszerzyły, bo wiedział dokładnie ile waży konstrukcja.

Mężczyzna wiszący w ramie obrócił głowę, żeby spojrzeć na kobietę. Powiedział coś, czego kierownik nie zrozumiał. Brzmiało jak pojedyncze słowo - być może imię - ale liczące mnóstwo sylab i z całą pewnością nieprzypominające nazwiska Powell.

- Asmodeusz - odparła kobieta, pochylając głowę w pozdrowieniu. - Kopę lat.

Głowa mężczyzny opadła. Walczył z dawką narkotyku, która wystarczyłaby do zabicia niewielkiego stada słońi. OPG to neurotoksyna, zatwierdzona do użytku klinicznego w bardzo

nielicznych i ograniczonych sytuacjach. Ten pacjent, Rafael Ditko, idealnie spełniał kryteria jednej z nich.

- Suka - wymamrotał niewyraźnie, niczym alkoholik w delirium. - Piekielna suka.

- Czy on panią zna? - zaciekawiał się kierownik zmiany.

- Już się spotkaliśmy - odparła pani doktor. - Bardzo dawno temu.

- Zdiagnozowała go pani? Był pani pacjentem?

- Nie. - Kobieta skinęła na swych dwóch pomocników, którzy podeszli i chwycili oba końce ramy. - To było przed jego uwięzieniem.

Nie ciągnęła tematu, a ponieważ kontekst znajomości nie był kliniczny, kierownik zmiany uznał, że nie ma prawa naciskać. Odsunął się, patrząc, jak obaj mężczyźni wytaczają ramę z celi. Zauważył, jak na nią napierają całym ciężarem, by zmusić ciężką konstrukcję do ruchu. Kobieta natomiast nie zrobiła niczego takiego. Musi być przerażająco, podniecająco silna, pomyślał kierownik.

Choć nie był już potrzebny i wypełnił swoje zadanie, dołączył do niewielkiej procesji, wędrującej głównym korytarzem.

Przedstawił też swoją opinię, że transferu powinno się dokonać kilka lat wcześniej.

- Ditko zawsze stanowił dla nas problem - rzekł. - W odróżnieniu od was, nie jesteśmy ośrodkiem specjalistycznym. Nie mogliśmy pozwolić sobie na poddanie go tak uważnym obserwacjom jak trzeba. No i podlegamy zewnętrznej kontroli. - Zniżył głos. - Można chyba założyć - wymamrotał, posyłając pani doktor szybki, konfidencjonalny uśmiech - że dobrze go wykorzystacie, prawda? To znaczy, zrobicie coś więcej niż tylko utrzymywanie go w stanie uśpienia? Profesor Mulbridge z pewnością zaplanowała już jakieś badania co do stanu Ditko. To naprawdę konieczne. Ten pacjent to niewiarygodny okaz. Nie chcę, by zabrzmiało to nieludzko, ale naprawdę niewiarygodny. Przy odpowiednim sprzęcie, z właściwą osobą za sterami, możecie się dowiedzieć mnóstwa rzeczy. A gdybyście potrzebowali czegokolwiek od nas, informacji, obserwacji, wniosków, na podstawie...

Zająknął się i umilkł, bo pani doktor odwróciła się ku niemu i uniesieniem dłoni zatrzymała swoich pomocników. Przyglądała mu się i jej bezdenne czarne oczy niemal przyciągały go do niej, jakby otaczało ją własne, osobiste pole grawitacyjne.

- Dziękuję - rzekła - to bardzo miłe z pańskiej strony. Z pewnością na pewnym etapie zadzwonię. I to niedługo. Wkrótce się zjawię i będziemy razem pracować. Tylko pan i ja. Bardzo intensywnie.

Odwróciła się do niego plecami i odeszła. Dwaj mężczyźni podjęli wysiłki, popychając za nią stalową ramę. Kierownik zmiany pozostał w miejscu jak przyrośnięty, odprowadzając

ich wzrokiem. Nie miał już erekcji. Doktor Powell samym swym głosem doprowadziła go do orgazmu.

Wychodząc, pani doktor pozdrowiła recepcjonistkę uprzejmym skinieniem głowy i pielęgniarka zwalnijająca zamek odpowiedziała uśmiechem, czując, jak ciepłe spojrzenie kobiety omiata ją niczym czuła pieśczoła. Patrzyła dalej, jak opuszczają tylną rampę furgonetki, ładują do środka stalową ramę i znów podnoszą klapę. W sumie trwało to może trzy minuty, w tym czasie obok przekuśtykał kierownik zmiany, kierując się do męskiej toalety. Zniknął w niej i już nie wyszedł.

Furgonetka odjechała i podjazd pozostawał pusty i cichy może minutę czy dwie. Potem zjawiła się kolejna, tym razem granatowa. Zatrzymała się. Przed nią jechał smukły, czarny samochód, drugi towarzyszył jej z tyłu.

Z trzech pojazdów wysiadła duża delegacja i zebrała się za plecami siwowłosej kobiety po pięćdziesiątce, ubranej w granatowy płaszcz trzy czwarte w staroświeckim, dziwnie dodającym otuchy stylu. Na jej twarzy malował się spokojny, błogi wyraz, kontrastujący z ostrymi rysami otaczających ją rosnących mężczyzn w czarnych garniturach.

Pielęgniarka wpuściła przybyszy, lecz ich obecność ją zdziwiła. Na tę noc zaplanowano wyłącznie transfer Rafaela Ditko, a to nie wyglądało na przypadkową wizytę. W istocie przypominało raczej oficjalne odwiedziny głowy państwa.

- Jenna-Jane Mulbridge - przedstawiła się z uśmiechem siwowłosa kobieta, wręczając pielęgnowarce zestaw dokumentów stanowiących idealny duplikat tych, które właśnie wypełniła - z KOM w szpitalu Queen Mary. Przyjechaliśmy dokonać oficjalnego transferu jednego z waszych pacjentów. Myślę, że panią powiadomiono.

Pielęgniarka gapiła się na nich, jej usta otwierały się i zamykały. Spojrzała na papiery - wyglądały na kompletne i w porządku. Uniosła wzrok ku kobiecie w długim płaszczu, w której przyjazny, wyczekujący uśmiech zaczęła się powoli wkładać kwaśna nuta.

Wywołała kierownika zmiany, ten jednak nadal nie wychodził z toalety.

- To pewnie zabrzmiało dziwnie... - zaczęła drżącym głosem.

Daleko na zachód i odrobinę na południe biała furgonetka zjechała z obwodnicy północnej na zarośnięty chaszczami podjazd zamkniętej i zapuszczonej stacji benzynowej. Reggie Tang wyłączył silnik i odwrócił się ku mnie - imponujący wyczyn, biorąc pod uwagę fakt, że musiał spojrzeć ponad Juliet. Oczywiście Reggie jest gejem, ale to nie stanowi przed nią obrony. Oprócz chirurgicznego usunięcia genitaliów i zamknięcia ich w funduszu powierniczym, nie istnieje nic, co stanowiłoby obronę przed Juliet.

- Tutaj się zmywam - oznajmił.

- W Kew przejeżdżam na drugą stronę rzeki - przypomniałem. - Potem zawracam. Mogę cię podrzucić znacznie bliżej domu.

Reggie uśmiechnął się cierpko.

- Dzięki, Castor, ale chyba się przejdę. Jeśli cię zatrzymają, wolałbym być wtedy gdzie indziej. Obiecałeś mi stówkę, zgadza się? Nie chciałbym odnieść wrażenia, że jesteś równie wielką dręczypałą jak twoja panna.

Juliet przyjrzała mu się z namysłem, po czym spojrzała na mnie pytająco.

- Dręczypałą?

- Mizoginiczne bzdurne gadki - przetłumaczyłem. - To oznacza dziewczynę, która obiecuje, ale nie kończy.

- Ach, rozumiem. - Juliet znów odwróciła się do Reggiego. - Ależ ja kończę - zapewniła go z powagą.

Reggie zbladł, co przy jego ciemnej cerze stanowiło nie lada wyczyn. Juliet, nie spuszczać go z oka, powoli oblizwała usta. By zapobiec moczeniu majtek i atakowi hysterii, wyciągnąłem z kieszeni niewielki plik dziesiątek, stanowiący honorarium Reggiego, klepnąłem go nim lekko w twarz, by przełamać zakłęcie, i wepchnąłem pieniądze do ręki.

- No to uciekaj, synu - powiedziałem. - I nie wydaj wszystkiego w tym samym sklepie. Pamiętaj, jeśli zjawi się policja, całą noc siedziałeś dziś w domu z własnym fiutem w garści. Albo może fiutem Grega, nie jestem partykularny.

Juliet odwróciła wzrok, uwalniając go. W jej pokazie siły nie kryła się prawdziwa groźba, choć nawet najslabszy powiew mizoginii nieźle ją irytuje - i wiem z całą pewnością, że w dzisiejszych czasach porzuciła nałóg pożerania męskich dusz. Mimo to, z przerażającą łatwością potrafi dostać się do głowy i nieźle ją przemeblować. A Reggie naprawdę mi pomógł, choć nie był mi wcale nic winien, nie chciałem zatem, by odchodził, powiewając strzępami poszarpanej psyche.

Wymamrotał pod nosem ciche pożegnanie i wygramolił się z furgonetki. Wrzuciłem bieg i zacząłem kręcić kierownicą, Juliet jednak położyła mi dłoń na ramieniu.

- Ja też tu wysiadę, Castor - oświadczyła.

- Poważnie? - zdziwiłem się. - Mogę cię przecież podrzucić pod same drzwi.

Uśmiechnęła się - a w każdym razie odsłoniła zęby.

- Wówczas ten stwór z tyłu wiedziałby, gdzie mieszkam.

- Ten stwór z tyłu - odparłem nieco ponuro - to mój najlepszy przyjaciel.

Juliet pokręciła głową.

- Niezupełnie. Już nie. Nadal pozostało w nim trochę Rafaela Ditko, choć niezbyt wiele. Teraz to głównie Asmodeusz. Opętaniu przez demona towarzyszy postępujący rozpad - rozpad ludzkiego nosiciela. A ponieważ wiem, czym jest Asmodeusz i jakim uciechom się oddaje, wolę trzymać go możliwie najdalej od swojego życia osobistego.

Przez chwilę przetrwiałem w milczeniu jej słowa.

- A jednak zgodziłaś się mi pomóc - zauważyłem ostrożnie.

- Tak. - W głosie Juliet słyszałem poważną nutę. - To coś, o czym rozmawialiśmy z Susan. Idea, że można czerpać przyjemność z pomagania komuś innemu, nawet kiedy nie daje nam to żadnych bezpośrednich korzyści.

- Altruizm? - zaryzykowałem.

- Tak, właśnie, altruizm. Postanowiłam być dzisiaj wieczoru altruistyczna i przekonać się, jakie to uczucie.

Susan to kochanka Juliet i od niedawna jej partnerka cywilna. Ich związek mocno zmienił Juliet, pozbawił ją dawnej szorstkości i znacznie zmniejszył prawdopodobieństwo, że zakończy przypadkową rozmowę oderwaniem interlokutorowi głowy. Pod pewnymi względami jednak potrzebuje jeszcze dużo nauki. To mozolna wędrówka długą, stromą ścieżką. Długą, stromą, wyboistą, pełną zaskakujących dziur.

A ich istnienie wynika z faktu, że Juliet to sukub, czy innymi słowy, demon specjalnie dostrojony do seksu. Karmi się, podsycając żądze mężczyzn, a potem ich pochłaniając, ciało i duszę; pożądanie w pewien osobliwy sposób odgrywa rolę niezbędnego składnika uczy. To znaczy, że może i potrafiłaby zmusić się do pożarcia faceta myślącego o zwrocie podatku, przypominałoby to jednak jedzenie czystego ryżu bądź makaronu bez odrobiny sosu.

Opisywanie fizycznych atrybutów Juliet to jedynie strata słów. Jest wysoka i smukła, ma wąskie biodra i pełne krągłe piersi, bladą skórę, ciemne oczy i włosy i tak dalej, o wszystkim już wspominałem. Jednakże te atrybuty to zwykły przypadek: równie dobrze mogłaby być dowolnego koloru, rozmiaru i kształtu. Rzecz w tym, że Juliet robi coś z waszym mózgiem; to połączenie jej zapachu - z pierwszym oddechem ostrego i cuchnącego jak u lisa, potem nieznośnie słodkiego - i hipnotycznego spojrzenia. Dwie sekundy po tym, jak ją ujrzycie, nie pamiętacie już twarzy żadnej innej kobiety, i co więcej, nie chcecie pamiętać. Bezboleśnie, bez wysiłku przestraja wasze zmysły: staje się waszą Ewą, Heleną, od dawna utraconą i poszukiwaną przystanią.

Wszystko to do niedawna stanowiło znakomitą adaptację drapieżnika - równie brutalnie skuteczną jak tygrysie szpony czy zęby rekina. Teraz, jak już chyba wspominałem,

Juliet dała słowo i nie rozszarpie was ani nie pożre, nawet gdybyście ją o to prosili. Bo gdyby to zrobiła, miałaby poważne kłopoty z żonką.

- I jak ci się podobało? - spytałem przelitykając ślinę, bo nieco zaschło mi w gardle. - No wiesz, altruizm?

- Interesujący - odparła. - I nawet przyjemny. Ale myślę, że odrobina wystarczy na długo, Castor.

- To znaczy...?

- To znaczy, że mam aż nadto zleceń i gdybyś w najbliższych dniach bądź tygodniach potrzebował kolejnej przysługi, nie wahaj się poprosić kogoś innego. I odwrotnie, gdybym to ja potrzebowała wsparcia w jakimś zadaniu, spodziewam się, że rzucisz wszystko i stawisz się przede mną o dowolnej porze dnia czy nocy.

- Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej - odparłem beznamiętnie. - Tak za dnia, jak i w nocy.

Juliet wbiła we mnie wzrok, poszukując nieprzyzwoitych aluzji, lecz wszystko, co chciałem powiedzieć, pozostawało na powierzchni. Jeśli mnie wezwie, stawię się. Wiedziała o tym. Niestety, to samo dotyczyło większości ludzi, których spotykała, więc znaczyło raczej niewiele.

- Kiedy profesor Mulbridge odkryje, że sprzątnąłeś jej przed nosa upragniony okaz - zauważyła - bardzo się rozgniewa. Będzie chciała się na tobie odegrać. I z pewnością wymyśli coś, czego nie zdołasz przewidzieć.

Wzruszyłem ramionami.

- Jest na mnie wściekła, odkąd odrzuciłem propozycję pracy u niej - odparłem. - Niech sobie próbuje. Będę gotów.

Juliet wyglądała, jakby miała w tej kwestii inne zdanie, ale odpuściła.

- Dobrze skrepuj Asmodeusza - rzekła, wysiadając z furgonetki. - Jeśli się uwolni - naprawdę uwolni, bez powstrzymującego go zaczepienia w ciele twojego przyjaciela - nie potrafiś sobie wyobrazić, jakie szkody może wyrządzić.

Lecz tu akurat nie miała racji. Mam nader bogatą wyobraźnię i doskonale wiem, co by się stało, gdyby pasażerowi Rafiego udało się kiedyś wysiąść z autobusu.

- Będę ostrożny - obiecałem.

- Tak - zgodziła się bez cienia ironii na twarzy bądź w głosie. - Wiem, że nie podejmujesz zbędnego ryzyka, Castor. Nie wedle własnej definicji.

- Dzięki.

- Czy mam dodać, jak bardzo kulawymi definicjami się posługujesz?

- Ucałuj ode mnie Sue - poprosiłem. - Platonicznie. W policzek. Nic groźnego.

- Ma moje pocałunki.

- Więc chyba niczego jej nie brakuje.

Juliet uśmiechnęła się z nagłą szczerą czułością.

- O, tak - zgodziła się.

Raz jeszcze pomachała mi ręką, a potem odeszła w mrok i zniknęła znacznie szybciej, niż tłumaczyłaby to sama ciemność.

Kabinę wyposażono w judasza, pozwalającego zajrzeć na tył furgonetki. Odsunąłem osłonę i zerknąłem, choć nie było tam niczego do oglądania. Ani niczego do słuchania: w środku panowała absolutna cisza.

- Wszystko w porządku, Rafi? - zaryzykowałem po paru chwilach.

Nie odpowiedział. Cóż, lepiej, by w domu nie było nikogo, niż żeby to Asmodeusz odbierał telefony Rafiego. Będzie jeszcze lepiej, jeśli prześpi całą drogę do celu naszej podróży, bo to znacznie uprości wyładowanie go z furgonetki.

Zasłoniłem judasza i odjechałem. Nadal musiałem dotrzeć tej nocy do Lambeth i z powrotem, i perspektywa jazdy wcale mnie nie zachwycała. Podobnie jak to, co czekało na końcu trasy.

Mimo to zrobiłem to co musiałem. Jeśli się nad tym zastanowić, to całkiem niezłe epitafium dla większości moich dni. W Elephant and Castle przekazałem mój ładunek ludziom Imeldy; było ich dwóch: przystojnych Murzynów, którzy nie mówili wiele, byli dziesięć lat młodszy ode mnie i gdyby przyszła im na to ochota, mogli z łatwością zgiąć mnie wpół i połamać na kawałki. Wręczyłem kluczyki furgonetki wyższemu, w rastafariańskiej kolorowej czapeczce; jego zapleciona w warkoczyki broda rzucała wyzwanie męskości wszystkim napotkanych facetów. Pomachał do mnie kluczami niczym nauczycielka wskaźnikiem.

- Imelda chciała, żebym ci to powiedział - zagrzmiął. - I życzyła sobie, bym zrobił to bardzo wolno, słowo za słowem. - Pięć razy postukał mnie kluczami w pierś, raz po każdym wyrazie. - Lepiej. Żebym. Tego. Nie. Żałowała.

Ponieważ znajdowałem się na jego terytorium i łasce, zniosłem to tak godnie, jak tylko umiałem.

- Zdarzyło ci się kiedyś zaplątać tam w dole?

Skrzywił się, patrząc na mnie podejrzliwie.

- Co?

- Te koraliki - uściśliłem, wskazując jego brodę. - Nie przeszkadzają ci w lizaniu cipek?

Jego oczy rozszerzyły się, wargi zacisnęły w wąską linię.

- Człowieku, aż się prosisz, żeby...

Pokiwałem głową, czyniąc typowy szefowski gest oznaczający „kończ już”.

- Powiedźcie Imeldzie, że jestem wdzięczny - rzekłem. - I że wkrótce to załatwię. Ma moje słowo.

Obwodnica południowa. Most Kew. Obwodnica północna. Teraz siedziałem już w wozie Pen, który przynajmniej miał jako taką zwrotność, ale też byłem fizycznie wykończony. Zmęczenie zabija. Spytajcie kogo chcecie. Nie zasnąłem tylko dzięki temu, że przelatywałem kanały wiadomości, żeby sprawdzić czy już mnie ścigają.

Pen czekała w kuchni, przy zapalonych światłach. Domagała się relacji - pełnej, szczegółowej, od czasu do czasu histerycznej i skapaniej w morzu alkoholu.

Kiedy w końcu padłem do łóżka, pijany zmęczeniem, zużytą adrenaliną i dużą dawką wódki, osunąłem się w sen jak gość skaczący w przepaść. W drodze w dół z nieco ogłuszonym zdumieniem pomyślałem o tym, jakie piekło rozpęta się rano.

I postanowiłem pospać do południa.

Następnego dnia, i jeszcze następnego, niebo jakoś nie zwaliło nam się na głowy. W gazetach i w dziennikach telewizyjnych nie wspomniano o Rafim, nie znalazłem nawet porządnych plotek na stronach speców od teorii spiskowych i nikt nie stanął na naszym progu, dopytując się, gdzie się podziewałem w nocy trzeciego. Stopniowo z Pen zaczęliśmy się odprężyć i otwierać na świat.

Zadzwoiłem do Imeldy, która oświadczyła, że ulokowała bezpiecznie Rafiego u siebie.

- Rafiego? - powtórzyłem, upewniając się. - Nie Asmodeusza?

- Rafaela Ditko - potwierdziła Imelda. - We własnej osobie, zdrowego na umyśle.

- Jesteś cudotwórczynią, Imeldo.

- Owszem, jestem. Co nie znaczy, że podoba mi się to wszystko.

- Wiem. To reguluje wszelkie długi między nami. W jej głosie zabrzmiała niebezpieczna nutka.

- Nie, Castor, bynajmniej. Teraz to ty jesteś moim dłużnikiem. I kiedy zwrócę się o spłatę, lepiej, żebyś o tym pamiętał.

- Jasne. - Byłem gotów na naprawę wiele, żeby tylko ugłaskać Lodownię: niewielu ludzi mogłoby dokonać tego co ona i nie zaliczam siebie do tej grupy.

Minęło kilka tygodni. Pen co dwa, trzy dni jeździła do Peckham odwiedzić Rafiego i oprócz pierwszej, wszystkie te wizyty miały charakter, można by rzec, małżeński. Nie uciekając się do niedyskretnych szczegółów, powiem tylko, że wymagały, abyśmy z Imeldą dołożyli wszelkich starań i dopilnowali, by piekielna druga połowa Rafiego nie pojawiła się nagle, zamieniając spotkanie w trójkąt. Wołałem nawet nie myśleć o takiej ewentualności.

W istocie o wielu aspektach obecnej sytuacji wołałbym nie myśleć. Imelda przypominała mi o tym radośnie. Ale z czasem można przywyknąć do wszystkiego. Nie istnieje okropność dość okropna, by nie mogła zamienić się w rutynę.

Uważaliśmy, że idzie nam wspaniale. Wyrwaliśmy Rafiego z łap Jenny-Jane i zapewniliśmy mu coś w rodzaju miniaturowej, lalkowej wersji życia. Byliśmy naprawdę na fali: tacy dobrzy i ostrzy jak brzytwa, że nawet gratulując sobie samym, wiedzieliśmy doskonale, że nie stać nas na jakiegokolwiek odpuszczenie sobie. Wiedzieliśmy, że wciąż musimy uważać, i nie przeszkadzało nam to. Przytrzymywaliśmy drzwi prowadzące do piekła oparci o nie ramionami, napinający mięśnie. Tyle że niewiele to daje, kiedy dach zaczyna się walić na głowę.

2

Z niespokojnych snów wyrwał mnie łomot. A potem sny i hałas jakby się zmieszały, tak że przez kilka sekund, oszołomiony, wbijałem gwoździe w krzyż, na którym w miejscu Chrystusa wisiał jeden z Bee Geesów - chyba Robin. Próbowałem go przeprosić, on jednak śpiewał właśnie solówkę ze „Staying Alive” i przez słuchawki w ogóle mnie nie słyszał.

Potem ocknąłem się i uświadomiłem sobie, że hałas nie ustał. Usiadłem i odrzuciłem koldrę, w głowie pulsowało mi, jakby mózg przełączył się na wibracje i przyjmował jednocześnie mnóstwo rozmów. Ale dlaczego?

A tak. Ponieważ zeszłej nocy wybraliśmy się do Peckham, do Lodowni, po raz trzeci w tym tygodniu, a kiedy wróciliśmy, Pen była zbyt nakręcona, żeby zasnąć. Rozmawialiśmy zatem do późna o dawnych czasach i kontrfaktycznych światach, aż w końcu alkohol pokonał adrenalinę i powlekliśmy się do łóżek.

Pół butelki courvoiseira XO na pusty żołądek i niecałe dwie godziny snu: doskonały początek dnia, jeśli chcecie, by włókł się jak smród za wojskiem i przepępiał go ból.

Nie mam szlafroka, jestem natomiast dumnym posiadaczem rosyjskiego wojskowego szynela - najnowszego z długiego rodu - uznałem zatem, że wystarczy. Schodząc ze swej nory na strychu, po zimnych drewnianych stopniach, czułem się jak coś jednocześnie kruchego, cienkiego i łatwopalnego. Która w ogóle była godzina? Z pewnością po czwartej, ale ponieważ półksiężyc z brudnego szkła nad drzwiami był zupełnie czarny, świt jeszcze nie nastał. Albo może ktoś mnie obudził w samym środku całkowitego zaćmienia słońca. Ktoś za to zapłaci, nawet jeśli walutą miałyby być bogata wiązka inwektyw.

W chwili, gdy dotarłem na pierwsze piętro, Pen wyłoniła się ze swojej sypialni. Miała na sobie czarne jedwabne kimono we wzorek z żurawi i fruujących wosp. Kruk na jej ramieniu wyglądał jak czyjś ironiczny komentarz na temat przesłodzonej kreacji, lecz doskonale podkreślał jej długie rude włosy: żaden blady biust Pallady nie stanowił tak dobrej grzedy jak ognista Pen.

Wyglądała jednak na wystraszoną i wiedziałem, dlaczego nie przekreśliła się na bok w łóżku i nie zignorowała bezczelnego walenia do drzwi.

- Fix, nie otwieraj! - rzekła głosem ochryłym od snu. - To z pewnością policja. Dowiedzieli się!

Położyłem dłonie na jej ramionach, by dodać odwagi - w przypadku Pen zwykle nie jest to konieczne, ale okoliczności były nietypowe.

- Ty nie zrobiłaś niczego nielegalnego - przypomniałem. - Ja owszem, ale raczej nie zdołają tego ze mną powiązać. A nawet jeśli, ty pozostaniesz czysta. Poza tym minęły już dwa tygodnie. Gdyby coś na nas mieli, ściągnęliby nas na przesłuchanie wieki temu. Zatem, ktokolwiek budzi teraz sąsiadów, nie ma nic wspólnego z Rafim. Może wrócisz do łóżka i pozwolisz mi to załatwić? - powiedziałem najłagodniejszym tonem, na jaki mnie było stać; zaledwie parę miesięcy temu ponownie zostałem lokatorem Pen i bardzo mi zależało, by nie popsuć ciepłej atmosfery naszego pojednania.

- Pieprzyć to - warknęła Pen.

Była mocno poruszona, lecz w jej naturze nie leży wycofywanie się z walki - ani nawet spóźnianie na nią.

Zeszliśmy zatem na dół w krótkim konwoju, z Pen stąpającą na czele. Kruk Edgar zaskrzeczał i umknął w proteście przeciw potrząsaniu, wzbudzając wietrzyk, który byłby nawet przyjemny, gdyby nie cuchnął surowym mięsem.

Pen wypowiedziała parę szybkich jak strzały z karabinu słów pod adresem drzwi, po czym odciągnęła zasuwę. Większość ludzi zadowala się gałązkami wiciokrzewu i fabrycznymi kręgami magicznymi, mającymi chronić ich w nocy, lecz Pen jest kapłanką pogańskiej religii, którą najpewniej sama wymyśliła, toteż zajmuje się zabezpieczeniami osobiście.

Ponieważ wciąż stała przede mną, przesłaniając mi widok, a noc na zewnątrz była czarna jak dusza komornika, ujrzałem jej reakcję, nim jeszcze zobaczyłem mężczyznę stojącego na werandzie.

Pen wzdrygnęła się i odrobinę cofnęła, potem opanowała się szybko, choć z widocznym wysiłkiem.

- Przepraszam, Pen - usłyszałem zdecydowanie znajomy głos. - Muszę pogadać z Fiksem.

Odsunęła się z ogromną niechęcią, każdy ruch wyraźnie sprawiał jej ogromną trudność, i z mroku nocy wyłonił się detektyw sierżant Gary Coldwood. Wymamrotałem pod nosem nieprzystojne przekleństwo, a on w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Lepiej wyrzuć to z siebie od razu - zasugerował. - Czeka cię długa jazda.

Pen wodziła wzrokiem od niego ku mnie i z powrotem. Potem zerknęła na upiorną wazę - najpewniej spluwaczkę z czasów dynastii Ming - którą trzyma na kolumience u stóp schodów. Na jej twarzy ujrzałem straszliwe napięcie i wiedziałem dokładnie, o czym myśli. Zdecydowanie pokręciłem głową.

Szczęśliwie Coldwood założył, że reaguję na jego słowa.

- I żadnych sprzeciwów - rzucił szorstko. - Wyjaśnię po drodze, ale czas gra tu rolę. I nie są to interesy jak zwykle, Fix. Wręcz, kurwa, przeciwnie.

- To znaczy, że wracam do pracy - podsumowałem, bardziej na użytek Pen niż własny.
- Chcesz, żebym odczytał ci miejsce zbrodni?

Coldwood skinął powoli głową, wyraźnie jednak uznał, że musi uzupełnić ten gest.

- Coś w tym stylu - rzucił.

Za jego plecami Pen oklapła z ulgi, gdy jej układ nerwowy wyłączył ogólny, najwyższy alarm.

- W takim razie zostawię was dwóch samych - rzekła tchórzliwie i odmaszerowała.

Edgar wystartował w ostatniej chwili, zanurkował gwałtownie i zniknął w malejącej szczelinie - to Pen kopniakiem zamknęła za sobą kuchenne drzwi. Poszybował na półkę nad drzwiami wejściowymi, skąd patrzył na nas zafascynowany paciorkowatymi oczami. Trudno w nim i jego bracie Arthurze nie widzieć Hugina i Munina Pen - szpiegów w ptasiej postaci, posyłanych do zbierania informacji w sytuacjach, gdy sama nie może podsłuchiwać.

- Czyżbym wam w czymś przeszkodził? - spytał Coldwood. - I tak mnie to nie rusza. Tyle że twój kumpel Rafi dwa tygodnie temu wymeldował się ze szpitala. Jeśli zatem dmuchasz mu za plecami jego kobitę, pewnie niedługo obudzisz się z flakami zawiązanymi w kokardkę na szyi.

Posłałem Gary'emu spojrzenie, które, gdyby nie mój osłabiający kac i ból głowy, powaliłoby go na miejscu.

- Zmień temat - poradziłem.

- Z najwyższą rozkoszą. - Zerknął na zegarek, z roztargnieniem pocierając paskudną bliznę na policzku. - Wpół do piątej. Nawet o tej porze to potrwa prawie godzinę. Włóż coś na siebie, Fix. I zabierz swój sprzęt.

Po jego minie widziałem, że nie ma sensu się spierać.

- O co biega? - spytałem.

- Przekonasz się. Nie martw się, przywiozę cię na śniadanie.

Edgar zakrakał pogardliwie. Wiedziałem, co to znaczy: już to kiedyś słyszałem.

Coldwood miał rację co do długiej jazdy, bo wylądowaliśmy na południe od rzeki, równo o wschodzie słońca przeprawiając się w Lambeth przez wstrętą starą mateczkę Tamizę. Niebo było czyste, poza kilkoma piórkami cirrusów, dokładnie pośrodku szyby nieoznakowanej primery Coldwooda - zapowiadał się kolejny upalny dzień. Zerknąłem pomiędzy zbrukanymi białymi kominami elektrowni Bathersee w poszukiwaniu świniolotu, ale w górze nic się nie poruszało. Byliśmy sami i zmierzaliśmy na południowy wschód przez szurzy labirynt Southwark.

- Jak daleko jeszcze? - spytałem Coldwooda, bo wyraźnie nie miał ochoty mi powiedzieć, czego właściwie mam szukać.

Nie odpowiedział, zerknął tylko ponownie na zegarek, wykonując niewyraźny, uspokajający gest, niczym surowy ojciec pod adresem dziecka marudzącego „długo jeszcze?”. Najwyraźniej zapomniał o wcześniejszej obietnicy wyjaśnienia mi wszystkiego w wozie.

- Uprzedź ich, że już jedziemy - polecił milczącemu kierowcy o ostrych rysach.

Mężczyzna przytaknął i wymamrotał do krótkofalówki:

- Mam sierżanta i... - Zawahał się i zerknął na mnie przez ramię.

- Egzorcystę - podpowiedziałem usłużnie, on jednak wołał pozostawić zdanie niedokończone.

- Jedziemy na miejsce zbrodni.

- Nie wpuszczajcie tam K2, dopóki nie skończymy! - zawołał Coldwood i kierowca przekazał instrukcję osobie, z którą rozmawiał.

„K2” stanowiło nieoficjalny skrót od królowie kuchni: tak właśnie Coldwood i jego kolesie z wydziału poważnej przestępczości nazywali swych cennych kolegów z wydziału kryminalistyki.

Przejechaliśmy przez budzące się Newington: sprzedawcy zdejmowali już z witryn pancerne płyty, by powitać nowy dzień, bądź wylewali kubły pieniącego się wybielacza na psie gówna przed drzwiami; leniwa zamiatarka ryła powoli w rynsztokach niczym świnia szukająca trufli.

- Nie zdziwiła cię wiadomość, że Rafi Ditko się wyniósł - zauważył Gary, oglądając się na mnie z przedniego fotela samochodu. Twarz miał tak pozbawioną emocji, że przechodzący obok artysta mógłby ją uznać za czyste płótno. - Oficjalnie powiadomiono nas o tym zaledwie wczoraj.

- Lubię trzymać rękę na pulsie - odparłem podobnym tonem.

- To dobry sposób, by oberwać za molestowanie.

- Jeśli mnie przyłapiesz, zapraszam do rzucenia pierwszą cegłą.

Gary zmarszczył brwi. Nie znosi, kiedy komuś udaje się go przegadać na oczach jego pomagierów i niewolników, a tym razem czuł jeszcze większą irytację, bo robił mi przysługę: dawał znać na swój własny, serdeczny sposób, że zniknięcie Rafiego z bezpiecznego ośrodka opieki, w którym mieszkał - jeśli można to tak nazwać - przez ostatnie trzy lata, stało się obecnie sprawą policyjną. Nie były to dobre wieści, ale wiedziałem, że wcześniej czy później tak się stanie, uznałem zatem, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Co będzie, to będzie.

- A kto właściwie cię obserwuje? - Gary przeskoczył na inny temat, być może w nadziei na odzyskanie kilku straconych punktów.

Zamrugalem, totalnie zaskoczony.

- Kto mnie co?

To była dla mnie nowość i nie zdołałem opanować się dość szybko, by to ukryć.

- Dwuosobowy zespół - wyjaśnił Gary. - Jeden na rogu, drugi w samochodzie nieco dalej, w głębi ulicy. Dyskretna operacja, ale muszą mieć spory budżet.

- Pewnie to goście od czynszu - mruknąłem.

Znacznie prawdopodobniejsze, że to pierdzielona Jenna-Jane Mulbridge. Może dlatego nie rozgłaszała sprawy Rafiego mediom: żebym się odprężył, zrobił nieostrożny ruch i doprowadził ją wprost do niego. Najwyraźniej jednak jeszcze się nie udało, inaczej by ich tam nie było. A teraz byłem ostrzeżony, uzbrojony.

Kierując się na południe, tuż za Elephant and Castle, skręciliśmy z głównej trasy w drogę dla dostawców, otaczającą obwisłym łukiem parking pod dworcem, a potem nabierającą odwagi i przeskakującą po betonowej estakadzie nad Kennington Lane. Przed dotarciem do przejazdu wszystkie inne samochody skręcały w lewo bądź prawo, tworząc dwa bezładne, kłębiące się strumienie. Ponieważ dokładnie przed nami na jezdni parkowały trzy radiowozy całkowicie blokujące przejazd - a właściwie prawie całkowicie, jeśli pominąć wąską szczelinę, strzeżoną przez surową policjantkę, która, widząc, że jedziemy prosto na nią, uniosła dłoń, by nas przegonić. Potem jednak rozpoznała Coldwooda bądź kierowcę i odsunęła się, przepuszczając wóz.

Na ulicy za nią panowała niepokojąca pustka szkolnego boiska podczas wakacji. O tej porze w nieświęteczny ranek powinno tu być mnóstwo samochodów, ale dostrzegłem tylko cztery pojazdy i żaden z nich się nie poruszał. Dwoma z nich były astry w barwach policyjnych, otoczone nieruchomymi grupkami mundurowych. Jasnowłosa kobieta w czarnej wiatrówce rozmawiała z jedną z grupek, wskazując odległe wieżowce: dwóch niebieskich

chłopców ruszyło wypełnić jej rozkaz. Miałem wrażenie, że rozpoznaję tę wysoką, smukłą sylwetkę i srogie, przystojne rysy twarzy, ale uznałem, że nie ma sensu dźwigać tego brzemienia, dopóki na mnie nie spadnie.

Trzecim pojazdem była karetka z szeroko otwartymi tylnymi drzwiami i z opuszczonym podnośnikiem, a ostatnim jaskrawo-czerwony jak skrzynka pocztowa ford ka, zaparkowany na mocno zakrzywionym, betonowym pasie, zbyt wąskim, by nazwać go poboczem. Coś w jego wyglądzie sprawiło, że poczułem nagły niepokój. Nie byłem pewien, czy to reakcja tej części mego aparatu percepcji, którą nazywam zmysłem śmierci. Nie widziałem niczego martwego w okolicy - ani też niczego w owym kiepsko zdefiniowanym i tajemniczym stanie, który nazywamy nieumarłym - ale też byliśmy jakieś sto metrów dalej. Może kiedy się zbliżymy, dowiem się, co mnie poruszyło.

Ale się nie zbliżyliśmy: Coldwood klepnął kierowcę w ramię i zatrzymaliśmy się przy krawężniku, obok powgniatanej stalowej barierki ochronnej, która najwyraźniej wiele razy wypełniła już swoje zadanie.

Coldwood wysiadł nieco niezgrabnie, bo po zeszłorocznym złamaniu niezbyt dobrze złożyli mu kości nogi - pod pewnymi kątami poruszały się w roboci, nieskoordynowany sposób. Poszedłem za nim, bo najwyraźniej jazda już się zakończyła. Okrążając tył wozu, by dołączyć do Coldwooda, zerknąłem od niechcienia poza krawędź: byliśmy tak wysoko, że widziałem poplamiony asfalt parkingu na dachu. Był pusty, poza falangą kubłów na kółkach w jednym rogu. Za nimi leżała czarna kurtka, wielki martwy ptak: niezrozumiała ofiara serca miasta.

Coldwood oparł się o bok samochodu, z rękami w kieszeniach, niczym Cierpliwość na pomniku, tyle że z bardziej bojowym wyrazem twarzy.

- No to o co biega? - spytałem, zrozumiawszy, że pierwszy się nie odezwie.

- Ty mi powiedz, Fix - zaproponował.

Czekałem, aż odpali bombę. Zazwyczaj oferuję swe usługi wszędzie, gdzie można coś zarobić, i wydział zabójstw policji metropolitalnej przy kilku okazjach stanowił lukratywne źródło dochodu. W pewnym momencie był nawet moim głównym klientem i zacząłem to uważać za coś oczywistego. Ale potem, niczym stare małżeństwo, rozstaliśmy się w końcu z powodu różnic nie do pogodzenia, wynikających przede wszystkim z faktu, że aresztowano mnie pod zarzutem morderstwa. Minęło sporo czasu, odkąd Coldwood załatwił mi robotę, i jeszcze więcej, odkąd prosiłem go o przysługę. A to oznaczało, że dzieje się tu coś bardzo poważnego, i za żadne skarby nie zamierzałem się angażować, nawet przedstawiać opinii, zanim się nie dowiem co.

Niestety, Coldwood także milczał, a nie mogliśmy gapić się na siebie wiecznie. Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem za pazuchę szynela. Jest tam kieszeń, którą sam wszyłem - głęboka, lecz wąska, stosownych rozmiarów, by pomieścić flet z całem luzu u góry, tak by dało się go wyciągnąć w pośpiechu. Wzmiankowany flet to Clarke Sweetone w tonacji D. W przeszłości próbowałem innych firm i innych tonacji, ale wyglądało to jak igła kompasu próbująca oderwać się od północy. Nigdy nie trwało zbyt długo.

Z fletem w dłoni ruszyłem w stronę zaparkowanego ka.

- Fix - rzucił Coldwood zza moich pleców. Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Nawet nie drgnął.

- Co jest? - spytałem.

- Zrób to stąd.

Oszacowałem wzrokiem odległość od samochodu.

- Stąd nic nie widać - zauważyłem.

Coldwood wytrzymał moje spojrzenie.

- Skąd wiesz, dopóki nie spróbujesz?

W dawnych czasach podobne bzdety wzbudziłyby we mnie jeszcze większy upór. Wówczas prędzej zawróciłbym na pięcie i odszedł, niż odgrywał swe sztuczki na rozkaz i z zasłoniętymi oczami. Obecnie jednak pomiędzy mną i Coldwoodem wisiał niewypowiedziany i niespłacony dług, zaciągnięty całkiem niedawno, gdy o mało nie doprowadziłem do jego śmierci: ów wypadek wyjaśniał zarówno bliznę, jak i kuśtykanie. I właśnie, gdy się wahałem, balansując niepewnie pomiędzy zagranieniem dla niego melodii a powiedzeniem, gdzie dokładnie i jak głęboko może ją sobie wsadzić, jasnowłosa kobieta podeszła do nas szybko, minęła mnie bez jednego spojrzenia i zwróciła się do Coldwooda.

- Źle robisz - oznajmiła bez wstępów. Minę miała spiętą i ponurą.

Coldwood przytaknął. Nie na znak zgody: jedynie potwierdzał, że dotarł do niego argument, który z pewnością usłyszał już wcześniej.

- Zgłosiłaś oficjalne zastrzeżenie, Ruth - rzekł - więc możesz przestać walić w ten bęben. Nie jesteś moją przełożoną w tej sprawie i załatwimy ją tak, jak ja zechcę.

Blondynka odwróciła się i zaszczyciła mnie zimnym, klinicznym spojrzeniem. Była piękna - naprawdę piękna - tyle że w twardy, surowy sposób, mówiący jaśniej niż słowa, jak mało obchodzi ją, co ktokolwiek sobie o niej myśli. Miała krótkie włosy, błękitne oczy patrzyły na świat pomiędzy jasnych rzęs nietkniętych tuszem. Preferowała szarości i czerni, od czasu do czasu pozwalając sobie na błękit. Może uważała, że ciepłe kolory byłyby zbyt

provokacyjne. Dziś w nocy wybrała ciemniejsze odcienie swego spektrum, ścisnęła też swe subtelne krągłości tak, by jak najmniej rzucały się w oczy.

- Hej, Basquiat - pozdrowiłem ją.

- To nie jest nawet uczciwe wobec niego - dodała i na moment kompletnie się pogubiłem, nim pojąłem, że wciąż kontynuuje rozmowę z Coldwoodem, jakbym w ogóle się nie odezwał, i że ów „on” to mam być ja. - A może próbujesz zmanipulować sprawę, nim się rozpoczęła, tak by na pewno oddalono os...

Coldwood przerwał jej, zanim skończyła zdanie.

- Chcę po prostu, żeby Castor odczytał miejsce zbrodni - oznajmił. - Korzystałem z jego usług już wcześniej i prawdopodobnie skorzystam w przyszłości. To zwykłe postępowanie, nikt nie może zgłaszać obiekcji. Zauważyłaś też zapewne, że stoimy tutaj, nie wewnątrz twojego kręgu. Nawet nie blisko. Jeśli to cię martwi, możesz zostać i odgrywać przyzwoitkę.

Basquiat z powrotem zwróciła wzrok na Coldwooda, jej oczy się zwięzły.

- I to niezwykle pomoże, zważywszy, że przyjechaliście razem z Turnpike Lane.

- Z kierowcą - przypomniał Gary, unosząc wzrok ku wschodzącemu słońcu. - Bardzo proszę, spytaj, co mówiłem, oficjalnie i nieoficjalnie.

- Proszę cię. - Głos Basquiat piekł jak ogień. - Wszyscy członkowie twojego oddziału, gdybyś im kazał, przysięgliby, że czarny to pieprzona różowo-pomarańczowa kratka. Kiedy z nim skończysz, chcę go dostać.

Ewidentnie były to jej ostatnie słowa w tym temacie - wymawiając je, już się oddalała. Zorientowałem się, że „z nim” znów oznaczało mnie.

Coldwood spojrział na mnie, jak gdyby nic nam nie przerwało, i machnął ręką na znak, że mam zaczynać. Tym razem przyjąłem zaproszenie, widziałem bowiem wyraźnie, że dopóki tego nie zrobię, nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. „To nie interes jak zwykle”, powiedział Gary. Sam widziałem to wyraźnie - choć wszystko, co sprawiało, że rzucali się sobie z Basquiat do gardeł, musiało wyglądać znajomo.

Uniosłem flet do ust, patrząc w stronę zaparkowanego samochodu, tam bowiem stała Basquiat z mundurowymi i najwyraźniej stanowił on epicentrum tego, co się tu wydarzyło.

Zacząłem grać. Nie były to egzorcyzmy, one bowiem wymagają czasu, planowania i przygotowań: bardziej przypominało echosondowanie, posyłanie myśli wzdłuż wysnuwanych linii muzyki, by sprawdzić, czy cokolwiek zobaczą.

Tak właśnie zarabiam na życie i uwierzcie mi na słowo, jestem w tym diablo dobry. Każdy egzorcysta rodzi się z tym talentem: dodatkowym modulem aparatu zmysłowego,

pozwalającym widzieć to, czego nie widać, i dotykać tego, czego dotknąć się nie da. Jednak każdy z nas znajduje w sobie indywidualny, osobisty sposób czerpania ze wspólnej beczki. Jedni kreślą symbole w magicznym kręgu, inni nucą słowa z martwych języków bądź zapalają świece, rozdają karty czy też posługują się jednym z tysiąca cichych, banalnych, potężnych rytuałów. Ja gram muzykę i muzyka staje się przedłużeniem mojego umysłu, podłącza mnie niczym wtyczki staroświeckiej centrali telefonicznej do świata umarłych - w którym, co dość naturalne, panuje niezły szum.

Mój talent odkryłem przypadkiem. Zawsze widywałem zmarłych, ale nie miałem pojęcia, że mógłbym nad nimi zapanować, dopóki parę tygodni przed moimi szóstymi urodzinami moja siostra Katie nie wpadła pod ciężarówkę. I właśnie, usiłując zniechęcić Katie do odwiedzania nocami mojego pokoju, pokazywania umazanej zaschniętą krwią twarzy i gadania do mnie w ciemności, przeprowadziłem swe pierwsze - całkowicie przypadkowe - egzorcyzmy. Zrobiłem to, nuąc wulgarne piosenki z piaskownicy tak długo, aż w końcu zamknęła się i odeszła. Dźwięki. Misternie rozplanowane dźwięki, wyrażające w tonach i rytmie coś, czego w inny sposób nie umiałem określić ani postrzec.

Później odkryłem, że muzyka działa jeszcze lepiej.

Jeszcze później trafiłem przypadkiem na flet prosty i instrument natychmiast przyłgnał mi do ręki, jakby znalazł swoje miejsce. Christian Barnard musiał się tak czuć, gdy chwycił w dłoń swój pierwszy skalpel. Albo Osama bin Laden, gdy odbezpieczył swojego pierwszego AK-47.

Ta akurat melodia nie wyróżniała się ani formą, ani sekwencją. Kołysała się tylko w przód i w tył, przez tę samą sekwencję akordów, w dolnej połowie rejestru fletu, nieco ponurą i melancholijną. W miarę, jak dźwięki wirowały wokół mnie, świat pociemniał: czy raczej moja percepcja zmieniła się odrobinę na skali, na której na przeciwległych końcach leżą życie i śmierć.

Spodziewałem się, że w tym momencie na jezdni zrobi się nieco tłoczniej. Jeśli ktokolwiek umarł w owym małym czerwonym samochodzie bądź pod jego kołami, powinien pokazać mi się wyraźnie. Właściwie już powinienem go widzieć, bo nowo zmarli przez większość czasu jaśnieją mi w oczach niczym żarówki halogenowe. Jednakże mój zmysł śmierci nie jest niezawodny. Flet, owszem.

Tym razem jednak, prócz dodanej głębi i przygaszonych kolorów, widoczna przede mną scena w ogóle się nie zmieniła. No dobrze, kawałek od krawędzi przejazdu stała w powietrzu rozmazana, lecz mniej więcej humanoidalna postać - może samobójca albo ktoś, kto w pijackim widzie postanowił przejść wzdłuż kładki i spadł. Zniekształcenia,

uproszczenia i niedoskonałości owej postaci - fakt, że nie potrafiłem nawet stwierdzić na pewno, czy to mężczyzna, czy kobieta, ani w jakim ta osoba była wieku, gdy porzuciła ciało, krew, kość i ścięgno i stanęła naga przed światem - świadczyły o tym, że nie zjawiała się tu niedawno. Zginęła wiele lat, może nawet wiele dziesiątków lat temu i może dlatego z początku jej nie zauważyłem. Z czasem duchy blakną, niczym kolory taniej podkoszulki. A ten duch był jedynym nawiedzającym tę część ulicy.

Skupiłem się z powrotem na zaparkowanym samochodzie, przesunąłem palce na otworkach fletu i powoli zacząłem wspinaczkę w górę skali. Podobnie jak większość fletów prostych, mój sweetone efektywnie obejmuje zaledwie około dwóch oktaw. Jeśli jednak niezbyt przejmujesz się wrażliwością otaczających cię ludzi, możesz na krótko zapuścić się poza ten zakres, częściowo odsłaniając otwory i zmieniając siłę dmuchania. Wspiąłem się najwyżej jak mogłem - flet wydał niemelodyjny, przeszywający pisk, sięgający wysokich tonów, gdy nacisnąłem ośmioma palcami i mocniej ściągnąłem wargi. Nic.

Pozwoliłem, by ostatnie potrząskane dźwięki owego bezkształtnego melodycznego koszmara posypały się niczym odłamki szkła spomiędzy moich palców. Potem opuściłem flet, potrząsnąłem nim dwa razy, by oczyścić ze śliny, i wsunąłem z powrotem do kieszeni.

- Opowiedz mi o tym - zaproponował Coldwood.

Odwrociłem się do niego i spojrzałem mu prosto w oczy.

- O czym, Gary? - spytałem z wyjątkowo kruchą uprzejmością.

Skinieniem głowy wskazał samochód.

- Co się tu stało.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, co się tu stało - przyznałem z brutalną szczerością. - Ale powiem ci, co się nie stało. Nikt nie umarł. I musiałeś o tym wiedzieć, kiedy wywlokłeś mnie z łóżka i zaciągnąłeś na drugi koniec Londynu, żebym obejrzał sobie wschód słońca.

Coldwood znów przybrał obojętną minę - to jedna z jego ulubionych sztuczek.

- Tu nie chodzi o to, co ja wiem, Fix - rzekł - tylko o to, co ty wiesz. I chyba byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś trzymał nerwy na wodzy. Bo czasami, kiedy im popuszczasz, mówisz rzeczy, których tak naprawdę nie myślisz.

- Taka jest natura ludzka - zauważyłem. - Co ja tu, kurwa, robię, skoro nie masz nieboszczyka?

Coldwood oderwał się od samochodu i wyprostował ramiona.

- Gdzie byłeś wcześniej dziś w nocy? - spytał tonem „winny dopóki żyje”, używanym przez wszystkich gliniarzy do wygłaszania tej kwestii.

- Słucham?

- Gdzie byłeś wcześniej dziś w nocy?

Prawdy raczej podać nie mogłem, więc musiałem uciec się do kłamstwa.

- Byłem w łóżku, Gary. Obściskiwałem się z Morfeuszem, całowałem go z języczkiem, lizałem po migdałkach i tak dalej, aż mnie obudziłeś i ściągnąłeś tutaj. A co? Chcesz mnie w coś zrobić?

- Czy ktokolwiek był z tobą, Fix?

- Drużyna majoretek, ale nie zapisałem sobie nazwisk.

Coldwood czekał bez słowa.

- Nie. Nikogo ze mną nie było.

- Ale Pen była w domu?

- Tak.

- Przed pójściem do łóżka wypiliście zwyczajowego drinka?

- Nie.

- Nie? W takim razie, kiedy po raz ostatni ktokolwiek...

- Wypiliśmy mnóstwo drinków. Różnych smaków, lecz o jednym wspólnym mianowniku: galopujących głowogrzmotów.

- Kiedy zatem po raz ostatni...?

- Jezu! Trochę po pierwszej. Jeśli zatem ktoś się tu zakradł w dzikie ostępy Walworth i rozwalił komuś innemu mózg przez ucho, owszem, to mogłem być ja. Musiałbym tylko uniknąć blokad wokół Saint George's Circus i spokojnie bym zdażył. Z drugiej strony, jeśli w powietrzu latały tu jakieś mózgi, to chyba coś bym zobaczył. Ale nie zobaczyłem. A ponieważ pracujesz w wydziale zabójstw, Gary, to mnie dziwi. Cholernie mnie dziwi, wierz mi. Powtarzam zatem: o co, kurwa, biega?

Wyglądało na to, że wstępne przesłuchanie dobiegło końca. Wzrok Gary'ego znów powędrował w lewo, w stronę czerwonego samochodu otoczonego gliniarską świtą.

- Dobra - mruknął. - Idź i sam zobacz. Ale niczego nie dotykaj. Bo jeśli dotkniesz, zapewne obaj pożałujemy, że to zrobiłeś.

Osobiście żałowałem, że od początku nie odrzuciłem zaproszenia Coldwooda - ale też nie sformułował go w sposób dający mi taką możliwość. Ruszyłem w stronę samochodu, świadom faktu, że mój towarzysz podąża za mną, utrzymując dyskretny dystans. Basquiat nadal szarogęsiła się wśród mundurowych, kiedy jednak gliniarz obok niej zerknął w moją stronę, podążyła za jego spojrzeniem i nasze oczy się spotkały.

Machnęła ręką w stronę mundurowych w geście oznaczającym „cofnąć się”. Gdy skręciłem, obchodząc samochód z boku, wszyscy ustąpili mi z drogi. Dzięki temu bez przeszkód zobaczyłem zdumiewająco wielką plamę krwi, która wyciekła na jezdnię spod drzwi od strony kierowcy. Na plamie położono płachtę przezroczystej folii, o krawędziach starannie zamocowanych białą taśmą i opisanych ezoterycznymi symbolami. Nie magicznymi, wyjaśnię pośpiesznie: nie należały do leksykonu zaklęć ochronnych i powstrzymujących, które znałem aż za dobrze. To były symbole z zupełnie innych misteriów, oznaczające trajektorie, kąty, identyfikacje, wartości, znaczniki położenia ludzi i przedmiotów zabranych do badań w laboratorium kryminalistycznym. I przyznam, że w tym świecie nie czułem się najlepiej. Basquiat wskazała skinieniem głowy przednią szybę, ale stałem do niej pod kątem i, jakiegokolwiek objawienie się tam kryło, musiało poczekać jeszcze parę sekund. Zwolniłem kroku i spojrzałem przez boczne okno, zaskoczony potworną ilością krwi, która obryzgała całą tapicerkę, deskę rozdzielczą, kolumnę kierownicy. Z lusterka zwisały pluszowe kości, zakrwawione niczym trofea z walki byków. I faktycznie, jeśli w tym ciasnym wnętrzu małego samochodu ktoś walczył z bykiem, to mogło tłumaczyć ilość krwi.

Basquiat i harem konstabli wbijali we mnie wzrok, na większości twarzy dostrzegłem wyczekujące napięcie. Coldwood był gdzieś za mną, lecz coś mi mówiło, że też na mnie patrzy. Z możliwie największą nonszalancją postąpiłem ostatnie trzy kroki, które doprowadziły mnie na przód samochodu.

Jest coś w widoku własnego nazwiska zapisanego cudzą ręką, co pozwala rozpoznać je natychmiast, nawet w najosobliwszych okolicznościach. Te zaś według mnie zdecydowanie się do takich zaliczały. Po pierwsze, litery wypisano odwrotnie, od prawej do lewej: ale też wyjaśniał to fakt, że nakreślono je po wewnętrznej stronie przedniej szyby samochodu i zrobił to ktoś siedzący w fotelu kierowcy. Co jeszcze dziwniejsze, napisano je krwią. Po pierwsze, F: wielkie, rozłożyste, duże F, którego pionowa kreska przecinała całą szybę z góry na dół: zapewne świadczyło to o tym, jak obficie krwawił siedzący tam biedak. Rozmazany czerwony klin zakrywał resztę pierwszego słowa, oprócz krzywizny drugiej litery.

Jednakże „Castor”, napisane poniżej i nieco po prawej, pozostało całkiem czytelne, mimo problemów, z jakimi wyraźnie zmagał się autor, zwłaszcza z wyróżnieniem poziomej kreski w T i poszarpanym zakończeniu R. Zapewne na tym etapie zaczynało mu już brakować atramentu.

- Jezu! - rzuciłem. Czy raczej moje wargi uformowały to słowo. Nie sądzę, by uleciał z nich jakiegokolwiek dźwięk. Nagle w głowie pojawiły mi się wyjątkowo niestosowne słowa „lepiej użyj pióra, pomocniku Bobie”.

- Znasz kogoś o takim nazwisku? - spytał Coldwood, stając obok mnie.

- Jezu, Gary!

- Tak, wiem. Powinieneś oddychać głęboko i powoli. Jeśli mi tu zemdlejesz, zniszczysz sobie reputację.

Rozpaczliwie szukałem mentalnego punktu zaczepienia bądź klucza: czegoś, co nadałoby jakikolwiek sens tej potworności. Przez moment nie znajdowałem, ale potem nader istotny fakt rąbnął mnie w twarz niczym kawał surowej ryby.

- On nie umarł. Nie zginął.

- Nie. Jest w Royalu, na intensywnej terapii. Dają mu pięćdziesiąt procent szans na przeżycie.

Przywykłem do śmierci i oglądałem ją w stylu spopularyzowanym przez Judy Collins - z obu stron - może zatem zrobiłem się nieco zbyt nonszalancki. W tym momencie jednak mój żołądek kołysał się, zataczając powolne, mdlące łuki i miałem wrażenie, jakbym o parę stopni odchylił się od pionu.

- Jakim cudem nie zginął"? - spytałem z nadzieją, że mój głos wyda się niebieskim chłopcom spokojniejszy niż mnie samemu.

W odróżnieniu ode mnie Coldwood mówił spokojnym, rzeczowym tonem.

- O dziwo, nie stracił dość krwi. Nie uwierzyłbyś, jak był posiekany. Cała twarz. Gardło. Górna część tułowia. I obronne rany na rękach - pewnie dzięki temu zdołał zapisać twoje nazwisko. Ktoś poświęcił mu mnóstwo czasu, atakując pod najróżniejszymi kątami. Większość skaleczeń jest dość płytka, prócz jednego, przecinającego ramię i gardło. Jeśli umrze, to właśnie ono go zabije. Przecięło żyłę ramiennie-głowową. Stąd ten potop: ta arteria krwawi jak Niagara w odcieniu pocztowej czerwieni.

Gary uwielbia popisywać się znajomością anatomii, zdobytą podczas studiów z medycyny sądowej w Keighley College. Normalnie zareagowałbym cierpką uwagą na temat tego, czegoż to ludzie się uczą na tyłach sklepu monopolowego przy Fleet Street, chwilowo jednak źródło mojego złośliwego humoru najwyraźniej wyschło. Czy może skrzepło.

- Kto to był? - spytałem. - To znaczy, kto to jest?

- Miejscowy. Mieszkał tam, wszystko ma w papierach. - Coldwood wskazał na wschód, gdzie z horyzontu wyrastał jeden z najmniej kochanych widoków południowego Londynu: osiedle Salisbury.

Widziałem je parę razy już wcześniej, toteż wiedziałem, co to: kolejny przykład utopijnego planowania, który zatonął tuż po wodowaniu, przy pierwszym kontakcie ze światem rzeczywistym.

Dwanaście masywnych wieżowców ustawiono w formację trzy na cztery: wyglądały jak strażnicy stojący na baczność podczas apokaliptycznej defilady. Każdy z nich miał dwadzieścia pięter wysokości, a gdy się na nie patrzyło, pierwszym, co rzucało się w oczy, był fakt, że każdy z czterech rzędów pomalowano na inny kolor. Kiedy wzrok wędrował wzdłuż nich, pokonywał całą gamę odcieni - od pastelowego różu, poprzez kaczęncową żółć i trawiastą zieleń, aż po melancholijne indygo. Drugą charakterystyczną rzeczą były kładki łączące wieżowce w nieregularnych odstępach nad ziemią, spinające je w jedną całość: nadosiedle.

Niespecjalnie wierzę w przeczucia. Zazwyczaj podświadomość po prostu mówi nam to, co już wcześniej wiedzieliśmy, przedstawiając magiczne potwierdzenie uprzednio ukształtowanych uprzedzeń. Gdy tak jednak patrzyłem ponad dachami w stronę Salisbury, poczułem dziwne wrażenie w umyśle, muskające go niczym poruszana wiatrem pajęczyna. A zatem moje wcześniejsze odczucia nie pochodziły z samochodu, lecz z rozciągającego się za nim odległego widoku. W powietrzu dostrzegałem plamy czerni, niczym odcisk kciuka, przesłaniające widok na wieżowce. Nie był to dym, bo w nowoczesnym, postindustrialnym Londynie nic już nie dymi, lecz wyziew duchowy, niewyczuwalny dla wiatru, odporny na deszcz. To ślad pozostawiony przez wielki grzech bądź wielkie nieszczęście, czy też, co bardziej prawdopodobne, pomyślałem, odrywając wzrok od przypominających nagrobki wieżowców, zbiorczy ślad mniejszych nieszczęść i domowych tragedii, które zmieszały się i zaśmiardły.

- Nikogo tam nie znam - oznajmiłem.

W sumie głupio - stanowiło to instynktowną reakcję zdystansowania się od tego, co czułem - tego, co mój odbiornik odbierał na falach śmierci.

- Wydajesz się cholernie tego pewny. - Basquiat, jak na zamówienie, stanęła tuż za Coldwoodem. Zupełnie jakby cały czas czekała w zasięgu głosu, lecz poza moim polem widzenia.

- To znaczy - poprawiłem, z wysiłkiem odrywając wzrok od odległych, kanciastych sylwetek - nie mieszka tu nikt z moich przyjaciół. Nic mi nie wiadomo o tym, żebym znał kogokolwiek z osiedla Salisbury. A raczej bym nie zapomniał.

- Dlaczego? - spytała Basquiat, uprzejmie lecz z naciskiem.

- Bo słyszałem o tym miejscu. Na pewno bym zapamiętał. Zwłaszcza gdybym wpadł tu przed śniadaniem, by zadźgać jednego z jego mieszkańców.

- Ale on wyraźnie cię zapamiętał.

- Tak. - Mój wzrok z powrotem powędrował do „F Castor”, zapisanego dupą naprzód czerwonymi literami, powoli zaczynającymi czernieć przy brzegach. - Najwyraźniej.

- No to opowiedz mi, co robiłeś zeszłej nocy - zaproponowała Basquiat.

Stojący obok niej mundurowy otworzył kołonotatnik i uniósł w gotowości długopis. Oczy w pozbawionej makijażu twarzy Basquiat o pięknych proporcjach patrzyły na mnie wyczekująco.

- Powiedziałem już Coldwoodowi - przypomniałem.

- Jasne. A teraz powiesz mnie.

Lepiej od razu nakreślić granice i dowiedzieć się, na czym stoję.

- Jeśli jestem aresztowany - rzekłem - to babcia Castor przewróciłaby się w grobie, gdybym powiedział cokolwiek bez porady adwokata.

- Nie jesteś aresztowany - wtrącił Coldwood, nadal zapatrzonego w horyzont i odwróconego plecami do koleżanki, jakby sam jej widok sprawiał mu ból. Na komisariacie przy Uxbridge Road krążą legendy o ich konflikcie. - Spytaj mnie dlaczego.

- Coldwood... - zaczęła ostrzegawczo Basquiat.

- Dlaczego nie zostałem aresztowany, detektywie sierżancie Coldwood?

- Ponieważ w samochodzie znaleziono trzy zestawy odcisków: ofiary oraz dwa inne, należące do pana I.N. Nego i jego kolegi Nikogo. Mamy też brzytwę, którą w różnych chwilach trzymała w łapach cała trójka. I żaden z nich nie jest tobą. Nie mamy dowodów, a w londyńskiej książce telefonicznej jest siedemnastu innych Castorów oraz pięciu o numerach zastrzeżonych. Gdybyśmy aresztowali cię za to, że jesteś jedynym Castorem, jakiego znamy osobiście, wyglądałoby to dość niezręcznie w sądzie.

- Dzięki - rzuciła Basquiat. Jej głos nie zdradzał niczego.

- Bardzo proszę - odparł Coldwood. Nadal się nie oglądał.

Basquiat spojrzała na mnie, zaciskając wargi.

- Mówiłeś, że nie znasz tego człowieka - przypomniała.

- Zgadza się.

- Ale jeśli ci podam jego nazwisko, może się nad tym zastanowisz.

Skinąłem głową. W gardle wciąż czułem suchość, a żołądek jeszcze nie zdecydował się uspokoić. Nie byłem w nastroju do uników, nawet gdyby miały zadziałać na moją korzyść.

- Jasne.

- Kenneth Seddon.

Mój żołądek sam podjął decyzję. Z trudem przełknąłem kwaśną zólc.

- Och - mruknąłem tak słabo, że Coldwood obrócił się, by na mnie spojrzeć. Basquiat także patrzyła, jej oczy zwęziły się w nieco nieprzystojnym wyczekiwaniu.

- Brzmi znajomo - zauważyła. To nie było pytanie.

- Tak - przyznałem.

- A zatem go znasz?

- Znałem - uściśliłem. - Kiedyś. Dawno temu. Przed wieloma laty.

- Jaki był charakter waszych kontaktów...?

Pierdolić to. Oszczędź sobie podstępów i zachowaj je dla czegoś, co masz jakąkolwiek szansę ukryć.

- Kiedyś próbował mnie zabić - oznajmiłem. - Ale schrzanił sprawę.

3

Kenny Seddon to nazwisko z innego życia - i jego wspomnienie, uderzające z niespodziewanej strony, nie pasowało do mego świata, zupełnie jak kiepski efekt specjalny w tanim starym filmie. Najazd na moją twarz, płynna zmiana kadru.

Obecnie, jak już pewnie wiecie, mieszkam w Londynie: trafiłem tu, kiedy znudziły mi się przeprowadzki, i miasto nawet mi pasuje. Ale urodziłem się w Liverpoolu i mieszkałem tam do skończenia osiemnastu lat, a większość mojego dzieciństwa i okres dojrzewania przypadają na czarną dziurę w czasie, przestrzeni i zdrowym rozsądku, znaną jako lata osiemdziesiąte.

Dorastałem w mieście toczonym przez dwa różne rodzaje rozkładu.

Pierwszy był historyczny - wywodzący się z czasów drugiej wojny światowej - i nie ograniczał się wyłącznie do Liverpoolu czy do północnego zachodu. Ostatecznie Luftwaffe nie uwzięła się na nas ani trochę bardziej niż na resztę kraju. Po prostu większość owej reszty zdobyła jakoś pieniądze, by naprawić chociaż część szkód: jakieś tajemnicze połączenie niekompetencji lokalnych władz i bezczelnej młodzieńczej korupcji sprawiło, że Liverpoolowi nigdy się to nie udało.

W erze punku wojna była odległa o ponad trzydzieści lat, lecz na połowie znanych mi ulic, pośród szeregowych domów ziały szczyrby w miejscach, gdzie trafiły bomby - a ziemię pod skłębionymi chaszczami i cieniutką warstwą gleby pokrywała gruba warstwa strzaskanych cegieł i dachówek. Mieliśmy własne słowo na określenie owych miejsc: nazywaliśmy je *débris*, wymawiane *deb-rii*. Pływaliśmy w stawach w Trójkącie Walton, niebędących w istocie stawami, lecz lejami po bombach. A pewnego pamiętnego dnia, gdy miałem siedem lat, całe Breeze Hill opróżniono z ludzi i zamknięto, bo znaleziono tam nietypowy obiekt, który przedstawiciel rady miejskiej uznał za niewybuch. Okazało się, że to zagraniczny bojler, ale nigdy przecież nie wiadomo.

Drugi typ rozkładu był inny, ten bowiem poruszał się, narastał i zmieniał oblicze. Była to choroba, na którą zapadliśmy wszyscy, choć sami o tym nie wiedzieliśmy - powolny, nieubłagany upadek dobrobytu jako portu i ośrodka przemysłowego. Zamykano kolejne fabryki i stocznie, i kolejne rodziny lądowały na bruku czy też, co częstsze, znikaly bez słowa

wyjaśnienia. Wszystko to zamieniło życie mego ojca, podobnie jak większości znanych mu mężczyzn, w skomplikowaną, abstrakcyjną, strategiczną grę, której celem było znalezienie miejsca gotowego zapłacić dzienną stawkę za dzienną pracę, nim znajdzie je inny sukinsyn i zajmie pierwszy.

W dzieciństwie uważaliśmy obie te rzeczy - zniszczenia wojenne i upadek gospodarczy - za czyste błogosławieństwo. Gruzowiska po bombach i zamknięte fabryki stanowiły nasze place zabaw: miejsca porzucone przez świat dorosłych, w które nikt już nie zagląda i możemy zaanektować je dla siebie. Najlepszy przykład stanowi pole mojej bitwy z Kennym Seddonem - a także broń, z której korzystaliśmy w naszym pojedynku na śmierć i życie. Jednakże powody, dla których staliśmy się zawziętymi wrogami, były inne. Wywodziły się ze mnie, z trzeciego rodzaju rozkładu, dotyczącego wyłącznie mojej osoby.

Odkąd sięgam pamięcią, żyłem w mieście zamieszkanym zarówno przez żywych, jak i przez umarłych. Obie społeczności istniały obok siebie i z początku nie bardzo potrafiłem je rozróżniać. Jasne, niektórzy ludzie umieli przechodzić przez ściany, a inni nie, ale w dzieciństwie natrafiamy na mnóstwo podobnych zjawisk: aspektów doświadczenia, których nie rozumiemy, i nie możemy prosić o wyjaśnienie dorosłych.

Z drugiej strony byli też ludzie, którzy poruszali się tak jak ja i inni, z niewyjaśnionych przyczyn uwiązani w jednym miejscu. Niektórzy się starzeli, inni w ogóle się nie zmieniali: lecz ci tkwiący w miejscu i niezmienni często nosili na sobie straszliwe ślady przemocy bądź choroby, tak że czasem trudno było na nich patrzeć. Dziwne. Bardzo, bardzo dziwne. Stopniowo podążając za tymi wskazówkami, dotarłem do wielkiej, zaskakującej prawdy: że słowo śmierć wymawiane przy nas, dzieciach, szeptem i ociekające ostatecznością nie oznacza wcale końca, lecz przejście. Kiedy człowiek umiera, rozstaje się ze znanymi dotąd ludźmi i zmienia swój stan: teraz może patrzeć, ale nie dotykać, a jego wygląd pozostaje taki jak w chwili śmierci, zupełnie jakby stał się ruchomą, lecz niezmienną fotografią tego, czym był przedtem.

Uświadomiłem sobie także, że to coś, o czym większość ludzi nie ma pojęcia, czego nie widzi. W swej zasmarkanej naiwności próbowałem uzupełnić ich wiedzę, okazało się to jednak trudniejsze, niż przypuszczałem. Mnóstwo ostrych słów i parę pacnięć w głowę nauczyło mnie, że nikt nie chce, by dzieciak o poobijanych kolanach i szyi okolonej kołnierzem brudu wyjaśniał mu tajemnice wszechświata.

Nikt nigdy nie wymyślił słowa, które określałoby naszą naturę - ludzi wrażliwych, o oczach przywykłych do ciemności, z wbudowanym zmysłem śmierci. Później, z powodu tego co robiliśmy, nazwano nas egzorcydami, lecz w owych czasach ta gra jeszcze się nie

rozpoczęła i nikt nie przewidywał jej nadejścia. Co do pozostałych rzeczy - zombie, łaków, demonów - dzieliło nas od nich ponad dwadzieścia lat. Byliśmy bandą Janów Chrzycieli, którzy trafili na imprezę, nim jeszcze rozwieszono serpentyny i balony.

Jeśli zatem mieliście w głowie dość rozumu, uczyliście się o tym nie mówić. To strategia, która na krótką metę oszczędzała znacznego bólu.

Wielka szkoda zatem, że nie ugryzłem się w język i powiedziałem to, co powiedziałem do Kenny'ego Seddona - ostatniej osoby na świecie, która przyjęłaby to lekko.

Kenny był jednym z owych przerażających psychopatów, z którymi w dzieciństwie musimy jakoś sobie radzić. Kiedy miał osiem lat, umarła mu mama - moja mama i tato, gdy o tym rozmawiali, mówili, że na „wielkiego R” - i reszta dzieciństwa upłynęła mu zgodnie ze znanym wzorcem. Ojciec pracował w Metal Box, potem u Dunlopa, potem w Mother's Pride, cały czas ledwie wyprzedzając falę upadku przemysłowego i wszędzie uganiając się za robotą. Trzech synów przekazał swej mocno podstarzałej matce. Miała się nimi zajmować podczas jego nieobecności, była jednak za stara, a oni zbyt dzicy, toteż robili co chcieli, a babcia kłamała, by chronić im tyłki. Z trójki twardzieli Kenny był najtwardszy - wedle ścisłej chronologii zaledwie dwa lata starszy ode mnie, ale należał do typu, który z niemowlęctwa przeskakuje wprost w okres dojrzewania. Wysoki, muskularny i nieustępliwy, wdawał się w bójki, pozostawiające na chodniku ślady krwi, w czasie, gdy jego rówieśnicy nadal dokonywali trudnego awansu do sznurowanych butów.

Był osiłkiem i satrapą, bezlitosnym i całkowicie nieprzewidywalnym i wiele razy ubarwił mi życie strachem i bólem. Na miejskich pustkowiach, przez które przemykaliśmy niczym rój umorusanej szarańczy, Kenny był ruchomą katastrofą, z którą żaden z nas nie umiał sobie radzić. Pewnego razu postanowił zapisać swe nazwisko na wszystkich młodszych dzieciakach z ulicy - miało to stanowić dosłowny dowód jego władzy nad nami. Kanciaste litery na moim ramieniu zamieniły się wkrótce w archipelag sińców i przetrwały jeszcze dobre kilka dni po tym, jak atrament zniknął.

Innego razu zepchnął mnie z jabłoni, z której obaj kradliśmy jabłka, w otoczonym wysokim murem jabłoniowym sadzie za szpitalem w Walton. Byliśmy jakieś sześć metrów nad ziemią i gdybym zleciał na ziemię, złamałbym sobie nogę, a może i kręgosłup. Tak się złożyło, że metr czy półtora niżej rąbnąłem o kolejną gałąź i zdołałem się jej chwycić. Kenny ryknął śmiechem: widok mojej osoby wiszącej nad pustką, z nogami dyndającymi w powietrzu, wydał mu się niezwykle zabawną scenką slapstikową. Kiedy mój brat Matt zsunął się z drzewa, by mnie uratować, Kenny zaczął bombardować go jabłkami i przeklinać, grożąc, że jego także zepchnie z drzewa, jeśli nie zostawi mnie w spokoju i nie zaczeka, aż sam

wgramolę się na konar. Matt nie zwracał na niego uwagi i wciągnął mnie bezpiecznie na górę, cały czas pod gradem kwaśnych papierówek.

Nic z tego nie było jednak osobiste - Kenny terroryzował wszystkich z jednakim entuzjazmem, łącznie ze swymi dwoma młodszymi braćmi Ronniem i Stevenem. Raz, podczas gry w uliczną piłkę, rzucił się na Ronniego i złamał mu nogę, a potem zmusił, by powiedział ojcu, że spadł z muru.

Najdziwniejsze we wszystkich tych incydentach było to, że nie czyniły specjalnej różnicy w naszych codziennych zwyczajach i praktykach. Wszystkie dzieciaki z Arthur Street i sąsiedniej Florence Road robiły wszystko razem. Nieważne, czy zajmowaliśmy ulicę, zamieniając ją w boisko rozgrywek „kopnij puszkę”, kradliśmy z działek w parku Walton Hall czy też dokonywaliśmy jednego z częstych najazdów na dzieciaki ze szkoły podstawowej w Bootle - działaliśmy *en masse*. I wtedy Kenny był naszym własnym psychopata, bardzo cenionym za umiejętność radzenia sobie w bójce, a także jednym z nielicznej garstki chłopaków, którzy mogli decydować, co zrobimy dalej, i przekonać nas do tego.

Pewnego chłodnego dnia w tygodniu zielonoświątkowym, w roku, w którym skończyłem trzynaście lat, ogłosił wyprawę do Siedmiu Sióstr, stawów pozostałych w miejscach, w których czterdzieści lat wcześniej na linię kolejową spadły bomby. Było jeszcze za wcześnie na pływanie - nawet w szczycie lata woda w Siostrach pozostawała lodowato zimna - mogliśmy jednak zbierać kijanki, łowić cierniki, taplać się na skraju wody i udawać, że się do niej wpychamy, przeszukiwać okoliczne chaszczki i trawy w poszukiwaniu metalowych nakrętek, które można wystrzeliwać z procy i przeprowadzać wielkie, kiepsko zaplanowane, udawane bitwy wśród sitowia i cuchnących kałuż. Gwarantowana rozrywka, zwłaszcza w święto bankowe, kiedy zamykano sklepy i nie mieliśmy nic innego do roboty, toteż wszyscy chętnie się zgodziliśmy.

A jeśli owo „wszyscy” sugeruje ciepło i wspólnotę, to lepiej to wykreślić i zastąpić czymś innym. Istniało wiele powodów, dla których można było wylecieć z naszej grupy. Cały gang, gdyby ktoś zdołał zagonić nas w jedno miejsce i zatrzymać dość długo, by przeliczyć, zapewne liczył sobie około pięćdziesięciu osób w wieku od ośmiu do piętnastu lat. Rozrzut wiekowy wyglądał tak, jak można by oczekiwać. Bardzo niewiele najmłodszych dzieciaków miało dość siły i wytrzymałości, by móc uczestniczyć w co bardziej szaleńczych zabawach, a wielu piętnastolatków odkryło inne, bardziej zajmujące rozrywki, toteż największą podgrupę stanowili ci średni.

Co do płci, stosowaliśmy zasadę chuligańskiego równouprawnienia. Co twardsze dziewczyny biegały wraz z nami i robiły to co my, bez pytań i problemów. Reszta zostawała na Arthur Street, nieopodal domowych ognisk i za pomocą miniaturowych odkurzaczy i plastikowych kuchenek przygotowywała się do ról wyznaczonych im przez społeczeństwo.

Anita Yeats była jedną z tych, które łączyły z nami, choć jako rówieśniczka Kenny'ego i mojego brata Matta zbliżała się do górnej granicy wiekowej. Po jej osiągnięciu, większości z dziewczyn nie pozwalaliśmy już kręcić się przy nas, a zresztą same też nie chciały. Miały inne, lepsze zajęcia, a poza tym w grę zaczynały także wchodzić zakazy rodzicielskie, zmuszające je do porzucenia dzieciennych igraszek. Ciało Anity podlegało już owej przerażającej i fascynującej przemianie: zaczęła nabierać dorosłych kształtów, z chudej sarenki zmieniała się w rozkwitającą z rynsztoku różę. Zatem dla Anity, i pewnie też dla Kenny'ego i Matta, miał to być ostatni rok zabaw z naszą paczką. Może to zaogniło sytuację, sam nie wiem. Może był to jeden z pośrednich powodów, dla których Kenny wdał się w kłótnię z Anitą. A możliwe, że stanowiła ona efekt uboczny szerszego sporu między dwiema rodzinami, z rodzaju tych, które zawsze wybuchały, gdy syn czyjegoś wujka wybrał się do baru i nie postawił kolejki psu czyjegoś kuzyna. Lecz główny powód stanowił fakt, że Kenny węszył wokół Anity w dość oczywisty sposób, odkąd wkroczył w wiek dojrzewania. Ona jednak nigdy nie okazywała mu nawet cienia zainteresowania. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy jego podniecenie w końcu przerodzi się w agresję.

I najwyraźniej ów dzień nastał w tamten zielonoświątkowy poranek. Kenny dopadł Anitę, gdy tylko dotarliśmy do Trójkąta od strony Breeze Hill - jednego z miejsc, gdzie bezładne połączenie stykały się ze światem rzeczywistym.

- Wypierdalaj do domu - rzucił szorstko. - Nie chcemy cię tu, Yeats.

- Czemu nie? - spytała rozsądnie Anita.

W grupie były też inne dziewczyny, więc argument „bo jesteś babą” nie tylko brzmiałby kulawo i niemęsko, ale też zupełnie by się nie sprawdził. Musiał to być też powód nieobejmujący młodszego brata Anity, Richarda, zwanego powszechnie Dickiem Kutagębą, i także należącego do bandy.

- Jesteś za wolna - warknął Kenny. - Cały czas będziemy na ciebie czekać. Zjeżdżaj do domu.

- Dogonię was.

- Nigdy nie doganiasz. I kłócisz się, którądy iść. Będziemy musieli cały cholerny czas słuchać tego. - Poruszył kciukiem i palcami, naśladując rozgadane usta.

- Nie odezwę się.

- A poza tym twoja mama to puszczałka i możesz nas czymś zarazić.

Anita oblała się czerwienią wozu strażackiego. Tak wówczas, jak i teraz, wciągnięcie czyjejś matki do kłótni stanowiło bezpośrednie przejście na Delcon 1: Nieznośne Szyderstwo wymagające Błyskotliwie Ciętej Riposty. Kutagęba nie podnosił głowy - swój pogardliwy przydomek zdobył dzięki gotowości robienia wszystkiego, byle tylko wkraść się w łaski starszych dzieciaków. Lecz Anitę zrobiono z twardszego i barwniejszego materiału.

Przygadywanie jej nie było bezpieczne i nikt prócz Kenny'ego raczej nie wpadłby na ten pomysł.

- Pierdol się, Kenny! - krzyknęła, zaciskając pięści. - Ty wypierdku!

Kenny spoliczkował ją otwartą dłonią tak mocno, że się zachwiała.

- Twoja matka to puszczałka - powtórzył. - Daje Georgiemu Lundowi.

Anita krzyknęła i rzuciła się na niego, lecz Kenny był od niej wyższy o głowę i odepchnął ją brutalnie.

- Więc ty pewnie też się puszczasz - rzekł. - To rodzinne. Komu dajesz, Anita?

Z jakichś powodów incydent ten głęboko mną wstrząsnął. Widywałem wcześniej chłopaków bijących się z dziewczynami: w naszym brutalnym, podwórkowym kodeksie etyki nie mieściło się pojęcie rycerskości, a dziewczyny walczące na serio potrafiły niezłe przywalić. Ale ta kłótnia była wyraźnie zaplanowana z zimną krwią i w tak oczywisty sposób nieuczciwa - Kenny doprowadził do niej, mszcząc się za godziny spędzone na samotnym waleniu konia - że zawrzała mi od tego krew. I nie tylko mnie. Zobaczyłem, jak Matt, mój starszy brat, pochyla się, jakby zamierzał stanąć między Anitą i Kennym i w jej imieniu podjąć wyzwanie. Mój instynkt przetrwania - podobnie jak u Kutagęby - był nieco lepiej rozwinięty: Kenny miał nad nami podobną przewagę wzrostu jak nad Anitą i, jak się przekonaliśmy przy wielu okazjach, nie uznawał granicy między tym co uczciwe i nie do pomyślenia.

Ale zrobiłem co mogłem. Odpowiedziałem na szyderstwo.

- A twoja mama się zabiła, Kenny! - zawołałem. - Nie umarła na raka, to pierdoły i tyle. Poderżnęła sobie gardło brzytwą twojego taty.

Istnieją chwile w życiu, kiedy wiemy, że posunęliśmy się za daleko: można je rozpoznać po niesamowitej ciszy, która zapada wokół nas. W rzeczywistości trwa zaledwie pół sekundy, lecz wedle czasu subiektywnego dość długo, byśmy zdążyli pomyśleć:

„O Jezu, żałuję, że to zrobiłem” i zacząć odmawiać „Ojcze nasz”. Kenny obrócił się, patrząc na mnie. Wybałuszył oczy w kreskówkowym, zwolnionym tempie. Otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Wszyscy pozostali,

łącznie z Anitą i Mattem, obserwowali go z napięciem i ciekawością, wstrzymując oddech. Wiedzieli, że będzie źle.

A przecież tak łatwo przyszło mi to powiedzieć. Do tego czasu potrafiłem już całkiem nieźle rozróżniać żywych od umiłowanych zmarłych, a duch pani Seddon miał potężną dziurę w gardle oraz plamę zaschniętej krwi na wyblakłej, kwiecistej sukience. Fakty mówiły same za siebie. Tak wiele razy widywałem ją wyglądającą z okna domu Kenny'ego, że straciłem rachubę, a przy paru okazjach kręciła się wokół samego Kenny'ego, patrząc z bolesną, oszołomioną tęsknotą na zbłąkanego syna, którego pozostawiła na tym świecie wraz z umęczonym ciałem. Co do brzytwy, tylko zgadywałem. Zresztą, czymkolwiek się zabiła, musiało być wyjątkowo skuteczne: z pewnością nie był to nóż kuchenny, chyba że Seddonowie ostrzyli je znacznie częściej niż my.

Dorzuciłem zatem brzytwę, by ubarwić moje słowa i zwiększyć ogólny efekt. I pod tym względem odniosłem oszałamiający sukces. Wielkie pięści Kenny'ego uniosły się przed moimi oczami niczym para połówek cegły, na których mistrz kung-fu demonstrował czystość swego ciosu. Potem jedna z nich się poruszyła i po sekundzie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki leżałem na plecach, nie pojmując, jak się tam znalazłem. Lewa strona ust nieprzyjemnie mrowiła, na twarzy czułem coś mokrego.

- Ty mały skurwielu - rzucił Kenny i ruszył naprzód, by zadać nieunikniony cios numer dwa, najpewniej kopniaka w nieosłoniętą część mojego ciała.

Matt także wystąpił naprzód i rąbnął Kenny'ego z boku w twarz tak mocno, że tamten na moment zachwiał się na nogach. Chwilę później zmagali się ze sobą niczym zawodowi zapaśnicy.

Walka Kenny kontra Matt nie wyglądała tak śmiesznie jak Kenny kontra ja. Matt co prawda nie dorównywał mu wzrostem ani wagą, a ponieważ śpiewał w kościelnym chórze u Świętej Marii, powszechnie uważano go za mięczaka. Wiedziałem jednak z niezliczonych braterskich potyczek, że jest silniejszy niż się zdaje i bardzo szybki. Nic z tego jednak nie powinno zmienić z góry przesądzonego wyniku bójki: powszechnie uważano, że kiedy Kenny się rozkręci, nikt nie da mu rady, tak jak nikt nie zdoła powstrzymać rozpedzonej ciężarówki, stając jej na drodze.

Matt jednak nieźle sobie radził - w ciągu owych pierwszych, szaleńczych sekund, wyglądało na to, że odpłaca pięknym za nadobne. Zdołał wbić kciuk w oczodół Kenny'ego i odepchnąć mu głowę tak, że Kenny nie mógł walnąć go z byka. A kiedy nadarzyła się okazja, trafił go pięścią w brzuch. Kenny odpłacił, waląc go w szczękę - był to solidny, dobrze wyważony cios, od którego głowa Matta odskoczyła i poleciała w przód, jak u jednego z

piesków, które frajerzy stawiają za szybą w swoich samochodach, tych o wielkich łbach na sprężynach. Matt jednak pilnował, by się nie odsonić, i blokował potężne, niskie ciosy i kopniaki w krocze, które natychmiast zakończyłyby walkę.

Potem, przez kilka chwil, obaj zwarli się tak ciasno, że w ogóle nie mogli kopać ani bić: jedynie kołysali się w przód i w tył, próbując uzyskać przewagę. Paru chłopaków z naszej grupy - brat Kenny'ego Steven, będący w moim wieku, i jego najlepszy kumpel Davey Barlow, rudy, barczysty i niemal dorównujący Kenny'emu w psychopatii - patrzyło z powątpiewaniem i wahaniem, jakby się zastanawiali, czy powinni interweniować. Protokoły rządzące podobnymi bójkami były dość skomplikowane. Gdyby Kenny ich zaprosił, mogli dołączyć i skopać Matta bez plamy na honorze; lecz bez jego słowa zachęty zawsze istniała szansa, że ktoś mógłby zacząć gadać, że Kenny sam nie potrafił wygrać. Tak czy inaczej, spałem się, by skoczyć Mattowi na pomoc, gdyby tamci postanowili wspomóc Kenny'ego.

A potem Kenny oderwał się od przeciwnika, wymierzył kolejny potężny prosty w twarz Matta i odskoczył, nie wykorzystując przewagi. Obaj stali zdyszani i potargani, Matt miał rozkrwawiony nos, Kenny rozciętą wargę.

Bójka nie mogła zakończyć się bez rozstrzygnięcia. Nie pozwalał na to status Kenny'ego w naszej grupie, choć przecież nie był on do końca określony. Spodziewałem się, że znów ruszy naprzód i dokończy to co zaczął - potem, kiedy się zawahał, uznałem, że przekaże pałeczkę swoim braciom, Daveyowi i każdemu, kto chciałby choćby na krótko wkraść się w jego wątpliwe łaski.

On jednak nie opuścił głowy i nie zaatakował, nie krzyknął też: „Rozwalcie go!”. Po prostu stał tam sekundę bądź dwie, kołyszając się na piętach i dysząc jak para miechów. A potem do gry włączył się los w postaci policjanta, zmierzającego ku nam zwirowym brzegiem i wykrzykującego słowa wyzwania, których z tej odległości nie słyszeliśmy. Biorąc pod uwagę, jak szybko wszystko się działo, z pewnością nie ściągnął go czyniony przez nas hałas. Musiał zobaczyć, jak zbiegamy z ulicy, i rozważywszy wszystkie za i przeciw, uznać, że kombinujemy coś niedobrego. Tereny kolejowe należały do rady miejskiej i nie mieliśmy tam prawa wstępu. Stanowiło to dostateczny powód, by nas przegonić.

Rozbiegliśmy się. Zawsze to robiliśmy, kiedy byliśmy w grupie mieszanej wiekowo: paru starszych chłopaków mogło samotnie postawić się glinie, a potem zwać, gdy zaczynał ich ścigać. Niestety, obecność młodszych dzieciaków gwarantowała, że ktoś zostanie złapany i ukarany. Nasza banda zatem eksplodowała na wszystkie strony, niczym bomba odłamkowa, w nadziei że mnogość celów spowolni niebieskiego na wystarczająco długo, żebyśmy wszyscy zdążyli zwać.

Matt popędził przez tory w stronę granicy parku Walton Hall, Anita niemal dotrzymywała mu kroku. Ja wraz z kilkoma mniejszymi dziećmi wycofałem się przez tunel prowadzący na następną kolejową przesiekę, ćwierć mili dalej wzdłuż torów, za Bedford Road. Nie widziałem, dokąd umknął Kenny ze swymi przydupasami.

Ostatecznie zatem bójka pozostała nierozstrzygnięta, czy nam się to podobało, czy nie - dla większości bandy odpowiedź brzmiała „nie”, bo nierozstrzygnięta bójka pozostawiała w powietrzu napięcie, coś jak jeżące się włosy na głowie, zwiastun błyskawicy. Lepiej załatwić to jak należy, pozbierać wybite zęby i przejść do następnego punktu programu.

Lecz z jakiegoś powodu nie tak się to potoczyło. Wszyscy oczekiwali, że Kenny skorzysta z pierwszej sposobności, by dokończyć walkę. Zamiast tego dał sobie spokój i przy następnych kilku zbiorowych spotkaniach udawał całkiem zgrabnie, że zapomniał o wszystkim.

Zastanawiałem się dlaczego. Miałem ochotę spytać Matta, lecz w owym czasie obaj coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie. Wciąż opiekował się mną na ulicy, w domu także, bo na tym etapie byliśmy kolejną niepełną rodziną (w tym roku nasza mama odeszła z domu po małżeńskiej awanturze, której nigdy nie wyjaśniono mi w pełni, bo byłem zbyt młody). Niestety, gotowanie fasolki i kielbasek z puszki i pilnowanie, by nikt nie rozwalil mi głowy, wyczerpywało zaangażowanie Matta: nie miał mi już nic do powiedzenia, a ponieważ tato zawsze był raczej zamknięty w sobie, w domostwie Castorów panowała cisza już nie tylko głucha, ale i ślepa.

Musiałem zatem wyciągnąć własne wnioski co do wydarzeń w Trójkacie i moje myśli powróciły do owych dwóch sekund, gdy Kenny zawahał się po uwolnieniu się z uchwytu Matta. I, choć to niewiarygodne, przyszło mi do głowy, że być może się przestraszył. Mojego brata. Matt bowiem przyjmował wszystko, czym Kenny mógł go poczęstować, i nie ustępował. Może Kenny nie był pewien, czy jeśli podejmie walkę, zdoła zwyciężyć. I może ta niepewność powstrzymała go przed oczywistym rozwiązaniem: ogłoszeniem ogólnej fatwy na Matta. Robiło się to ze słabymi dziećmi, gdy nikt nie mógł podejrzewać, że stawką jest nasz własny status przywódcy. Jeśli natomiast potraktowało się tak potencjalnego rywala, ludzie zauważali. Kenny był przebiegłym małym draniem i już w wieku piętnastu lat wiedział to, czego Hitler, Napoleon i Hun Attyla nauczyli się po szkodziu: że pozory siły to siła.

I z tych samych powodów ludzie zauważyliby, gdyby Kenny skupił się na mnie. To Matt był jego rówieśnikiem, toteż stanowił odpowiedni cel. Mnie chroniła osobliwa, niewypowiedziana ewangelia ulicy, w owych czasach rządząca naszymi żywotami i duszami.

Wiedziałem jednak, że to wyłącznie kwestia czasu, i po tym, jak Kenny na mnie patrzył, orientowałem się, że nie zapomniał mojej uwagi o samobójstwie matki. Przemówiłem o śmierci do króla i w taki czy inny sposób dopilnuje, bym za to zapłacił.

Sposobność przydarzyła mu się wcześniej, niż ktokolwiek z nas podejrzewał. Tego lata Matt natychmiast po egzaminach semestralnych rzucił szkołę i przeniósł się do katolickiego seminarium Świętego Józefa w Upholland, osiem mil od Walton. Nieczęsto zdarzało się, by Święty Józio przyjął do siebie szesnastolatka, lecz kierujący nim jezuita zauważył Matta podczas poszukiwań talentów w parafiach w okręgu wytyczonym przez Queens Drive i mój brat wywarł na nim wielkie wrażenie. Gość poinformował naszego tatę, że jest gotów nagiąć przepisy i przyjąć Matta od razu. Będzie mógł zdać końcowe egzaminy i natychmiast przyjąć święcenia, zamiast najpierw kończyć naukę w kościelnym liceum. Matt musiał zamieszkać w kolegium, a choć mógł widywać rodzinę w weekendy, nas nie zachęcano do składania mu wizyt i rozpraszania go.

Tato nie był zachwycony - miał konkretne plany dotyczące przyszłości Matta, wiążące się ze zdobyciem pracy i opłatą za utrzymanie. Był jednak dobrym katolikiem i wiedział, że nie warto zadzierać z papieżem i jego ekipą opryszków. Kupił Mattowi używaną walizkę i mój brat wyjechał, nie oglądając się za siebie. Z tego co pamiętam, nawet się nie pożegnaliśmy.

Ale przynajmniej zrozumiałem, skąd Matt wziął jaja, potrzebne, by skutecznie walczyć z Kennym Seddonem. Miał po swej stronie Boga.

Teraz zatem nie pozostał nikt, kto mógłby mnie chronić, i wedle waltońskiej etykiety nie istniał żaden konkretny powód, dla którego Kenny nie mógłby pobić mnie na miazgę. Zwlekał jednak dobre trzy dni po wyjeździe Matta, czekając na idealne miejsce i czas.

Miejscem okazał się dach fabryki Metal Box - Blacharni. Tego lata było to ulubione miejsce naszej bandy, bo właściciele w końcu zrezygnowali z utrzymywania jakiegokolwiek ochrony opuszczonego obiektu. Wytyczyliśmy sobie drogę, wykopując jeden ze słupów ogrodzenia na tyłach i zrywając płachtę dykty blokującą drzwi z tabliczką „Tylko dla personelu”.

Przy wyłączonym prądzie i zabitych deskami oknach wewnątrz fabryki zamieniło się w trójwymiarowy labirynt nieprzeniknionej ciemności. Przynosiliśmy zatem latarki i trzymaliśmy się razem, bo kiedy zostawałeś sam w ciemności, miałeś przerąbane. Wcześniejsze wyprawy wytyczyły szlaki, ale można je było znaleźć wyłącznie przy świetle latarki. Krążyliśmy po przestronnych halach produkcyjnych i milczących korytarzach, wspinaliśmy się na dźwięczące echami schody, niczym alpiniści podbijający zadaszoną

Annapurnę, i w końcu wydostawaliśmy się na światło dzienne przez dziurę w dachu, pod którą ktoś ustawił rozklekotaną składaną drabinę, wywleczoną Bóg jeden wie skąd.

Z dachu - ponieważ całe Walton zbudowano na zboczu wzgórza, a my znajdowaliśmy się niedaleko jego szczytu - widać było rozciągające się w dole miasto. Można było także huścić się na maszcie nad dwudziestopięciometrową przepaścią i zbierać skrawki metalu, które z niewiadomych przyczyn wały się wszędzie wokół, niczym zapomniany skarb. Były to fragmenty pozostałe po wciśnięciu stalowych blach w formy i miały najróżniejsze, intrygujące kształty - niektóre przypominały drukowane duże litery E, inne trójkąty (zawsze z prawym kątem prostym), bądź romby o jednym ściętym wierzchołku. Wszystkie miały około dwóch milimetrów grubości i były bardzo cenione z powodu swej śmiertelnej ostrości, a także podobieństwa do szurikenów, które oglądaliśmy w „Wejściu smoka” - albo przynajmniej o nich słyszeliśmy.

Pośród zwykłych przepychanek rozproszyliśmy się po dachu, szukając nieznanych dotąd kształtów i rozmiarów ścinków. Davey pchnął Stevena Seddona, udając, że chce go zepchnąć z wysokiego na ćwierć metra gzymsu na ulicę w dole. Steven poszedł poskarżyć się Kenny'emu, który skopał mu dupę za mazgajstwo. John Lund, jeden z miliona moich kuzynów, usadowił się nad dziurą w dachu, by móc pluć na spóźnialskich, wspinających się po drabinie. Peter Gore usiłował zorganizować zabawę w „nie dotykać ziemi” i natychmiast potknął się na fackie, że wszyscy znaleźliśmy się wysoko nad ziemią. Próbował ustalić nowe zasady działające w tej nietypowej sytuacji, ale go zakrzyczano.

A drugi brat Kenny'ego, Ronnie, zaczął opowiadać historię Ducha z Blacharni.

- To był nocny strażnik, wiecie. Paru chłopaków włamało się i strażnik ich pogonił. Ale oni wrzucili go do jednej z maszyn i ta go zgmiotła i poszarpała. I dlatego wciąż tu jest. Na dachu. Jeśli spojrzycie w kałużę, czasem możecie zobaczyć jego odbicie, a wtedy z pewnością umrzecie. Każdy, kto go widzi, umiera, nim zdąży zejść na ziemię.

Część młodszych dzieciaków starała się unikać wzrokiem kałuż, tak by nie rzucało się to w oczy. Jeden z nich beknął do starszej siostry, że chce wracać do domu, i został zignorowany.

- A co się stało z chłopakami? - spytał ktoś.

- Zabił ich we śnie - oznajmił Ronnie. - Każdego po kolei. Śniło im się, że wrzuca ich do maszyny, i dostawali ataku serca. A ostatni... kiedy następnego ranka weszli do jego pokoju, znaleźli go rozprutego. Strzępy wały się po całej sypialni, krew i kawałki kości.

To były naprawdę wyjątkowe bzdety i uznałem, że mam obowiązek unieść pochodnię prawdy.

- Skąd ktokolwiek mógłby wiedzieć, co im się śniło - spytałem ironicznie - skoro, kurna, umarli we śnie?

Ronnie nawet się nie zawahał.

- Krzyczeli: „Wyciągnijcie mnie! Umieram w maszynie!” - odparł.

Ale ja już się rozkręcałem.

- A poza tym, duchy nie mają odbić. Duchy nie mają nawet cieni. I czemu właściwie miałyby nawiedzać ten pieprzony dach, skoro zginął w jednej z maszyn? To bzdury.

Ronnie się zjeżył, a stojący po mojej lewej wielkouchy Davey dołączył do dyskusji.

- A kto cię pytał, Castor? Ile duchów widziałeś?

Już miałem odpowiedzieć, lecz w połowie zdania uświadomiłem sobie, że tylko głębiej się wkopuję, i zacząłem się jąkać. Nim zdołałem się wycofać na z góry upatrzone pozycje, Kenny wkroczył pomiędzy młodszego brata i swego mocarnego żołnierza i spojrział na mnie z góry.

- Castor to specjalista od duchów, co nie? - prychnął. - Wszędzie je widuje. Ma zeszyt poszukiwacza duchów i inne takie.

Nie odpowiedziałem. Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa, zwłaszcza że nastroje w bandzie nie były mi przychylne. Wymądrzałem się, a od mądralińskiego niżej w hierarchii jest już tylko tchórz albo skarżypyta. Niewiele otaczających nas twarzy wyrażało choćby cień sympatii.

- Widział przecież naszą mamę, co nie? - naciskał Kenny. - Z poderżniętym gardłem i zalaną krwią. Prawda, Castor?

- Tak - odparłem. - Widziałem.

Twarz Kenny'ego stężała.

- Jesteś cipą i kłamcą - warknął. - Bo mama umarła w szpitalu na oddziale rakowym. Gdybyś zobaczył prawdziwego ducha, dupku, posrałbyś się ze strachu.

- Ty byś się posrał - odparowałem, szukając odpowiedzi, która go usadzi. - Ja nie.

- Jesteś tchórzem, Castor.

- Nie jestem.

Kenny pchnął mnie w pierś, nie tak mocno, żeby zabolalo, lecz wystarczająco, by podkreślić wyzwanie.

- Dowiedz tego - zaproponował i nim zdążyłem odpowiedzieć, ryknął, wyrzucając ręce w powietrze: - Ścieżka zdrowia!

- Ścieżka zdrowia! Ścieżka zdrowia! - wychrypieli Ronnie i Steven, i reszta podjęła okrzyk.

Ścieżka zdrowia oznaczała pokaz pospolitego sadyzmu i zwykle wyglądała znacznie gorzej niż było w istocie. Wszyscy ustawiali się w szereg przed tobą. Ty przebiegałeś obok wzdłuż wyznaczonej linii, a ludzie kopali cię i uderzali, gdy ich mijales. Była to próba męskości, przywoływana, gdy ktoś zhańbił bandę bądź naszą ulicę. Zwykle zarabiano się parę sińców i guzów, ale można było do pewnego stopnia panować nad własnym ruchem, a jeśli się upadło, skierować upadek na zewnątrz, poza linię i odpocząć: ludzie tworzący ścieżkę nie mogli się ruszyć, dopóki ofiara nie dotarła do końca.

- Dobra! - Musiałem wrzeszczeć, by przekrzyczeć ogólny hałas. - Zgoda. Nie boję się.

- Tam. - Kenny wskazał ręką.

Obróciłem się w stronę, którą pokazywał i, jak powiedziała kiedyś Gertruda Stein, nie było żadnego tam. Lekko nachylone kamienie narożne gzymsu sterczały zaledwie krok dalej, a za nimi otwierała się przepaść nad ulicą. Nie mówił chyba o...?

Dłoń Kenny'ego opadła na mój kark i popchnęła mnie. Szarpnąłem się gwałtownie, sądząc, że Kenny chce mnie zepchnąć z dachu. Ale nie. Postawił mnie tylko na wąskim gzymsie i cofnął się, kiwając ostrzegawczo palcem, bym się nie ruszał.

- Ścieżka zdrowia. - Wskazał na prawo i lewo. - Tam i z powrotem, ty mały piździelcu. Albo jesteś tchórzem.

- Pierdol się - odparowałem.

- No to dobra. - W jego oczach dostrzegłem złośliwy, tryumfalny błysk.

Zagonił Ronniego i Stevena do pracy przy zbiorze ścinków, a potem ustawił całą bandę w długi szereg, od końca do końca dachu, około sześciu metrów od gzymsu, na którym stałem, chwiejąc się lekko i próbując przybrać nonszalancką minę. Trzech dryblasów rozdało wszystkim ścinki, tak że każdy miał dwa bądź trzy - tyle że mnóstwo ludzi, między innymi Anita, wycofało się i odmówiło udziału w zabawie. Miałem przed sobą najwyżej dwadzieścioro dzieciaków o twarzach promieniejących myśliwskim podnieceniem.

Uznałem, że to przesada, i zsunąłem stopę z gzymsu.

- Jeśli zejdziesz - warknął Kenny - jesteś pierdzielonym tchórzem. Przyznasz, że jesteś tchórzem. W naszej bandzie nie ma miejsca dla tchórzy. Gotowi... Cel...

Rozsądną odpowiedzią byłaby bardziej soczysta wersja przysłowia o żywych szakalach i martwych lwach, zawahałem się jednak.

Nie chciałem mieć do czynienia z Kennym, bo w tym momencie jego twarz symbolizowała wszystko, czego nienawidziłem na tym świecie - łącznie z Mattem, który uciekł i zostawił mnie, by móc szukać Boga.

Cisza trwała wystarczająco długo.

- Pal! - huknął Kenny i powietrze wypełniła świszcząca stal. Pobiegłem, bo alternatywą było dać się posiekać na kawałki.

Uczciwie mówiąc, pewnie nieco przesadziłem z niebezpieczeństwem grożącym mi ze strony ścinków. Z aerodynamicznego punktu widzenia nie nadawały się do niczego, były bowiem zbyt cienkie i lekkie, by utrzymać równy tor lotu - ale było ich kurewsko dużo i wystarczył jeden, abym odruchowo odskoczył do tyłu i tym samym rozpoczął długi lot nurkowy, który zakończyłby się na popękany asfalcie dziedzińca przed fabryką.

Biegłem ze spuszczoną głową, patrząc wyłącznie na kamienie pod stopami. Poszczęściło mi się. Wirujący stalowy romb skaleczył mnie w policzek, ale obracał się na wietrze i kiedy we mnie trafił, wytracił już niemal cały rozpęd. Kolejny odłamek trafił mnie w rękę, lecz znów bardzo płytko. Oprócz tego dotarłem na koniec nietknięty - i przez ostatnie dziesięć metrów nie byłem nękany przez nikogo, bo wszyscy zużyli całą amunicję w ciągu kilku pierwszych, radosnych sekund.

- Zebrać pociski! - zawołał Ronnie, a Kenny przytaknął władczo.

Tym razem wszyscy rozbiegli się w poszukiwaniu amunicji i nieco swobodniej podeszli do interpretacji reguł. Część wróciła z kawałkami potrzaskanych cegieł, a paru wyciągnęło własne proce.

Sytuacja zaczęła robić się groźna, zupełnie jakbym trafił na karty *Władcy much*. Podczas drogi powrotnej wystarczyłoby jedno trafienie, żeby strącić mnie z gzymsu.

- Pierdolić to - mruknąłem i zeskoczyłem z niego na solidny, twardy grunt.

- Wracaj tam, ty mały śmierdzący szczyłu - rozkazał Kenny, maszerując ku mnie. - Albo sam cię, kurwa, zrzucę.

- Złapał mnie za klapy i pchnął w tył, próbując zmusić do powrotu na gzyms. Stawiłem opór, odchylając się i nie odrywając stóp od podłoża, choć tym samym narażałem się na utratę równowagi i upadek.

- Odwal się, Kenny! - rzuciłem. - Nie zrobię tego. Mam dosyć.

- Nie, nie masz - oświadczył ponuro Kenny. - Jeszcze nie skończyliśmy.

Szamotałem się w jego uchwycie, bezskutecznie próbując podciąć mu nogi, by się uwolnić. Przewaga ciężaru sprawiała, że nie miałem żadnych szans, ale musiałem spróbować.

Potknąłem się i poleciałem w tył, stawiając stopy na gzymsie, bo nie miałem innego wyjścia. Kiedy jednak Kenny próbował mnie zostawić, poszedłem z nim razem, uczepony lewej ręki. Walnął mnie w twarz, bym go puścił, i ponownie postawił na miejscu. Zachwiałem się, przed oczami ujrzałem gwiazdy.

- A teraz, kurwa, biegnij! - warknął, odskakując szybko. - Gotowi... Cel...

Nie wiem co bym zrobił na słowo „pal” - na szczęście nigdy się nie dowiedziałem, bo nie padło. Zamiast tego Kenny wydał z siebie obrzydliwy odgłos: bulgot na wdechu, który urwał się nagle i zakończył przerażającą ciszą. Jego usta otwarły się i zamknęły, rękami wstrząsnął spazm, jakby próbował porządnie złapać i dźwignąć wielką, bezkształtną paczkę.

Odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, demonstrując mi plecy. Było w nich coś dziwnego: jego koszula pękła, zupełnie jakby z Bruce'a Bannera, granego przez Billa Bixby, zaczął zamieniać się w Hulka w interpretacji Lou Ferrigno. A potem w owym pęknięciu - wypełniając je cudownie, niczym niekończące się bąbelki zatopione w plastikowej obudowie staroświeckiej szafy grającej - wezbrała krew, w ułamku sekundy nasączając materiał i ściekając falą na dzinsy.

Nie odwrócił się specjalnie po to, by mi to pokazać, ale by spojrzeć na Anitę, która wciąż tam stała, z długim, smukłym kawałkiem stali w dłoniach. Ten odłamek stali odrzucilibyśmy w naszych poszukiwaniach, był bowiem zbyt długi i wąski, by dało się nim rzucać. Jako zaimprovizowana szabla też miał swoje wady, bo dłonie Anity również krwawiły, ciemnoczerwone krople ściekały po jej palcach na jasny metal. Patrząc w oczy Kenny'ego, powoli wypuściła stalową listwę, która z brzękiem wylądowała na dachu między nimi.

- Kop puszkę - powiedziała Anita bardzo cichym, spokojnym głosem. W grze o tej samej nazwie były to słowa, które wykrzykiwało się, uwalniając wszystkich złapanych wcześniej graczy.

Kenny otworzył usta, by odpowiedzieć, i zwymiotował gwałtownie ciemnoczerwoną krwią. A potem runął na ziemię, a Anita uciekła. Ronnie i Davey bez przekonania próbowali ją złapać, lecz szok po tym, co właśnie zaszło, całkowicie ich obezwładnił. Zdołała zniknąć bez problemu i w zamieszaniu, które wybuchło, ja także.

Jak wspomniałem wcześniej, jeśli człowiek nie miał własnej latarki, musiał przechodzić przez fabrykę w grupie, toteż byłem uwiązany do mych dawnych prześladowców, dopóki nie znaleźliśmy się na *terra firma*. Lecz znoszenie Kenny'ego po drabinie i dźwiganie w zakrwawionej sztafecie z piętra na piętro tak bardzo zaabsorbowało bandę, że na mnie nie zwracała uwagi. Tak czy inaczej, mecz dobiegł końca, a jego druga połowa okazała się naprawdę zabójcza.

Sztafeta dźwigała go aż na ostry dyżur w szpitalu w Walton, stojącym tuż obok fabryki. Okazało się później, że Anita w swym straceńczym ataku cięła dość głęboko, by przebić płuco, które zaczęło się zapadać. Trafiała też w tętnicę tylnoboczną, dostarczającą

krw do kręgosłupa. Podskoki i szarpnięcia towarzyszące bezceremonialnemu znoszeniu Kenny'ego też nie pomogły i kiedy zajęli się nim lekarze, zostały mu najwyżej dwa litry krwi.

Bardzo długo nie wracał na ulicę - najpierw leżał na intensywnej terapii, potem na zwykłym oddziale, a w końcu trafił do ciotki w Kirkby, do której posłał go na rekonwalescencję ojciec. O wszystkim informowali nas Ronnie i Steven, którzy, pozbawieni przewodzącego trójcy starszego brata, byli obecnie pokornymi, szeregowymi członkami bandy. Davey Barlow, pełniący rolę Igora u Frankensteina Kenny'ego, też wtedy zniknął, toteż przeżywaliliśmy coś w rodzaju odrodzenia. Reszta tego lata pozostawiła mi w pamięci wyłącznie przyjemne wspomnienia, zakłócone jedynie faktem, że po owym dniu Anita również porzuciła bandę, a także rzadkimi listami od Matta, jeszcze bardziej podsycającymi moją niechęć z powodu jego nieobecności.

Gdy w końcu Kenny wrócił, był bardzo odmieniony. W czasie nieobecności na ulicy skończył szesnaście lat i kiedy osiem miesięcy później zobaczyliśmy go na Breeze Lane, zauważyliśmy od razu, że dźwiga na plecach nowe brzemie. Miał teraz pracę w warsztacie mechanicznym Plunketta i dziewczynę w Kirkby, którą odwiedzał w każdy sobotni wieczór. Jego życie się zmieniło i ta zmiana uchroniła mnie przed jego złośliwym sadyzmem - coś jak waltońska dzika karta. Dorośli faceci nie bili dzieci, chyba że swoje.

Te właśnie wydarzenia przemknęły mi przed oczami, kiedy Basquiat wymówiła owo nieszczęsne nazwisko. Nie pojawiały się dokładnie w tej kolejności, jako wyraźna, spójna sekwencja wypadków: łączyły się z wieloma innymi kwestiami. Dla mnie myślenie o Liverpoolu zawsze przypomina próbę wyciągnięcia jednej serwetki z cholernych hotelowych i restauracyjnych stojaków, w których upychają je poskładane i słabe niczym Całun Turyński: wystarczy jedno szarpnięcie, a wyciąga się wszystkie.

Przypomniałem więc sobie także, jak trzy lata później mama wróciła do Liverpoolu, rozmówiła się z tatą i wprowadziła do byłego kochanka, Wielkiego Terry'ego Lacklanda. Przypomniałem sobie, jak pewnego wiosennego dnia w ulewnym deszczu Matt przyjął święcenia i został ojcem Matthew Castorem. Na szyi miał nieco prymitywny, lecz piękny, ręcznie rzeźbiony kościany krzyż, który matka kupiła w lombardzie w ramach prezentu na święcenia. Przypomniałem sobie - z mieszanymi uczuciami - moją własną ucieczkę, gdy, ku zaskoczeniu wszystkich, łącznie z moim własnym, śpiewając zdałem egzaminy końcowe i wyniosłem się do Oxfordu, nie oglądając się za siebie - według mojego doświadczenia to najlepsza metoda odejścia, jeśli tylko potraficie przy niej wytrwać.

A gdy kaskada wspomnień dotarła do nieuniknionego końca, przypomniałem sobie jedyną członkinię rodziny Castorów, która nie oglądała tego wszystkiego. Tę, której śmierć

nauczyła mnie, kim jestem, i pchnęła na nową drogę, powoli, nieubłaganie doprowadzając do tego miejsca i tej chwili.

Przypomniałem sobie Katie.

Reszta była milczeniem, dopóki Gary Coldwood nie naruszył go szorstkim pytaniem, ściągając mnie za uszy do chwili obecnej.

- A zatem nie byliście z panem Seddonem w najlepszych stosunkach?

Możliwie najbardziej lekceważąco wzruszyłem ramionami.

- Nie bierz nas za Batmana i Jokera, Gary. Wszystko to działo się cholernie dawno temu i od tego czasu go nie widziałem. Nawet o nim nie myślałem.

- Można jednak założyć z dużą dozą pewności, że on myślał o tobie - zauważyła twardym tonem Basquiat. - Wypisał twoje nazwisko własną krwią.

Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Może zaczynał pisać testament? - podsunąłem.

Zresztą, co mi tam. Sumienie miałem czyste, przynajmniej jeśli chodzi o próbę morderstwa. I jakkolwiek to wszystko wyglądało, wiedziałem czym nie jest - z pewnością nie było „Sercem - oskarżycielem”.

- Nadal chcesz to zostawić? - spytała Coldwooda Basquiat.

Coldwood raz jeden zdecydowanym ruchem pokręcił głową.

- Nie - rzekł. - Będziemy musieli ściągnąć cię na przesłuchanie, Fix, i będziesz musiał złożyć oficjalne zeznania. Przykro mi.

Słowa te uderzyły mnie z zaskoczenia.

- A co z pozostałymi siedemnastoma Castorami? - spytałem z oburzeniem.

- Przestali mieć znaczenie, gdy nas poinformowałeś, że znałeś tego gościa.

- Zatem chcecie mnie oskarżyć?

Coldwood otworzył usta, lecz warknięcie Basquiat natychmiast go uciszyło.

- Świetnie by to wyglądało w sądzie, prawda? Zapraszamy cię do odczytania sceny, a potem aresztujemy? Nie, Castor, po prostu pomożesz nam w dochodzeniu. Wszystko inne będzie musiało poczekać na wyniki badań kryminalistycznych.

Mówiąc to, patrzyła na Gary'ego, nie na mnie, i widziałem wyraźnie, że w powietrzu między nimi zawisło niewypowiedziane pytanie.

- W tych okolicznościach, detektyw sierżant Basquiat - rzekł w końcu Coldwood przesadnie oficjalnym tonem - myślę, że byłoby rozsądniej, gdybyś to ty przeprowadziła przesłuchanie pana Castora. Łączące nas związki osobiste i zawodowe zapewne nie pozwalają na to, bym brał udział w przesłuchaniach i przyjmował od niego zeznania.

Basquiat odczekała sekundę, a potem, wyraźnie usatysfakcjonowana, skinęła głową.

- Ale jeśli zamierzasz usmażyć mu jaja - dodał Gary - to lepiej daj sobie siana.

- Jest równie bezpieczny u mnie, jak u Pana Boga za piecem - obiecała beznamiętnie

Basquiat.

Machnęła głową w sposób, który wyraźnie przekazywał mnóstwo informacji jej niebieskiej świcie. Dwóch trutki stanęło po obu moich stronach i odprowadziło mnie.

4

Nie było tak źle jak mogło. Basquiat grała według reguł. Jasne, żartowała co do pieca i Pana Boga, ale faktycznie nie straciłem jaj.

Przede wszystkim zależało jej na oficjalnych zeznaniach dotyczących moich poprzednich kontaktów z Kennym i zaczynało być ostro tylko wtedy, gdy usiłowałem trochę złagodzić barwną historię naszkicowaną na przejeździe. W swoim czasie miewałem konflikty z prawem i całkiem nieźle znam zasady postępowania dowodowego, wiedziałem zatem, że nic, co mówię, nie zostanie uznane za wystarczający motyw, ale wiedziałem także, jak źle by to brzmiało w sądzie, gdyby policja zdecydowała się wnieść oskarżenie, toteż ostrożniej formułowałem zdania niż podczas pierwszego występu - a Basquiat, dobrze znająca swą pracę, świeciła bezlitośnie latarką w każdy ciemny zakątek i podstawiała mi nogę, gdy zaczynałem sam sobie przeczyć.

Nie było w tym jednak złośliwości - zdecydowana poprawa po tym, jak przesłuchiwała mnie pięściami w sprawie Abbie Torrington. Jednakże, kiedy skończyliśmy, nadal byłem spocony, potargany i zdyszany - a podziwiając przelotnie szczupłą sylwetkę i wdzięki pani detektyw sierżant, pomyślałem, że istnieją przyjemniejsze sposoby doprowadzania się do takiego stanu.

Po przesłuchaniu i uroczystym oficjalnym przyjęciu zeznań, wsadzili mnie do mniejszej celi na końcu długiego, cuchnącego szczynami i gotowaną kapustą korytarza, żebym ochłonął. Ktoś mówił mi kiedyś, że na glinowie przy Uxbridge Road mieścił się w czasach wiktoriańskich przytułek dla żebraków, i mogę w to uwierzyć. W budynku zalega wilgotna, ponura atmosfera, do przegnania której potrzeba by jamajskiej orkiestry dętej i miotacza płomieni. Krąży też tam całkiem sporo duchów i spotkałem trzy z nich: dwa wciąż jeszcze mniej więcej przypominały ludzi, trzeci wyglądał jak bezkształtny koszmar, który dawno temu zapomniał czym był i utrzymuje go na tym świecie jedynie szczątkowy impuls, każący krążyć jak rekin po niższych piętrach budynku.

Ja robiłem to samo, tyle że od wewnątrz. Krążyłem bezsensownie pośród własnych wspomnień i owe wędrówki zawsze doprowadzały mnie w mniej więcej to samo miejsce.

W końcu Basquiat wróciła i poinformowała mnie, że jestem wolny.

- Co przesądziło? - spytałem, wiedząc, że zatrzymała mnie głównie po to, by podjąć decyzję.

Przez sekundę przyglądała mi się twardo: oczywiście nie miałem prawa pytać i gdyby jednak mnie oskarżyli, woleliby, żebym nie podważał dowodów. Z drugiej strony, zawsze warto spróbować, to nic nie kosztuje.

- Zaczęły spływać wyniki z laboratorium - oznajmiła niechętnie. - Potwierdzają to, co mówił Coldwood na temat odcisków. Nie byłeś jedną z osób, które trzymały w ręku brzytwę. Jest też kilka... anomalii co do samych ran. Musimy przyjrzeć im się ponownie. - Jej oczy zamglily się na moment, jakby podążała w głowie tym tokiem rozumowania. Potem pozbierała się i znów skupiła na mnie. - Zatem na razie cię nie oskarżymy, Castor. Ale bądź dostępny, na wypadek gdybyśmy znów musieli porozmawiać. Informuj nas, gdybyś gdzieś wyjeżdżał.

- A gdybym wybrał się do Salisbury? - spytałem.

Jej twarz się zachmurzyła.

- Mam w moim zespole dwóch goryli. Przeniesiono ich z Lambeth z powodu nieuzasadnionego użycia siły. Jeśli zobaczę cię gdzieś w pobliżu mojego miejsca zbrodni, każę tej dwójce zrobić ci szwedzki masaż z tyłu więźniarki. Daję ci na to święte słowo honoru.

- Słyszałem już podobne obietnice. - Przyjąłem niewielką torbę z moimi rzeczami. - Ale zawsze jakoś kończę ze złamanym sercem.

- Nie martw się o serce, tylko o kark - poradziła Basquiat, wychodząc.

Czasami najlepiej jest pozwolić wydarzeniom toczyć się własnym torem. Jak mawiają taoiści, najlepszy kierunek to wu wei - z prądem rzeki. Porzuca się wtedy złudzenie woli i kontroli i dryfuje swobodnie z nurtem życia, pozwalając losowi i przypadkowi wybierać dla siebie kurs.

Nie jestem taoistą. Jeśli chodzi o rzekę życia, zazwyczaj opadam na samo dno i zaczynam maszerować. Pod prąd.

Teraz zatem, gdy znów byłem wolny i swobodny na ulicach skąpanych w oślepiającym, wręcz przesadnym blasku słońca, zamiast zrobić sobie święto lasu i powędrować do najbliższego pubu, gdzie mógłbym pomedytować na temat zmarnowanej młodości, odkryłem, że moje myśli wędrują ku osiedlu Salisbury - i owej upartej plamie zanieczyszczeń psychicznych, którą ujrzałem z daleka. Czy to właśnie próbował mi powiedzieć Kenny?

I czy jedno bliższe spojrzenie może zaszkodzić?

Odpowiedź oczywiście brzmiała: tak. Jak zawsze. Ale i tak poszedłem.

W dziewiętnastym wieku, gdy Londyn był w gruncie rzeczy wielką kupą gówna, w której pływały nieliczne budynki, a epidemia cholery szalała w mieście niczym pijak uzbrojony w rozpylacz, ludzie mieli teorię na temat tego, dlaczego umierają. Nikt nie skojarzył choroby z zakażoną wodą - dopóki w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku nie zjawił się John Snow i nie ogłosił swej epidemiologicznej wersji Nowego Testamentu - toteż najlepszą rzeczą, jaką zdołali wymyślić, była miazma: rozległa chmura niezdrowego powietrza, wydostającego się z ust miliona chorych i umierających ludzi, unosząca się nad Londynem i przynosząca chorobę każdemu, kto nią odetchnął.

Teoria ta okazała się kompletną bzdurą i kiedy Snow oderwał uchwyty pomp wodnych w Soho, by dowieść swych idei, ocalił dziesiątki tysięcy ludzkich istnień. W dwudziestym pierwszym wieku większość ludzi wyśmiewa się z miazmy.

Ale nie egzorcyci. Wiemy lepiej niż ktokolwiek, że istnieją rzeczy, które potrafią zbierać się niewidoczne w powietrzu i które można wciągnąć w płuca, nie wiedząc o tym. Większość miejsc ma własny rezonans emocjonalny: przypadkowe echa uczuć ludzi mieszkających tam bądź jedynie przechodniów. Zazwyczaj rezonans ów pozostaje bardzo słaby, bo - by użyć prymitywnej przenośni - szczyty i doliny nie nakładają się na siebie. Coś jak zmarszczki na kałuży, które kasują się nawzajem, gdy ich pierwsze fale się krzyżują. Od czasu do czasu jednak, jeśli mnóstwo ludzi czuje to samo, zamiast się osłabiać, ich emocje podsycają się nawzajem, wgrzają coraz głębiej i głębiej w to, co jakże lekkomyślnie nazywamy rzeczywistością. Gdy coś takiego się zdarza, otrzymujemy bardzo mocny ślad emocjonalny, wiszący nad pewnym miejscem i trwający w czasie. Szkoły, więzienia, obozy śmierci, burdele, koszary wojskowe, nawet kościoły, mają swój własny psychiczny smak, który egzorcyci odbierają na tej samej fali, jaka pozwala nam widzieć umarłych. Pod tym względem jesteśmy jak psy strzygące uszami na dźwięk gwizdka, którego nikt inny nie słyszy.

Osiedle Salisbury też otaczała podobna aura. Wyczułem ją z bardzo daleka, gdy wysiadłem z autobusu przy Burgess Park i ruszyłem pieszo na północ. Najbliższy wieżowiec stał dobre pół mili dalej, lecz powietrze już zaczynało gęstnieć, tak że niemal czułem jego smak. Otaczający mnie ludzie - głównie matki z wózkami, a także paru bezdomnych i dzieciaki na wagarach, bo działo się to na pustyni środka dnia - nie zauważali niczego dziwnego. Szli dalej, nie oglądając się przez ramię na wielkie szare wieżowce sterczące z

tylu. Wiedziałem zatem, że to kamerton mojej duszy, wibrujący z częstotliwością, na którą reszta świata pozostaje głucha.

W miarę, jak się zbliżałem, miazma gęstniała. Jednakże, choć widziałem wyraźnie poszczególne wieżowce osiedla, uczucie to nie wiązało się z żadnym z nich.

Sprzeczność pomiędzy owymi dwoma wrażeniami - wyrazistością odczuć i mglistością ich źródła - dosyć mnie zaskoczyła. Na własnej skórze przekonałem się, że fizyka świata materialnego nie dotyczy zbytnio mojej dziedziny pracy: gdyby dotyczyła, rozwścieczony geist nie zdołałby mnie podnieść i cisnąć mną o ścianę, bo jego pozbawiona masy postać nie dałaby żadnego punktu oporu. A zombie nie mogłyby się poruszać, bo ich serce nie natleniało gnijących tkanek.

Istnieje jednak zazwyczaj sprawdzająca się zasada, że większość nawiedzeń ma określony, fizyczny punkt skupienia, kotwicę, miejsce, gdzie coś nienależącego dłużej do tego świata w jakiś sposób utkwilo i nie zdołało odejść dalej. Odnalezienie owej kotwicy to jeden z pierwszych etapów egzorcyzmów, oznacza bowiem, że można przyłożyć siłę w miejscu, gdzie wyrze największy skutek. Coś jak celowanie z gaśnicy w podstawę ognia, a nie w płomień.

Lecz to pole brzęczącej energii emocjonalnej nie grało według zasad. Pozostawało rozproszone, niemożliwe do zlokalizowania: mój kompas psychiczny chybotał się i wirował, szukając prawdziwej północy, której najwyraźniej tam nie było.

W miarę, jak się zbliżałem, emocjonalny ciężar owej miazmy stawał się coraz wyraźniejszy: narastał, lecz nadal pozostawał nieokreślony. W powietrzu czułem smak napięcia, niespokojnej czujności, połączony z pewnym przesunięciem zakresu widzenia, sprawiającym, że wszystko co oglądałem wydawało się subtelnie odmienione - zupełnie jakbym patrzył przez okno zamglone od czyjś oddechu.

Skręciłem we Freemantle Street i przeszedłem między pierwszymi wieżowcami Salisbury, po lewej mijając szkołę podstawową. Dzieci też są jak psy i na oko dwie setki maluchów rojących się na boisku sprawiało wrażenie nietypowo przygaszonych i zamyślonych. Bawiły się na drabinkach i grały w klasy, ale w milczeniu, z dziwnie drażniącą powagą.

Uniosłem wzrok, gdy padł na mnie cień najbardziej wysuniętego na wschód wieżowca. Do ściany każdego z nich zamocowano na wysokości głowy tablicę z nazwą, lecz same nazwy pozostawały ledwie widoczne pod setkami warstw rozmazanych, na wpół startych graffiti: ten akurat - różowy, ustawiony na samym końcu starannie zaaranżowanego pola barw - nosił miano Sanforda. Jego towarzysz po lewej, w nieco cieplejszym odcieniu tego samego

koloru podstawowego, Cole'a. Nagle pomyślałem o piętnach do znakowania bydła i o Adamie nadającym imiona zwierzętom. Te masywne potwory swobodnie nosiły swoje nazwy i żadną miarą nie sprawiały wrażenia ucłowieczonych bądź oswojonych.

Pozostałe wieżowce ciągnęły się przede mną niczym szereg kolumn, długi na około ćwierć mili i szeroki na dwieście stóp. Nad głową miałem pierwszą z kładek, łączących budynki sztywną, geometryczną pajęczyną. Chodnik wyłożono blokami wyblakłego, różowego i żółtego kamienia, pomiędzy którymi swobodnie pieniły się chwasty: wszystko inne pokrywał lany beton, mający już czterdzieści lat i nękany dolegliwościami wieku średniego. U stóp bloku Cole'a ujrzałem leżący na boku, niczym martwa antylopa, porzucony wózek sklepowy. Dostrzegłem także niewielką grupkę chłopców, młodszych nastolatków. Nie zwracając na mnie uwagi, kopali piłkę, odbijającą się od betonowej ściany, na zmianę szlifowali umiejętności panowania nad nią w popisach solowych, odgrywanych wyraźnie w duchu rywalizacji.

Sprawdziłem adres, który podał mi Nicky Heath, nabazgrany na kartce wydartej z „Porad dla aresztowanych”, broszurki wydanej przez Home Office, którą w dzisiejszych czasach wręczają ci w miejsce starego „Trafiłeś do pierdła, chłopczyño”. Najpierw poprosiłem o adres Coldwooda, on jednak ostrzegł mnie przed odwiedzinami z jeszcze większym naciskiem niż Basquiat, podkreślając, że jeśli naprawdę zależy mi na tym, by mnie nie aresztowano, najlepsze co mogę zrobić to spieprzać do domu i tam zostać.

- Zapominasz o jednym, Gary - przypomniałem.

- To znaczy?

- Naprawdę zależy mi też na dowiedzeniu, że jestem niewinny. Nie poderżnąłem Kenny'emu Seddonowi gardła brzytwą. Kiedy ostatnio chciałem to zrobić, nie zacząłem się nawet golić.

Coldwood pokręcił głową.

- I co z tego?

- I to, że Kenny nie zapisał mojego nazwiska krwią, bo chciał wam powiedzieć, kto go zaatakował. Ty wciąż dopuszczasz wątpliwości i tak być powinno, ale ja nie. Chodziło mu o coś innego - jakąś inną wiadomość - i muszę założyć, że przeznaczył ją dla mnie. Nie: „To Castor to zrobił”, lecz: „Castor, przyjrzyj się temu”. Rozumiesz? Nie wiem, o co tu biega ani czy to w ogóle moja sprawa, ale muszę się dowiedzieć, nim dam spokój sprawie. A ponieważ nie chcesz mi nawet powiedzieć, gdzie mieszka Kenny, jakoś nie wierzę, że przekażesz mi inne informacje. Bez urazy.

- Przekażę ci wszystko, co według mnie powinieneś wiedzieć - obiecał Coldwood; jego niewzruszona mina świadczyła wyraźnie, że bardzo starannie dobiera słowa.

- A ja zrobię to samo dla ciebie - zapewniłem go z absolutną powagą.

Potem wyszedłem z komisariatu, znalazłem najbliższą działającą budkę telefoniczną - bateria w komórce znów zdechła, bo ciągle zapominam ją naładować - i zadzwoniłem do Nicky'ego Heatha, mojego technicznie martwego, okazijnego informatora. Wycykanie adresu Kenny'ego ze spisu wyborców zabrało mu najwyżej dziesięć sekund.

- Nowa sprawa? - spytał, kiedy już zapisałem szczegóły.

- Niedokładnie, Nicky - odparłem. - Ale to coś, czemu chcę się przyjrzeć. I pewnie zgłoszę się do ciebie, gdy tylko będę wiedział, czego właściwie szukam.

- Jasne. Opowiesz mi o tym dziś wieczorem. Bo przecież przyjdiesz na seans, prawda?

- Na moment zawisłem w pustce, próbując zrozumieć co do mnie mówi. Potem przypomniałem sobie elegancką kartę ze złotą obwódką, która wylądowała na wycieracze Pen trzy tygodnie wcześniej - z zaproszeniem, bym zaszczycił swoją obecnością jednorazowy seans „Blade Runnera” Ridleya Scotta (oryginalnej wersji kinowej, nie reżyserskiej) w do niedawna zrujnowanym, należącym do Nicky'ego kinie Walthamstow Gaumont. Wstęp wyłącznie za zaproszeniem, intruzi niemile widziani - a ponieważ Nicky dał się ponieść swojej dogłębnej paranoi, zamieniając Gaumonta w przestronną, pełną pułapek fortecę, fraza ta kryła w sobie ogromny potencjał bólu.

- Seans - powtórzyłem. - Jasne. Spotkamy się tam.

Jeśli będzie trzeba, to faktycznie tam pójdę. Ale najpierw interesy. Dopiero potem nieprzyjemna imitacja przyjemności.

Według Nicky'ego, Kenny Seddon mieszkał w bloku Westona, pod numerem sto trzydzieści siedem. Mogłem sprawdzić po kolei każdy wieżowiec, ale czemu nie wykorzystać pozostałych w zasięgu ręki bogactw naturalnych? Podszedłem do grupki chłopców, nadal skupionych na kopaniu piłki. Gdy się zbliżyłem, paru z nich odwróciło się w moją stronę, lecz ten przy piłce dalej nią żonglował i odbijał od piersi w miarowym rytmie metronomu.

Byli młodszy niż sądziłem, większość z nich na oko nie skończyła jeszcze dziesięciu lat. Dobrze się złożyło, bo wraz z faktem, że działo się to w samym środku dnia, miałem niemal pewność, że nie zagrozą mi nożem i nie ukradną komórki. Przyznaję, nie wyglądali groźnie, ale ich miny miały w sobie coś niepokojącego. Może byli spięci z tego samego powodu, z którego dzieci na szkolnym boisku wyraźnie kiepsko się bawiły: bo na jakimś poziomie

wyczuwali psychiczną miazmę i reagowali na nią. A może sądzili po prostu, że jestem oficerem szkolnym.

- Hej, chłopaki - rzuciłem - który to blok Westona?

Większość chłopców milczała, wbijając we mnie wzrok, ale jeden wskazał ręką.

- Czwarto, o tam - rzekł, odgarniając kciukiem z oczu płowe włosy.

Był chudy jak chart - chart od jakiegoś czasu pozostający na diecie niskotłuszczowej - i nerwowy gest pozwolił mi dostrzec zabrudzony bandaż owinięty wokół dłoni.

Wokół obu dłoni. Skórę miał tak bladą, że wyglądała jak papier. Pomarańczową koszulkę ozdabiał enigmatyczny napis URBAN FREESTYLE.

Pokiwałem głową, podziękowałem i odwróciłem się.

- Ósme piętro - dodał chłopak pod adresem moich pleców.

Zatrzymałem się i spojrzałem na niego.

- Słucham?

Chłopiec zawahał się, z dziwnie zmieszaną i udręczoną miną.

- To... miejsce, którego pan szuka - rzekł. - Numer sto trzydzieści siedem, jest na ósmym piętrze, tuż obok mojego... - Umilkł, marszcząc brwi i próbując sobie przypomnieć, co dokładnie powiedziałem.

Część grupy zapatrzyła się na niego. Wyraźnie uważali, że udzielanie informacji przypadkowym przechodniom kłóci się z ich zasadami. Nie mogłem im mieć tego za złe.

- Twoja kolej, Bic - powiedział jeden z nich.

Cisnął mocno piłką w jasnowłosego chłopca, który ledwie zdążył unieść ręce, by ją złapać. Rozmowa dobiegła końca, nie było sensu naciskać. Ruszyłem pastelowym chodnikiem, zmierzając w stronę wskazanego wieżowca.

Kiedy jakieś dwadzieścia sekund później znów się obejrzałem, chłopcy nadal nie podjęli zabawy. Odprowadzali mnie wzrokiem, oprócz blondyna, który wbijał wzrok w piłkę, mocno pocierając jej powierzchnię zabandażowanymi dłońmi. Nadal miał nieszczęśliwą minę. Wyraźnie usłyszał numer sto trzydzieści siedem - tyle że ja go nie wypowiedziałem.

Niespodziewanie miazma ukłuła mnie ostro w skronie i równie nagle odpłynęła, znów stając się częścią drażniącego tła.

Z bliska blok Westona był imponującą, choć dość brzydką konstrukcją, a pokrywający go trawiastozielony tynk bynajmniej nie dodawał mu urody. Z boku szerokie schody prowadziły na pierwszą kładkę, parę pięter nad moją głową. Podwójne drzwi wiodły do holu z trzema windami, podobnie jak ściany wewnętrzne pokrytymi wieloma warstwami

wymazanych sprejem graffiti. Jak się okazało, żadna z wind nie działała. W budynku były też schody, ale cuchnęły mocno pleśnią i zgnilizną, przyprawioną ostrzejszym smrodem moczu.

Wróciłem zatem na zewnątrz i ruszyłem do nieba *per pedes*.

Pierwsza kładka była na trzecim piętrze. Z ziemi wydawała się węższa, teraz jednak odkryłem, że jest niemal tak szeroka jak ulica. I podobnie jak ulica miała własne oświetlenie: ośmiokątne szare słupy, podtrzymujące szklane kule w stylu art deco, niepasujące do niczego co dotąd oglądałem. Po obu stronach wznosiły się sięgające piersi kamienne murki, chroniące ludzi przed upadkiem na chodnik, a kratka w kształcie łuku, zamontowana na najdalszym ode mnie końcu, wyglądała jak przeznaczona na pnące się rośliny. Tyle że nic nie zdobiło kładki, oprócz tłuczonego szkła, gustownie rozrzuconego wokół, i paru przepełnionych, czarnych foliowych worków, których zawartość - herbaciane fusy i puszki - wysypywała się wprost na moją ścieżkę. W paru miejscach w murku dostrzegłem szczeliny, jakby pomost ucierpiał nieco podczas osiadania budynków i nigdy nie został naprawiony.

Wyglądało na to, że tu właśnie kręcą się starsze dzieciaki - najwyraźniej chodzenie do szkoły nie było możliwością, którą ktokolwiek traktowałby zbyt serio. Grupka siedziała na murku i paliła. Jeden z chłopców spojrzał na mnie z nieprzyjaznym zainteresowaniem, po czym odwrócił wzrok i splunął od niechcenia na ziemię w dole.

Ruszyłem dalej na górę. Mijający mnie chudzielec po trzydziestce, o ulizanych czarnych włosach, z kolczykiem nad prawym okiem, otoczony obłokiem ostrego smrodu potu, walczącego o lepsze z taną wodą kolońską, trącił mnie, schodząc. Nagle zatrzymał się i przyjrzał mi uważniej. Był równie blady jak dzieciak, Bic: w istocie jego bladość wykraczała poza zwykłą biel, przypominając raczej żółtawy odcień niemal odsłoniętej kości, trudno mu zatem było zblednąć. Lecz jego twarz wyrażała głębokie zdumienie i gdy tak na mnie patrzył, mój zmysł śmierci się przebudził. A zatem gość nie był zwykłym człowiekiem: najpewniej zombie, lecz mimika i żwawe ruchy świadczyły o tym, że raczej świeżym.

Kiedyś był nawet przystojny: wielkooki, długowłosa, o smukłej twarzy i sylwetce. U zombie wyglądało to jednak żałośnie i dziwnie nieprzyzwoicie. Człowiek miał ochotę odwrócić wzrok. „Wspomnij Flebasa, co był piękny i smukły - jak ty”*. I musiał oganiać się od dziewcząt zafajdanym kijem.

Odczekałem chwilę, bo sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć. Kiedy się nie odezwał, sam postanowiłem przełamać lody.

- Mogę w czymś pomóc? - spytałem.

* T.S. Eliot - *Jalowa ziemia*, przeł. Czesław Miłosz.

Facet skrzywił się i pokręcił głową.

- Wyglądasz jak ktoś, kogo kiedyś znałem - rzekł suchym jak kość, cichym głosem.

Co to za akcent? Gdyby znów się odezwał, może bym go zlokalizował. Ale on milczał. Odwrócił się i ruszył na dół.

Cieszę się, że się zawiodłeś, pomyślałem. Spotkanie to, choć krótkie, miało jednak w sobie coś osobliwego i osobliwość ta zwarzyła mi humor. Facet wydawał się nie tylko zaskoczony, ale też zaniepokojony moim widokiem. W istocie wyglądał trochę jak ów gość ze znanej bajki, który ucieka do Samary, chcąc uniknąć śmierci, tylko po to, by odkryć, że zdążył akurat na spotkanie. Może śmierć i mnie łączy rodzinne podobieństwo, którego nikt nigdy wcześniej nie zauważył.

Cóż, to będzie musiało poczekać. Już zniknął mi z oczu i nawet gdybym ruszył za nim, w tym labiryncie musiałbym mieć wielkie szczęście, by na niego trafić. Poza tym przyszedłem rozejrzeć się po okolicy, a nie uganiać za zmyłkami.

Następna kładka była na wysokości ósmego piętra: dokładnie tam, gdzie według Bica miałem się udać. Przez wahadłowe drzwi, które z powodu rozwalonych zawiasów nie kołysały się już. Jak wahadła, wszedłem do budynku. Przed sobą ujrzałem krótki korytarz z dwójgiem drzwi po obu stronach i piętami naprzeciwko. Pierwsze po lewej miały numer 137.

A zatem Bic nie mylił się w swoich wskazówkach. Ciekawe. Zdarzało się już wcześniej, że ktoś grzebał mi w kieszeniach, ale nigdy w umyśle. A może wieści o otarciu się Kenny'ego o śmierć dotarły już do Salisbury, dzięki czemu dzieciak zgadł, dokąd się wybieram? Brzytwa Ockhama podpowiadała, że tak. Ale kiedy zarabiasz na życie kontaktami z marudami i łobuzami z niewidzialnego królestwa, jesteś zwykle otwarty na wiele możliwości.

Drzwi numeru 137 były identyczne jak wszystkie pozostałe - kawał drewna pomalowany na mniej więcej ten sam odcień co ściany wewnętrzne wieżowca, z numerem mieszkania na owalnej płytce ceramicznej, przykręconej na wysokości piersi i samotnym zamkiem yale, chroniącym przed światem zewnętrznym. Gdybym zabrał ze sobą odpowiednie narzędzia, pokonałbym go w niecałą minutę i możliwe, że na pewnym etapie dokładnie to zrobię: ale nie w świetle dnia i nie bez wytrychów. Obecnie przeprowadzałem wstępny zwiad: można niezłe się wkopać, jeśli w środku nocy wparuje się w nigdy wcześniej niewidziane miejsce i spróbuje włamania.

Ściany w wieżowcu były w większości wolne od nabazgranych wezwań i wyzwick, zauważyłem jednak, że przy drzwiach Kenny'ego jakąś stopę nad ziemią wypisano coś czarnym markerem. Schyliłem się, by się temu przyjrzeć, kierowany zwykłą ciekawością. To

nie były słowa: jedynie obrazek, równie prosty jak rysunki naskalne. Przedstawiał coś w kształcie łzy, z okalającymi go prostymi liniami, podobnymi do promieni gwiazdy.

- Nie ma go - rozległ się za moimi plecami czyjś głos.

Wyprostowałem się i odwróciłem. Zza drzwi na końcu korytarza, które otworzyły się niepostrzeżenie, patrzyła na mnie kobieta. Była wysoka i rudowłosa, czerwień jej fryzury podkreślała ogólną bezbarwność osoby. Oczy miała szare, skórę bladą i piegowatą, niczym jajo wróbla, które pokazał mi kiedyś Matt podczas swego krótkiego i nietypowo okrutnego romansu z kolekcjonowaniem ptasich gniazd. Ubierała się w, można by rzec, kolory ziemi, choć wzmiankowana ziemia musiałaby się mieścić na skraju pustyni: piasek i cienka warstwa gleby, unoszone z nigdy niesłabnącym tropikalnym wiatrem. I mogła mieć najwyżej czterdzieści lat, ale wydawała się starsza. Natychmiast rozpoznałem w niej kogoś, kto ma za sobą ciężkie życie i ugiął się pod jego ciężarem, żeby się nie złamać.

Patrzyła na mnie nieco podejrzliwie. W jednej kruchej dłoni ścisnęła długi kuchenny nóż - albo do samoobrony, albo też dlatego, że przeszkodziłem jej w gotowaniu. Zapach smażonego oleju, którego fala zalała korytarz, potwierdzał drugą hipotezę.

- Słucham? - Uśmiechnąłem się nieco kretyńsko i z zamierzenia rozbrajająco. Choć kobieta nie wydawała się ani odrobinę groźna.

- Pana Seddona. Nie ma go. Nie było go cały dzień.

Mówiła bardzo cicho, a pod koniec zdania jej głos opadał jeszcze niżej, jakby za każdym razem, gdy otwierała usta, wysuwała głowę za okno, a potem cofała odruchowo, w obawie, że ktoś ją postrzeli.

Spróbowałem przywołać zaskoczoną i zawiedzioną minę i ruszyłem ku niej powoli.

- Jest pani pewna? - spytałem. - Panno...

- Pani.

- Pani...?

- Daniels. - Zerknęła z roztargnieniem przez ramię, a potem znów spojrzała na mnie. - Nie mogę w tej chwili rozmawiać - oznajmiła i, jakby uznała, że musi jakoś zrównoważyć bądź odpokutować za swój chwilowy brak manier, dodała: - Jean. Jean Daniels.

- Oczywiście, pani Daniels. Kenny mówił, żebym zajrzał do niego dzisiaj. - To zdanie zawisło w powietrzu na bardzo długą chwilę, ja tymczasem przygotowywałem mu do towarzystwa kolejne kłamstwa. - Po książki.

Rudowłosa zmarszczyła brwi.

- Książki? - powtórzyła.

Przytaknąłem z powagą.

- Zbieram je na wyprzedaż. U Świętego Gary'ego Le Pauvre. Tamtejszy ksiądz to mój przyjaciel i lubię pomagać.

- Ach. - Zmarszczka między jej brwiami nie zniknęła, mimo mojej moralnie nieskazitelnej przykrywki. Wręcz przeciwnie, pogłębiła się. - No cóż, wiem, że pana Seddona nie ma, bo mój Thomas musiał dziś rano odebrać jego pocztę od listonosza. Od tego czasu stukaliśmy sześć czy siedem razy, by mu ją oddać. Będzie pan musiał wrócić kiedy indziej.

Udałem, że nie pojmuję aluzji: ostatecznie to była misja zwiadowcza, obejmująca kontakt z miejscowymi obywatelami.

- Kenny to świetny gość - rzekłem, zarzucając losowo haczyk. - Ale od dłuższego czasu się nie widzieliśmy. Mam nadzieję, że u niego wszystko w porządku. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jestem Felix Castor.

Wyciągnąłem rękę, lecz Jean Daniels wyraźnie nie miała ochoty odpowiedzieć tym samym.

- To znaczy, że jest pan z Kościoła? - spytała. Mówiła powoli, z rozwagą, jak ktoś próbujący rozpracować złożony problem.

- Zgadza się.

- I powiedział pan „ksiądz”, czyli z Kościoła katolickiego?

- No cóż... - Było za późno na zwody. - Nie niekatolickiego - przyznałem niezręcznie.
- Zdecydowanie po katolickiej stronie granicy.

- Ale pan Seddon to przecież protestant, prawda? Oranżysta. Pomarańcza, tak to nazywał. Zapamiętałam dokładnie, bo była to jedna z pierwszych rzeczy, jakie mi powiedział.

Oranżysta. Znajome słowo dla każdego urodzonego i wychowanego wśród ciernistych krzewów Liverpoolu 9. W dodatku pani D. miała rację: teraz przypomniałem sobie, że ojciec Kenny'ego i wszyscy jego wujowie należeli do Łoży i w jaskrawopomarańczowych szarfach i tanich garniturach maszerowali Countie Road w każde święto 12 lipca. Na szczęście, pani Daniels, przyłapawszy mnie na kłamstwie, zareagowała nie oburzeniem, lecz wyraźnym zakłopotaniem. A przynajmniej mówiła dalej, próbując pokryć kłopotliwe wrażenie.

- Zaraz następnego dnia po tym, jak się wprowadził, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy przy windzie, pan Seddon spytał, jakiego jesteśmy wyznania, a gdy odparłam, że właściwie żadnego, nie wydawał się zachwycony. Powiedział, że musieliśmy się w jakimś wychować, w końcu żyjemy w kraju chrześcijańskim. Odparłam zatem, że moi rodzice byli katolikami, rodzice mojego Toma anglikanami i więcej już się do nas nie odezwał. - Pokręciła głową z uroczystym zdumieniem. - Oburzające jest podejście niektórych do Boga: miłość zastępują nienawiścią i zmieniają dobrą nowinę w złą.

- Święty Gary to misja ekumeniczna - zapewniłem, żałując, że nie wymyśliłem sobie lepszej przykrywki: Jean Daniels okazała się bystrzejsza, niż na to wyglądała. - Ale mnie osobiście nigdy nie chodziło o religię. Po prostu lubię robić dobre uczynki.

- Nie jest pan księdzem?

- Boże uchroni. Mój brat jest księdzem - dodałem, jakby miało mi to zapewnić lepsze referencje. - Jak mówiłem, chciałem po prostu sprawdzić co u Kenny'ego i dowiedzieć się, czy ostatnio dobrze mu się wiedzie. Znamy się od bardzo dawna. Chyba nie wspominałem, ale mam na imię Felix. Felix Castor.

(Wiedziałem, że się powtarzam, ale uznałem, że czasem przydaje się odrobina uporów).

Znów wyciągnąłem rękę. Dwukrotne zignorowanie tego gestu byłoby nieuprzejme, a wyglądało na to, że pani Daniels śmiertelnie obawia się urażenia kogokolwiek. Wsunęła w nią swoją nieco oklapłą dłoń i pozwoliła ją uścisnąć.

Co oznaczało, że w końcu mogłem ją odczytać. Podobne losowe zarzucanie sieci to u mnie odruch - ta sama złowieszcza wrażliwość, która pozwala mi widzieć duchy niewidoczne dla innych, czasami umożliwia odbieranie powierzchownych myśli i emocji z umysłów ludzi, gdy ich dotykam. Robię to zatem nawet w sytuacjach takich jak ta, kiedy nie mam zbyt wiele do zyskania.

To, co odebrałem od pani Daniels, było bardzo mocne, wyraźne i kompletnie bezużyteczne. Miała na przedramieniu skaleczenie, nie mogła sobie przypomnieć skąd się wzięło. Okropnie swędziało, ale nie chciała się drapać przy nieznanym. To dlatego nie miała ochoty ścisnąć mi ręki - nie zaklejała ranki, żeby szybciej się zabił, i wstydziła się, że ją zobaczę. Martwiła się o kogoś - żadnych imion, obrazów, jedynie kłębek myśli przepełnionych ciepłem i bezkrytyczną miłością - a także w inny sposób o czas, marnowany na staniu tutaj i rozmawianiu ze mną. Wstydziła się też kuchennego noża i zerknęła na niego, cofając pośpiesznie rękę.

- Gotuję mu lunch - wyjaśniła niepotrzebnie, pokazując mi nóż. - Naprawdę muszę już wracać. Nie mogę do końca przykręcić kuchenki i lada moment olej się przypali. Nie wiedzie się.

Zdawało mi się, że się przesłyszałem, bo ostatnie trzy słowa nie wiązały się w żaden sposób z poprzednim zdaniem. Lecz pani Daniels dostrzegła moje zdumione spojrzenie i podjęła bez chwili wahania:

- Pytał pan, czy mu się wiedzie, to znaczy panu Seddonowi. Nie wiedzie mu się. Tak naprawdę jest coraz gorzej. Nie sądzę, by w ogóle doszedł do siebie. Robi dobrą minę do złej

gry, bo tak trzeba, ale coś takiego pozostaje w człowieku, prawda? Zawsze się zastanawia, czy mógł zrobić coś jeszcze.

Kompletnie zgubiłem się w tej plątaniu nieznanych szyfrów, przekrzywiłem więc głowę, patrząc uprzejmie, pytająco.

- Zrobić coś jeszcze, żeby...?

- No, żeby to powstrzymać. - Pani Daniels spojrzała na mnie oczami pełnymi wszystkich znaczeń słowa ból. - Wie pan, myślimy, że gdybyśmy wcześniej dostrzegli znaki, moglibyśmy coś powiedzieć. Poszukać pomocy. Wiem, mówią, że to niemożliwe, ale uważam, że wszystko zależy od okoliczności, prawda?

Uznałem, że najbezpieczniej będzie się zgodzić.

- A jakie w ogóle były okoliczności? - spytałem szczerze. - Zawsze obawiałem się spytać.

Pani D. pokręciła głową.

- Mogłabym panu wiele opowiedzieć - rzekła z brakiem entuzjazmu przeczącym jej słowom. - Ale tego nie zrobię. Nie teraz. Mówić trzeba było przedtem, kiedy mogło to coś dać. Obwiniam się za to. Wszyscy powinniśmy się winić. Zasłużył na coś lepszego. Cokolwiek działo się w domu... - Na moment urwała, po czym podjęła szybko, nerwowo, jakby właśnie przeskoczyła niewidzialną przepaść i wołała nie patrzeć w dół. - Mimo wszystko zasługiwał na coś lepszego. Uważam, że wszyscy mamy obowiązek, zgodzi się pan? Mówić to, czego nie można powiedzieć? Chłopak w takim wieku ma całe życie przed sobą. Widywałam go z dziewczętami, było parę, które by nie odmówiły, gdyby poprosił. Ale on był zagubiony. Nie sprawiał wrażenia, że żyje w tym samym świecie co wszyscy. A potem zaczęły docierać historie od innych chłopców. Mój John jest w tym samym wieku, ale co zabawne, to mój Billy, najmłodszy, znał go lepiej niż ktokolwiek inny. I kilka razy powiedział coś, co mnie zastanowiło. To było widać. Nie ukrywał tego. Widziało to sto osób, a ze dwieście o tym wiedziało. Ale nikt nic nie mówił, prawda? Nikt nigdy nie mówi. Właśnie dlatego powtarzam, że wszyscy jesteśmy winni.

Mówiąc, nakręcała się i jej głos stał się coraz żywszy, gdy zmagala się z własnym, nieokreślonym grzechem. Teraz popatrzyła na mnie wyczekująco, ja jednak nie miałem pojęcia, czego się spodziewa. Współczucia? Rozgrzeszenia? Lekkiego klapsa? Usiłowałem znaleźć jakąś nić przewodnią w jej strumieniu świadomości, nić, którą mógłbym pociągnąć i przekonać się, czy się nie rozpruje. Kenny Seddon był trochę za stary, by nazywać go chłopcem, toteż zapewne „on” oznaczał kogoś innego. Syna? Czy Kenny miał rodzinę?

Byłem niemal pewien, że Gary mówił, że mieszka sam. Otworzyłem usta, próbując wymyślić pytanie, które nie zdradzałoby mojej ignorancji.

Z otwartych drzwi za plecami pani Daniels dobiegł bogaty w basy ryk, zagłuszający moje niewypowiedziane słowa.

- Jean! Jeanie! Czy masz tu gdzieś uprasowaną koszulę?

Pani Daniels niemal niezauważalnie skuliła się w sobie.

- To mój Tom - wyjaśniła. - Muszę iść.

- Cofnęła się za próg i zaczęła zamykać drzwi. Nagle zamarła i jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech, który całkowicie mnie zaskoczył. Nie był jednak przeznaczony dla mnie: patrzyła dalej w głąb korytarza i to, co widziała, sprawiło, że znów się wyprostowała i otworzyła, jak kwiat pod koniec długiej ciemnej nocy.

- Zawsze tak jest - rzekła z nagłym żartobliwym naciskiem. - Wystarczy wstawić na ogień frytki, a zjawia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Odwrociłem się i ujrzałem jasnowłosego chłopca, Bica. Zbliżał się ku mnie. Spojrzał na mnie pytająco, lekko skinął głową, a potem poddał się gorącemu uściskowi matki. Kiedy już trochę go ugniotła, odsunęła syna i przyjrzała mu się uważnie.

- Jesteś brudny - stwierdziła. - Musisz się umyć przed jedzeniem, mały łobuziak. - Złagodziła swe słowa, mierzwiąc mu włosy z tym samym entuzjazmem, z jakim wcześniej obdarzyła go uściskiem.

- Daj spokój, mammo! - zaprotestował Bic, uznawszy, że co za dużo, to niezdrowo.

Zanurkował pod jej ręką i zniknął w mieszkaniu.

- Dzieci to skarbnica tego świata - oznajmiła pani Daniels i obdarzyła mnie zawstydzonym, lecz szczerym uśmiechem. Fakt, iż ujrzałem ją w roli matki, najwyraźniej w decydujący sposób przełamał między nami lody.

Przytaknąłem i odpowiedziałem uśmiechem.

- Nie powinien być w szkole? - spytałem, głównie po to, by przedłużyć tę chwilę zaufania i bliskości.

- Dzień kształcenia nauczycieli - pani Daniels wywróciła oczami. - Wszystkie szkoły są dziś zamknięte. Mam szczęście, że pracuję na drugą zmianę. Bóg jeden wie jak sobie radzą inne matki. Przepraszam, ale teraz naprawdę muszę już iść. Miło mi było pana poznać, panie...

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie podać jej fałszywego nazwiska, bo wyraźnie nie zapamiętała prawdziwego. Może kłamstwo miałoby jakiś sens, gdyby Basquiat naprawdę

skupiła się na mnie i chciała ustalić łańcuch poszlak. Ale nie mogłem jej nie doceniać: gdyby na serio zaczęła mnie sprawdzać, nie dałaby się długo oszukiwać.

- Castor - powtórzyłem po raz trzeci. - Felix Castor.

- Miłego dnia, panie Castor. Powiem panu Seddonowi, że go pan szukał.

Drzwi zamknęły się mi przed nosem - tym razem do końca, Pani Daniels musiała zająć się Tomem i wyraźnie nie miała już czasu na pogawędkę. Jeszcze parę chwil stałem w korytarzu, próbując zrozumieć to, co usłyszałem. Kenny'ego wyraźnie niedawno spotkało coś niedobrego. Bardzo niedobrego, co pozostawiło na nim trwałą cień - a przynajmniej tak to wyglądało. Coś, czemu być może mógł zapobiec, bo zapowiadały to znaki, które dostrzegali inni.

Zapewne nie miało to żadnego związku z atakiem na niego - i z dużym prawdopodobieństwem wcale nie dlatego zapisał moje nazwisko własną krwią, osuwając się w nieświadomość, a być może w śmierć. Musiałem jednak od czegoś zacząć, a skoro nie zdołałem wyciągnąć prawdy z sąsiadów, znam kogoś, od kogo mogę ją kupić po cenie rynkowej.

W końcu wyszedłem z powrotem na światło dnia i powitałem je z radością. Wnętrze wieżowca miało w sobie coś przygnębiającego, coś, co sprawiło, że ucieszył mnie widok słońca, choć atakowało niestrudzenie ziemię niczym młot kowadło. Uszy wypełnił mi ryk rannego bawołu - odgłosy ruchu ulicznego, a po dziesięciu minutach ciszy znów słyszałem je wyraźnie. Miazma natomiast stawała się trudniejsza do wyczucia z przeciwnego powodu - bo nie zmieniała się i moje zmysły zaczynały do niej przywykać.

Uznałem, że równie dobrze mogę się skierować dalej na północ - może wsiąść w metro przy Elephant and Castle. Ruszyłem chodnikiem, mijając kolejne worki ze śmieciami i rower przypięty do latarni łańcuchem i pozbawiony kół, by zniechęcić złodziei. Chyba że złodzieje ukradli koła, by zniechęcić rowerzystę.

I wtedy, na ochronnym murku ujrzałem ten sam znak - łzę otoczoną aureolą promienistych linii, tym razem wymalowaną czerwoną farbą. Obok, sprejem na szarym cemencie kładki, wypisano słowa: „Teraz krwawi”. One także jaśniały czerwienią i w owym wyblakłym miejscu wydawały się świeże i nowe. Podszedłem się im przyjrzeć, po czym przykucnąłem i dotknąłem krzywizny kreski ostatniego „i”. Bardzo świeża: farba jeszcze nie zaschła.

Z tego miejsca po raz pierwszy odkryłem, że płyty tworzące ochronny murek co parę stóp rozdzielały wąskie szczeliny. Widać z nich było kładkę poniżej i ziemię, gdzie na

moment ujrzałem kolegów Bica - albo może zupełnie inną grupkę chłopców - zmierzających w jakieś miejsce, zapewne nieróżniące się zbytnio od tego.

Ktoś na niższym poziomie przyglądał się im, a przynajmniej patrzył w tę samą stronę. Stał tuż przy murku, zwrócony do mnie plecami. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, barwy czystej, nieskalanej bieli, kojarzący się z Alecem Guinnessem w roli Sidneya Strattona, mężczyzny w lodowym garniturze. Jego błyszczące, być może wybrylantynowane czarne włosy odcinały się od niego ostro. Ów kontrast czerni i bieli miał w sobie coś ulotnie znajomego, podobnie jak sztywna postawa mężczyzny i fakt, że nie opierał się o murek, mimo że był tuż obok, w wygodnej odległości. Nagle ogarnęło mnie przeczucie niemające nic wspólnego z moim zmysłem śmierci.

W moim niezwykle ograniczonym polu widzenia zjawiał się inny mężczyzna i dołączył do pierwszego. Ten facet był wielki, masywny i wydawał się subtelnie nieproporcjonalny, ale też oglądałem go pod dziwnym kątem. Twarz miał niemal płaską, zupełnie jakby przed chwilą nawiązał bliski, kreskówkowy kontakt z rozpedzoną patelnią. Kiedy przemówił, jego usta otworzyły się szeroko w sposób, który wydał mi się spięty i nienaturalny - wargi w ogóle się nie poruszały. Przypominał gadającą kukłę brzuchomowcy, dolna szczeka podskakiwała w górę i w dół, próbując niezgrabnymi skrótami przekazać pełną gamę ludzkiej artykulacji. Miał też paskudną cerę - jego skórę pokrywały plamy i dzioby.

Mężczyzna na pomoście zwrócił się ku przybyszowi i gdy ujrzałem jego twarz, ogarnęło mnie zdumienie, choć podświadomie już wcześniej skojarzyłem fakty. To był ojciec Gwillam z Anathemata Curialis.

Gwillam wskazał ręką jedną z wyższych kładek, po skosie od nas. Płaska twarz znów przemówiła i Gwillam naszkicował coś w powietrzu palcem przed jego oczami. Wyglądało jak nawiasy.

Płaska gęba odbiegł szybkim truchtem. Po drugiej stronie pomostu dołączyła do niego kobieta - wysoka, nieco przyciężkawa, o długich ciemnych włosach związanych w koński ogon. Odniosłem wrażenie, że ma zabandażowane dłonie, tak jak chłopak, Bic. Razem skierowali się na południowy koniec osiedla.

Czas, żebym ja także zniknął. Wiedziałem dość o dobrym ojcu, by jak najusilniej unikać spotkania. Ale nie byłem dość szybki. Odwrócił się i spojrzał w górę, prosto na mnie, jakby od początku wiedział, że tam jestem.

Słońce wisiało mi nad ramieniem, świecąc mu prosto w oczy. Z tej odległości i pod tym kątem zapewne widział tylko moją sylwetkę.

Zapewne.

Nie czekałem, by się przekonać.

5

Harrison Ford wyszedł pierwszy, wymykając się na podest przez ledwo uchylone drzwi swego mieszkania i sprawdzając układ terenu, nim pozwolił, by dołączyła do niego Sean Young. Jej nieskazitelna fryzura i lśniące czerwone usta sugerowały nieziemską perfekcję cyfrowych efektów specjalnych, lecz w 1982 roku nie były one jeszcze nawet iskrą w oku George'a Lucasa. Po prostu tak się złożyło, że Young była perfekcyjna.

- Pieprzysz jak potłuczony - rzucił krótko Nicky, odrywając moją uwagę od akcji na ekranie. Bez potrzeby nacisnął parę przycisków na projektorze tylko po to, by przypomnieć, kto tu rządzi. - Nie ma mowy, żeby Deckard był replikantem.

Powstrzymując czysto fizjologiczny dreszcz - w kabinie protektorskiej było zimno jak w lodówce - postukałem palcem w szybę, oddzielającą nas od widowni w dole.

- Oglądaj dalej - poleciłem Nicky'emu.

Na ekranie Ford spojrział w dół. Obcas pantofla Sean Young trącił niewielki przedmiot leżący na podłodze, który się poruszył i zamigotał. Ford schylił się i podniósł go, lecz kamera jeszcze przez moment skupiała się na jego twarzy. Dopiero potem zrobiła najazd na znalezisko: maleńkiego jednorożca z papieru i sreberko z paczki papierosów.

Po sekundzie wahania Ford skinął głową - w mojej nefachowej opinii to jeden z najbardziej wymownych i poruszających gestów w historii kina. W ślad za Young wsiadł do windy, drzwi zasunęły się za nim z ostatecznym, dźwięcznym *zuum*.

Przez ostatni fragment doczepionej akcji z doczepioną narracją gwizdałem pod nosem, przyglądając się w skupieniu własnym paznokciom i czekając, aż muzyka Vangelisa ucichnie i przelecą napisy. Nicky zdjął z irytacją szpulę z projektora i przetransferował do pudełka. Daleko w dole spowijająca widownię rozsrebrzona czerń zamieniła się w czysty, nieprzenikniony mrok.

- To znaczy tylko, że drugi detektyw, Eddie Olmos, był u niego. - Nicky wzruszył wymownie ramionami. - Czemu budujesz na tym całą teorię?

- Bo to punkt zwrotny filmu - wyjaśniłem cierpliwie. - Wysadza w powietrze wszystko, co wcześniej oglądaliśmy: przedśmiertną przemowę Batty'ego „szkoda, że ona nie przeżyje”, wszystko; po czym nadaje mu nowy kształt.

- Cóż, Rutger Hauer mówi, że gadasz bzdury - przypomniał Nicky, nakładając wieczko na pudło i starannie odczepiając je od obudowy projektora.

- Świetny aktor, ale nie najbystrzejszy - podsumowałem.

- Scott pozostawia to niedopowiedziane.

- W tej wersji owszem. W wersji reżyserskiej sekwencja snu Deckarda o jednorożcu wyjaśnia wszystko.

Nicky schował pudło z filmem do stalowej szafki na końcu kabiny, zamknął drzwiczki i starannie przekręcił dwukrotnie klucz w zamku.

- Wolę, żeby Deckard był człowiekiem. - Pociągnął za uchwyt, sprawdzając, czy dobrze zabezpieczył drzwi. Zarówno w jego głosie, jak i ramionach wyczuwałem napięcie.

Uznałem, że lepiej dam spokój. Może to nostalgia, bo Nicky też kiedyś był człowiekiem. Potem, przed czterdziestką, dostał ataku serca i zasilił szeregi żywych inaczej. Niektórzy ludzie powracali jako dusze - duchy - i prowadzili spokojne życie po śmierci, kręcąc się w miejscach pamiętanych z czasów, gdy jeszcze mieli puls. Inni wybierają trudniejszą drogę, wdzierając się i opętując zwierzęta (to zawsze są zwierzęta, choćby dlatego, że mają dusze dość słabe, by zazwyczaj nie mogły skutecznie walczyć) i odkształcając ich ciała w coś mniej więcej przypominającego ich własne. Tak właśnie powstają wilkołaki, choć w obecnych czasach najczęściej nazywa je się uprzejmie i politycznie poprawnie *loup-garous*.

Nicky, zarówno po śmierci, jak i za życia, był jednak wyjątkowo uparty. Wybrał zatem trzecie rozwiązanie, zazwyczaj uważane za łączące wady obu poprzednich - izolację duchów i problemy z ciałem właściwe wilkołakom. Powrócił we własnym ciele, jako zombie.

Dla większości ludzi to wyjście na krótką metę: ciała gniją, a kiedy przekroczą pewną granicę, cała siła woli tego świata nie zdoła zmusić ich do ruchu. Nicky powstrzymał jednak ów kryzys za pomocą maniakalnej kombinacji chałupniczego balsamowania, niekonwencjonalnych metod leczniczych i starannego zamrażania. I trzeba szczerze przyznać, że jak na nieboszczyka wygląda całkiem nieźle: samoopalacz, który kupuje całymi wiadrami, maskuje woskowy połysk zapeklowanego ciała, a jego śródziemnomorska uroda nadal przyciąga wzrok kobiet, chyba że znajdą się dość blisko, by poczuć subtelny woń formaliny. Jest też całkiem majątnym zombie, dysponuje imponującym portfelem nieruchomości, łącznie z nieużywanym kinem, w którym mieszka. Więc kimże jestem, by mu to wytykać? Świetnie gra w tę grę, mimo że z za grobu.

- A zatem wpadłeś na tego gościa, Gwillama. - Nicky, zmieniając temat, schował do kieszeni klucze do szafki z filmami. - Papistowskiego skurwysyna, który próbował cię zabić w toku sprawy Abbie Torrington.

- Gwillam nie ma błogosławieństwa papieskiego - poprawiłem. - W istocie jego zakon - Anathemata - został hurtowo ekskomunikowany przez Benedykta XVI, gdy tylko ten wytrzeźwiał po imprezie inauguracyjnej. Teraz działają na własną rękę, a Kościół usiłuje udawać, że w ogóle nie istnieją.

Była to zaledwie półprawda, ale na razie musiała wystarczyć. Kiedy ostatnim razem spotkałem Gwillama, czynił wyraźne aluzje, że ekskomunika stanowiła jedynie pretekst, pozwalający spuścić Anathematę ze smyczy. Byli jakby bojowym ramieniem Kościoła katolickiego, partyzancką armią fanatyków religijnych o przerażająco niesprecyzowanym celu działania: ocaleniu ludzkości przed umarłymi i nieumarłymi w imię Boże. W przypadku Abbie Torrington oznaczało to dopełnienie morderstwa małej dziewczynki likwidacją jej duszy. Gwillam nie był uszczęśliwiony, kiedy - z pomocą Juliet - zdołałem skutecznie podstawić mu nogę.

Nicky też nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Nie zagrzebuj mnie po uszy w pierdolonych szczegółach, Castor - rzekł, ruszając do drzwi. - To ten sam facet, zgadza się? Ten, który uważa, że tacy jak ja stanowią wstęp do Armagedonu? Ten, co uważa się za żołnierza Boga w pierdolonej świętej wojnie?

- Tak - przyznałem. - To on.

Uznałem, że nie ma sensu przypominać, że zazwyczaj to ja mam w zwyczaju pomijać szczegóły, preferując prostotę. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto pozostawiam obsesyjną, upierdliwą drobiazgowość Nicky'emu, bo to jego prawdziwa specjalność.

- Super - burknął Nicky. - Wal zatem prosto z mostu, a wtedy będziemy wiedzieć, na czym stoimy. Chcesz, żebym trochę pogrzebał? Dowiedział się, co ci świrnięci świętojebcy robią w Walworth?

Przytrzymał dla mnie drzwi. Pojąłem aluzję i wyszedłem na podest. Nicky ruszył za mną, zamykając starannie drzwi i nastawiając alarmy i pułapki. Zaczekałem, aż skończy, bo to zadanie pochłaniało całą jego uwagę.

- Nie - oznajmiłem, gdy znów na mnie spojrział. - Nie tego chcę.

Nicky próbował ukryć zawód, lecz subtelna kontrola mięśni to jedna z pierwszych ofiar zombifikacji i musiał popracować nad swoją pokerową twarzą.

- Dlaczego? - spytał.

- Bo on gra nieczysto i ma mnóstwo ludzi ze spluwami - wyjaśniłem. - A także ludzi z zębami, kłami i obfitym owłosieniem. Używa *loup-garous*, Nicky, wilkołaków, które otrzymały z góry całkowite rozgrzeszenie ze wszystkiego, co robią na jego rozkaz. Uwierzyłybyś? Gość rozdaje karty wyjścia z piekła. I nie przepada za mną, odkąd podmieniłem medalik Abbie Torrington. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest danie mu kolejnych powodów, aby życzył mi śmierci.

Nicky otworzył usta, chcąc zaprotestować, ale nie przerywałem.

- Poza tym nie uważam, by Gwillam miał z tym cokolwiek wspólnego. Wczoraj w nocy Kenny został zaatakowany. Dotarłem tam tak szybko, bo pomagałem policji w śledztwie. Nie wiem, wokół kogo węszy teraz Gwillam, ale założę się, że to coś innego.

- Albo może Anathemata od początku wszystko zorganizowała - podsunął Nicky - i Gwillam zapisał na szybie wozu twoje nazwisko, żeby cię obciążyć.

- Nie sądzę, żeby był aż tak subtelny - wtrąciłem. - To bardziej gość w typie „Jeśli twoje oko jest dla ciebie powodem grzechu, wyłup je”. Gdyby chciał się mnie pozbyć, wystarczyłoby, żeby pstryknął palcami, a już dziś spocząłbym w zapomnianym rowie. Potem wyrównałby rachunki z Wszchemogącym, odmawiając kilka zdrowasiek i dokładając solidne samobiczowanie, i wszystko byłoby świetnie.

Nicky nadal patrzył na mnie wyczekująco. Pokręciłem głową.

- To niczego nie zmienia - rzekłem, gdy otworzył usta, by przemówić. - Wierz mi, Nicky, nie chcesz mieszać się do spraw tych chłopaków. Czy raczej doskonale widzę, że chcesz, bo może uważasz, że Gwillam byłby twardym, fascynującym orzechem do zgryzienia. Ale gdyby cię wyczuł, podniósłby stawkę, i to ty skończyłybyś jak Humpty Dumpty.

Mówiłem bardziej do siebie niż do Nicky'ego, bo po prawdzie bardzo chciałem wiedzieć, co Anathemata robi tak blisko moich terenów łowieckich. Wątpiłem jednak, bym mógł to odkryć.

Nadal byłem odsłonięty na froncie Rafiego, a teraz stałem się potencjalnym podejrzanym w sprawie próby morderstwa. Jeśli kiedyś istniał dobry moment, by się nie wychylać, to właśnie teraz.

Ruszyliśmy po schodach w stronę sali głównej.

- Humpty Dumpty był jajkiem - zauważył Nicky.

- Słucham?

- Nie był orzechem, tylko jajkiem. Pomieszałeś przenośnie.

- Ale sens pozostaje.

- W takim razie czego właściwie ode mnie chcesz, Castor?

- Głównie tego, żebyś poszukał wszelkich informacji na temat Kenny'ego Seddona. Od jak dawna mieszkał w Salisbury. Gdzie się podziewał przedtem. Znajdź wszelkie ślady oraz wszelkie niedawne wydarzenia na osiedlu, w których mógł uczestniczyć.

- Jakie dokładnie wydarzenia?

Pomyślałem o Jean Daniels i jej litanii sugestii i eufemizmów: coś się wydarzyło, ale nie potrafiłem nawet w przybliżeniu określić, co takiego.

- Nie wiem - przyznałem. - Jakiegokolwiek. Zarzuć sieci możliwie najdalej.

- Mógłbyś to sam zrobić w pieprzonej bibliotece - rzucił kwaśno Nicky. - Robisz się leniwy, Castor?

- No, jest jeszcze jedno.

- Mów dalej.

Wyjąłem z kieszeni kartkę i pokazałem mu. Wcześniej naszkicowałem na niej elipsoidę otoczoną promieniami - tę samą, którą widziałem dwa razy podczas krótkiej wizyty w mieszkaniu Kenny'ego.

- Widziałeś już kiedyś coś takiego?

- Wygląda jak kobieca pochwa narysowana przez uczniaka - skomentował Nicky. - Kiedy ostatnio to oglądałem, miałem jeszcze działające serce. I penisa. Pierwsze jest potrzebne do drugiego, bo ciała jamiste...

- A skąd te linie otaczające ją ze wszystkich stron? - spytałem w obawie, że udzieli mi lekcji biologii.

- Najwyraźniej to błyszcząca, świetlista pochwa.

- Narysowano to na ścianie w Salisbury. Tuż obok widniały wypisane sprejem słowa „Teraz krwawi”.

Nicky wzruszył ramionami.

- Hipoteza pochwy wciąż wygląda najprawdopodobniej. A zresztą, co cię to obchodzi? Czy to ma cokolwiek wspólnego z Kennym Seddonem?

- Możliwe - odparłem niezobowiązującym tonem. - Po prostu wydało mi się dziwne, to wszystko, więc pomyślałem, że zrobię ci test Rorschacha i sprawdzę, z czym się kojarzy. Teraz żałuję. Bo widzisz, w tym miejscu panuje dziwaczna, zatruta atmosfera. I kiedy się nad tym zastanowić, może dlatego właśnie kręci się tam Gwillam. Jeśli uznał, że w okolicy działa jakiś demon, z pewnością przygotował już swoje oddziały.

- Ale mówiłeś, że unikasz Gwillama.

- Owszem, unikam bezpośredniej konfrontacji. Nadal jednak interesuje mnie wszystko, co jest choć trochę nietypowe w Salisbury. Dlatego właśnie pytam ciebie. W takich sprawach twoje anteny są wyjątkowo wrażliwe.

Skinieniem głowy podziękował za komplement. Do tej pory dotarliśmy do drzwi prowadzących na salę. Nicky otworzył je pchnięciem, zapalił górne światła, trącając wielki stalowy przełącznik na ścianie, i wszedł do środka. A ja dreptałem tuż za nim.

Reszta widowni wstała i odwróciła się ku nam.

Składała się z jednej osoby, ale ponieważ była to Juliet, jedna osoba wystarczyła aż nadto. Uśmiechnęła się do nas z rozmarzeniem, jej całkowicie czarne oczy pochłaniały światło.

- I jak ci się podobał film? - spytał Nicky.

Juliet się zastanowiła.

- Bardzo podobały mi się śmierci - rzekła jak ktoś rozglądający się po salonie w poszukiwaniu czegoś, co mógłby skomplementować, i w końcu decydujący się na zasłony, bo wszystkie meble są porażająco paskudne.

- Podobały ci się śmierci - powtórzył Nicky zbolalym, pełnym oburzenia tonem. - Ty nadal nie rozumiesz, prawda? To historia. Pieprzona... - Przez chwilę bezradnie trzepotał rękami, próbując znaleźć jakieś nowe określenie na narrację. - Zresztą zapomnij.

- Historia o czymś, co jeszcze się nie wydarzyło i najpewniej w ogóle nie wydarzy - zgodziła się Juliet. - Rozumiem co to. Po prostu nie widzę w tym sensu.

- Powstała dla przyjemności - wtrąciłem. - Nie mów mi, że nie rozumiesz przyjemności, Juliet, bo ci nie uwierzę.

- Ale przecież wiesz, co mi sprawia przyjemność - odparowała spokojna, precyzyjna. - Krew. Seks. Krew i seks razem. Rzeczy proste, pierwotne. Nigdy nietracące smaku i świeżości.

Spróbowałem przegnać całą gamę myślowych obrazów, które wypełniały mi głowę, mnożąc się w tempie niechcianych okienek w internetowej przeglądarce.

- Widziałem, jak oglądasz telewizję z Susan - zauważyłem. - Sprawiałaś wrażenie zadowolonej.

- A zauważyłeś, na czym skupiam wzrok?

- Perły przed wieprze - wymamrotał Nicky, podchodząc do przygotowanego wcześniej stołu na koziołkach. - No dobrze, premierowy seans dobiegł końca. Gaumont Nicky'ego Heatha został oficjalnie otwarty i niech Bóg błogosławi wszystkim, którzy w nim żeglują. To

znaczy mnie, chyba że kiedyś uznam za stosowne znów zaprosić was, nędznych plebejuszy. To tyle, jeśli chodzi o przemowy, przejdźmy do alkoholu.

Na stole stała butelka Chateau Pichon-Lalande Pauillac 1982, którą Nicky wcześniej otworzył, by mogła pooddychać. Nalał trzy kieliszki, podał po jednym w każdej ręce mnie i Juliet, następnie uniósł trzeci, przyłożył do nosa i odetchnął głęboko. W dzisiejszych czasach tylko w ten sposób używa alkoholu: spija woń wina, jak przystało duchowi, bo brak mu enzymów trawiennych, które poradziłyby sobie z prawdziwym alkoholem. Odgłos towarzyszący wciąganiu powietrza jest ostry, suchy i bolesny, ponieważ napełnianie płuc to kolejna rzecz, która nie przychodzi naturalnie trupowi.

Juliet opróżniła swój kieliszek jednym haustem i oblizała wargi. Jest coś przewrotnego w tym geście: przywodzi na myśl wielkie, drapieżne koty, zlizujące spomiędzy zębów strzępki zakrwawionej tkanki po zabiciu ofiary. Nicky odwrócił wzrok - nie ze strachu bądź niesmaku, tylko dlatego że butelka kosztowała go trzysta funtów i wiedział, że Juliet nawet nie poczuła smaku. Zalicza się do epikurean wyłącznie w dziedzinie ciała: wszystko inne to dla niej dekoracje.

- Jednak ci się udało. - Trąciłem się z nim kieliszkiem. - Gratulacje.

- Dzięki. - Wciągnął kolejny haust bogatego bukietu Pauillac. - Myślę, że następnym razem urządzę podwójny seans.

- Tak? A jakie filmy?

- „Noc myśliwego” i „Ocalili mózg Hitlera”.

Zamrugalem.

- Nie widzę między nimi związku, Nicky.

- Stanley Cortez, zdjęcia. Salisbury to syfiasta dziura, Castor.

Zmiana tematu na moment zbiła mnie z pantałyku.

- Owszem - zgodziłem się. - Jest wysoko na mojej liście miejsc do nieodwiedzenia. Ale miało być modelową wspólnotą, prawda? Osiedlem przyszłości.

Nicky przytaknął.

- Tak je reklamowali. Ściągnęli na konsultacje Dereka Wincha w czasach, gdy uważano powszechnie, że jest bogiem. Co prawda zbudował je jakiś inny koleś - nie pamiętam nazwiska - ale widać w tym logikę. Zwabić Wincha, by firmował projekt, a potem przekazać go innemu gościowi, który zrobi to za dwa razy mniej kasy i cztery razy szybciej. Zamierzali porobić tam sklepy, restauracje, kina i chuj wie co jeszcze. Idea była taka, że jeśli nie chciałeś, nie musiałeś w ogóle wracać na ziemię - mogłeś przeżyć całe życie w tych wieżowcach. Używać kładek jak ulic, krążyć swobodnie wszędzie, być o krok bliżej nieba. I

tak się przypadkiem składa, że dokładnie tak brzmiał slogan reklamowy, gdy otwierali listę chętnych.

- Nieba - powtórzyła Juliet, nalewając sobie kolejny pełny kieliszek. Jej głos ociekał sarkazmem.

Nicky z lekko tragiczną miną patrzył, jak unosi kieliszek i przełyka.

- A potem wszystko się rozsypało - nacisnąłem.

Przytaknął.

- Zanim jeszcze skończyli budowę. Zwykłe bzdury. Zaczęli bez kasy, porobili oszczędności, gonili terminy, by ratować polityczną twarz. Ale niektórzy twierdzą, że sam projekt od początku był schrzaniony.

- To znaczy? - spytałem, słuchając nieuważnie, bo nadal myślałem o wymalowanej na ścianie łzie otoczonej aureolą promienistych linii. Tak naprawdę myślałem o niej i o Gwillamie i niemal wyczuwałem, że coś łączy te dwie rzeczy, ale kiedy próbowałem to wychwycić, za każdym razem migotało i gasło.

- Główny problem stanowiły kładki - wyjaśnił Nicky. - Kiedy zaczynali, budowa ulic dwadzieścia pięć metrów nad ziemią wydawała się fantastycznym pomysłem. Czystą fantastyką naukową. Mówili o mieście w powietrzu, połączonych osiedlach od Peckham po Elephant and Castle. Zmartwienia zostawmy na ziemi, ruszmy w niebo i zaczniemy nowe czyste życie. Tyle że okazało się, że na ziemi zostało też mnóstwo innych rzeczy. Na przykład prawo i porządek. Salisbury stanowiło pionowy labirynt i nie dało się go pilnować, bo bandyci, handlarze i gwałciciele mogli zniknąć błyskawicznie, nim policja znalazła się w zasięgu wzroku. Kładki zamieniły się w złodziejskie meliny. A potem ludzie zaczęli wywalać na nie wszelki syf, zamiast zwozić go na parter. A potem pojawiła się wilgoć, bo beton zrobiono z trocin i śliny. Bliżej nieba, owszem, ale łącznie z pogodą.

Pociągnąłem oszczędny łyk wina. Juliet opróżniała właśnie butelkę do swego kieliszka, toteż uznałem, że lepiej będzie oszczędzać.

- Słyszałem mniej więcej to samo - przyznałem. - Czy Blair nie zrobił tam sobie sesji zdjęciowej w dziewięćdziesiątym siódmym, tuż po wygranych wyborach?

- Kurna, tak. Tam właśnie wygłosił swoją przemowę o „zapomnianych ludziach”.

- A potem...?

Nicky prychnął paskudnie.

- Zapomniał o nich.

Uznałem, że dość długo gadałem o interesach. W końcu spotkaliśmy się, by świętować, i szło nam raczej kiepsko. Uniosłem kieliszek w toaście, pozdrawiając przestronną salę i nowo wymalowany ekran na jej końcu.

- Za Gaumonta z Walthamstow - rzuciłem. - Który, podobnie jak właściciel, powrócił z martwych z wdziękiem i klasą.

Juliet wychyliła kieliszek i zmiażdżyła go w dłoni, pozwalając, by fragmenty wysypały jej się spomiędzy palców. Za nimi poleciało parę kropel krwi.

- *Ye'air gwa aku noirm, hesh te ua'azor* - powiedziała.

Nicky posłał jej zbolące spojrzenie.

- Co oznacza...

- Najbliższą znaną mi formę błogosławieństwa.

- Cóż, dziękuję.

- Bardzo proszę.

- A teraz mam na wykładzinie krew sukuba. Działa może jak kwas czy co?

- Działa jak krew - odparła Juliet, po czym, zwracając się do mnie, dodała: - Podrzucić cię?

- A dokąd jedziesz?

- Do domu. Do Susan. Przez ostatnie trzy dni mijałyśmy się w pracy. Zaczynam już zapominać, jak smakuje.

- W takim razie dzięki, ale nie. - Oparłem się pokusie poproszenia o bliższe szczegóły, których zapewne wolałbym nie znać. - Ja wracam do miasta.

- Na tamto osiedle?

Pokręciłem głową.

- Do Whitechapel. Royal London.

- Do szpitala. Po co?

- Tam właśnie zabrali Kenny'ego Seddona.

- Twojego wroga?

Słyszac to, zaśmiałem się.

- Nie mojego wroga, Jules. Choć jasne, że nie przyjaciela.

- Mówiłeś, że walczyliście o kobietę...

- Dziewczynę.

- Której obaj pożądalście. Czy to nie uczyniło was wrogami?

- Nigdy nie pożądałem Anity Yeats.

Juliet długą chwilę patrzyła mi prosto w oczy.

- Owszem - rzekła. - Pożądałeś. W pewnym momencie.

W takich sprawach nie ma sensu się z nią spierać.

- Cóż, nigdy niczego w tej kwestii nie zrobiłem - poprawiłem.

- Zostawmy to na moment - wtrącił Nicky. - Czy przypadkiem ten syfiarz Seddon nie leży w śpiączce?

- Zgadza się.

- To co, chcesz mu, kurwa, zanieść kwiaty?

- Nie. Po prostu pomyślałem, że nie zaszkodziłoby przyjrzeć się bliżej i, jeśli nadarzy się szansa, może położyć na nim dłonie. Wiecie, że czasami udaje mi się podłączyć psychicznie.

Juliet pokręciła głową.

- Tak właśnie podchodzisz do wszystkich swoich spraw, Castor. Krążysz dokoła nich, póki coś cię nie spotka. To nie plan, to brak planu.

- A co ty byś proponowała?

- W tym przypadku? Odszukałabym Gwillama i zagroziła, że przegryzę mu gardło, jeśli nie powie mi tego, co chcę wiedzieć.

- Ale ja wątpię, czy on wie to, co chcę wiedzieć - zauważyłem.

- W takim razie miałbyś przyjemność rozszarpać mu gardło. A przy okazji, niezależnie od moich wcześniejszych słów o nieproszeniu mnie o przysługę, jeśli wasze drogi znów się skrzyżują, chcę tam być. Podczas ostatniego spotkania skrepował mnie, skrepował i upokorzył. Miło byłoby wyrównać rachunki.

Satysfakcja z pracy. To bardzo ważna część tego co robimy.

- To oznaczałoby, że tym razem ja zrobiłbym ci niewielką przysługę - zastanawiałem się głośno.

- Hipotetycznie owszem. Jeszcze do tego nie doszło.

- Właśnie można to uznać za świetne obligacje. Mógłbym pożyczyć coś pod ich zastaw?

Juliet upomniała mnie spojrzeniem zwężonych oczu, ale nie odmówiła.

- Byłbym bardzo wdzięczny za drugą opinię. Cokolwiek wyczułem tam, w Salisbury, nie przypominało standardowego nawiedzenia.

- Skąd wiesz?

- Bo poczułem to inaczej. Jest zbyt wielkie i nie ma właściwego punktu zaczepienia. Zupełnie jakby ktoś podarł mnóstwo duchów na konfetti i rozrzucił je po całym osiedlu. -

Rozłożyłem ręce i rozcapierzyłem palce. - To uczucie jest wszędzie, Juliet. Nigdy dotąd nie zetknąłem się z czymś podobnym.

- A może to mnóstwo różnych duchów? Sam mówiłeś, że to miejsce to slums. Jest już wystarczająco stare, by umarło ram sporo ludzi.

Odruchowo przyłożyłem lewą dłoń do piersi - w miejsce, gdzie tuż przy sercu spoczywał mój flet.

- Nie. To nie mogło być to. Wtedy usłyszałbym to inaczej. Wiesz, jak to u mnie działa. Dla mnie grupa duchów w tym samym miejscu byłaby jak pół tuzina orkiestr grających w jednym pomieszczeniu. To było pojedyncze wrażenie. Jedno, ale obejmujące rozległy obszar. Coś jak... Wiesz, że mówią, że mrówki i pszczoły nie mają indywidualnych umysłów? Że stanowią część roju, zbiorowej duszy?

- Mów dalej.

- To właśnie to. Otaczało mnie ze wszystkich stron i było tym samym. Czymś wielkim... rozproszonym. Nie miejscowym. Równie silnym na całym obszarze osiedla, a ono ma z ćwierć mili od krańca do krańca. Zetknęłaś się kiedyś z czymś podobnym?

Juliet zastanowiła się i jej brwi zmarszczyły się w skupieniu. Gdy rozmyślała, ja wykorzystałem ten czas, podziwiając jej twarz; z całą pewnością nie mogłem go uznać za stracony.

- Możliwe - rzekła w końcu. - Ale od bardzo dawna nie.

- Pójdiesz się tam rozejrzeć?

- Przez chwilę nie odpowiadała. Przyglądała mi się, jakby próbowała odczytać coś z moich rysów. A może po prostu frustrowały ją moje kiepskie zdolności opisowe.

- Jeśli będę w pobliżu, popatrzę.

- Dzięki, Juliet.

- Jeśli będę w pobliżu, Castor. Masz czekać cierpliwie i mnie nie poganiać. Jakby co, sama do ciebie zadzwonię.

- Dzięki - powtórzyłem.

Na razie będzie musiało wystarczyć. Podziękowałem za radę co do gardeł i ruszyłem w drogę.

6

Od lat nie myślałem o Anicie, a teraz nagle nie mogłem przestać. Za każdym razem, gdy mój umysł wrzucał bieg jałowy, na przykład podczas jazdy metrem na południe i zachód przez cały Londyn, znikąd pojawiały się stare wspomnienia - bez wątpienia wstrząśnięte i wymieszane z głębszych pokładów kory mózgowej przez przeraźliwą traumę, pozostałą po obejrzeniu własnego nazwiska zapisanego krwią Kenny'ego Seddona.

Czy się w niej durzyłem? Jezu, kogo próbowałem oszukać? Jasne, że tak. I to więcej niż raz. Za pierwszym razem miałem cztery lata i wbrew swojej woli zostałem zawleczony do szkoły podstawowej przy Northcote Road, żeby obejrzeć, jak mój brat Matt gra Józefa w jasełkach. Anita była jego Marią, spodobał mi się jej uśmiech. W dodatku ładnie wygłaszała swoje kwestie. Dwóch z nich nauczyłem się na pamięć i powtarzałem sobie od czasu do czasu, napawając się ich brzmieniem: „Chodź, Józefie. Niemal nadszedł mój czas, a nim narodzi się dziecko, musimy dotrzeć do Betlejem”, „Dziękuję za wasze dary i za waszą wielką dobroć”.

To jednak było tylko dziecinne zadurzenie. Rok po tym, jak dźgnęła Kenny'ego - kiedy skończyła szesnaście lat - Anita była najpiękniejszą istotą chodzącą na dwóch nogach. I uratowała mi życie! Naturalnie zatem kochałem się w niej tak bardzo, że nie mogłem spać i wykorzystywałem ją w tysiącach fantazji, począwszy od ckliwie romantycznych po śmiało pornograficzne.

Nic to jednak nie dało. Do tego czasu zakończyła już przemianę: była dorosła, a ja pozostałem dzieckiem. Dzielała nas przepaść dwóch lat była zbyt wielka, by przez nią przeskoczyć - przynajmniej w tym kierunku: gdybym to ja był starszy, wszystko wyglądałoby inaczej. Zaczęła się spotykać z jednym z chłopaków ładujących furgonetki w piekarni Hannah przy Arthur Street - miał na imię Alan, skończył osiemnaście lat i dysponował przewagą dawaną przez pracę, samochód i totalny brak trądziku. Nienawidziłem go i życzyłem mu jak najgorzej, choć raz dał mi funta, żebym postawił za niego u Coral.

Ale to także minęło. Wszystko mija. Kiedy człowiek ma czternaście lat, uczy się dopasowywać pragnienia do własnych możliwości, a przynajmniej rozróżniać te, które może

zaspokoić, i te pozostające między nim samym, jego sumieniem i pudełkiem chusteczek na nocnym stoliku.

Kiedy w końcu straciłem dziewictwo - z Carole Aubrey na parkingu klubu Red Pepper przy Rice Lane - nie fantazjowałem już nawet regularnie o Anicie. Jej miejsce zajęły aktorki i wokalistki, a także kilka bohaterek komiksowych, tak naprawdę należących do wcześniejszego etapu mojego okresu dojrzewania.

Nadal jednak widywałem Anitę, bo Walton to mała okolica. Myślałem wówczas, że dla niej za mała. Zawsze spodziewałem się, że odejdzie, bo w owym czasie wydawało mi się, że odejście stanowi niezbędny warunek rozpoczęcia nowego życia.

I wciąż pozostawaliśmy przyjaciółmi - ale też ludzie, którzy razem zbierali skrzek, grali w berka i w chowanego i wspinali się na dachy fabryk, bardzo często pozostają przyjaciółmi. Od czasu do czasu stawiałem jej drinka w Bryzie bądź u Księcia Artura i wymienialiśmy się rodzinnymi wieściami. Pytała, jak Matt radzi sobie w seminarium, a ja kłamałem, bo tak naprawdę nie wiedziałem. Udawałem też zainteresowanie, kiedy opowiadała mi o postępach Kutagęby w Prudential: zaczął od domokrążcy, by wkrótce zostać kierownikiem grupy i nowym Mesjaszem.

Raz - tylko jeden - wystartowałem do niej. To był Sylwester, kiedy można pozwolić sobie na mnóstwo namiętnych całusów: generalna zasada brzmiała, że możesz posunąć się tak daleko, jak zechcesz, byle tylko dysponować akceptowalną wymówką, kiedy dama zaprotestuje.

Wpadłem do Bryzy z paroma kumplami dziesięć minut przed strzałem korków, uchłany w sztok, obcałowałem cały bar - podlotki i paniusie, bez wyjątków - aż w końcu dotarłem do Anity, stojącej w kącie i przyglądającej się, jak jej kuzyn wrzuca monety do jednorękiego bandyty.

Objęliśmy się i było wspaniale. Mocno, intensywnie, pocałunek trwał dopóki wystarczyło nam powietrza. Kiedy jednak próbowałem wrócić po dokładkę, lekko przyłożyła koniuszki palców do mojej piersi i pokręciła głową. Zobaczyłem w jej oczach łzy i poczułem lęk. Łzy? Kto dał do nich powód?

- Dobrze się czujesz, Nita? - spytałem, z trudem wymawiając spółgłoski we właściwej kolejności, bo radzenie sobie z wódką także stanowiło miarę męskości w Walton.

- Wszystko w porządku, Fix - odparła, na moment odwracając wzrok. Zamrugła, opanowując płacz. - Po prostu... czekałam na kogoś, ale on nie przyszedł. Nic mi nie będzie.

Znów na mnie spojrzała i obdarzyła promiennym, niemal zupełnie przekonującym uśmiechem.

Kupiłem jej miniszampana; nawet go nie tknęła.

Rozmawialiśmy o polityce i punk rocku - a potem, gdy jeszcze bardziej się urznąłem, powiedziałem jej, czym jestem i co potrafię zrobić za pomocą fletu. Działo się to w czasach gdy powracający umarli wciąż stanowili strumyczek, nie ulewę, i na długo przed tym, nim egzorcyzmy stały się zwykłym zawodem. Anita słuchała jednak bez słowa komentarza. Kiedy dotarłem do historii o mojej siostrze Katie, położyła mi dłoń na spoczywającej na stole ręce, używając siły.

Odprowadziłem ją do domu i jeszcze raz mnie pocałowała. Tym razem w policzek - pocałunek-podziękowanie - i pojąłem, że nigdy nie posuniemy się dalej. Nie przeszkadzało mi to, bo uważałem, że to świetnie móc wspominać taką chwilę bliskości, a nie zwykłe obściskiwanki, kaca i uczucie zawstydenia.

A gość, który tej nocy ją wystawił, naprawdę powinien zbadać sobie mózg.

Lubię szpital Royal London: jak na instytucję opieki zdrowotnej, ma nawet pewną klasę. Przynajmniej, od razu poczulibyście się lepiej, gdybyście po wyciągnięciu z karetki ujrzeli tę wspaniałą osiemnastowieczną fasadę.

O, kurczę, pomyślelibyście sobie, prawdziwy wielki świat. Ale neobrutalistyczny koszmar, który uczepili do tyłu budynku, co zupełnie inna para hiszpańskich butów i jeśli o mnie chodzi, mogą ją sobie zatrzymać.

Coldwood mówił, że Kenny leży na intensywnej terapii. Wszedłem do szpitala z ulicy, energicznym krokiem mijając stanowisko recepcji i zbiorowisko chorych i obolałych. Postawiłem na stary truizm, że ludzie boją się zaczepiać kogoś, kto wygląda, jakby dobrze wiedział co robi, i najwyraźniej zadziałał, a przynajmniej doprowadził mnie całkiem daleko, przez izbę przyjęć i ostry dyżur do nieco zapuszczonego aneksu, w którym mieścił się oddział intensywnej terapii.

Umarli śledzili każdy mój krok. Właściwie przez niektórych musiałem przechodzić, bo było ich tam tylu, ile suchych liści jesienią - i podobnie jak liście jesienią, przedstawiali sobą bogatą, fascynującą grę rozkładu. W szpitalach umiera mnóstwo ludzi z najróżniejszych przyczyn, pozostawiających swe ślady nie tylko na ciele, ale i na duszy.

Nikt nie wie, czemu niektórzy po złożeniu w grobie powstają, a inni nie - Juliet przypisuje to wadzie charakteru, strachowi przed wykonaniem na oslep skoku w nową formę istnienia. Zawsze jednak unikała odpowiedzi na pytanie, jak wygląda to inne życie, gdzie się przebywa i ile kosztuje tam porządny obiad.

Te duchy, przynajmniej w większości, bały się i czuły zagubione. Ich śmierci stanowiły wariacje na wspólny temat: przypadkowe, bolesne, przedwczesne, niezasłużone, niezrozumiałe, przewlekłe, upokarzające, samotne, bezsensowne. Jeśli w ogóle można mówić z powagą o psychologii umarłych, należały dokładnie do typu osób zachowujących ślady swych obrażeń i chorób po powstaniu z martwych. Patrzyłem zatem i przechodziłem przez ruchomą wystawę wszystkich okropności, jakie mogą spotkać ludzkie ciało, zarówno jeśli chodzi o obrażenia zewnętrzne, jak i walkę z samym sobą.

Niektórzy próbowali ze mną rozmawiać wysokimi, słabymi głosami, zniekształconymi przez nie do końca czysto fizyczną odległość. Nie zwracając na nich uwagi, szedłem dalej. W żaden sposób nie mogłem im pomóc, chyba że zagrałbym im krótką, ostrą melodię, która zepchnęłaby ich poza krawędź nicości - a teraz już tego nie robię, o ile nie zostanę przyparty do muru, z tej prostej przyczyny, że nie wiem, dokąd ich odsyłam. Jestem jak szczurołap, który w czasie swej kariery nauczył się spoglądać na świat z punktu widzenia gryzoni.

Podążając za strzałkami, wspiąłem się po kamiennych kręconych schodach, otaczających zamkniętą w kutym żelazie wiktoriańską windę, i dotarłem na szeroki podest, wyłożony kamiennymi płytami, dość starymi, by miały pośrodku wytarte zagłębienia.

Niestety, szpital miał dwa oddziały intensywnej terapii, po jednym z każdej strony schodów - i każdy z nich mieścił się za podwójnymi drzwiami wyposażonymi w zamontowany na wysokości piersi chromowany zamek cyfrowy, przez zawodowych złodziei zwany „tak lub nie”.

Zagadkę, na który oddział przyjęto Kenny'ego, rozwiązała natychmiast obecność mundurowego, pilnującego drzwi po mojej prawej. Oznaczało to, że pozostały tylko dwie przeszkody: zamek i gliniarz. Może mógłbym wykorzystać jednego do pokonania drugiego, ale tylko jeśli rozegram wszystko jak należy.

Ruszyłem wprost do drzwi, starając się zachować pozory pewności siebie i z wyniosłą, chłodną miną stawiałem czoło niebieskiemu.

- Dobry wieczór - rzuciłem.

- Dobry wieczór panu - odparł.

Jego ochryply głos doskonale pasował do ogorzałej skóry i potężnej sylwetki. Wyglądał jak ktoś, kto zwiął samolotem z Zimbabwe, ścigany przez tłum chłopów z widłami i pochodniami, a także jakby od pierwszej chwili niespecjalnie za mną przepadał i po bliższym poznaniu był gotów mnie znienawidzić. Jeśli to Basquiat go tu zostawiła, może był jednym z jej dwóch przydupasów od „nieuzasadnionego użycia siły”. Nie mogłem się już doczekać chwili, gdy się tego nie dowiem.

Tylko przez moment patrzyłem na niego, potem skupiłem uwagę na zamku. Był to baring streamline-D, co oznaczało czterocyfrowy szyfr i trzy ustawienia fabryczne. Kiedyś znałem je na pamięć, ale było to w czasach studenckich, kiedy poważnie podchodziłem tylko do dwóch rzeczy: sztuczek magicznych i włamań. W dzisiejszych czasach muszę polegać na mnemonicym wierszyku, ułożonym przez mojego sensei, Toma Wilke'a, Bandytę z Banbury.

*Jan pan szpieg to
Sieć drzeć dziś co
Szedł przez to zoo.*

Co, jeśli weźmiemy pierwsze litery każdego słowa, przekłada się na: 1563, 7294 i 6530 (przyjmując „Z” za zero).

Zamki cyfrowe nazywamy „tak lub nie”, ponieważ jeśli nie jest się fachowcem od bramek logicznych i elektroniki, pokonanie ich sprowadza się do jednego prostego pytania: czy ten, kto je zamknął, zadał sobie dość trudu, by zmienić ustawienia fabryczne? Składając modły do nieprzesadnie moralnego świętego bądź anioła, opiekującego się egzorcyzmami i zawodowymi przestępcami, wprowadziłem pierwszą kombinację. W chwili, gdy naciskałem czwartą cyfrę, ciągnąłem już za klamkę, a ponieważ nie zaskoczyła, bez chwili wahania wbiłem drugą.

7294 zadziało. Drzwi otwarły się z metalicznym szczękiem. Pozdrawiając konstabla przyjaznym skinieniem głowy, wszedłem do środka. Posłał mi spojrzenie, jakby zamierzał właśnie spytać, kim ja, kurwa, jestem. Rozsądek jednak mu podpowiadał, że skoro znam kombinację, to mam prawo tu być. Zatrzasnąłem za sobą drzwi, nim zdążył się przyjrzeć temu wnioskowi i dostrzec fundamentalny brak logiki.

Jedno szybkie spojrzenie ujawniło puste stanowisko pielęgniarki i krótki, dobrze oświetlony korytarz z czworgiem drzwi. Z miejsca, w którym stałem, widziałem tylko jedno pomieszczenie - bez wątplenia oddział z co najmniej jednym zajęтым łóżkiem. Jego lokator pozostawał niewidoczny, prócz kościstego przylądka ramienia, okrytego wypłowiałą szpitalną piżamą, zapewne identyczną z tymi, które tuż przed śmiercią mieli na sobie wasi i moi dziadkowie.

Tuż obok drzwi, pod plakatem przypominającym każdemu gościowi o obowiązku dokładnego mycia rąk mydłem dezynfekującym, wisiał zlew. Skorzystałem z okazji, by porządnie się wyszorować, częściowo, żeby uspokoić głinę, na wypadek gdyby patrzył przez wzmocnione szkło, lecz głównie dlatego że - podobnie jak u chirurga - to, na co liczyłem,

więzało się z kontaktem fizycznym. Owszem, w dzieciństwie Kenny był niewątpliwie legendarnym sukinsynem, ale, po tym, jak przeżył podcięcie gardła, nie chciałem go wykończyć zakażeniem gronkowcem złocistym.

Podszedłem do następnych drzwi i zajrzałem do środka. Zobaczyłem cztery łóżka, jedno otoczone parawanami. Dobiegający zza nich głos, kobiecy, głęboki i dźwięczny, prowadził połowę pogodnej rozmowy - na drugą połowę składały się różnej długości pauzy.

- Właśnie tak, Malcolmie. Unieś na chwilę tyłek z prześcieradła. Spokojnie. Spokojnie. Ślicznie, właśnie tak. Teraz możesz odpocząć. Za chwilę zrobimy to na drugim boku, ale najpierw spokojnie złap oddech. Czy to boli? Nic? Świetnie. Jeśli zaboli, powiedz mi...

Pozostałe trzy łóżka zajmowali milczący, pogrążeni we śnie mężczyźni. Jeden miał twarz zabandażowaną od linii włosów po brodę, z miejsca, gdzie powinny mieścić się usta, wystawała rurka do oddychania. Karta przy drzwiach poinformowała, że nie nazywa się Seddon, podobnie jak nikt inny w tym pokoju. Ani w następnym. Ani w kolejnym.

Dopiero w ostatnim znalazłem Kenny'ego, a przynajmniej jego nazwisko na drzwiach. Obok niego widniało drugie, „H. Piper”, lecz na pierwszy rzut oka tylko jedno łóżko wydawało się zajęte - stało najbliżej drzwi i na pewno leżący w nim facet nie był Kennym. Po pierwsze, był co najmniej trzydzieści lat za stary, a po drugie czarny, tak przynajmniej wnioskowałem z niewielkich odsłoniętych kawałków skóry, które widziałem między bandażami, kroplówkami i kawałkami specjalnego oddychającego plastra przytrzymującymi czujniki.

Wróciłem na korytarz i ponownie odczytałem listę, sprawdzając, czy nie wykreślono żadnego nazwiska. Ale nie. W pośpiechu, świadom, że lada moment może zjawić się pielęgniarka, ponownie rozejrzałem się po pokoju. Tym razem uświadomiłem sobie, że łóżko stojące po skosie naprzeciw mnie, w dalszym kącie pomieszczenia, nie jest wcale puste. Tyle że leżący w nim gość był tak chudy, że kołdra na nim leżała niemal płasko.

Raz jeszcze instynktownie i bezsensownie obejrzawszy się przez ramię, wśliznąłem się do środka i przeszedłem przez pokój. Spojrzałem z góry na postać w łóżku i niemal się skrzywiłem.

Jeśli to był Kenny Seddon, to upływ czasu porządnie mu dokopał. Już w dzieciństwie wyróżniał się wzrostem i wyrósł na wielkiego faceta, lecz w tej chwili na ową wielkość składały się zaledwie skóra i kości. Pod bladożółtą skórą twarzy - czy raczej połowy twarzy, bo drugą niemal całkowicie skrywał przyklejony plastrami opatrunek - dostrzegałem zarys czaszki, a w miejscach, gdzie za duża piżama rozchyłała się niedyskretnie, było widać żebra, serię żółtobiałych guzów przypominających knykie zaciśniętej pięści. Wyglądał jak namiot,

który zapadł się, gdy ktoś kopniakiem wywrócił tyczkę. A mozolny, nieregularny oddech sugerował, że wewnątrz wciąż coś pracuje, starając się go podnieść, lecz bez powodzenia.

Pojałem jednak mniej więcej, jak mężczyzna, na którego patrzyłem, mógł być chłopakiem, z którym dorastałem pół życia temu. I właśnie to rozpoznanie było najdziwniejsze: oczywiście nigdy dotąd nie obudziłem się i nie ujrzałem w łóżku końskiej głowy, lecz jako *memento mori* Kenny wyprzedzał w cuglach całą konkurencję.

Nie zerkałem nawet na jego kartę medyczną, bo i tak nic by mi nie powiedziała. Z czystego nawyku zajrzałem natomiast do szafki przy łóżku i znalazłem jedynie plastikowy dzbanek z wodą z zatrzaskową przykrywką, plastikową szklanek wciąż tkwiącą w jednorazowym, chroniącym przed bakteriami opakowaniu i Biblię Gideona. Jeśli nawet Kenny miał coś przy sobie, gdy go przywieźli, ktoś wziął to na przechowanie.

Co oznaczało, że jedynym źródłem informacji mógł być dla mnie sam Kenny. Może akurat jest tak miły i śni o gościu, który rozchlaśtał mu brzytwą arterię głowowo-ramienną, i zdołam w przelocie pstryknąć mu psychiczną fotkę. Najpewniej jednak nie. Małe posmaki i zwiastuny odbierane podczas kontaktu skórno-rzadko pozostają dostatecznie spójne: daleko im do ściągniętego z sieci filmu.

Mógłbym położyć dłoń na czole Kenny'ego, ale nie chciałem. W jakiś sposób budziło to niewłaściwe skojarzenia. Zamiast tego odsunąłem róg kołdry, by móc dotknąć jego ręki. I zamarłem, wpatrując się niemądrze w przegub.

Anomalie dotyczące wnętrza samochodu - powiedziała Basquiat. Cóż, istniały też anomalie dotyczące Kenny'ego i właśnie patrzyłem na jedną z nich. Przegub, skaleczony podczas ataku, został zabandażowany dość szeroko. Lecz nad i pod nim ujrzałem szkarłatne kreski starszych nacięć, nie do końca zaleczonych. Nie były to rany obronne - chyba że mieszkał z ninją i każdego dnia obaj staczali walki o ostatnią delicję. To były ślady dawnych prób samobójczych bądź regularnego, nieustępliwego samookaleczenia.

Wyciągnąłem rękę i opuszkami palców dotknąłem otwartej dłoni Kenny'ego. Cisza. Nikogo nie było. Stałem w absolutnym bezruchu, zaciskając powieki, i próbowałem odnaleźć częstotliwość Kenny'ego w zalewających mnie falach emocjonalnego hałasu - minionych, lecz nie wygasłych uczuć, które wsiąknęły w ściany szpitala przez ostatnie półtora stulecia, a teraz moim wysiłonym zmysłem jawiły się jako wypływające z cegieł.

Odbierałem coś, ale niewiele: ledwie mrugające włókienko świadomości, dwudziestopięciowatową żarówkę pozostawioną gdzieś w piwnicy umysłu Kenny'ego - psychiczny odpowiednik pulsu. I nic poza tym: żadnych wspomnień, emocji, a nawet surowych stroboskopowych błysków nieprzetłumaczalnych snów. Kenny nie był dobrym

nadawcą, trudno też wyobrazić sobie gorsze warunki. Wyglądało na to, że zmarnowałem mnóstwo wysiłku i pomysłowości.

Potem jednak, kierując się impulsem, którego świadomie nie rozumiałem, przesunąłem palcami po dłoni Kenny'ego, aż wreszcie koniec wskazującego dotknął śladu starej, kiepsko zabliźnionej rany. Słabe pulsowanie natychmiast otworzyło się, niczym gorący czerwony kwiat, i wzdygnąłem się, wstrząśnięty, o mało nie cofając ręki.

Odbierałem teraz mieszaninę sprzecznych uczuć, krążących wokół siebie i niełączących się ze sobą, niczym oliwa z wodą. Był tam ból, ostry, rzeczywisty, skupiony, oprócz niego jednak także niespokojny głód, niemal erotyczny w swej intensywności, oraz niepokój i pośpiech, bezkształtne przekonanie, które można przetłumaczyć: teraz, teraz, teraz. Zrób to teraz.

Wielkim wysiłkiem powstrzymałem się przed cofnięciem i zerwaniem kontaktu, bo owe emocje były obce i potężne - moje synapsy wypełniały cudze potrzeby i podniecenie, cudze cierpienie. Czuję się jak współnik napaści, w której byłem jednocześnie sprawcą i ofiarą.

W nurcie emocji zaczęły się pojawiać obrazy, niczym cząsteczki w plazmie bądź zwalone drzewa w korycie wezbranej rzeki. Zobaczyłem ciasny, zatłoczony pokój, ledwie mieszczący łóżko i komodę, na której piętrzyły się sterty płyt CD i pustych pudełek: wieżowce i kładki osiedla Salisbury za dnia, a potem nocą, oraz rękę, najpewniej męską, dotykającą powierzchni stłuczonego lustra, w której w kawałkach potłuczonej układanki odbijała się twarz. Wyglądała niesamowicie znajomo, ale nie miałem czasu odtwarzać układanki, bo nieustanny potok myśli porwał ją w dal, zamiast tego przynosząc żyletkę, smak goryczy i tętniącą monotonna piosenkę.

Mam ostrze

To dobrze, bo

Mam ostrze

To dobrze, bo

Próbowałem wyciszyć muzykę, był w niej jednak obłąkańczy, wirusowy upór: zagłuszała i wyłączała kolejno inne wrażenia, aż w końcu pozostał tylko pulsujący rytm.

Otworzyłem oczy i cofnąłem rękę - wypełniające moją głowę dźwięki ucichły. W opuszcze czułem mrowienie i pulsowanie, jakbym dotknął rozpalonej płyty, która pozostawiła na palcu pęcherz.

- Wygląda lepiej niż wcześniej - usłyszałem głos za plecami. Kobięcy głos: pielęgniarka. Chwilę później usłyszałem zbliżające się kroki.

Zdołałem się nie odwrócić.

- Naprawdę? - spytałem. - To znaczy?

Minęła mnie, szybka, zdecydowana, w ręce trzymała szarą plastikową miskę do połowy wypełnioną wodą. Postawiła ją na stoliku obok łóżka Kenny'ego. Przez rękę miała przewieszony ręcznik i kawałek flaneli, je także rozłożyła wyćwiczonymi, oszczędnymi ruchami. Z kieszeni wyjęła butelkę mydła w płynie. Była niską brunetką o szerokich ramionach i biodrach, równie groźną jak jej głos. Na oko w moim wieku, ale nosiła go lepiej. Jak większość ludzi.

- Ciśnienie krwi odrobinę się podniosło - wyjaśniła. - Sześćdziesiąt na czterdzieści. No i porusza oczami we śnie, widziałam to wcześniej. To bardzo dobry znak.

Musiał istnieć powód, dla którego zwracała się do mnie jak do starego druha, zamiast spytać, co właściwie tu robię, bądź wezwać krzykiem gliniarza przy drzwiach. Wcześniej czy później do tego dojdę. Na razie zadowolilem się zbieraniem podsuniętych róż.

- Co pani myśli o tych ranach? - spytałem. Wyprostowała się i spojrzała na mnie, lekko zaskoczona.

- Co ja o nich myślę?

Skinąłem głową.

- Jasne.

- To pan jest fachowcem.

Dobra. Już się wyjaśniło. Nie mogła mnie brać za konsultanta na obchodzie, toteż uznała, że jestem jednym z chłopców Coldwooda i przybyłem po kolejne dowody. Niezbyt dobrze to świadczy o policji metropolitalnej, że gość, który wpada w środku nocy w długim płaszczu i z od dwóch dni niegoloną gębą, zostaje wzięty za jednego z londyńskich sług prawa i porządku, a nie pijaczka szukającego darmowego noclegu.

- Tak - zgodziłem się z poważną miną. - Jestem. Ale wie pani, jak to bywa z ekspertami: *multum in parvo*.

Siostra zamrugnęła, zaskoczona.

- Multi co?

- To oznacza „głęboki, lecz wąski”, co świetnie mnie opisuje. Jestem - tym razem lepiej było nie przedstawiać się jako Castor, bo możliwe, że moje nazwisko niedługo trafi do jakiegoś raportu - Basquiat. Rudy Basquiat. Detektyw sierżant. A pani?

Obdarzyła mnie staroświeckim spojrzeniem i postukała w znaczek przypięty do bujnej piersi. Petra Ryall, siostra oddziałowa. Jasne. Od razu poczułem jej oddziaływanie.

- Petra - rzekłem na głos. - Chodzi mi o to, że patrzę na wszystko pod pewnym kątem. A twój kąt z pewnością jest inny, bo...

- Bo?

- Bo ja jestem twardym, zgorzkniałym, cynicznym londyńskim gliną, a ty aniołem miłosierdzia.

Siostra Ryall wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Myślisz, że nakręcą o nas serial?

- Z pewnością.

- Wiem tylko, co widziałam, gdy zakładałam opatrunki, ale pomyślałam sobie, że rany są strasznie dziwne. Ty też tak sądzisz?

- Panie przodem - zaproponowałem - a potem ja. Co masz na myśli, mówiąc: „dziwne”?

Wzruszyła ramionami i zerknęła w kąt pokoju, grzebiąc w pamięci.

- Po prostu... strasznie zróżnicowane i przypadkowe. Niektóre niżej, inne wyżej. Lewa strona, prawa strona. Dziwactwo. Mówili, że kiedy go zaatakowano, siedział w samochodzie. Można by sądzić, że w samochodzie jest za mało miejsca, by zaatakować ze wszystkich stron.

Pokiwałem zachęcająco głową, jakby powtarzała moje własne myśli.

- Powiedzmy, że się szamotał, próbując się wydostać - podsunąłem. - Usiłując odpiąć pas bezpieczeństwa. Kręciłby się wtedy, nadstawiając napastnikowi różne części ciała. Może tak było?

- Może - ustąpiła Petra, lecz jej głos zdradzał, że w to wątpi. - Sama nie wiem. I było coś jeszcze, wiesz? No, oczywiście, że wiesz. Jeśli gadam bzdury, to mi przerwij.

- Proszę, mów dalej.

- No cóż, część tych skaleczeń to naprawdę dwa skaleczenia. Bo brzytwa trafiła dwa razy w to samo miejsce. Da się to stwierdzić, bo różne linie - nacięcia - nakładają się na siebie. Wygląda to więc raczej tak jakby ktoś go przytrzymał, a ten drugi ciął raz po raz. Czy to ma sens?

- Całkowicie - zapewniłem ją. - Dowody, wskazówki, wnioski. Byłby z ciebie dobry detektyw.

Wyraźnie doceniła komplement.

- I co, łączą się? - spytała, wskazując palcem Kenny'ego i drugiego lokatora.

Przez moment poczułem się zagubiony.

- Skąd to założenie? - zagrałem na czas.

Moje sumienie musiało się odbić na twarzy. Petra zawahała się, może w obawie, że przekroczyła granicę kryminalistycznej przyzwoitości.

- No, chyba z powodu adresu - rzekła w końcu. - Ten sam kod pocztowy. I dwa przypadki ran kłutych zgłoszone w tak krótkim czasie. Wiem, że to nie brzytwa, ale pomyślałam, że może jednak...

- Nie, nie, absolutnie - zgodziłem się, gdy umilkła. - Jak dotąd, nie odrzuciliśmy tej możliwości. Po prostu zaimponowało mi, że skojarzyłaś fakty. Czy jednak naprawdę czas był taki krótki?

Okrążyła drugie łóżko i sprawdziła kartę.

- Trzy dni - przyznała. - Zdawało mi się, że tylko dwa.

- I sposób działania - zastanawiałem się głośno, ryzykując. - Czasami różnice są bardzo znaczące.

Petra spojrzała na kruchego staruszka między nami, pogrążonego w niespokojnym śnie.

- Znowu mnóstwo obrażeń - rzekła. - Lecz tym razem to niewielkie nakłucia. Wszystkie mniej więcej tej samej głębokości. Upierne. Zupełnie jakby ktoś związał go drutem kolczastym czy coś w tym stylu. Ale on po prostu leżał w łóżku... Dopóki nie znalazł go ksiądz i nie sprowadził tutaj.

Ksiądz.

- Ojciec Gwillam - zgadłem.

- Tak, on. - Zerknęła na mnie ze smutną miną. - Kto mógł zrobić coś takiego biednemu staruszkowi? - spytała ostro. - To okropne. Czasami nienawidzę tego świata.

Przytaknąłem, lecz myśli wirowały mi szaleńczo i z najwyższym trudem utrzymałem stosowną minę pokerzysty. Czy w tym przypadku ważniejsze były podobieństwa, czy różnice? Czy widziałem wariacje na jeden temat, czy też dwa niezwiązane ze sobą akty przypadkowej przemocy? Jedną ofiarę pokaleczono brzytwą, drugą wielokrotnie kłuto. Kenny został napadnięty we własnym samochodzie, drugiego gościa najwyraźniej zaatakował włamywacz. Ale z tego, co mówiła Petra, obie ofiary pochodziły z osiedla Salisbury. A osiedle Salisbury cierpiało na dwie równoległe plagi: złowieszczych graffiti i Anathematy.

Uznałem, że warto jeszcze raz zmierzyć temperaturę, zwłaszcza że nie miałem tu nic do stracenia. Nie prosząc o pozwolenie, pochyliłem się, by obejrzeć z bliska śpiącego staruszka. Nie dostrzegłem ran kłutych, o których wspominała Petra, ale trzy niewielkie

opatrunki na jego twarzy - na czole, policzku i brodzie - wskazywały położenie niektórych. Delikatnie dotknąłem jego policzka grzbietem dłoni, możliwie najbliżej plastra.

Nic. Nie byłem pewien, czego się spodziewałem - i czy ten sam gwałtowny, barwny przebłysk, jak w przypadku Kenny'ego, byłby tu mile widziany. Lecz ten człowiek twardo spał, jego umysł i dusza zamknęły się w sobie. Nic nie można było z nich wydobyć, a przynajmniej ja nie mogłem.

- Dziękuję za poświęcony mi czas, siostrze Ryall. - Pozdrowiłem ją skinieniem głowy i cofnąłem się od łóżka. Przyglądała mi się z cierpliwym zaciekawieniem. - Pomogłaś mi lepiej uzmysłwić sobie parę rzeczy.

- Bardzo proszę - odparła. - Posłuchaj, przyszedłam tu, żeby umyć pana Seddona. Będę musiała ustawić parawany, a że nie należysz do rodziny...

Uniosłem rękę.

- Zostawię cię samą - rzekłem. - Chętnie obejrzałbym cię w akcji, ale mam inne miejsca do odwiedzenia i zbrodnię do rozwiązania. Wiesz, jak jest.

- Tak. - Skinęła głową. - Chyba tak. Ulicami... jak to nazywacie... Ulicami zła...

- Musi wędrować człowiek. Właśnie.

- Jesteś dość wyluzowany jak na detektywa, prawda, sierżancie Basquiat?

- Kiedyś pracowałem w wydziale narkotyków - rzekłem. - Po jakimś czasie trawka zaczyna działać na człowieka. Dzięki, Petro.

Gdy odchodziłem, ostrożnie przekreślała Kenny'ego na bok. Lepiej ona niż ja.

Gliniarz przy drzwiach tym razem zaszczyił mnie krótszym niż poprzednio, przelotnym spojrzeniem. Ludzie wychodzący z oddziału interesowali go jeszcze mniej niż ci otwierający drzwi właściwym kodem.

Zerknąłem na zegarek. Do północy zostało sporo czasu, ale nim dotrę do Walworth, godzina duchów już minie.

I dobrze. Miałem tam do załatwienia coś, czego wolałem nie robić w blasku słońca.

7

Nocą osiedle Salisbury było jeszcze mniej ujmujące niż za dnia. Księżyc myśliwego wywabiał z fasad wieżowców niestawiające oporu pastele, upodabniając je do tytanicznych, kościanych żeber, a cienie zalegały pod kładkami niczym zaschnięta krew.

Natomiast powietrze żyło. Wyglądało na to, że podczas gdy mieszkańcy spali, emocjonalna miazma, którą wyczułem podczas pierwszej wizyty, przebudziła się i poruszyła. Wcześniej stanowiła jedynie irytujący hałas, niedający mi spokoju, dopóki w końcu nie dostroiłem się do niego i nie pozwoliłem mu powoli wygasnąć. Teraz jednak wyskoczyła na pierwszy plan, brzęcząc mi w uszach niczym rozwścieczony komar.

Nie, nie rozwścieczony. To nie wściekłość czułem, lecz coś innego - jednak kiedy zacząłem szukać słowa, uczucie zniknęło, natrętny bzyk umilkł, tak jak komar, gdy tylko unosimy w gotowości zwiniętą w rulon gazetę. I tak naprawdę nie brzęczał mi wcale w głowie, lecz w mych palcach i dłoniach, jak coś, co musiałem zrobić i co z każdą chwilą stawało się coraz bardziej naglące.

Tak, teraz to do mnie dotarło: to było to samo uczucie naglącego niepokoju i głodu, które odebrałem, dotykając starej rany na przegubie Kenny'ego.

Tym razem przyszedłem z północy i ponieważ znałem drogę, poruszałem się szybciej. Może zdołam załatwić sprawę i się wynieść, nim od tej natrętnej obecności rozboli mnie głowa, co zrujnuje mi resztę nocy.

Dochodziła pierwsza i na ulicach było pusto. Większość świateł w mieszkaniach także już pogasła, sugerując, że poczciwi ludzie z Walworth udali się na spoczynek. Może bali się wilkołaków, choć w rzeczywistości to nów powoduje większość problemów na tym froncie: wtedy właśnie ciało zwierzęcia stawia największy opór ludzkiemu duchowi, który go dosiada, doprowadzając do przerażających połączeń człowieka i bestii.

Gdy tylko księżyc przyświecał swą pochodnią, przebiegałem wzrokiem mury i filary, sprawdzając graffiti. Ani razu nie zauważyłem dziwnego symbolu, lecz slogan „Teraz krwawi” wypisano na listewkach zagrody zasobników na śmieci, a pod nim inną ręką - albo przynajmniej kolorem - drugi: „będzie bolało”.

Wkrótce dotarłem do bloku Westona i na ósme piętro. Wokół panowała grobowa cisza - jakby w dzisiejszych czasach to szczególne porównanie miało jeszcze jakikolwiek sens. Przez chwilę obawiałem się, że drzwi zewnętrzne zostaną zamknięte na klucz, ale nie, tyle że otworzyły się z przeciągłym, zardzewiałym skrzypieniem godnym filmu z Borisem Karloffem. Uchyliłem je na szerokość ciała i wśliznąłem się do środka, a potem zablokowałem leżącą na podłodze pustą paczką po silk cutach, by nie musieć powtarzać potem tego krótkiego koncertu.

Drzwi Kenny'ego przez jakieś półtorej minuty stawiały opór moim wytrychom: trwałoby to krócej, gdybym mógł zapalić światło na korytarzu. Uznałem jednak, że lepiej będzie tego nie robić. Gdy tylko cylindry ogłosiły lakonicznym szczękiem swą kapitulację, wśliznąłem się do środka i bezszelestnie zamknąłem za sobą drzwi. Teraz mogłem się odprężyć. Jeśli nie narobię hałasu, mało prawdopodobne, by ktoś mnie przyłapał.

Wyciągnąłem z kieszeni niewielką latarkę i zapaliłem. Mocny, lecz wąski strumień światła ukazał ponury przedpokój, zagracony pudełkami i rozrzuconymi butami. Na trzech haczykach na ścianie po prawej wisiały jakieś sześćdziesiąt trzy płaszcze. Wykładzinę, na oko pochodzącą z lat siedemdziesiątych, ozdabiał wzór wielobarwnych, jaskrawych mandali, żaden z kolorów nie pasował do pozostałych. Nozdrza wypełnił mi słaby, smutny zapach opuszczonych pomieszczeń, nieświeżych posiłków, zastałego dymu papierosowego i wilgoci.

Przeszukałem kieszenie płaszczy - ponieważ nie miałem pojęcia, czego szukam, mogłem zacząć w dowolnym miejscu. W jednym tkwiły bilety od bukmachera, w drugim klucze. Reszta okazała się pusta, oprócz kłaczek i osieroconej zapalki.

Przedpokój miał zaledwie trzy kroki długości. Na jego końcu, zamiast drzwi wiodących do salonu bądź sypialni, ujrzałem schody prowadzące w dół. Natknąłem się już wcześniej na podobne zjawisko, kiedy mieszkałem w bloku komunalnym przy Barking Relief Road: w fachu budowlanym nazywają to pionową jodełką. Zamiast rozmieścić wszystkie pokoje każdego mieszkania na danym piętrze budynku, układa się je w trójwymiarową mozaikę, dzięki czemu można mieć drzwi wejściowe na ósmym piętrze, jak Kenny, a resztę mieszkań na siódmym - czy też, przy większym pechu, na siódmym, ósmym i dziewiątym, w zależności od ograniczeń przestrzeni i tego, jak pomysłowo projektant starał się ją wykorzystać. Większość znanych mi osób, które miały okazję mieszkać w podobnych budynkach, szczerze tego nienawidzi, oznacza to bowiem, że nasza sypialnia może się mieścić tuż obok czyjś pokój dzienny - a my, do wtóru ryku telewizora za cienką gipsową ścianą, z gasnącą nadzieją liczymy kolejne stada owiec.

Zszedłem po schodach prowadzących wprost do salonu. W świetle lampy stojącej na kładce tuż za oknem zobaczyłem dokładnie cały pokój, bo Kenny przed wyjściem nie zasunął zasłon. Podeszedłem i zrobiłem to, po czym zapaliłem światło. Tutaj też niewiele znalazłem: podstarzały zestaw wypoczynkowy, akwarium, w którym krążyło parę neonków i tęczanka, regał z zaledwie tuzinem książek, stojak na czasopisma, pękający w szwach od starych numerów „TV Quick” i duży panoramiczny telewizor. Zacząłem szukać, najpierw pobieżnie, potem dokładniej, zaglądając pod poduszki i oparcia foteli. Nie natrafiłem na nic choć trochę osobistego i nic, co *a fortiori* dawałoby nawet najłżejsze pojęcie o tym, co chciał mi powiedzieć Kenny, zakładając - a teraz miałem co do tego znacznie większe wątpliwości niż w chwili, gdy wychodziłem z aresztu przy Uxbridge Road - że w ogóle próbował mi coś powiedzieć.

Z pokoju prowadziły tylko jedne drzwi, wchodzące na drugi korytarz z wejściami do wszystkich pozostałych pomieszczeń. Pierwszym okazała się łazienka, urządzona w błękitach i granacie, z powtarzającym się motywem brakujących kafelków. Drugim była sypialnia: duże, podwójne łóżko (niezasłane), szafa i toaletka (ta druga podejrzanie pusta), krzyż wiszący na ścianie nad łóżkiem, który skojarzył mi się - wywołując mimowolny grymas niechęci - z pokojem mamy i taty w Walton, w którym ukrzyżowany Chrystus spoglądał z góry na wszystko, co robili. W mojej opinii to dosyć, by obdarzyć człowieka trwałą impotencją. Podobnie jak w salonie, okno sypialni wychodziło bezpośrednio na kładkę łączącą Westona z sąsiednim blokiem.

Jeśli w mieszkaniu kryły się jakiegokolwiek wskazówki dotyczące tego, co próbował mi powiedzieć Kenny, to zapewne właśnie tutaj, lecz coś kazało mi sprawdzić także ostatnie drzwi. Za nimi ujrzałem kolejną sypialnię; przyjrzałem się jej z progu z zimnym dreszczem. Miałem wrażenie, że znam ten pokój, choć widziałem go wcześniej tylko raz: i nie muszę chyba mówić, że stało się to, gdy przyłożyłem palce do ran Kenny'ego w Royalu.

Wszystko wskazywało na to, że należał do nastolatka. Oprócz wieży stereo i stert płyt kompaktowych (w większości death metalu i ciężkiego rocka) na ścianie wisiały plakaty Vina Diesela i Abbie Titmus - na szczęście nie razem - a lampę na stoliku przy łóżku ozdabiała logo Manchester United. Istniały jednak pewne różnice pomiędzy tym pokojem a obrazem oglądanym we wspomnieniach Kenny'ego: teraz płyty leżały starannie ułożone, warstwa skarpetek i bokserek zaścielająca wszystkie powierzchnie poziome w zapamiętanym pokoju zniknęła, z łóżka zdjęto pościel, a wieżę pokrywała gruba, nietknięta patyna kurzu. Od bardzo dawna nikt tu nie mieszkał.

„Człowiek zawsze się zastanawia, czy mógł zrobić coś jeszcze” - powiedziała pani Daniels. O czym? Gdzie był dzieciak, który sypiał w tym łóżku? Po czym to Kenny nigdy nie doszedł do siebie?

Byłem świadom faktu, że na wszystkim, czego tu dotknę, pozostaną ślady w kurzu. Nie odciski palców, bo miałem na dłoniach rękawiczki. Mimo to uznałem, że nierozsądnie byłoby tak otwarcie anonsować swoją wizytę. Wycofałem się z lekkim niepokojem i wróciłem do głównej sypialni: pokoju Kenny'ego i, sądząc po podwójnym łóżku, także jego żony. Jej jednak najwyraźniej nie było, a także nikt o niej nie wspominał. Zresztą, Coldwood już wcześniej powiedział, że Kenny mieszka sam.

Zacząłem od komody. Były w niej głównie skarpetki, bielizna i podkoszulki, wszystkie w szufladach po lewej, te po prawej okazały się puste. Kolejne dowody: kiedyś Kenny miał rodzinę, teraz już nie.

Co irytujące, nie miał też żadnych zdjęć - w sypialni i salonie znalazłem zero osobistych pamiątek i pod tym względem przypominały pokoje hotelowe. Nie zdziwiłbym się, natrafiając w jednej z szuflad na Biblię Gideona.

Po półgodzinie metodycznego, lecz bezowocnego grzebania, mogłem się pochwalić jedynie skarbczykiem porno Kenny'ego, ukrytym na najwyższej półce w szafie i pudełkiem po butach za nim, wypełnionym starymi taliami kart, noszącymi wyraźne ślady użycia. Czasami potrafię też odebrać emocjonalny rezonans, dotykając przedmiotów, choć zwykle owe wrażenia bywają słabsze i mniej wyraźne niż te w kontaktach z żywymi ludźmi. Zdjąłem rękawiczkę i bardzo lekko dotknąłem od wewnątrz krawędzi pudełka. Pulsowało echemi dawnego podniecenia, wyczekiwania, przyjemności, sięgającymi bardzo głęboko i wciąż niezwykle silnymi. Najwyraźniej Kenny bardzo lubił grać w pokera.

Myśląc o braku zdjęć, uświadomiłem sobie nagle, że zignorowałem to, co oczywiste. Wróciłem do salonu i sprawdziłem regał, bo przypomniałem sobie, że jeden z grzbietów książek był znacznie większy niż pozostałe: i rzeczywiście, pośród Jeffreyów Archerów i Wilburów Smithów tkwił album oprawiony w czerwony, udający skórę plastik. Z powrotem włożyłem rękawiczkę i wyciągnąłem go ze stłumioną satysfakcją. Teraz może przynajmniej zorientuję się, co działo się w życiu Kenny'ego: zapewne nie będzie to dymiąca spluwa, ale może coś, co wskaże mi inny kierunek. A przynajmniej poznam nieuchwytną żonę i dziecko.

W istocie poznałem tylko jedno z dwojga. Album zaczynał się od fotografii przedstawiających pulchne, pomarszczone, podobne do Winstona Churchilla niemowlę, które na dziesięciu, dwunastu stronach zmieniło się w znacznie mniej pulchne dziecko, a potem w coraz wyższego i chudego chłopca o notorycznie potarganej kasztanowej czuprynie i

niemądrym uśmiechu, najwyraźniej stanowiącym jego typową minę przed obiektywem. Przerzuciłem parę kolejnych kartek, patrząc, jak wyrasta na jeszcze chudszy i długowłosego nastolatka. I po drodze natrafiłem na pierwsze okaleczone zdjęcie. A potem na więcej.

To nie podobiznę chłopaka okaleczono, lecz towarzyszącej mu czasami kobiety - w dzieciństwie trzymającej go na rękach, tulącej, kiedy był starszy - czasem samej, czasem pozującej obok mężczyzny, niewątpliwie Kenny'ego. Na każdym zdjęciu, na którym się pojawiała, jej głowę wycięto mocnymi cięciami noża bądź żyłki - zwykle *in situ*, pozostawiając dziury przechodzące na wylot i usuwające pozbawione sensu klipy ze zdjęć po drugiej stronie. Zawsze wycinano jedynie i wyłącznie twarz: zazwyczaj gęste, bujne jasne włosy pozostawiano nietknięte, wraz z mikrometrem czoła. Kenny i stale rosnący chłopiec uśmiechali się i uśmiechali, stojąc obok i trzymając za ręce kobietę, której bezokie podobizny patrzyły na mnie z niemym wyrzutem.

Z rosnącym niepokojem odstawiłem album na półkę. Potem wróciłem do sypialni, by zatrzeć wszelkie ślady swej obecności. Odstawiłem na regał pudełko po butach, na najwyższą półkę, i zacząłem układać przed nim świerszczyki, tak jak leżały przedtem. I gdy to robiłem, uderzyła mnie nagle bezsensowność tego obrazka. Co wymagało staranniejszego ukrycia niż dwa stare roczniki pornograficznego czasopisma „Barely Legal”? Co trzyma się za swoimi świerszczykami?

Ściągnąłem pudełko po butach i przyjrzałem mu się ponownie. Jego ścianki ozdabiały warstwy geologiczne naklejek: postaci z japońskiej kreskówki, zespołów piłkarzy z identycznie uniesionymi głowami i rękoma. Kiedyś musiało należeć do dzieciaka, i to zapewne bardzo długo.

Starannie wypakowałem jego zawartość na łóżko. Pod czwartą warstwą kart Waddingtona znalazłem smukłe czarne pudełko, zbyt długie i wąskie, by zawierało kolejną talię. Zrobiono je z plastiku i sądząc po logo i nazwie Lorus, kiedyś najpewniej kryło w sobie zegarek. Otworzyłem je przytknięciem i ujrzałem całkiem odmienną kolekcję przedmiotów.

Najpierw moją uwagę przyciągnęły żyłki: pół tuzina najlepszych produktów Wilkinsona, nadal w opakowaniach, ciasno owinięte czerwoną gumką. Obok leżały plastry i sztyft z alunu, niewielka buteleczka jasnożółtego płynu, który okazał się wodą kolońską, i błyszcząca stalowa końcówka strzałki do rzucania, z usuniętymi lotkami. Znalazłem też jedną żyłkę bez opakowania, osadzoną w korku po winie. Korek z kolei starannie zamocowano na plastikowym uchwycie w pudełku, niegdyś przytrzymującym zegarek.

Wszystko było czyste, bez śladu krwi i pachniało bardzo słabo kwiatowo-alkoholową wodą kolońską. Wiedziałem jednak, na co patrzę, i wiedziałem, do czego służy. Delikatnie dotknąłem żyletki, potwierdzając swoje domysły. To nie karty łączyły się z owym częstym, dawnym uczuciem radości i podniecenia, lecz ten małeński zestaw do kaleczenia.

Zamknąłem go ponownie, schowałem do pudełka, a pudełko na miejsce. Odtwarzałem właśnie barykadę z pornosów, gdy kątem oka dostrzegłem ruch za oknem. Było za późno, by gasić światło albo gdzieś się chować - pokazałbym tylko wszem wobec, że nie mam prawa tu być. Zamiast tego dokończyłem to, co zacząłem: możliwie powoli i nonszalancko zamknąłem szafę i odwróciłem się, by wyrzeć w noc.

Z początku nie widziałem źródła ruchu, bo teraz wszystko wydawało się zastygłe w miejscu. Potem, wodząc wzrokiem z lewa na prawo, w końcu zauważyłem niewielką postać, stojącą na betonowej balustradzie kładki po przeciwnej stronie, na wprost. Wyglądała jak chłopiec, małełtni, przygarbiony, ze spuszczoną głową, wpatrujący się w ziemię jakieś dwadzieścia metrów niżej. W ogóle się nie poruszał i dlatego trudno było go zauważyć - ów ruch, który przyciągnął moją uwagę, musiał towarzyszyć wspinaniu się na ochronny murek.

Nic w jego postawie nie sugerowało, by miał skoczyć - równie dobrze mógł czekać na kolegę albo autobus, gdyby nie zwariowane miejsce, które do tego wybrał. Oczami duszy jednak widziałem, jak to się zakończy: bezkształtny i bezwładny, popękany worek krwi i kości, niegdyś będący istotą ludzką, leżący na chodniku. Widziałem to, jakbym zapamiętał ten obraz, oglądany dokładnie z miejsca, w którym teraz stał dzieciak.

I może ów przebłysk fałszywych wspomnień zdopingował mnie do działania. Nie pamiętam, bym cokolwiek planował i podejmował rozsądną decyzję. Nagle wypadłem z sypialni, przebiegłem przez salon i po schodach, przeskakując po trzy stopnie na raz. Szarpnięciem otworzyłem drzwi Kenny'ego i pozwoliłem im rąbnąć o ścianę, nie zważając na hałas, potem wypadłem przez stare wahadłowe drzwi na kładkę. Od chwili, gdy ujrzałem tam chłopaka, minęło najwyżej dwadzieścia sekund.

Kiedy jednak dotarłem na miejsce, zatrzymałem się gwałtownie, niepewny, co dalej robić. Chłopiec wciąż stał w dokładnie tej samej pozycji tam gdzie przedtem, jakieś pięć metrów ode mnie. W jego bezruchu było coś nienaturalnego: każdy człowiek w podobnej pozycji, stojąc nad przepaścią, kołysałby się lekko, nieświadomie poprawiając równowagę.

Ten dzieciak był sztywny i nieruchomy niczym posąg.

Postąpiłem krok - nie w jego stronę, lecz ku balustradzie, bo pomyślałem, że jeśli będzie wyglądało na to, że zamierza skoczyć, wciąż pozostanie mi chwilka pozwalająca zaatakować z boku i zepchnąć go na kładkę, zanim zleci. Cały czas wbijałem w niego wzrok,

toteż nagle ujrzałem jego profil i uświadomiłem sobie kto to: jasnowłosy chłopiec, który wskazał mi drogę podczas pierwszej wizyty.

- Bic! - zawołałem cicho.

Nie odpowiedział, jakby w ogóle nie usłyszał. Oczy miał szeroko otwarte; nie mrugał.

Postąpiłem kolejny krok, potem następny, starając się czynić to bezgłośnie. Jeśli wpadł w jakiś trans, obudzenie go było ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał.

Kiedy znalazłem się dość blisko, by go dotknąć, przemówił:

- Będzie bolało - wymamrotał łagodnym, zamyślonym tonem.

Nie wiedziałem, czy to ostrzeżenie, czy skarga. W ogóle mnie to nie obchodziło. Jeśli ostrzeżenie, zamierzałem je zignorować. Jeśli opłakiwał swój los, zapewne podziękuję mi, gdy się obudzi. Jeżeli się obudzi.

W chwili, gdy ugiął kolana, skoczyłem. Kiedy złapałem go w pasie, oderwał już stopy od podłoża. Okazało się jednak, że nic nie waży i moja siła rozpędu zdecydowanie pokonała jego własną. Polecieliśmy na bok, nie na dół, i padając, przeturlałem się, żeby go nie przygnieść ani nie walnąć jego głową w beton. W rezultacie wylądowałem niezgrabnie, boleśnie uderzając łokciem i przedramieniem w ziemię, tak że przez moment skupiłem się wyłącznie na własnym cierpieniu. W tej sekundzie Bic z okrzykiem zdumienia i strachu wyrwał mi się i zaczął się gramolić do tyłu na tyłku i łokciach. Jego twarz nadrabiała wcześniejszy bezruch, w ciągu kilku sekund przybierając całą gamę wyrazów. Potem spojrział na zimny beton, na którym siedział, na własne ręce i rozgniewany księżyc świecący nad blokiem Westona. Gdzieś bardzo blisko rozległ się miarowy dźwięk, przypominający ciche klaskanie. Ale poza nami dwoma na kładce nie było nikogo.

- Cholera - rzucił Bic tonem zwykłego, zszokowanego niedowierzania.

- Nic ci nie jest - odparłem niepotrzebnie. - Lunatykowałeś. - Może to było za mało, ale chociaż tłumaczyło kwestię zasadniczą.

- Ja... - zaczął. - Ja... nie... Gdzie ja jestem? Kim pan jest? Niech się pan do mnie nie zbliża. Niech się pan do mnie, kurwa, nie zbliża, albo pana walnę! Co mi pan zrobił?

- Powstrzymałem cię przed skokiem - odparłem.

Tak ujęte zabrzmiało to nieco brutalnie, ale właśnie uświadomiłem sobie, czemu Bic przygląda się swoim rękoma, i skąd brały się owe stłumione odgłosy. Krwawił - w obu dłoniach zbierała się gęsta lepka ciecz, w niezdrowym blasku księżycy zupełnie czarna, po czym przelewała się i kapała na beton, niczym olej z nieszczelnego gaźnika.

- Nie ma mowy - odrzekł bez przekonania Bic. - W... w życiu.

Podniosłem się i podszedłem do miejsca, gdzie siedział, wsparty plecami o balustradę. Jego przerażone oczy spojrzały w moje. Wzięłem go za rękę i przekreśliłem ją, by obejrzeć przegub. Był nietknięty: ani śladu ran, starych bądź nowych. Krew zbierała się we wnętrzu każdej dłoni i kapłała niczym lepki czerwony deszcz. Nadal miał na nich bandaże. Całkowicie nasiąknięte krwią, nawet nie spowalniały jej upływu.

Odwinąłem jeden, bo i tak do niczego się nie nadawał. Uznałem, że jeśli obejrzę ranę, może zdecyduję, co zrobić, zanim mały zemdleje z upływu krwi. Głównie jednak kierował mną instykt - czułem coraz silniejsze mrowienie w palcach, jakbym trzymał w każdej dłoni komórkę ustawioną na wibrowanie.

Na dłoni Bica nie znalazłem rany, jedynie krew, wypływającą spod skóry jego przegubu i palców, jak woda przesiąkająca i przeciekająca przez włókienka papierowego ręcznika. Zobaczyłem to w ułamku sekundy w świetle lampy nad naszymi głowami, a potem wyrwał mi rękę i cofnął się pośpiesznie ze wściekłą miną.

Głośno przełknąłem ślinę, bo widok owej nierany potężnie mną wstrząsnął.

- Od jak dawna to trwa? - spytałem Bica możliwe jak najłagodniej.

- Wracam do domu - wymamrotał, wodząc wzrokiem wzdłuż kładki. Nie ruszył się jednak, w dodatku patrzył w złą stronę. Blok Westona był za nami.

- To chyba dobry pomysł - rzekłem. - Tutaj. Chodź.

- Dobrze - odrzekł odruchowo.

Nadal patrzył w tę samą stronę. Podążyłem za jego wzrokiem i ujrzałem grupkę maszerujących ku nam ludzi; wyłaniali się właśnie z cienia sąsiedniego wieżowca.

Było ich siedmiu czy ośmiu, w zasadzie wciąż dzieciaków, lecz znacznie starszych i dużo większych od Bica. Dość dużych, by uważali się za mężczyzn. Maszerowali w nierównym szeregu, przecinającym całą szerokość kładki. Idący z przodu i pośrodku był niemal tak chudy jak Bic, ale po bokach miał dwóch solidnych osiłków, którzy równie dobrze mogli nosić w klapach znaczki z napisem „goryl”. Reszta gangu trzymała się krok czy dwa dalej - wyraźnie znała swoje miejsce.

Wyglądało na to, że niewiele się zmieniło od czasów, gdy sam ganiałem z bandą z Arthur Street. Może pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają?

- Co ty tu kombinujesz? - spytał dowodzący szczeniak, patrząc na mnie z kamienną twarzą.

Potem jego wzrok powędrował ku Bicowi i oczy otworzyły mu się ze zdumienia; schylił się i dźwignął z ziemi młodszego chłopaka tak bezceremonialnie, że Bic się zatoczył i znowu o mało nie upadł.

- Mówiłem ci przecież, kurwa! - warknął groźnie. - Nie wolno ci wychodzić po zmroku. Czemu, do kurwy nędzy, nigdy się nie słuchasz?

A zatem to był drugi syn pani Daniels, jej John, którego opisała jako potencjalny skarb. Mnie się bardziej skojarzył z jednym z pocisków z salwy rozpryskowej - teoretycznie oba określenia niosą ze sobą obietnice, ale jedno jest o wiele bardziej prawdopodobne niż drugie.

Z powrotem skupił na mnie uwagę i przez moment bawiliśmy się w twardej. Miał na sobie kurtkę ze sztucznej skóry „identycznej z naturalną”, czarne dżinsy i obowiązkowe martensy; zaciskał i rozluźniał pięści, jakby miał straszną ochotę mi przywalić. Jego oczy poruszały się niezbornie, co uznałem za zły znak.

Cokolwiek zażył, wyraźnie wpływało na jego układ nerwowy, a zatem z pewnością też na nastrój.

- Czy ten skurwiel próbował się do ciebie dobierać? - spytał John.

Bic gwałtownie pokręcił głową, albo podkreślając przeczenie, albo też po to, by się otrząsnąć.

- Spadałem, Johnno - powiedział. - Przez... - Dokończył barwnym gestem, wskazując balustradę ochronną. - On mnie złapał. Ściągnął z powrotem. Chyba... chyba chodziłem we śnie czy coś.

- We śnie? - powtórzył z niedowierzaniem szczeniak alfa, Johnno.

- Tak.

Ta odpowiedź wyraźnie nikogo nie zadowoliła. Jeden z szeregowych ściągnął Bica z linii ognia, pozostali, idąc w ślady przywódcy, ruszyli ku mnie. Teraz, gdy nauczyłem się rozpoznawać objawy, stwierdziłem, że z ich oczami dzieje się to samo: otwierali je zbyt szeroko, a kiedy światło z lampy padało na ich twarze pod odpowiednim kątem, widziałem, że źrenice mają mocno rozszerzone. Metamfetamina? Ketamina? A może po prostu naćpali się życia?

I ta chwila namysłu sprawiła, że znalazłem się poza granicą możliwej ucieczki. Gang otaczał mnie półokręgiem, a metaliczny szczęk dobiegający z wysokości pasa świadczył, że przynajmniej jeden z tych miłych chłopców ma przy sobie sprężynowiec. Po pierwszym cichym dźwięku nadeszły kolejne, z tej samej parafii, i ujrzałem ostrza błyskające im w dłoniach. Zupełnie jakby ktoś gdzieś nacisnął guzik. To już nie była zwykła przepychanka-nastraszanka, lecz coś zupełnie innego - coś bardziej rytualnego i nieuniknionego. Jeśli nie zdołam szybko uspokoić tych gówniarzy, zrobi się paskudnie.

- Co robisz na moim terenie, pierdolony pedale? - spytał Johnno, lecz głos miał senny, wcale nie agresywny.

- Tu? - Zatoczyłem palcem wskazującym krąg. - To jest twój teren?

- Zgadza się. - Johnno przytaknął dwa razy powoli, jakby się kłaniał.

- Jak daleko?

- Słucham?

- Jak daleko jest twój? No wiesz, gdzie się zaczyna i kończy?

Uniósł rękę, po raz pierwszy demonstrując mi nóż. Ostrze było długie i smukłe, zwięzające się na końcu, bardziej przypominało szpikulec do lodu. Trącił mnie nim lekko w podbródek.

- Należą do mnie, całe pieprzone bloki.

- Wszystkie? - spytałem.

- Johnno... - To był głos Bica wołającego gdzieś z boku, gdzie pozostawał niewidzialny poza murem większych i starszych dzieciaków. - On mnie nie tknął.

- Zamknij się, Bic. Tak. Wszystkie.

- Zatem to ciebie należy pytać o coś, co się tu dzieje?

Niemal niedostrzegalna chwila wahania.

- Ty o nic nie pytasz, cipo - rzekł Johnno i znów jego łagodny ton kontrastował ze słowami. - Ja pytam, ty odpowiadasz. Zakradasz się tu w środku nocy. Dotykasz mojego pieprzonego brata...

By podkreślić, jak bardzo go wkurzyłem, pchnął mnie w pierś wolną ręką. Ponieważ opierałem się już o balustradę, nie miałem dokąd uciec, chyba że w dół. Szkoda. Dół był bowiem jedynym kierunkiem, którego zamierzałem unikać.

Spróbowałem po raz ostatni.

- Szukałem pewnych informacji. Ale jeśli wolisz, żebym wrócił kiedy indziej...

Johnno zaśmiał się cicho, sugestywnie.

- Wróć, kiedy ci zdejmną pierdzielone szwy - poradził i cofnął rękę.

I w owej przerwie między ideą a wykonaniem pochyliłem głowę i z całą dostępną mi siłą rąbnąłem go w grzbiet nosa.

Technika dekapitacji dobrze się sprawdza w przypadkach dyktatorów, kiedy brak rozkazów z góry może sparaliżować organizację polityczną bądź militarną nieprzywykłą do działania z własnej inicjatywy. Lecz zasady ulicznej bójki są proste i ci chłopcy świetnie je znali. W ułamku sekundy rzucili się na mnie, ten po lewej złapał mnie za gardło, a drugi, po prawej, uderzył pięścią w moją brodę, nim jeszcze Johnno skończył padać na ziemię. Sam też

zdołałem zadać parę ciosów, ale nie miałem nawet pojęcia, gdzie trafiły. Potem zaś sam nacisk ich ciał uniemożliwił mi jakiegokolwiek działanie. Złapali i przycisnęli mi ręce, dwie pięści szarpnęły za włosy i odchyliły głowę.

Kątem oka zobaczyłem, jak Johnno się podnosi - dolną część jego twarzy zakrywała maska krwi, niczym czerwona chusta. Przyglądał mi się niewiarygodnie rozszerzonymi oczami. Jednocześnie, ani na moment nie odrywając ode mnie wzroku, uniósł ręce dłońmi do góry. Ktoś włożył mu po nożu w każdą. No, świetnie. Zaraz zarżnie mnie dzieciak z dwoma nożami.

Gdy jednak ruszył ku mnie, rozentuzjasmowana grupka rozstała się niechętnie, przepuszczając kogoś innego. To był mały Bic. Stał przede mną, zagrządzając drogę bratu.

- Powiem mamie - zagroził.

- Spierdalaj, Bic! - wrzasnął Johnno, unosząc noże nad głowę niczym pikador.

- Powiem mamie - powtórzył Bic i runął na ziemię u moich stóp.

Jego głowa uderzyła z głuchym odgłosem o beton.

8

I wtedy, zupełnie jakby ktoś z ciemności poza zasięgiem latarni krzyknął „cięcie!”, wszyscy stracili wolę walki. Trzymające mnie ręce opadły.

Johnno zamrugał trzy razy, za każdym wolniej, wpatrując się w nieruchome ciało brata. Jego krwiożerczy kumple, oszołomieni, niemal zawstydzeni, nie byli w stanie patrzeć sobie w oczy. Wiedziałem, co czują: przeszedł przez nas wstrząs i nastąpiła bolesna cisza pomiędzy pierwotnym a wtórnym trzęsieniem.

Ukląknęłam i delikatnie podniosłam z ziemi Bica.

- Otwórz drzwi - poleciłam najbliższemu wyrostkowi, wskazując skinieniem głowy.

Posłuchał i gdy ruszyłam naprzód, szeregi gangu Johnno się rozstały. Jeden rosły, pryszczaty nastolatek, z dziwnie niepasująca do niego nieśmiałością ukrył dłoń z nożem za plecami, jakby przyłapano go w szkole na rzucaniu papierowymi kulkami.

Wszedłam do bloku Westona, minąłem drzwi Kenny'ego - tak jak się obawiałem, nadal stały otworem - i skierowałam się na koniec korytarza, gdzie mieszkała Jean Daniels z rodziną. Nie oglądałam się za siebie, ale wiedziałem, że mam towarzystwo. Postanowiłam nie ryzykować kolejnego polecenia. Czar mógł prysnąć w każdej chwili. A może już prysnął? Może to wcześniejszy, krwiożerczy szal był jego skutkiem? Tak czy inaczej, trzy razy kopnąłem nogą w drzwi.

Po paru chwilach usłyszałem, jak ktoś majstruje przy zamku.

Gang rozbiegł się jak stadko karaluchów po zapaleniu światła i kiedy drzwi się otwarły, zostałem sam.

Zza progu patrzył na mnie rosły facet w średnim wieku i z nieelegancką zaczeską. Lampa oświetlała go z tyłu, toteż nie widziałem twarzy.

- Co to ma być, do kurwy nędzy? - spytał, mimo ostrych słów bardziej zdziwiony niż wkurzony. I wtedy ujrzał moje brzemię. - O Boże! Ja pierdziele!

Wyrwał mi Bica i odwrócił się na pięcie, biegnąc chwiejnie w głąb mieszkania.

- Jeanie! - ryknął, nie zważając na późną godzinę i spokój sąsiadów. - Jeanie!

Nieco wolniej ruszyłam za nim i znalazłam się w miniaturowym przedpokoju, identycznego kształtu i rozmiarów jak u Kenny'ego i lekko pachnącym smażoną rybą. Z niego

przeszedłem do salonu, całkowicie pogrążonego w ciemności, oświetlanego jedynie blaskiem padającym zza drzwi. Mężczyzna - musiałem założyć, że to był Tom Daniels - bardzo ostrożnie położył syna na kanapie z trzyczęściowego kompletu wypoczynkowego, za dużego do tego pokoju. Potem za naszymi plecami pstryknęło światło, obaj odwróciliśmy się i ujrzeliśmy panią Daniels, która zignorowała nas całkowicie, skupiona na leżącym przed nią Bicu.

W tej pierwszej chwili od razu doszła do najgorszego możliwego wniosku, który rzucił się na nią bezlitośnie. Wydała z siebie skowyt, przypominający pierwszy dźwięk syreny karetki, nadal wznoszącej się ku raniącemu uszy przenikliwemu wyciu, i uskokiem, gdy mijając nas, pobiegła w stronę kanapy. Uklękła przy niej, położyła dłonie na twarzy Bica, jej drobnym ciałem wstrząsało szlochaniem, tak jak huragan trzęsie rusztowaniem.

- Billy - jęknęła. - Mój malutki!

Tom Daniels odwrócił się ku mnie. Patrzył podejrzliwie, zaciskając pięści.

Nie ustąpiłem. Po walce na zewnątrz wciąż tętniła mi w żyłach krew i musiałem zwalczyć pokusę, by w odpowiedzi także nie unieść pięści. Co się działo na tym osiedlu?

- On żyje - wycodziłem przez zaciśnięte zęby, lecz Jean sama już zdążyła odkryć ten fakt.

- Nic mu nie jest - wyjęczała, wciąż na tym samym, przeszywającym wznoszącym tonie: jej ulga podejrzenie przypominała rozpacz. - Och, dzięki Bogu, nic mu nie jest.

Osobiście nie posunąłbym się aż tak daleko. Bic właśnie próbował rzucić się z kładki, pogrążony w pełnym transie. Teraz z powrotem się w nim znalazł, a do kompletu trzeba było jeszcze dołożyć możliwy wstrząs mózgu.

- Pani Daniels - rzekłem, nadal obserwując jej męża i wypatrując jakichkolwiek oznak ruchu. - Jean. Nie sądzę, że nic mu nie jest. Uważam, że jest bardzo, bardzo źle. Że grozi mu niebezpieczeństwo.

Uniosła głowę, patrząc na mnie oszalałymi, mokrymi od łez oczami.

- Co to ma znaczyć? - spytała. - Tom, zapytaj, co to ma znaczyć.

- Odpowiedz jej - polecił szorstko Tom Daniels. - Co się stało z naszym Billym? Gdzie go znalazłeś?

Posłuszny instynktowi, znów zdecydowałem się na prawdę. Podczas pierwszego spotkania z Jean kłamstwa niespecjalnie się sprawdziły.

- Tuż obok, na zewnątrz - rzekłem, skinieniem głowy wskazując za okno. - Na kładce. Chyba lunatykował i wyszedł tam we śnie. Tak czy inaczej, stał na balustradzie i zamierzał skoczyć. Zdążyłem w ostatniej chwili.

Spodziewałem się kolejnego okrzyku ze strony Jean, zamiast tego wydała z siebie zduszony jęk i przytuliła twarz do szczupłej piersi Bica, ledwie ją na niej mieszcząc. Tom Daniels zaklął i pokręcił głową. Potem jednak znów przeszedł do ofensywy.

- Czy ktoś jeszcze to widział? - Spojrzał na mnie gniewnie.

- Tuż potem zjawił się państwa drugi syn z kolegami - powiedziałem. - Nie wszystko widzieli, ale Bic powiedział Johnowi...

Urwałem, bo w tym momencie w pokoju - a przynajmniej w drzwiach - zjawił się John we własnej osobie. Stał tam niepewnie, niczym wampir, jeszcze niezaproszony i niemogący przekroczyć progu. Przyjrzałem mu się z lekkim zdumieniem. Był niewątpliwie tym samym chłopakiem, którego spotkałem na kładce, ale też bardzo się od niego różnił. Po pierwsze, był spokojniejszy - jego oczy straciły owo narkotyczne rozedrganie.

- Stevie Rawlings widział - wymamrotał. - Był u Sanforda pod trójką i powiedział... to, co mówi ten facet. Bic wdrapał się na mur i po prostu tam stał. Stevie do niego krzyczał, ale Bic nie odpowiadał. Potem się pochylił, jakby zamierzał skoczyć, i ten facet go złapał w powietrzu, no wiecie. Pociągnął, nim zdążył zlecieć. Bic powiedział to samo, zanim zemdłał.

Nastrój w pokoju uległ zmianie. Z potencjalnego wroga stałem się kimś nieokreślonym.

- Dzwonię na pogotowie - wymamrotał Tom Daniels, podchodząc do telefonu.

Jean znów pogładziła policzek syna, po czym wstała na wyraźnie uginających się nogach. Grzbietem dłoni przetarła zapuchnięte oczy.

- Był pan tu już wcześniej - rzekła, patrząc na mnie czujnie, pytająco. - Wczoraj.

- Przyszedłem do Kenny'ego Seddona - potwierdziłem.

- Jest w szpitalu. Został napadnięty.

Nie skomentowałem, choć słowo to wydało mi się żałośnie nieprzystające do szалу, z jakim zaatakował Kenny'ego napastnik, do poszarpania jego ciała brzytwą, dopóki całej podłogi w samochodzie nie pokryła krew.

- Wiem - przyznałem.

- I... nie ma pan nic wspólnego z Kościołem, prawda?

- Nie. Jestem egzorcystą.

Pokiwała głową, jakby ta odpowiedź potwierdzała jej domysły. Zaczęła coś mówić, wtedy jednak mąż połączył się w końcu ze służbami alarmowymi i krótkie odpowiedzi udzielane na standardowe pytania uciszyły ją.

- To miejsce jest chore - rzekła tylko, po czym z powrotem skupiła uwagę na nieprzytomnym synu.

Niewiele mogła mu pomóc, ale przynajmniej się starała. Posłała Johna po zimny okład, który ułożyła na głowie Bica, choć upał już ustąpił i w pokoju zrobiło się wręcz chłodno. Na wszelki wypadek obstawiając oba konie, przyniosła też z jednej z sypialni koc i przykryła go dokładnie. Miała również poduszki, ale wyraźnie nie potrafiła się zdecydować, czy unieść mu głowę, czy też nie, toteż poleciła Johnowi, by je odniósł i dostarczył szklanek wody, którą zwilżyła wargi Bica.

Do tego czasu Tom Daniels skończył już rozmawiać.

- Mówią, że w ciągu pół godziny przyślą karetkę - rzekł do Żony.

- Do tego czasu mógłby już nie żyć - rzekła z goryczą. - Boże, uchowaj.

- Oddycha miarowo - zauważyłem. - I widać, że pod powiekami poruszają się oczy.

Nie sądzę, by coś mu groziło.

Jean, przyglądając mi się uważnie, wyraźnie wyłapała sprzeczność w moich słowach.

- W takim razie, co pan mówił wcześniej? Wspominał pan o niebezpieczeństwie.

Zawahałem się. Z jednej strony nie chciałem martwić tych ludzi i dodawać im dodatkowych problemów do tych, które już mieli - zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak niewiele wiedziałem o tym, co się dzieje. Z drugiej nie chciałem wciskać im ciemnoty, skoro ich dzieciak leżał nieprzytomny na kanapie i o mały włos sam się nie zabił z powodów najwyraźniej bardziej geograficznych niż psychologicznych.

- Powiedziała pani, że to miejsce jest chore - rzekłem. - I chyba rozumiem, co ma pani na myśli. Myślę też, że Bic - Billy - cierpi na tę samą chorobę. Wyraźnie nie wiedział co robi. Był jakby w transie.

Spojrzałem na nią, na Toma i na starszego chłopca, Johna, znów stojącego w drzwiach. Mogłem dodać, że John też wydawał się odmieniony, w zupełnie inny lecz równie przerażający sposób, podejrzewałem jednak, że doprowadziłoby to do bezsensownej dyskusji. Zwróciłem się zatem do niego, jako do świadka:

- Bic nam to powiedział, prawda? Że nie był pewien, co tam robi i jak się tam dostał.

John przytaknął, ale się nie odezwał.

- Cóż, teraz my się tym zajmiemy - rzekł Tom, przenosząc spojrzenie ze starszego syna na mnie i nie odwracając go, dopóki nie upewnił się, że pojąłem.

Kiwnąłem głową bez słowa sprzeciwu, przyjmując odprawę. Miał rację. Nic tu po mnie.

Gdy jednak ruszyłem do drzwi, Jean odezwała się, wymawiając jedno jedyne słowo.

- Nie.

Zatrzymałem się i odwróciłem. Jean puściła syna i znów wstała. Mąż i żona wymienili asymetryczne spojrzenia: zdumione i urażone z jego strony, chłodne i spokojne z jej.

- Słyszałeś - rzekła. - To egzorcysta.

Tom wypuścił powietrze z przesadnym jękiem.

- Och, tylko nie wracaj już do tych kretynizmów! Nie dość ich mieliśmy z tym pieprzonym świrem w białym płaszczu?

Słyszając to, nadstawiłem ucha. Gwillam? Gwillam tu był? Po co? Niestety, Tom Daniels mówił bez przerwy, nie dając mi szansy na wtrącenie pytania.

- To wszystko dzieje się tylko w jego umyśle, kobieto. To te chore pomysły, które wbił sobie do głowy po rozmowach z tamtym małym wariatem. Wiersze, pieprzona pornografia! Dotąd siedziałem cicho z boku i patrzyłem, nic nie mówiłem, ale wystarczy. Wszystkie te bzdety zatruły mu umysł i każdy inny facet na moim miejscu wybiłby mu je z głowy dawno temu. On nie potrzebuje egzorcysty, tylko... tylko...

Z braku słów Tom machnął w powietrzu zaciśniętą pięścią, demonstrując, czego potrzebuje Bic. Jean wpatrywała się w niego jak w ślimaka znalezionego w sałacie. Po chwili opuścił rękę, część jego furii uleciała, gdy uświadomił sobie, jak niewielkie zrobił wrażenie.

- Dzień, w którym go tkniesz - cichy głos Jean po tyradzie Toma zabrzmiał dziwnie wyraźnie - będzie ostatnim dniem na tej ziemi, w którym będziesz miał rodzinę. Wyjdę przez te drzwi, a oni wraz ze mną.

Tom zamrugał. Kiedyś widziałem gościa, który oberwał w oko kawałkiem opony samochodowej - za mocno ją nadmuchał i eksplodowała. Tak właśnie mniej więcej wyglądał Tom Daniels: jakby mechanizm, którego sposób działania znał od podszewki, nagle wybuchnął mu w twarz.

- John - dodała Jean Daniels po chwili napiętej ciszy. - Idź i zaczekaj na ulicy na karetkę. Powiedz im, dokąd mają przyjść. Zmarnowaliby z dziesięć minut, błąkając się tutaj.

John zaprotestował bez zbytniego przekonania, ale gdy matka powtórzyła polecenie, ustąpił i zrobił co mu kazała. Jean przeszła przez pokój i zamknęła za nim drzwi. Tom wpatrywał się w nią z wyraźną obawą, świadom, że przed chwilą doszło do *coup d'etat*, i ewidentnie bał się zrobić choć jeden fałszywy krok, dopóki nie pozna nowej konstytucji.

- Działy się tu pewne niepokojące rzeczy - poinformowała mnie Jean lekko łamiącym się głosem.

- Rzadko ją widywaliśmy - zaczęła pani Daniels. - Panią Seddon. Prawda, Tom?

Rozmawialiśmy w kuchni, żeby nie przeszkadzać Bicowi - a może dlatego że mówiliśmy o sprawach, które Jean wolą ukryć przed synem. W ciasnym, funkcjonalnym kubryku wystarczyło miejsca dla naszej trójki, ale niewiele go już zostało. Nóż kuchenny, który trzymała w ręku podczas naszego ostatniego spotkania, leżał w zlewku, stercząc z plastikowej miski pełnej brudnych naczyń. Mój wzrok co chwila wędrował ku niemu. Słuchałem.

- Prawie nigdy jej nie widywaliśmy - zgodził się Tom. - Od czasu do czasu robiła tylko zakupy. Widziałem, jak wchodzi po schodach z siatkami. Nigdy się do nikogo nie odzywała. - Z żalonym zapalem starał się zadowolić żonę: chętny poddany nowego reżimu Jean Pierwszej.

- A raz... - przypomniała mu.

- Raz miała podbite oko i skaleczoną wargę. Wyglądała, jakby ktoś ją pobił. Gdyby to był ktokolwiek inny, spytałbym, czy wszystko w porządku. Ale uznałem, że nie mam prawa. Nie kogoś, z kim nigdy nie rozmawiałem. To by wyglądało na wścibstwo.

Pomyślałem o wcześniejszym monologu Jean przy drzwiach. „Ale nikt nic nie mówił, prawda? Nikt nigdy nie mówi”.

- Powiedział pan komuś jeszcze? Policji?

Tom wywrócił oczami, a Jean się skrzywiła.

- Parę razy do nich dzwoniłam - rzekła, pogardliwie podkreślając słowo „nich”. - Nie tylko wtedy, ale później, kiedy się kłócili. Rozbijali różne rzeczy i wrzeszczeli na siebie o drugiej nad ranem. Wiedziałam, że ją bije. Nie musiałam tego oglądać. Słyszałam.

- Co słyszałaś, Jean? - nacisnąłem, chcąc się upewnić, że wszystko dobrze rozumiem.

- Słyszałam, jak uderzał, a ona... wydawała z siebie odgłosy jak ktoś, kto właśnie dostał.

- Krzyczała?

Pokręciła głową.

- Nie. Niedokładnie. Sapała. Jęczała. Nigdy nie krzyczała ani nie płakała: była twarda jak stal. Chyba nie chciała mu dać satysfakcji.

- Mówisz o niej w czasie przeszłym - zauważyłem. - Czy coś się z nią stało?

- Odeszła od niego - oświadczył Tom Daniels z dogłębnym, absolutnym przekonaniem. - Z młodszym facetem. Prawdziwy był z niego przystojniak. Dostawca ze sklepu budowlanego przy Blue Anchor Lane, ale wyglądał bardziej jak włoski kelner, miał długie czarne włosy, motor i wszystkie te bajery na twarzy. - Machnął ręką w stronę własnego czoła. - Kolczyki na oczach i tak dalej. Nie wiem, jak można sobie robić coś takiego, a

jeszcze facet... - Zaczekał, nie dopowiadając oczywistej konkluzji. - Wpadał do niej w soboty po południu, kiedy Seddon pracował na działce przy Surrey Square. Od dziesiątej rano do pierwszej po południu w każdą sobotę. Jeśli tylko dopisała pogoda, zawsze tam jeździł, bez wyjątku. Nigdy nie opuszczał okazji. I z tego co słyszałem, ona też nie.

Jean skrzywiła się, słysząc tę już nawet nie aluzję, ale szybkim skinieniem głowy potwierdziła wersję Toma, uzupełniając ją jedynie słabym:

- Cóż, ludzie zawsze gadają. - Jako obrona cnoty pani Seddon zabrzmiało to wyjątkowo mizernie. - Kiedy odkrył, że odeszła, wpadł w szal. To znaczy Seddon. Ganiał po schodach tam i z powrotem, nawołując ją, pytając wszystkich, czy ją widzieli. Ściągnął tu policję i w ogóle, ale oni stwierdzili, że to zaginięcie, a oni nie badają takich spraw, chyba że... no wiesz... uważają, że doszło do czegoś dziwnego.

- Jak dawno się to działo? - spytałem. - To znaczy, kiedy rzuciła Kenny'ego?

- Dziewiętnaście miesięcy temu - odparł Tom. - Tuż przed Gwiazdką. Dobrze pamiętam, bo kiedy zniknęła, zniszczył wszystkie dekoracje. W tamtym roku święta musiały być dla dzieciaka niczym Wielki Post.

- Dla jej syna? - domyśliłem się i Jean skinęła głową.

- Tak naprawdę o niego mi chodziło - rzekła. - O chłopaka. Marka. Po tym, jak odeszła, kręcił się tu niczym zagubiona dusza. Wtedy rzucił już szkołę, ale był za młody na zasiłek, więc nie miał ani grosza. I nie zadawał się z żadnym z gangów.

- Szczerze mówiąc, chyba w ogóle nie miał kumpli - uzupełnił Tom.

- Po prostu siedział tu na kładce cały boży dzień. Odbijał piłkę od ściany, czasami czytał komiksy. A czasami część młodszych dzieciaków siadywała z nim w weekendy bądź po szkole, bo miał komiksy - no wiesz, te amerykańskie ze Spidermanem i tak dalej - i po przeczytaniu oddawał je innym.

- I tak właśnie poznał go Billy. - Głos Jean jeszcze bardziej spoważniał; patrzyła w dal. Tę część historii pamiętała już znacznie dokładniej. - Przesiadywał z Markiem godzinę, czasem dłużej, rozmawiając o superbohaterach i supermocach. A potem wracał do domu z naręczem Supermanów, Spidermanów, X-Manów, Dare-Devilmanów i godzinami siedział na tej kanapie. - Skinieniem głowy wskazała salon, oddzielony od nas cienką warstwą cegieł. - W swoim własnym małym świecie. A potem znalazłam wiersz.

Na to słowo twarz Toma pociemniała.

- Pokaż mu - zaproponował. - Pokaż mu go.

- Nie wiem, czy go zachowałam - rzekła, po czym, porzuciwszy natychmiast wszelkie pozory, dodała: - No dobrze.

Wstała i odwróciła krzesło. Korzystając z niego jak z zaimprovizowanej drabinki, wdrapała się na siedzenie i sięgnęła na jedną z kuchennych szafek. Sekundę później zeszła i wręczyła mi kartkę papieru: liniowaną, złożoną na czworo, poszarpaną z lewej strony w miejscu wyrwania z notatnika bądź zeszytu.

Rozłożyłem ją i przeczytałem w milczeniu. Dwanaście linijek drobnym, zgrabnym pismem, z tylko jednym skreśleniem.

Gdybym mógł mówić, mówiłbym. To najłatwiejsze.

Ale nie mogę, więc nóż za mnie mówi częściej.

*Śpiewam. Słyszycie mój śpiew? Lecz nie wiecie przecież,
Jak pieśń brzmi gdzieś głęboko, we mnie, w moim świecie.*

Jestem tak pełen bólu, jak butelka coli.

Biorę nóż - jedno cięcie, szybko, już nie boli.

Wypływa, ale płynąc, zmienia się na dłużej.

Woda zmieniona w wino. Moja rana - w różę.

Ciśnienie się zrównuje, daje spocząć myślom,

Kończy się męka i już może się zacząć przyszłość.

I w tym momencie wreszcie wiem, gdzie moje miejsce.

I czemu potrzebuję noża w mej piosence.

Skreślenie znalazłem w piątym wersie. „Jestem tak pełen bólu” pierwotnie brzmiało „Jestem pełen ciemności”.

- Mark to napisał? - spytałem.

Jean skinęła głową.

- Albo skądś przepisał. I dał Billy'emu w prezencie. Bo uważał, że Billy zrozumie o co mu chodzi, jest przecież taki mądry. Więc potem...

- Postawiłem się - dokończył Tom. - Zabroniłem mu mieć cokolwiek wspólnego z Markiem. Nawet z nim rozmawiać. Powiedziałem, że jeśli to zrobi, skonfiskuję mu kieszonkowe i wypiszę go ze szkolnej drużyny piłkarskiej.

Jean zabrała mi kartkę i znów złożyła, jakby chciała uciszyć jej niebezpieczne przesłanie.

- To dobry chłopiec - zapewniła. - Myśleliśmy, że to już koniec. A potem latem... To chyba już cały rok temu, co znaczy, że masz rację, Tom, faktycznie, odeszła wcześniej niż

myślałam... Latem Mark skoczył z kładki i się zabił. Podczas dochodzenia wyszło na jaw, że się okaleczał. Od lat. I to właśnie nam mówił, tyle że my nie słuchaliśmy, bo nas to nie interesowało. - Pomachała niewielką kartką niczym białą flagą w geście poddania. - Co można powiedzieć, panie Castor? - spytała z goryczą. - Jakiej miłości mógł się spodziewać w domu, skoro matka zostawiła go i odeszła z murarzem z bajerancką fryzurą, a ojciec był zwierzęciem, cały czas atakującym wszystkich dokoła? Ja powinnam była coś powiedzieć, ale myślałam wyłącznie o Billym. O moim synu.

Umilkła z ponurą miną. Tomem wyraźnie wstrząsnęła ta niespodziewana wycieczka na tereny filozofii i moralności, ale zniósł to mężnie.

- Nie rozmawialiśmy o tym z Billym - powiedział. - John oczywiście wiedział od początku, bo gadali o tym na całym osiedlu. Ale Billy najczęściej siedzi w domu i zajmuje się własnymi sprawami. Ma swoje książki i playstation. Albo czasami idzie połączyć z kolegami. Jest ich z pół tuzina - to dobrzy chłopcy, nie tak jak cholerne nastolatki, które się tu kręcą. Ale, tak jak mówi Jeanie, Billy nie jest głupi. Wiedział, że Mark zniknął, i przypuszczam, że w szkole krążyły plotki o tym, co się stało. Musiały krążyć, prawda? W każdym razie zaczął o tym rozmyślać. Ledwie się rozejrzeliśmy, już wycinał notki z gazet i nagrywał kawałki dzienników telewizyjnych. Chyba nieźle go to rąbnęło, bo przecież chłopak mieszkał obok i nawet się kumpłowali.

- Był jego najlepszym przyjacielem - dopowiedziała cicho Jean.

Tom spojrział na nią i pokręcił głową.

- Nie, nie - zaprzeczył. - Mark był pięć lat starszy.

- Ale dał Billy'emu wiersz. - Jean mówiła bardziej do mnie niż swojego męża. - To musiało coś znaczyć. Już powiedziałam, że nie miał przyjaciół w swoim wieku, panie Castor. Chyba sądził, że Billy go rozumie. I musiało nim wstrząsnąć to, że Billy przestał z nim rozmawiać.

W kuchni wraz z nami przebywał niewidzialny słoń i uznałem, że czas już zwrócić na niego uwagę.

- Kiedy dłonie Billy'ego zaczęły krwawić? - spytałem.

Na te słowa Tom zbladł, lecz Jean przyjęła je dzielnie na szczękę.

- To było później - rzekła niemal beznamiętnie. - Najpierw były sny.

- Śnił mu się Mark?

Pokręciła głową.

- Niezupełnie. A przynajmniej nie widział w tych snach Marka. Śniło mu się jakieś miejsce. Było tam bardzo, bardzo ciemno, tak ciemno, że nie widział niczego, nawet siebie.

Jakiś czas, potykając się, krążył wokół, próbując znaleźć wyjście. Ale nie mógł, więc w końcu po prostu siadał na ziemi i czekał. Ziemia... - Zawahała się, jakby naprawdę nie wiedziała, jak to wyrazić. - Mówił, że była ciepła. Jak skóra. Ale nie miękka jak skóra, tylko szorstka, błyszcząca i pofałdowana. Mówił, że przypominała lawę po wybuchu wulkanu. Kiedy już zastygnie, pozostają miłe w dotyku kawałki skały podobnej do powierzchni księżyca. - Uśmiechnęła się słabo. - Właśnie przerabiał wulkany w szkole... A potem w ciemności rozlegał się głos. Billy był pewien, że to głos Marka, choć brzmiał zupełnie inaczej. Ale mówił i mówił, cały czas, bez przerwy. Nie do Billy'ego, tak przynajmniej twierdził. Po prostu mówił.

- O czym?

Spojrzała na mnie z udręką w oczach.

- A jak pan myśli? O robieniu sobie krzywdy. Kaleczeniu. O tym, jakie to uczucie, kiedy tnie się własne ciało i wypuszcza ból. O tym, że rany to róże, a krew to wino.

Zapadła ciężka cisza, z rodzaju tych, w których każdy spodziewa się, że ktoś inny w końcu ją przerwie, i ciągnie się, i ciągnie, z każdą chwilą coraz bardziej krępująca.

- Czy w gazetach wspomniano, że Mark się kaleczył? - spytałem w końcu.

- W niektórych - rzekł Tom. - Ale większość mógł wywnioskować z samego wiersza, prawda? Wszystko tam jest. Z początku próbowaliśmy z nim rozmawiać, bo to bystry, dobry chłopiec, tak jak mówi Jeanie. Myśleliśmy, że szybko mu przejdzie, tak jak zazwyczaj w takim wieku. Zabraliśmy mu taśmy i gazety i zamknęliśmy w kredensie. A kiedy wracał ze szkoły, wypychaliśmy go z domu, żeby pobawił się na dworze, na placu zabaw albo w parku. Sądziliśmy, że musi tylko przestać o tym myśleć.

- I wtedy - wtrąciła Jean głucho - zaczęło się krwawienie. Z początku tylko kropla. Ale jak można krwawić, panie Castor, jeśli się nie skaleczy? A im częściej ją ścieraliśmy, tym więcej jej się pojawiała. Zabraliśmy go do internisty, a potem dermatologa, ale lekarze nie mieli pojęcia. Mówili, że może Billy jest hemofiliitykiem, jakby to cokolwiek wyjaśniało. Ale badania wykazały, że krew krzepnie mu normalnie, więc nie w tym rzecz.

- I ten cholerny ksiądz... - wtrącił Tom. Po chwili jednak chyba zmienił zdanie i uznał, że lepiej nie poruszać tego tematu.

To słowo zawisło w powietrzu.

- Ksiądz? - powtórzyłem. - Chodzi o człowieka, o którym wcześniej wspominaliście? Tego w białym płaszczu?

Tom nie odpowiedział, lecz spojrzenie, jakie rzucił Jean, mówiło wyraźnie: „On już wie”.

- Czy nazywał się Gwillam? - dopytywałem się.

Po pełnej napięcia chwili Jean przymknęła.

- To on.

- Czego chciał? Czy to miało coś wspólnego z Billym?

I znów wymienili spojrzenia.

- To moja wina - wymamrotał Tom. - Niepotrzebnie wspomniałem o tym ojcu Merrickowi w Bethesda. Trzeba było trzymać gębę na...

- Nie jest to coś, o czym chciałabym rozmawiać, panie Castor - przerwała mu Jean tonem tak spiętym i nerwowym, jakby Gwillam przedstawił jej niemoralną propozycję. - Przykro mi.

Pozostałem bez punktu zaczepienia.

- Jasne - rzekłem. - To przecież nie moja sprawa. I jestem wdzięczny za to, co już mi powiedzieliście. - Wstałem. - Zobaczycie, co w szpitalu powiedzą na temat stanu Billy'ego. Miejmy nadzieję, że jutro się obudzi i nie będzie niczego pamiętał. Ale na waszym miejscu, jeśli macie go gdzie wysłać, zabrałbym go stąd. Jakiś czas powinien pobyc w innej atmosferze.

- Może u mojej siostry? - zaproponował z niepewnością w głosie Tom. - W Croydon?

Myśl o posłaniu kogoś na wypoczynek do Croydon była równie surrealistyczna jak cała ta rozmowa.

- Tak - mruknąłem. - Coś w tym stylu. Tylko na parę tygodni. Niedługo zaczynają się wakacje. Spakujcie go i poślijcie do niej.

Niestety, Jean pokręciła głową.

- Billy zostanie tutaj - oznajmiła. - Ze mną. Albo pojedziemy razem. Jeśli z moim chłopcem dzieje się coś złego, to ja powinnam się nim zająć. Dziękuję za poświęcony nam czas, panie Castor. - Zabrzmiało to jednoznacznie. Konsultacja dobiegła końca.

- Myślę, że jego chorobę wywołuje przede wszystkim to miejsce - rzekłem, upierając się przy swej diagnozie nawet w obliczu jej determinacji. - Oczywiście, wybór należy do was. I wiem, że to skomplikowane. Jak zawsze. Ale gdyby zdarzyło się coś, o czym chcielibyście porozmawiać... - Wręczyłem im wizytówkę, z powagą kogoś, kto robi to od niedawna.

Wizytówka to nowy nabytek, od drukarza, który zaproponował mi setkę darmowych na próbę przed właściwym zleceniem. Gdyby znał liczebność mojej klienteli, ograniczyłby się do dziesięciu.

Jean obróciła wizytówkę w dłoni. Tom zerknął jej przez ramię, lekko marszcząc brwi.

- Usługi duchowe - przeczytał na głos. - To właśnie zapewniają egzorcyciści, tak? Co to właściwie znaczy?

- Mnóstwo różnych rzeczy - wyjaśniłem. - Przygotowuję czary i amulety chroniące przed zmarłymi, doradzam ludziom, jak zabezpieczyć dom, i tak dalej. Jeśli duchy zaczynają przeszkadzać, przekonuję, by odeszły, albo dowiaduję się, czego chcą. Potrafię stwierdzić, czy ktoś dawno niewidziany wciąż żyje, a jeśli nie, mogę go zaprosić, by porozmawiał z klientem. Występuję też na dziecięcych przyjęciach. Ale nie proście o referencje, bo na tym polu nie mam jak dotąd zadowolonych klientów. Numer z tyłu to telefon mojej gospodyni. Gdybym nie odebrał w biurze, możecie zostawić pod nim wiadomość.

Jean przekazała wizytówkę Tomowi, który schował ją do tylnej kieszeni. Wstałem, uznawszy, że wystarczająco nadużyłem ich gościnności.

- Dziękuję, panie Castor.

Jean niezgrabnie uścisnęła mi dłoń.

Tom nie wyciągnął ręki, a ja nie miałem ochoty sam proponować.

- Mówię serio - rzekłem do Jean. - Gdybyście mnie potrzebowali, dzwońcie. Jestem zaledwie godzinę stąd. Skinęła głową.

- Kiedy się obudzi, nic mu nie będzie - oświadczył z przekonaniem Tom.

Kiedy wychodziłem, Bic nadal spał - albo był nieprzytomny - a karetka jeszcze się nie zjawiała.

Mijając drzwi Kenny'ego, zauważyłem, że są zamknięte. Właściwie to dobrze, zastanawiałem się jednak, kto łązi za mną i zaciera ślady. Zastanawiałem się też, czego Gwillam może chcieć od rodziny Danielsów - i dlaczego woleli tego nie powtarzać.

Zatopiony w myślach, ruszyłem na dół schodami. Gdy jednak zrównałem się z kładką na trzecim piętrze, dostrzeżony kątem oka ruch sprawił, że odwróciłem głowę. Jego źródło znajdowało się na zewnątrz, na kładce, co oznaczało, że dostrzegłem je przez brudne i wytłuszczone szyby wahadłowych drzwi. Mogłem go zauważyć wyłącznie dlatego, że na zewnątrz paliło się światło - jedna z nielicznych nadal działających latarni - i ktokolwiek się poruszył, na sekundę przesłonił je akurat z mojej perspektywy: światło, cień, światło, przebłysk niczym alfabet Morse'a.

Zatrzymałem się, patrząc bez ruchu. Na kładce stała postać, zwrócona do mnie plecami. Niezła pozycja, jeśli obserwowało się blok Westona, bo dla postronnego przechodnia pozostawało się tylko ciemną sylwetką na tle plamy światła. Ja jednak znałem tę sylwetkę: widziałem ją zaledwie dzień wcześniej i natychmiast rozpoznałem po końskim ogonie. To była kobieta, która rozmawiała z Gwillamem.

Odruchowo postąpiłem krok naprzód. Mimo surowości, z jaką potraktowałem Nicky'ego, tak naprawdę strasznie chciałem się dowiedzieć, co kombinuje Gwillam. Może, jeśli znów odegram Rudy'ego Basquiata, detektywa doradcę, kobieta z kucykiem powie mi cokolwiek. Nigdy się nie dowiem, jeśli nie spróbuję.

Kiedy jednak ruszyłem do drzwi, ona także mnie zobaczyła. Wcześniej wbijała wzrok w wyższe piętra, teraz jej spojrzenie powędrowało w dół i dostrzegła ruch. Nim zdążyłem pchnąć drzwi, zniknęła z kręgu światła.

Rzuciłem się za nią biegiem przez kładkę i drugie drzwi, wiodące do następnego w łańcuszku bloku.

Drzwi naprzeciwko - wiodące na kolejną kładkę - wciąż się kołysały. Skierowałem się w tamtą stronę, lecz coś - gen nieufności, stanowiący cenne dziedzictwo liverpoolskie - sprawiło, że nawet chwyciwszy przynętę, zwolniłem kroku i przez pół sekundy wytrzymałem słuch. Okazało się to dobrze zainwestowaną półsekundą: z klatki schodowej po prawej wyraźnie dobiegały szybkie kroki, oddalające się w dół, Skręciłem zatem i podążyłem za nią, pokonując kolejne półpiętra dwoma wielkimi susami.

Chyba Juliet ma rację co do mojej awersji do planowania - przez podobne lekkomyślne improwizacje napytałem sobie biedy więcej razy niż potrafię zliczyć. Ale teraz chciałem tylko porozmawiać z tą kobietą, z odrobiną blefu i zastraszenia, i może zorientować się, jakie miejsce zajmuje Salisbury w planach Anathematy. A w dodatku zawrzała mi krew, przepełniała mnie gorączka pościgu.

I pewnie właśnie dlatego wszedłem wprost w zastawioną na mnie na dole schodów pułapkę. Gdy pokonałem ostatni zakręt, wciąż kilkanaście stopni od parteru, z mroku dusznego holu wyłoniła się potężna ręka, chwyciła spory kawał klap mojego szynela i szarpnęła tak, że walnąłem o ścianę.

To był drugi kumpel Gwillama: wysoki, szczupły mężczyzna o płaskich, jakby wyprasowanych rysach. Trzymał mnie przyszpilonego ze zdumiewającą siłą, ręką napierał mi na klatkę piersiową tak mocno, że wycisnął z niej dech niczym powietrze z miecha i nie mogłem napęłnić płuc.

Obejrzał się pytająco na kobietę z końskim ogonem, stojącą przy drzwiach na ulicę, które uchyliła pchnięciem. Patrzyła na nas, zdyszana i wściekła.

- Pozbądź się go - warknęła. - A potem zbieraj się i chodź za mną.

Facet przysunął do mnie swoją płaską twarz, przyglądając mi się, z głową przechyloną najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Poruszał się błyskawicznie, a potem znów zamierał w bezruchu.

- Niegrzeczny chłopiec - rzekł głosem jednocześnie niskim i głuchym, jak wyrocznia przemawiająca z jaskini albo z dna studni.

Mimo kryjącej się w nich dezaprobaty, jego słowa zabrzmiały obojętnie - a usta, jak to zauważyłem już dzień wcześniej, kiedy rozmawiał z Gwillamem, poruszały się jednocześnie, jak gdyby dolna szczęka była jedną całością osadzoną na zawiasach, jak u lalki.

Zacisnąłem obie dłonie na jego ręce, próbując ją odepchnąć, czy przynajmniej lekko rozluźnić ucisk, tak bym mógł odetchnąć. Nic z tego: gość nie był może mocno zbudowany, ale za to przerażająco silny.

- Wiesz - rzekł i pozwolił słowu zawisnąć między nami; przed oczami zaczynały mi wirować coraz liczniejsze czarne plamki - naprawdę powinieneś odpocząć.

Znów mnie pchnął na ścianę, tak mocno, że uderzyłem w nią raz, drugi, trzeci. Chciałem pochylić głowę, lecz za trzecim razem uderzył mną pod takim kątem, że tył czaszki zderzył się ze ścianą i czarne punkciki zmieniły się w imponujące wielobarwne fajerwerki.

Nadeszło kolejne uderzenie, lecz z zupełnie innej strony. Jak przez mgłę pojąłem, że wysoki mężczyzna musiał mnie odrzucić, a może po prostu upuścić. Walcząc z bolesną mgłą, niemal w nieświadomości wydedukowałem, że leżę, i wykorzystałem tę informację, próbując się podnieść. Lecz moje kończyny odmówiły współpracy, jakby zapomniały wszystkich ruchów wyuczonych przez ponad trzydzieści lat: musiałem wyglądać jak Bambi na lodzie.

Niestety, Płaska Gęba został jeszcze chwilę, żeby się upewnić czy nie wstanę, i wyraźnie uznał moją nieudaną próbę za rozmyślną prowokację. Zobaczyłem, jak jego stopa cofa się do kopniaka, celując mi prosto w głowę. Uniosłem słabo rękę w mizernej próbie zablokowania ciosu.

- Wystarczy - dobiegł głos z drzwi wyjściowych. - Zostaw go.

Płaska Gęba opuścił stopę i odwrócił się. Mrugając gwałtownie, także spojrzałem w tamtą stronę. Nowy przybysz stał w drzwiach, przytrzymując je oburącz, lecz w jego głosie dźwięczała nuta zwątpienia, kontrastująca ostro z dramatyczną pozą. Nie był to głos człowieka, który wie, że go posłuchają.

- Kto twierdzi, że wystarczy? - spytał Płaska Gęba niebezpiecznym basem.

- Ja, a któżby? - Przybysz zbliżył się do nas o krok. - Mówię poważnie, Feld. Spójrz na mnie, jeśli mi nie wierzysz.

Płaska Gęba spojrzał z góry na przybysza, ja także popatrzyłem i pewnie bym sapnął, gdyby w płucach została mi choć odrobina powietrza. Wysoki mężczyzna nie sapnął, w ogóle nie zareagował. Po paru chwilach otrzepał ręce i poprawił mankiety, najpierw lewy, potem prawy.

- Posłucham rady - oznajmił tym samym niskim głosem mój oprawca.

- Zrób tak - zgodził się przybysz.

Z mojego miejsca na ziemi patrzyłem półprzymkniętymi oczami, jak Płaska Gęba omija starannie przybysza, cały czas się w niego wpatrując, jakby na znak, że jego gotowość do dalszej bitki ani trochę nie zmalała. A potem wyszedł w noc, otwierając drzwi nowatorską metodą walnięcia w nie głową tak mocno, że uderzyły o ściany. Zderzenie zabrzmiało niczym strzał z pistoletu w kiepsko zsynchronizowanym stereo.

Mój wybawca pomógł mi wstać, co wymagało paru prób, bo byłem żałośnie słaby i oszołomiony po bliskim kontakcie z podduszaniem.

- Wybrałeś się na nocny spacer? - spytałem ironicznie.

Wzruszył ramionami.

- Po prostu bądź wdzięczny, że się tu znalazłem. Wszędzie znajdziesz sobie przyjaciół, co, Feliksie? Naprawdę powinieneś się zastanowić, nim przyjdiesz nocą w takie miejsce.

Nad nami zapalały się światła, zza poręczy wyższych pięter wyglądały twarze. Jedyne naturalny odruch zachowania ostrożności sprawił, że nikt nie zszedł na dół, żeby sprawdzić, co to za hałasy, ale w każdej chwili mogło się to zmienić. Lepiej dokończyć tę rozmowę gdzie indziej, daleko od szalonego tłumu: zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, jak bardzo szalony bywał w tej okolicy. Wyszliśmy z bloku Westona; pod naszymi stopami chrzęściło stłuczone szkło.

- Cóż, miło, że się interesujesz - rzekłem, prowadząc go między wieżowcami na północ przez osiedle. - Ale każde miejsce dość dobre dla ciebie i twego kumpla Gwillama jest też dobre dla mnie.

Biorąc pod uwagę to, że najpewniej właśnie ocalił mi życie, satysfakcja, jaką poczułem na widok jego zdumionej miny, była nieco wredna. Zaczynałem już jednak dostrzegać pewien wzór i podobał mi się jeszcze mniej niż czerwono-zielone szlaczki.

Do pokonania zostały nam jeszcze jedne szerokie schody, wiodące z betonowej równiny na New Kent Road. Zszedłem po nich, kuśtykając lekko. Mój wybawca podążył w ślad za mną.

- Zdawało mi się, że dałeś już sobie spokój z zabawą w pasterza - wymamrotałem przez ramię.

- Kiedy chodzi o ciebie, Feliksie? - odparł ze smutną miną Matt. - Myślę, że zawsze będę stróżem brata mego.

9

- Masz gościa. - Tak brzmiały pierwsze słowa, które wypowiedziała do mnie Pen, otworzywszy drzwi. Dopiero potem zauważyła Matta, stojącego za mną w kałuży księżycowego światła. - Och - dodała bez entuzjazmu i odeszła, zostawiając dom otwarty.

Porzuciliśmy ciepłą, duszną noc i weszliśmy do ciepłego, dusznego holu, po czym podążyliśmy w ślad za Pen, do jej chronicznego królestwa. Z pokoju sączyły się ciche dźwięki „Tales From Topographic Oceans” - nieliczne trzaski i syki świadczyły jasno, że słuchamy winyla, grającego na starym podwójnym gramofonie Pen. Na bezkształtnej skórzanej kanapie siedział ze szklanką brandy w dłoni Gary Coldwood. Edgar i Arthur przycupnęli na oparciu po obu jego stronach, wyraźnie odgrywając przyzwoitki. Niepotrzebnie: Gary kocha wyłącznie swoją pracę.

Kiedy weszliśmy, odstawił szklanekę, by bardziej przypominać gliniarza, po czym wstał i spojrzał na mnie groźnie.

- W ciągu dziesięciu minut na Uxbridge Road spłynęły dwa raporty, Fix - oznajmił, kiedy przeszedłem przez pokój i odkorkowałem butelkę brandy. - Oba z osiedla Salisbury. Włamanie i bójka. Wiadomo ci coś o tym?

Brandy zapiekła, spływając w głąb gardła, a ponieważ Pen nie uznała za stosowne podać najlepszej, pozwoliłem jej spływać szeroką strugą. Potem odstawiłem butelkę i beknałem, głównie dla efektu. Zauważyłem plamę krwi na szyjce butelki w miejscu, gdzie dotknęła jej moja ręka - upadając po raz drugi, otarłem sobie dłonie, teraz piekły boleśnie.

- Gary Coldwood - rzekłem, wskazując kciukiem przez ramię. - Matthew Castor. Ojciec Matthew Castor, mój brat. Chyba się jeszcze nie znacie. Gary to gliniarz, Matty, lepiej miej pod ręką alibi.

Gary nie dał się zbić z pantafelów, zerknął jednak na Matta z nieskrywaną ciekawością.

- Z miejsca przestępstwa zbiegło dwóch mężczyzn - kontynuował ponuro. - Świadkowie twierdzą, że jeden miał na sobie długi płaszcz, może prochowiec albo ciężki szynel. Pytam zatem po raz drugi: czy tam byłeś? Bo jeśli tak, muszę o tym wiedzieć. Jeżeli będę wiedział, co zrobiłeś, może zdołam ochronić cię przed burzą, która wkrótce się rozpęta.

- Od czasu do czasu zdarza mi się bywać w różnych miejscach, ale się nie włamuję - odparłem, siadając ciężko na sofie, bo stanie wymagało zbyt wielkiego wysiłku. - I cały wieczór spędziłem z bratem. Wspominałem już, że to duchowny? Usiądź, Matt, psujesz atmosferę. Pen, masz może pod ręką jakiś środek dezynfekujący?

- Mam ocet jabłkowy. - Pen ruszyła do kuchni. - Też się nada.

- I będę po nim śmierdział jak paczka chipsów - dokończyłem z ponurą miną.

- Fix... - Coldwood patrzył na mnie groźnie z góry.

- Gary - odparłem lekko. - Nie zaprzeczam, byłem dziś w tamtej okolicy i spędziłem w niej sporo czasu, znajdziesz zatem wielu świadków, którzy przekażą ci mój rysopis. Ale wiesz, jaki ze mnie spokojny człek. Nawet by mi się nie śniło wdawać się w bójkę, choćby ktoś mnie zaprosił. Po prostu trochę węszyłem, próbowałem odkryć, co takiego usiłował mi powiedzieć Kenny. A tak w ogóle, co z nim? Żyje czy umarł?

Gary zaklął ochryple i paskudnie.

- Węszyłeś - powtórzył z gryzącą ironią. - To byłeś ty, prawda? Włamałeś się do domu człowieka, o morderstwo którego być może cię oskarżą.

- Właśnie ci powiedziałem, że tego nie zrobiłem, i będę się trzymał mojej wersji. A zatem Kenny...

- Bez zmian, ale im dłużej pozostaje w śpiączce, tym mniejsze są szanse, że wróci do zdrowia. Włożyłeś przynajmniej rękawiczki?

- Na spokojny wieczorny spacer z bratem księdzem? Oczywiście, że nie. Owszem, w przeszłości zdarzało nam się spierać, ale nigdy nie doszło do wymiany ciosów. A gdyby nawet w przyszłości tak się stało, to raczej pobilibyśmy się na gołe pięści.

Gary pokręcił głową.

- Czyś ty oszalał? - spytał.

- A ty? - odparowałem pogodnie. - Dostajesz dwa raporty z sąsiedztwa twojego miejsca zbrodni i przyjeżdżasz tutaj? Czemu nie wyprzedziłeś Basquiat, tej wielkiej blond maszyny wojennej, Gary? Nie pozwalasz jej chyba ukraść sobie sprawy, co?

- Pracuję w pieprzonym wydziale zabójstw, Fix! - niemal wrzasnął Gary. - Kradzieże i zwykłe bójkę interesują mnie w równie niewielkim stopniu, jak ciebie zajmowanie się wyłącznie swoimi sprawami. Przyjechałem tu tylko dlatego, że nauczyłem się już odczytywać pierdolone znaki i widzę oczami duszy, jak nalewasz sobie wielki kufel pełen żyletek, szykując się do pierwszego łyku. Powiedz mi, że się mylę, a chętnie się pożegnam. No, dalej.

Przyjrzałem mu się w milczeniu. Pen wróciła do pokoju, z butelką octu i szmatkami oddartymi z kuchennej ścierki, a także jeszcze paroma szklankami alkoholu.

- No właśnie - dodał z napięciem Coldwood. - Tak też myślałem.

Zwinałem ścierkę i posmarowałem octem otarte do krwi dłonie - zauważając przy okazji, że wciąż swędzą jak wściekle. Edgar i Arthur gwałtownie zamrugały, czując ostry, intensywny smród, lecz ponieważ zwykle oba kruki są obecne, gdy Pen przyrządza swoje magiczne mikstury, przywykły do gorszych rzeczy. Tymczasem Coldwood odwrócił się wreszcie do Matta, który nadal stał niepewnie w drzwiach. Uprzejmie uściśnął mu rękę.

- Miło mi poznać, ojcie - rzekł. - Ojciec jest starszy, zgadza się?

- Matt wystarczy - odparł Matt. - I owszem, jestem trzy lata starszy od Feliksa.

- A dokąd to doprowadził was dzisiejszy wieczorny spacer, oprócz osiedla Salisbury?

Matt zastanawiał się długą chwilę.

- Nigdzie indziej - rzekł w końcu. - Tam właśnie spotkałem Feliksa. Akurat mijalem... przechodziłem... byłem w okolicy. Usłyszałem odgłosy bójki i interweniowałem.

- Bójki? - Wyrazu przesadzonego zdumienia na twarzy Coldwooda nie powstydzilby się gwiazdor niemego kina. - Zastałeś Feliksa biorącego udział w bójce? Mimo jego spokojnego charakteru? Nic dziwnego, że wygląda, jakby podtarł sobie nim tyłek słoń.

Rzuciłem na stół nasiąkniętą octem ścierkę i znów sięgnąłem po butelkę brandy, lecz Pen przechwyciła moje ręce i przekręciła, by obejrzeć rozmiar szkód.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Obolały. I lekko zamarynowany.

- Później przygotuję ci siarczany kompres - obiecała.

- Może mi się poszczęści i wcześniej umrę na gangrenę.

Pen z udanym oburzeniem wypuściła moje przeguby i gestem dała do zrozumienia, że mogę się pożegnać z jej litością i życzliwością. Wykorzystałem okazję i nalałem sobie jeszcze trochę.

- Powiedz mi o badaniach, Gary. Masz już może pojęcie, co się działo w samochodzie?

Coldwood skrzywił się i nie odpowiedział. Dopełniłem mu szklanekę i pchnąłem po stole w jego stronę.

- Dwóch ludzi - przypomniałem. - Jednym z nich był Kenny. A drugim nie byłem ja.

- Dwóch ludzi - zgodził się Coldwood, unosząc szklanekę i pociągając solidnego łyka. - Dwóch oprócz Seddona. Cała trójka w różnych momentach dotykała brzytwy - w wielu różnych momentach, przekazując ją sobie nawzajem. Wygląda na to, że stanowiła pieprzony temat dyskusji.

- Wiemy, czy należała do Kenny'ego, czy też któregoś z tamtych?

Pokręcił głową.

- Nie mamy pojęcia. Ale jeśli należała do jednego z zabójców, to znaczy napastników, z całą pewnością używał jej głównie do golenia.

- To znaczy?

- To znaczy, że ktoś, kto umie sobie radzić z ostrzem, nie odwaliłby takiej siekaniny. Z wyglądu ran można by sądzić, że Seddona pokrojono obieraczką do kartofli. A potem na deser załatwiono go otwieraczem do konserw. Przepraszam, ojcze.

Matt zbladł nieco. Usiadł na wielkiej drewnianej skrzyni w kącie, starając się utrzymać jak największy dystans do naszej rozmowy. Przełknął głośno ślinę. Właśnie miałem mu powiedzieć, gdzie jest łazienka, by nie dopuścić do dalszego zniszczenia już i tak sfatygowanego dywanu Pen, lecz Gary wciąż gadał i wolałem nie przerywać, bo się bałem, że kiedy umilknie, już się nie odezwie.

- Mamy też włókna - rzekł. - Z ubrań tamtych facetów. Ale żadnych odcisków stóp. Samochód zaparkowano na pochyłym odcinku, nachylonym w stronę drzwi kierowcy. Wysiadając od strony pasażera, z łatwością mogli ominąć plamę krwi. Ale dzięki odciskom palców i innym śladom w zasadzie nie ma marginesu błędu.

- Więc kiedy znajdziemy tych facetów, będziemy wiedzieli, że to oni - podsumowałem.

- Jacy my? - Gary wstał i pochylił się nad kominkiem, jakby chciał zdystansować się ode mnie. - Ty już dla mnie nie pracujesz, Fix. Ruth Basquiat nie uważa cię za część żadnego „my”. A teraz to ona kieruje śledztwem, więc raczej nie oczekuj jakichkolwiek przysług.

- Basquiat? - powtórzyłem. To nie były dobre wieści. - Kiedy to się stało?

Wzruszył ramionami.

- Gdy tylko ściągnęliśmy cię na przesłuchanie. Sam słyszałeś, jak się wycofałem. Basquiat twierdzi, że w grę wchodzi konflikt interesów dość poważny, by mógł zaszkodzić sprawie. W razie potrzeby jest gotowa zwrócić się do prokuratora. Nie uważa cię za głównego podejrzanego, ale chce mieć pełną swobodę działania. Uprzedziła mnie, żebym się nie wtrącał.

- A ty się zgodziłeś? - Nie mogłem uwierzyć.

- Owszem. Zgodziłem się. - Coldwood mówił szorstkim tonem. - Bo ona ma rację. Spójrz na to z jej punktu widzenia, który z pewnością podzieli prokurator, jeśli ma choćby cząstkę mózgu. Jeśli w jakiś sposób jesteś w to wmieszany, Basquiat wie, że będziesz próbował ze mną pogrywać. A jeśli sprawca to ktoś inny, podczas procesu z pewnością padnie pytanie, czemu od początku porządnie się tobą nie zajęliśmy. Uznają to za jedną wielką znowę i korupcję, i nasz brzytwiarz wyjdzie na wolność z powodów proceduralnych.

Tak czy inaczej, to senne marzenie adwokata. Zatem tak się sprawy mają. Nadal tańczę, ale to Ruth prowadzi. I, zanim spytasz, to drugi powód, dla którego przyszedłem tu dzisiaj: bo uznałem, że powinieneś wiedzieć. Wkrótce pogoda się zepsuje.

Przez moment przetrawiałem ów wyjątkowo niesmaczny kąsek: brandy wcale go nie osłodziła.

- Dobra - rzekłem w końcu. - Dzięki za ostrzeżenie. Posłuchaj, Gary, zakładam, że grzebiez już w przeszłości Kenny'ego. Znalazłeś tam cokolwiek? Wiesz, co się stało z jego żoną i synem, tak?

- Konkubina - poprawił Coldwood. - Zaginęła. Według zeznań sąsiadów rzuciła go jakiś rok temu. I to był jej syn, nie jego, i nie żyje. Ciągłe nie znamy szczegółów.

- Czy szczegóły obejmują też raport z sekcji? - spytałem. Coldwood wzruszył ramionami i uniósł wzrok ku niebu.

- Mógłbym dostać kopię?

- Na miłość boską, Fix!

- No dobra, dobra. Nie zaszkodziło spytać. Co sądzisz o innych ranach na rękach Kenny'ego? Tych starszych?

- Nieudana próba samobójstwa? Właściwie to chyba nie takie dziwne, co? Kiedy pomyślisz, przez co przeszedł...

- Myślę, że on się ciął - oznajmiłem.

Coldwood zapatrzył się na mnie.

- Czemu tak uważasz?

- Ponieważ znalazłem, to znaczy, ten kto włamał się do mieszkania, znalazł w sypialni zestaw do kaleczenia. Nie w sypialni chłopaka, tylko Kenny'ego.

- Przeszukaliśmy już ten pokój.

Wydałem policzki.

- Owszem, ale założę się, że zrobiliście to uprzejmie. W końcu to nie miejsce zbrodni, a Kenny nie jest podejrzanym. O mało sam go nie przeoczyłem.

- Wciąż powracasz do pierwszej osoby, Fix - zauważył z naciskiem Gary. - Lepiej nad tym popracuj. Twierdzisz zatem, że Seddon...?

Matt wstał gwałtownie.

- Cała ta rozmowa mnie... krępuje - wyznał. - Chyba już pójdę. Uczę w seminarium w Cheam i jutro mam bardzo dużo zajęć. Zatem, jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Ależ mam - powiedziałem stanowczo. - Daj spokój, Matt, nie widzieliśmy się już chyba z półtora roku. I założę się, że w konfesjonale wysłuchujesz znacznie gorszych rzeczy.

- Ja i tak już wychodziłem. - Gary odstawił pustą szklanę. - Za cztery godziny muszę być na nogach. Bądź bardzo ostrożny, Fix. I trzymaj kciuki, żeby zmiennozaimkowy włamywacz nie zostawił zbyt wielu odcisków w chacie Seddona. Nawet moi K2 nie przeoczą wszystkiego, co mają pod nosem. Powiem im, żeby raz jeszcze przyjrzeni się tej sypialni.

Podziękował Pen za wódkę i gościnność i wyszedł. I zostaliśmy we troje.

- Co u ciebie słychać, Matt? - spytała mojego brata Pen. - Nie wiedziałam, że zająłeś się nauczaniem.

- Od sześciu lat - odparł Matt, ucinając ten wątek rozmowy.

Pen próbowała tylko być miła, bo gdy ostatnim razem zjawił się z wizytą, rąbnęła go w nos tacą od herbaty. Nie działało się to w trakcie dysputy teologicznej, choć, prawdę mówiąc, nawet by mnie to nie zdziwiło: Pen bardzo poważnie traktuje swoją duchowość. Ale nie upierałem się, by Matty został po to, by dyskutować o dobru jego duszy. Dręczyło mnie coś innego i potrzebowałem odpowiedzi.

- Zobaczymy się rano, Pen - rzekłem, wstając z kanapy. - Jest parę spraw, które musimy omówić na osobności.

- Zabierz butelkę - poradziła Pen.

Podniosłem ją, bąknąłem „dzięki” i zauważyłem, że jest pusta. Po prostu na swój własny, jedyny w swoim rodzaju sposób, Pen dawała mi coś do zrozumienia.

- Rano kupię nową - obiecałem.

- Zapłać tylko choć część czynszu - odparowała, gładząc lśniący grzbiet Arthura.

Pierwszy ruszyłem schodami na górę. Matt przez moment stał przy drzwiach wejściowych, jakby się zastanawiał, czy nie uciec.

- Mówię poważnie, Matt - rzekłem. - Wcześniej czy później przeprowadzimy tę rozmowę. I uczyniłem ci tę grzeczność, że nie zrobiłem tego w obecności gliniarza. Więc lepiej załatwmy to wcześniej, dobrze?

Bez słowa protestu - właściwie bez cienia reakcji - Matt podążył za mną do mego pokoju na strychu. To oznaczało, że od Pen dzieliły nas dwa puste piętra: dość, by nie przeszkodziły jej podniesione głosy ani język.

W pokoju jest tylko jedno krzesło. Gestem poleciłem Mattowi, by usiadł. On jednak zamiast tego podszedł do okna i obejrzał kiepsko zreperowaną ścianę pod parapetem.

- To tędy wyskoczyła twoja przyjaciółka seksdemon po tym, jak o mało cię nie pożarła - powiedział.

Była to tak oczywista próba wytrącenia mnie z równowagi, że poczułem nagłą falę czułości. Zaskoczyła mnie, przywodząc na myśl dawne braterskie spory i nieczystą grę, jaką

prowadziliśmy ze sobą, dopóki nie odnalazł Boga i nie zgubił reszty nas. Może z tego powodu od razu przeszedłem do rzeczy, zamiast krążyć, szukając nieuczciwej przewagi.

- Co robiłeś w Salisbury, Matt? - spytałem.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Jego szaroniebieskie oczy, poza nim niewystępujące u nikogo w rodzinie Castorów, wytrzymały mój wzrok bez mrugnięcia.

- Po prostu spacerowałem - rzekł z nieskazitelnym spokojem. Lecz z dawnych czasów wiedziałem, jak świetnie potrafi panować nad twarzą.

Pokiwałem głową.

- Fajnie - mruknąłem. - Niezły spacer. Całą drogę z Cheam, ale w końcu to twoje buty. Niedawno widziałem kogoś innego spacerującego po osiedlu. Gwillama: tego sępa z Anathemata Curialis. Pamiętasz go?

- Oczywiście, że go pamiętam - odparł z ostrożną emfazą Matt.

- Skąd?

- Słucham, Feliksie?

- Skąd dokładnie go pamiętasz? Kiedy ostatnio go widziałeś i co właściwie robił na osiedlu Salisbury?

- Feliksie...

- Śmiało, Matty, śmiało. - Przesunąłem krzesło tak, by stało naprzeciw niego. - Dopiero co ściągnąłeś ze mnie człowieka Gwillama i zwróciłeś się do niego po nazwisku. I w sumie to przecież ma sens. Gwillam jest zadufanym w sobie fanatykiem, prowadzącym jednoosobową krucjatę przeciw nieumarłym. Ty jesteś księdzem, który nie potrafi odmawiać. Wcześniej czy później musieliście się spotkać.

Matt nadal z uporem nie chciał usiąść.

- Mylisz się, Feliksie - oznajmił.

- Czyżby?

- Tak. To nie jest jednoosobowa krucjata. Anathemata ma zapewne ponad tysiąc członków - paruset w samej Wielkiej Brytanii. Nie jest już oficjalnym ramieniem Kościoła, ale nadal cieszy się wielkim szacunkiem w pewnych kręgach. I wiele osób niezwykle ceni sobie opinie Thomasa Gwillama co do... - po raz pierwszy zająknął się, lecz po krótkiej chwili odzyskał rezon -...co bardziej kontrowersyjnych aspektów życia po życiu.

- Thomas - zastanawiałem się na głos. - Zapewne nazwany imieniem popularnego świętego.

- Zapewne.

- Którego wyjątkową cechą stanowiły wątpliwości, zgadza się? Zdumiewające, ale nie zawsze był w stu procentach pewien tego, że postępuje właściwie. Taki święty nawet do mnie przemawia.

Matt westchnął - długie, przeciągłe westchnienie, świadczące bardziej o zmęczeniu niż o rezygnacji. Teraz, kiedy przyjrzałem mu się uważniej, faktycznie wyglądał na zmęczonego, a także przygnębionego, jakby ciążyło mu coś poważnego.

- Akwinata, Feliksie - rzekł. - Święty Tomasz z Akwinu, nie apostoł Tomasz. Wiesz to przecież. Ty też chodziłeś do szkoły i do szkółki niedzielnej. Udajesz tylko ignorancję.

- Ale też jesteśmy tym, co udajemy, Matty - odparowałem. - Kurt Vonnegut, rozdział pierwszy, wers pierwszy. Jeśli zatem udajesz szalonego fanatyka religijnego, nim właśnie się stajesz. Po co, kurwa, zadajesz się z kimś takim jak Gwillam?

Zapadła długa, napięta cisza.

- Wiele przyjmujesz za pewnik - powiedział w końcu Matt. Jego głos drżał lekko.

Wzruszyłem ramionami.

- To cały ja - mruknąłem. - Zawsze szybko wyciągam wnioski. Widzę szefa tajnej organizacji kościelnej, kręcącego się na rogu. A potem mojego brata, księdza, kręcącego się na tym samym rogu niecałe dwanaście godzin później. I myślę sobie: coś się tu dzieje. Coś ostro nakręciło brygadę wyznawców zasady: „jeśli jest martwe, rozwal mu łeb”. I zaczynam się zastanawiać, cóż to może być.

Matt w bardzo nietypowym geście zacisnął pięść. Potem jednak tylko pomasaował ją drugą ręką.

- To absurd - rzekł. - Nie jestem nawet członkiem Anathematy.

Wzruszyłem ramionami.

- Skoro tak twierdzisz. Kłamstwo to grzech, więc z pewnością byś się go nie dopuścił. Ale pochodzisz ze ścisłego zadupia Walton, a święcenia przyjąłeś w Upholland, parę mil od miejsca, gdzie dorastaliśmy. Gdyby zatem ktoś szukał księdza znającego dobrze Liverpool 9, twój życiorys wyskoczyłby jako pierwszy, zgadza się?

- A kto miałby szukać? - Matt nadal patrzył mi w oczy i wciąż wyglądał na zmęczonego i niewzruszonego. - Po co miałby szukać?

- Z powodu Kenny'ego Seddona - odparłem i zobaczyłem, jak moje słowa trafiają w czuły punkt.

Matt pokręcił głową, lecz z trudem powstrzymał grymas.

- W Salisbury dzieje się coś bardzo dziwnego - ciągnąłem, nie dając mu szans na wtrącenie się. - Coś w tamtejszym powietrzu doprowadza ludzi do obłądu. Nie wiem, co to

jest, choć to poczułem. Nie jest to emocja, którą umiałbym nazwać. Bardziej impuls popychający ludzi na różne sposoby. Dziś widziałem chłopaka, który próbował się zabić, i myślę, że to dlatego, że opętało go to coś - czymkolwiek jest. Ten duch. Ruchoma obecność. A dwie noce temu, milę dalej, Kenny Seddon spotkał się z dwoma facetami. Miła pogawędka, spokojna, nieformalna. Przynieś własną brzytwę. I choć nie wiem, o czym rozmawiali, ich rozmowa - jak usłyszałeś przed chwilą, nie zdradzając ani cienia zdumienia - zakończyła się tym, że Kenny został porznięty niczym świąteczny indyk. Pokrojony przez Homera Simpsona.

Matt uniosł rękę, jakby chciał skorygować moje słowa. Nie dałem mu sposobności.

- Może te sprawy nie wiążą się ze sobą, ale roboczo zakładam, że tak nie jest. Bo ostatnim, co zrobił Kenny, gdy zgrabne miejskie autko wypełniło się jego własną krwią, było napisanie na szybie mojego nazwiska. Wezwał egzorcystę, Matty. Jedyne go egzorcystę, jakiego znał. Przez to musiałem niezłe się tłumaczyć niebieskim chłopcom, ale przynajmniej mógł mieć pewność, że dowiem się, co go spotkało. Jak myślisz, czemu to zrobił?

Brwi Matta uniosły się i zmarszczyły.

- To nie było... - zaczął, potem jednak pokręcił głową, jakby uznał, że w żaden sposób nie zdoła mnie przekonać. - Nie mam pojęcia - rzekł. - Nie mam najbledszego pojęcia.

- Ja też nie. Ale jeśli się nie mylę, jeśli Anathemata węszy wokół czegoś w Salisbury, a Kenny stanowił część owego czegoś, mogę chyba teoretycznie założyć, że poczciwy ojciec Thomas Akwinata Gwillam tak długo grzebał w swojej skrzynce z narzędziami, dopóki nie znalazł jedynego księdza katolickiego, który znał Kenny'ego w dzieciństwie? Jak mówiłem, tak właśnie postępuje. Łatwo mogę sobie zatem wyobrazić, że zwrócił się do ciebie, Matty. Uważam, że to całkiem prawdopodobne. A ty? Pozostaje zatem tylko pytanie, co mu powiedziałeś?

Zamiast odpowiedzieć, Matt próbował mnie wyminąć, kierując się do drzwi. Zagroziłem mu drogę, zmuszając, by się zatrzymał. I choć go nie dotknąłem, cofnął się, jak po zderzeniu z fizyczną, materialną barierą. Na jego twarzy odbił się autentyczny ból.

- Proszę, Feliksie - powiedział. - Naprawdę nic nie rozumiesz, a ja... - Głośno wciągnął powietrze. - Rozpaczliwie mi przykro, że zostałeś w to wmieszany. To niefortunne i nieoczekiwane. Powinieneś odejść, najszybciej jak możesz. Nie jest to coś, co ciebie dotyczy. Nie ma nic wspólnego z tym co wiesz i co musisz wiedzieć.

Znów zaczął pocierać dłonią zaciśniętą pięść.

- Swędzą cię ręce? - spytałem.

Spojrzał na nie, jakby dopiero teraz się zorientował, że tam są. Skóra na moich dłoniach piekła, jakby łączyły po niej dziesiątki robaków, choć uczucie to osiągnęło już swój szczyt i powoli zaczynało słabnąć. Zapomniałem o nim, dopóki nie przypomniał mi go nerwowy gest Matta.

- Nic mi nie jest - odparł z nieco przesadnym naciskiem Matt.

Zawahałem się. Tak naprawdę obaj z Mattem niezbyt dobrze się znamy: rozstanie z czasów dzieciństwa wciąż stoi między nami, tworząc dystans, którego nie jesteśmy w stanie pokonać, nieważne co dzieje się w naszym życiu. Teraz na przykład nie wiedziałem, czy chce, bym naciskał dalej, a nawet czy uważa mnie za przyjaciela, czy wroga.

Teoretycznie powinniśmy być z Gwillamem naturalnymi sojusznikami. Kiedyś byłem egzorcystą, przynajmniej w pewnym sensie, i to stawiało mnie po jednej stronie granicy nakreślonej przez coraz większą liczbę ludzi: między nami a nimi, tymi, którzy wciąż żyją i oddychają, i tymi, którzy przeszli przez zasłony tylko po to, by powrócić. Anathemata jest po tej samej stronie i buduje szanse wiary, mające powstrzymać narastającą falę umarłych.

Mnie jednak niezbyt odpowiadało ich towarzystwo. I nie uważałem martwych - ani nieumarłych - za nieprzyjaciół.

- Matty - spróbowałem jeszcze raz. - Daj mi coś, cokolwiek, dobrze? Nie zamierzam tego zostawić, bo nie mogę sobie na to pozwolić. Słyszałeś, co mówił Coldwood: mają mnie na oku, a kobieta, która kieruje śledztwem, mnie nienawidzi. Muszę zatem wiedzieć, co, do diabła, próbował mi przekazać Kenny. Jeśli się mylę - jeśli to, co się dzieje na osiedlu, nie ma nic wspólnego z nim i ze mną - powiedz mi, o co chodzi, i dam sobie spokój. Przysięgam na Boga, zajmę się swoimi sprawami. Jeśli nie ufasz mojemu słowu, zaufaj mojemu egoizmowi.

Matt milczał tak długo, że uwierzyłem, że poważnie rozważa moje słowa. Kiedy jednak w końcu się odezwał, to tylko po to, by powtórzyć to, co już powiedział.

- Przykro mi, że zostałeś w to wmieszany. Musisz się wyplątać i pozostać z boku. Cokolwiek się stanie, nie sądzę by ktokolwiek cię obwiniał.

- Już mnie obwiniają! - ryknąłem, łapiąc go za kłapy i potrząsając nim z desperacją. - Nie słuchałeś?

Dopiero w tym momencie dotknąłem go po raz pierwszy i uniósł ręce, by zerwać kontakt, odtrącając mnie gwałtownie. U Matta wyglądało to jak przerażający brak panowania nad sobą - do tego stopnia przywykł do nadstawiania drugiego policzka, że pewnie potrafi obracać głową o trzysta sześćdziesiąt stopni, jak Linda Blair. Zaskoczony, cofnąłem się o krok, przez moment niepewny, czy na tym poprzestanie, czy też wda się w prawdziwą bijatykę.

Ale nie. Stał tam tylko z rękami uniesionymi w obronnym geście, niczym eklezyjastyczny Bruce Lee. Efekt psuł jednak fakt, że cały się trząsł.

- Widziałeś, co się stało dziś w nocy - wypalił. - I do czego omal nie doszło. Mówię poważnie, Feliksie. Trzymaj się od tego z daleka. Nie zadawaj więcej pytań. Jakkolwiek to wygląda, to nie twoja sprawa. Nie twoja domena. To nie ma nic... absolutnie nic wspólnego z tobą.

Widziałem, że z najwyższym trudem wyrzuca z siebie te słowa. Twarz mu pobladła, oddech wyraźnie się rwał.

- Czyli nie chcesz mi zaufać? - spytałem ciszej.

- Ależ ja ci ufam, Feliksie - odparł drżącym głosem Matt. - Wiem dokładnie, czego się po tobie spodziewać. Wiedziałem od chwili, gdy pierwszy raz wysłuchałem twojej spowiedzi.

Tego nie przewidziałem i jego słowa uciszyły mnie równie skutecznie jak cios pięścią w brzuch. Nim zdołałem odpowiedzieć, Matt przepchnął się obok, odsuwając mnie z drogi, i wybiegł z pokoju. Zanim dotarłem na podest, pokonywał już drugie schody, przeskakując po kilka stopni.

Podążyłem za nim nieco wolniej, nie próbując go złapać. Najwyraźniej w naszej rozmowie osiągnęliśmy impas.

Drzwi w dole trzasnęły i w chwili gdy dotarłem do holu, ze stygijskich otchłani wyłoniła się Pen i spotkała się ze mną na parterze. Spojrzała na drzwi, potem na mnie.

- Głośno wam poszło - zauważyła.

Pokręciłem głową, zbyt wstrząśnięty tym, co się właśnie stało, by próbować to ukryć.

- Przepraszam - mruknąłem. - Staralem się zabrać go jak najdalej od ciebie. Przepraszam też, że miałaś na głowie Coldwooda. Pytał o Rafiego?

Pen skinęła głową.

- Powiedziałaś to, co mi kazałeś. Od ponad miesiąca nie odwiedzałam Rafiego i nie wiem, gdzie jest.

- Świetnie. W żaden sposób nie dowiodą, że brałaś w tym udział. Nie dotrą ode mnie do ciebie.

Wyraźnie nie miała ochoty rozwijać tego tematu.

- To co, załatwiłeś sprawę z Mattem?

- Nie.

- Tak też sądziłam. Chodź do mnie i opowiedz mi o wszystkim.

Zazwyczaj nie mieszam Pen do mojego życia zawodowego, lecz przy nielicznych okazjach, kiedy razem zajmowaliśmy się jakimiś sprawami, okazała się całkiem bystrym

doradcą. Zerknąłem na zegarek. Zostało za mało nocy, by się kłaść, a poza tym dotarłem już do etapu, gdy jest się zbyt blisko tego, na co się patrzy, żeby to zobaczyć. Nie mówiąc już o tym, że Pen zapewne i tak wyciągnęła większość faktów od Coldwooda. W jej rękach brandy to potężne narzędzie, a kiedy gra na swoim boisku, ciężko ją pokonać.

- No dobra - powiedziałem. - Zgoda.

Siedliśmy razem nad morderczo mocną kawą z jej tygielka do parzenia i Pen z nieprzeniknioną miną wysłuchiwała w ciszy całej historii.

- Co on miał na myśli? - spytała, kiedy doszedłem do spowiedzi. - Ty przecież nie wierzysz w te bzdety, prawda, Fix?

Zaśmiałem się pogardliwie.

- Za dużo grzechów - mruknąłem. - Wyobrażasz sobie kolejkę, jaka by się po mnie ustawiła?

- Dlaczego zatem Matt to powiedział?

Przez chwilę nie odpowiadałem. Wspomnienie powróciło z taką mocą, że poczułem się, jakbym znów tam był. Ostatniej wiosny, nim odszedłem z domu. Na przyjęciu urządzonym przez nas dla Matta w klubie kolejowym przy Breeze Lane, w dzień po jego wyświęceniu.

Pen czekała. Zbyt dobrze mnie znała, by naciskać; po chwili, mówiąc cicho, bo to także wyglądało niemal jak spowiedź, opowiedziałem jej wszystko.

Przyjęcie było pomysłem taty - mieliśmy uczcić osiągnięcie Matta i utrzcę nosa wszystkim, pokazując wszem wobec, że ma za syna księdza. Od tej pory Castorowie będą pierwsi w kolejce do nieba: mieliśmy tam własnego człowieka.

Ja nie byłem w nastroju do zabaw - krążyłem dookoła imprezowiczów, czując, jak budzą się we mnie na nowo ta sama dawna niechęć i pretensje. Matt nas porzucił w czasach, gdy „my” wciąż jeszcze oznaczało całą naszą trójkę: jego, mnie i tatę, a teraz powrócił jako bohater. Nie widziałem powodu do świętowania.

Podwędziłem zatem butelkę whisky - mocnego trunku, który dopiero niedawno odkryłem - i szklanę, znalazłem sobie mały pokoik na tyłach klubu, służący za składzik pustych beczek po piwie, i rozpocząłem eksperyment, który z pewnością spodobałby się Albertowi Hofmannowi.

Jakąś godzinę później w drzwiach zjawił się Matt - zauważył moją nieobecność i zaczął mnie szukać.

- Dobrze się czujesz, Feliksie? - spytał.

- Nic mi nie jest - odparłem, na potwierdzenie unosząc butelkę. - Świetnie sobie radzę, Matt.

- W takim razie może zechcesz dołączyć do reszty? Ciocia Lily chciała porozmawiać z tobą o duchu w jej wygodce.

- Ciocia Lily może sama sobie na niego zagwizdać.

Matt wszedł do środka. Na szyi miał krzyż, który niedawno podarowała mu mama: opleciony rzeźbionymi cierniami tak gęstymi, że wyglądał jak kolczasty krzew, z literami INRI na zwoju pośrodku, był jednocześnie piękny i groteskowy. Wyjął mi z ręki butelkę whisky.

- Myślę, że chyba dość już wypiliśmy - powiedział łagodnie.

Odebrałem mu ją i nalałem sobie kolejną hojną porcję.

- Pewnie masz rację - przyznałem.

- Fix... - Matt bardzo rzadko nazywał mnie moim przydomkiem, stanowiło to zatem niezwykle ustępstwo z jego strony. - Wiem, że przez ostatnie kilka lat przydałaby ci się moja obecność, ale po prostu... czułem, że to coś, co naprawdę muszę zrobić. Coś, co powinienem zrobić. Mówią, że jeśli Bóg chce, żebyś został księdzem, przemawia do ciebie głosem, którego nie da się pomylić z niczym innym. I naprawdę tak było. Jakby coś mnie ciągnęło, a ja nie mogłem odmówić. Ale okropnie się czułem, porzucając ciebie i tatę. Próbuję wymyślić, jak wam to wynagrodzić.

- Poważnie? - spytałem. - Super, Matty. Co za łaskawca z ciebie.

Słyszac te sarkastyczne słowa, skrzywił się, co zachęciło mnie do brnięcia dalej. Ale że zdążyłem już niezłe się narąbać, potrzebowałem chwili, by wymyślić coś dobrego. Miałem już spytać, na jaką pokutę według niego zasługuje pięcioletnia dezercja i zostawienie nas po same uszy w bagnie, lecz samo słowo - pokuta - wywołało ciąg skojarzeń prowadzących do lepszego pomysłu.

- Ojczy Castorze, wysłuchaj mojej spowiedzi - powiedziałem.

Na twarzy Matta odbiły się zdumienie i konsternacja, lecz tylko na moment. Pokręcił głową.

- Jeśli mówisz poważnie, Fix, przyjdź do Świętej Marii i porozmawiaj z ojcem Stone'em. Nie chcesz mojego rozgrzeszenia. Ja pragnę twojego, ale nie w tym rzecz.

- Mówię poważnie - upierałem się. - Jest coś, co bardzo mi ciąży. Dręczy mnie od dwunastu lat i nie mogę wyznać tego nikomu. Prócz ciebie, Matt. Bo należysz do rodziny, a to sprawa rodzinna.

Przygwoździłem go wzrokiem niczym Sędziwy Marynarz z poematu. Wyraźnie chciał odejść - żałował, że w ogóle tam przyszedł - ale z kościelno-pastersko-tragiczno-historycznego punktu widzenia trzymałem go za jaja. Nie mógł odmówić, ponieważ mogłem prosić poważnie. A biorąc pod uwagę całą wódkę i bagaż naszych wcześniejszych doświadczeń, nawet ja sam nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

Matt usiadł na beczce.

- Mów dalej - rzekł.

- Zrób to jak należy - wybelkotałem.

Z niecierpliwym gestem przyjął mój cios.

- W takim razie trzymaj się scenariusza - odparował.

Z dziwnie nierzeczywistym uczuciem wymówiłem znajome, od dawna nieużywane słowa.

- Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłem. Ostatni raz spowiadałem się osiem lat i kilka miesięcy temu. Mam na sumieniu jeden grzech.

- Tylko jeden?

- Tylko jeden, Matt. Nie chcę zbyt długo pozbawiać pełnych uwielbienia fanów twojego towarzystwa.

Nie odpowiedział, toteż podjąłem:

- Po śmierci Katie...

Słowa zawisły w powietrzu. Cokolwiek chciałem powiedzieć, wyciekło z mojej głowy, niczym olej z nieszczelnej miski. I nie zjawilo się nic, co by to zastąpiło.

- Po śmierci Katie? - powtórzył z naciskiem Matt. - Mów dalej, Feliksie, co się stało po śmierci Katie?

Czemu w ogóle zaczynałem? Jaki sens miała cała ta zabawa? Napelniłem szklanę, odkrywając w trakcie, że wciąż jeszcze jest pełna po ostatnim razie. Ostro pachnąca ciecz spłynęła mi po palcach i rozbryznięła się na ziemi.

- Po śmierci Katie...?

Nie mogłem na niego spojrzeć, toteż wbiłem wzrok w pełną szklanę, przyglądając się miniaturowym falom i zmarszczkom na menisku.

- Znów ją zabiłem.

- Co to w ogóle znaczy, Feliksie? - Matt wciąż przemawiał łagodnie, wyczuwałem jednak napięcie w jego głosie.

- Jej ducha. Jej... dusza powróciła. Przyszła do mojego pokoju.

- Wyobraziłeś to sobie w swoim żalu...

- Nie, Matt. Katie. To była Katie, we własnej osobie. Wiesz, że widuję rzeczy, których ty nie widzisz.

- Wiem, że wmówiłeś sobie, że je widzisz.

Napięcie wypłynęło na powierzchnię. Matt od dzieciństwa wiedział o moim zmyśle śmierci, ale odkąd przyjął święcenia, nigdy o nim nie rozmawialiśmy. Był to słoń, wokół którego tańczyliśmy arabeski podczas każdej rozmowy.

- I zmusiłem ją, by odeszła... śpiewając - podjąłem. - Nuć. Myślę, że chciała tylko porozmawiać. Że się bała i chciała wrócić tam, gdzie jej miejsce, do rodziny. Ale ja ją odesłałem. I nigdy już nie wróciła.

Cisza ciągnęła się nieznośnie.

- Idź na jej grób - poradził w końcu Matt. - Pomódl się za nią. Pomódl się, by odnalazła drogę do nieba, i o to, by ci wybaczyła.

Obróciłem w palcach przepelnioną szklankę i whisky znów pociekła przez krawędź, spływając po szklanych ściankach niczym pot bądź łzy.

- Słyszysz mnie, Feliksie?

- Tak - odparłem. - Słyszę.

Wytrącił mi z rąk szklankę i butelkę. Szklanka rozbiła się, butelka nie: poturlała się tylko podłozie, wyrzucając z siebie whisky niczym pijany doker.

- W takim razie odmów akt łaski - poradził.

- *Deus meus* - zacząłem. - *Ex toto corde paenitet...*

Minęło jednak zbyt wiele czasu i nie pamiętałem już słów. Matt wyrecytował je dla mnie, a ja powtarzałem jak papuga, póki w końcu nie przypomniałem sobie z powrotem przy *adiuvante gratia tua*. To były tylko słowa, nie wierzyłem, by ktokolwiek słuchał.

Ale oczywiście słuchał. Matt.

Położył mi dłoń na ramieniu i ścisnął tak mocno, że aż zabolęło.

- Twoje grzechy zostały odpuszczone, ty pijany, samolubny draniu - rzekł. - Odejdź w pokój.

Kiedy uniosłem wzrok, zniknął. A może uczciwiej byłoby przyznać, że nie uniosłem go, dopóki się nie upewniłem, że odszedł, a jego kroki nie rozplynęły się w ciszy. Muzyka i krzyki wzmożyły się, a potem znów ścichły, anonsując otwarcie i zamknięcie którychś drzwi.

Siedziałem tak, wdychając opary whisky niczym bluźniercze kadzidło i wciąż czując ciężar dłoni na ramieniu. Zupełnie nie czułem się rozgrzeszony - bardziej jakby złapał mnie za kołnierz święty duchowy policjant. Z całą pewnością wiedziałem jednak dwie i tylko dwie

rzeczy: że powołanie Matta jest prawdziwe i że jeśli chodzi o rozgrzeszenie, kilka mizernych modlitw nie wystarczy.

Pen wysłuchała mnie w milczeniu. Kiedy przemówiła - niech pogańscy bogowie pobłogosławią jej nieomylny instynkt - to po to, by zmienić temat.

- To coś, co wyczuwasz, kiedy jesteś w Salisbury. Myślisz, że to jakiś geist?

Pen zna nasz żargon i użyła tego słowa w jego znaczeniu technicznym. Dla egzorcysty geist to ludzki duch, który nie przyjmuje formy widzialnej, ale nadal potrafi oddziaływać na nasz świat - niemal zawsze niszczycielsko.

- Nie wiem - przyznałem to co oczywiste. - Ale nie sądzę. Większość geistów porusza przedmiotami. Tłuką butelki, rzucają meblami, zdmuchują świece, wypychają ludzi przez okna. To natomiast jest... nienamagalne. To tylko odczucie. I wydaje się wszechobecne - obejmuje całe osiedle, a tymczasem geist zwykle trzyma się jednego określonego miejsca.

Pen z zamkniętymi oczami wciągnęła w płuca parę znad filiżanki kawy, jak Nicky chłonący zapach wina. Potem opróżniła ją jednym haustem. Czekałem cierpliwie, wiedząc, że się zastanawia.

- Mieszkańcy osiedla - rzekła, gdy w końcu znów otworzyła oczy. - Czy oni wiedzą, że to tam jest? To znaczy, oczywiście, wpływa to na ich myśli i zachowanie, ale czy są świadomi, że to się dzieje, czy też po prostu się temu poddają?

- Chyba to drugie. Ja to czuję, bo...

- Bo masz swój wbudowany radar.

- Właśnie. Ale myślę, że dla innych to coś jak dźwięk, który rozbrzmiewa ci w uszach od tak dawna, że już go nie słyszysz - słyszysz tylko ciszę, kiedy milknie. To jest subtelne. Potężne, ale bardzo subtelne. Prawdę mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy gdzieś w tym wszystkim nie kryje się demon.

Pen pokiwała głową, jakby w tym samym momencie doszła do identycznego wniosku.

- W takim razie powinieneś pomówić z ekspertem - uznała.

10

Tak się składa, że do kręgu moich najbliższych znajomych należą dwa demony. Pen z wielu powodów, oprócz czysto pragmatycznych, miała na myśli Rafiego. Jednakże, z nich dwojga, milion razy łatwiej dogadać się z Juliet, a poza tym w pewnym sensie znała już sprawę, toteż najpierw postanowiłem wpaść do niej.

Wytropiłem ją w bibliotece w Willesden, gdzie pracuje obecnie jej partnerka, Sue Book. Juliet czekała na koniec zmiany Sue, potem wybierały się razem na premierę i publiczne czytanie jakiejś książki. Usiedliśmy w dziale dziecięcym, bo przynajmniej dzieci były odporne na morderczo intensywną, seksualną aurę Juliet. Lecz w sali kręciło się także parę matek i ojców: Juliet nie zważała na ich niespokojne, lubieżne spojrzenia i wysłuchiwała opisu moich najnowszych przygód na osiedlu Salisbury.

Nie wtrącała jednak żadnych uwag i w końcu musiałem zapytać ją bezpośrednio:

- I co, miałaś już okazję tam wpaść? Jeśli nie, nie naciskam. Wiem, że niczego nie obiecywałaś i nic mi nie jesteś winna. Ale ta sprawa to dla mnie jedna wielka zagadka, Juliet. I byłbym wdzięczny za każdą, choćby drobną informację.

- Byłam tam - odparła.

Czekałem na więcej, ale się nie doczekałem. Juliet spojrzała na czytaną książkę: *Bardzo głodna gąsieniczka* i ów morderczy kontrast mocno zbił mnie z tropu.

- I czego się dowiedziałas? - spytałem, gdy pojąłem jasno, że z własnej woli nic więcej mi nie powie.

Znów na mnie spojrzała. Prawdziwa kobieta - właściwie mężczyzna również - unikałaby kontaktu wzrokowego, wpatrując się w książkę, lecz Juliet nie wie co to wstyd ani towarzyskie zakłopotanie. Jest kamiennym, niewzruszonym, doskonałym i bezwstydny konkretem w świecie niuansów. Patrzyła zatem na książkę, bo coś w moich słowach bądź jej myślach się jej z nią skojarzyło. Z głodem? Gąsienicami? Przemianą?

- Nie mogę o tym rozmawiać - oznajmiła.

Rozejrzałem się po twarzach obecnych w sali ludzi. Faktycznie, wpatrywało się w nas - czy raczej w nią - mnóstwo oczu.

- Dobra - mruknąłem niechętnie. - Ale gdybym zaczekał, to czy po premierze moglibyśmy...?

- Nie miałam na myśli: tu i teraz, Castor, tylko: nigdy. To nie temat, który możemy między sobą poruszać.

Patrzyła na mnie chłodno i surowo - znała mnie i wiedziała, że niełatwo przyjmuję jakąkolwiek odmowę. Ostrzegała mnie wzrokiem, że zamiast następnych odpowiedzi mogę oczekiwać klapsów.

Ale, jak to mówią, poznasz głupiego po czynach jego.

- W pewnym sensie już to zrobiliśmy - przypomniałem. - No wiesz, poruszyliśmy ten temat. Mogłabyś mi przynajmniej powiedzieć, czy wyczułaś to coś?

- Nie.

- Albo czy to rozpoznałaś? Czy spotkałaś się z tym już wcześniej?

- Nie.

- Ale przecież jesteś duchołapką! - zaprotestowałem. - Tak właśnie zarabiasz na życie. A gdybym cię wynajął...

- Powiedziałaś: nie, Castor. Nie jestem do wynajęcia. Jeśli sam sobie z tym poradzisz, zrób to. Jeżeli nie, nie przychodź do mnie po pomoc i nie próbuj wyciągać ze mnie informacji oszukańczą grą w dwadzieścia pytań. Bo to wywołałoby między nami napięcie. Mogłoby nawet zaszkodzić naszej przyjaźni.

Nim zdołałem wymyślić pytanie, które nie brzmiałoby jak pytanie, w sali pojawiła się Susan Book i dołączyła do nas. Położyła rękę na ramieniu Juliet. Juliet ujęła ją w dłoń, uniosła do ust i odłożyła na miejsce.

Susan obdarzyła mnie promiennym uśmiechem. Odkąd związała się z Juliet, rozkwitła: z nieśmiałej, skonfliktowanej szarej myszki, jękającej się z zakłopotaniem i obwiniającej siebie za winy innych, zamieniła się w pewną siebie, spokojnie charyzmatyczną kobietę. Seks to magia, a ona dokopała się do studni artezyjskiej. Skłamałbym, mówiąc, że jej nie zazdroścę.

Lecz ów mały gest, lekki pocałunek w grzbiet dłoni, przypominał mi - na wypadek, gdybym potrzebował przypomnienia - że w ich związku kryło się znacznie więcej niż tylko seks. Susan kochała Juliet, szaleńczo, rozpaczliwie, zachłannie. A Juliet... także coś czuła. Coś, co sprawiało, że chciała chronić Susan, była o nią zazdrosna, a czasami nieco poirytowana, gdy partnerka nie robiła tego, co Juliet jej kazała, i nie patrzyła na problemy w jedyny oczywisty sposób. Równie dobrze możemy to nazwać miłością: miało z nią wiele cech wspólnych.

- Cześć, Felix - rzuciła teraz. - Wybierzesz się z nami na spotkanie z Martinem Amisem?

- Miałbym wysłuchać wykładu o tym, że muzułmanie powinni częściej bić swoje dzieci? Nie, dzięki - odparłem. - Idźcie same, dzieciaki, i bawcie się świetnie.

Wstałem, starając się nie pokazać po sobie irytacji i konsternacji. Juliet już raz mnie ostrzegła - jeśli dobrze pamiętam, jakiś rok temu - że pewne tematy na zawsze pozostaną dla nas tabu. Lista obejmowała piekło i niebo, a także Boga, jej własną naturę i pochodzenie. Dobrze byłoby wiedzieć, która z tych rzeczy - jeśli w ogóle - wchodzi w grę tutaj, lecz przybycie Susan uniemożliwiło mi dalsze zarzucanie sieci.

- Tak zrobimy - odparła Susan, zapewne w odpowiedzi na moje niechętnie „Dobrej zabawy” czy coś w tym stylu.

Juliet skrzywiła się cierpko.

- Idee - mruknęła.

- W ideach nie ma nic złego, Jules - upomniała ją łagodnie Susan.

- Nie. Ale ja się specjalizuję w ciele.

Po tych słowach pożegnałem się i odszedłem. Nie czułem się szczęśliwy.

Ponieważ Juliet odmówiła zabawy, pozostawał mi Asmodeusz. A Asmodeusz to zupełnie inna para kaloszy.

Po pierwsze, był większy. Wredniejszy. I żył wewnątrz mojego najlepszego przyjaciela.

Rafi zaczął się bawić w czarną magię dopiero po tym, jak mnie poznał i zobaczył, co potrafię. Działo się to podczas mojego krótkiego, nieudanego pobytu na uniwersytecie, kiedy on był eleganckim dandysem, a ja komunistą z klasy robotniczej, z pretensjami do całego świata. Przelotnie konkurowaliśmy o względy Pen, choć Rafi nigdy nie wątpił, że ostatecznie wygra. Zawsze zwyciężał. Należał do ludzi, którym świat rzuca wszystko do stóp.

Rafi nigdy nie był częścią bractwa egzorcystów, jedynie pełnym entuzjazmu amatorem, obdarzonym sprawniejszym niż większość rozumem, który mieszał i dopasowywał rytuały nekromanckie, aż w końcu ułożył z nich coś, co faktycznie działało. Ale też nigdy nie umiał doprowadzić niczego do końca, i to właśnie stanowiło pierwotną przyczynę jego upadku. Opuścił jedno z niezbędnych zaklęć i w ochronnym kręgu magicznym, który powinien był uwięzić bezpiecznie Asmodeusza, pozostała luka. Demon - jeden z najtwardszych piekielnych skurwieli - wyrwał się z niego i wdarł do duszy Rafiego.

W tym momencie mogło się wydarzyć wiele różnych rzeczy. Opętanie przez demona to względnie nowe zjawisko i niezbyt dobrze udokumentowane. Co do Rafiego, to wpadł w

delirium i tak bardzo się rozgrzał, że zdawało się, iż lada moment stanie w płomieniach. Jego dziewczyna zadzwoniła po mnie, a ja spróbowałem przeprowadzić egzorcyzmy. I to był *coup de grâce*. Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z demonem, a co dopiero tak potężnym. Potwornie schrzaniłem sprawę i złączyłem ich obu w sposób, którego nie potrafiłem odwrócić. Od tego czasu Asmodeusz mieszka w ciele Rafiego: starszy wspólnik w bardzo nierównym związku.

Dla Rafiego oznaczało to koniec normalnego życia. W starciu z jednym z najpotężniejszych synów Gehenny ludzka dusza nie ma szans, toteż Asmodeusz przejmował nad nim panowanie, kiedy tylko naszła go ochota. Po paru paskudnych incydentach, Rafiego, zgodnie z ustawą o zdrowiu psychicznym, skierowano na leczenie przymusowe - istnieją pewne aspekty naszego obecnego życia, których prawo nie zdążyło jeszcze uregulować, i to był jeden z nich. Szefowie Ośrodka Stangera, jako ludzie pragmatyczni, zapisali w dokumentach „schizofrenia”, lecz jednocześnie wyłożyli celę Rafiego srebrem, by powstrzymać najgorsze wybryki demona.

Przez trzy lata jakoś to szło i radziłem sobie w kiepskiej sytuacji. Od czasu do czasu wpadałem do Stangera i grając na flecie, uspokajałem demona, tak by Rafi mógł zaznać spokoju. A doktor Webb, kierujący ośrodkiem, nie wtrącał się, dopóki mu płaciliśmy.

To znaczy, nie wtrącał się, dopóki moja dawna koleżanka, Jenna-Jane Mulbridge, szefowa Kliniki Ontologii Metamorficznej w szpitalu Queen Mary w Paddington, nie złożyła mu lepszej propozycji. W czasach, gdy dla niej pracowałem, Jenna-Jane była zwykłym bezlitosnym potworem, lecz przez ostatnie parę lat przeszła publiczną przemianę w szaloną fanatyczkę, przekonaną - podobnie jak ojciec Gwillam - że ludzkość rozpoczęła ostatnią apokaliptyczną walkę z siłami ciemności. Z tego co mi wiadomo, uważa siebie za coś w rodzaju Q w filmach o Jamesie Bondzie: zbrojmistrza i inżyniera ludzkości, tworzącego broń, której będziemy potrzebować, gdy umarli i nieumarli przyprą nas do muru i z wrzaskiem i bełkotem rzucają się nam do gardeł.

Nim jednak zostanie Q, musi stać się Mengellem. Zamieniła zatem skrzydło szpitalne imienia Helen Trabitch w niewielki obóz koncentracyjny, którym kieruje z czułym, obsesyjnym sadyzmem, i zdołała przekonać przewodniczącą rady nadzorczej szpitala, że to nadal medycyna. Zebrała tam imponującą kolekcję więźniów: wilkołaki, zombie, najstarszego kiedykolwiek wywołanego ducha i tragicznego świra, który uważa się za wampira. Do kompletu brakuje jej tylko demona i rozpaczliwie pragnie zdobyć Rafiego.

Jakiś miesiąc temu zimna wojna pomiędzy mną i J-J rozgorzała na nowo, jak to się zdarza od czasu do czasu: wyglądało na to, że Jenna-Jane zdoła przekonać Sąd Najwyższy do

zmiany decyzji miejscowego sędziego, który uznał Pen za opiekunkę prawną Rafiego. Jenna-Jane chciała przenieść Rafiego z Ośrodka Stangera do KOM, przy cichej współpracy doktora Webba - najwyraźniej miała jego jaja w kieszeni.

Ale ja także zaprowadziłem sobie niezły zbiór jaj i wspomniany miejscowy sędzia jest jego częścią. Zdobyłem własny, doskonale sfałszowany nakaz sądowy i pierwszy wszedłem do gry. Webb i J-J obudzili się rankiem z ręką w nocniku. Rafi zniknął, zamieniwszy wątpliwą gościnność Stangera na opiekuńcze dłonie mojej dobrej przyjaciółki, Imeldy Probert - którą większość londyńskich umarłych i nieumarłych nazywa Lodownią.

Było to posunięcie tymczasowe i desperackie. U Stangera Rafi tkwił uwięziony w srebrnej celi, a Webb i jego ludzie dysponowali kilkunastoma metodami - od subtelnych aż po brutalne - kontrolowania Asmodeusza, gdy dochodził do głosu. Teraz mieliśmy tylko mój flet i Imeldę - która od początku uważała, że to bardzo zły pomysł.

Po drodze do metra wyobraziłem sobie czekającą mnie kłótnię z Imeldą i potworną mękę przywołania piekielnego pomiotu i odesłania go z powrotem podczas jednej krótkiej sesji. Wiedziałem, że będzie źle. W każdym razie dla mnie: Pen spojrzy na to inaczej, bo podczas gdy ja będę się naradzał ze złowieszczym alter ego Rafiego, ona - zakładając, że wszystko potoczy się zgodnie z planem! - spokojnie odwiedzi mojego przyjaciela.

Kiedy jednak wróciłem do Pen, by przekazać jej dobre i złe wieści, zastałem ją czekającą ze słuchawką w dłoni i innymi nowinami.

- Ktoś dzwonił do Danielsów - poinformowała. - Mówił, że chodzi o Billy'ego. Obudził się.

- To świetnie - odparłem, lecz Pen wciąż miała poważną, niespokojną minę.

- Najwyraźniej jednak nie - rzekła.

Praktycznie było nam po drodze: ptak lecący przez Londyn z Turnpike Lane do Peckham i trzymający się przepisów, znalazłby się rzut beretem od New Kent Road. Pen wcale nie miała ochoty nadkładać trasy, ale dysponowałem dwoma asami w rękawie. Po pierwsze, Tom i Jean Danielsowie byli potencjalnymi klientami: Pen lubi, kiedy zarabiam pieniądze, bo jestem jej ich mnóstwo winien i przydaje się każda drobina.

Drugi to słowa Coldwooda o ludziach obserwujących dom Pen. Od tej pory zapuszczałem czujki, wypatrując szpiegów, ale jak dotąd nie zależało mi aż tak bardzo. Jeśli to ludzie Jenny-Jane, czekający z nadzieją, że doprowadzę ich do Rafiego, im więcej zwrotów i pętli dodamy do naszej dzisiejszej trasy, tym lepiej. Musieliśmy zyskać absolutną pewność, że do domu Lodowni dotrzemy sami.

Pojechaliśmy zatem na osiedle Salisbury i gdy znaleźliśmy się w cieniu pierwszych betonowych monolitów, Pen mimo woli zadrżała.

Zerknąłem na nią z zaciekawieniem.

- Poczulaś to? - spytałem.

- Po prostu mi zimno - wymamrotała.

- Billy się obudził - oznajmiła Jean Daniels, ledwo stanęliśmy w progu jej mieszkania.

- Ale nie jest sobą, panie Castor. Błąka się we własnym umyśle. Tom siedział przy nim jeszcze przed godziną, ale teraz musiał się zameldować w urzędzie pracy.

Pokazała mi drogę do salonu. Bic nadal leżał na kanapie, na której położyłem go zeszłej nocy, teraz jednak miał na sobie piżamę zamiast ubrania i był przykryty do pasa kocem. Piżama raniła oczy błękitem i czerwienią: na piersi chłopaka Spiderman walczył w doktorem Octopusem.

Bic miał oczy otwarte, ale jakby mnie nie widział. Leżał niespokojnie, jego palce poruszały się i trzepotały, niczym u gitarzysty próbującego przypomnieć sobie sekwencję akordów bez pomocy instrumentu. Poruszał także wargami, choć nie dobiegał spomiędzy nich żaden dźwięk.

- Co powiedzieli w szpitalu? - spytałem.

Jean zerknęła z powątpiewaniem na Pen; wyraźnie nie miała ochoty omawiać spraw rodzinnych w obecności nieznajomej.

- W porządku - uspokoiłem ją. - To jest Pen Bruckner. Moja gospodyni, a także w pewnym sensie współniczka, bo wiszę jej więcej niż sam jestem wart.

Jean przyjęła moje słowa bezradnym wzruszeniem ramion: jak trzeba, to trzeba i tyle.

- Powiedzieli mi, że może mieć wstrząśnienie mózgu. Potem się obudził i stwierdzili, że nie. Potem zaczął dziwnie mówić i mnie nie poznawał, więc stwierdzili, że sami nie są pewni. Zrobili jakieś badania, ale nie chcieli nam podać wyników. Wyraźnie nie mieli pojęcia, co się z nim dzieje. Spędziliśmy tam pięć godzin, czekając na konsultanta, a kiedy się zjawił, powtórzył tylko, że to nie wstrząs mózgu i po paru godzinach Billy powinien dojść do siebie.

Gwałtownie potarła ręką oko, jakby bardziej chciała wepchnąć łzę do środka niż ją zetrzeć.

- Zamierzali go tam zatrzymać - podjęła i na to wspomnienie jej wargi zacisnęły się w wąską linię - ale kiedy spytałam, co będą robić, nie umieli jasno odpowiedzieć. „Obserwować go”, rzekli tylko. Zupełnie jakby przez to miało mu się poprawić. No to zabraliśmy go do domu. Ale coraz z nim gorzej, panie Castor. Zupełnie jakby miał gorączkę, tyle że nie jest

rozpalony. Powiedziałam więc Tomowi, że powinniśmy pana wezwać. Strasznie się o to pokłóciliśmy i oświadczył, że będę to mogła zrobić dopiero kiedy wyjdzie, bo nie wierzy w te wszystkie bzdury, o których pan mówił. Ja chyba też nie wierzyłam, dopóki to się nie stało. Ale nie ma sensu wsadzać głowy w piasek. To nie jest problem medyczny, prawda? Zupełnie nie. Te krwawienia, sny i to wszystko. To... - Znów wzruszyła ramionami. - Myślę, że to bardziej pańska działka. Mam rację?

Skinąłem głową, lecz przez moment się nie odzywałem. Miazma - migrenowe brzęczenie w powietrzu, nieustające setki ukłuc z tyłu czaszki - ogłupiała mój zmysł śmierci do tego stopnia, że stawał się niemal bezużyteczny. Naprawdę nie potrafiłem stwierdzić, czy Bic jest jednym z jej źródeł, czy też nie. Z drugiej strony, poprzedniej nocy widziałem, jak we śnie o mało nie zeskoczył z kładki dwadzieścia metrów nad ziemią. I widziałem też, jak krwawiły mu dłonie, mimo braku ran. Jeśli to nie opętanie, to co?

- Tak - rzekłem w końcu. - To z pewnością moja działka. Ale skłamałbym, mówiąc, że wiem dokładnie co się dzieje, Jean.

- Ja nie muszę wiedzieć. - Głos Jean łamał się lekko. - Proszę go tylko sprowadzić z powrotem. Tego tylko chcę. Jeśli się panu uda, zapłacę, ile pan zechce.

Wiedziałem, że to próżne przechwałki. Na ile mogła sobie pozwolić, skoro Tom musiał meldować się w urzędzie pracy po zasiłek? Nawet dziesięć funtów zapewne poważnie nadweryżyłoby ich budżet. Po cóż jednak tu przyszedłem, jeśli nie w sprawie pracy? Jak mogłem upokorzyć tę kobietę swą litością po wszystkim, co już wycierpiała? Jakkolwiek by na to patrzeć, był to poważny problem. No i dochodziła też kwestia moich kompetencji zawodowych. Uznałem, że lepiej rozstrzygnę ją od razu, nim zajdziemy dalej.

- Nie wiem, czy mi się uda, czy nie - oznajmiłem. - Ponieważ, jak mówiłem, nie wiem na razie, z czym mam do czynienia. Jeśli faktycznie go sprowadzę, to raczej nie podczas pierwszej próby. To może potrwać parę dni i wymagać kilku wizyt, bez gwarancji powodzenia. Jestem gotów spróbować. To najlepsze, co mogę zaproponować. A co do pieniędzy: w pewnym sensie pracuję już nad tą sprawą dla innego klienta - dodałem, bezwstydnie koloryzując fakty - mogę zatem zaproponować zniżkę. W istocie w tych okolicznościach zgodzę się przyjąć zapłatę z dołu. Nie wezmę zaliczki, ale jeśli Billy'emu się polepszy i nie zachoruje znowu, przyślę rachunek.

- Rachunek na ile? - nalegała Jean, bez wątpienia zbyt przyzwyczajona do gładkich słówek lichwiarzy i komorników, by dać się zbyć obietnicami.

- Na setkę - odparłem, wymyślając sumę na poczekaniu.

Jean dokonała w myślach szybkich obliczeń, jej oczy poruszały się z boku na bok, gdy przesuwała niewidzialne krążki niewidzialnych liczydeł.

- Zgoda, panie Castor - rzekła w końcu. - Zgadzam się na sto funtów.

Wyjąłem flet. Jean spojrzała na niego obojętnie.

- Jestem w drodze na inne spotkanie - rzekłem, zresztą zgodnie z prawdą. - Ale już teraz przeprowadzę wstępne rozpoznanie i zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć. A potem tutaj wrócę - najpewniej jutro - żeby spędzić z nim więcej czasu.

Jean spojrzała na mnie żałośnie.

- Jutro? - powtórzyła.

- Nie wiem jeszcze, z czym mam do czynienia - przypomniałem jej. - To najlepsze co mogę zrobić. Jeśli to duch albo... - uznałem, że lepiej nie wymawiać słowa demon - coś podobnego do ducha, muszę to namierzyć. Zrobić coś w rodzaju psychicznego zdjęcia. Dopóki mi się to nie uda, nie zdziałam nic więcej. Nadal uważam, że wywiezienie stąd Billy'ego stanowiłoby najlepsze lekarstwo, ale skoro ma zostać na osiedlu, będę musiał zrobić to co zawsze, to znaczy pracować etapami. Albo też, jeśli pani woli, może mi kazać spadać. Lecz tak czy inaczej, nie chciałbym robić fałszywej nadziei.

Jean znów spojrzała na flet i pokręciła głową. Nie odrzucała mojej oferty. Chyba po prostu zdumiała się, widząc, na jak cienkiej balansuje linie.

- No dobrze - rzekła. - Żadnych fałszywych nadziei.

Spróbowała się roześmiać, lecz zamiast tego spod jej powiek wypłynęły desperacko wstrzymywane łzy i załamała się na naszych oczach, mimo wcześniejszych starań, by tego uniknąć.

Pen objęła ją mocno, powtarzając zwykle, puste, pocieszające słówka. Wymieniliśmy się spojrzeniami nad pochyloną głową Jean. Wskazałem w stronę kuchni.

- Chodźmy zaparzyć sobie herbatę - zaproponowała Pen, biorąc Jean za rękę i kierując ją we wskazaną stronę dzięki magii udawanej pogody. - Opowiem pani, co dokładnie robi Castor, podczas gdy on zajmie się pracą. W ten sposób nie będziemy mu przeszkadzać.

Wyszły na korytarz, a ja zamknąłem za nimi drzwi. Pen nie musiała pytać, czemu wolę zostać sam. Wie z doświadczenia, że kiedy po raz pierwszy układam melodię - używając muzyki jak sonaru wykrywającego obecność zmarłego bądź nieumarłego, której nie zdołałem jeszcze namierzyć - istnieją dwie rzeczy, które przeszkadzają najbardziej: silne emocje i obce dźwięki.

Odwróciłem się i spojrzałem na Bica. Podczas całej naszej rozmowy wciąż wzdragał się i mamrotał coś, jego otwarte oczy patrzyły martwo w pustkę. „Zagubiony w swym

własnym świecie”, powiedziała Jean, opisując, jak zachowywał się syn, kiedy czytał komiksy o superbohaterach. Teraz faktycznie w nim zablądził, to pewne. I choć nie wiedziałem, gdzie leży ów świat, z pewnością od południowego Londynu dzieliła go daleka droga.

Przysiadłem na poręczu kanapy, zamknąłem oczy i uniosłem flet do ust. Zagrałem kilka eksperymentalnych nut, przeciągając je długo, powoli, nie próbując nawet ułożyć z nich spójnej frazy. I choć gasły w powietrzu, pozostawały w moim umyśle i uchu wewnętrznym: pierwsze elementy szkieletu. Następne nuty niosły już sugestię melodii, choć była to melodia co rusz zmieniająca zdanie, wznosząca się i opadająca, zbliżająca do rozwiązania i cofająca przed nim, rozbijająca się na dysonanse i w chwili, gdy już myślałem, że nigdy nie odnajdzie tonacji, powracająca do niej. Łagodnie, mozolnie splatałem nici dźwięków, posyłając je w głąb pokoju. I w miarę jak ów splot zaczął gęstnieć, przestałem dostrzegać sam pokój. Szybowałem w nieokreślonym nie-miejscu, żeglując z falą pozostawioną przez wypuszczone z płuc powietrze, niczym żagłówka gnana wiatrem.

Po prawej wyczułem dwie obecności, jedną drobną i jasną, drugą wielką, rozlaną i ciemną: duszę chłopca i jej pasażera. Lecz w tym przypadku jasność i ciemność stanowiły jedynie przenośnię, bo tak naprawdę nie widziałem ich oczami. Moje postrzeganie przypominało raczej to, w jaki sposób nietoperz widzi ćmę - dzięki kształtom rzucanym przez zniekształcone echa jego własnych pisków.

Spróbowałem stłumić poczucie tryumfu, że tak szybko znalazłem owego intruza. Bo znalezienie to nie to samo co przepędzenie. Mimo wszystko jednak uznałem to za dobry znak i nie potrafiłem oprzeć się pokusie postąpienia o krok dalej. Zagrałem atonalną sekwencję, równającą się zaklęciu płoszącemu: prymitywne polecenie pod adresem mrocznego stworu, mówiące, żeby wynosił się stąd, nim zrobi się gorąco. Nuty wypływały wprost z mego umysłu niczym nagły przyływ woli i świadomości. Dotknęły krawędzi mrocznej istoty.

Istota cofnęła się przede mną w stronę niebędącą górą ani dołem, lewą, prawą ani niczym, co umiałbym nazwać. Zaczęła się cofać bądź kurczyć, a ja posyłałem w ślad za nią coraz liczniejsze i głośniejsze trele i elizje. Melodia zamieniała się w pośpieszny, niespójny twór, pozbawiony wdzięku, lecz pełen rozpędu.

Burbon Bill Bryant, dawny duchołap, niegdyś prowadzący „Oriflamme”, pub dla egzorcystów na Castle Bar Hill, powiedział mi kiedyś, że jednym z największych błędów, jakie można popełnić w naszym zawodzie, jest wypuszczenie się na niedźwiedzia z dmuchawką. Pewnie pomyślicie, że to dość oczywiste, a jednak w taką właśnie pułapkę wpadłem. Ściagałem owo coś tylko dlatego, że uciekało, zapominając o tym, że dopóki nie

dysponuję obrazem myślowym dość wyraźnym by przełożyć go na muzykę, nie tylko jestem uzbrojony w dmuchawkę, ale też nie zabrałem żadnych pocisków.

Nagle ciemność przestała się cofać. Stała bez ruchu, a ja pędziłem ku niej. Wydawało się, że rośnie, nie miarowo, lecz w serii migotliwych stop-klatek, i z każdą chwilą stawała się gęściejsza, głębsza i większa. Płynąłem prosto w serce burzy, a przed sobą miałem jedynie czerń.

Zmieniłem melodię, pozwalając jej ucichnąć niemal całkowicie, wyciszając wiatr. Ale teraz ciemność zbliżała się ku mnie własnym sumptem. Była tak wielka, że nie potrafiłem określić, gdzie się zaczyna i kończy. Była światem wokół mnie. Głodną otchłanią, w której szybowałem. A choć wypełniła już całe niebo, wciąż się zbliżała.

Kiedy znalazła się nade mną i po skórze przebiegł mi dreszcz, zapowiadający nieunikniony kontakt, zmusiłem się do otwarcia oczu. Miałem wrażenie, jakby do każdej powieki dowieszono mi dwie kule z kręgielni. Obrazy przed oczami wirowały, oczy łzawiły, piekąc nieznośnie, jakbym wepchnął kawałki cebuli prosto w kanaliki łzowe. W uszach mi dzwoniło. Ale wróciłem do świata rzeczywistego, tak gwałtownie, że czułem się jak w owej chwili tuż przed snem, kiedy nagle budzimy się z uczuciem, jakbyśmy spadli wprost na łóżko.

Bic już się nie poruszał. Leżał nienaturalnie nieruchomo. Nagle się odezwał.

- Mam ostrze - powiedział bardzo wyraźnie.

- Jakie to ostrze, Bic? - spytałem. Głos drapał mi ścianki zaschniętego gardła.

- Wilkinsona. Ostrze Wilkinsona.

- Tylko te trzy słowa? - spytała Pen.

- Tak, tylko te trzy.

- Ale co miały znaczyć?

Pokręciłem głową, przyspieszając kroku tak, że musiała niemal biec, by nie zostać w tyle.

Mogliśmy podjechać do Peckham taksówką, ale byłem nakręcony i spacer wydał mi się dobrym sposobem rozładowania napięcia. No, może to było trochę nie fair w stosunku do Pen, której nogi, choć idealnie proporcjonalne do reszty ciała, są sporo krótsze od moich.

- Ty też nie wiesz? - naciskała.

- Wiem, co znaczą słowa - wymamrotałem. - Po prostu nie byłem pewien kto je wypowiedział.

- Fix, czy mam to z ciebie wyciągać sylaba po sylabie? Albo mi powiesz, albo...

- Wilkinson czyli Wilkinson's Sword - wyjaśniłem - to bardzo znana i popularna marka maszynek do golenia i żyłek. W Wielkiej Brytanii zajmuje drugie miejsce na rynku po Gillette.

Pen przez chwilę przetrwała w milczeniu tę informację.

- Chłopak, który umarł - rzekła w końcu.

- Mark. Kaleczył się. Tak samo jak Kenny.

- Ten bandzior, który pobił cię w dzieciństwie? Jesteś pewien?

- Prawie pewien, owszem. Zatrzymał zestaw do cięcia swojego dzieciaka, a na przegubach ma tyle blizn, że pewnie ledwo nimi ruszał.

- Czy coś ich łączy?

Z irytacją wzruszyłem ramionami. Fakt, że musiałem poinformować Jean Daniels, że spieprzyłem sprawę, poważnie popsuł mi nastrój. Obiecałem wrócić i znów spróbować, ale na razie zdołałem jedynie odrobinę uspokoić Bica. Kiedy wychodziłem, leżał pogrążony w lekkim, z pozoru normalnym śnie. Trudno to nazwać popisowym występem. Czymkolwiek było to coś, zatrzymało mnie bez trudu. Ale z drugiej strony wszedłem do gry bez przygotowania, więc mogłem winić wyłącznie siebie.

Też mi pociecha.

Tymczasem zdążyliśmy już dotrzeć do Peckham i podniecenie Pen rosło z każdą chwilą. Mimo swych krótkich nóg pędziła tak szybko, że mnie wyprzedziła; ale też mnie czekała jedynie pogawędka z demonem - proces, który zawsze kryje w sobie niebezpieczeństwo śmierci w męczarniach - podczas gdy ona miała się spotkać z kochankiem. Właściwie, jej radosna ekscytacja nieco łagodziła dręczący mnie niepokój.

A kiedy zagłębić się w Peckham, okazuje się, że ma ono także swoją mroczniejszą stronę, która podoba mi się znacznie bardziej, bo sam identyfikuję się z przeszłością i od lśniącego czystością plastiku wolę przeżarte przez korniki drewno. Jeśli zwrócicie się plecami do kiczowato bauhausowej okropności biblioteki W Peckham i przejdziecie jakieś pół mili na południe w stronę błonia, w końcu traficie na ulice, których nie odkryli jeszcze deweloperzy i na których nieskończone, zakrzywione rzędy trzypiętrowych szeregowych domów z przełomu wieków, przypominające kolejne poziomy gigantycznego amfiteatru, niespiesznie i leniwie obracają się w ruinę. I jest w tym pewne chaotyczne, niezdrowe piękno.

Oboje zagłębiliśmy się w ów labirynt, każde pogrążone we własnych myślach. Wiedziałem mniej więcej, wokół czego krążyły myśli Pen, bo teraz niemal biegła, a jej dłonie zaciskały się i rozluźniały z czystą, nerwową energią. Mój umysł skupiał się na pytaniu, czy ktoś nas śledzi. Do tej pory byłem już niemal stuprocentowo pewien, że odpowiedź brzmi

„nie”, i to nie dlatego, że nikogo nie zauważyłem, bo to nic nie znaczyło, ale dlatego, że od chwili opuszczenia domu Pen na trasie na osiedle Salisbury dodałem dość zwrotów i pętli, by śledzący albo dał sobie spokój, albo musiał się ujawnić. Uznałem zatem, że jesteśmy bezpieczni, ale pozostałem w paranoicznym nastroju, ma to bowiem swoje zalety.

Dom Imeldy Probert stoi w ślepym - wyjątkowo ślepym - zadupianym zaułku. Niewiele w nim piękna: jedynie brzydka funkcjonalność zabitych deskami okien, wnek między budynkami zamienionych w graciarnie i samochodowych wraków, drzemiących spokojnie pod obsranymi przez ptaki płachtami brezentu.

Minęliśmy drzwi frontowe, przyśrubowane na amen do framugi wieki temu, i weszliśmy bocznym wejściem. To oznaczało pokonanie podwórka, na którym chaszczce przerastały rosnących mężczyzn, a w każdej kępie trawy kryła się stłuczona butelka. Pen maszerowała pierwsza w szaleńczym tempie. Ja podążałem za nią nieco ostrożniej, wiedząc z wcześniejszych wizyt, jak zdradziecki jest ten teren.

Razem wspięliśmy się po schodach pogrążonych w ponurym zmierzchu czterdziestowatowej żarówki. Na drugim piętrze wzrok Pen powędrował ku drzwiom, pokrytym dziesiątkami nabazgranych, zaimprovizowanych zakłec i pieczęci ochronnych i zamkniętym na ciężką kłódkę. Na moment zwolniła kroku. Oto magnes, który ją przyciągał, trudno jej było go wyminąć. Wiedziała jednak, że do środka może wejść tylko ze mną i z Imeldą, odgrywającymi rolę Wergiliusza dla jej Dantego.

Imelda jest uzdrowicielką umarłych. Większość jej klientów to zombie, którzy twierdzą, że przykładanie dłoni przez Lodownię spowalnia o wiele miesięcy proces rozkładu organicznego. Dla zombie, których największe problemy wiążą się z krótkim terminem przydatności, to bezcenny skarb. Jednakże motto Imeldy brzmi „przychodźcie do mnie wszyscy” - pomaga *loup-garous* zapanować podczas nowiu nad ich zwierzęcą stroną, organizuje spotkania pogrążonych w żalu małżonków i rodziców z ukochanymi zmarłymi i zapewne robi wiele innych rzeczy, którymi woli się nie chwalić przed praktykującym egzorcystą.

Wspinaliśmy się nadal na trzecie piętro, tam zastukaliśmy uprzejmie i zaczekaliśmy. Na tych drzwiach nie wisiały żadne amulety ani zaklęcia: ani śladu gałązek leszczyny, głogu czy ostrzeżeń wypisanych w prymitywnej gniewnej łacinie i mówiących duchom i nieumarłym, żeby spadali, bez wymieniania miejsca docelowego. Imelda lubi nieumarłych, chętnie ich wita. Jeśli natomiast chodzi o mnie, to już niekoniecznie.

Z wnętrza mieszkania dobiegł szcęk licznych odsuwanych zasuw. A potem ciężkie drzwi uchyliły się, skrzypiąc, i ujrzelśmy ostrożną lecz zaciekawioną twarz Lisy, szesnastoletniej córki Imeldy. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko.

- O, zobaczcie, co wyrzygał kot! - rzuciła, radośnie naśladowując matkę.

Odsunęła się i weszliśmy do przedpokoju Imeldy, oświetlonego równie kiepsko jak schody, lecz znacznie przestronniejszego - może i jej mieszkanie się rozsypuje, ale zbudowano je z rozmachem. Podłoga pod naszymi stopami lekko się ugiwała - był to objaw ukrytej choroby toczonej deski i legary, zasłonięte jadowicie zieloną wykładziną.

- Dobrze wyglądasz - rzekłem do Lisy. - Czy to znaczy, że znów jesteś w ciąży?

Pacnęła mnie w ramię, co uznałem za uczciwą ripostę. W istocie Lisa nigdy nie była ciężarna, w zwykłym znaczeniu tego słowa. Kiedyś jednak zamieszkał w niej duch martwego dziecka - przykry skutek uboczny braku zakłęb obronnych na drzwiach - i Imelda wezwała mnie, bym go przekonał, żeby przeniósł się gdzie indziej. To zasypało przepaść dzielącą mnie od Lodowni i umożliwiło zwrócenie się do niej z problemem wymagającym opieki jej zręcznych rąk.

- Matka w domu? - spytałem, rozcierając rękę, bo jak na chudego podlotka, Lisa potrafi naprawdę mocno walnąć.

- Nie wiem. Pójdę zobaczyć - odparła, po czym, nie ruszając się z miejsca, wrzasnęła z całych sił: - Mamooooooooo!

Gdzieś w głębi mieszkania trzasnęły drzwi i usłyszeliśmy zbliżające się ciężki kroki. Reszta budynku jest pusta, toteż każdy ruch budzi w nim echa, głuche i donośne jak uderzenia w werbel. Ale Imeldzie to odpowiada: nie musi nikogo uciszać w obawie przed protestami sąsiadów i nikt nie narzeka na jej późne godziny urzędowania, a także nieustanną paradę pogrobowych klientów.

Oboje z Pen obejrzelśmy się w lewo, gdy kroki zbliżyły się do drzwi, pokrytych farbą, która wyglądała jak przypalona. Otworzyły się powoli i ujrzelśmy Imeldę, wychodzącą z pogrążonego w ciemności pomieszczenia. To potężna i groźna Murzynka przed sześćdziesiątką, równie imponującej postury jak w wieku trzydziestu lat. Ma piękną twarz hebanowego posągu i ramiona jak para późnojesiennych szynek, tego dnia miała na sobie granatową powiewną orientálną suknię, falującą przy każdym ruchu niczym wzburzona woda. Na jej widok służby meteorologiczne natychmiast wydałyby ostrzeżenie przed burzą.

- Witaj, Feliksie - rzekła uprzejmie, potem odwróciła się do Pen i rozpromieniła. - Pamela! Pytał o ciebie, skarbie. Cały czas, bez przerwy. A kiedy o ciebie nie pyta, to o tobie

myśli. Widzę to, bo jego twarz przybiera specjalną, pamelową minę, trudno ją pomylić z czymś innym.

Pen uśmiechnęła się słabo, z wdzięcznością.

- Mogłabym się z nim zobaczyć, Imeldo? - spytała, kładąc dłoń na ramieniu starszej kobiety.

Imelda pogładziła ją pocieszająco.

- Mówisz o prywatnym widzeniu? Oczywiście, że tak. Gdy tylko pójdziemy tam z Feliksem i zrobimy to co trzeba. - A potem odwróciła się do mnie. - Feliksie, zaczynamy?

- Jasne - odparłem. - Ale po Pen jeszcze tam wrócę. Muszę pogadać z Asmodeuszem.

Nastała cisza, w której odgłos spadającej szpilki zabrzmiałby jak występ orkiestry.

- Tego nie było w umowie - przypomniała niebezpiecznie łagodnym tonem Imelda. - Przynajmniej z tego co pamiętam.

- Wiem - mruknąłem. - Nie będziemy rozmawiali o pogodzie, Imeldo. Nie przyszedłbym, gdyby to nie było ważne.

Moje słowa nie zrobiły wrażenia na Lodowni.

- Mam tu dziecko - oznajmiła, wskazując machnięciem ręki eksponat numer jeden. - Myślisz, że chcę wzywać demony do mojego domu?

- Nie jestem dzieckiem, mam! - zaprotestowała Lisa, wyczuwając coś podniecającego. - Na miłość boską, mam szesnaście lat!

- Tylko nie takim tonem! - warknęła Imelda.

- Myślę, że razem sobie z nim poradzimy - podjąłem. - I wiesz, że po wszystkim potrafisz znów go uwięzić. Będzie w zasięgu amuletów i na smyczy. Cały czas.

- Dla kogoś takiego nie ma dość krótkiej smyczy.

- Nas jest dwoje, on tylko jeden.

Imelda pokręciła głową, nie tylko nieprzekonana, ale wręcz wściekła.

- Zawarliśmy umowę - powiedziała. - Zgodziłam się przechować tu chorego i obiecałam, że zbiję mu gorączkę, ale nic poza tym. Siedzi w tamtym pokoju. Kiedy mnie potrzebuje, chodzę do niego. Koniec, kropka. A teraz domagasz się, żebym go rozpałała, a to się sprzeciwia wszystkiemu w co wierzę. Smród demona w moim domu utrudni mi pracę. Będę z nim żyła tygodniami i cały czas czuła się jak przy ciężkiej grypie. A to najmniejszy problem.

Doskonale wiesz, że każde wezwanie dodaje mu sił. Co takiego chcesz mi powiedzieć, co mogłoby mnie przekonać, że warto?

Dobre pytanie i postanowiłem na razie wymigać się od odpowiedzi.

- Najpierw przygotujmy Rafiego do przyjęcia gości - rzekłem. - Potem zobaczymy, czy zdołamy dojść do porozumienia.

Rzucając mi wymowne spojrzenie, Imelda odeszła bez słowa. Ja podążyłem za nią, Pen została w mieszkaniu. Na tym etapie jej obecność stanowiła dodatkowy, nieprzewidywalny czynnik, a woleliśmy nie ryzykować.

Na piętrze, Imelda, wyjętym z fałd niebiesko-czarnej sukni kawałkiem węgla, nakreśliła linię wokół kłódki. Następnie przemówiła do niej, potem otworzyła i zostawiła zawieszoną na skoblu. Drzwi miały jeszcze dwa zamki, oba potraktowała tak samo. Potem cofnęła się, przepuszczając mnie pierwszego - zachowywała dla mnie moment największego ryzyka, bo wszystko to było przecież moim durnym pomysłem.

Dołożyłem wielu starań, przygotowując ten pokój tydzień przed wypadem do Stangera. Stanowi on spory postęp po tamtejszej celi Rafiego. Po pierwsze, są w nim meble i regał pełen książek - w tym jego ukochani Kerouacowie, Corsowie i Ginsbergowie - oraz przenośny pojemnik z kilkoma puszkami fostersa, pływającymi w zimnej wodzie, która poprzedniego wieczoru była jeszcze lodem. Wszystkie domowe wygody, no, z pewnymi wyjątkami: nie ma tam niczego elektrycznego, telewizora, lodówki, nic, bo przedmioty tej natury osłabiają zakłęcia Imeldy. Ponieważ jednak w ośrodku opieki Rafi mieszkał w pustej srebrnej celi, pozbawionej wszystkiego, z pomocą czego Asmodeusz mógłby nabroić - nawet ubrania miał pozbawione zamków i guzików - w porównaniu z tym pokój u Imeldy przypominał apartament w pięciogwiazdkowym hotelu.

Kiedy weszliśmy, Rafi leżał na łóżku, czytając wczorajszego „Guardiana”. Usiadł i pozdrowił nas skinieniem głowy.

- Cześć, Wonder Woman. Cześć, Fix. Co słyhać? Wszystko w porządku?

- W największym porządku, Rafi - zapewniłem. - Brak wieści to dobre wieści. Webb wyraźnie za tobą nie tęskni.

Mówiąc, przyglądałem mu się, wypatrując w jego ruchach i słowach jakichkolwiek śladów demona Asmodeusza. Niczego nie dostrzegłem. Lodownia go dotknęła i wciąż pozostawał zamrożony.

Mimo wszystko jednak zagrałem mu melodię więżącą, a Imelda dotknęła kilka razy głowy, twarzy i ramion, mamrocąc coś pod nosem w gardłowej gabońskiej francuszczyźnie. Pierwszy raz pracowaliśmy zespołowo, ale wyczuwaliśmy bezbłędnie własne ruchy i nie musieliśmy o nich rozmawiać.

Rafi także się nie odzywał, dopóki nie skończyliśmy. Potem zadał pytanie dręczące go od chwili, gdy przekroczyliśmy próg pokoju.

- Jest z tobą Pen?

- Nie, musiała skoczyć do fryzjera - odparłem i nim na jego twarzy zdążył odbić się żal bądź niedowierzanie, dodałem szybko: - Czeka na górze. Zgłosi się, gdy tylko my się odmeldujemy.

- W takim razie nie będę was zatrzymywał. - Machnięciem ręki wskazał drzwi. - A, Fix, przyniosłeś może whisky?

- Podrzucę ci później - obiecałem. - Przed wyjściem chcę jeszcze o czymś z tobą porozmawiać.

Podczas gdy Pen, zamknięta bezpiecznie z Rafim za barykadą amuletów i zaklęć, wypełniała z entuzjazmem obowiązki małżeńskie, wyjaśniłem Imeldzie, co widziałem i czułem na osiedlu Salisbury. Wywarło to na niej mniej więcej takie wrażenie jak przypuszczałem.

- Powinieneś ograniczyć kawę, Castor - oznajmiła z kamienną miną. - Robisz się nerwowy.

- Mówię serio, Imeldo - nie chwyciłem przynęty. - To coś jest prawdziwe i naprawdę paskudne.

- W takim razie zrób to co zwykłe. - W jej głosie zabrzmiała pogardliwa nuta: jak mówiłem, dla Lodowni umarli to przyjaciele i klienci, nie darzy zatem zbyt wielką estymą egzorcystów.

- Tak właśnie zamierzam - powiedziałem spokojnie. - Ale nim wejść do gry, chciałbym zorientować się w terenie. Nie rozbraja się bomby, podnosząc ją i potrząsając, żeby sprawdzić co brzęczy. Najpierw trzeba sprawdzić zapalnik.

- Na miłość boską, co ty wiesz o rozbrajaniu bomb?

- Mniej więcej tyle, co o stepowaniu wyczynowym - przyznałem. - Ale wiem sporo o przepędzaniu nieumarłych - wybac te słowa - i wiem, że będę mieć znacznie większą szansę wyjścia z tego o własnych siłach, jeśli zdobędę choć trochę informacji.

Jakiś czas dyskutowaliśmy, nie dochodząc do żadnych wniosków. A kiedy zrozumiałem, że Imelda nie zamierza ustąpić, zmieniłem podejście.

- Co, jeśli Asmodeusz się wyrwie? - spytałem. - W tej chwili mamy go pod kontrolą, ale to się może zmienić. Czy nie chciałabyś wypróbować siły zaklęć ochronnych, mając mnie pod ręką jako wsparcie?

Zamiast odpowiedzieć, Imelda wstała i poleciła mi gestem pójść za nią. Przeszliśmy przez pusty pokój cuchnący lekko zgnilizną, który nazywa swą poczekalnią. W sąsiednim pomieszczeniu Lisa czytała magazyn „Hello!” w świetle ogarka świecy.

- Powiedzmy zatem, że wypróbujemy amulety i zawiodą - powiedziała Imelda. - To moja kochana dziewczynka, Castor. Jedyne, co po mnie zostanie na tym świecie. Już i tak mocno się ugięłam, pozwalając ci sprowadzić to *âme raché*. To koniec moich ustępstw. Czy chcę wypróbować zaklęcia? Do diabła, jeśli to coś się wydostanie, wszystkie zaklęcia i amulety na całym cholernym świecie nie zatrzymają go dłużej niż na jedno pierdnięcie, Castor. Wolę polegać na sile własnych rąk. Nigdy jeszcze mnie nie zawiodły.

Uniosłem ręce w geście poddania. Widziałem wyraźnie, że nic już nie zdziałam. Tymczasem sześćdziesiąt minut Pen dobiegło końca i zaczęły się nadgodziny. Zeszliśmy na dół, stawiając ciężko stopy, by zaanonsować nasze przybycie. Kiedy Imelda skończyła W końcu z zamkami i zasuwami, Pen i Rafi siedzieli skromnie na łóżku, trzymając się za ręce.

Uniosłem butelkę whisky i Rafi wypuścił dłoń Pen, by ją odebrać.

- Jameson - stwierdził bez entuzjazmu. - Prosiłem o single malt.

- I dostaniesz, kiedy ja dostanę jakieś zlecenie - odparłem.

Mruknął coś w odpowiedzi.

- No dobra - dodałem - komu w drogę, temu czas.

- Zdawało mi się, że chciałeś o czymś pogadać.

Wzruszyłem ramionami. Nic więcej nie mogłem zrobić.

- To może poczekać - rzekłem. - Zbieraj się, Pen.

Obejmowali się długo, czule; w końcu musiałem odchrząknąć i dopiero wtedy rozstali się niechętnie. Nie myślcie sobie przypadkiem, że zachowałem się jak dupek - metodą prób i błędów przekonaliśmy się, że podniecenie towarzyszące wizytom Pen niweluje efekt działania błogosławieństw Imeldy i mojej gry. Godzina jest bezpieczna. Półtorej zazwyczaj też. Dwie lub więcej to proszenie się o kłopoty.

- Ciągłe pracujesz nad Melodią, prawda? - spytał Rafi. Kiedy tak wypowiada to słowo, wielką literą, oznacza tylko jedno: muzykę oczyszczenia, melodię, która uwolni go od Asmodeusza i pozostawi samego we własnej skórze.

- Zawsze - zapewniłem. Równie dobrze mogłem powiedzieć: „Nie mam nic nowego od czasu, kiedy pytałeś poprzednio”.

Powoli skinął głową, cały czas patrząc mi w oczy. Wie, że jedynym, czym dysponuje, są moje wyrzuty sumienia, toteż wykorzystuje je w obawie, że pewnego dnia mogą zapomnieć, komu przypada lwia część winy za to, kim się stał. Tu akurat nie musi się obawiać, ale łatwo zrozumieć, czemu woli dmuchać na zimne. Przerwałem w końcu tę milczącą scenę i odwróciłem się do wyjścia, sięgając do klamki.

Butelka whisky rąbnęła o ścianę tuż obok mojej głowy i roztrzaskała się widowiskowo na drobne kawałki.

Odwróciłem się ponownie, otwierając usta, żeby zakląć, ale wyraz twarzy Rafiego skutecznie mnie uciszył. Rafi wpatrywał się z przerażeniem w swoją lewą dłoń, która obracała się na przegubie, jakby rozluźniał ją po mozolnym ćwiczeniu. W jego oczach ujrzałem prawdę. A potem dłoń i ręka uniosły się wbrew wyraźnemu wysiłkowi Rafiego i wezwały mnie do siebie.

Ja jednak nie wróciłem, przynajmniej nie od razu. Najpierw poszedłem na górę po papier i długopis.

- Wyjašnjmy to sobie do końca - rzekłem, nie patrząc w oczy Rafiemu, tylko na jego wstrząsaną drgawkami lewą dłoń. Między kciukiem i palcem wskazującym tkwił czarny cienkopis, a na stole między nami leżała kartka z gazety. - Asmodeusz?

Rozkołysany cienkopis zaczął pisać, po czym przesunął się na bok. Jedno słowo. *Tak.*

- Sukinsyn - mruknęła Imelda. Pen jedynie jęknęła żałośnie.

- Jak? - spytałem.

Jak zwykle, napisał Rafi.

- Zatem zaczynasz się uodparniać na leczenie Imeldy. To bardzo uprzejme z twojej strony, że nas powiadomiłeś. Następnym razem postaramy się bardziej.

Ręka drgnęła się i zaczęła bazgrać, trzymając cienkopis pod dziwacznym kątem. Z na pozór przypadkowych kresek i pociągnięć powoli wyłaniały się litery. *Będziesz uprzejmy. Jeśli chcesz odpowiedzi.*

Starałem się zachować pokerową twarz: Asmodeusz panował nad lewą dłonią i wyraźnie mnie słyszał. Mogłem więc bezpiecznie założyć, że patrzy też oczami Rafiego.

- Masz dla mnie jakieś odpowiedzi?

Zadaj mi pytanie.

Równie dobrze mogłem od razu przejść do sedna.

- Co się dzieje na osiedlu Salisbury?

Drzwi się otwierają, napisał Rafi. *Skorupka jajka pęka. Nazwij to metamorfozą. Nazwij transformacją.*

No, super. Kto ma ochotę na zabawę w dwadzieścia pytań?

- W takim razie co zmienia się w co? - spytałem. - A może dotknęła cię niemoc pisarska?

Dłoń Rafiego odłożyła cienkopis, rozprostowała i wygięła palce, a potem znów go złapała.

Kiedy ci powiem, będziesz się śmiał. To jeden wielki żart, głównie z ciebie. Ale każda umowa ma dwie strony, Castor. Nie spytałeś jeszcze o zapłatę za moją konsultację.

No i proszę, wkraczamy na grząski grunt.

- Dobra - rzekłem. - Co powiesz na to? Ty mi zdradzisz to, co muszę wiedzieć, a ja będę nadal dokładał wszelkich starań, by Jenna-Jane nie dołączyła cię do swojego zoo.

Ale to zrobisz dla swojego przyjaciela, nie dla mnie. Ja chcę...

Kanciaste pismo zapełniło całą kartkę. Przewróciłem ją - dłoń Rafiego cały czas kołysała się i podskakiwała, jakby nic nie mogło powstrzymać przepływu impulsów nerwowych - i Asmodeusz podjął bez chwili wahania.

...czegoś innego.

- Na przykład czego?

Rozrywki. Uciechy. Smakowitych kąsków, radujących sterane serce.

Mimo powagi sytuacji o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Obrazy przywołane przez te słowa były zbyt groteskowe, by potraktować je poważnie.

- Co powiesz na hinduskie żarcie na wynos i taniec brzucha? - zaproponowałem.

Mam inne upodobania.

- Podaj szczegóły. Nie ma mowy, żebym podpisał ci czek in blanco.

Ty mnie nakarmisz. A ja nakarmię ciebie.

- To znaczy?

Przyprowadź to do mnie. To, co chcesz zabić. Uwolnij mnie, bym mógł wyrwać sobie kawałek i spokojnie się nim napawać. Kiedy się najem, powiem ci, jak się rozprawić z resztą.

Siedziałem w milczeniu, bijąc się z myślami. Spojrzałem w oczy Rafiemu, on jednak jedynie wzruszył ramionami, przygarbiony, z grymasem na twarzy. To nie miało nic wspólnego z nim i wyraźnie mu się nie podobało.

Imelda dostrzegła moje wahanie.

- Nie ma mowy - rzuciła ostrzegawczym tonem.

I świetnie wiedziałem, że ma rację.

- Powiedz mi, jak to zrobić tak, żebyś po wszystkim nie wy dostał się na świat - rzekłem. - Spotkajmy się w połowie drogi, Asmodeuszu. Jeśli naprawdę tego chcesz, wymyśl sposób, który pozwoli mi się zgodzić.

Ręka przestała podskakiwać niespokojnie i parę chwil leżała bez ruchu na papierze. Potem Rafi z pełnym niesmaku syknięciem uniósł ją na wysokość głowy i pomasaował przegub drugą dłonią.

- Bolało, kurwa - rzekł.

W mgnieniu oka Pen znalazła się u jego boku i objęła go gwałtownie. Imelda odwróciła się ku mnie ze stężałą twarzą.

- Co przeoczyliśmy? - spytała ostro. - Jaki drobiazg nam umknął?

Wzruszyłem ramionami.

- Niczego nie przeoczyliśmy. Myślę, że powoli zbierał na to siły. Utrzymywał fragment Rafiego pod kontrolą, by w stosownej chwili móc się popisać.

Ale dlaczego teraz, zastanawiałem się, lecz nie mówiłem tego głośno. Czemu pokazał nam karty?

Bo był cholernie pewien, że zgodzę się na jego propozycję, choć może nie od razu.

Rafi uwolnił się z kojących objęć Pen i wstał.

- Macie chyba jeszcze trochę pracy - rzekł do mnie i Imeldy łamiącym się głosem.

- Tak, masz rację.

Wyjąłem flet i zagrałem niski, przeciągły ton, podczas gdy Imelda przycisnęła silne dłonie do obu stron czaszki Rafiego. Mieliśmy sporo pracy.

Znowu.

11

Odprowadzając Pen do pociągu w Peckham, odkryłem, że ktoś nas śledzi, i pierwszy niepokój i przerażenie szybko ustąpiły miejsca konsternacji i oglupiałemu zdumieniu. Gość w najlepszym razie był pełnym entuzjazmu amatorem: rzucał się w oczy, naśladując moje ruchy, garbiąc się i pochylając głowę, jakby się bał patrzeć ludziom w twarz. Raz nawet zamarł w miejscu, gdy się odwróciłem i obejrzałem w jego stronę.

I kiedy ujrzałem go wyraźnie po raz pierwszy, poczułem ukłucie, bo wyglądał znajomo, choć nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go wcześniej spotkałem. Miał chorobliwie bladą cerę i szczupłą sylwetkę narkomana oraz czarne włosy sięgające do ramion. Wyglądał tak charakterystycznie, że właściwie nie powinienem długo grzebać w długoterminowej pamięci w poszukiwaniu właściwego przebiegu. O dziwo, jednak niczego nie podpowiadała. Ciemne oczy zerkały w prawo i w lewo, jak wskazówka metronomu, skutecznie rozwiązując problem niepatrzenia wprost na mnie poprzez nieskupianie się na niczym w ogóle. Ubrał się w ciemnoszarą polarową kurtkę i srebrzystoszary szalik, tylko odrobinę szerszy od krawata - może mający zaszyfrować, że właściciel to twardziel, nietracący jednak kontaktu z kobiecą częścią swej natury.

Coś kłuło mi się w pamięci, ale nie mogło się przebić. A potem, gdy ujrzałem go przez ułamek sekundy odbitego w szybie zamykających się sklepowych drzwi, dostrzegłem maleńką czarną kropkę nad prawym okiem i niczym zapalnik zwolniła myślową blokadę.

To był gość ze schodów na osiedlu Salisbury, otoczony obłokiem grobowej woni. Chodzący nieboszczyk, który twierdził, że kiedyś mnie znał.

W pewnym sensie były to dobre wieści: skoro to zombie - a zwłaszcza skoro śledził mnie po wyjściu od Imeldy - nie mógł być jednym z ludzi Jenny-Jane. Musiał uczeplić się mnie na osiedlu i dlatego wszystkie uniki i manewry w drodze z domu Pen go nie zgubiły; kimkolwiek był, ewidentnie nie należał do dwuosobowej ekipy, wypatrzonej przez Gary'ego Coldwooda. Może zatem - jedynie może - nie zdradziłem sekretu obecnego miejsca pobytu Rafiego ostatniej osobie na świecie, której chciałbym go przekazać.

Potrzebowałem jednak odpowiedzi i po przeżytych paskudnym wstrząsie poddałem się złowieszczej pokusie. Może teraz ja zasadzę się na tego małego odrodzonego sukinsyna i zobaczę, co ma mi do powiedzenia?

Przechodząc przez McNeil Road, przyspieszyłem kroku. Manewrowałem między samochodami i autobusami, jakbym śpieszył się na spotkanie. Już się nie oglądałem - nie chciałem go przepłoszyć. Liczyłem na to, że pozostanie na miejscu, dopóki nie wypatrzę dobrego miejsca na zasadzkę.

W Peckham można znaleźć większość moich ulubionych londyńskich nazw geograficznych, choć same miejsca zazwyczaj im nie dorównują. Love Walk podpada idealnie pod tę kategorię. Nie ma w nim niczego miłego, chyba że jest się psem szukającym nowego miejsca do odlania. Jest tam jednak element, który zapamiętałem z poprzednich wizyt - w połowie ulicy odchodzi z niej jeszcze węższa alejka, przeprowadzająca się przez linię kolejową przed stacją Denmark Hill, co wymaga pokonania schodów wiodących na kładkę dla pieszych, dość wąską, by dwie osoby miały problemy z minięciem się. Może stąd właśnie nazwa uliczki - każdą osobę mijaną na kładce siłą rzeczy poznaje się bardzo blisko, więc może zatem faktycznie rozkwita tu miłość.

Ja jednak nie myślałem o miłości: chciałem jedynie spotkać się ze swoim cieniem w miejscu, w którym nie ma się gdzie ukryć i gdzie nawet zwrot sprawia problemy. A wtedy zobaczymy.

Nie zwalniając kroku, dotarłem do drewnianych stopni i wbiegłem szybko na górę. Ważne, by nie dać mu czasu do namysłu: chciałem, by od razu rzucił się naprzód, pokutować mógł potem.

Ruszyłem przez drewnianą kładkę; moje kroki odbijały się głośnie echem. Nad głową miałem sklepiony tunel ze stalowych łuków i podartej metalowej siatki. W dawnych czasach miała powstrzymywać potencjalnych samobójców przed próbami zakończenia wszystkiego raz a dobrze, albo przynajmniej zniechęcać ich do tego miejsca tak, że stawali się cudzym problemem; teraz jednak było w niej tak wiele dziur i szczelin, że nie spełniała już swego zadania. Starłem się jak najbardziej hałasować, stawiając mocno stopy na grubych deskach. Wszystko stanowiło część gry - chciałem, by śledzący mógł zbliżyć się bezpiecznie pod osłoną hałasu.

Zerknąwszy ukradkiem w dół przez szczeliny między deskami, dostrzegłem kątem oka szarą kurtkę i czubek głowy, kiedy szybko wspinał się po schodach, starając się dotrzymać mi kroku, bo stracił mnie z oczu. Super.

Na drugim końcu kładki zbiegłem po identycznych schodach i natychmiast uskoczyłem w bok za wąski murek, może o trzy cale wyższy ode mnie. Przycisnąłem się tam i czekałem. Teraz słyszałem, jak się zbliża, ponieważ był już na kładce i w żaden sposób nie zdołałby przepawić się przez te dźwięczące echem deski jednocześnie szybko i cicho; z tej samej przyczyny miałem nadzieję, że ponieważ czyniony przez niego hałas zagłuszył wszystko inne, gość nie wie, że się zatrzymałem.

Spiąłem się, szykując się do skoku. Nie wyglądał na zbyt silnego, ale mimo wszystko lepiej walić mocno, a pytania zadawać później. Miałem mnóstwo pytań, na które oczekiwałem odpowiedzi.

Jednakże odgłos kroków w górze nade mną ucichł w chwili, gdy tamten dotarł do schodów. Czyżbym w jakiś sposób się zdradził? Zerknąłem w górę i między deskami nie dostrzegłem niczego.

Chwila ciągnęła się daleko poza moment, w którym można to było wytłumaczyć wiązaniem sznurówki albo chwilową przerwą na złapanie tchu. Ze swego miejsca zapewne miał świetny widok na całą ulicę - może zaczekał tam, żeby sprawdzić, w którą stronę pójde, a w takim razie do tej pory musiał się już pokapować, że się nie zjawiłem. Jeśli więc nie był wyjątkowym debilem, odkrył moją żalną zasadzkę. Już miałem wyskoczyć z ukrycia, pobiec na górę i zobaczyć, czy zdołam dogonić gościa, nim zwieje, kiedy znów usłyszałem kroki. Ktoś schodził ku mnie po schodach, bardzo wolno, z długimi przerwami do namysłu bądź rozpoznania terenu.

Powracając do planu A, przykucnąłem i przyszykowałem się do ataku. Stopnie na wysokości mojej głowy skrzypiały kolejno, coraz bliżej - arpeggio protestującego drewna.

Prawdopodobnie w którymś momencie coś wydało mi się podejrzane w tych krokach. W każdym razie, kiedy u stóp schodów pojawił się stary mężczyzna i westchnął głośno, przystając, by złapać oddech, zdołałem powstrzymać skok tak, że udało mi się uniknąć uderzenia w jego głowę. Ruszył dalej ulicą, objuczony dwiema pękającymi w szwach reklamówkami w kolorach Sainsbury'ego - w ogóle mnie nie zauważył, co byłoby nawet dziwne, gdyby nie fakt, że na nosie miał okulary grube niczym bulaje w batyskafie.

Z cichym, soczystym przekleństwem wróciłem biegiem po schodach, ale dotarłem do stajni, kiedy koń zdążył dojechać na lotnisko z fałszywym paszportem. Kładka była pusta. Śledzący mnie mężczyzna musiał poczekać na następnego pieszego, zostać dość długo, by zobaczyć mnie z góry, gdy wyskoczyłem z kryjówki, a potem - potwierdziwszy sobie, że go zauważyłem - zmyć się szybko w przeciwną stronę. Kroki staruszka dźwięczące na schodach zamaskowały odgłosy odwrotu.

Byłem wściekły. I zawiedziony. Jestem z natury zbyt leniwy na prawdziwą detektywistyczną robotę, toteż bardzo spodobała mi się perspektywa dowalenia komuś i wyciągnięcia z niego informacji.

Wyraźnie jednak nie miałem już na to szans. Obiecałem sobie, że następnym razem zacznę działać szybciej i dam śliskiemu draniowi o jedną szansę mniej.

Wciąż o tym myślałem, kiedy kątem oka zobaczyłem po lewej jakiś ruch. Wyćwiczony refleks sprawił, że odwróciłem się wprost ku niemu i coś twardego i ciężkiego uderzyło mnie w bok głowy. Zombie uczeplił się od zewnątrz siatki antysamobójczej, wcześniej przeczołgawszy się przez jedną z wielu dziur. Doskonale wiedział, że jego największym problemem w uczciwej walce jest szybkość - martwe nerwy i mięśnie nie śpieszą się z odpowiedzią na wezwanie do broni - toteż dołożył wszelkich starań, by walka nie była uczciwa, i zwrócił przeciw mnie moją własną pułapkę.

Po pierwszym ciosie ujrzałem gwiazdy i rozćwierkane ptaszki. Zachwiałem się i poleciałem na jedną ze stalowych podpór podtrzymujących siatkę. Dzięki temu znalazłem się poza zasięgiem rąk napastnika, ale on szybko temu zaradził, wymierzając mi kopniaka w twarz. Tyłem głowy rąbnąłem o podporę. Jednocześnie złapałem go za stopę i pociągnąłem wprost na siebie. Leżeliśmy i zmagaliśmy się w wyjątkowo nieapetycznej pozycji, aż w końcu uwolnił jedną rękę, która znów opadła. Tym razem zobaczyłem, co w niej trzyma: młotek z budowy, z jednym końcem płaskim, a drugim rozszczepionym. Jak mówiłem, to był zwykły, pełen entuzjazmu amator.

Młotek opadł rozdwojoną końcówką naprzód i wbił się w drewno kładki, bo zdążyłem przekreślić głowę. Czuję się całkiem nieźle, gdyby nie pierwszy cios, który mnie oszołomił i spowolnił. Ponieważ w tej turze młotek już nie zadziałał, zombie rąbnął mnie czołem w nos, a potem zacisnął mi na szyi dłoń. Uniosłem zgiętą w kolanie nogę ku jego kroczu, lecz bez skutków - na wpół przegniły układ nerwowy ma swoje zalety.

Z grymasem wysiłku nieboszczyk pochylił się i na dobre zajął duszeniem mojej osoby. Ścisnął coraz mocniej i siła wypłynęła ze mnie czarną falą. Nie powinienem był kopać go kolanem w krocze, tylko skupić się na wyrwaniu z uścisku. Sięgnąłem do jego rąk, ale nie mogłem zmusić własnych do jakiegokolwiek synchronizacji czy mocniejszego chwytu. Zapadałem się w bagno pełne tłuczonego szkła. Ja sam także czułem się totalnie rozbity, a każdy mój poszarpany fragment był atonalnie, w sumie tworzyło to dysonans przypominający syreny fabryczne z piekła rodem. Oczy wciąż miałem otwarte, lecz ośrodek świadomości, zwykle tkwiący tuż za nimi, osuwał się ze swego miejsca wprost w roziskrzoną ciemność.

Czas zacząć walczyć nieczysto - zakładając, że kopniak kolaniem w jaja to czyste zagranie. Skupiłem się na oczach nieboszczyka, wbijając kciuki w oczodoły i naciskając z tak wielką siłą, na jaką zdołałem się zdobyć.

Zombie sturlał się ze mnie z bulgotliwym przekleństwem, jedną rękę unióśł do twarzy, drugą macał na oślep po deskach. Odtoczyłem się w przeciwną stronę, próbując podciągnąć pod siebie kolana. I to był błąd, bo nieboszczyk wcale nie macał na oślep, tylko sięgał po młotek. Zamachnął się nim i trafił mnie w trzecie żebro.

Wrzasnąłem w męce, jeszcze bardziej uszkadzając i tak już obolałe gardło. Truposz zarobił drugi punkt, tłukąc mnie w brodę tępym końcem młotka, gdy unosił go do kolejnego ciosu. Zgiąłem się wpół, kopiąc naprzód obiema nogami, bo tylko to mi pozostało. Poszczyściło mi się i prawa stopa trafiła w rękę tamtego w chwili, gdy opuszczał młotek. Narzędzie, wirując, wyleciało mu z dłoni, odbiło się od siatki ochronnej i wylądowało dziesięć metrów od nas.

Na nic więcej jednak nie wystarczyło mi sił. Opadłem z powrotem na deski, przed oczami wirowała mi czarna, ziarnista ciemność.

Mam wrażenie, że na moment faktycznie straciłem przytomność. Następną rzeczą, jaką wyczułem, był ruch - ruch mego własnego ciała. Ktoś mnie podnosił, obejmując silnymi rękami moją pierś. Nie potrafię opisać towarzyszącego temu bólu, ponieważ naciskał wprost na żebro uszkodzone przez młotek.

- Już dobrze - usłyszałem czyjś głos. Należał do kobiety; był miękki, niski i bardzo łagodny, kontrastujący ostro z rękami ściskającymi mnie w pasie. - Już w porządku, Fix.

Wcale nie było w porządku. W głowie wciąż mi się kręciło, w przetyku wzbierała żółć. Z przerażeniem myślałem, co się stanie, jeśli zwymiotuję: mimowolne skurcze mięśniowe udręczonego gardła wystarczą, żebym odbił się od trampoliny bólu, wykonując mordercze potrójne salto. Próbowałem uwolnić się od uścisku mojej wybawicielki, ale nie pozwoliła na to. Gdy opadłem bez sił, znów mnie uniosła, czy mi się to podobało, czy nie.

Byłem za blisko poręczy i nie mogłem utrzymać równowagi. Wciąż się podnosiłem, dobra samarytanka napierała na mnie od tyłu, przyciskając do poręczy.

- Hej... - wykrztusiłem.

Poprawiła uchwyt, jedną dłoń zaciskając na moim karku i popychając naprzód przez dziurę w antysamobójczej siatce. Potem drugą złapała mnie za nogę i oderwała stopy od podłoża.

- Nie mogę ci na to pozwolić. - Jej napięty głos łamał się lekko. - Niech mi Bóg wybaczy, ale nie mogę. Przykro mi. Tak bardzo mi przykro.

Z dali dobiegł mnie odległy dźwięk syreny pociągu, tory w dole zagrzechotały złowieszczo.

Na moment pojaśniało mi w oczach, akurat w najgorszej możliwej chwili. Patrzyłem z góry na tory i choć wszystkie barwy były lekko przesunięte w stronę czerwieni, wiedziałem dokładnie, co to oznacza.

Zaraz zderzę się z tymi szynami ze skromnym, lecz skutecznym przyśpieszeniem 9,8 metra na sekundę - głową w dół. A potem przejedzie po mnie pociąg.

Złapałem się kurczowo stalowego łuku i szarpnąłem w ramionach kobiety, odchylając się w tył, by pozbawić ją oparcia. Dzięki temu moja głowa obróciła się tak, że spojrzałem jej prosto w twarz.

Jemu. Widziałem przed sobą tę samą bladą twarz, ze stalowym kolczykiem przebijającym prawą brew.

Mimo niewątpliwie damskiego głosu, to był nieboszczyk. Dwoje napastników okazało się jedną i tą samą osobą. Nagły szok pozbawił mnie siły. Zombie raz jeszcze pchnął mocno i poleciałem ku torom.

W tej samej sekundzie w dole przemknął pociąg towarowy. Odbiłem się od dachu pierwszego wagonu, obróciłem w powietrzu jak matador, który wybrał sobie złego byka, i wylądowałem, koziołkując, w sięgających szyi zaroślach jeżyn i kolcolistów obok torów. Siła uderzenia pozbawiła mnie tchu i resztek przytomności.

Powróciłem do świata żywych powoli i etapami. Z miejsca, w którym leżałem, kładka przecinała moje pole widzenia niczym heraldyczna wstęga. Nie dostrzegłem na niej nikogo, co przyjąłem z lekką ulgą.

Powoli i ostrożnie spróbowałem wykonać skomplikowany proces siadania, a potem wstawania. Bardzo bolało, lecz w pewnym sensie miało to też w sobie abstrakcyjną fascynację podobną do rozwiązywania krzyżówki - znalezienie stawów, które wciąż działały i mięśni zdolnych do jakiegokolwiek pracy. I skoordynowanie ich ruchów tak, bym przesuwiał się w stronę, w którą chciałem.

Sam ruch okazał się jeszcze większym wyzwaniem, bo głowę wypełniał mi trzeszczący szum, a oczy wciąż odmawiały skupienia czy nawet połączenia wysiłków i spojrzenia jednocześnie w tę samą stronę. Wstrząs mózgu? Nie byłoby dobrze.

Posuwając się cal za całem wzdłuż poręczy, dotarłem do ogrodzenia i - po kilku falstartach - przewlokłem się nad nim w wąską alejkę wiodącą na ulicę. W mojej głowie pojawiła się mętna myśl o tym, że mógłbym zastukać do pierwszych drzwi i poprosić o

wezwanie karetki. Ale przechodząca obok kobieta z rozjazgotanym pieskiem zaczęła krzyczeć na mój widok i powoli wokół zgromadził się niewielki tłum. Ktoś pomógł mi usiąść na krawężniku i z trudem balansowałem na krawędzi świadomości, podczas gdy ktoś inny zadzwonił na pogotowie.

- Love Walk. Love Walk w Peckham. Tak, chyba go napadnięto. Twarz ma całą zakrwawioną i...

Co takiego? Większe szczęście niż mógłby przypuszczać? Prawdopodobnie, bo kiedy znów się ocknąłem pod sardonicznie mrugającą jarzeniówką w korytarzu wielkiej izby przyjęć (ponurym zrządzeniem losu w szpitalu Royal London), unosząc się na fali przyjemnego odrętwienia towarzyszącego zażyciu tramadolu, usłyszałem dobre wieści: większość moich narządów wewnętrznych nie ucierpiała i działała jak należy. Dwa złamane żebra to tylko drobna niedogodność - czy raczej byłaby drobna, gdyby nie fakt, że jedno z nich przebiło lewą opłucną. Niemal nie warto wspominać o złamanym małym palcu prawej dłoni i nie miałem nawet złamanego nosa, choć spuchł spektakularnie, podobnie jak posiniałe ciało wokół oczu.

Młody australijski lekarz postanowił zatrzymać mnie w szpitalu na tomografię i kolejne badania klatki piersiowej, sprawdzające, czy cios nie uszkodził samego płuca. Natomiast do kwestii wstrząsu mózgu podszedł z dużym optymizmem, bo umiałem samodzielnie policzyć do pięciu i znałem nazwisko premiera.

Zatem, zważywszy na wszystkie okoliczności, w gruncie rzeczy mi się udało. Napastnik pochodził z osiedla Salisbury: nie miał nic wspólnego z Rafim, więc nasz sekret wciąż był bezpieczny. Nie zostałem zabity ani nawet trwale okaleczony. I wiedziałem o nieboszczyku coś, co być może kiedyś mi się przyda.

Uznałem jednak, że co za dużo, to niezdrowo. Czas posłuchać rady Juliet i zacząć rzucać się do gardeł.

12

- Dobrze cię karmią? - spytał Nicky, z wahaniem pociągając nosem nad plastikowym dzbankiem napoju pomarańczowego - słowa „pomarańczowy” używam do opisanie koloru, nie smaku - stojącego na stoliku przy łóżku. Wyraźnie zachwyił go mniej niż bukiet wina. Odstawił dzbanek i odepchnął jak najdalej od siebie.

- Dobrze sobie radzisz z sylogizmami? - odparowałem.

- Sokrates to mój ziom.

- W takim razie sam się domyśl. Wszyscy w szpitalu jedzą szpitalne jedzenie. Wszyscy w szpitalu są chorzy. Wnioski?

- Jasne. Słyszałem, że jest jeszcze gorsze niż syf podawany w więzieniach.

- To ma sens. W więzieniach większość ludzi ma wciąż dość sił, by walczyć.

Była pora lunchu następnego dnia i znaczna część moich bólów raczej dojrzała niż osłabła. Na policzku miałem wielki opatrunek, upodabniający mnie nieco do Claudea Rainsa w roli Niewidzialnego Człowieka i byłem naćpany po uszy prochami, które zmniejszały dyskomfort, wyłączając spore i istotne części mego mózgu.

Biorąc pod uwagę moją sytuację, a także mocne zachmurzenie, Nicky sam zaproponował, że zjawi się osobiście i poinformuje o postępach w zbieraniu danych. Zazwyczaj woli unikać gierki i każe mi przychodzić do siebie. Ale chyba był ciekaw, jak mocno ucierpiałem. Oczywiście, szpital to bezpieczne, antyseptyczne środowisko, chłodzone klimatyzacją i regularnie odkażane bardzo silnymi środkami - wszystko to przemawia do martwego serca Nicky'ego. A poza tym podobało mu się wzbudzone przez niego zainteresowanie. Był doskonale świadom faktu, że salowy, który zjawił się na moment z wózkiem pełnym leków, odbiegł poinformować wszystkich młodszych lekarzy, że mają tu zombie, i niewielka grupka obserwuje go teraz ze stanowiska pielęgniarki, udając, że podpisuje recepty. Wszyscy mieli straszną ochotę jednocześnie go pokroić i przesłuchać na temat życia po śmierci. Ci o najslabszym poczuciu moralności połączonym z największą ciekawością, najpewniej trafią w końcu do Jenny-Jane w KOM szpitala Queen Mary.

Natomiast pozostali pacjenci w sali nie zwracali na niego najmniejszej uwagi - ale też wszyscy byliśmy poobijani i generalnie mocno nadszarpnięci. Leżeliśmy na oddziale

pooperacyjnym urazówki, jednakże to określenie jest dość pojemne. Był tu także facet o włosach tak wytłuszczonych i przyklejonych do głowy, że wyglądał jak po pierwszym etapie tarzania się w smole i pierzu; wstrząsany spazmami przygryzał sobie kostki i wyglądał jak po odstawieniu prochów; kolejny, znacznie starszy, głównie spał, a jego twarz miała wyraz wiecznego zdziwienia, zmieniający się w obojętność tylko gdy tracił przytomność; oraz dzieciak, jeszcze nastolatek, w piżamie mokrej od potu i bezprzewodowych słuchawkach na uszach, kołyszący się łagodnie w rytm własnej muzyki. No i ja. Zazwyczaj szanowaliśmy własną przestrzeń - czy może w niektórych przypadkach nie byliśmy świadomi istnienia pozostałych.

I to mi odpowiadało. Potraktowałem ten krótki pobyt w szpitalu tak jak recydywista niewielki wyrok: trzeba odsiedzieć swoje, możliwie jak najmniej zadając się z otoczeniem, a potem spokojnie wyjść. Mówiłem już, czemu nie znoszę szpitali - stada wałęsających się po nich duchów są równie irytujące jak komary i dokuczliwe niczym nieustanny kac. Pomijając to jednak, oddział był całkiem nowy i sensownie urządzony. Ze ścian patrzyły na nas reprodukcje „Słoneczników” Van Gogha, „Starego gitarzysty” Picassa i jednej z puszek zupy Andy'ego Warhola, a jarzeniówki miały barwę naśladowującą światło dnia. Mimo narzekania, mogło być znacznie gorzej.

- No dobra, masz tu bogaty wybór - oznajmił Nicky, rzucając na stół przede mną gruby plik wydruków komputerowych. Prawdę mówiąc, słowo „gruby” nie oddaje w pełni jego rozmiarów: wyglądał jak książka telefoniczna centralnego Londynu.

Siedząc podparty na łóżku, w podkoszulce i spodniach od piżamy, z bolącymi wszystkimi mięśniami, czułem się, jakby ktoś rozwałkował mnie na mokro i powiesił do wyschnięcia. Mogłem jedynie patrzeć.

- Czy to są...?

Nicky poklepał czule potężny zbiór danych.

- Incydenty na osiedlu Salisbury, które trafiły do raportów policyjnych bądź materiałów prasowych. Cofnąłem się o dwa lata i poszerzyłem sieć tak, by objąć obszar kilku bloków poza samym osiedlem. Nie wiedziałem, jak ciasne mam zakreślić ramy.

- Tak ciasne, że trudno mi oddychać - odparłem, obmacując bandaż na piersi. - Jezu, Nicky, o ilu incydentach tu mówimy?

- Nie podliczyłem ich. I pamiętaj, że jest tu wiele powtórzeń - niektóre pojawiały się w różnych miejscach, a ja ich nie odfiltrowałem, bo hej, nie płacisz mi za obsługę pierwsza klasa. No i bardzo nisko ustawiłem poprzeczkę. Jeśli komuś skradziono rower, znajdziesz to tutaj. Albo powiedzmy, że mały Timmy zniknął na godzinę bądź dwie i pojawił się u babci...

jeśli tylko ktoś zadzwonił po gliny i rozmowę zarejestrowano, wrzuciłem to także. Żadnej dyskryminacji.

Umilkł. Wiedziałem, że to pauza, a w jego głosie dźwięczała znajoma nuta niecierpliwości, jakby nie mógł się już doczekać najlepszego. Zawsze taki jest, kiedy uważa, że dokopał się do czegoś extra.

- Ale? - nacisnąłem.

- Ale jest tu też wiele mocniejszych rzeczy. Jeśli szukałeś dowodów na to, że Salisbury to gniazdo węży, to je znalazłeś. W tym roku masz choćby faceta, który pociął nastoletnią córkę nożem do steków, bo za późno wróciła do domu, i bandę dzieciaków, które złapały kota, poćwiartowały i powrzucały kawałki do wszystkich skrzynek pocztowych w bloku Boatenga. W zeszłym roku ktoś uczcił święta, wieszając włóczęgę na stryczku z kolczastego drutu w drzwiach pustostanu, w którym się przytulił. Nieco wcześniej pewien dzieciak wykonał skok na główkę na beton z kładki na ósmym piętrze.

Przetrawiłem jego słowa.

- Czy to wszystko mieści się w granicach statystycznych, czy wykracza poza nie? - spytałem.

Twarz Nicky'ego pojaśniała i odpowiedział z zapalem urodzonego szperacza danych. Zawsze jest najszczęśliwszy, zagłębiając się w statystyki.

- Jak sądzisz, ile osób może mieszkać w tych zasranych wieżowcach? Przy pełnym obłożeniu oceniałbym, że jakieś trzy tysiące. Ale niektóre mieszkania są chwilowo puste, a inne uznano za nienadające się dla ludzi. Zatem na potrzeby tej dyskusji przyjmijmy liczbę dwóch tysięcy. Przeciętny poziom zakłóceń porządku publicznego związanych z przemocą wynosi dwa przecinek dwa na tysiąc mieszkańców. To dotyczy całej Wielkiej Brytanii. W Londynie ten współczynnik wzrasta do dwa przecinek dziewięć, a na najgorszych osiedlach przekracza pięć. Magiczna liczba w Salisbury od dwutysięcznego roku utrzymywała się równo na poziomie sześciu, lecz pod koniec zeszłego roku nagle podskoczyła trzykrotnie. No dobra, od czasu do czasu wszędzie zdarzają się gwałtowne skoki, ale nadał twierdzę, że to wyjątkowe zjawisko - zwłaszcza, biorąc pod uwagę, jak szalone i dziwaczne są niektóre z owych incydentów. Przypomina mi to zeszły rok, wiesz? Kiedy twój kumpel Asmodeusz wyrwał się na wolność w kościele, sprawiając, że wszyscy parafianie wpadli w szal.

Pod koniec Nicky zniżył głos, bo chwilę wcześniej, kiedy mój towarzysz przemawiał ze szczególnym ożywieniem, gość o tłustych włosach odwrócił się w naszą stronę. Pokiwałem głową. Też miałem to skojarzenie.

- Próbowałem ściągnąć do pomocy Juliet - wymamrotałem. - Poszła tam zobaczyć, co się dzieje. Ale w kwestii swych odkryć okazała się bardzo skryta.

- Skryta?

- W ogóle nie chce o tym rozmawiać. Dała mi do zrozumienia, że wie co to jest, ale nie będzie się wtrącać. To nie jej sprawa.

Nicky zastanowił się, wyraźnie zafascynowany.

- Czy wydawała się wystraszona? - spytał. - Może to dla niej za duże? Nie chce zadzierać z czymś większym i groźniejszym od siebie?

Pokręciłem głową.

- Nie, to nie to. A przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Sam nie wiem, Nicky. Nigdy wcześniej nie zostawiła mnie samego. No - poprawiłem - na krótko w sprawie Myriam Kale, kiedy kierowała się źle pojętą siostrzaną lojalnością, ale w końcu poszła po rozum do głowy. Zupełnie tego nie rozumiem, ale wiedziałem, że Juliet staje do walki ze wszystkim, od wilkołaków po Boga Wszechmogącego. Nie sądzę, by istniało cokolwiek, czego by się bała.

Nicky zaakceptował mój argument, skinąwszy głową.

- No dobra, jeśli cokolwiek ci powie, też chcę o tym wiedzieć - zapowiedział.

- Czemu?

Spojrzał na mnie, jakby usłyszał właśnie najgłupsze pytanie świata.

- Bo wiedza to moja specjalność - rzekł. - Pamiętasz?

- Dobra, Nicky - odrzekłem ustępliwie, byłem bowiem zbyt zmęczony i obolały, by się spierać. - A co z Kennym Seddonem? Znalazłeś cokolwiek?

Poruszył brwiami.

- Odrobinę. To znaczy znalazłem wszystko, co było do znalezienia, ale niewiele tego. I nie ma tam niczego interesującego.

- Mów dalej.

Ponownie wskazał stos papierów.

- Masz to w lekturach.

- No to podaj najważniejsze punkty.

- Jakie najważniejsze? Urodził się, żył, może umrze. Odrobina napięcia na koniec, ale nic poza tym.

Przygwoździłem go wzrokiem i po dłuższej chwili wciągnął powietrze, by móc westchnąć dramatycznie.

- No dobra, jak sobie chcesz. Pełne nazwisko Kenneth Christopher Seddon. Urodzony w Walton, w Liverpoolu pod koniec lat sześćdziesiątych. W papierach masz dokładną datę.

Do czternastego roku życia niewiele o nim wiadomo, potem miał pierwsze starcie z policją - posiadanie kradzionych towarów. Stanął przed sądem, dostał lekkiego klapsa i wyszedł na wolność. To był początek pięknej przyjaźni - przed osiemnastymi urodzinami jeszcze sześć razy stawał przed obliczem sądu. Parę bójek, parę włamań, prowadzenie samochodu pod wpływem i smakowite, rozmyślne uszkodzenie ciała. A potem jakby się uspokoił. Zostawił za sobą dziecinne igraszki i przez jakieś pięć lat nie wdepnął w żadne gówna. Tak przynajmniej zakładamy. Z całą pewnością nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Znalazłem kilka możliwych wzmianek o tym nazwisku w Glasgow i Oldham - sprawdzanie zdolności kredytowej, te rzeczy - może zatem podróżował.

- Może - przyznałem.

Do tego czasu sam także opuściłem Liverpool i prawdę mówiąc, rzadko tam wracałem. Podczas krótkich odwiedzin w domu ani razu nie widziałem Kenny'ego, ale też niespecjalnie go szukałem. Nie miałem pojęcia, czy został w mieście. Spora część z mojego pokolenia zerwała więzy, gdy wyburzono slumsy wokół szpitala i postawiono nowe osiedla. Jeszcze większa grupa odeszła już wcześniej, porzucając tonący statek, jakim wydawał się Liverpool w erze Thatcher/Hutтона.

- Potem, w styczniu dwa tysiące pierwszego, znajdujemy wreszcie coś solidnego - podjął Nicky. - W radosnym duchu nowego tysiąclecia twój Kenny zaatakował gliniarza, który zatrzymał go na M-25. To go lokalizuje w Londynie i mówi nam sporo o jego kiepskim instynkcie samozachowawczym. - Wskazał gestem plik papierów. - Potem postanowiłem zawęzić poszukiwania i trafiłem na żyłę złota. Pewien K. Seddon pracuje dorywczo w firmie ściągającej wraki w Newport Pagnell w sierpniu dwa tysiące pierwszego. Nie zostaje zbyt długo, ale wkrótce pojawia się znowu w warsztacie Lady w Welham Green, gdzie pracuje około roku. Płaci podatki, ma czyste konto. Pojawia się w spisach mieszkańców Brent w dwa tysiące drugim, na liście oczekujących. Najwyraźniej ma dosyć i przenosi się na południe. Przekupstwem, prośbą bądź groźbą wpisuje się na listę w Southwark i w swoim czasie dostaje propozycję. Z początku nie w Salisbury, lecz w nieco lepszej dzielnicy: Trzypokojowe, adaptowane mieszkanie w Curtins Grove, jedynym osiedlu komunalnym w południowym Londynie, w którym większość sąsiadów mieszka w autentycznych zabytkowych kamienicach. A trzy pokoje też dają do myślenia. W aplikacji nie ma mowy o osobach zależnych, lecz najwyraźniej musiały istnieć. Zapewne pojawiły się podczas rozmowy kwalifikacyjnej i papiery złożono w formalnym wniosku do wydziału lokalowego - który następnie skasowano wedle ustaleń ustawy o ochronie danych osobowych, gdy wyprowadził się spod tego adresu.

Przez moment widziałem oczami duszy surową, pustą drugą sypialnię w domu Kenny'ego. „To był jej syn, nie jego” - powiedział Gary - „i nie żyje”. Szczegóły poznam później.

- I wtedy przeniósł się do bloku Westona? - spytałem.

Nicky skinął głową.

- Lipiec dwa tysiące trzy do dnia dzisiejszego - dodał. - Ale nie znasz jeszcze najlepszego, czyli powodu przeprowadzki. Tajemnicze osoby zależne? On je bił. Trzy zakłócenia miru domowego w ciągu pięciu miesięcy, jedno zakończone wezwaniem do sądu i oskarżeniem o napaść, za którą odsiedział miesiąc, bo miał na koncie wcześniejsze wykroczenia. To oznacza, że w końcu mamy nazwisko. Współlokatorka Kenny'ego to niejaka pani Blainey. Tania, Tina, coś takiego. Masz tu wszystkie szczegóły, ale to nazwisko donikąd nie prowadzi. Wiem, bo sprawdziłem. Tak czy inaczej, całe to bagno zaczyna mocno przeszkadzać sąsiadom. Następują skargi i oficjalne ostrzeżenia, po czym wydział lokalowy, wykonawszy ukłon przed przepisami mieszkaniowymi, łapie Kenny'ego za kark i wrzuca do dziury. To znaczy, na osiedle Salisbury. Z tego czasu nie ma już żadnych danych o zatrudnieniu, ale mam podpis na liście zasiłkowej i zapis w bazie danych opieki społecznej. Kenny'emu nawala kręgosłup, przyznają mu rentę. I nadal ma trzy pokoje, więc możemy założyć, że mimo rękoczynów przyjaciółka wciąż z nim mieszka. Może kłopoty z kręgosłupem przeszkadzały w swobodnym posługiwaniu się pięścią. Wkrótce potem jednak znika bez śladu. Kenny zgłasza jej zaginięcie szesnastego grudnia dwa tysiące pięć. Policja wypełnia raport i nic nie robi, typowe zachowanie w sprawie osoby zaginionej. Od tej pory akt nie uzupełniano, a jak mówiłem, nazwisko prowadzi donikąd.

Zaczął recytować długą listę wszystkich oficjalnych agencji, których rejestry dokumentowały dalszą egzystencję Kenny'ego.

- A co z dzieciakiem? - przerwałem, nim rozpędził się na dobre. Na razie musiałem zobaczyć las. Później przyjrzę się pojedynczym drzewom.

Nicky spojrzał na mnie nieprzychylnie.

- Właśnie do niego dochodziłem.

- Wiem, Nicky. Ale godziny odwiedzin prawie się skończyły. Nie wkurzajmy siostry przełożonej bardziej niż musimy, dobrze? To był Mark, tak? Chłopak, który zginął.

- Zgadza się. W akcie urodzenia występuje jako Mark Blainey W rejestrze uczniów miejscowej szkoły jako Mark Seddon.

- Ale nie jest synem Kenny'ego.

- Nie ma powodu, by tak sądzić, bo zanim wszyscy wylądowali w Walworth, mieszkał z matką pod siedmioma różnymi adresami, a Kenny nie pojawiał się przy żadnym z nich. Matka zazwyczaj nadawała mu nazwisko tego, z kim akurat współżyła. Może w głębi serca jest staromodna, a może uważa, że to łączy rodzinę. Tak czy owak, teraz to już nie ma znaczenia, bo jak sam zauważyłeś, chłopak nie żyje.

Poczułem ukłucie dziwnego smutku, przypomniawszy sobie pustą sypialnię, mizerne mauzoleum - pamiątkę po życiu, z której skrupulatnie usunięto wszystkie widoczne ślady owego życia. Czy pograżeni w żałobie rodzice nie utrzymują pokojów zmarłych dzieci w stanie sprzed ich śmierci? Nie tak to działa?

W duszy obdarzyłem straconego chłopca twarzą Bica, jasnowidzącego dzieciaka o zabandażowanych dłoniach. I nagle uświadomiłem sobie, że owe dłonie stanowią łączące ich ogniwo, które podświadomie wyłapałem. Dłonie Bica zasłaniały prowizoryczne opatrunki. Przeguby Kenny'ego przecinały blizny po starych ranach. Nawet kobieta z kucykiem, rozmawiająca z Gwillamem, miała zabandażowane ręce. A moje dłonie podczas drugiej wizyty na osiedlu swędziały tak mocno, że miałem ochotę zdrapać z nich skórę.

„Potrzeba rąk, by przytulić dziecko” - zaśpiewał ponurym tonem Max Bygraves w niedokładnie zamkniętym pomieszczeniu mego pałacu pamięci. Kiedy miałem osiem lat, matka, kiedy trochę wypila, wyciągała w środku nocy płyty i puszczała je tak głośno, że dźwięki przenikały przez podłogę do sypialni, którą dzieliłem z Mattem. Najbardziej nie znosiliśmy Singalonga Max.

- Opowiedz mi o tym - poprosiłem. - To znaczy, jak umarł.

- To ten skoczek. Wspominałem ci o skoczku, prawda? Jakies półtora roku temu. Zeskoczył z kładki między blokami Westona i Becketta. Miał we krwi sporo alkoholu i sporo speedu, a to niebezpieczna kombinacja. Parę osób widziało, jak wdrapywał się na barierę, coś krzyczał i skoczył. Uznano to za śmierć przypadkową, głównie z powodu badań krwi. Pewnie nie był dość trzeźwy, by na spokojnie zdecydować, że chce się zabić i wypełnić swoje zamiary.

- Ile miał lat? - spytałem.

Jean Daniels już mi powiedziała, ale zawsze warto sprawdzić w dokumentach.

- Osiemnaście. Dopiero co skończył.

Dobra. Miałem zatem wszystko czarno na białym, tak jak to przedstawiła Jean. Oto tragedia, z której według niej Kenny nigdy do końca się nie otrząsnął: tragedia nieco złagodzona faktem, że nie chodziło o jego własne ciało i krew. Ale nie na tym polegał prawdziwy problem. Nie to mnie dręczyło. Po prostu trudno mi było wyobrazić sobie, by

Kenny Seddon mógł kogokolwiek kochać. Pobić po pijaku dziewczynę? Jasne, bez trudu, a także zwrócić nienawiść przeciw własnemu ciału, kiedy zabrakło innych celów. Kenny siedzący w pokoju na podwójnym łóżku, w którym sypiał teraz samotnie, i wycinający na swych przedramionach oznaki oburzenia - nie ma sprawy. Ale Kenny oplakujący martwe dziecko? To do niego nie pasowało. Przeczył też temu pusty pokój, chyba że sprzątnął rzeczy chłopaka, bo przywoływały zbyt bolesne wspomnienia.

Nagle jednak dostrzegłem kolejną anomalię i ów wyraźny obraz zbladł.

- Zaczekaj chwilkę - rzuciłem. - Skoro dziewczyna Kenny'ego odeszła, czemu jej syn nadal z nim mieszkał? Czy wcześniej nie wyprowadzał się z nią przy każdej zmianie facetów?

Nicky wzruszył ramionami.

- Owszem. Zwykle tak to wyglądało. Ale nie tym razem. Tym razem wyniosła się gdzie indziej, a jej syn wyniósł się na tamten świat. Wcześniej czy później każdy wyfruwa z gniazda.

Nagle odkryłem, że nie jestem w nastroju na złośliwe homilie Nicky'ego. Jednakże w chwili, gdy otworzyłem usta, by go ściąć, pielęgniarka zajrzała do sali i zawołała głośno: „Pięć minut!”, zwracając się do wszystkich obecnych.

- Stary, powinieneś poprosić o rewizję osobistą - prychnął Nicky. - Tylko tego brakuje do kompletu więziennych przeżyć.

- Tego i lepszego zarcia - przypomniałem. - Nicky, znalazłeś cokolwiek na temat rysunku? Tej lzy?

- Błyszczącej waginy? Jak dotąd nie - przyznał niechętnie Nicky. - Wciąż nad tym pracuję.

- Super. Chciałbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

- Chryste, też mi niespodzianka.

- Gwillam. Dowiedz się, gdzie mieszka.

Oczy Nicky'ego rozbłysły, nie potrafił jednak oprzeć się taniej złośliwostce, która sama pchała mu się na usta.

- Zdawało mi się, że to temat dla Humpty'ego Dumpty'ego - przypomniał.

- Owszem. Ale raz już próbowali mnie nadgryźć i nie pękłem. Nie do końca. Teraz moja kolej.

- W takim razie mam dla ciebie dobre wieści. - Nicky sięgnął do kieszeni, wyłowił złożoną kartkę papieru i pomachał mi nią przed nosem, a potem upuścił na koldrę. - Pozwoliłem sobie sprawdzić. Świetnie się ukrywa i trochę to trwało. Ale zrobiłem to z radością.

Rozłożyłem kartkę, widniał na niej adres w St. Albans: Fundacja Ekumeniczna Rosewell, Church Street.

- A przy okazji, tę informację dostajesz za darmo - dodał Nicky.

- O bogowie, świat się kończy.

- Zdrowiej. I wal się.

Pomachał mi od niechcienia i wyszedł, a ja natychmiast skupiłem się na pozostawionych papierach. Nie na adresie Gwillama - to mogło poczekać - tylko na raportach i statystykach.

Nawet gdybym był w lepszej formie, stanowiłyby nudną i ciężką lekturę. Nicky potrafił się włamać do najróżniejszych ciekawych miejsc, lecz zazwyczaj przy okazji gubił nieco formatowania, miałem zatem przed sobą długie bloki słów pozbawionych jakiegokolwiek interpunkcji, poza łamaniami linii.

A w owym typograficznym oceanie, pośród leniwych fal krążyły ciemne rekiny. Ludzie ranili i zabijali innych bądź samych siebie: roztrzaskiwali się na chodnikach, nabijali się na balustrady, połykali żyletki, wykrawali gnomiczne przesłania w swym własnym ciele bądź ciele najbliższych. Były tam krew i ból. A ocean wciągał mnie tak, że wkrótce przestałem dostrzegać ląd.

Czy samookaleczenia stanowiły kolejny prąd w owym morzu, czy były czymś odrębnym? Mark, nieżyjący chłopak, kaleczył się i pisał o tym wiersze: rany niewątpliwie stanowiły część jego życia wewnętrznego, najbogatszą i najcenniejszą. Kenny także wpadł w ten sam nawyk - jakby to było coś, czym można się zarazić. Jak gdyby...

- Felix Castor!

Głos dzwięczący mi w uszach był gorzki i gniewny, przemawiał z wyraźnym naciskiem. Otrząsnąłem się z ponurego zamyślenia i odkryłem, że patrzę na pielęgniarkę stojącą u stóp łóżka z moją kartą w dłoni. I natychmiast pojąłem ów ton, bo już mnie znała. Tyle że nie pod tym nazwiskiem.

- Siostra Ryall - odparłem słabo. - Petra.

Pielęgniarka przekrzywiła głowę.

- Detektyw... Bukiet?

- Basquiat - poprawiłem. - Uwierzysz, że pracuję tu pod przykrywką?

Siostra z przesadnym rozmachem wetknęła kartę w ramkę.

- To, w co wierzę, nie ma znaczenia - oznajmiła. - Ten gość na górze pozostawał pod strażą, bo ktoś próbował go zabić. Nie wiem, jak się tam dostałeś, ale zamierzam zgłosić to szefowej zmiany, niech ona zdecyduje co z tobą zrobić.

Próbowałem wyskoczyć z łóżka, by ją zatrzymać, ale środek przeciwbólowy, który mi podali, działał aż za dobrze. Opadłem na poduszki, a ona zawróciła na pięcie.

- Będą chcieli wiedzieć, czemu nie poprosiłaś mnie o legitymację - zawołałem pośpiesznie.

Siostra Ryall zawahała się, po czym odwróciła do mnie z rumieńcem gniewu na twarzy.

- Powiedziałeś mi... - zaczęła.

- Nie, sama tak założyłaś - odparowałem. - A ja nie zaprzeczałem. Posłuchaj, daj mi minutę, a wszystko wyjaśnię. Nie mogę cię powstrzymać przed zgłoszeniem, ale jeśli to zrobisz, oboje niepotrzebnie się znajdziemy w niezłym bagnie.

Długą chwilę przyglądała mi się bez słowa. Czekałem na odpowiedź, nie spuszczać z niej wzroku.

- Mów dalej - rzekła w końcu niemal ponurym tonem.

Wskazałem ręką pozostawione przez Nicky'ego krzesło.

- Czemu nie usiądziesz?

- Bo powiedziałeś, że potrzebujesz minuty.

- To była *licentia poetica*. Potrzebuję dziesięciu.

- Zerknęła na przypięty do piersi zegarek.

- Nie mam dziesięciu minut. Jestem w trakcie obchodu.

- W takim razie wróc później. Naprawdę istnieje niewinne wytłumaczenie tego wszystkiego. - Jeśli rozciągnie się znaczenie słowa „niewinny” do najwyższych granic, pomyślałem, a potem zawiąże w artystyczny supeł.

Siostra Ryall nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale po kolejnej, boleśnie długiej pauzie, w końcu skinęła głową.

- Zgoda - rzekła. - Za dwie godziny, bo wtedy mam przerwę. Ale lepiej, żeby to było przekonujące.

- Do zobaczenia - potwierdziłem z tak wielką ulgą, że zrobiło mi się od niej słabo. To znaczy, w ogóle było mi dość słabo, ale ulga z pewnością się dołożyła.

Siostra Ryall odeszła do wtóru stukotu obcasów - tętentu kopyt apokalipsy.

Próbowałem powrócić w nawiedzone głębie papierowego oceanu Nicky'ego, lecz rozmowa z pielęgniarką kompletnie mnie zdekoncentrowała. Poddawszy się, zacząłem rozmyślać nad kilkoma rzeczami, które już wiedziałem, i mnóstwem innych, co do których pozostawałem nieświadomy.

Coś - zupełnie możliwe, że coś demonicznego - nawiedzało osiedle Salisbury. A jego wpływy rozchodziły się niczym fale, przybierając formę najróżniejszych aktów przemocy. Nawet przy tak ostrożnym sformułowaniu sprawy czułem wyraźnie, że coś przeoczyłem. Mój umysł był jednak zbyt otumaniony bólem i lekami, by móc to określić.

Kenny, który dysponował najlepszym miejscem na ósmym piętrze bloku Westona i którego własny pasierb był jedną z ofiar, próbował mnie przed czymś ostrzec. A przynajmniej, umierając w samochodzie z powodu przedawkowania ran ciętych, zapisał moje nazwisko na szybie własną, szczerze płynącą krwią. Zwrócił moją uwagę, zapłaciwszy za nią znacznie więcej niż wynosiła cena rynkowa.

A teraz Anathemata Curialis - ultramontańska sekta katolicka zmierzająca do pokonania wszystkich powstałych zmarłych i nieumarłych - krążyła po mieszkaniach osiedla, poruszając tematy, o których Jean Daniels wołała mi nie wspominać. Ja sam spróbowałem dołączyć do tego tańca i oberwałem od wykidajły Felda. Wyraźnie była to zamknięta impreza, dostępna wyłącznie na zaproszenie - i wręczono je mojemu bratu, Mattowi, do mnie natomiast nie dotarło.

Konsultant z wieczornej zmiany wędrował po oddziale, bez entuzjazmu przeglądając karty i od czasu do czasu przekazując uwagi towarzyszącemu mu orszakowi pełnych podziwu stażystów.

Procesja na krótko zatrzymała się przy moim łóżku. Widząc jednak, że nie przedstawiam sobą niczego szczególnie ciekawego, jedynie przebitą opłucną, parę guzów i siniaków, ruszyła spokojnie dalej.

Znudzony i zdenerwowany, ponownie próbowałem przegryźć się przez dokumenty. Odrzucał mnie od nich nie tylko niestrawny format, ale też zawartość. Zupełnie jakbym zaglądał przez małe, wytłuszczone okienko wprost do jednego z kręgów piekła. Pijacka bójka, w której jeden z uczestników zamiast noża wyciągnął otwieracz do konserw i wykorzystał go w sposób niezbyt oddalony od zamierzonego przez producenta; nocny pojedynek na zastrzone kije bilardowe; szurikeny i kotwiczki domowej roboty, struny fortepianowe i tarki do sera... No dobrze, mówimy o okresie ponad roku, ale czyżby mieszkańcy osiedla tak bardzo pokochali krew, że poświęcali mnóstwo czasu na budowanie nowych narzędzi do upuszczania jej? Prezentowana tu pomysłowość sama w sobie była już niepokojąca, choć bladła w porównaniu z suchymi, beznamiętnymi opisami spraw. Coś tu nie pasowało. Wszystko nie pasowało.

Z zamyślenia wyrwał mnie stukot obcasów. Uniósłem wzrok i ujrzałem zbliżającą się Petrę Ryall. Miała zaciętą minę; rozejrzała się groźnym wzrokiem, lecz konsultant i nastoletni

admiratorzy przenieśli się już na inne pastwiska, grubas i rozedrgany facet spali, a dzieciak pozostawał zagubiony w swym własnym świecie wyrafinowanych bodźców słuchowych. Przsunęła sobie krzesło, usiadła i zerknęła na zegarek, sprawdzając godzinę.

- Dziesięć minut - przypomniała.

- W porządku - zgodziłem się. - No cóż, po pierwsze, nie jestem detektywem, tylko egzorcystą.

Zareagowała sceptycznym uniesieniem brwi. Wpatrywała się we mnie, czekając co powiem.

- Więzę i przepędzam umarłych - wytłumaczyłem.

- Jak?

- Za pomocą fletu. - Nie czekałem na kolejne pytanie, bo wiele razy przeprowadzałem tę rozmowę z wieloma osobami. - Każdy egzorcysta pracuje na swój własny sposób. Moim narzędziem jest muzyka. Dla kogoś innego to mogą być pentagramy, zaklęcia, nieświadome pisanie czy taniec. To nie ma znaczenia. Tworzymy wzory i coś się dzieje.

- Jakie coś?

- Mogę przywoływać duchy. Czasami do skupienia używam przedmiotu - osobistego drobiazgu, pamiątki - innym razem wyczuwam ducha, przebywając w pobliżu. Wówczas mogę zagrać melodię, która go wezwie. A potem, jeśli zechcę, uwięzić go i odesłać.

- Muzyką?

- Właśnie. Robię to też z innymi istotami. Nie tylko duchami, ale... - Zawahałem się. I tak był to ciężki kęs do przełknięcia, nawet bez recytowania pełnego katalogu. - Najlepiej opowiem ci o Kennym - zaproponowałem. - Może to najlepszy sposób wyjaśnienia tego wszystkiego.

Zacząłem od historii o tym, jak stoczyliśmy z Kennym pojedynek na dachu fabryki. Przeskoczyłem do tego, jak znaleziono go krwawiącego w samochodzie, z wypisanym na szybie moim nazwiskiem. A potem cofnąłem się, wypełniając tyle luk, na ile pozwalał krótki wykład Nicky'ego i moje własne węszenie na osiedlu. Zlekceważyłem obecność demona, podkreślałem, że chcę się dowiedzieć, co takiego pragnął przekazać mi Kenny, by było warte zmarnowania litra własnej krwi. Po jakichś dwóch minutach, po minie siostry Ryall zorientowałem się, że tego nie kupuje. Jej, przyznając urocza, twarz wyglądała jak wykuta z granitu gradowa chmura niewiary. Gdy tylko skończyłem, pokręciła głową.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą - rzekła - czemu tak bardzo interesował cię drugi pacjent na oddziale? Ten z ranami kłutymi?

Miała mnie. Kładąc tak wielki nacisk na mnie i na Kenny'ego, opuściłem zbyt wiele z ogólnego obrazu sprawy - a być może potrzebowała tych informacji, by cokolwiek zrozumieć.

Spróbowałem ponownie. Tym razem opowiedziałem jej o niektórych wydarzeniach na osiedlu - epidemii przemocy, dziwnych graffiti, chłopaku w transie próbującym skoczyć z kładki. To jednak tylko pogorszyło sytuację. Żadna nić logiki nie łączyła owych spraw i im dłużej o nich opowiadałem, tym wyraźniejsze się to stawało. Błąkałem się po omacku, próbując ułożyć w jedną całość mnóstwo elementów, których do końca nie rozumiałem. Postanowiłem jednak dokończyć to co zacząłem, bardziej z uporu niż z przekonania, że to cokolwiek da. Kiedy dotarłem do statystyk Nicky'ego, słyszałem głucho echo własnych słów dźwięczące na milczącym oddziale. A gdy wreszcie umilkłem, siostra Ryall w ogóle nie odpowiedziała. Mimo to miała zatroskaną minę i zdumiało mnie, że nie powiedziała, że jestem wściekłym psem, którego należy uspić dla dobra całej ludzkości. Czekałem cierpliwie, aż w końcu przemówiła.

- Możesz chodzić? - spytała bardzo cicho.

- Zwykle świetnie sobie radzę - odparłem. - Dziś jednak nie wiem... ale gotów jestem spróbować. A na co masz ochotę? Kino? Curry przy Brick Lane?

- W takim razie włóż szlafrok - poleciła, zupełnie jakby nie usłyszała tego kiepskiego dowcipu. - Mam ci coś do pokazania.

Odrzuciłem kołdrę i spuściłem nogi z łóżka. Wspierając cały ciężar ciała na rękach, dotknąłem stopami lodowatych kafli, niczym Neil Armstrong stawiający swój słynny mały krok. Ale też według badań NASA Neil Armstrong niczego nie zażywał i musiał jedynie zmagać się z niewielkim przyciąganiem, podczas gdy mnie grawitacja ciągnęła w kilka różnych stron jednocześnie.

- Nie mamy całej nocy - rzuciła z irytacją siostra Ryall.

Wstałem z zaledwie lekkim zachwianiem, uznawszy, że ten wyczyn zasługuje na choćby krótkie oklaski. Mój szynel leżał złożony w szafce przy łóżku. Naciągnąłem go ku wyraźnemu, zniesmaczonemu zdumieniu pielęgniarki.

- Chcesz to włożyć?

- Są bardzo modne - wymamrotałem, skupiając się na utrzymaniu pozycji pionowej. - Sraczkowaty brąz to nowa czerń.

Pokręciła głową z dezaprobatą, odwróciła się i ruszyła bez słowa do drzwi. Podążyłem za nią, zakładając, że pokazuje mi drogę, a nie po prostu dała sobie ze mną spokój.

Przeszliśmy przez krótki korytarz, oświetlony jarzeniówkami, które płonęły boleśnie jasno po przygaszonych lampach na oddziale. Pod jedną ze ścian stały pozbawione oparcia ławki; siedzieli na nich pacjenci zawieszani w chwilowym niebycie. Niektórzy czekali na wizytę, inni jedynie odpoczywali chwilę w swej prywatnej drodze na Kalwarię. Kilku spojrzało z nadzieją na siostrę Ryall, jakby sądziło, że zostanie ich przewodniczką podczas następnego etapu owej podróży; ale dziś nic z tego.

Wyszliśmy na dwór, przecięliśmy podwórze, na którym parkowało parę furgonetek i samotna karetka, a potem przekroczyliśmy próg innej części głównego budynku. Była ciemniejsza i starsza, i powoli zaczynałem rozpoznawać zakręty korytarza i niektóre krążące tam duchy. Dotarliśmy do głównych schodów: siostra Ryall obejrzała się szybko, sprawdzając, czy idę za nią, po czym wspięła się na górę. Zmierzałyśmy na oddział Kenny'ego.

Kiedy podeszliśmy do zakazanych drzwi, gliniarz na podeście - na szczęście nie ten, którego spotkałem dwa dni wcześniej - spojrzał na nas pytająco. Siostra Ryall skinęła głową, pokazała swą kartę, nie wspominając o mnie ani słowem. Wprowadziła kod i szarpnęła, lecz drzwi zacięły się, bo stare i zużyte bolce zamka nie cofnęły się jak należy. Gliniarz chwycił drzwi z boku i pomógł szarpnięciem; podziękowała mu uprzejmie.

Wiedziałem, dokąd idziemy, ale nie miałem pojęcia dlaczego, pozwoliłem zatem siostrze Ryall iść na przodzie. Pokonaliśmy ciasny korytarz wiodący do drzwi oddziału Kenny'ego. Wciąż stały tam dwa zajęte łóżka; Kenny i jego współlokator spali, oddychając głośno. Siostra Ryall odwróciła się do mnie z wyczekującym wyrazem twarzy.

Zawahałem się, wodząc wzrokiem po sali. Mówiła, że coś mi pokaże, ale niczego nie widziałem.

- Co takiego? - spytałem.

Machnęła niecierpliwie ręką.

- Słuchaj.

Posłuchałem. Nic, prócz szorstkich oddechów dwóch mężczyzn, które z pewnością przerodziłyby się w chrapanie, gdyby tylko mieli dość siły w piersi, by głośniejszym wypuścić powietrze. Już miałem powtórzyć „Co takiego?”, z braku lepszych pomysłów, wtedy jednak obaj poruszyli się we śnie i przemówili.

Były to zwykłe, bełkotliwe odgłosy, typowe dla śpiących, którzy nie do końca przebili się przez granice świadomości. Dźwięki, w których wyczuwamy zniekształcone zarysy słów, lecz nie potrafimy ich oddzielić ani rozszyfrować. Kończyły się cichym, wyraźnym mlaśnięciem i lekko drżącym westchnieniem.

Obaj mężczyźni. Razem. Te same dźwięki, idealnie zsynchronizowane.

13

Zakląłem bardzo cicho, a siostra Ryall skinęła głową.

Poprosiła, żebym słuchał, nim tamci przemówili, i dopiero teraz pojąłem dlaczego. Nie tylko słyszałem, ale i widziałem: piersi Kenny'ego i jego towarzysza unosiły się i opadały z idealną precyzją, ich wdechy i wydechy następowały dokładnie w tym samym momencie.

Z lekkim poczuciem nierzeczywistości popatrzyłem na pielęgniarkę, a ona na mnie. Na jej napiętej twarzy wyraźnie odczytałem pytanie: co to wszystko znaczy?

- Kiedy zauważyłaś? - spytałem.

- Dwie noce temu. - Mówiła nerwowym, nieszczęśliwym głosem. - Można słuchać tego całe wieki i nic nie zauważyć. A potem nagle... to do ciebie dociera.

- Macie tu innych pacjentów z osiedla Salisbury?

- Skąd?

- Z tego samego kodu pocztowego. Osiedla Salisbury w Walworth.

Pogrzebała w pamięci i pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się. Będę musiała sprawdzić w książce przyjęć.

- Jest tutaj czy gdzie indziej?

- W pokoju zmiany. Posłuchaj, przepraszam, jak naprawdę się nazywasz?

- Castor. Felix.

- Co sprawia, że to robią? To przecież niemożliwe.

- Przeszedłem przez salę i sprawdziłem kartę ciemnoskórego mężczyzny.

- Kobietom mieszkającym w tym samym domu synchronizują się miesiączki - odparłem. - Nie od razu, lecz po jakimś czasie. Ich ciała reagują na hormony innych. Może to coś podobnego, coś autonomicznego, co pojawia się dopiero po jakimś czasie.

- To wyjaśniałoby ich równy oddech. Ale nie gadanie przez sen.

Spojrzałem na nią.

- Często to robią?

- Co to znaczy często? Zdarzało się już wcześniej. Tak jak teraz, chórem. Lecz żadna inna pielęgniarka tego nie słyszała. Wiem, bo wypytałam wszystkie.

- Zrozumiałaś cokolwiek?

- Czasami jedno słowo. Brzmi coś jak „more” albo „ma”. Reszta to tylko bełkot.

More? Ma?

- Mark? - podsunąłem.

Siostra Ryall pokiwała głową.

- Owszem, możliwe. A czemu?

- Bo ten tu, Kenny - wskazałem drugie łóżko - miał pasierba imieniem Mark, który zginął w zeszłym roku. Spadł bądź wyskoczył z wysokiego budynku. I Kenny'ego mocno to kopnęło, przynajmniej według niektórych.

Co niczego nie wyjaśniało. Potrzebowałem więcej danych: jakiejś nici wskazującej drogę przez labirynt, lecz siostra Ryall dała mi wszystko, co miała. I doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie odpłaciłem tym samym.

- Co to jest? - spytała ostro. - Co to naprawdę jest?

- Opętanie przez demona - odparłem bez ogródek.

Zaśmiała się nerwowo, z niedowierzaniem.

- A skąd niby wiesz?

- Wiem. Widziałem już coś takiego.

- U dwóch osób? Dwoch osób w tym samym czasie... - wyraźnie szukała właściwego określenia - złączonych ze sobą w ten sposób?

- Nie - przyznałem.

- W takim razie...

- Poprzednio było ich dwieście. Cała kongregacja Kościoła w zachodnim Londynie. Wszystkich dotknął ten sam demon i wszyscy ruszyli w noc, by robić potworne rzeczy sobie i każdemu, kogo napotkali. Znam się na tym syfie, siostrzo oddziałowa Petro Ryall, bo tym właśnie zarabiam na, jak to nazywam ironicznie, utrzymanie. Obaj są opętani i dokonała tego jedna istota. Nie wiem jaka i nie wiem czemu, ale może zdołam się dowiedzieć. Czy w najbliższym czasie ktoś się tu zjawi?

Przyglądała mi się z całą gamą obaw i wątpliwości.

- O północy. Wtedy zaczyna się nowa zmiana.

- Dobra. - Sięgnąłem do jednej z wielu wewnętrznych kieszeni szynela i wyciągnąłem flet. - Pilnuj drzwi. Jeśli ten gliniarz się ruszy, choćby po to, by podrapać się po tyłku, albo zjawi się ktokolwiek inny, daj mi znać. Pewnie będziesz musiała mną potrząsnąć albo klepnąć mnie w ramię. Jeśli tylko szepniesz, zapewne cię nie usłyszę. Możliwe, że nie usłyszę nawet krzyku.

Siostra Ryall nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale skinęła głową.

Odwrociłem krzesło przy łóżku Kenny'ego i usiadłem na nim tył naprzód: nie potrafiłem stwierdzić, ile to może potrwać, a gdyby się ciągnęło, wiedziałem, że przyda mi się podpórka do łokci.

Siostra Ryall przyglądała mi się z niepewnością i zarazem fascynacją.

- Zamierzasz przeprowadzić egzorcyzmy?

- Zamierzam spróbować - rzekłem, a potem przegnałem ją z myśli.

Zacząłem grać, losowe nuty szybko układające się w luźną, bezcelową protomelodię. Z początku szło mi ciężko. Uderzenie młotka uszkodziło opłucną, nie samo płuco, lecz ostry ból przy każdym poruszeniu klatki piersiowej oznaczał, że wszystko kosztowało mnie więcej wysiłku niż zwykle.

Ta część imprezy przypomina metody orientacji stosowane na przykład przez nietoperze i delfiny: wypuszczasz dźwięk i czekasz, aż powróci, subtelnie odmieniony odbiciem od najróżniejszych gór i dołków tego świata. I dzięki tym zmianom powoli zyskujesz obraz miejsca, w którym się znalazłeś - czy leży wysoko, czy nisko, jakie kryje w sobie naturalne zagrożenia i jakiego towarzystwa można się spodziewać.

Mój zmysł śmierci szybuje wraz z muzyką, tak jak niektóre odmiany pajaków z wiatrem, gdy ucepione jednej jedwabnej nici pokonują tysięczny ocean. Sam nie kieruje się w żadną stronę, nie słucha własnej woli, przynajmniej z początku - to muzyka zabiera go tam, gdzie powinien trafić. A on w odpowiedzi kształtuje muzykę do czasu, aż pętla zwrotna, biegnąca przez moje uszy do mózgu i dalej do palców i pompujących powietrze płuc, zawęży i oczyszcza bezkształtne uczucie w coś wyraźnego, doskonałego, jasnego - jak dźwięk naszego własnego imienia, wymawianego pośród dziesiątków rozkrzyczanych kłótni.

To pierwszy etap rytuału egzorcyzmów, zwany odszukaniem albo przywołaniem. Czasami przebiega szybko, czasami ciągnie się morderczo długo, a czasami w ogóle nic z niego nie wynika. Dziś przebiegał powoli i narastał jak wielka fala, wznosząca się nade mną niczym ściana - ściana, którą odzwierciedlałem w dźwiękach wspinających się w górę skali i coraz głośniejszych.

- Ktoś cię usłyszy - ostrzegła siostra Ryall, lecz w tym momencie jej głos był tylko kolejną cechą pomieszczenia, od której odbijała się muzyka: małym bąbelkiem w strumieniu.

I było tam coś jeszcze - poza salą, poza zwykłą przestrzenią fizyczną, w której siedziałem obok dwóch rannych mężczyzn. Coś spoglądało na nas z kierunku tak dziwnego i nieokreślonego, że nie byłem w stanie podążyć za jego spojrzeniem. Mogłem jedynie grać dalej, wyczuwać jego kontury wraz z narastaniem kolejnych fal dźwięku. Zbliżało się ku mnie

i powoli jego obraz się wyostrzał - niewyraźna obecność, niosąca ze sobą własne echo z dołączonym mroczniejszym cieniem.

A potem fala zalała mnie i znalazłem się w nieprzeniknionej ciemności. O mało nie zgubiłem wątku, zaskoczony nagłością i siłą uderzenia. Czerń runęła z góry i oplotła się wokół mnie, niepokojąco blisko. Nadal czułem pod sobą krzesło i zimny metal fletu w palcach, ale nie słyszałem już niczego oprócz granej przez siebie muzyki - oraz rozbrzmiewającego poza nią urywanego rytmu ciężkich oddechów dwóch mężczyzn. Świat zniknął. Zostałem sam w ciemności, z rzeczywistością łączyła mnie tylko lina ratunkowa melodii.

Grałem zatem dalej, mimo nieznośnego palenia w piersi - nie miałem innego wyboru.

I gdy tak grałem, ciemność objawiła się przede mną: kryła w sobie najróżniejsze odcienie, gmatwaninę głębi i faktur. Nie była zasłoną, lecz trójwymiarowym obrazem oddanym w jednym kolorze - płaszczyznami pionowymi i poziomymi, które wyobrażałem sobie jako urwiska i pola, góry i równiny. Spoglądałem na czarny świat, nad którym świeciło czarne słońce, rzucające na czerń czarne cienie.

I coś w tej krainie patrzyło na mnie.

Dysponowało maskowaniem niezależnym od koloru, toteż nie mogłem wyczuć jego zarysów, jedynie napór spojrzenia, bo egzorcysta zawsze potrafi stwierdzić, gdy ktoś z umarłych bądź nieumarłych skupia na nim swą uwagę. Siedziało w idealnym ukryciu, obserwując mnie. I wtedy wszystkie odgłosy ucichły - moje palce wciąż poruszały się na otworach fletu, lecz melodia, którą grałem, zniknęła jak odcięta niewidzialnym ostrzem, pozostawiając mnie samego pośród milczącego ogromu.

Ukryty stwór poruszył się odrobinę i poczucie, że jestem obserwowany i oceniany, poruszyło się wraz z nim. Czas płynął, lecz w żaden sposób nie potrafiłem określić, ile go upłynęło.

Mark? - powiedział stwór, czy raczej nie powiedział, bo w tym świecie nie istniały dźwięki.

Nie mogłem odpowiedzieć. By to zrobić, musiałbym przestać grać, a instynkt podpowiadał mi, że gdybym to uczynił, nie odnalazłbym wyjścia z tego miejsca.

Stwór żyjący w ciemności warknął cicho i nisko. Nie lubił, gdy go ignorowano. *Mark*, powtórzył i tym razem to nie było pytanie.

Nie mam go, pomyślałem. On nie żyje. Już nie żyje. Zaczynałem tracić czucie w opuszkach palców. Nie miałem pojęcia, w które otwory trafiam, jakie nuty gram. Czułem

niewiarygodny ucisk na piersi, jakby w każdej chwili miała znieruchomieć i powstrzymać przepływ powietrza przez ustnik fletu.

Stwór ruszył powoli ku mnie.

Już, powiedział.

Usiłowałem się cofnąć, lecz moje ciało tak naprawdę tu nie istniało i nie próbowało nawet zareagować na beznerwowy impuls. Byłem jedynie dziesięcioma sztywnymi reumatycznymi palcami, poruszającymi się na zimnym metalu przedmiotu, którego cel istnienia powoli zaczynałem zapominać: zacinającym się miechem dmuchającym powietrzem na iskrę, której nie widziałem.

stąd

Wzniosłem melodię w szaleńczym akordzie - a przynajmniej spróbowałem, lecz straciłem już jej wycucie. Gra na autopilocie to zawsze przegrana sprawa. I wyglądało na to, że ja także nią jestem.

Niewidoczny stwór spał się do skoku. Skąd wiedziałem, skoro ni cholery go nie widziałem? Bo śledziłem jego głos w ciężkim powietrzu - diachroniczny wykres, wyrażający równanie, którego rozwiązaniem były moje rozprute wnętrzności.

nie

Zagrałem potworny, rozdzierający dysonans, niczym skrobanie paznokciem o tablicę - ostatni pocisk z mojej zbrojowni. Czasami zatrzymuje zombie i *loup-garous* w miejscu. Czasami.

wyjdziesz!

Jego gorący, cuchnący oddech omiatał mi twarz, słyszałem też upiornie sugestywny dźwięk - odgłos przypominający ostrzenie noża o gruby skórzany pas. Próbowałem się wzdrygnąć i nie mogłem zrobić nawet tego.

Zrobiłem zatem coś innego.

Ponieważ ręce były jedyną częścią mego ciała, która mogła się jeszcze poruszać, wymierzyłem obiema, wciąż ściskającymi flet, mocny cios naprzód - zderzyły się z czymś, co pędziło wprost ku mnie. Właściwie więcej niż zderzyły: zanurzyły się po łokcie W rozpędzonej, cieplej jak krew masie. Przeszyła mnie błyskawica czystej agonii; w porównaniu z nią ból po wczorajszej bójce był jak najczystsza kokaina w zestawieniu z coca-colą.

Siła rozpędu stworu porwała mnie w tył. Ciemność roztrzaskała się na jasne, rozmigotane odłamki światła i dźwięku. Przez moment wisiałem nieważki w huczącej pustce, myśli wyciekały mi z głowy jak krew, gdy odwróciłem się w kierunku odległego punkcika światła, wyculony na jego słabiutki blask jak słońce na Plutonie.

A potem spadałem z krzesła na wyłożoną kafelkami podłogę oddziału, z taką siłą, jakbym wyleciał z rozpędzonego samochodu.

- Castor!

To był głos siostry Ryall i jej ręce na moim czole, powstrzymujące przed roztrzaskaniem czaszki, gdy wstrząsnęły mną pierwsze konwulsje.

Wszystkie mięśnie mego ciała skurczyły się jednocześnie, w ustach czułem smak krwi. Walczyłem o oddech, lecz bolesna obręcz wokół piersi niemal to uniemożliwiała. Chłptałem powietrze językiem, spijając je morderczo małymi łydkami.

- Castor, już w porządku! W porządku.

I faktycznie, w końcu tak się stało, choć przebiegające przeze mnie gwałtowne dreszcze przypominały słabe elektrowstrząsy. Ustupując, pozostawiały po sobie niewiarygodną letargię i brak energii: uczucie, że ruszę się z tego miejsca tylko jeśli ktoś sturla mnie z trawiastego zbocza do rowu. Siostra Ryall zmierzyła mi puls, mówiąc coś kojąco: poznałem to po tonie głosu, bo same słowa były jedynie nic nieznaczącymi dźwiękami. Starła mi z twarzy krwawą pianę, po tym jak ugryzłem się mocno w język. Kiedy uznała, że sobie poradzę, pomogła mi usiąść. A pierwsze pytanie, jakie zadała, choć musiała od nich pękać, brzmiało:

- Ile palców pokazuję?

Wyprostowała jeden palec i pomachała mi nim przed oczami, sprawdzając, jak sprawnie za nim wodzą.

- Jeden - wybełkotałem niewyraźnie. - Wskazujący. Prawy. Z ciemnoróżowym lakierem.

- To fuksja. Jaki dziś mamy dzień?

- Wtorek.

- Jak się nazywasz?

- Obecnie? Felix Castor.

Siostra Ryall uśmiechnęła się wbrew sobie - na nieszczęście jednak przestała mnie obejmować, słusznie uznawszy, że doszedłem do siebie dostatecznie, by poradzić sobie solo.

Wstała, otrzepując fartuch. Co sprawia, że tak wielu facetów snuje fantazje na temat strojów pielęgniarek? Zazwyczaj, gdy spotykamy jedną z nich, cierpimy na wyjątkowy deficyt zarówno charyzmy, jak i popędu płciowego.

- I co, udało ci się do czegoś dotrzeć? - spytała kiedy podniosłem się powoli na gnące się jak sprężyny nogi. Za podporę posłużyła mi obudowa łóżka Kenny'ego.

- O, tak - odparłem. - Dotarłem.

Ale nie próbowałem nawet wyjaśniać gdzie. Owa czarna *terra incognita*, pogrążona w czerni, wykraczała poza moje zdolności opisowe.

- I co to takiego? Czy to... to co mówiłeś? Wspólne opętanie? - Z trudem wymawiała to słowo. Lubię kobiety, które nie cofają się przed absolutnym szaleństwem.

Skinałem powoli głowę. Zrobiłbym to energiczniej, ale bałem się, że mi odpadnie.

- Jestem niemal pewien - rzekłem.

- To znaczy, że umiesz sobie z tym poradzić.

I to zepsuło całą scenę. Machnąłem niezobowiązująco ręką.

- To znaczy... tym się przecież zajmujesz, prawda? Mówiłeś, że jesteś egzorcystą.

Tu mnie miała: faktycznie to powiedziałem. I nadal w pewnym sensie jest to prawda. Istniało jednak kilka powodów, dla których nie przekłada się to natychmiast w godne macho zabijanie demonów.

Po pierwsze, demony cholernie trudno zabić. Ludzkie duchy to zazwyczaj łatwizna. Wyczuwamy je, oceniamy pozostając w pobliżu parę minut, godzin bądź dni - ten czas różni się w zależności od podjętego zadania i osoby duchołapa - a potem robimy to co robimy: ów popisowy numer skupiający nasze moce. U mnie to muzyka, ale każdy ma swoją specjalność.

A jeśli zrobimy to jak należy, kiedy skończymy, duch zniknie - na zawsze, nieodwracalnie zniknie i nikt (mimo tego, co twierdzą niektórzy), nie ma pojęcia dokąd odszedł.

Loup-garous są nieco bardziej skomplikowane. Gdy mamy do czynienia z ludzką duszą zagnieżdżoną w ciele zwierzęcia - a w gruncie rzeczy do tego właśnie sprowadza się wilkołak - można przepędzić ją z łatwością. Wystarczy wprowadzić zakłócenie pomiędzy ducha i jego nosiciela, tak by ciało samo odrzuciło intruza i odzyskało w pełni swe zwierzęce ja. To nie to samo co zwyczajne egzorcyzmy, choć nadal używamy tej nazwy: duch nie zostaje przepędzony trwale, jedynie tymczasowo wyeksmitowany. Jeśli brzmi to jak dzielenie włosa na czworo, spójrzcie na to w ten sposób: to coś jak różnica pomiędzy tym, co robi zabójca, a co komornik. Kogo wolelibyście przyjąć u siebie z wizytą?

A demony - demony także są odmienne, głównie dlatego, że umieją walczyć. Demony są wyczulone na egzorcyzmy do tego stopnia, że nawet wstępne rytuały poruszają ich nerwy z ogromnej odległości niczym syrena policyjna. Zapewne ma to darwinowskie wytłumaczenie: demony pozbawione owej wrażliwości już dawno wyginęły. Natomiast te, które pozostały, charakteryzuje zarówno pewien poziom odporności na wzorce egzorcyzmów, jak i tendencja do kontrataków - zdarza się, że podążają psychicznym śladem jak rekin za drobkami krwi,

w końcu znajdują egzorcystę i nie dopuszczają do dokończenia zaklęcia, na przykład wyzerając mu mózg.

Pozostaje jeszcze jeden element układanki: sam egzorcysta, i w tej materii jakiś czas temu moje odczucia diametralnie się zmieniły. Zacząłem się zastanawiać, dokąd trafiają przeganiane przez nas tak swobodnie duchy - i być może powinienem był zadać sobie to pytanie znacznie wcześniej, kiedy przeprowadziłem pierwsze w życiu egzorcyzmy na duchu własnej siostry. W końcu jednak, choć ze sporym opóźnieniem, palec, jakże chętnie naciskający spust, zaczął się męczyć i postanowiłem, że nie będę więcej przeprowadzać egzorcyzmów na życzenie. W obecnych czasach podchodzę indywidualnie do każdej sprawy, może zresztą sami już to dostrzeżliście. Jeśli duch jest naprawdę niebezpieczny, skrupuję go albo nawet i przegnam i przyjmę czek. Co do demonów, wyjąwszy osobistych przyjaciół i znajomych, zawieszam poprzeczkę jeszcze niżej. Ale - nazwijcie to słabością albo kaprysem - zanim postawię wszystkie żagle, wolę wiedzieć, z kim i z czym mam do czynienia. Nie wyładowuję całego magazynka do każdego pomieszczenia w chwili wyważenia drzwi: to dla amatorów i idiotów.

- Nie wiem - rzekłem, skracając wszystkie te introspekcje i wątpliwości do bardziej strawnej formy. - Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym, czym jest ta rzecz. I jak łączy się z Kennym.

Petry wyraźnie nie zadowolila ta odpowiedź.

- Przez chłopca - rzekła bez ogródek. - Marka. Jeśli obaj powtarzają to we śnie...

- Jeśli - powtórzyłem, przerywając jej. - A nawet przyjąwszy, że to prawda, wciąż nie wiemy, jak ani dlaczego. Mark nie żyje. Czy ktoś wywołał demona, by pomścić jego śmierć? Czy demon z jakiejś przyczyny szuka duszy Marka? A może Mark sam sprowadził go na osiedle - z rozmysłem bądź nie - jakimś swoim czynem? Istnieje zbyt wiele możliwych wzorców i jeśli zacznę działać, nie znając odpowiedzi, zapewne przetrwam krócej niż czekoladka w mikrofalówce.

Petra wbiła we mnie wzrok.

- Ty się go boisz - powiedziała.

To nie była kpina, jedynie obserwacja.

- O tak.

Spojrzała na dwóch niespokojnie śpiących mężczyzn i z powrotem na mnie.

- Ale jesteś przecież... świadomy. Zdrowy. To coś nie może cię zranić, prawda?

- Przed chwilą, kiedy upadłem, jedno mgnienie oka dzieliło go od zrobienia mi czegoś, na co w języku angielskim nie ma nawet określenia.

Siostra Ryall przytaknęła niepewnie, wyraźnie przestawiając meble w swym pokoju koncepcji.

- No dobrze. W takim razie co możemy zrobić? Zauważyłem to „my” i byłem pod wrażeniem. Mimo przerażenia nie odpuściła tego jako cudzego problemu.

- W tej chwili - rzekłem - powinniśmy się stąd wynieść. Nie zdziałam nic więcej, dopóki nie uporządkuję chociaż części faktów.

Wyszliśmy tą samą drogą, którą przyszliliśmy, na znudzonych oczach dyżurnego policjanta, który nie spytał nas nawet, skąd się wzięła muzyka. Może sądził, że nocne serenady to uznawana przez zarząd forma terapii ogólnej.

Z powrotem na moim oddziale starannie ułożyłem i schowałem szynel. A tymczasem siostra Ryall zebrała wydruki Nicky'ego i z nieskrywaną ciekawością zaczęła je przeglądać.

- Czy to są fakty, o których mówiłeś?

- Część z nich - przyznałem. - Resztę będę musiał pozbierać sam na miejscu.

Sądziłem, że jedynie pobieżnie przekartkuje, szczerze mówiąc, stanowiące upiornie nudną lekturę, transkrypty Nicky'ego i znów je odłoży. Ale pół godziny później nadal czytała. Tymczasem dzieciak w słuchawkach wciąż jednoczył się ze swym uchem wewnętrznym, a grubas obudził się, rozejrzał zdumiony i zaskoczony, po czym znów zasnął. Pozwoliłem jej czytać, skrycie podziwiając zmarszczkę między brwiami i nieświadomie wysuniętą w skupieniu dolną wargę. Lubię inteligentne kobiety. Wielka szkoda, że zazwyczaj są zbyt mądre, by się ze mną wiązać.

Po jakimś czasie spojrzała na mnie i odwróciła plik papierów, tak bym mógł ujrzeć górną kartkę.

- Rany cięte - rzekła.

- Słucham?

- Czy o to w tym wszystkim chodzi? O rany cięte? Przez moment zupełnie nie pojmowałem co mówi.

- Jest tu wiele obrażeń, siostrzo Ryall - przyznałem. - Ale jak widzisz, brakuje wspólnego motywu. Mamy tu wszelkie możliwe odmiany broni pod słońcem, łącznie z takimi, które nawet mnie zaskoczyły, i wszelkie odmiany morderstw, samobójstw, samookaleczeń i napaści z bronią. Trudno wyobrazić sobie rodzaj rany, którego tu nie znajdziemy.

Spojrzała na mnie zdumiona.

- Mówisz poważnie? - spytała w końcu.

- Tak mi się zdawało.

- W takim razie faktycznie powinieneś poradzić się fachowca. - Zaczęła odliczać na palcach. - Rany, których tam nie ma? Uderzenia tępym narzędziem. Obrażenia powstałe w wyniku upadku. Otarcia. Rany postrzałowe. Nie wspominając już, jeśli rozszerzymy nieco definicję, o oparzeniach, złamaniach, zwichnięciach i wstrząsach, uduszeniu, zadławieniu...

Uniosłem ręce, częściowo w geście poddania, a częściowo, by powstrzymać potok słów.

- No dobra, zgadzam się. Co pozostaje?

- Już mówiłam - odparowała z nieco przesadną cierpliwością. - Rany cięte i klute - i masz na tym oddziale przykład obu typów. Niemal wszystkie przypadki podpadają pod jeden z nich: obrażenia zadano albo szpikulcem, albo ostrzem, a czasami jednym i drugim. Inaczej mówiąc, pchnięcia i cięcia. Raniecie ludzi ostrymi przedmiotami.

- Musisz być świetną towarzyszką zabaw - rzuciłem ironicznie. Miałem do wyboru to albo zacząć klaskać, a nie chciałem, by na tak wczesnym etapie naszego związku zrobiła się zbyt pewna siebie.

- Dyplom pielęgniarstwa - odpowiednik licencjatu. Studiuję cztery wieczory tygodniowo - odparła sztywno, z godnością. - Więc rzadko miewam okazję się zabawić, Feliksie Castorze. Ale dowiaduję się wszystkiego na temat ran. A może sądziłeś, że to tylko lubieżna ciekawość?

- Fix - poprawiłem.

Najeżyła się.

- Słucham?

- Tak się nazywam. Fix. Zdrobnienie od Feliksa.

- Ach. - Złagodniała jedynie odrobinę. Wstała energicznie, jakby nagle przypomniała sobie o innych obowiązkach. Jej przerwa musiała się skończyć dawno temu. - Cóż, ty możesz dalej zwracać się do mnie „siostrze Ryall”. To oznaka szacunku.

- Nie ma sprawy - zgodziłem się. - A skoro jesteś' ekspertem, możesz dla mnie zrobić coś jeszcze?

- Być może - odparła zimno. Uwaga o zabawie zdecydowanie chybiła celu. - Zależy, co to.

Wręczyłem siostrze Ryall kolejną z rzadkich i cennych wizytówek, wcześniej zgarnąwszy ją z kieszeni szynela.

- Miej dla mnie oko na Kenny'ego - poprosiłem. - I ucho. Jeśli powie coś jeszcze, co zrozumiesz, albo jeśli zdarzy się cokolwiek, co uznasz za dziwne, czy nawet jeśli jego stan się polepszy bądź pogorszy, dasz mi znać?

Wzięła wizytówkę, ale spojrzała na mnie z dezaprobatą.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo to będzie kolejny fakt - wyjaśniłem. - A na razie zbieram fakty.

- Szeroki zakres ran - prychnęła, a ja uznałem to za dobry znak: nie odmówiła.

- Odpuść mi. - Wzruszyłem komicznie ramionami. - Założę się, że ty nie wiesz wszystkiego o średniowiecznych grimoirach.

- Ale widzę to, co mam przed oczami.

Jej piersi były akurat na wysokości mojej twarzy.

- Ja także - mruknąłem.

- Nie przeginaj, Castor. - Upuściła wydruki Nicky'ego na stolik. Górne kartki rozłożyły się w luźny wachlarz.

- Dzięki - rzekłem szczerze.

- Bardzo proszę. I chyba też powinnam ci podziękować. Przynajmniej teraz wiem, że nie wariuję. Powinieneś się przespać.

- Tak, siostrze.

- A ja powinnam wracać na izbę przyjęć, albo dostanę nagane. - Ruszyła do wyjścia, lecz w połowie drogi się odwróciła. - Nie spytałeś o prawie - rzekła.

- Prawie co?

- Powiedziałaś, że prawie wszystkie przypadki w wydruku to rany cięte bądź klute - przypomniała. - Ale wyjątek jest bardzo znaczący. - Wyraźnie chciała, bym spytał, toteż spełniłem jej życzenie; głównie po to, by się zrehabilitować za wcześniejszą niestosowną aluzję.

- W jaki sposób znaczący?

- To Mark - rzekła siostra Ryall. - Mark jak mu tam. Pasierb pana Seddona. Powiedziałeś, że spadł, zgadza się? Z wysokości. Zatem poranił się w upadku.

Może nie był to najlepszy strzał na pożegnanie, ale jeszcze długo po jej wyjściu wpatrywałem się w drzwi.

Rany. Szpikulce i ostrza. I jeden długi, samotny upadek na ziemię. Albo dwa. Gdybym zeszłej nocy nie powstrzymał Bica przed skokiem z kładki, byłyby dwa.

Co to, kurwa, znaczyło? I w jaki sposób miałem zapłacić luki?

14

Następny dzień włókł się niczym ranny wąż po splątanych kolczastym drucie. Każdy oddech nadal sprawiał mi ból i wciąż nie mogłem chodzić zbyt daleko, nie czyniąc częstych przerw, by pozwolić płucom napełnić się powietrzem. Mogłem wypisać się ze szpitala, ale byłem tak sztywny i obolały, że sama perspektywa tego przerażała mnie. Poza tym nie wiedziałem, dokąd miałbym się udać. Coś w moim umyśle zaczynało się krystalizować, ale jakoś mu się nie śpieszyło.

Młodsza stażystka zmieniła opatrunki, przy okazji pobieżnie oglądając palce. Spytałem, jak szybko znów będę mógł grać na flecie: spojrzała na mnie, jakbym żartował, i poradziła, bym przerzucił się na grę na grzebieniu. Później pielęgniarka obejrzała szwy i oznajmiła, że ładnie się goją.

- W takim razie będę mógł wyjść niedługo? - spytałem.
- O tak, tak uważam. Łóżko będzie potrzebne dla kogoś innego.
- Jutro?
- Kiedy doktor pozwoli.

Przez większość dnia czytałem downloady i transkrypty Nicky'ego, szukając informacji, których wyraźnie tam nie było. Przeczucie siostry Ryall co do ran okazało się słuszne. W suchych, skrótowych relacjach roilo się od ludzi przebijających siebie i innych, tnących, krojących i rąbiących ludzkie ciało na wszelkie możliwe sposoby. A pośrodku tego wszystkiego jeden chłopak zeskoczył z kładki na ósmym piętrze i ucałował beton.

Czy raczej nie pośrodku: śmierć Marka Seddona nastąpiła wcześniej niż wszystkie inne punkty spisu Nicky'ego. Zupełnie jakby Mark otworzył drzwi czemuś, co niczym toksyczna fala zalało całe osiedle.

Niespokojny i nakręcony brakiem jakichkolwiek zajęć, prócz leżenia, siedzenia bądź stania na oddziale, wybrałem się na spacer po całym skrzydle. Natchnienie nie nadeszło, a co gorsza, duchy ozdobione pełną gamą stygmatów i lekceważące ściany i podłogi przeszkadzały mi jeszcze bardziej niż dzieciak w słuchawkach. Jednakże w pewien dziwny sposób dobrze było znów móc się ruszać, nawet jeśli krążyłem w kółko.

Po południu, kiedy znów siedziałem na łóżku, rozłożywszy przed sobą notatki, i przeżuwałem kolejne koszmary, aż w końcu straciły wszelki smak, zjawili się goście. Detektywi Basquiat i Coldwood złożyli mi wizytę. Basquiat oznajmiła, że chce mi zadać jeszcze kilka pytań. W rękach miała czarną teczkę na dokumenty, wyglądającą na niepokojąco pełną, a także minidyktafon, który włączyła i ustawiła na stoliku. Gary najwyraźniej służył jedynie za przyzwoitkę, co oznaczało, że sprawy nie wyglądają najlepiej.

- Co się stało z twoją twarzą? - spytała Basquiat, podyktowawszy datę, czas, ludzi i miejsce.

W jej oczach dostrzegłem błysk daleki od współczucia: spytała, ponieważ nie wierzyła, by ktokolwiek mógł zarobić w uczciwy sposób podobnie heroiczną kolekcję sińców i guzów, chyba że w owym czasie zajmowała się nim policja.

- Skaleczyłem się przy goleniu - odparłem.

Gary otworzył usta, pewnie po to, by poradzić, że lepiej dla mnie byłoby przestać zalewać, lecz Basquiat poleciła mu gestem odpuścić.

- Chciałabym wrócić do pytania o to, co robiłeś nocą, gdy zaatakowano Kennetha Seddona.

- To, co mówiłem ostatnio, jest wciąż aktualne - odparłem.

- To znaczy, że byłeś w domu ze swoją gospodynią, jedliście curry na wynos, popijając paroma puszkami special brew. - Nie była zbyt dobrą pokerzystką: choć jej twarz i głos pozostawały równie beznamiętne jak klawiszowiec w Sparks, układ ramion sugerował ukryte w ciele napięcie.

- Nie pijam special brew - zagrałem na czas. - Pewnie był to theakston's old peculiar. Albo może jakieś belgijskie...

- Byłeś w domu - przerwała mi Basquiat. - Nie wychodziłeś całą noc, aż do chwili, gdy o czwartej rano zjawił się detektyw sierżant Coldwood.

Zapędzony do narożnika, udzieliłem odpowiedzi wprost. Szkoda, że nie mogła to być prosta prawda.

- Tak - mruknąłem. - Z tego co pamiętam, nie wychodziłem.

- Nawet po paczkę papierosów?

- Nie palę.

- No to plastry z nikotyną?

- Nie palę, bo nigdy nie zacząłem.

- Solone orzeszki. Chipsy z octem. Wypożyczyć płytę DVD.

- Nie, nie i nie.

Pokiwała głową.

- I gospodyni to potwierdzi?

Spojrzałem ponad Basquiat na Coldwooda, który przyglądał się wiecznie pogodnym słonecznikom Van Gogha, unikając mego wzroku.

- Sama ją spytaj - poradziłem.

- W swoim czasie. Na razie chcę jedynie wiedzieć, czy jesteś pewien swojego alibi, ze strukturalnego punktu widzenia. Specjalnie je przystosowałeś, Castor? Czy zniesie głębszą analizę?

Spojrzałem jej w oczy.

- Alibi? - powtórzyłem, jakbym w życiu nie słyszał tego słowa.

- Jeśli byłeś tej nocy w południowym Londynie, zapewne nie chciałbyś nas o tym informować.

- Nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz byłem na południe od rzeki - odparłem. - To znaczy, zanim to wszystko się zaczęło.

- Dni? Tygodnie? Miesiące?

- Miesiące. Tak liczę.

- Ile miesięcy?

- Co najmniej sześć.

- Basquiat nie odpowiedziała, w końcu jednak rozpięła teczkę z dokumentami. Oprócz papierów tkwił tam niewielki plik zdjęć formatu A4. Uniosła jedno z nich i mi zademonstrowała. Było to ziarniste powiększenie kiepsko skadrowanego oryginału zrobionego nocą bez lampy błyskowej, lecz techniką doświetlającą, zamieniającą wszystko w przekontrastowany rysunek węglem na kredzie. Przedstawiało białą furgonetkę „Bedford” stojącą na światłach. Ktoś czarnym flamastrem zakreślił kółko wokół tablicy rejestracyjnej.

Basquiat rzuciła zdjęcie na moją pościel, niczym krupier w kasynie kartę, i odsłoniła drugie. To było zbliżenie z pierwszego ujęcia, skupione na kierowcy. Siedział zgarbiony nad kierownicą, patrząc z ukosa na czerwone światło, które go zatrzymało, jakby samym wzrokiem mógł je zmusić do zmiany na zielone. Zaskoczyła mnie dobra rozdzielczość: za kierownicą siedziałem ja, bez rozsądnego cienia wątpliwości. Basquiat rzuciła zdjęcie w ślad za pierwszym i pokazała trzecie: zbliżenie mojej twarzy, tym razem wyglądające nieco blade i niewyraźnie. Podobnie jak ja sam. Moja matka odruchowo powiedziałaaby „biedny Felix!”.

- Fotoradar? - spytałem lekko.

- A widzisz rozmycie obrazu? Kamera uliczna, Castor. Saint George's Road, Elephant and Castle. Próbowalesz wyprzedzić lewym pasem ciężarówkę i w niewłaściwym momencie utknąłeś na czerwonym świetle. Zrobiono je trzy tygodnie temu. Nocą trzeciego.

Oddałem jej dwa pierwsze zdjęcia. Nie powinna ich dekompletować.

- No dobra - mruknąłem. - Masz mnie. Ale pomyłka w datach to nie dowód morderstwa.

- Nie, ale pokazuje, że chciałeś nas okłamać. Wyśledziliśmy numery do małego krętacza w Cheshund. Nazwisko Packer. Pod wieloma względami to najgorszy typ małego krętacza - na warunkowym, pękający na pierwszą wzmiankę o nakazie rewizji. Z początku powtarzał, że wynajął furgonetkę pewnemu Grekowi nazwiskiem Economides. Przypomniałam mu jednak, że za każdym razem, gdy wyrokowiec na warunkowym świadomie udziela pomocy w przestępstwie, umiera niewinna wróżka, i od razu chętnie wspomniał o tobie.

Dzięki, Packer, pomyślałem cierpko. Jestem ci coś winien, stary. Ale natychmiast po tej myśli nadeszły dwie kolejne: że nie miał wyboru i że to właściwie niczego nie zmieniło. Gdy tylko znaleźli ciężarówkę, dysponowali dostateczną liczbą niezbędnych dowodów. Zostawiłem w niej pełno odcisków palców. Basquiat znalazła dymiącą spluwę - tyle że niewłaściwą spluwę z niewłaściwej zbrodni. Szukając dowodów tego, że próbowałem zabić Kenny'ego, znalazła ślad łączący mnie z ucieczką Rafiego.

Czekałem, aż mi powie, że mam prawo zachować milczenie, ale wyraźnie nie śpieszyła się z zakończeniem rozmowy.

- Co zatem robiłeś na Elephant and Castle w pół do pierwszej w nocy? - spytała z ironią. - Zajmowałeś miejsce w kolejce do zakupu domu w tropikach? A może jechałeś do południowego Londynu trasą niebędącą najkrótszą drogą między miejscem zamieszkania twoim a Seddona?

Wyglądało to źle. Najpewniej gorzej niż źle. U Stangera bardzo uważaliśmy, by nie zaparkować w zasięgu żadnej z widocznych kamer bezpieczeństwa, lecz pielęgniarka w recepcji widziała furgonetkę i zapewne przekazała jej opis w zeznaniach. Znalazłem się między młotem a kowadłem. Mogłem wywinąć się od oskarżenia o próbę zabójstwa tylko osobiście oskarżając się o *grand theft Ditko*. Albo modlić się, by Kenny przebudził się ze śpiączki i zgodził zostać świadkiem. Zważywszy na okoliczności, jedyną iluzją strategii, jaka przysłała mi do głowy, był tępy upór.

Basquiat to nie przeszkadzało. Swobodnie kontynuowała rozmowę beze mnie.

- Zlokalizowaliśmy cię zatem w pobliżu osiedla Salisbury - podsumowała. - Przyznaję, kilka tygodni przed atakiem na Kenny'ego Seddona, ale - co uatrakcyjnia sprawę - w furgonetce, którą starałeś się ukryć tak bardzo, że zadałeś sobie trud wynajęcia jej pod fałszywym nazwiskiem. Możemy cię też oskarżyć o fałszywe zeznania złożone oficerowi śledczemu, zarówno teraz, jak i wtedy, gdy pytałam cię o to po raz pierwszy przy Cromwell Road. Dobrze się bawisz, Castor? Bo najlepsze dopiero przed nami.

Znów spojrzałem na Coldwooda. Tym razem odpowiedział spojrzeniem. Dotknął zaciśniętych warg, zapewne na znak, że gadaniem niczego nie zyskam. Słuszna uwaga, ale o tym akurat nie musiał mi przypominać.

- Widziano cię na osiedlu Salisbury - podjęła Basquiat - dwie noce temu. Zaledwie cztery godziny po zwolnieniu z aresztu. Dwa niezależne źródła zidentyfikowały cię bez cienia wątpliwości. Powinam się wstydzić tego, jak bardzo ułatwiasz mi pracę, ale do diabła, w dzisiejszych czasach rzadko się rumienię. Powiedz mi, co tam kombinowałeś, to może kiedy z tego wyjdiesz, nie dobijesz do wieku uprawniającego do emerytury.

W czasie tej przemowy jej ton stawał się coraz chłodniejszy i ostrzejszy, pochylała się, trochę zanadto przysuwając do mnie twarz. Dwa odrębne źródła? - pomyślałem ze złością. Czy jedno z nich było katolickie? A drugie to Gary? No tak, ciekawe kto nie wie, czy dwa dodać dwa to cztery.

- Zająłem się sprawą napaści na Kenny'ego - zacząłem - bo uznałem za bardzo prawdopodobne, że zechcecie mnie w to zrobić.

- Sam się, kurna, wrobiłeś - warknął Coldwood, pierwszy raz dołączając do rozmowy.

Wiedziałem, co ma na myśli. Nawet gdybym próbował, nie mogłem się postawić w gorszym położeniu. Lecz nadzieja jest wieczna, zwłaszcza jeśli nie dysponuje się akurat niczym innym.

- Kenny zostawił mi wiadomość - wyjaśniłem. - Słowa na szybie samochodu były jak... ostatni rzut kośćmi. Chciał, żebym sprawdził, co się dzieje na osiedlu, więc zrobił jedyne co przyszło mu do głowy, kiedy wykrawiał się na śmierć.

- A ty postanowiłeś spełnić jego ostatnie życzenie - podsumował Gary.

Basquiat zacisnęła pięści i obróciła się, patrząc na niego gniewnie, ale spóźniła się, bo zdążył już zepsuć jej plan gry. Przyjąłem cios na klatkę, nie na szczękę.

- Kenny umarł. - Na moment zakreśliło mi się w głowie.

- Jakies trzy godziny temu - potwierdziła Basquiat. - Zatem nie chodzi już o rozmyślnie ciężkie uszkodzenie ciała, Castor. To sprawa zabójstwa. I twoja ostatnia szansa wyznania mi, jaką odegrałeś w niej rolę.

- Rolę?

Nie mogłem zmusić mózgu do pracy i zrozumieć, w co właściwie grała, bo wszystko tu było dziwne. Lecz wszelkie nadzieje, że Kenny się ocknie i wyjaśni, jak rzeczy się mają, właśnie poszły się...

- Basquiat, na miłość boską - rzuciłem niemal błagalnie, bo w tym momencie naprawdę nie chciałem zostać aresztowany. - Ja nie zabiłem Kenny'ego. Wiesz, że tego nie zrobiłem. Masz pierdzieloną brzytwę i odciski palców dwóch innych facetów.

- Ale brzytwa nie była narzędziem zbrodni - przypomniała mi ponuro Basquiat, wciąż niemal dotykając mnie nosem. - Ostatni cios, ten najważniejszy, zadano krótkim nożem, niezbyt ostrym, którego jak dotąd nie zdołaliśmy znaleźć. Skąd ta fascynacja osiedlem Salisbury, Castor? Po co tam wracasz, jeśli nie po to, by zatrzeć ślady albo przygotować z kimś sprytną historyjkę?

- Sprawdzalem to miejsce - upierałem się. - Z powodu wiadomości Kenny'ego...

- I przy okazji wezwałeś sobie wsparcie? O mało nie zapomniałam. Ale tu przynajmniej popisałeś się sprytem. Zachowałeś wszystko w rodzinie.

- W rodzinie? - powtórzyłem, przez moment nie dostrzegając, o co jej chodzi. Potem zrozumiałem o czym mówi i poczułem, jak kwaśny gniew pęcznieje mi w żołądku, niczym bolesna fala z pękniętego wrzodu. - Tak, jasne. Oczywiście. Wezwałem na pomoc mojego brata, pieprzonego księdza, i razem pokroiliśmy Kenny'ego, bo kiedy miałem dziesięć lat, ukradł nam piłkę. Basquiat, Matt nie był nawet ze mną, kiedy pojechałem na osiedle. Przyszedł tam sam, z polecenia innego księdza, niejakiego Thomasa Gwillama. Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, sprawdź go w książce telefonicznej w kategorii szalonych fanatyków religijnych.

- Widziano was razem w Salisbury.

- Zapewne dlatego, że obaj tam byliśmy z tego samego powodu. Z powodu tego, co spotkało Kenny'ego. Ale nie przyjechaliśmy razem i nie... - Zająknąłem się, zagubiony, bo słuchałem własnych słów i nagle uświadomiłem sobie, jak niewiele jest w nich sensu. Wszystko łączyło się ze sobą. Musiało. Ale może myliłem się, umieszczając Kenny'ego w centrum wydarzeń. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Gwillama na kładce w Salisbury, nie mógł jeszcze wiedzieć o śmierci Kenny'ego. A z tego, co się orientowałem, pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było zapukanie do drzwi Danielsów.

Rany cięte. Rany klute. Bic takich nie miał. I nagle pojąłem, że może w tym właśnie rzecz.

Basquiat wciąż przyglądała mi się wyczekująco.

- Co nie? - nacisnęła.

- Nic - wymamrotałem. - Wpadliśmy na siebie, porozmawialiśmy chwilę i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

- Wpadliście na siebie. - Tym razem Basquiat nie musiała nawet przywoływać ironicznego tonu: słowa zawisły w nieprzyjaznym powietrzu, ciężkie, obolałe.

- Nie wezwałem Matta na osiedle Salisbury - upierałem się.

- Zatem przyszedł tam z własnych powodów.

- Najwyraźniej.

- Przed atakiem na Kenny'ego Seddona czy po?

- Jak mówiłem, spytajcie Gwillama. Kościelna grupa, zwana Anathemata Curialis...

W tym momencie główne drzwi oddziału otwarły się i do środka weszła siostra oddziałowa Petra Ryall, pchając wózek z lekami. Natychmiast spojrzała na niewielką grupkę przy moim łóżku i nie odwróciła wzroku. Surowe stroje Basquiat mogą zmylić, ale po Garym od razu widać, że to glina.

- Znajdź Gwillama - powtórzyłem. - Spytaj go o to. Matt jest częścią tego co robi. I oba twoje pieprzone źródła powinny to potwierdzić...

Basquiat wstała tak gwałtownie, że zaskoczyła mnie i urwałem w pół słowa.

- Tak zrobię - oznajmiła. - A tymczasem sugeruję, żebyś nie wyjeżdżał z miasta. Możesz mi to obiecać, Castor? Bo jeśli będę musiała cię szukać, po znalezieniu przybiję ci jaja do stołu, by mieć pewność, że więcej nie znikniesz.

Wpatrywałem się w nią oszołomiony. Brak kajdanek, ostrzeżeń słownych i przepisowej rozmowy telefonicznej tak bardzo zbił mnie z pantafyku, że do głowy przyszło mi tylko krótkie:

- Co?

- Zostań pod swoim stałym adresem - przetłumaczył Coldwood. - Albo zamelduj się u nas przed wyjazdem. Niedługo się skontaktujemy.

- Przesłuchanie zakończono o osiemnastej szesnastce - powiedziała Basquiat. Zabrała dyktafon, wyłączyła i wsunęła do kieszeni. - Bardzo niedługo - potwierdziła i odeszła, nie posyłając mi nawet całusa.

Zatrzymała się jednak i odwróciła, dostrzegłszy, że Gary za nią nie idzie. Nadal tkwił przy słonecznikach.

- Potrzebuję minuty - oświadczył.

- Nieoficjalnie? - rzuciła niebezpiecznym tonem Basquiat.

- Nieoficjalnie.

- Nie.

- Jak właściwie zamierzasz mnie powstrzymać, Ruth?

Jej oczy się zwęziły.

- Mówiąc ci „nie”. W tej sprawie ja jestem oficerem prowadzącym i przesłuchuję świadków.

- To nie jest przesłuchanie.

- To wyślij mu kartkę, do cholery.

Gary zaczekał. W końcu machnęła z niesmakiem ręką i wyszła, odpychając na bok wózek. Petra wymamrotała coś, co mogło być przekleństwem bądź prośbą, ale Basquiat i tak nie słuchała.

Spojrzałem z dołu na Gary'ego, a on z góry na mnie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął parę złożonych kartek, wręczył mi je bez słowa. Popatrzyłem pytająco.

- Raport z sekcji Marka Seddona - powiedział. - Tyle że występuje w nim jako Mark Blainey. Zgodnie z aktem urodzenia.

- Ja pierniczę. - Podniosłem kartki i zapatrzyłem się w nie ze zdumieniem. - Dzięki, Gary. Nie spodziewałem się.

Nie odpowiedział, lecz po jego minie widziałem wyraźnie, że coś jeszcze go gryzie, więc czekałem, aż to z siebie wyrzuci.

- Fix, w zeszłym roku, kiedy prosiłeś, żebym zajął się tą sprawą krematorium, porządnie za ciebie oberwałem. A ty do końca nie wytłumaczyłeś mi wtedy, o co w tym wszystkim chodziło. - To nie było oskarżenie. Minę miał smutną, zamyśloną.

- Zginęło mnóstwo ludzi - przypomniałem. - Nie chciałem cię stawiać w niezręcznym położeniu.

- Nigdy też nie przeprosiłeś za to, że złamali mi obie nogi.

- Powiedziałem „przepraszam” na swój własny sposób, Gary.

- Nigdy więcej o tym nie wspominając i unikając tematu za każdym razem, gdy go poruszyłem?

- Właśnie.

Pokręcił głową.

- Kiedy chcesz, potrafisz być niezłym skurwielem, Fix.

- Owszem - przytaknąłem. - Jestem skurwielem. To dar. Ale nie dostałem się do policji, więc nie robię tego zawodowo.

Gary wyraźnie nie słuchał, toteż moja próba ściągnięcia rozmowy na wysłużone tory zwykłych słownych potyczek spaliła na panewce.

- Ale skurwiel czy nie, zazwyczaj wyglądasz, jakbyś wiedział co robisz. Jakbyś miał jakiś plan gry. Tym razem mam wrażenie, że miotasz się, czekając, aż ktoś powie ci, co masz począć. Albo aż Ruth weźmie cię na łańcuch.

Trafił wystarczająco blisko celu, by lekko zabolalo, ale ścierpiałem to mężnie, bo odniosłem wrażenie, że Gary próbuje mi coś powiedzieć.

- To bardziej skomplikowane niż się zdaje - rzekłem tylko.

- Och, z pewnością. - Gary kiwnął głową z kwaśną miną. - A gdybym spytał cię jak przyjaciel, czy wiesz, kto zabił Kenny'ego Seddona, co byś powiedział?

- Powiedziałbym, Gary, jako zawodowy egzorcyista i były informator policyjny, że nie mam, kurwa, pojęcia.

- Wbił we mnie wzrok.

- Szczerze?

- Szczerze. A co, myślisz, że Basquiat ma rację? Że jestem częścią jakiegoś spisku?

- Gdyby sądziła, że jesteś częścią spisku - zauważył cierpko - już by cię zgarnęła i posadziła w celi przy Jackson Road.

- W szpitalnej piżamie.

- Dopóki nie znaleźliby ci więziennej. Nie aresztowała cię, bo ma nakaz na kogoś innego. Dopasowaliśmy jedne odciski.

Na moment ulga odebrała mi mowę, i wnioski, do których dochodziłem, rozsypały się w mojej głowie niczym domek z kart.

- Kto to? - spytałem po długiej chwili namysłu.

Gary pokręcił głową.

- Nie chciałem cię stawiać w niezręcznym położeniu. - Świadomie powtórzył moje wcześniejsze słowa i uczynił to z bezwzględną finezją. Pogratiulowałem mu skinieniem głowy. - Gdybyś zmienił zdanie, wciąż tu jestem - dodał. - Nie wiem, jak bardzo zdołam pomóc. To zależy co mi powiesz. - Wsunął dłoń do drugiej kieszeni, wyciągnął brązową torebkę, której zawartość przeciekała i zaplamiła narożniki na ciemnoczerwono. Postawił ją na stoliku.

- Winogrona - wyjaśnił i wyszedł.

Kiedy zostałem sam, ulga okazała się krótkotrwała. Wkrótce minęła, zastąpiona jeszcze większym zdumieniem i niepokojem. Skoro Basquiat miała na celowniku kogoś innego, fakt, że mnie nie aresztowała, nabierał odrobiny sensu. Ale w takim razie, po co przysłała mnie przycisnąć? I jaką pomoc ofiarował Coldwood, skoro nic już na mnie nie mieli?

Może podświadomie unikałem odpowiedzi, nie chcąc pójść w jedyną logiczną stronę. Tak czy inaczej, nim zdołałem choć trochę uporządkować myśli, siostra Ryall podeszła do mnie z wózkiem z lekami. Zamówiłem tramadol z amfetaminowym sosem, ale jadłospis go nie obejmował.

- Ostro wyglądało - zauważyła.

W odpowiedzi uniosłem ręce i pokazałem jej.

- Bardzo proszę. Ani śladu kajdanek.

- Ale to była policja, zgadza się? To znaczy, prawdziwa policja?

Pokiwałem ponuro głową.

- Nie tylko prawdziwa policja, ale i sierżant Basquiat. Jej brwi się uniosły.

- Rudy naprawdę istnieje?

- Owszem. Ale ma na imię Ruth.

- Trzeba nas było sobie przedstawić. Posłuchaj, mam dziś dyżur w nowym skrzydle. Przysłałam tu jedynie zawiadomić cię, że twój człowiek umarł. Ale już ci to powiedziała, zgadza się?

- Tak. Mimo to, dzięki. Doceniam troskę. Czy on...

- Powiedział cokolwiek przed śmiercią? Nie w mojej obecności.

Parę chwil przyglądała mi się w milczeniu, podczas gdy próbowałem przetrawić wszystko i odkryłem, że niektóre kęsy nieprzyjemnie więzną mi w gardle.

- Jak się czujesz? - spytała siostra Ryall.

Popatrzyłem na nią zdumiony.

- Na wieść o śmierci Kenny'ego? Skłamałbym mówiąc, że w ogóle cokolwiek czuję. Minęło zbyt wiele czasu. To coś, jakby ci powiedziano, że zburzyli pub, w którym pijałaś bardzo dawno temu. Szczerze mówiąc, zapewne czymś takim mocniej bym się przejął, bo naprawdę lubię wódkę, a prawdę powiedziawszy, Kenny był niezłą szują.

- W takim razie czemu wyglądasz jak zbity pies?

Faktycznie, czemu? Bo umarł w wyjątkowo kurewsko niesprzyjającej chwili - zaprosił mnie do koszmaru swojego życia, a potem zmył się, dołączając do niewidzialnego chóru, i zostawił samego naprzeciw wkurzonej policji i niewidocznego potwora, przepadającego za - jak to uroczo nazwała Petra Ryall - ranami ciętymi.

Niezły numer. Nie aż takiego kalibru jak robione mi w dzieciństwie, ale zdecydowanie zbliżonej klasy.

- Ponieważ wciąż jestem podejrzany - wyjaśniłem, streszczając bardziej złożoną prawdę.

Coldwood powiedział, że nie jestem, ale pocieszyło mnie to mniej, niżbym sądził. Nawet jeśli gość od brzytwy i jego kumpel od tępego noża się przyznają, śledztwo Basquiat najpewniej doprowadzi ją do przestępstwa, które faktycznie popełniłem tamtej nocy - wywiezienia Rafiego Ditko od Stangera na podstawie sfalszowanych dokumentów. I pozostawał też demon w Salisbury. Miałem powody przypuszczać, że spotkałem go noc wcześniej na oddziale Kenny'ego. Trzeba będzie coś z tym zrobić. W pewnym sensie to nie był mój problem, ale pomyślałem o pustym pokoju Marka Blaineya i próbie Bica odtworzenia jego śmierci i pojąłem, że nie zdołam ot tak tego rzucić.

Coś z cichym łupnięciem wylądowało na pościeli obok mnie. Przyglądałem się długą chwilę, nim pojąłem co to - to była plastikowa rurka od kroplówki, wciąż lekko zabarwiona krwią na rdzawy brąz. Uniosłem wzrok na siostrę Ryall, która niemal przepaszająco wzruszyła ramionami.

- Tak tylko pomyślałam - rzekła. - Kiedy mówiłeś, jak pracujecie, wspominałeś, że potrafisz wywołać ducha, wykorzystując przedmioty osobiste. Może spróbujesz jeszcze raz z panem Seddonem. To znaczy popraw mnie, jeśli się mylę, ale umierając, znalazł się na twojej działce, prawda?

Kenny. Człowiek, nie demon. Faktycznie, to mogło się udać. Powoli skinąłem głową, posyłając siostrze Ryall spojrzenie pełne uznania, które przyjęła bez wzdrygnięcia czy rumieńca.

- Podoba mi się twój sposób rozumowania - rzekłem.

- Tak naprawdę jeszcze go nie znasz - zapewniła z nieprzeniknioną miną. - A przy okazji, prosiłeś, żebym sprawdziła księgę przyjęć. W ciągu ostatniego roku z kawałkiem mieliśmy dziesiątki pacjentów z osiedla Salisbury. Czasami dwóch tygodniowo. Przez parę ostatnich miesięcy jeszcze więcej. I u niemal wszystkich stwierdzono rany cięte i klute.

Na tym etapie zdziwiłbym się, słysząc coś innego. Jednakże te liczby potwierdziły wrażenie, jakie mnie ogarnęło podczas lektury wydruków Nicky'ego - poczucie powoli narastającej epidemii, wzbierającej niczym fala; myśl o osiedlu przypominającym tratwę pełną zagubionych dusz, kołyszącą się na trasie wzbierającej powodzi, która, nim ustąpi, będzie jeszcze znacznie gorsza. Zakładając, że kiedykolwiek minie.

I raz jeszcze ujrzałem w myślach Bica: maleńką ludzką postać, z pomocą której mierzy się rozmiary czegoś ogromnego.

- Co to może znaczyć, kiedy wtykasz głowę w paszczę lwa, a on nie zaciska zębów? - spytałem Petrę.

Z namysłem wysunęła dolną wargę.

- To jakaś przenośnia?

- Tak. W roli lwa wyobraź sobie tę groźną blondynkę, która przed chwilą tu była. Tę z odznaką.

- Ach. Jasne. To znaczy...

- Szczerze mnie nie znosi i mogła mnie aresztować... sam nie wiem. Za coś. Na pewno spiskowanie. Marnowanie czasu policji. Zadawanie się ze znanymi przestępcami. Coś by znalazła i dobrze o tym wiedziała. Zastanawiam się zatem, czemu nawet nie spróbowała. Przez to czuję się niekochany.

- Z pewnością na tym etapie życia zdążyłeś już do tego przywyknąć - odparła słodko siostra Ryall i zniknęła, nim zdołałem wymyślić stosowną ripostę.

Uznałem, że otwarty oddział to nie najlepsze miejsce do wywołania ducha Kenny'ego, a popołudnie nie wydało mi się stosowną porą. Do zachodu słońca pozostało jednak jeszcze sporo czasu, a wbrew temu, co zapewne słyszeliście, duchy nie są wcale bardziej aktywne nocą niż za dnia: po prostu łatwiej je wtedy zobaczyć.

Ostatecznie zamknąłem się w toalecie dla niepełnosprawnych na korytarzu przed wejściem na oddział, położyłem plastikową rurkę na podłodze przed sobą i zagrałem, siedząc na kiblu. Nie śpieszyłem się, bo wciąż bardzo dokładnie pamiętałem ból towarzyszący muzycznym wysiłkom poprzedniej nocy. W pewnym sensie dziwnie się czułem, wywołując tak dobrze znanego ducha. No, fakt, minęło mnóstwo czasu, odkąd spotkaliśmy się z Kennym - przynajmniej gdy obaj byliśmy przytomni - lecz większość duchów, które wywołuję, to obcy, a nawet po siedemnastu latach zdecydowanie nie nazwałbym tak Kenny'ego. Poza tym, większość duchów nie budzi we mnie lęku - Kenny'ego uważałem za potwora w czasach, gdy jeszcze wierzyłem w potwory, i zamykając się z jego duszą, poczułem lekkie ukłucie niepokoju, choć nienawidziłem się za tę atawistyczną słabość.

Melodia składała się powoli, tylko po części z powodu bolącej klatki piersiowej i zbyt krótkiego oddechu. Musiałem pokonać potężny opór przed otwarciem się na muzykę - rozpoczęciem procesu, który ściągnąłby w to miejsce, w tę chwilę wędrującą jaźń Kenny'ego. Zupełnie jakby jakaś część mnie próbowała się wycofać, a druga przytrzymała ją za luźną skórę na karku. Część pragnąca ucieczki miała jakieś dwanaście lat, co paradoksalnie dawało jej przewagę nad dorosłym, rozsądnym Castorem, który chciał zagrać przywołanie: na zagubionych autostradach ich rozsądek jest jak rower pozbawiony kół.

W końcu jednak się stało: dźwięki pociągnęły mnie naprzód wbrew wszystkiemu. Szybowałem uczepiony fraktalnie rozszczępiającego się ogona melodii, kołysząc się w

piekącym od środków odkażającym powietrzu, gdy machała mną jak pies. Zamknąłem oczy, starając się nie wypuszczać z warg ustnika, i pozwoliłem się jej ponieść.

I przez to wyczułem Kenny'ego wcześniej niż go zobaczyłem. Oczywiście zazwyczaj tak właśnie to u mnie działa: zmysł śmierci kieruje muzyką, a muzyka przemienia się w negatyw, dźwiękowy obraz opisujący rzecz, której szuka, i poprzez ów opis sprowadzający ją do mnie.

Był blisko. Oczywiście, że blisko - zaledwie kilka godzin wcześniej zmarł w tym samym budynku. Poczucie jego obecności z ulotnego stało się żywe, a potem klaustrofobiczne, wszystko w odstępnie może dziesięciu uderzeń serca.

Znów uniosłem powieki. Powietrze przede mną pociemniało i zaczął się w nim pojawiać w serii odrębnych plam coraz głębszych odcieni, które rozlewały się i łączyły, jak krew ze skaleczenia wsiąkająca w bibułę. Gdy tylko o tym pomyślałem, próbowałem przegnać ów obraz z umysłu. Ale tak właśnie wyglądał Kenny: rana w powietrzu, którą zadała moja piskliwa muzyka.

Niektóre duchy nie wiedzą gdzie ani nawet kim są; zagubione we wspomnieniu bądź emocji, odtwarzają fragment przeszłości niczym zdarta winylowa płyta, zsampłowana w pętlę przez demonicznego DJ-a. Kenny wpatrywał się we mnie w milczeniu i dostrzegłem w jego oczach błysk rozpoznania. W odróżnieniu od faceta oglądanego za życia, nie miał na sobie opatrunków, co oznaczało, że jego ciało przecinały rany tak gęste i miejscami posplatane, że przypominały słowa zapisane tajemniczymi hieroglifami. Opuściłem flet na kolana. Kenny nie zniknął.

- No dobra - rzekłem. - Wezwałeś mnie. Czego chciałeś?

Duch spuścił wzrok, odwrócił dłonie, przyglądając się pochlastanym przegubom. Jego wargi poruszyły się, a choć nie usłyszałem wymówionego słowa, odczytałem je bez trudu.

- Mark - zgodziłem się. - Co z nim, Kenny? Czy to o nim chciałeś mi powiedzieć? O tym, jak zginął? Co działo się potem?

Duch powoli pokręcił głową, nie byłem jednak pewien, czy to oznaka przeczenia, czy zwykłego oszołomienia. Tym razem, kiedy przemówił, usłyszałem słowo - metaliczny, pozbawiony basów szept w powietrzu, brzęczenie spłoszonego komara.

- Mark...

- Czy on to sprowadził? To coś, co żyje teraz na osiedlu i sprawia, że ludzie się kaleczą. Czy w jakiś sposób to przywołał? Swoim zestawem do cięcia zamiast magicznego kręgu? Czy to właśnie zaszło?

Kenny zamrugał, ale nie miał już kanalików łzowych pozwalających przemyć powierzchnię bezcielesnych oczu. Po jego twarzy rozlał się w zwolnionym tempie grymas.

- Zły - wyszeptał. - Bo był zz... zł...

Pauzy po każdym powtórzeniu stawały się coraz dłuższe. Cokolwiek próbował powiedzieć, nie mógł, bo nie zgadzała się na to jego stygnąca świadomość.

- Kto był zły? - spytałem. - Mark? Mark był zły?

Duch zaskomlił, unosząc dłonie o zakrzywionych palcach na wysokość piersi. Wyglądał jakby chciał rozedrzyć ją paznokciami, lecz oczywiście nie istniała taka możliwość.

- Cią! - powiedział bardzo wyraźnie. - I znowu. Znowu. Zno... zno... zno...

Powietrze zafalowało i przez moment duch wyglądał jak mokra płachta zawieszona na sznurku. Groteskowo skojarzył mi się z dziećmi udającymi zjawy w strojach z prześcieradeł.

- Kto cię zabił? - spytałem, przechodząc do sedna. - Kto był z tobą w samochodzie?

Przepełnione żarem spojrzenie ducha wędrowało wzdłuż jego prawej ręki, zaczynając się na przegubie i kończąc na ramieniu, a potem dalej w dół posiekanego torsu.

- Och - mruknął nieszczęśliwym tonem. - Ja nie... nie mogłem... jest już zbyt wielki i zmusił mnie...

- Kenny... - wszedłem mu w słowo, lecz jego głowa uniosła się gwałtownie i przywoździł mnie błagalnym, przepełnionym cierpieniem wzrokiem.

- Castorrrrr! - zapiszczał.

„Zapiszczał” to niewłaściwe słowo, w owym głosie bowiem nie było niczego, co mogło wznieść się wyżej w rejestrach bądź głośności. Brzmiał jak złamany paznokieć podczas próżnej pielgrzymki po niekończącej się tablicy.

A potem Kenny rozpadł się na kawałki, strzaskany dźwiękiem własnego żalu i bólu. Niespodziewanie zostałem sam, prócz upiornych ech owego dźwięku rozpychających się brutalnie w moim mózgu.

Dźwignąłem się chwiejnie na nogi, pomacałem w poszukiwaniu zasuwki, zwolniłem ją i wytoczyłem się na korytarz, jakbym sam był duchem umykającym z własnego grobowca. Serce waliło mi nierytmicznie, ciało lepilo się od potu. Oparłem się o ścianę, czekając, aż pot ostygnie, a tętno zwolni.

Potem wróciłem na oddział. Tak bardzo trzęsły mi się nogi, że potrzebowałem dwóch dodatkowych postojów. Po dotarciu na miejsce wróciłem z ulgą do łóżka.

Wyraźnie widziałem, że śmierć nie przyniosła Kenny'emu ukojenia. Nieszczególnie się bawił. A rozmowa z nim dała mi tyle, że równie dobrze mogłem zostać w łóżku i pomajstrować tablicą ouija.

Mroczny nastrój, efekt przywołania ducha, nie chciał odejść. Poddając mu się, znów sięgnąłem po wydruki Nicky'ego i poszukałem miejsca, w którym skończyłem poprzedniej nocy. Nie spodziewałem się, by z niekończącego się katalogu podziurawionych ciał wynikło cokolwiek nowego, ale wiedziałem z ponurą pewnością, że mój umysł nie zadowolony się niczym innym.

I wtedy z opóźnieniem przypomniałem sobie o prezencie od Gary'ego Coldwooda: raporcie z sekcji Marka Seddona. Nadal leżał tam, gdzie go zostawiłem, na szafce przy łóżku. Sięgnąłem po niego i rozłożyłem.

Przebiegłem pobieżnie wzrokiem nazwisko i adres i przeszedłem od razu do opisu lekarskiego. Był tak ponury i morderczo dokładny, jak można by oczekiwać, składający się na pełny, złowieszczo abstrakcyjny opis uszkodzeń, jakie wywołuje zderzenie z zimnym betonem z prędkością czterdziestu paru metrów na sekundę. Do raportu dołączono też zdjęcia, na szczęście jednak tak ciemne i pozbawione kontrastu, że nie dało się dokładnie stwierdzić, co przedstawiają. Oprócz jednego. Wpatrywałem się w nie z powoli narastającym szokiem i lękiem.

Krótki podpis pod zdjęciem informował, że przedstawia ono tatuaż na lewym ramieniu Marka Seddona. Była to stylizowana łaza, otoczona promienistymi liniami.

Niemal minutę siedziałem bez ruchu, oparty na poduszkach, wpatrując się w ów tajemniczy, niepojęty symbol. A potem, ponieważ nie mogłem oderwać od niego wzroku, spróbowałem go ukryć, zasłaniając pierwszą kartką. I kiedy to zrobiłem, przeżyłem ostatni i zapewne największy szok wieczoru: choć może paskudna czkawka pulsu stanowiła spóźniony efekt przywołania, połączonego z wysiłkiem psychicznym i fizycznym.

Na pierwszej kartce podano wszystkie dane adresowe. Mark Seddon, miejsce zamieszkania - blok Westona 137, osiedle Salisbury, Walworth. Imię ojca - puste. Imię i nazwisko panięskie matki. Nie Tina ani Tania. Anita.

Nazwisko po mężu: Anita Mary Corkendale.

Nazwisko panięskie: Anita Mary Yeats.

Mój żołądek wykonał skomplikowany, autodestrukcyjny manewr i nagle musiałem z trudem walczyć, by utrzymać w nim szpitalny obiad - który już wcześniej przejawiał tendencje do walki z grawitacją.

Anita.

Ta pokorna służka, która przeniosła się z Brent do Walworth z majątkiem i śmieciami faceta, który bił ją co noc równie regularnie, jak inni wypuszczają koty.

Anita.

Dlaczego? Jaki to miało, kurwa, sens? Jeszcze kiedy byliśmy dziećmi, przejrzała Kenny'ego. Ciachnęła go, ratując mi życie, a potem zniknęła, zanim wszedłem w okres dojrzewania i mogłem ją zaprosić na randkę.

Jakim cudem mogła się związać z Kennym, choćby na krótko? Jak mogła nadać jego nazwisko swojemu synowi?

Zadzwoił telefon i wzdrygnąłem się tak gwałtownie, że mięśnie piersi skurczyły się spazmatycznie, a pięści zacisnęły z nagłego bólu, gdy uszkodzone płuco zameldowało, że wciąż jeszcze nie nadaje się do służby czynnej.

Ściągnąłem szynel z oparcia krzesła i trzęsącymi rękami zacząłem grzebać w kieszeniach. Nie trafiały we właściwe miejsca i nim znalazłem komórkę, przestała dzwonić. Sprawdziłem ostatni numer, ale był zastrzeżony i nie mogłem oddzwonić. Toteż zaczekałem.

Po jakiejś minucie zadzwonił ponownie. Otworzyłem klapkę telefonu.

- Halo?

- Felix. - To był głos Matta.

Na jego dźwięk przypomniałem sobie, jak się skończyło nasze ostatnie spotkanie; pewnie dlatego przemawiał z taką rezerwą.

Ale może zmienił zdanie co do poinformowania mnie, co wraz z wątpliwymi przyjaciółmi robili w Salisbury.

- Cześć, Matt - rzuciłem. - Jak twoja dusza?

Odpowiedziała mi długa cisza. Może nie był to najtaktowniejszy początek rozmowy, ale też byłem zbyt potłuczony i poobijany, by przejmować się uczuciami wrażliwego brata.

- Chciałeś się czymś ze mną podzielić? - dodałem. - A może dzwonisz ni z tego, ni z owego, bo uznałeś, że ów stróż brata mego to jednak za tani pożegnalny strzał?

Kolejna cisza.

- To moja gwarantowana prawnie rozmowa, Fix - rzekł w końcu Matt z nienaturalnym spokojem. - Jestem na komisariacie przy Cromwell Road. Zostałem aresztowany pod zarzutem morderstwa.

15

Pokój przesłuchań przy Cromwell Road skojarzył mi się z klasami w zespole szkół dla chłopców Alsop, gdzie spędziłem lata między włożeniem długich spodni i opuszczeniem domu. Podobieństwo nie od razu rzucało się w oczy, bo większość klas w Alsop miała okna, a tymczasem pokoje przesłuchań przy Cromwell Road mieszczą się pod ziemią, więc są ich pozbawione. No i w Alsop za drzwi nie wpuszczał cię rosły konstabl, noszący u pasa pół tony żelastwa. Co więcej, nauczycielami w Alsop w większości byli świątobliwi mężczyźni i kobiety, nędznie wynagradzani za zbieranie kwiatów wyższej nauki i rzucanie ich pod nasze niewdzięczne stopy: na londyńskim glinowie trudno by znaleźć świętego, chyba że właśnie stawał opór przy aresztowaniu.

Przypuszczam zatem, że w grę wchodziła atmosfera instytucji: nie do końca „porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić”, lecz raczej uczucie, że oddajemy część życia w cudze ręce, a ów ktoś zapakuje ją do worka, opisze i przechowa po to, by zwrócić później, jeśli znów zdoła ją znaleźć i rozpoznać w niej naszą własność. Gdy w takim miejscu zamykają się za człowiekiem drzwi, czuje, jak opada na niego fatalizm, niczym ciężki, wełniany koc.

Gary Coldwood siedział na krześle ze stalowych rurek i czerwonego plastiku - platońskim archetypie taniego, paskudnego mebla jednorazowego użytku.

Kiedy wszedłem do pokoju, wstał.

Wystrój pomieszczenia można by określić mianem oszczędnego. Jedynie stół, dwa krzesła, kosz na śmieci z zielonego plastiku i, zawieszony tam z powodu, który kompletnie mi umykał, plakat reklamujący rozliczne korzyści z używania prezerwatyw. Zakładałem, że w czasie seksu, a nie powiedzmy do ozdabiania ciast bitą śmietaną ani zaimprovizowanych dekoracji wnętrz.

- Idź i przyprowadź Matthew Castora z tymczasowej celi - polecił gliniarzowi z kluczami Gary. - Wypisz go na trzydzieści minut na mój kod. Siedem-trzydzieści.

Mundurowy się zawahał.

- Z tych pomieszczeń nie można korzystać podczas wizyt, sierżancie - rzekł potulnym tonem, zupełnie niepasującym do kanciastej szczęki i zjeżonej brody.

- To nie odwiedziny - odparł Gary - tylko przesłuchanie.

Mundurowy nadal nie wyglądał na uszczęśliwionego. Posłał mi spojrzenie mówiące więcej niż dwadzieścia siedem tomów z posłowiem.

- Ale wie pan, co do przesłuchania w obecności cywila, trzeba wypełnić...

- O jakim cywilu mowa? - spytał łagodnie Gary.

Konstabl przemyślał to i w końcu zrozumiał.

- Jasna sprawa, sierżancie - rzekł lubieżnie porozumiewawczym głosem i zniknął.

- Dzięki - rzekłem do Coldwooda.

- Bardzo proszę.

- I dzięki, że dałeś mi znać, ty dwulicowy draniu.

Coldwood skinął głową.

- Dlatego właśnie tu jesteśmy - rzekł. - I to zupełnie sami. Wyrzuć to z siebie, Fix.

- Do kurwy nędzy, wiedziałeś, że Basquiat namierza Matta! - Niemal dźgnąłem go palcem w twarz. - Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś.

Gary pokiwał głową.

- Zgadza się. Wiedziałem. A ty?

- Nie! - wybuchnąłem. - Gdybym miał choć najlżejsze, kurna, pojęcie, to strzegłbym go. I trzymałbym gębę na kłódkę podczas rozmowy z tobą i twoją lepszą połową, ty podstępny, wredny bucu!

- Bo będę musiał cię walnąć - upomniał mnie Gary.

- Podczas przesłuchania?

- Miałeś te ślady jeszcze przed przyjściem. Sam widziałeś, że konstabl Dennison to bardzo wiarygodny świadek.

- Gary, do ciężkiej cholery, czemu przynajmniej nie dałeś mi...

- Bo to zamknięta sprawa - przerwał mi Gary. - I jeśli naprawdę nie miałeś z tym nic wspólnego, to najlepiej dla ciebie będzie trzymać się z daleka. A gdybym ci powiedział, że zamierzamy aresztować twojego brata, władowałbyś się na chama jak ostatni debil, pewnie zaczął majstrować przy dowodach i wylądował w areszcie, oskarżony o współudział. Bo wiesz, Fix, czego ci brakuje? Czego nie masz nawet odrobiny? Szerszej perspektywy. Widzisz tylko to, do czego zmierzasz, i wpadasz na oślep na wszystko inne.

Na początku tej krótkiej przemowy Gary mówił zwyczajnym głosem, ale pod koniec już krzyczał. Otworzyłem usta, by coś odkrzyknąć i - ku memu całkowitemu, stuprocentowemu zdumieniu - spełnił swoją groźbę. Całkiem solidnie przywalił mi w usta.

Cios nie był dość mocny, by mnie powalić, ale zachwiałem się. Zamrugałem dwukrotnie i potrząsałem głową. Oblizawszy wargi, poczułem smak krwi.

- Ty sukinsynu - warknąłem i ruszyłem naprzód, unosząc pięści.

Gary stał w miejscu, przygważdżając mnie wzrokiem. Po chwili ręce same mi opadły.

- Jesteś teraz gotów posłuchać rozsądnych argumentów?

Splunąłem na podłogę - gęstą, czerwoną śliną - i popatrzyłem mu w oczy.

- A masz jakieś?

Gary głęboko odetchnął.

- Chcesz wiedzieć co mam, Fix? Dowody. I z czystej dobroci serca podzielę się nimi z tobą, chyba że wkurzysz mnie tak bardzo, że wcześniej skończę służbę i zapomnę aż do rana, że tu jesteś.

Więc jeśli cię to interesuje, siadaj i zamknij się. Albo powiedz coś sprytnego i sarkastycznego i chętnie się z tobą pożegnam.

Po chwili boleśnie ciężkiego milczenia usiadłem na drugim krześle, wzruszyłem ramionami i machnąłem ręką.

- Napis na szybie samochodu - zaczął Gary.

- Wskazuje na mnie - zauważyłem.

- Wcale nie.

- A co, znasz innego F. Castora, Gary?

- Zagoniliśmy do roboty chłopaków z laboratorium, Fix. Litery starły się i rozmazały, ale na szkle pozostały ślady z oleju z palca Seddona. Nie napisał „Felix Castor”. Napisał „Frater Castor”.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, lecz słowa umknęły mi z mózgu i żuchwa zawisła, czekając na ich powrót.

- Wtedy zaczęliśmy sprawdzać, co robił twój brat - podjął Gary. - Widziano go, jak około północy wychodził od Świętego Awantury, choć wcześniej powiedział koledze, że już się kładzie. Jego samochód dwa razy zarejestrowały kamery, raz w Streatham i raz w Herne Hill. I - posłuchaj tego - o czwartej rano księdza mieszkającego w sąsiednim pokoju obudził czyjś płacz. Jak to sam nazwał, głośne, nieopanowane szlochanie, dobiegające z pokoju Matthew. Jest gotów zeznać przed sądem, że to ojca Castora słyszał.

Gdzieś w otchłani znalazłem szybujące słowo, które mogło do czegoś się nadać.

- Poszlaki - powiedziałem. - To wszystko poszlaki.

- Może i tak - przyznał Gary. - Ale wystarczyły, byśmy dostali nakaz. A Bazyliszek bardzo uważała, żeby najpierw przesłuchać ciebie, na wypadek gdyby dowody

kryminalistyczne nie wypaliły. Ma twoje zeznanie umieszczające Matthew Castora w Salisbury, zarówno przed, jak i po fakcie.

Pokręciłem głową.

- Nie przed. Wcześniej go nie widziałem. Mówiłem tylko, że był z Gwillamem, a Gwillam...

- Nic z tego nie ma znaczenia, Fix - uciął niecierpliwie Gary. - Bo dowody kryminalistyczne wypaliły. Odciski palców i buta Matthew pasują w stu procentach. I mam coś nowego - wypatroszyliśmy billingi szkoły, w której uczy. Przez cały tydzień poprzedzający zbrodnię każdego dnia gadali z Seddonem. Spotkali się w samochodzie, twój brat przyniósł ze sobą brzytwę. Sprowadził też współnika i wciąż nad tym pracujemy. Ale mamy go, Fix. Jeśli jest niewinny, to wrobiono go tak starannie, że mógłby to zrobić tylko Bóg we własnej osobie.

A to oczywiście było niemożliwe, bo Bóg kocha Matta. Jasne, kocha wszystkie swoje dzieci, ale Matt gra w Jego drużynie. Siedziałem tam bez słowa, a Gary obserwował mnie uważnie, dopóki nie szczęknął zamek i konstabl Dennison nie zajrzał do środka, przytrzymując przed Mattem otwarte drzwi.

Matt wyglądał okropnie: nieogolony, z przekrwionymi oczami i włosami sterczącymi jak u Stana Laurela. Zostawili mu jego ubranie, ale odebrali pasek i sznurówki. Pilnowanie przed samobójstwem musi szczególnie doskwierać praktykującemu katolikowi.

- Felix - wymamrotał. - Dziękuję. Dziękuję, że przyszedłeś. Ja... to był jeden wielki obłąd, odkąd...

Zająknął się i umilkł, mrugając bardzo szybko. Oszołomiony, patrzył na mnie błagalnie. Wstałem i podszedłem do niego. Żaden z nas nie jest fanem fizycznego okazywania czułości - to dziedzictwo po naszym tacie - i Matt z pewnością by się wzdrygnął, gdybym spróbował go objąć, ale położyłem mu dłonie na ramionach i ścisnąłem - niezgrabny, skąpy gest solidarności, którego w ogóle nie zauważył.

- Już dobrze, Matty - rzekłem, wbrew zarówno dowodom, jak i zdrowemu rozsądkowi.
- Wszystko będzie dobrze.

Coldwood ruszył do wyjścia.

- Kiedy skończysz, zastukaj w szybkę - rzucił szorstko.

Konstabl Dennison wciąż przytrzymał drzwi - Gary wymaszerował z pokoju i pozwolił im zatrzasnąć się za sobą ze stanowczym szczękiem solidnego zamka, który zapewne umiałbym rozpoznać po samym dźwięku, gdybym nie myślał o czymś zupełnie innym.

- Muszę usiąść - mruknął Matt i odsunąłem się, przepuszczając go do krzesła.

Jak na mój gust osunął się na nie nieco zbyt ostrożnie.

- Nic ci nie jest? - spytałem.

- Wszystko w porządku - odparł. - Ale trochę boli mnie bok, w miejscu gdzie jeden z konstabli mnie kopnął.

Oburzenie zapiekło mnie niczym zgaga.

- Pobili cię?

Matt pokręcił z emfazą głową.

- Nie. Stawiałem opór. Chyba wpadłem w panikę. Uderzyłem jednego pięścią w twarz. To było ohydne. Musieli mnie... obezwładnić. Naprawdę nie panowałem nad sobą.

Przymknąłem oczy i pomasowałem powieki kantem dłoni. Za dużo było tego wszystkiego.

- Kiedy to się stało? - spytałem. - Pozwolili ci wezwać adwokata?

- Nie prosiłem o adwokata, Feliksie. Ja nie... nie mam w tych sprawach doświadczenia.

- Ale ja mam - rzuciłem. - Nic nie mów, Matt. Dopóki nie znajdziesz się pod opiekuńczym skrzydłem całego stada papug. Zadzwoń do Nicky'ego Heatha i poproszę, żeby kogoś zarekomendował. Tymczasem... - W połowie zdania zabrakło mi pary. - Jak to się, kurwa, stało? - spytałem bezsilnie.

Matt zerknął na mnie, po czym znów skupił wzrok na swych kolanach.

- Przyszli do Świętego Bonawentury - rzekł. - Właśnie prowadziłem zajęcia i zaczęli, za co jestem im bardzo wdzięczny. Potem spytali, czy mogliby pomówić ze mną na osobności. Zabrałem ich do nawy bocznej, z której korzystamy jedynie w niedzielę. I wtedy... powiedzieli mi, że mnie aresztują. Za zabójstwo Kenny'ego. Chyba dochodziła siódma. Tak naprawdę nie pamiętam. Nie, skoro miałem lekcje, to musiało być wcześniej.

- Kurwa! - rzuciłem, myśląc o Basquiat i Coldwoodzie. Musieli pojechać ode mnie prosto do Matta. Zapewne podczas naszej rozmowy Basquiat miała w kieszeni nakaz aresztowania. - Dobra.

- Opowiedz mi o tym. Nawiązaliście kontakt z Kennym. Jak? Mają cię w samochodzie, i to ich najmocniejszy dowód. Powiedz mi, co się stało, i zobaczmy, co da się zrobić, by go obalić.

Tym razem Matt patrzył na mnie znacznie dłużej.

- Nie zadałeś mi oczywistego pytania.

Zaśmiałem się bez cienia rozbawienia.

- Chcesz powiedzieć: „czy to zrobiłeś?”. Dorastałem z tobą, Matt. Pamiętasz? Gdybym musiał pytać, nie byłoby mnie tutaj. Powiedz mi, co robiłeś w samochodzie.

Matt w końcu znów spuścił wzrok.

- Nie mogę - rzekł z prostotą.

Splótł dłonie na kolanach jak święty pogodzony ze swym męczeństwem. Był to jedynie gest, ale w mojej czaszce rozdzwierał się cały chór dzwonek alarmowych - to naprawdę nie była pora na nadstawianie drugiego policzka. Według mojego doświadczenia ta pora bardzo rzadko nastaje.

- Co to znaczy? - spytałem gniewnie. - Czemu nie?

- Po prostu nie mogę.

- W takim razie powiedz, jak nawiązaliście kontakt. O czym rozmawialiście.

- Kenny... zadzwonił do mnie. Zasugerował, że powinniśmy się spotkać. - Matt mówił powoli, jakby starannie dobierał słowa. Przysięgli nie byliby zachwyceni.

- Tak zupełnie zniecka? - Automatycznie przyjąłem rolę oskarżyciela.

- Tak. Nie. Nie do końca. - Matt miotał się trochę. - Spotkaliśmy się przypadkiem rok wcześniej, toteż wiedział, że mieszkam w Londynie. Nie mam pojęcia, skąd wziął telefon do Świętego Bonawentury, ale przypuszczam, że nietrudno go znaleźć. Gdzieś w sieci muszą publikować spis nauczycieli.

- Czyli Kenny zadzwonił. Dlaczego się zgodziłeś, Matt? Z pewnością nie chciałeś się z nim spotykać. Sądziłem, że obaj mieliśmy go aż nadto dosyć jeszcze w dzieciństwie.

Matt głośno wciągnął powietrze i wypuścił je roztrzęsiony.

- Powiedział, że może mi pomóc. Z czymś...

Nagle zerwał się z krzesła. Parę kroków doprowadziło go do przeciwległej ściany i musiał się zatrzymać. Uniósł ręce, jakby chciał się podeprzeć. Prawa dłoń przypadkiem wylądowała na plakacie „zakładajcie prezerwatywy” i w mojej głowie pojawiła się nieproszona myśl o przysiędze, którą składa się przed zeznaniami w sądzie: kładzie się rękę na wybranym przez nas świętym tekście. Uroczyście przysięgam...

- Matt - rzuciłem z napięciem. - Jestem po twojej stronie. Czego ty się boisz?

Pochylił głowę i zgarbił się. Jego głos brzmiał głucho, ledwie słyszalnie, jakby usta wypełniało coś dławiącego i gorącego i próbował przez to mówić.

- Nie zabiłem go - powtórzył.

- Wiem o tym!

- Ale myślę, że zrobiłem coś... gorszego.

Słowa te padały ciężko w dusznym pomieszczeniu: martwa cisza, która po nich nastąpiła, była niczym policyjna barierka, otaczająca ich nieruchome, paskudne sylwetki. Nie ma tu niczego ciekawego. Proszę się rozejść. To już koniec.

- Gorszego niż morderstwo? - spytałem, gdy tylko zdołałem przywołać obojętny, ironiczny ton głosu.

Matt odwrócił się i spojrzał na mnie, w jego oczach wezbrały łzy, twarz wykrzywił upiorny uśmiech.

- Gorszego niż zamordowanie Kenny'ego? Tak. O, tak. Coś znacznie gorszego. Niech mi Bóg pomoże, Fix. Niech mi Bóg pomoże. - Uniósł ręce do twarzy, jakby chciał w nią wbić palce, lecz zamiast tego przycisnął je do obu stron czoła i przytrzymał, kołysząc się lekko w przód i w tył, w autystycznej pantomimie rozpacz i bólu.

Tym razem faktycznie go objąłem, choćby po to, by powstrzymać ten przerażający spektakl. Jego ciałem wstrząsały gwałtowne dreszcze, niczym perystaltyczne fale.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyłem przez zaciśnięte zęby. - Ale musisz mi zaufać, Matt. Myślisz, że mają tu podsłuch? Niemożliwe, bo gdy tylko spróbowaliby użyć go jako dowodu, sąd posłałby ich do diabła. A zresztą Coldwood nie wyciąłby mi takiego numeru. Co takiego zrobiłeś?

- Nie mogę... - jęknął Matt. Położył mi głowę na ramieniu, nie w poszukiwaniu pociechy, lecz jakby zaraz miał zemdleć i nie mógł utrzymać jej w pionie. - Po prostu... to, co zrobiłem, jest...

Wyraźnie nie był w stanie mówić dalej. Następne słowo oczywiście nie mogło brzmieć „niewybaczalne” - wszystkie grzechy można wybaczyć, jeśli grzesznik szczerze się pokaja, i nigdy nie jest za późno. „Chrystus łotrowi na krzyżu przebaczył i pocieszył go”.

W tej chwili Matt był daleki od pociechy - ukrywał straszliwy sekret, który odbijał się wewnątrz niego rykoszetem niczym pocisk, roztrzaskując wszystko po drodze.

- Powiedz mi - powtórzyłem.

Jeśli jednak istniała chwila, w której zamierzał to zrobić, to najwyraźniej już minęła. Odsunął się ode mnie i uniósł tece w obronnym geście.

- Nie pozwól, żeby mama się dowiedziała - wykrztusił. - Nikt nie może się dowiedzieć. Uniosłem bezradnie ręce.

- Że rzymskokatolicki ksiądz został aresztowany za zamordowanie kogoś brzytwą? Matt, to wyjdzie na jaw. Nie da się tego ukryć. Gary może odwlec to trochę, ale gdy tylko zjawisz się w sądzie, trafisz na pierwsze strony gazet. Jest tylko jeden sposób, w jaki możesz sobie pomóc: wyznając prawdę.

Wciąż płakał, lecz dreszcze ustały; wyraźnie, krok za krokiem, zaczynał odzyskiwać panowanie nad sobą.

- Nie - rzekł w końcu.

- Dlaczego?! - ryknąłem, straciwszy wszelką cierpliwość. - Nawet jeśli masz rację - nawet jeśli to, co zrobiłeś, jest gorsze niż morderstwo - powinieneś to wyznać. To przecież tak działa, zgadza się? Wyznajesz grzechy, odprowadzasz pokutę i życie toczy się dalej. Natomiast jeśli zatrzymasz gębę na kłódkę, czeka cię wyrok od dwudziestu lat do dożywocia.

Matt jakby mnie nie słyszał. Wrócił do krzesła i usiadł, ocierając oczy grzbietem dłoni. Na jego twarzy pojawił się spokój, choć był to spokój zrównoważonych sił: nieruchomość człowieka o nogach i rękach przywiązanych do koni ciągnących w przeciwnie strony.

- Nie pozwól, żeby tu przyjechała - powiedział i odgadłem, że ma na myśli mamę.

- Niczego nie obiecuję - oznajmiłem ponuro. - Chyba że powiesz mi, o co w tym chodzi. Czego chciał od ciebie Kenny, Matt? I czego ty chciałeś od niego? O co tu naprawdę biega? Czy to Gwillam? To on wszystko zaaranżował?

- Nie pracuję z Gwillamem - wymamrotał Matt i z jego miny zrozumiałem, że mówi prawdę. - Raz jeden zwrócili się do mnie. Stąd właśnie znałem Felda i dlatego mogłem go odwołać, gdy cię zaatakował. Ale członkowie Anathematy pragnęli mnie wyłącznie z powodu nazwiska. Twojego nazwiska. Sądzieli, że może mam te same „zdolności” co ty. Kiedy się dowiedzieli, że tak nie jest, stracili zainteresowanie. To było wiele lat temu. Od tego czasu nikogo od nich nie widziałem.

- W takim razie, dlaczego...? - zacząłem, lecz Matt uciszył mnie szorstkim gestem.

- Żadnych więcej pytań, Feliksie. Doceniam to, że tu przyszedłeś. Ja... ucieszyłem się, widząc twój twarz, i dałeś mi siłę, bym mógł to znieść. Ale nie możesz mi pomóc.

Uciął potencjalną dyskusję, tłukąc pięścią w szybę i wzywając konstabla Dennisona, by odprowadził go do celi. Matt odszedł, nie oglądając się na mnie i nie mówiąc „do widzenia”. Przypuszczam, że nie ufał własnemu głosowi, bał się, że zrobi to bez stosownej godności.

Coldwood zaczekał, aż Dennison zniknie, po czym wrócił do pokoju.

- Jak poszło? - spytał.

- Jak na, kurwa, pikniku, Gary. Bo czemu nie?

Wydał policzki i wzruszył ramionami.

- Wiara doda mu sił. I wierz lub nie, ma też Anioła Stróża.

- To znaczy ciebie?

- Pobił gliniarza. Książd czy nie, ostro by oberwał, gdybym nie roztoczył nad nim dyskretnej ochrony.

Miał rację i dobrze o tym wiedziałem. Ale nadal nie mogłem się zmusić, by mu podziękować.

- Podrzucić cię gdzieś? - spytał, gdy wyszliśmy razem kiepsko oświetlonymi schodami na parter i znaleźliśmy się obok recepcji.

- Pójdę pieszo - odparłem.

Oczywiście robiłem tylko dobrą minę do złej gry, ale w tym momencie nie miałem ochoty przyjmować pomocy Gary'ego.

- Nie jestem twoim wrogiem, Fix - rzekł cicho.

- Tak twierdzisz.

- I gdybyś potrzebował czegoś, w czym mogę pomóc, wciąż tu będę.

Wyszedłem w noc, nie zaszczyciwszy go odpowiedzią. Powrót do szpitala nie miał sensu. Zostawiłem tam kilka rzeczy, ale nic, czego nie mógłbym odebrać później. Płaszcz miałem na grzbiecie, a flet w płaszczu. Reszta to w sumie tylko szczegóły. Wiedziałem, gdzie muszę pójść i co mniej więcej zrobić.

Pojechałem taksówką do Pen, odkryłem, że wciąż jest na mieście, toteż pożyczyłem sobie z jej szafy torbę i zostawiłem kartkę. Ale, pisząc ją, pomyślałem o jeszcze jednej niedokończonej sprawie, wiszącej nade mną, a ponieważ nie wiedziałem, jak długo mnie nie będzie, uznałem, że to najlepsza - jeśli nie jedyna - chwila, by mieć to z głowy.

Poszedłem do kuchni i znalazłem kluczyki od samochodu Pen tam, gdzie je zawsze zostawiała, w misce z zakurzonymi sztucznymi owocami na kredensie. Dziesięć minut później jechałem już obwodnicą północną w stronę Wembley.

Po drodze zadzwoniłem do Juliet z informacją, dokąd się wybieramy i kogo spotkamy na miejscu. Nie prosiła o dalsze szczegóły.

- Będę gotowa - rzekła jedynie.

Juliet i Susan mieszkają w miniaturowym szeregowym domu przy Royal Oak, wcześniej należącym do matki Susan. Stara pani Book nieźle go zapuściła, ale obecnie ładnie się urządziły - choć podejrzewam, nie dysponując żadnymi dowodami poza tymi oczywistymi - że całą wnetrzarską robotę odwaliała Susan. Trudno sobie wyobrazić Juliet z wałkiem od farby w dłoni. Bardziej pasuje do niej czyjeś wciąż bijące serce.

Kiedy zastukałem do drzwi, otworzyła mi Susan Book. Minę miała lekko zaniepokojoną.

- Jules już idzie, Feliksie - powiedziała. - Ale na pewno jej do tego potrzebujesz? Jest bardzo późno.

Przez moment zastanowiłem się nad znaczeniem jej słów. Że niby sukuby wolą kłaść się wcześniej, może z kubkiem gorącego kakao, i jeśli posiedzą do północy, rano obudzą się zmęczone i poirytowane? Oczywiście, jako osoba dzieląca z Juliet łóżko, Susan miała bardzo stanowcze zdanie co do tego, ile czasu w nim spędza.

- Tak naprawdę to jej zależało, Sue - odparłem. - Odwiedzam starego znajomego i jakiś czas temu Juliet powiedziała, że też chciałaby wpaść.

Susan wciąż nie sprawiała wrażenia zachwyconej. Może już wcześniej próbowała wypytać Juliet i nie uzyskała jasnej odpowiedzi.

- To nie powinno potrwać długo - obiecałem. - Chcę tylko przekazać wiadomość.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

- Ale komu? - spytała.

- Komuś, kto nie zechce siedzieć spokojnie i słuchać. Ale nie powinno być żadnych problemów. Ów ktoś nie będzie zbyt protestować, bo odbędzie się to u niego i musi dbać o pozory.

- Jestem - oznajmiła Juliet, dokładnie w tym momencie schodząc po schodach.

Ulżyło mi, bo dzięki temu powstrzymała zrećznie dalsze pytania.

Susan odsunęła się, przepuszczając ją. Wymieniły spojrzenia.

- To potrwa jakąś godzinę - powiedziała Juliet. - Najwyżej półtorej. Jeśli po moim powrocie jeszcze nie będziesz spała, pomasuję ci plecy.

Przed oczami duszy mignęła mi seria obrazów, głównie pornograficznej natury, lecz z czystej estetyki i przyzwoitości natychmiast je ocenzurowałem.

Susan skinęła głową i pocałowały się. Trwało to tak długo, że zainteresowałem się głęboko tapetą, by nie wyjść na podglądacza.

- Chodźmy - rzuciła Juliet, gdy znów odzyskała własne usta.

Susan ucisnęła jej dłoń i obdarzyła ją słabym uśmiechem.

- Do zobaczenia - rzekła.

Na drodze A-1081 już za M-25, gdy zmierzaliśmy w stronę St Albans, Juliet przerwała panującą w wozie ciszę.

- Nie czynisz postępów - zauważyła.

- W Salisbury? Nie, masz rację, tylko się miotam.

- I winisz za to mnie.

Zastanowiłem się.

- Chciałbym, żebyś wybrała sobie inny moment na odgrywanie silnej i milczącej - przyznałem. - Ta sprawa zamieniła się w pieprzony koszmar.

- A jednak zaprosiłeś mnie, bym ci dziś towarzyszyła.

- Sama prosiłaś. I szczerze mówiąc, mogę potrzebować wsparcia. To mały kapryśny skurwiel i wbił sobie do głowy, że gramy w przeciwnych drużynach.

- Myli się?

- Zazwyczaj nie. Lecz tym razem myślę, że zdołam przekonać go do mojego sposobu myślenia.

Juliet parę minut analizowała moje słowa, na jej wyrazistej twarzy odbijała się cała gama emocji. Kiedy ostatnim razem skrzyżowali z Gwillamem szpady, zdołał ją obezwładnić czytaniem z Biblii - święta księga jest dla niego tym, czym dla mnie flet. Przez dłuższy czas potem była ostro wkurzona, bo oznaczało to, że pozostawała - na krótko - w jego mocy. Może nawet zdołałby przegnać ją tam, gdzie trafiają demony po egzorcyzmach, a to nic dobrego. Albo może po prostu nic i kropka.

- Nie mogę się doczekać kolejnego spotkania - rzekła w końcu. - To będzie... ciekawe.

- Ale nie chcę żadnych kłopotów, chyba że on zacznie - wyjaśniłem. - To kampania informacyjna, nie osobista wendeta.

Juliet spojrzała na mnie z obojętnym zaciekawieniem.

- A czemuż to, Castor?

- Bo w tej chwili jest dla mnie bardziej użyteczny jako sojusznik niż trup - wyjaśniłem brutalnie.

- A jeśli odmówi zostania sojusznikiem?

- Wtedy zobaczymy.

Church Street okazała się bardzo wąską ulicą w samym środku upiornego labiryntu jednokierunkowych ulic na drugim końcu St Albans High Street. Zaparkowałem nieprzepisowo wóz Pen przed bramą wiodącą Bóg jeden wie dokąd i ruszyliśmy na poszukiwanie fundacji ekumenicznej Rosewell. Okazała się ona skromnym budynkiem, na oko stanowiącym połączenie dwóch robotniczych domów. Surowe czarne drzwi wyglądały na solidne, wyposażono je jednak w kołatkę i dzwonek. Chętnie skorzystałem z obu.

Gdy czekaliśmy na odpowiedź, Juliet przyjrzała się amuletom przybitym do framugi i znakom wymalowanym na ścianie. W zamyśle miały nie dopuszczać do środka umarłych i nieumarłych.

- Coś z tego może cię spowolnić? - spytałem.

Pokręciła głową.

- Ani na moment. Może trochę zaswędzi mnie skóra, ale nic poza tym.

Ze środka dobiegł odgłos odciąganych zasuw i wyjrzała na nas wybitnie nieekumeniczna twarz: brzydka jak kupa, ponura i podejrzliwa, zwieńczona czarnymi włosami przyciętymi na wojskowego jeża.

- Tak? - spytała.

- Chcemy się zobaczyć z ojcem Gwillamem - oznajmiłem, obdarzając faceta promiennym uśmiechem.

Gość spróbował zamknąć nam drzwi przed nosem, więc Juliet pchnęła mu je w twarz. Potem przycisnęła go do ściany wąskiego przedpokoju, a ja wszedłem do środka. Facet zamachnął się i wymierzył Juliet cios w nerki, po którym autentycznie lekko się skrzywiła. Chwyła go za gardło i uderzyła w twarz tak mocno, że głowa obróciła się o pełne dziewięćdziesiąt stopni, a potem cisnęła na ulicę, gdzie wylądował bezwładnie pod zaparkowanym samochodem. Samochód błysnął reflektorami i zaczął wyc przeraźliwie, gdy włączył się autoalarm.

Juliet zamknęła drzwi, odcinając natrętny dźwięk. Rozejrzałem się wokół. Pośrednik handlu nieruchomościami mógłby opisać parter domu jako łudząco przestronny: znajdowaliśmy się w przedpokoju o wykładanej płytkami podłodze, z którego odchodziło troje drzwi. Wiktoriański wystrój przedstawicielom Kościoła katolickiego mógł wydawać się niemal nowoczesny. Słabe oświetlenie zapewniały kinkiety, zamontowane wysoko na ścianach, a także ciężki i paskudny żyrandol z kutego żelaza, zawieszony na trzech łańcuchach.

Otworzyłem kopniakiem pierwsze drzwi i ujrzałem pokój pełen książek, pachnący skupieniem i kurzem właściwym bibliotekom bądź gabinetom. Za drugimi mieścił się schowek na szczotki. Właśnie zamierzałem wywalić trzecie, gdy z prawej dobiegł tupot stóp. Odwróciwszy się, ujrzałem dwóch mężczyzn zbiegających ku nam po schodach. Jednym z nich był Gwillam: w ręce trzymał książkę, na nosie miał okulary do czytania. Drugim - drobny i łysy mężczyzna w gładkim czarnym garniturze; miał wyszczerzone zęby w nieznacznym, permanentnym grymasie.

Gwillam otworzył usta, by coś powiedzieć, ale się spóźnił, bo Łysek wyskoczył już w powietrze, wymierzając potężnego kopniaka w stronę twarzy Juliet. Zważywszy na okoliczności, całkiem niezłe otwarcie, lecz gdy pierwsza stopa dotarła do zamierzonego celu, Juliet już tam nie było. Odchyliła się w bok - ruchem tak idealnie zgranym w czasie, że nie wymagał pośpiechu i wydawał się niemal leniwy. Jej prawa ręka skoczyła i wyprostowała się w łokciu, przecinając trajektorię łysola i przyprowadzając jego skok obrzydliwie sugestywnym,

wilgotnym odgłosem. Facet zgiął się wpół w powietrzu, katastrofalnie tracąc rozpęd, i wyładował bezwładnie na ziemi. Przeturlał się kilka razy i już nie wstał.

Gwillam wbijał wzrok w twarz Juliet. Natychmiast ją rozpoznał, na poziomie głębszym niż wzrok: wiedział, czym jest naprawdę. Schodząc ku nam, zaczął recytować głosem o oktawę niższym niż normalnie.

- Czyż czekałybyście na nich aż dorosną? Napotkali równinę w kraju Szinear i tam zamieszkali. Prawica Pańska moc okazuje...

- Jeszcze jedno słowo - rzekła nieszczerze przejętym, lekko surowym tonem Juliet - i zginiesz na miejscu.

Gwillam umilkł. Był dobry i szybki, ale wiedział, że nie zdąży dokończyć egzorcyzmów, nim Juliet go dosięgnie. Ostatnim razem udało mu się ją skrepować tylko dlatego, że żadne z nas nie miało wcześniej do czynienia z podobną metodą.

Opuścił jednak książkę, dzięki czemu zobaczyliśmy, że w drugiej ręce trzyma coś innego. To był pistolet.

- Nie - rzekł. - Nie tkniesz mnie.

Juliet przez chwilę przyglądała się broni. Potem roześmiała się miękko, melodyjnie.

- To dla mnie czy dla ciebie, sługo Nieba? - wymruczała. - Tak czy inaczej, odległość między nami jest za mała, by to miało znaczenie. Może gdybyś już celował w głowę i trzymał palec na spuście, zdołałbyś rozwalić sobie mózg i nie zmienić zdania. Ale stoisz tam, słuchając mnie, widząc mnie, czując mój zapach, i już jest za późno. Teraz zatem - jej głos zniżył się do kuszącego szeptu, a oczy się zwęziły - co zrobisz?

Gwillam wpatrywał się w Juliet z głębokim zdumieniem. Otworzył lekko usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nim to zrobił, nowa myśl pozbawiła go tchu. Wydał zdławiony dźwięk, pozbawiony jakichkolwiek spółgłosek.

- Chodź do mnie. - Juliet uniosła rękę.

Gwillam ruszył naprzód rozkołysanym krokiem, potykając się na schodach. Poruszał się sztywno, urywanie, jak zombie - Juliet zajmowała tak wielką część jego umysłu, że reszty ledwo wystarczyło na opanowanie podstawowych funkcji motorycznych. Podszedł do niej i zatrzymał się, gdy uniosła dłoń na znak, że wystarczy.

Stała naprzeciwko niego, wypinając pierś i przechylając głowę w parodii kokieteryjnej przekory. Patrzyli sobie w oczy i długą chwilę żadne się nie poruszyło. Na twarzy Juliet powoli pojawił się leniwy, złowieszczy uśmiech; Gwillam z każdym haustem powietrza oddychał coraz głośniejsze i cięższe.

- Może i kochasz Boga, Thomasie - warknęła Juliet - lecz teraz poznałeś inny rodzaj miłości. Mam nadzieję, że często będziesz o mnie myślał. I wiem, że za każdym razem Bóg będzie bardzo daleko od ciebie.

Żart robił się nieco niestrawny. Potrzebowałem Juliet, by się tu dostać, i chyba od początku wiedziałem, że nie odpuści Gwillamowi i nie zadowoli się zwykłym ostrzeżeniem. Może sam także chciałem się zemścić za ból, na jaki naraził mnie pocziwy ojczulek, ale źle się czułem, oglądając tę sado-psychodramę.

- Przerwij to - powiedziałem do Juliet.

- Skończę. Ukłęknij, Thomasie. Ukłęknij i módl się do mnie.

Gwillam już miał posłuchać, kiedy wymierzyłem mu cios w szczękę i posłałem go na głębę. Pistolet wyleciał mu z ręki i z brzękiem zniknął w głębi korytarza.

Juliet posłała mi spojrzenie pełne czystej furii, przez co nawet mi ulżyło. Nie chciałem poczuć tego, co przed chwilą czuł Gwillam - już to przerabiałem i sam widok przywołał dawne wspomnienia: sejsmiczną paraliżującą żądzę, niemal nieznośną rozkosz i otwierającą się za nią czarną otchłań rozpaczki.

- Pokazałaś mi już swoje - rzekłem. - Moja kolej. Moja zabawa.

Graliście kiedyś w karty na pieniądze? A jeśli tak, to czy pamiętacie moment na końcu rozpaczliwej rozgrywki, kiedy postawiliście wszystko na kiepskie rozdanie, wiedząc, że możecie wygrać tylko jeśli pozostali gracze kupią wasz bluff?

Tak właśnie teraz się czułem. Tyle że wiedziałem, że Juliet nie da się nabrać, bo potrafiła wywęszyć mój strach, tak jak to ponoć czynią psy. W istocie zatem postawiłem na coś innego i bardzo łatwo wyliczyć, jak niewielkie miałem szanse: dwa lata na Ziemi przeciwko piętnastu tysiącleciom piekła.

Nadeszła moja chwila.

Po pięciu, sześciu sekundach - wystarczająco długim czasie, by przed oczami przeleciała mi cała końcówka lat osiemdziesiątych - Juliet ustąpiła i wzruszyła ramionami. Raz jeszcze zerknęła na Gwillama, leżącego u stóp schodów; gdy omiotło go jej spojrzenie, jęknął przeraźliwie, jakby właśnie przeżył chłostę, a jej wzrok polał rany octem.

- Zaczekam w samochodzie - oznajmiła i odeszła, przekraczając nieprzytomne ciało Łyska.

Pomogłem Gwillamowi usiąść. Wciąż oddychał nierówno, a jego oczy patrzyły w pustkę. Częściowo poprowadziłem, częściowo zaniósłem go do gabinetu, pchnąłem na krzesło wyglądające na osiemnastowieczny antyk i kątem oka dostrzegłem karafkę koniaku

na komodzie. Nalałem mu porcję i po trzeciej próbie zdołałem wlać do gardła: sam także się poczęstowałem, wyłącznie w celach medycznych.

Powoli poczciwy ojciec doszedł do siebie; gniew i nienawiść zapełniły pustkę pozostawioną przez niedawno odkrytą namiętność.

- Zadajesz się z demonami, Castor - wyszlochał łamiącym się głosem. - Z tym, sukubem i jeszcze gorszym. Myślisz, że nie wiemy, że zabrałeś Asmodeusza z jego celi? Kazisz to miejsce swoją obecnością i narażasz na potępienie duszę.

- Moją duszę. - Dotknąłem opatrunku na policzku i wzruszyłem lekko ramieniem. - Cóż, stawiam na nawrócenie na łożu śmierci, więc mam nadzieję, że zostało mi jeszcze trochę pola do manewru.

Gwillam wbijał wzrok w pustą szklaneczkę. Teraz spojrzał na mnie, po bladej twarzy ściekały strużki potu.

- Mogę cię zapewnić - rzekł - że bez szczerzej skruchy Bóg nie wysłucha twoich przeprosin. Niektóre grzechy są śmiertelne.

Pochyliłem się, przysuwając do niego twarz.

- Owszem - zgodziłem się. - Są. A jednym z nich jest porażająca, debilna głupota. Spierdoliłeś sprawę, ty świętoszkowaty kutasie. Pomyślałem, że wpadnę tu i sam ci powiem, nim sytuacja w Salisbury jeszcze się pogorszy. Bo mam coś do załatwienia gdzie indziej, a ty pierwszy zająłeś się tą sprawą.

W jakiś sposób Gwillam zdołał znaleźć w sobie dość sił, by wstać. Przysunął się do mnie, poblady z wściekłości.

- Wciąż się przy tym upierasz, co, Castor? Że cały świat jest pełen pozostałości po błędach innych? Że twoją rolą w życiu jest uprzątnięcie ich i przyjmowanie słów podzięką? Ale sam Asmodeusz stanowi dostateczne zaprzeczenie tym słowom.

- Tylko ja utrzymuję Asmodeusza w ryzach - przypomniałem, ścierając z twarzy drobinki śliny. Oczy Gwillama się zwężyły.

- Zabrałeś tego potwora z miejsca, w którym tkwił bezpiecznie uwięziony. Pod kontrolą. Kto wie, co zapoczątkowałeś? I co będziemy musieli zrobić, by to powstrzymać, jeśli wyrwie się na swobodę. Bo to będziemy my, Castor. Żołnierze Boga - ci z prawdziwym powołaniem - sprzątający po twoich błędach. Tak jak było na całym świecie przez stulecia. Obserwujemy, ważymy, decydujemy, a potem działamy. Ty po prostu odrzucasz trzy pierwsze etapy tego procesu!

I gdy tak mówił, coś w mojej głowie zaskoczyło. Obserwujemy? Ważymy?

- Kazałeś mnie śledzić - rzekłem.

Gwillam zaśmiał się głucho.

- To miało być oskarżenie? Owszem, śledziliśmy cię. Gdy tylko ta Mulbridge uznała za stosowne powiadomić nas, co zrobiłeś. Gdyby zadzwoniła od razu... Ale nie ma sensu żałować po fakcie. Bóg działa na swój własny sposób - i choć nie doprowadziłeś nas do Rafaela Ditko, doprowadziłeś nas na osiedle Salisbury i do Williama Danielsa. Nie przesiewamy śmietników tego świata w poszukiwaniu cudów. Bóg uczynił cię narzędziem swego światła i prawdy. Robi tak, czy tego chcesz, czy nie.

Uśmiechnął się zimno. Z każdą chwilą odzyskiwał pewność siebie, a wraz z nią niewzruszone przekonanie o własnej prawości.

- Sytuacji w Salisbury - dodał - nie zrozumie człowiek pozbawiony wiary. Zatem rozmowa o niej nic nie da.

W odpowiedzi uniosłem prawą dłoń, rozcapierzając palce. Wyraźnie widać było czerwoną, zaognioną skórę pośrodku dłoni. Oczy Gwillama rozszerzyły się na ten widok.

- I to zaledwie po paru godzinach na osiedlu - rzekłem. - Jak myślisz, jak święty się stanę, jeśli wynajmę tam mieszkanie?

Gwillam zaczął coś mówić, ale nie dopuściłem go do głosu.

- Powinieneś zachować się jak twój imiennik, ojciec Tomaszu, i poszukać więcej dowodów, nim wzniosłeś ręce do nieba i zacząłeś wyśpiewywać hosanny. Znalazłeś chłopaka z ranami na dłoniach i pomyślałeś, że to kandydat na świętego.

- Nie będę o tym...

- Nie marnuj mojego pieprzonego czasu. Podałeś mi już jego nazwisko, a matka mówiła, że u nich byłeś. Nie potrafiła tylko się zmusić do wyjaśnienia po co, ale też uważała rany Bica za nieodłączną część chorego syfu, który wypełnił jego życie. Nieźle musiało ją zadławić, gdy oznajmiłeś, że to dobre wieści z Nieba.

Gwillam milczał przez chwilę, szybko jednak odnalazł głos.

- Pojawienie się stygmatów to cud - oznajmił. - Powtarzający się przez stulecia na znak oczywistego błogosławieństwa Chrystusa.

- Albo hysterii - uzupełniłem. - Tyle że tym razem - tym razem, Gwillam - to nic z tych rzeczy. To demon.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, a potem z nieskrywaną wzdrganą.

- Demon? - powtórzył.

- Tak - przytaknąłem. - Demon, który uwielbia rany. Który żyje w ranach. Wezwał go pewien biedny dzieciak, ubóstwiający się kaleczyć. Myślę, że zrobił to nieumyślnie, po prostu nadawał na tej samej częstotliwości. I to demon sprawia, że ludzie kaleczą siebie bądź innych.

Wypełnia ich sny i jawę pragnieniem oglądania przelanej krwi. I nakazuje krwi wypływać ze zdrowego ciała, jakby otwierały się tam rany. To właśnie dotknęło Bica. Przekleństwo, nie błogosławieństwo. Chyba że Jezus ma naprawdę popieprzony sposób okazywania nam miłości.

- Z wewnętrznej kieszeni wyjąłem gruby plik wydruków Nicky'ego i upuściłem je na dywan przed Gwillamem.

- Przeczytaj to - poradziłem - i zapłacz. A potem idź i coś, kurwa, zrób.

Zostawiłem go tam, wyraźnie zbierającego szczątki swej zbroi prawości. Nie potrafiłem stwierdzić, czy mi uwierzył, czy nie. Ale jeśli tak, być może mógł coś zrobić podczas mojej nieobecności, by nie dopuścić sytuacji w Salisbury do punktu krytycznego. Zawsze to lepsze niż nic.

Podczas jazdy powrotnej do Londynu Juliet milczała zamyślona. Jakiś czas ja także, potem jednak pomyślałem: a co mi tam. Nasze stosunki już i tak były napięte bardziej niż kiedykolwiek od czasu, gdy postanowiła mnie nie zabijać i zamieszkać na Ziemi. Niewiele miałem do stracenia, toteż mogłem jeszcze trochę naciągnąć struny.

- Czy to coś to twój przyjaciel? - spytałem.

Nie oglądałem się, ale poczułem na sobie jej spojrzenie.

- To znaczy - podjąłem - nie zrozum mnie źle, dobrze? Jeśli to kolejny z zakazanych tematów, po prostu mi powiedz. Ale jeżeli nie, chętnie bym się dowiedział. Czy ten stwór, który każe ludziom kroić się na kawałki, by móc się zagnieździć w poszarpanym ciele, zna cię od dziecka? To przyjaciel rodziny? Huśtał cię na kolanach, kiedy byłaś mała?

Nim się odezwała, przejechaliśmy parę mil i przestałem już liczyć na odpowiedź.

- Nazywają ich Oleuthroi. I nie, nigdy wcześniej tego tu nie spotkałam. Prawdę mówiąc, od dwunastu wieków nie widziałam nikogo z tej rasy. Ostatni był dorosły, bardzo stary, olbrzymi. Wraz z siostrami osaczyłyśmy go na polach Varhedre i zabiłyśmy dla zabawy. - Głos Juliet był dziwnie odległy, jakby wspomnienia z przeszłości w jakiś sposób ją tam zaniósł. - Są bardzo rzadkie - dodała i umilkła. - Obecnie. Obecnie są rzadkie. Nie zawsze tak było.

- A ty co, zajęłaś się ich ochroną? Są zagrożonym gatunkiem?

Długą chwilę milczała.

- Nim opuściłam osiedle, próbowałam go egzorcyzmować - rzekła w końcu, z powrotem skupiając wzrok na drodze przed nami. - Bez skutku. Powiedziałam ci wszystko, co mogę, Castor. Więcej niż powinnam. Bądź wdzięczny. A przynajmniej bądź cicho.

Więcej się nie odezwaliśmy. Kiedy zajechałem przed dom Susan, Juliet wysiadła bez słowa; zdawało mi się, lecz nie mam pewności, że zawróciła od drzwi i zniknęła w nocy, która jak zawsze chętnie przyjęła ją w swoje objęcia.

Nim dotarłem do Pen, minęła północ. Zadzwoiłem do Jean Daniels, co powinienem zrobić już ze szpitala, by wyjaśnić, czemu się nie odzywałem, i spytać jak się miewa Bic.

Odpowiedź brzmiała: mniej więcej tak samo. Dużo spał, a gdy się budził, odpływał i powracał - w jednej chwili przemawiał własnym głosem, w drugiej wydawał z siebie dziwny, wielojęzyczny warkot. Nie próbował nikogo skrzywdzić, ale niewątpliwie nadal pozostawał opętany.

- A teraz pan wyjeżdża? - spytała ze zgrozą Jean.

- Na jeden dzień - odparłem. - Góra dwa. Szukam Anity Yeats. Myślę, że może wiedzieć coś, co pomoże zarówno twojemu synowi, jak i mojemu bratu.

- Coś wiedzieć o czym, panie Castor? - zapytała Jean. W jej głosie dźwięczała błagalna nuta i żołądek ścisnął mi się na myśl, że czuje się zawiedziona.

- O dwóch różnych rzeczach - przyznałem. - O śmierci Kenny'ego i hobby Marka. To jedyna osoba, z którą nie zdołałem porozmawiać, a istnieje jedno oczywiste miejsce, do którego mogła się udać.

- To znaczy?

- Do domu. Do Liverpoolu. Ale natychmiast po powrocie zajrzę do Bica. Chyba że woli pani zaangażować kogoś innego. Oczywiście zrozumiem. Przysięgam na Boga, jeśli nadal będzie pani chciała, doprowadzę tę sprawę do końca. Po prostu najpierw muszę załatwić tamto.

- Nie stać nas na nikogo innego - odparła ponuro Jean. - Proszę wracać jak najszybciej, panie Castor.

Rozłączyła się, a ja dokończyłem pakowanie, zastanawiając się o której odjeżdża ostatni pociąg. Uznałem, że pewnie jeżdżą całą noc. Potem jednak załapała mnie fala zmęczenia: w głowie paliło, jakby ktoś wyszorował mi mózg stalową watą, a pierś znów zaczęła pulsować. Musiałem usiąść i poczekać, aż ból i słabość miną.

Obudziłem się późnym rankiem i ujrzałem Pen stawiającą na stoliku przy łóżku filiżankę kawy. Obok leżała czekoladowa babeczka z wbitym w nią zapalonym zimnym ogniem.

- Witaj w domu.

- Dzięki - wymamrotałem, siadając powoli. Chryste na patyku, pomyślałem. Utrata połowy dnia nie była zachęcającym początkiem misji.

- Spałeś w ubraniu - zauważyła Pen.

- W ogóle nie zamierzałem spać - mruknąłem, pociągając łyk parzącej kawy.

Opowiedziałem jej o Matcie, a ona zapełniała przerwy głośnymi przekleństwami.

- Morderstwo, co za pierdoły - rzekła, kiedy skończyłem. - Gdyby twój brat choć pierdnął w windzie, natychmiast odmówiłby dziesięć zdrowasiek.

- To prawda - przyznałem.

- Co zatem zamierzasz z tym zrobić?

- Zamierzam znaleźć Anitę Yeats. Na razie dysponuję tylko przypadkowymi, niepowiązanymi ze sobą faktami. Myślę, że Anita jest osobą, która może połączyć je do kupy. Dasz radę pożyczyć mi trochę kasy, Pen?

W kuchni na blacie stało kwadratowe blaszane pudełko, w którym kiedyś była herbata, tak przynajmniej głosił napis. Teraz zawierało dziesięciofuntowe banknoty, przechowywane przez Pen na czarną godzinę. Obecne zaćmienie oceniła na sto funtów, powoli odliczyła mi na rękę banknoty. Potem, po krótkich bojach z własnym sumieniem, dołożyła resztę.

- Ale oddaj mi to, czego nie wydasz - poprosiła.

Podrzuciła mnie na stację Turnpike Lane, stamtąd podjechałem linią Piccadilly na dworzec Kings Cross. Według strony sieciowej Virgin Trains pociągi do Liverpoolu odchodziły trzy, cztery razy na godzinę, więc nie musiałem rezerwować miejsca.

Nie mogę pomóc, Matty? - pomyślałem. Jeszcze się, kurwa, przekonasz.

16

W Anglii przeznaczeniem nie rządzi biologia, tylko geografia. Londyn góruje nad resztą i wszystkim kieruje nie dlatego, że cockneyowskie geny kryją w sobie coś arystokratycznego i wspaniałego, lecz dlatego że dorzecze Tamizy dostarcza mu geograficznej trójcy: bogatej żyznej ziemi, nadającej się do żeglugi rzeki i miliardów akrów lasów, z których można budować statki. Wciągajcie żagle i sprzedawajcie nadwyżki świata, a potem wracajcie do domu, by w wolnych chwilach stworzyć pierwszy parlament. Wkrótce nie tylko wyprzedzicie innych, ale i sami zaczniecie ustanawiać reguły.

Jadąc ekspresem Richarda Bransona z Kings Cross do Liverpoolu, przejeżdża się przez całą serię miast, które nigdy nie miały najmniejszej szansy zostania stolicą Anglii z powodu wad wrodzonych: bez dostępu do morza, spokojne, sielankowe, oddawały swoje plony, a potem dusze na żer wielkiej paszczy Londynu i bez cienia protestów czy oporu ze wspólnot rolniczych przerodziły się w sypialniane przedmieścia. Teraz próbują butelkować nostalgię i sprzedawać ją turystom, ale wygląda na to, że coraz mniej ludzi chce kupować. Kościelny zegar zatrzymał się za dziesięć trzecia? No proszę, co za przykład brytyjskiego brakoróbstwa.

Możliwe też jednak, że moja gorycz wynikała z bólu żeber, który nie chciał ustąpić, choć łykałem ibuprofen jak dropsy. A także dlatego, że facet siedzący w wagonie niedaleko mnie był wilkołakiem.

Nie zrozumcie mnie źle - jakoś szczególnie się tym nie popisывał. Nie był włochaty, zaśliniony i nie rzucał mi się do gardła. Właściwie był to młody facet w podkoszulce z napisem „FCUK” i z nastroszoną fryzurą o czarnych odrostach i jasnych końcówkach. Wyglądał zupełnie zwyczajnie, może poza imponującą muskulaturą nad talią godną tancerza. Lecz mój zmysł śmierci dźwięczał alarmowo za każdym razem, kiedy na mnie patrzył, czyli często, a bieg do pociągu zostawił na jego czole leciutką warstewkę potu, co oznaczało, że to nie jest zombie. Czyli albo miał własnego pasażera, tak jak Rafi, albo też to *loup-garou*. Rachunek prawdopodobieństwa wskazywał tę drugą opcję.

Wsiadł do pociągu w Bedford wraz z niezwykle urodziwą młodą kobietą ubraną w salwar kameez, która natychmiast wyjęła laptopa i ani razu nie oderwała od niego wzroku, dwoma ponurymi, otyłymi gośćmi w malarskich kombinezonach, kilkoma białymi

kołnierzykami i parą rozamorowanych nastolatków. Zamiast lunchu kupił sobie czteropak tennentsa extra. Kiedy jednak zorientował się, że podróżuje w towarzystwie egzorcysty, zapomniał o piwie i z drapieżną fascynacją skupił na mnie wzrok. Nigdy nie doszedłem dlaczego, lecz zmysł śmierci działa w obie strony: my wiemy, kiedy jesteśmy w obecności zmartwychwstałych, a oni wiedzą, że patrzą na kogoś dysponującego mocą odesłania ich z powrotem. Odkąd pan FCUK doszedł do tego wniosku, ani na moment nie oderwał wzroku od mojej twarzy.

Najchętniej udawałbym, że niczego nie zauważyłem. On nie polował, ja także. Ale coś mi mówiło, że nie pójdzie tak łatwo. *Loup-garou* uniósł rękę, jakby chciał mi pomachać, rozcapierzając cztery palce. Potem otworzył puszkę piwa i opróżnił kilkoma haustami. Kiedy skończył, uniósł trzy palce. Potem otworzył i wysączył następną, w nieco spokojniejszym tempie. Odliczanie. Najpierw załatwię moje piwko, potem ciebie.

Udałem głębokie zainteresowanie krajobrazem i podczas gdy *loup-garou* zajął się piwem numer trzy, próbowałem zdecydować, jak rozwiązać ten niefortunny problem. Czułem się do dupy o ile to możliwe, jeszcze sztywniejszy i bardziej zmęczony niż poprzedniej nocy. W snach nieustannie słyszałem żalosne, przeraźliwe błagania Kenny'ego i co rusz powracałem na jawę, aż w końcu wraz ze snem zaczęły się zlewać w jedno.

W końcu znudziło mnie szacowanie szans.

Wstałem, poruszając się nieco przesadnie, niczym mim pokazujący „wybieram się na spacer”. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjąłem flet, położyłem na siedzeniu i odszedłem z rękami w kieszeniach. Dotarłszy do wagonu restauracyjnego, kupiłem styropianowy pojemnik pełen cieczy barwy kawy. A potem, zamiast wrócić na miejsce, przystanąłem w drzwiach ciasnego przejścia między wagonami; oparty o ścianę, wyglądałem przez otwarte okno na przemykające obok pola i drzewa. Jedną dłoń położyłem na oknie, druga trzymała kubek.

Po paru chwilach drzwi za moimi plecami otworzyły się z sykiem. Ze środka wyłonił się młodzian żywy inaczej i gdy drzwi zamknęły się za nim, zatrzymał się, patrząc na mnie na granicy mojego pola widzenia.

- Ten flet to twój numer? - warknął *loup-garou*.

W jego głosie dźwięczała sucha chryпка, tak głośna, że brzmiało to, jakby miał w gardle perkusyjną tarkę.

- Owszem - odparłem, nie oglądając się. - Ogólnie rzecz biorąc, muzyka, ale flet stanowi najlepsze medium, jakie do tej pory znalazłem. W tonacji D. Z pewnością pojmujesz.

Pół sekundy ciszy, pełnej niezrozumienia.

- W takim razie, czemu go zostawiłeś? Myślisz, że się, kurwa, przejmę zabiciem bezbronnego? A może w ten sposób machałeś mi białą flagą?

Spojrzałem na niego przeciągle, starając się zachować obojętną minę.

- Posłuchaj - rzekłem łagodnie. - Mam teraz wolne. To dobra nowina dla nas obu. Może zatem kupisz sobie jeszcze parę piw, popracujesz nad uszkodzeniem własnej wątroby, a na Lime Street obaj się pożegnamy i rozejdziemy każdy w swoją stronę? Nikomu nie stanie się krzywda. Co ty na to?

Loup-garou wpatrywał się we mnie. Uniesione wargi odsłoniły zęby, a to niedobry znak u wilkołaka. Zauważyłem, że jego uzębienie składa się wyłącznie z kłów.

- Jesteś rusztem. - Niemal wypluł to słowo, jak coś niesmacznego, co przypadkiem przełknął.

Mogłem to nazwać mową nienawiści, ale egzorcyści sami wymyślili to przezwisko, bo idealnie opisywało ich podstawowe zajęcie: smażenie duchów. Przepędzanie zmarłych bez żadnych ograniczeń, nieważne, czy komuś zagrażali, irytowali, czy jedynie zaniżali ceny nieruchomości.

- A ty debilem - odparłem spokojnie. - Idź się upij.

- Chyba wolę ciebie zabić - zauważył złośliwie uśmiechnięty *loup-garou*.

Twarz miał rumianą, jego oczom tak jak u zwierząt brakowało białek. Częściowo był to efekt zwierzęcia i człowieka próbujących zawrzeć niełatwą umowę co do wyglądu swego nowego ciała, myślę jednak, że do tego miał jakiś nałóg. To znaczy, oprócz alkoholu.

- Robiłeś to już wcześniej? - spytałem.

Zaśmiał się krótko - samotny dźwięk przepchnięty przez obnażone zęby.

- Czy zabijałem? O, tak.

- Walczyłeś z egzorcyستą? - Położyłem mocny nacisk na to słowo.

Jego twarz zarejestrowała je w mikrosekundowym przeblysku emocji, której nie zdołałem rozpoznać.

Zignorował jednak moje pytanie, a przynajmniej odparował własnym.

- Masz jakąś forszę? - spytał.

- A czemu? - Udałem, że pociągam łyk kawy.

- Zapłać mi setkę, parę setek, a może pozwolę ci żyć.

Westchnąłem i pokręciłem głową.

- Umarłeś młodo - powiedziałem, próbując po raz ostatni. - To znaczy, za pierwszym razem. Pewnie dlatego, że wdałeś się w kolejną durną przepychankę, tak jak ta tutaj. Ucz się

na własnych błędach, dobra? Choć raz daj sobie siana i sprawdź, czy istnieje inne wyjście poza najtrudniejszym.

Palce *loup-garou* zakrzywiały się niczym szpony - i z ich koniuszków wyłoniły się prawdziwe szpony. Cofnął się o krok, zapewne dlatego, że zwierzę, do którego pierwotnie należało ciało, lubiło atakować ze skoku, a w wagonie kolejowym nie zostało na to zbyt wiele miejsca.

Chlusnąłem mu kawą w twarz. Prosiłem o podanie wrzątku, a potem dwa razy odgrzanie w mikrofalówce, aż w końcu stała się zbyt gorąca i trudno ją było utrzymać nawet przez styropian i kartonową opaskę. Dlatego właśnie wcześniej jedynie udawałem, że piję - przeznaczyłem ją do zastosowań ofensywnych.

Loup-garou wydał z siebie gulgotzący wrzask, odruchowo uskokzył i pochylił się, choć było już za późno. Musiał strasznie cierpieć, bo niemal wrząca ciecz oślepiła go i wypełniła wspaniale wrażliwe zmysły ogłuszającym szumem bólu. Wiedziałem dokładnie, co czuje, ale w żaden sposób nie wpłynęło to na mój plan gry.

Puściłem drzwi, które już wcześniej otworzyłem i jedynie przytrzymałem wolną ręką.

Gdy otwarły się w prądzie powietrza otaczającym pędzący pociąg i uderzyły o ścianę, kopnąłem *loup-garou* w miejsce, w które nie lubi być kopana żadna istota płci męskiej, nieważne, czy żywa, nieumarła, czy pośrednia. Potem złapałem go oburącz za ramiona i pchnąłem naprzód. Zręcznie podstawiona noga sprawiła, że poleciał dalej, wymachując bezradnie rękami i koziolkując w ogłuszającym szumie i świetle pozostawianym za nami.

Wszystko rozegrało się w ciągu pięciu sekund. I musiało, bo gdybym pozwolił mu choć raz użyć pazurów, byłoby to moją łabędzią pieśnią krwi. Wychyliwszy się niebezpiecznie, przytrzymałem się ramy okna i szarpnięciem zamknąłem drzwi w chwili, gdy łącznik między wagonami otworzył się i wynurzyła się zza niego głowa Azjatki z laptopem.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Słyszałam hałas - rzekła bez szczególnego przekonania.

Wskazałem ręką drzwi.

- Ktoś je niedokładnie zamknął - wyjaśniłem. - Otworzyły się, ale zdołałem je zatrzasnąć.

Zawahała się na ledwie dostrzegalną chwilę - być może zauważyła rumieńce na mojej twarzy i drżące ręce - albo jedynie rozlaną kawę na podłodze. Potem jednak kiwnęła głową i wycofała się - jeśli nawet nie zadowolilo jej moje wyjaśnienie, to w każdym razie nie

zamierzała robić z tego afery. Odczekałem parę chwil, dopóki tłukące się w piersi serce mniej więcej się nie uspokoiło, i wróciłem na swoje miejsce.

Reszta podróży upłynęła bez przygód. Nie mogłem jednak otrząsnąć się z ponurego nastroju. Myślałem o dzieciach: o Marku Seddonie i o Bicu. A nawet małym aroganckim sukinsynu, z którym dopiero co się starłem. Nie ja zacząłem tę walkę, a kiedy już mnie do niej wciągnął, wygrałem w jedyny możliwy sposób. Może nawet przeżył, bo *loup-garous* są równie wytrzymałe jak chwasty. Jeśli nie, jego duch może znaleźć sobie innego gospodarza i w swoim czasie rozpocząć na nowo proces przemiany.

Nadal czułem się tak, jakbym niesfornego szczeniaka potraktował sprężynowcem. Ale z drugiej strony, nie dysponowałem akurat zwiniętą w rulon gazetą.

Wjazd na Lime Street po raz pierwszy od tak dawna sprawił, że w dziwny sposób zacząłem widzieć podwójnie. Trzy lata. W gruncie rzeczy nie tak długo w sensie kalendarza, lecz biorąc pod uwagę, ile w tym czasie przeżyłem, równie dobrze mogły minąć dwie epoki lodowcowe. Kiedy ostatnio przeszedłem przez te wielkie drzwi i poczułem na twarzy ostry, cierpki oddech Mersey, było to jeszcze przed Juliet. A nawet przed Rafim. W czasach, gdy przepędzanie zmarłych dla zabawy i zysku wydawało mi się całkiem rozsądnym sposobem zarabiania na życie.

Wyjazd na północ oznaczał zbliżenie się o marne dwieście mil do kręgu polarnego, lecz mimo wszystko w popołudniowym powietrzu wyczuwałem lekki chłód. Zielony piętrowy autobus w kolorach MPTE przejechał obok i, przechodząc przez ulicę, dostrzegłem najpierw wieżę Playhouse wyrastającą nad Forster Square, a potem, dalej po prawej, heroiczny fronton St Georges Hall. W galimatiasie nowych ulic i paskudnych budynków z lanego betonu były jak starzy przyjaciele stojący z boku na imprezie, na której nie znają nikogo.

Z czystego przyzwyczajenia poszedłem na przystanek, żeby złapać numer 93. Mogłem podjechać taksówką, ale zawsze jeżdżę do miasta autobusem. Żadne z moich rodziców nie miało prawa jazdy, ja sam wziąłem pierwsze lekcje dopiero po przeprowadzce do stolicy.

Sprawdziłem w myślach plan wycieczki. Przede wszystkim szukałem Anity: pomijając mój kiepski przykład, ludzie urodzeni i wychowani w Liverpoolu 9 maja mają silny instynkt powrotu do domu i przypuszczałem, że tu właśnie trafiła po tym, jak życie z Kennym straciło swój blask. Uznałem, że potrąsnę nieco jej bratem Richardem - Kutagębą - i zobaczę, czy wie, gdzie ją znaleźć. Jeśli nie, postaram się czegoś dowiedzieć, zadając mu te same pytania.

Uznałem też, że warto byłoby porozmawiać z którymś z Seddonów, jeśli mieszkają jeszcze w Walton. Jego bracia, Ronnie i Steven, mogli coś wiedzieć o stanie umysłu Kenny'ego w ostatnich tygodniach. No i zawsze istniała możliwość, że niechcący zdradził coś przez telefon bądź w e-mailu.

Dwie kobiety rozmawiające za mną w kolejce przywołały mnie do rzeczywistości. Po tak długiej nieobecności trudno było nie poddać się nosowej poezji miejscowego akcentu.

- Kocha się w niej na zabój, co nie?
- O tak. Wystarczy tylko spojrzeć, nie?
- Ale jeśli sądzi, że panna zdobywa pieniądze grą w bingo, to żyje w innym świecie.
- To bura suka, nic więcej.
- Ku-uur-wa i tyle.

Tak zawsze wymawiała to słowo moja matka. Nie: kurwa, tylko: ku-uur-wa. Trzy sylaby wypowiedane z radosnym naciskiem.

Skup się na sprawach bieżących.

Anita.

Kenny.

I jeszcze jeden punkt programu, którym musiałem zająć się najpierw.

Autobus wywiózł mnie z miasta St Anne's Street i dalej, asfaltowo-betonowym pasem będącym jedyną pozostałością Scotland Road. Gdy opuszczamy centrum, Liverpool otwiera się przed nami w serii koncentrycznych pasów biedy i niemal bogactwa - choć jeśli chcecie ujrzeć prawdziwe bogactwo, musicie skręcić na wschód do Woolton, a ja jechałem w zupełnie inną stronę.

Wysiadłem dwa przystanki dalej niż powinienem, przy wiadukcie Queen's Drive. Queen's Drive to liverpoolska obwodnica, choć ze względu na swój kształt: półksiężycą stłoczonego wzdłuż brzegów rzeki Mersey, nie przypomina pierścienia, lecz jego połówkę. Kiedy John Brodie zaczął jej budowę w 1903, Walton wciąż było wioską. Gdy dwadzieścia pięć lat później schował narzędzia i podpisał odbiór gotowej roboty, stało się dzielnicą miejską. Jednakże część ulic za kościołem Świętej Marii nadal zachowało swój małomiasteczkowy urok. Inne, zwłaszcza te wokół szpitala Walton, przeszły kolejną przemianę w slumsy, lecz w dzieciństwie nie dysponowaliśmy żadnym materiałem porównawczym. Wedle naszej wiedzy królowa też sypiała z pluskwami.

Szpital stoi tuż poza ciasnymi objęciami Queen's Drive, na północnym końcu Breeze Hill. Ja jednak po wyjściu z autobusu skręciłem w drugą stronę, minąłem kościół i pomaszerowałem County Road. W połowie lat osiemdziesiątych rada miejska postanowiła w

końcu pozbyć się belki z własnego oka i wyburzyła rudery, w których się urodziłem, przenosząc większość mieszkańców albo na nowe osiedle w Trójkącie Walton, albo do domów komunalnych parę mil dalej w stronę centrum.

Parę mil. Góra. Lecz w Liverpoolu także geografia określa przeznaczenie i z jakiejś przyczyny odległości stają się dziwnie ściśnięte. Sto metrów może zdecydować kim i czym jesteś.

Dla mojego taty, który stracił już córkę i żonę, wyprowadzka z Walton do Everton Valley była ostatnim ciosem, który na zawsze wyłączył go z gry. Oznaczała porzucenie ekosystemu równie złożonego, kruchego i nieprzenośnego jak rafa koralowa: ekosystemu, w którym dzieci zamieszkiwały w domach na tej samej ulicy co rodzice albo najwyżej sąsiedniej, gdzie w promieniu pół mili można było się doliczyć dwudziestu, trzydziestu kuzynów, a każda rodzina dziedziczyła sojusze i konflikty wywodzące się co najmniej z czasów pierwszej wojny światowej.

Odłączony od całego tego systemu John Castor poddał się rakowi okrężnicy i umarł po niecałym roku. Zupełnie jakby podjął decyzję, że nie ma sensu dłużej trzymać się życia.

Z każdym krokiem cofałem się w czasie: County Road była moim batyskafem. Od śmierci ojca cofnąłem się dziesięć lat do zerwania rodziców. Zapewne doszłoby do niego znacznie wcześniej, gdyby mieszkali wówczas w Everton. Konserwatyzm cementuje tkankę społeczną, a przynajmniej ten jego rodzaj, który piszemy małą literą - wiemy co robi ten drugi. Tak czy inaczej, zdrady matki i bohaterskie chlania ojca może i trzęsły ich małżeństwem jak wieżowcem w Tokio, ale tato, dopiero gdy przyłapał mamę in flagranti, uznał w końcu, że ma dosyć. A nawet wtedy poszło o niuanse. Kiedy znajdujecie swoją żonę nagą z innym facetem, tłuczecie go do nieprzytomności i wyrzucacie z okna sypialni na szopę, to zupełnie zrozumiałe. Ale patetyczne „nie każ swą obecnością mojego domu” miało być zapewne na pokaz. Po prostu tym razem mama zdecydowała się potraktować to, co powiedział, dosłownie.

Potem życie, zarówno moje, jak i Matta, niezwykle się odmieniło. Mama wyjechała, mieszkaliśmy z samym ojcem. Matt wyjechał, a ja nadal mieszkałem z ojcem. Bardziej jednak przypominało to dwóch facetów wynajmujących wspólnie mieszkanie, wdujących się od czasu do czasu i mających sobie coraz mniej do powiedzenia. Potem mama wróciła, a wraz z nią możliwość, że znów zostaniemy prawdziwą rodziną. Zamiast tego jednak wprowadziła się do nowego kochanka, Terry'ego Lacklanda, przez co zły humor taty stał się naprawdę groźny i zyskałem kolejne miejsce, w którym nie czułem się jak u siebie.

A teraz tato nie żył, Terry nie żył i nic z tego nie miało już znaczenia. Tyle że między tymi, którzy przeżyli, ofiarami domowej wojny, wciąż pozostał dystans nie do przebycia. Gruzowisko. *Débris*. Właśnie po nim szedłem.

Domem mamy, niegdyś komunalnym, obecnie zarządza prywatna spółka, Inner City Partnership. Wystarczy wspomnieć ich nazwę, by usłyszeć spektakularną wiązkę wyzwisk z jej ust. Nie da się jednak zaprzeczyć, że to szczebel - jeśli nie cała pieprzona drabina - wyżej od Arthur Street. Choćby dlatego, że drzwi nie zabito kawałkiem dykty. No i mają dzwonek.

Nacisnąłem go, odpowiedziała mi cisza. Po jakimś czasie zadzwoniłem jeszcze raz.

Mama otworzyła po czwartym, właśnie kiedy miałem się poddać. Uchyliła drzwi i przez moment wpatrywała się we mnie z obojętną miną. Potem w jej załzawionych oczach dostrzegłem błysk.

Mnie też nie było łatwo. W moim umyśle Barbie Castor na zawsze pozostała heroiczną, posagową niewiastą, jedną z waltońskich kobiet, o których mawia się z aprobatą i szacunkiem „walczy jak facet”. Jako dzieciak stawiałem ją na piedestale, także w sensie dosłownym, lecz jej bujne ciało i dążenie z uporem do niezależności czyniły z niej osobę, za którą łatwo się ukryć, która cię chroni i na której można polegać. Nawet jej odejście nie zszargało tego obrazu - wprost przeciwnie, pomogło, bo właśnie wchodziłem w ikonoklastyczny okres dojrzewania, kiedy nastolatki zaczynają się buntować, i nie miałem okazji porównać jej wyśnionego obrazu z rzeczywistością i przeżyć rozczarowania. W konsekwencji, kiedy w ogóle o niej myślałem, widziałem ją z perspektywy dziesięcioletniego Feliksa, co znaczyło patrzenie w górę niemal z poziomu ziemi.

Mama nadal pozostała potężna, lecz w czasie podróży z przeszłości w teraźniejszość jej zawartość - podobnie jak w opakowaniach sprzedawanych na wagę, nie objętość - wyraźnie się przemieściła. Sylwetka stała się miękka, a pod krótkimi rękawami bluzki ujrzałem ramiona pozbawione dawnej muskulatury. Twarz także straciła ostrość rysów, spojrzenie przesunęło się po mnie parę razy, a nie, jak kiedyś, przyszpiliło do ściany.

- Felix - rzekła z wznoszącą się intonacją, a potem z nieco większym przekonaniem: - Felix!

Objęła mnie krótko, lecz czule.

- Cześć, mamó - odparłem. Wiedziałem, że w tych okolicznościach wszystko zabrzmiało banalnie, toteż zdecydowałem się na: - Co słyhać?

- W porządku - rzekła. - U mnie wszystko dobrze. Wejdz.

Poprowadziła mnie do salonu, do którego w prawdziwym stylu Walton wchodziło się wprost z ulicy, bez pośrednictwa przedpokoju bądź werandy. Był to pokój ucieleśniający

cnoty mojej matki: solidny, czysty, pozbawiony jakichkolwiek książek bądź ozdób, prócz jej ukochanej reprodukcji obrazu Edwarda Johnna Pointera „Wierny do śmierci”, przedstawiającego rzymskiego żołnierza stojącego wytrwale na posterunku, podczas gdy dookoła syją się z nieba popioły Wezuwiusza. Z czasem obraz nabrał coraz ciemniejszego, żółtobrazowego odcienia - to nikotyna zabarwiła szkło mimo regularnego czyszczenia.

W pokoju stał jeden fotel i wąska dwuosobowa kanapa, oba meble obite tkaniną w krzykliwe wzory, przenośny telewizor wielkości pudełka zapalek z rozkładaną anteną i stolik poznaczony dziesiątkami jaśniejszych kółek, pozostawionych przez tysiące kubków gorącej herbaty - co skojarzyło mi się natychmiast z młodym *loup-garou* z pociągu. Teraz jednak nie stał na nim żaden kubek, jedynie dwie butelki jasnego piwa „Worthington”, jedna pusta, jedna do połowy pełna oraz szklanka ze śladami piany wokół krawędzi.

- Nie za wcześnie aby, mamó? - spytałem, starając się, by zabrzmiało to jak żart.

- Precz, precz z rumem - odparła matka, cytując szyderczą parodię abstynenckiej pieśni Mike'a Hardinga. Zawsze tak odpowiadała, gdy ktokolwiek komentował jej picie. Nie jest alkoholiczką, nie wedle własnej definicji, nigdy bowiem nie pozwalała sobie upić się bardziej niż wymaga tego sytuacja. - To znaczy, że ty zadowolisz się herbatą, skarbie? - dodała, znacząco wywracając oczami.

- Na razie owszem - odparłem ostrożnie.

Poszła do kuchni, a ja zostałem w salonie. Odgrywając Sherlocka Holmesa, zacząłem szukać petów. Gdyby jednak mama znów zaczęła palić, nie potrzebowałaby czegoś tak oficjalnego jak popielniczka, a poza tym zauważyłbym to tuż po przekroczeniu progu, bo w salonie unosiłby się charakterystyczny zapach - gdzieś w połowie drogi między rozpaczą i rozkładem - palarni w starych hotelach.

Na kominku stało jednak mnóstwo butelek po piwie. Stawiała je tam wiedzioną atawistycznym odruchem - kiedy dorastałem, pełniły funkcję podobną do klamerek do bielizny, przytrzymując bieliznę moją i Matta suszącą się w ciepłym powietrzu z paleniska. Teraz ogień zastąpił palnik gazowy z efektem płonących kłód, a butelki wyglądały jak starzy wiarusi, świadomi, że oddzwoniono już przerwanie ognia, i czekający na rozkaz odwrotu.

Mama wróciła do salonu, niosąc w ręce kubek herbaty z mlekiem, w której wciąż pływała torebka. Nigdy nie należała do wyznawców idei, że najpierw je się oczami. Wręczyła mi go, a potem pocałowała mnie w policzek, kładąc dłonie na moich ramionach i ściskając mocno.

Szukałem czegoś, co mógłbym powiedzieć, ale nie znalazłem. Nie miałem nawet pewności, czy wie, dopóki nie wtuliła twarzy w moje ramię i nie usłyszałem jednego

rozdzierającego gardło szlochu. Mama nigdy nie płakała - nie łzami. Może kiedy Matt przyjął święcenia, ale łzy dumy to co innego. Poza tym świat nigdy nie wycisnął z niej ani mililitra łzy. I nawet teraz, gdy uniosła wzrok, patrząc na mnie, oczy miała suche. Puste, zębkane, zaczerwienione, ale suche.

- Gdybyś to był ty, Feliksie, może bym zrozumiała.

- Dzięki, mamó - rzuciłem.

- To nie znaczy, że by mnie to nie obeszło, skarbie. Ale Matty żyje w innym świecie niż ty. Zawsze tak było. - Z rezygnacją pokręciła głową. - Po prostu nie pojmuję, jak to się mogło stać - rzekła z żalem.

- On tego nie zrobił - powiedziałem. - Na bank.

Mama zjeżyła się nagle, nie na mnie, tylko na świat, który tak źle osądził jej syna.

- Do cholery, sama to wiem! Czyż go nie wychowałam? Czy nie jest mój? Oczywiście, że tego nie zrobił, do diabła!

- W takim razie w porządku - mruknąłem. - Po prostu przypominałem.

Mama usiadła ciężko w fotelu, sięgnęła po szklanę i pociągnęła wielki łyk piwa, po czym przelała do niej resztę zawartości butelki. Mnie została kanapa, co oznaczało, że chcąc na nią patrzeć, musiałem przycupnąć na skraju poduchy, balansując na jednym pośladku. Odstawiłem kubek z herbatą na goły drewniany stolik, dodając do kolekcji kółek kolejne. Może z ich pomocą dałoby się określić jego wiek.

Mama wpatrywała się we mnie z uroczystym namysłem; jej gniew minął równie szybko jak się pojawił.

- Trzy lata - powiedziała miękko. - Trzy lata, Fix.

- Przecież dzwoniłem - odparowałem, ale raczej słabo.

Ostatnim razem rozmawialiśmy dobrze ponad rok wcześniej. Pytałem wtedy, jak się czuje, bo Matt mi powiedział, że dochodzi do siebie po infekcji płuc. Infekcja okazała się lekkim zapaleniem, a ja nadal znajdowałem powody, by tu nie przyjeżdżać. Biorąc pod uwagę odległość, tak naprawdę nie istniały. Bez korków z Londynu do Liverpoolu jedzie się trzy godziny - w Ameryce ludzie zapuszczają się dalej, żeby kupić karton mleka.

Zdałem jej zatem szybką relację z mojego życia, zaledwie wspominając o sukubach, zombie i łakach i skupiając się raczej na niedawnych wędrówkach po tym, jak Pen wykopała mnie z domu. Bo widzicie, dobrze znam swoją publiczność - mama faworyzuje Matta, bo on wybrał Boga, a ja diabła. Kiedy zatem spytała, czy z kimś się spotykam, pominąłem całą historię zadurzenia w Juliet i to, jak demon z piekła rodem rzucił mnie, wybierając lesbijski romans z kościelną.

- Spotykam się z pielęgniarką - oznajmiłem. A że była to szczerą prawdą, zdołałem uniknąć rumieńca.

Wszystko to jednak stanowiło jedynie pretekst do niemówienia o Matcie i kiedy zabrakło mi anegdot nadających się do druku, odkryłem, że nadal nie jestem gotowy poruszyć tego tematu.

- Często wychodzisz? - spytałem, przerzucając opóźniającą piłkę na jej połowę.

Mama pokręciła z emfazą głową.

- Niby po co, Fix? Mam w tym pokoju wszystko czego potrzebuję. Oglądam telewizję, słucham radia. W martwym sezonie obstawiam czasem gonitwy. Wiesz, że lubię grać kombinacjami. Trzy pary...

- I trójka - dokończyłem. - Mini yankee. Tak, pamiętam. Wciąż słuchasz Sing Something Simple?

- Już go nie nadają - odparła. - Ale w soboty wciąż leci Billy Butler.

Billy Butler i jego nagrodzony brązową nagrodą Sony program „Hold Your Plums”. W dzieciństwie, słysząc go, zaśmiewaliśmy się z Mattem do rozpuku. Tylko ktoś z Liverpoolu mógł wymyślić radiowy konkurs wykorzystujący automat owocowy z mechanicznym głosem, oznajmiałym, co pokazało się w każdej kolumnie.

- Billy Butler - powtórzyłem. - Chryste. - Tylko ten komentarz pasował.

- O, tak - zgodziła się mama. - Ja nigdy się nie zmieniam. Przeżyłam już dość zmian, Fix. W dzisiejszych czasach wystarczy mi to, co mam.

Ale ty nie masz nic, mam, pomyślałem, lecz nie powiedziałem tego. Wszyscy ludzie, których znałaś, nie żyją albo się wyprowadzili. A ty tkwisz tutaj, w Walton, jak mucha w bursztynie. Choć jasnemu piwu brakuje tego złocistobrazowego odcienia. Przypomina raczej szczyzny.

- Widujesz czasem ludzi z Arthur Street? - spytałem.

Tym razem mama nie odpowiedziała. Spojrzała na mnie z namysłem, czekając na więcej.

- No wiesz, z dawnych czasów - doprecyzowałem.

Nadał nic. Pociągnęła kolejny łyk ze szklanki.

- Wiem, że sporo osób przeniosło się do Trójkąta - podjąłem - po tym, jak wyburzyli...

- Po co tu przyjechałeś, Fix? - spytała, odstawiając pustą szklankę. - Tak naprawdę?

- Chcesz powiedzieć: oprócz tego, by się z tobą spotkać?

- Owszem, to właśnie chcę powiedzieć.

- Chodzi o Matta - odparłem otwarcie. - Wiesz, kogo ponoć zaatakował?

- Kenny'ego Seddona.

- Pomyślałem zatem, że trochę powęszę. Pogadam z ludźmi, którzy wiedzą lepiej ode mnie, co kombinował Kenny, zanim...

- Zanim ktoś posiekał go jak mięso na kotlet.

- No, tak. Owszem.

Mama przytaknęła z poważną miną.

- No to mów. Kogo masz na liście?

- Anitę i Richiego Yeatsów - oznajmiłem. - I braci Kenny'ego, Ronniego i Steve'a. Masz może pojęcie, gdzie trafili?

- Yeatsowie przenieśli się do Bootle. - Mama zaczęła odliczać na palcach. - To znaczy, Eddie i Rita Yeats, kiedyś Rita Brydon. Anity nie widziałam od wieków. Richie mieszkał z nimi, tak przynajmniej mówił Ernie Hampson. Słyszałam jednak, że w końcu go wykopali. - jej mina świadczyła wyraźnie, że nie dopowiedziała czegoś istotnego.

- Ale dlaczego? - spytałem. - Za co go wykopali?

Mama zacisnęła wargi.

- No wiesz - rzekła. - Dorosły mężczyzna, który w całym swoim życiu nie przepracował uczciwie nawet jednego dnia? To nicpoń, Fix, do niczego się nie nadaje. Niektórzy nawet po stu latach nie potrafią do niczego dojść. A poza tym jest... no wiesz.... - Mama uniosła rękę, opuściwszy dłoń.

- Jest gejem? - spytałem obojętnie.

- Zacisnęła usta i skinęła głową.

- Twierdzisz, że wyrzucili go, bo jest gejem?

Mama nie ustąpiła.

- Nie chciałbyś chyba, żeby twój syn sprowadzał do domu obcych mężczyzn? - zapytała ostro. - Niektórzy z nich...

- Dzięki za informacje, mamó - przerwałem jej. I myśląc o Juliet, dodałem: - Przynajmniej zadawał się tylko ze swoim gatunkiem.

Myślę, że homofobia to cecha pokoleniowa - z całą pewnością nie wiąże się z klasą społeczną ani geografiją, bo na te same bzdety można równie łatwo natknąć się w Hampstead. Teraz przypomniałem sobie, że Richie nawet w dzieciństwie dokonywał wybitnie niestandardowych wyborów - wśród moich znajomych był jedynym chłopakiem skaczącym na skakance. Ale wówczas nie przywiązywałem do tego wagi. Może jednak ktoś inny coś zauważył? Może przezwisko Kutagęba było czymś więcej niż tylko złośliwością?

- Co do Ronniego Seddona - zgięła kolejny palec - sprzedawał narkotyki Pod Palmą, dopóki raz nie naciął się na parę gliniarzy w cywilu. To go załatwiło. Dostał trzy lata w Walton. Choć słyszałam, że krąży tam więcej prochów niż gdziekolwiek indziej, więc zapewne jest szczęśliwy. Chłopak Teresy Size, Philip, mówił, że przemycają je przez mur od strony cmentarza przy Hornby Road. Używają do tego procy. Przywiązują torebki z heroiną do starych baterii i wystrzelują z procy.

Mama opowiadała to wszystko z zapalem. Jej ulubione lektury zawsze stanowiły historie prawdziwych zbrodni, choć wolała porządne morderstwo od wszelkich kradzieży i uszkodzeń ciała.

- No i Steven Seddon - rzekła. - Jakiś czas pracował w dokach, kiedy jeszcze od czasu do czasu przybijało tu kilka statków. W końcu jednak rzucił to i poszedł do szkoły wieczorowej. Teraz zatrudnił się w kancelarii prawniczej w Cunardzie i nosi garnitur. Widuję go czasem jak czeka na autobus koło pośredniaka; wygląda jak paniczek. Osobiście nie powierzyłabym mu nawet spinacza.

- Czy któryś z nich wciąż wpada do Bryzy?

Mama się skrzywiła.

- Może Richie, choć nie mogę pojąć, czemu ktokolwiek miałby tam wracać. Harold Keighley to najokropniejszy sukinsyn, jakiego znałam, niech mi Bóg wybaczy mój język. Kiedy przestaje przyjmować zamówienia, otwiera na oścież drzwi, tak że w środku robi się zimno jak w lodowni.

Słyszac ten opis, uśmiechnąłem się - pamiętałem owe zimowe noce, gdy determinacja kazała dopić ostatniego drinka musiała walczyć z początkami hipotermii.

- Nadal to robi? - spytałem.

- Lampart rzadko zmienia cętki, Fix - odparła sentencjonalnie mama. - A Keighley nawet cholerną bieliznę zmienia najwyżej dwa razy do roku.

Potem wstała i znów poszła do kuchni. Tym razem przyniosła dwie butelki piwa. Zdjęła kapsle otwieraczem do konserw - takim staroświeckim, z dwoma zakrzywionymi ostrzami, jednym mniejszym, drugim większym, wyglądającym jak egzotyczne narzędzie tortur. Wręczyła mi butelkę, a ja ją wziąłem, bo wiedziałem, że jeśli odmówię, sama opróżni obie.

Pijac, wspominaliśmy, a tymczasem na dworze zapadał wieczór. O wpół do ósmej zrobiliśmy przerwę, bo mama oglądała „Coronation Street”, a ja wyprawilem się do monopolowego na końcu ulicy. Potem jeszcze trochę piliśmy i wspominaliśmy.

- Mamo - zagadnąłem, osądziwszy w końcu, że złagodniała dostatecznie, by nie załamać się pod ciosem. - Matt odszedł z domu mniej więcej wtedy co ja, prawda?

Mama kiwnęła głową.

- W tym samym roku - potwierdziła. - Pierwszą parafię dostał w Birmingham. Naszej Pani z Syjonu. Ty wyjechałeś we wrześniu do Oxfordu, a Matt w grudniu. Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem wygłosił pierwsze kazanie. Pamiętasz? Wszyscy na nie przyjechaliśmy.

- O, tak - odparłem - pamiętam. Ale święcenia przyjął w kwietniu. Co robił w międzyczasie?

- Mama obdarzyła mnie spojrzeniem o paręset lat za starym, by można je nazwać staroświeckim.

- Uczył się być księdzem - wyjaśniła. - Owszem, został wyświęcony, więc nie był już diakonem, ale to nie działa jak w fabryce, Fix. Najpierw musiał odpracować sporo rzeczy. Nazywał je seminariami. Jedno tu, drugie tam. Jeździł po całym kraju i żył na walizkach. Tyle że to nie była walizka, lecz wielka, bezkształtna torba z dwoma uchwytami, którą kupił w Army and Navy. Miała ze dwa metry. - Zobrazowała swe słowa, rozkładając ręce. - Powiadam ci, wyglądał jakby dźwigał pieprzoną bazookę. Gdyby to się działo teraz, z pewnością ktoś uznałby go za terrorystę i zastrzelił.

To doprowadziło ją zbyt blisko do bolesnego tematu obecnej sytuacji Matta, toteż natychmiast się wycofała.

- Był wszędzie - dokończyła. - Miotał się po kraju jak niebieskodupa mucha.

- Ale ciągle mieszkał w seminarium? W Skem?

- W Upholland? Nie, po tej wielkiej - no wiesz, tej paradzie, kiedy biskup namaścił go olejem i dał mu orkan - potrzebowali jego pokoju dla kogoś innego. Został tam do jesieni, a kiedy zjawili się nowi chłopcy, wrócił tutaj.

„Orkan” oznaczał w ustach mamy ornat, pozbawioną rękawów szatę, którą ksiądz przywdziewa na wszystkie pozostałe przed odprawieniem mszy. Nigdy nie miałem pewności, czy to z jej strony błąd, czy żart - ostatecznie jej przekrecone wersje tekstów piosenek, na przykład: „kokietka się w żartach wpieprza” zamiast „orkiestra sierżanta Pieprza”, były legendarne.

Tak naprawdę jednak zastrzegłem uszami na wieść, że Matt wrócił do domu na czas pomiędzy seminarium a objęciem pierwszej parafii. Ja wypłynąłem już wówczas na szerokie wody wielkiego świata i uwaląłem kolejne zajęcia. Nie wydaje mi się, bym w ciągu pierwszych dwóch semestrów choć raz zajrzał do domu.

- Wrócił do Walton? - spytałem, by się upewnić, że dobrze zrozumiałem.

- Wrócił do tego domu, Fix. A gdzie indziej miał pójść?

Skinałem głowę, przyznając jej rację.

- To znaczy, że spędził tu trzy miesiące - podsumowałem. - Z powrotem w obiegu. Sprawdzając, co u starych znajomych.

Mama pociągnęła nosem.

- No, nie wiem. Z kilkoma się spotkał, owszem. Ale nie chadzał na spacer do Bryzy i nie stawał z nimi przy barze, rozumiesz? To nie dla duchownych. Oni muszą być ponad to.

A potem, zgodnie z niewypowiedzianym porozumieniem między nami, rozmowa zoczyła w inną stronę. Nostalgia i piwo same w sobie stanowią mocną mieszankę, a kiedy mama wyciągnęła album ze zdjęciami i otworzyła go dokładnie na środku, rozpętała się burza uczuć. Ujrzałem nas wszystkich: Matta i siebie w krótkich spodenkach, tatę, opalonego i przystojnego - „czarny koń”, nazywała go moja babcia z mieszaniną podziwu i dezaprobaty - i mamę wyglądającą jak milion dolarów.

- Co się z nami stało? - zastanawiałem się głośno. - Po prostu... - Nie mogłem znaleźć słowa, toteż zamiast tego je odegrałem, unosząc dłoń przed twarzą i zaciskając palce, a potem rozcapierzając je szeroko. - Skąd to się wzięło? W jednej minucie byliśmy rodziną, w następnej... wszystko poszło w diabły.

Mama nie odpowiedziała. Cofnęła się o kilka kartek i otworzyła album na stronie, której jeszcze nie oglądaliśmy. Umieszczono na niej trzy zdjęcia: na pierwszym trzymała niemowlę opatulone w różowy koczyk, różową czapkę i różowy strój; na drugim trójka młodych Castorów stała w szkolnych mundurkach ze zbolałymi grymasami, które zawsze pojawiają się na twarzach dzieci, kiedy każe im się uśmiechnąć; trzecie przedstawiało samą Katie w wieku lat czterech, uśmiechniętą znacznie bardziej szczerze - uśmiechem, który skrywał tajne dziecięce myśli.

Zapatrzyłem się na nie, nagle trzeźwy, mimo opróżnionych siedmiu czy ośmiu butelek piwa.

- Trochę to trwało - odparła miękko mama. - Nie stało się w jednej chwili.

17

Z Nemrod Street wyszedłem dopiero tuż przed dziesiątą wieczór, a do tej pory zdążyłem rozpuścić ów twardy odłamek zimnej, surowej trzeźwości w jeszcze kilku piwach i długiej rozmowie. Lecz podtrzymanie rozmowy stawało się coraz trudniejsze, a pytanie, gdzie zamierzam spędzić noc, coraz bardziej naglące.

Mama zaproponowała mi łóżko, podziękowałem i odmówiłem. Znów wróciliśmy na nieprzebyty teren - rozmowa poprowadziła nas na środek pola minowego i pozostawiła tam bez mapy ani wykrywacza metalu. Spytała mnie o Matta. Kiedy widziałem go ostatnio i jak się trzymał? Zbyłem ją wymyśloną anegdotą o jego nauczaniu, bo tak naprawdę nigdy nie pytałem Matta o jego życie. Uświadomiłem sobie, że nie interesowałem się tym, odkąd odszedł z mojego.

Wróciłem na County Road i złapałem taksówkę na Breeze Lane. Mogłem pójść pieszo, ale chciałem zdążyć do Bryzy - dawnego lokalnego pubu mamy i taty, rządzonego lekko zardzewiałą ręką przez wspomnianego już Harolda Keighleya - przed przyjęciem ostatnich zamówień.

Pub w ogóle się nie zmienił. Dzielnice wokół przebudowano, on natomiast pozostał żalonym sobą, niczym platynowe włókno w bzdurnej przenośni T.S. Eliota. Zanurza się je w mieszaninie tlenu i dwutlenku siarki i - bum! - otrzymujemy kwas siarkowy - ale platyna pozostaje ta sama, niezmienną przez reakcję, którą wywołuje. W tym momencie jednak przenośnia zaczyna się sypać, bo Bryza nigdy nie był katalizatorem niczego, prócz tysięcy pijackich bójek o to, kto spojrzał z ukosa na Karen i czyj dziadek ukradł po wojnie kartki czyjegoś ciotecznego stryjka.

To pub Tetleya, zbudowany na oko gdzieś w latach dwudziestych. A ponieważ wielkość działki nie pozwoliła architektowi rozwinąć wyobraźni, stworzył prosty kanciasty budynek pokryty grubą warstwą szorstkiego tynku i pomalowany na biało. Szyld ma nieco większą klasę: wieńczy go żelazna, pomalowana na jaskrawoczerwono sylwetka herbowego ptaka - mitycznego kormorana o krótkiej szyi, wynalezionej do celów ozdobnych przez zdesperowanych ancymonów z osiemnastowiecznej szkoły heraldycznej. Działo się to w

czasie, gdy miasto - rozkwitające dzięki zyskom z handlu niewolnikami - dało im w łapę, prosząc, by wymyślili mu na szybko jakiś herb.

Nazwijcie mnie sentymentalnym, ale zawsze czułem się w pewnym sensie związany z owym ptakiem. Nie należy do żadnego znanego gatunku, lecz wszyscy pewnym siebie tonem twierdzą, że to bocian, pelikan czy cokolwiek, co pasuje im do aktualnie wyznawanej teorii. A tak naprawdę jest to oszustwo, bezczelne fałszerstwo, obraza dla człowieka i przyrody. I całkiem nieźle nadaje się na symbol mojego ojczystego miasta: wszyscy myślą, że wiedzą, jacy są liverpoolczycy, lecz im bliżej się nam przyjrzeć, tym więcej widać szczegółów, które przestają się układać w jedną spójną całość.

W środku Bryza nadal budziła wrażenie nieeleganckiej ciasnoty. Główna sala jest długa i wąska, z barem ustawionym na całej długości: między nim i ścianą wystarczy miejsca zaledwie na jeden rząd stojących ludzi i jeden siedzących. W czasach, gdy moi rodzice byli stałymi gośćmi, społeczne normy dyktowały, by stojące miejsca zajmowali mężczyźni, dziś płcie mieszały się mniej więcej po równo, zauważyłem jednak mocne zachwianie równowagi wiekowej. Większość twarzy - zarówno przy barze, jak i pod ścianą - należała do pokolenia mamy i taty. Lokal wyraźnie nie zdołał przyciągnąć młodszych wielbicieli piwa, nie było w nim bowiem panoramicznego telewizora, automatów do gry ani nawet szafy grającej. W nieuczęszczanym kącie stał samotny jednoręki bandyta, zapewne zarabiający miesięcznie mniej niż barmani dostawali napiwków, ale stanowił jedyne ustępstwo wobec dzisiejszych czasów.

Z całego tłumu rozpoznałem najwyżej pół tuzina osób, a żadna z nich najwyraźniej nie poznała mnie. Życie to najlepsze ze wszystkich przebrań, a ja doświadczyłem go całkiem sporo od czasu, gdy ostatni raz kupiłem tu kolejkę.

Natomiast Harold Keighley w ogóle się nie zmienił. Stał właśnie za barem, dokładnie pośrodku, i nalewał do szklanki stingo, z poobijanego czarnego kranika, na którego szczycie przysiadł złoty ptak, fachowo przechylając naczynie pod kątem, tak by otrzymać równą, półcalową warstwę piany. Nigdy nie zaliczał się do chudzielców - nazywaliśmy go Głodnym Haroldem albo Haroldem Baryłą - a teraz zaokrąglił się jeszcze bardziej - o jego wzroście i przeraźliwej tuszy krążyły legendy, podobnie jak o czysto biznesowym podejściu do upijania się do nieprzytomności. Twarz, którą pamiętałem zawsze jako pokrytą jaskrawoczerwonym rumieńcem, miał krągłą, z obwisłymi policzkami, zwieńczoną gęstą czupryną barwy śniegu, którego nie należy zjadać. Zapewne byłaby śnieżnobiała, gdyby Harold nie palił czterdziestu fajek dziennie - nawet teraz, wbrew powszechnemu zakazowi, w kąciu jego ust żarzył się papieros, pobudzający do powstania podobnych małych ogników w barze.

Skończył nalewać piwo, odstawił, przyjął pieniądze, wydał resztę. Czekałem cierpliwie, aż obsłuży dwóch innych klientów, którzy wcześniej podeszli do baru. Młody chłopak z kolczykiem w nosie, także serwujący drinki, spytał, czy coś mi nalać, lecz odprawiłem go krótkim ruchem głowy. Do tej pory Harold już mnie zauważył, zaczekałem więc, aż w końcu do mnie dotrze.

- Matty Castor. - Pokiwał mi przed nosem tłustym palcem. - Zdawało mi się, że jesteś księdzem.

- Owszem, jest księdzem - potwierdziłem. - Ale ja nie. Ja jestem ten drugi, Felix.

- Ten cwany szczył, który kradł mi podkładki pod kufle.

- Ten sam. Jeśli chcesz je z powrotem, już ich nie potrzebuję.

Ściągnął wargi, jakby faktycznie rozważał moją propozycję, po czym uczynił obsceniczny gest.

- Czego ci nalać? - spytał.

- Guinnessa - odparłem, bo nie przepadam za piwami Tetleya.

Podczas gdy napełniał szklanekę, raz jeszcze rozejrzałem się po sali. Nadal widziałem tylko drobną grupkę wyglądających znajomo ludzi, i żaden z nich raczej nie skierowałby mnie w stronę, na której mi zależało, nawet gdyby w ogóle zechciał ze mną rozmawiać.

Zatem zdecydowałem się na wielkoluda.

- Czy Richie Yeats jeszcze tu pija, Haroldzie? - spytałem.

Kranik Guinnessa był elektryczny, toteż Harold nie musiał zanadto się na nim koncentrować, gdy poziom piwa leniwie podnosił się w szklance. Spojrzał na mnie przebiegle.

- No, no - mruknął z pozbawionym rozbawienia uśmiechem. - Gdybym dostawał piątaka za każdym razem, gdy usłyszę to pytanie...

- Tak? - To mnie zainteresowało. - A kto jeszcze go szuka?

- Raczej kto nie szuka - odparował Harold. - Należy się dwa sześćdziesiąt.

- I coś dla ciebie.

- Dla mnie to możesz zatańczyć kankana. Wrzuć do skarbonki.

Przyjął pieniądze i wydał resztę - tak jak powiedział, policzył jedynie za mój kufel, odmawiając drinka. Odkąd wspomniałem imię Richiego, temperatura wyraźnie spadła. Zacząłem wrzucać drobne do skarbonki RNLI, moneta za monetą. Harold czekał, przygważdżając mnie wzrokiem.

- A Anita? - spytałem, zmieniając front. - Bywa tu może?

Ku memu zdumieniu ponurą twarz Harolda rozjaśnił nagle mimowolny, szczerzy ciepły uśmiech.

- Już od wielu lat nie - odparł. - Była moim prawdziwym słoneczkiem. Nawet w dzieciństwie. Powinna była trafić do telewizji czy filmu. Co za dziewczyna. Taka twarz to skarb. Skarb albo zguba, mawiała nasza babcia.

Ta refleksja ponownie popsowała mu humor. Potrząsnął głową, wysuwając dolną wargę niczym półkę pełną wszystkich trosk tego świata. Na drugim końcu baru jakiś facet machał ręką z pustą szklanką. Harold zauważył to i odwrócił się, ruszając w tamtą stronę. Wyciągnąłem rękę, by go zatrzymać.

- Mógłbym zostawić wiadomość dla Richiego? - poprosiłem.

Przyspilił mnie spojrzeniem, tak bardzo marszcząc brwi, że jego oczy niemal zniknęły, a topografia tłustej twarzy zmieniła się diametralnie.

- Co takiego?

- Chcę tylko z nim pogadać - wyjaśniłem. - O Anicie. Zaginęła i próbuję ją znaleźć. Wie, że kiedyś się przyjaźniliśmy. Gdyby chciał się spotkać, może zostawić mi tu wiadomość. Albo po prostu zadzwonić.

Wygrzebałem z zakamarków płaszcza długopis i zapisałem numer komórki na podstawce, po czym podsunąłem ją Haroldowi. Zawahał się, a po chwili skinął głową, wskazując szynkwas, na znak, że powinienem odłożyć podkładkę na miejsce.

- Jeśli go zobaczę - rzekł - powtórzę mu. O ile będę pamiętał. Nie twierdzą, że będę.

- Dzięki.

Harold odszedł, a ja wypilem guinnessa, który w Liverpoolu smakuje niemal równie dobrze jak w Dublinie. A potem z czystej przekory poszedłem i wrzuciłem parę monet do jednorękiego bandyty. Coś w oglądaniu ciężko zarobionej kasy znikającej w beznamietnej paszczy maszyny zachęca do filozoficznej zadumy. To niezwykle czysta wymiana, niemal duchowa. Za własne pieniądze kupujemy jedynie parę sekund migających lampek i niemal podprogowy przebłysk nadziei.

Kiedy dokończyłem piwo, oddzwoniono już koniec zamówień i - zgodnie z tradycją - drzwi po obu stronach baru stanęły otworem. W lecie nie działa to aż tak dobrze, ale i tak miałem dosyć. Z pubu przeszedłem na Rice Lane i złapałem kolejną taksówkę, tym razem do Aintree, gdzie jak pamiętałem mieści się niewielki pensjonat. Nazywa się Orrell Park, a ponieważ główną klientelę stanowią podróżujący przedstawiciele handlowi, jest otwarty całą dobę. Mieli dla mnie pokój za naprawdę rozsądną cenę i okazał się - zaledwie - wart każdego pensa. Był w nim nawet czajnik i kilka torebek douwe egbert, zrobiłem sobie zatem gęstą

czarną kawę i zjadłem darmową paczkę herbatników - skromna kolacja, ale wiedziałem, że nadrobię ją rano supercholesterolowym, angielskim śniadaniem.

Potem zdjąłem buty, położyłem się na łóżku i zacząłem planować następny dzień kampanii. Było jeszcze parę osób, które mógłbym wypytać o Anitę i Richiego, ale mogły zaczekać do popołudnia. Ranek zamierzałem poświęcić Stevenowi Seddonowi.

Zastanawiałem się też nad nagłą zmianą nastroju Harolda Keighleya. Zdecydowanie nie ucieszył się, słysząc imię Richiego albo może dowiadując się, że go szukam, i dał mi jasno do zrozumienia, że nie ja jeden. Może Kutagęba napisał sobie jakichś kłopotów i ukrywał się z własnych powodów, wykorzystując Bryzę jako poste restante? Dla mnie jednak był istotny wyłącznie jako możliwy most wiodący do Anity. Jeśli Harold miał rację i od dawna tu nie bywała, całkiem możliwe, że od początku ugania się za własnym ogonem.

Jak, w imię wszystkiego co niepojęte i popierdalone, związała się z Kennym? Jakie morderczo splątane ścieżki losu i zwykłego tępego pecha doprowadziły ją do zamieszkania z facetem, o którym doskonale wiedziała, że to tchórz, brutal i pozbawiony uczuć wyższych skurwiel?

Owszem, Nicky zapełnił część luk, ale sama myśl o nich sprawiała mi ból - o długiej sukcesji innych mężczyzn, z którymi żyła i których porzucała, gdy pierwszy urok osłabł albo zaczęło się prawdziwe maltretowanie. Dlaczego aż tak zmarnowała swoje życie? Stała się zwykłą doczepką do bandy frajerów, z których jeden zrobił jej dziecko, lecz w żaden sposób nie wpłynęło to na stopień jego zaangażowania? Pod wieloma względami wydawała się przecież najlepszą z nas. A w każdym razie najbardziej pełną życia.

Gdzie była teraz?

I zakładając, że ją znajdę, czy mogła podać mi powód, dla którego Kenny miałby nienawidzić Matta tak bardzo, by zrobić go w morderstwo?

Zasnąłem niepostrzeżenie, wciąż przeżuając w myślach owe niestrawne kęsy, i w rezultacie spałem bardzo płytko, budząc się z niepowiązanych ze sobą snów i znów drzemiać. W efekcie, następnego ranka obudziłem się bardziej zmęczony niż kiedy się kładłem. Bywa, że po podobnej nocy, kiedy nasz umysł przypomina komputer, który zawiesił się podczas wyłączania, budzimy się z tkwiącymi w świadomości fragmentami niedawnej przeszłości. Dla mnie owe fragmenty obejmowały pierwsze kazanie Matta u Naszej Pani z Syjonu. Tekst pochodził z Księgi Liczb 23: „Niech umrę śmiercią sprawiedliwych! Niechaj taki jak ich będzie mój koniec!„. Dość ponury motyw pierwszej mszy w pierwszej parafii, pomyślałem wówczas. Nie spytałem jednak, dlaczego go wybrał, i dopiero teraz zrozumiałem, jak wrednie

się zachowałem. Owszem, przyjechałem, by pomachać chorągiewką i uczcić ten dzień. Ale Matty cierpiał - powiedział mi to najwyraźniej jak umiał. A ja odszedłem bez słowa.

Wrócę do tego później. Biznes to biznes.

Liver Building to ikona Liverpoolu: śnieżnobiały kamień, złocisty o zachodzie słońca niczym pałac cesarski, unoszący się na mulistych falach Mersey i strzeżony przez dwa z owych mitycznych kormoranów, charakteryzujących się dobrze udokumentowanym upodobaniem do uczciwych mężów i cnotliwych dam. Stojący obok Cunard wygląda jak wielki, paskudny chlebak: przysadzisty jak taboret i elegancki jak kikut po amputacji. Ja też tam pracowałem, latem przed wyjazdem do college'u, jako asystent w biurze w firmie transportowo-spedycyjnej Regis. O mało wówczas nie umarłem, głównie jednak z szoku towarzyszącego wstawaniu w pół do siódmej rano i przepracowywaniu całych dni. Byłem pewien, że to nie moje przeznaczenie - Bóg nie mógł być taki okrutny.

Działo się to osiemnaście lat temu, lecz niewiele się tu zmieniło. Pomnik ofiar wojny z uskrzydloną Wiktorią nadal stoi na dziedzińcu. Hol jest równie imponujący i niegościnnie jak zawsze, a jego masywne doryckie kolumny zaprojektowano tak, by pokazywały całym pokoleniom młodszych urzędników, gdzie jest ich miejsce. A w windach nadal grają „Tańce słowiańskie” Dworzaka, do wtóru tak głośnych syków i trzasków, że niemal zagłuszają muzykę. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy w sercu budynku nie kryje się tajemna komnata, w której przechowują niewyczerpane zapasy identycznych ośmiościeżkowych taśm z czasów sprzed Dolby, które pan Cunard kupił za bezcen na wyprzedaży, w duchu szlachetnej oszczędności.

Jeden telefon z Orrell Park do Nicky'ego wystarczył, by ustalić, że Steven Seddon, członek Towarzystwa Urzędników Prawniczych, pracuje u Sedgwicka & Stacey, w firmie adwokackiej specjalizującej się w kontraktach, której trzej wspólnicy są zatrudniani przez pół tuzina liverpoolskich linii przewozowych.

- Wygląda to raczej czysto - oznajmił Nicky. - A w każdym razie nic wprost nie śmierdzi. Seddon. Jakiś krewny świętej pamięci Kennetha Seddona?

- Brat - potwierdziłem.

- Pracuje tam trzy lata i miesiąc. W zeszłym roku, po zdobyciu dyplomu, powinien był awansować, ale zdał egzamin z najniższym możliwym wynikiem. Cudem mu się udało i postanowili rok poczekać.

- Wiesz to z ich strony w sieci, Nicky?

- Nie. Siedzę w ich aktach personalnych. Mają je w biurowym intranecie. Wymaga logowania, ale czymże jest hasło między przyjaciółmi? Obecnie robię tam za starszego

wspólnika, niejakiego Johnna Loose'a. Loose jak luźny. A przy okazji, zgadnij, jakie nawiedzane przez demona osiedle w południowym Londynie trafiło wczoraj do dzienników?

Poczułem mrowienie skóry na głowie i karku.

- Co się stało? - spytałem ostro.

- Doszło do walki. Parę gangów spotkało się na ustawkę i trochę posprzeczało. Nikt nie zginął, ale przelali mnóstwo krwi. Zjawily się gliny, by ich rozdzielić. I wtedy zdarzyło się najdziwniejsze. Poczcwi obywatele stanęli po stronie chłopaczków. Na gliniarzy spadł grad najróżniejszych przedmiotów z kładek. Cegieł. Butelek. Panoramicznych telewizorów. Zrobiło się ostro. I gdy tak to oglądałem o dziewiątej, zgadnij, kto przeszedł dokładnie przed jedną z kamer?

- Kto taki?

- Poczcwiwy stary Tom Gwillam. Oficjalnie wyklęty papieski spec od mokrej roboty.

- A zatem wciąż tam jest... Cóż, nie ma już chyba złudzeń co do tego, co się dzieje. I może zdoła coś na to poradzić.

- Mocą swojej modlitwy?

- Czymś w tym stylu. - Tak naprawdę Gwillam był egzorcystą, i to całkiem potężnym. Raz udało mu się skępować Juliet, czego nie mogłem powiedzieć o sobie. - Dzięki, Nicky. Jestem ci coś winien.

- O, bez wątpienia.

Teraz zatem siedziałem w recepcji Sedgwicka & Stacey, dorównującej wielkością stacji kolejowej Lime Street, ale ozdobionej znacznie większą liczbą palm w doniczkach, i czekałem na Steve'a. Wyraźnie mu się nie śpieszyło, ale byłem w cierpliwym nastroju. Stanowiło to mój główny atut. Ubrałem się w wygodne dzinsy i szynel, zjadłem porządne tłuste śniadanie, toteż siedziałem, czytając gazetę, podczas gdy inni klienci przychodzili i odchodzili, a recepcjonistka, od czasu do czasu posyłająca mi kolejne lodowate spojrzenie, co dziesięć minut wzywała Steve'a przez interkom - sprawdzałem to na zegarze nad jej biurkiem.

Steve złamał się pierwszy. Gdybym założył się, że tak będzie, wygrałbym niezłą sumkę. Po zaledwie godzinie wynurzył się z biura ze znekana, udęczonej miną. Natychmiast go poznałem, choć cera mu się poprawiła i nie miał wypisanych na kostkach czerwonym długopisem słów LOVE HATE, jak wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni. Dorastając, zyskał wzrost i pozostał rozwodnioną wersją siebie z dzieciństwa, z wąskim pasmem rzadkich włosów nad górną wargą. Miał na sobie garnitur, który wyglądałby całkiem nieźle, gdyby nie fakt, że był brązowy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem brązowy garnitur, ale byłem niemal pewien, że nosił go Norman Wisdom.

Steve niechętnie skinął głową do recepcjonistki na znak, że zajmie się sprawą, po czym podszedł do mnie akurat gdy złożyłem gazetę i wstałem.

- Witaj, Steve - rzuciłem.

- Sam sobie witaj - odwarknął, o ile można warczeć przemawiając głosem o włos donośniejszym od szeptu. Unosząc wargę, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i z powrotem. - Chryste, to naprawdę ty! Pieprzony Felix Castor! Może byś tak pojął aluzję, co? Nie chcę z tobą rozmawiać, a ty nie powinieneś chcieć rozmawiać ze mną. Sam pobyt tutaj poważnie szkodzi sprawie tego skurwiela.

- Skurwiela? - powtórzyłem.

- Nie udawaj durnia, dobra? Twojego pierdzielonego brata.

- Rany - mruknąłem. - Darmowa porada prawna! Czy wspólnicy wiedzą, że nie pobierasz za nie opłat, Stevie? A może zamierzasz na pożegnanie sprzedać mi rachunek?

- Sprzedam ci na pożegnanie kopa w pierdzieloną dupę - syknął Steve i ponownie zerknął z paniką na recepcjonistkę, która nadal obserwowała nas z nieskrywanym zainteresowaniem. - Wypierdalaj stąd, Castor. Mówię serio. Chcesz, żebym powiedział prokuratorowi, że przyjechałeś tutaj, żeby mnie przekupić?

- Nie chcę, żebyś robił cokolwiek, co mogłoby zaciążyć ci na sumieniu, Steve - odparłem. - W mojej opinii dzieciom i prawnikom powinno odpuszczać się wszystko. To znaczy, w sensie karnym. Ale też tak naprawdę nie jesteś jeszcze prawnikiem, zgadza się? Wciąż mozolnie wspinasz się na szczyt zigguratu, a kolejne stopnie są coraz bardziej śliskie. Tym bardziej, że ledwie zdałeś egzamin, a twój młodszy brat siedzi na Beddie Road za prochy. Mam zatem nadzieję, że pomówimy jak cywilizowani ludzie i nie będziemy robić scen. Bo scena byłaby paskudna, upokarzająca i mogłaby oznaczać, że drugi rok z rzędu nie dostaniesz awansu. A tak w ogóle - dodałem, trącając go lekko w brzuch - jeśli dołożymy starań, by była dostatecznie paskudna i upokarzająca, możesz w ogóle stracić tę pracę. I co ty na to?

Steve przyglądał mi się niewzruszony.

- Pierdolę cię - rzekł w końcu, kręcąc głową, zdumiony moją bezczelnością.

- Pierdolisz mnie - zgodziłem się. - Ale cicho i dyskretnie, zgadza się? Żeby nie obudzić sąsiadów. Usiądź i porozmawiajmy. Albo przyrzekam ci, że tak ci tu naświnię w aktach, że już ich nie odświnisz.

Steve zaśmiał się wzgardliwie.

- Po prostu każę cię wyrzucić.

- A ja przez całą drogę będę wrzeszczał, że zgwałciłeś moją nastoletnią siostrę po tym, jak odmówiłem dalszego sprzedawania ci narkotyków. - Obdarzyłem go przyjaznym uśmiechem. - Usiądź - powtórzyłem. - Proszę po raz ostatni.

Na jego twarzy rozgrywała się heroiczna psychomachia. Jęknąłem w duchu, bo wyglądało na to, że zdecydował się na wyjście „publikuj i giń”.

Na szczęście recepcjonistka, która tymczasem wstała zza biurka i podeszła do nas, czystym zrzędzeniem losu interweniowała akurat w rozstrzygającej chwili.

- Wszystko w porządku, panie Seddon? - spytała z naciskiem.

- Ależ tak, Karen - odparł Steve, instynktownie cofając się znad brzegu przepaści. - Chyba przez pomyłkę umówiłem dwóch klientów na tę samą godzinę, ale już to załatwiam. Dziękuję.

Patrzył na nią ze sztucznym uśmiechem, dopóki z niechętnym skinieniem głowy nie wróciła na swe stanowisko. Wiedziała, że dzieje się coś niekoszernego, ale w obliczu uporu Steve'a nie mogła naciskać. A Steve, gdy tylko znalazła się poza zasięgiem słuchu, zrezygnował z nierównej walki. Usiadł naprzeciwko mnie, posyłając mi jadowite spojrzenie.

- Jak dawno temu rozmawiałeś z Kennym? - spytałem, bo nie byłem w nastroju na towarzyskie pogawędki.

- Chcesz powiedzieć: zanim twój brat go zabił? - odparował Steve głosem balansującym na granicy słyszalności.

- Chodzi mi o to kiedy, Steve. Udzielaj jasnych odpowiedzi, to znacznie szybciej pozbędziesz się mnie ze swego życia.

- Wiele miesięcy temu. Prawie rok. Nie rozmawiamy ze sobą.

- Dlaczego?

- A jak myślisz? - rzucił ostro Steve.

- Bo próbujesz zostać prawnikiem, a wszyscy pozostali członkowie rodziny to drobni przestępcy, z listami wyroków dłuższymi niż koszula zakonnicy?

- No właśnie.

- Ale wiedziałeś, z kim mieszkał Kenny? Jeszcze parę lat temu? Z wielką miłością jego życia, przynajmniej dopóki go nie rzuciła i nie odeszła z dostawcą materiałów budowlanych na skuterze.

- Anita Yeats. - Steve wypluł to nazwisko jak coś trującego, czego o mało nie przełknął.

- Właśnie. Jak do tego doszło, Steve? Jak nieszczęśni kochankowie spotkali się ponownie tak daleko od domu?

- Skąd mam, kurwa, wiedzieć, Castor? I czemu miałoby mnie to, kurwa, obchodzić? Kenny zawsze na nią leciał. Całkiem możliwe, że zaczął jej szukać. Albo wynajął do tego kogoś. Pod tym względem był kompletnie zaślepiiony. Anita Yeats dawała wszystkim naokoło, a on mówił o niej jak o Maryi Dziewicy.

- Kompletnie zaślepiiony? - powtórzyłem. - A próbowałeś otworzyć mu oczy? Często o tym rozmawialiście?

Steve wywrócił oczami i z irytacją wzruszył ramionami.

- O niczym nie rozmawialiśmy! - rzucił. - On mieszkał dwieście mil stąd, Castor, a od początku nie mieliśmy ze sobą ni chuja wspólnego. Pewnie gadaliśmy raz na rok, nie częściej.

- Ale, jak widzę, masz bardzo zdecydowane zdanie co do Anity - stwierdziłem. - Uważałeś, że twój brat nie powinien się z nią wiązać.

Steve pokręcił głową.

- Nie tylko Kenny. Nikt nie powinien. Pierdolona, świrnięta suka z piekła rodem! Wiesz, co mu zrobiła tym kawałkiem stali. A poza tym po taką nie warto się nawet schylić na ulicy. Przed każdym rozkładała nogi, jak wszystkie kobiety z jej rodziny. Zaszła w ciążę jeszcze przed dwudziestką, a potem włóczyła wszędzie ze sobą bachora, szukając kolejnego frajera!

Jego twarz się wykrzywiła. Odpowiadając, podniosłem głos, dostatecznie, by wścibska recepcjonistka usłyszała mnie wyraźnie z drugiej strony poczekalni.

- Niechaj ten, który jest bez grzechu, pierwszy rzuci kamieniem, Steve. Jak się nad tym zastanowić, moralność seksualna to zabawna rzecz. Jedni lubią czekoladę, inni jak im nogi śmierdzą.

Steve wzdrygnął się i skulił ramiona.

- Do ciężkiej cholery, mów ciszej - wyszeptał ochryple.

- W takim razie okazuj większy szacunek - poradziłem. - Może zapomniałeś, ale ta świrnięta suka z piekła rodem, Anita, uratowała mi życie przed twoim znacznie bardziej świrniętym bratem. Wyjmij zatem belkę z własnego oka, dobra?

Nagle uderzyła mnie jeszcze jedna myśl, toteż mówiłem dalej, zniżając głos. Recepcjonistka nie udawała już nawet, że nie podsłuchuje; pomachałem do niej przyjaźnie ponad głową Steve'a. Wzdrygnął się i odwrócił, a jego twarz znów przybrała udreżony wyraz.

- Kim był Blainey? - zapytałem. - To znaczy, facet, którego nazwiskiem nazwała swoje dziecko? Spotkałeś go kiedyś?

Steve otworzył usta, by coś powiedzieć. Sądząc z wyrazu twarzy, miał to być kolejny potok zółci. Lecz nasze oczy się spotkały i zawahał się, po czym dał sobie na wstrzymanie.

- Widziałem go parę razy. Był... nikim. Naprawdę nikim. Dupkiem z Childwall Valley, dość durnym, by pozwolić jej sprowadzić do swego domu cudzego bękarta.

- Nikim?

- Nikim.

- W takim razie, dlaczego tak dobrze go pamiętasz po szesnastu latach?

Przez chwilę Steve milczał. Nacisnąłem zatem, na wypadek gdyby próbował wymyślić jakieś kłamstwo.

- Dlaczego go pamiętasz?

Wypuścił powietrze w znużonym, pełnym rezygnacji westchnieniu.

- Kenny posłał tam mnie i Ronniego, żebyśmy mu się przyjrzeni.

- A niby po co?

- Nie mam, kurwa, pojęcia. Bo jeśli chodzi o Anitę, nigdy nie myślał rozsądnie.

Obróciłem ten fakt w głowie.

- Mieliście tylko się przyjrzeć czy...?

- Nie. Ostrzeżyliśmy go. Powiedzieliśmy, że jeśli z nią nie skończy, to ktoś ze sprężynowcem, bez poczucia humoru, skończy z nim.

- I zadziałało?

- O, tak. Wkrótce potem znów zebrała się w drogę. Później robiliśmy to jeszcze parę razy. W końcu spakowała się i spierdoliła na południe. Od początku wiedziałem, że tak zrobi, ale Kenny'emu nie dało się tego wytłumaczyć. Sądził, że jeżeli sterroryzuje wszystkich jej chłopaków, w końcu wróci do niego, bo tylko on jej pozostanie. Pierdzielony kretyn.

Steve spojrzął za okna, na Mersey, płynącą leniwie w swym brunatnym majestacie.

- Zajęło mu to szesnaście lat - rzekł ponuro - ale w końcu dostał, czego chciał. Dostał ich oboje. Anitę i jej pojebanego dzieciaka. Fantastyczne, co? Prawdziwy hollywoodzki happy end. Tyle że Anita wciąż go nie cierpiała, a jej smarkacz uważał, że krojenie się na kawałki to najlepsza zabawa na świecie.

- Przyganiał kocioł garnkowi - mruknąłem.

Steve spojrzął na mnie z mieszaniną zdumienia i irytacji.

- Słucham?

- Kenny też się kaleczył.

Irytacja zwyciężyła.

- Nieprawda, kurwa. Kenny w swoim czasie pokaleczył wielu ludzi, ale nigdy siebie samego.

- Widziałem jego ciało, Steve - przypominałem.

- I co z tego? - Steve'owi wyraźnie to nie zaimponowało. - Mówię ci, Kenny nigdy się nie kaleczył. Wpadał w szal, kiedy gówniarz to robił. Jeśli zdarzyło się, że go przyłapał, spuszczał mu porządne manto. Ostatnią rzeczą, jaką by zrobił... Pierdolisz głupoty, Castor!

Oburzenie z powodu oczerniania świętej pamięci brata zagłuszyło nawet instynkt samozachowawczy. Recepcjonistka rozmawiała z kimś przez telefon, patrząc nerwowo w naszą stronę. Wiedziałem, że będę musiał skończyć rozmowę.

- Zapomnij - mruknąłem. - To nie ma znaczenia. Skoro Mark tak bardzo brzydził Kenny'ego, czemu pozwolił mu zostać u siebie po odejściu Anity?

- Nie mam pojęcia - odparł Steve. - Ale jedno mogę ci powiedzieć: nie z miłości. To, co go łączyło z Anitą, było totalnie pojebane i wszyscy cierpieliśmy z tego powodu. Natomiast dzieciaka po prostu nie znosił.

To obaliło teorię, którą powoli budowałem gdzieś w umyśle: że Mark był dzieckiem Kenny'ego, uznanym z opóźnieniem. W takim przypadku powrót Anity do Kenny'ego miał pewien sens, choć minęło sporo czasu, nim się zdecydowała. Wyglądało jednak na to, że nic z tego nie będzie.

Miałem właśnie poprosić Steve'a, by wyjaśnił tekst o cierpieniu, lecz w tym momencie za jego plecami zmaterializowali się dwaj ochroniarze budynku w praktycznych czarnych uniformach. Maszerowali ku mnie z obu stron na kursie przechwytyjącym. Wyglądało na to, że nie jestem już mile widziany.

Wstałem i uniosłem ręce w geście rezygnacji. Ja miałbym sprawiać kłopoty? Ależ przenigdy.

- Cóż, było mi miło, Steve - rzekłem. - „Miło” w znaczeniu „warte ceny biletu do centrum”. Powodzenia z prawem.

- Obyś zdechł. Ty i ten skurwiel, twój brat - odparował Steve. Słowo brat niemal ugrzęzło mu w gardle, tak bardzo przepelniała je nienawiść.

- Powiem mu, że go pozdrawiasz - obiecałem.

- Faceci w czerni odprowadzili mnie do drzwi, ale nie dotykali, i wyszedłem na jasne słońce. Niestety, po dziewięćdziesięciu trzech milionach mil biegu oślepiające promienie zatrzymały się na ostatniej prostej i nie dotarły do mnie. Byłem jak gość z pieprzonej piosenki Leonarda Cohena.

Szedłem właśnie w stronę Pier Head, kiedy zadzwoniła moja komórka. Wyjąłem ją i przyłożyłem do ucha.

- Halo?

- Castor. - Natychmiast poznałem ten głos: Kutagęba brzmiał, jakby wciąż nie przeszedł mutacji.

- Tak - mruknąłem - to ja. Cześć, Richie. Dzięki, że się odezwałeś.

- Bardzo proszę. Keighley mówił, że chciałeś pogadać. Ja też bym chciał.

- Super. Wiesz, gdzie mieszka teraz moja mama? To na...

- Nie mogę przyjść do Walton - uciął kategorycznie Richie.

- Ale dlaczego, Richie?

- Po prostu nie mogę. Powiem ci, kiedy się spotkamy. Wybierz jakieś miejsce na uboczu, Castor. Takie, żeby nikt nas nie zobaczył. I na otwartym powietrzu.

- Dlaczego? - powtórzyłem.

- Żebym cię widział z daleka - odparł Richie.

18

Cmentarz przy Linacre Lane w Bootle okazał się znacznie mniej zarośnięty i pomazany graffiti niż wtedy, gdy widziałem go po raz ostatni. Na ziemi wałało się też znacznie mniej zużytych prezerwatyw, zatem wyraźnie ktoś tu się postarał. Ale nie przyszedłem podziwiać widoków.

Autobus 61 wysadził mnie niedaleko bramy, ruszyłem jednak dalej i najpierw okrążyłem cały cmentarz - po pierwsze, po to, by sprawdzić, czy nikt mnie nie śledzi, a po drugie, by się zastanowić, czego mogę oczekiwać po tej rozmowie.

Z całą pewnością nie klucza - tego mogła mi dostarczyć wyłącznie sama Anita - lecz może paru ważnych elementów układanki. Informacja o obsesji Kenny'ego na punkcie Anity pozwoliła mi nieco łatwiej przelknąć fakt, iż we dwoje bawili się razem w dom dwieście mil od domu: zwłaszcza że Kenny dokładał wszelkich starań, by przepędzić Anitę z Liverpoolu. Z drugiej strony, pomyślałem, niewiele ją tu trzymało - jako samotna matka w Walton, bez faceta u boku, mogła się spodziewać mnóstwa złośliwości, nieprzyzwoitych aluzji i objawów pogardy ze strony matron z pokolenia mojej matki. Wszędzie czekały na nią ostre języki i uniesione brwi, i po pewnym czasie coś takiego zaczyna człowieka męczyć.

Drugim ważnym elementem była otwarta nienawiść Steve'a do Matta. Dostrzegłem ją na jego twarzy przy obu okazjach, kiedy wspomniałem jego imię. Mnie szczerze nie cierpiał, co zresztą było zrozumiałe i nie miałem o to pretensji. Ale kiedy mówił bądź myślał o Matcie, przejawiał dodatkowe ożywienie, nadające jego agresji nowy wymiar. Może jakiś wściekły ksiądz przeraził jego matkę, kiedy nosiła go w łonie? Podobno takie rzeczy odciskają piętno na dziecku.

I wreszcie paranoja Richiego na temat pokazania się publicznie, którą powoli zaczynałem podzielać. Co takiego zrobił, że musiał całkowicie zniknąć z pola widzenia? I czy miało to coś wspólnego z jego zaginioną siostrą bądź Kennym Seddonem?

W końcu, upewniwszy się, że nikt nie kroczy moim śladem, skręciłem w stronę bramy. Powiedziałem Richiemu, gdzie dokładnie ma się ze mną spotkać, i opisałem to miejsce, podając dostatecznie dużo szczegółów, by nawet ślepiec go nie przeoczył. Po pierwsze, rósł tam kasztan, jedno z około dziesięciu dużych drzew, którym pozwolono pozostać na terenie

omentarza, choć ich korzenie sięgały daleko i w niektórych miejscach uniemożliwiały kopanie. A parę alejek dalej na jednym z nagrobków uliczny artysta, który, o dziwo, miał w głowie coś więcej niż wypisywanie kulfonami swojego imienia, wymalował anioła: stworzył go w odcieniach złota, srebra i metalicznego błękitu, tak że wyglądał jak cybernetyczny roboci serafin, przybywający z silikonowego nieba, które rzecz jasna - jak w końcu musiał przyznać nawet Kryten - tak naprawdę nie istnieje.

Richie krążył tam i z powrotem pod drzewem, paląc papierosa, i to nie pierwszego, o czym świadczyły niedopałki u jego stóp. Widząc mnie, uniósł głowę, wyjął z ust niemal dopalonego peta i ze złością cisnął w wysoką trawę.

Patrzyłem chwilę, jak się dopala.

- Pamiętasz, jak w szkolnych czasach oglądaliśmy edukacyjne kreskówki o pożarach lasów?

- Spóźniłeś się - rzucił wkurzonym tonem.

Kiwnąłem głową.

- Co dało ci dość czasu, byś mógł zająć pozycję i zobaczyć mnie z daleka. To twoje zasady, Richie. A teraz powiedz mi, co się, kurwa, dzieje.

Postukał mnie palcem w pierś.

- Ty mi powiedz - zasugerował. - Jestem tu tylko dlatego, że mnie o to prosiłeś.

W odróżnieniu od Steve'a, Richie urósł nie tylko w górę, ale też na boki. Choć pozostał mu głos chórzysty, reszta bardziej przypominała zapaśnika i widziałem, że szybko się denerwuje. Nagle gwałtownie machnął głową, odrzucając z oczu długie jasne włosy i w mojej pamięci otworzyła się aleja wspomnień: zobaczyłem go, jak robi to samo setki razy w stu różnych miejscach.

- Gdzie jest Anita? - spytałem.

- Czemu pytasz? - odwarknął Richie.

- Bo Matt siedzi w więzieniu.

To wyraźnie była dla niego nowina i zawahał się. Zamrugał dwa razy, patrząc na mnie.

- Za co? - spytał w końcu.

- Za zabójstwo. Zabójstwo Kenny'ego Seddona. Ktoś pokroił go na plasterki w zaparkowanym wozie i policja uważa, że to Matt.

Richie roześmiał się, lecz bardziej z niedowierzania niż rozbawienia.

- Kenny nie żyje?

- Tak.

- Kenny Seddon nie żyje?

- Nadal tak.

- I twój brat to zrobił?

- No cóż, tu moja opinia i wersja oficjalna się rozchodzą. Nie uważam, że to on. Był w wozie z Kennym: mają jego odciski na wszystkim, łącznie z narzędziem zbrodni. Ale mówi, że go nie zabił, a ja mu wierzę.

Richie pokręcił ze zdumieniem głową. Czekałem, aż coś powie, ale zamiast tego znów wyjął fajki i zapalił.

- Nie obchodzi mnie, kto to zrobił - rzekł, wydmuchując nosem dym. - Cieszę się tylko, że ten kutas leży w grobie. To najlepsze wieści od roku, Castor. Dzięki. Strasznie ci dziękuję. - Głos drżał mu lekko.

- Bardzo proszę - zapewniłem. - Ale, choć nie chciałbym się powtarzać, muszę spytać: gdzie jest Anita? Jeszcze parę lat temu mieszkała z Kennym. Może wiedzieć, kto naprawdę go zabił.

Richie przez moment patrzył mi w oczy. Na jego twarzy pojawił się grymas dawnego bólu. Potem odwrócił wzrok ku splecionym w górze gałęziom.

- Richie... - zagadnąłem.

- Chwytam, chwytam. - Uciszył mnie machnięciem ręki. - Chcesz, żeby Nita wyciągnęła twojego brata z gówna, wskazując kogoś innego.

- No, idealnie, owszem. A jeśli nie potrafi, to może przynajmniej podrzuci mi parę tropów. Cokolwiek.

- Mógłbym spytać, co on kiedykolwiek dla niej zrobił. - Richie nadal wpatrywał się w niebo przez plecionkę gałęzi kasztanowca. - Dla kogokolwiek z nas. Ale nie będę nawet się trudził, bo znasz już odpowiedź. Daj sobie spokój, Castor.

- Czemu?

- Bo Anita nie żyje.

Słowa te uderzyły mnie niczym kamień wystrzelony z procy - a raczej nie słowa, lecz absolutne przekonanie, z jakim je wypowiedział. Zatem w końcu dotarłem do celu.

I wyglądało na to, że niepotrzebnie się trudziłem.

Siedliśmy oparci plecami o kamień, z twarzami zwróconymi w stronę bramy cmentarnej, bo Richie wciąż nie miał pewności, czy jakiś nieokreślony wróg nie spróbuje się podkraść podczas naszej rozmowy. To sprawiło, że nie patrzył na mnie i mogłem obserwować go podczas mówienia, wypatrując jakiegokolwiek luki w pancerzu niewzruszonej pewności.

- Kiedy ją znalazł, mieszkała w Derby - rzekł, żalobnie zniżając swój piękny głos. Ton ów świadczył wyraźnie, że w jego opinii wtedy właśnie zaczęła się śmierć Anity. - Opłacił jakiegoś detektywa, żeby ją wytropił. Sprzedał mu bzdurną historyjkę o tym, że są w separacji, ale chce jej dać jeszcze jedną szansę, a potem pewnego ranka zjawił się na jej progu.

Richie spojrział w pustkę, lecz nie ujrzał w niej niczego, co by go pocieszyło.

- Była w okropnym stanie - oznajmił głucho. - Sporo wtedy brała. No, wiesz... heroiny. A czasami... wiesz, jak to jest. Czasami jest gorzej niż kiedy indziej. Kiedy zjawił się Kenny, właśnie wywalili ją z pracy i nie miała żadnych perspektyw. A on w zasadzie obiecał, że będzie dostarczał jej towar. Byle tylko zgodziła się wrócić i z nim zamieszkać. Powiedziałem jej. Powiedziałem jej, kurwa: „Sama wiesz, jaki on jest. Wiesz, że nie umie nad sobą zapanować. Nawet w dzieciństwie był kurewsko niebezpieczny, więc czego oczekujesz po dorosłym? Ludzie tacy jak Kenny Seddon się nie zmieniają. On ci zrobi krzywdę, Nita. Zrobi ci krzywdę większą... większą niż ktokolwiek przedtem”.

Zupełnie jakby spierał się z nią na moich oczach. Jakby stała tu na trawie przed nami, widoczna jedynie dla niego i tylko do niego się zwracała. Papieros tkwiący między palcami palił się spokojnie, zakończony coraz dłuższą i dłuższą brodą popiołu.

- Nie obchodziło jej to. - Pokręcił głową. - Wiedziała, że mam rację, ale niczego to nie zmieniało. „Nie zasługuję na nic lepszego”, powiedziała. „Spójrz na mnie, Richie. Zobacz, jak żyję. On da nam dach nad głową. Będzie ojcem dla Marka. Bóg jeden wie, że ktoś, kurwa, musi. Nie mogę dłużej tego ciągnąć”. I tak dalej, i tak dalej. Jakby to była racjonalna decyzja. Jakby miała jakikolwiek sens. Ale nie miała, Castor. I powiem ci, dlaczego. Ona wiedziała. Wróciła, wiedząc, co on jej zrobi. Właściwie dlatego właśnie to zrobiła. Bo miała pewność, że Kenny potraktuje ją tak jak, według siebie, zasługiwała.

Papieros oparzył mu palce. Richie wzdrygnął się, upuścił go i wsunął koniuszek palca do ust, w oczach zakręciły mu się Izy. Nie sądzę, by ich powodem był pęcherz.

- Skąd ta pewność, Richie? - spytałem łagodnie. - Czemu uważasz, że ona nie żyje?

Posłał mi zniecierpliwione spojrzenie, jakbym zadał głupie pytanie niezasługujące na odpowiedź.

- Bo w ciągu dziesięciu lat przeprowadzała się ze sto razy - z irytacją obejrzał oparzony palec - i ani na moment nie straciliśmy kontaktu. A teraz zniknęła bez śladu. Nie, Castor. To tak nie działa, nie między nami. Gdyby wciąż żyła, zadzwoniłaby do mnie. Zawsze do mnie dzwoniła. I odchodząc, zabrałaby ze sobą Marka, tak jak za każdym razem wcześniej.

- Chyba że uznała, że Kenny dobrze się spisuje w roli ojca - podsunąłem.

Richie zaklął od serca.

- Jeśli to miało być zabawne - rzekł - to ja się nie śmieję. Był równie dobrym ojcem, jak istotą ludzką, Castor. Nie da się rozwinąć czegoś, co nie istnieje. Widziałem go z Markiem i nigdy nawet nie próbował udawać, że chłopak choć trochę go obchodzi.

- Był jeszcze jeden facet - zmieniłem temat. - Dostawca materiałów budowlanych czy coś takiego. Tak przynajmniej słyszałem. Może Kenny dowiedział się, że Anita się z nim spotykała? Myślisz, że był zazdrosny?

- Roman - odparł Richie.

- Roman co?

- Tak się nazywał. I owszem, może. Może to właśnie się stało. Nie wiem. - Ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami, Widziałem w tym geście zmęczenie. - To była gra, którą prowadzili oboje - dodał ponuro. - Nita znajdowała facetów, z którymi szła do łóżka, a Kenny ją bił. Oboje znali zasady. Ale...

- Ale?

- Ale Roman chciał, żeby od niego odeszła. Żeby zamieszkała z nim gdzie indziej. Bo widzisz, zazwyczaj wybierała gości dość cynicznych, by ją wykorzystali i wynieśli się, gdy tylko sytuacja zaczynała się komplikować. Lecz tym razem popełniła błąd. Zdaje się, że Romanowi naprawdę na niej zależało.

- Jaki on był? - spytałem. - Spotkałeś go kiedyś?

- Tylko raz. - Richie zastanawiał się chwilę. - Wpadłem tam na weekend i wymknęliśmy się na curry za plecami Kenny'ego. Był... muszę przyznać, że przystojny. W typie śródziemnomorskim. Rozpięta koszula, mnóstwo złota, skórzana kurtka z podwiniętymi rękawami. Znasz takich gości. Mnie to nie rusza, ale widziałem, że mógł się spodobać Nicie.

- Miał może kolczyk? - zapytałem. - Nad prawym okiem?

Richie spojrział na mnie z lekkim zdumieniem.

- Tak - odparł po paru chwilach. - A dlaczego? Znasz go?

- Nie - odpowiedziałem. - A przynajmniej nigdy z nim nie rozmawiałem. Ale zaczynam odnosić wrażenie, że Anity też nie znałem zbyt dobrze. Richie, czy istnieje coś, co łączy jej zniknięcie i to, że żyjesz jak na łodzi podwodnej? Przed kim się ukrywasz?

Nie spodziewałem się takiej reakcji. Kąciki ust Richiego uniosły się w uśmiechu - był to uśmiech, na widok którego większość rozsądnych ludzi wolałaby się cofnąć.

- Przed Seddonami - powiedział. - Bo dowaliłem im tam, gdzie najbardziej zabolalo. I zamierzam walić dalej, aż w końcu zostaną z nich tylko pieprzone tłuste plamy. Jeśli twój brat

załatwił Kenny'ego, to najlepsza rzecz, jaką zrobił w swym upierdliwie pobożnym życiu, a jeśli ktoś inny, ktokolwiek to jest, ma moje błogosławieństwo. Kocham go. Tulę, kurwa, do łona. Sam bym to zrobił, gdybym miał dość jaj, ale nie mam. Nie mógłbym nikogo zabić. No to załatwiłem Ronniego najlepiej jak umiałem.

Gdzieś w moim wysiłonym mózgu zaskoczyła kolejna klapka.

- Ty na niego doniosłeś?

- O, tak. - Richie z emfazą pokiwał głową. - Musiałem tylko wybrać najlepszy moment. W piątkowe wieczory zawsze chodził do Papryki, zadzwoniłem więc anonimowo do brygady antynarkotykowej i powiedziałem dokładnie, gdzie i kiedy znajdują frajera. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wyraźnie cieszyło go to wspomnienie. - I Steve'a też załatwię - dodał z większym namysłem. - Śledzę go od miesięcy i w końcu trafiłem na żyłę złota. Ten dumny skurwiol odwiedza prostytutki na Dock Road, a ja zbieram jego zdjęcia. Kiedy będę miał porządny albumik, wyślę go jego szefowi. To powinno spierdolić mu karierę, nie sądzisz?

Przytaknąłem, bo nie mogłem się nie zgodzić.

- To znaczy, że winisz ich wszystkich? Za to, co się stało z Anitą?

- Nękali ją wszędzie, gdzie się zatrzymała. - Rozgniół obcasem niedopałek, jakby to był jeden z Seddonów, którego niechcący przeoczył. - Ani na moment nie dawali jej spokoju. A kiedy już zapędzili ją do tego skurwiela w Walworth, odeszli i pozwolili mu ją zabić. O, tak, Castor. Winię ich wszystkich. Winię mnóstwo ludzi. Lepiej zmieńmy temat.

Gotów byłem posłuchać rady, ale musiałem wiedzieć jeszcze jedną rzecz. No, po zastanowieniu, dwie.

- Richie - zagadnąłem - nie zrozum mnie źle ani nic takiego, ale... To nie byłeś ty, prawda? Ten z brzytwą? Nie wyskoczyłeś do Londynu z jednodniowym biletem i, no wiesz, nie załatwiłeś kolejnego?

Richie prychnął z ironią.

- Chciałbym - mruknął. - Ale już ci mówiłem, nie nadaję się do takich rzeczy. Muszę być wybrykiem natury, nie? Dzieciak z Walton pozbawiony agresji.

Wyglądało na to, że mówi szczerze, a na oskarżenie zareagował jedynie pokazem pogardy dla samego siebie.

- W porządku - rzekłem, czując dziwną ulgę. - W takim razie powiedz mi tylko jeszcze jedno i wynoszę się stąd. Czy znasz jakiś powód, dla którego Kenny miałby mieć coś do Matta? Dostatecznie dużo, by zrobić go w morderstwo? Bo to właśnie zrobił, tonąc we własnej krwi. I wydaje mi się dziwne...

Umilkłem, bo Richie wpatrywał się we mnie wielkimi, zdumionymi oczami.

- Dlaczego Kenny miałby nienawidzić twojego brata? - powtórzył.

- No tak.

- Castor, jak ci się zdaje, z kim ty rozmawiasz? I z jakiej, kurwa, choinki się urwałeś? -
W głosie Richiego dźwięczały gniew i ból.

- No dobra - rzekłem ostrożnie. - Zakładam, że to pytanie retoryczne. Uważasz, że nie dostrzegam czegoś oczywistego, tak? Czegoś, o czym wiesz, i myślisz, że ja też powinienem.

Richie wstał.

- Chcesz znać prawdę? - rzucił. - To nie ja byłem w tym samochodzie. Już ci powiedziałem. Ale gdybym tam był i gdybym był kimś innym - typowym psycholem macho w klasycznym waltońskim stylu - to nie ograniczyłbym się wyłącznie do Kenny'ego. - Strzepnął pyłki traw z kurtki i skrzywił się, bo niechcący uraził się w sparzony palec. - Zabiłbym także twojego brata.

Nagle jakby przypomniał sobie, gdzie jest - a może odczytał wyraz mojej twarzy. Tak czy inaczej, jego wzrok powędrował ku nazwisku na nagrobku, o który się opieraliśmy, i Richie zachował dość przyzwoitości, by przybrać zawstydzoną minę.

- No dobra - mruknął. - Przepraszam. To było wredne z mojej strony. Po prostu pierdoleni księża, wiesz? Czy choć jeden z nich, może...? Zresztą, nieważne. Zapomnij. Nie wszystko jest czarne i białe, co nie? Może odmówił parę zdrowasiek i wyrównał rachunki z Bogiem. Ale nigdy nie wyrówna rachunków ze mną.

Odszedł, nim zdążyłem spytać, co ma na myśli. Zostałem sam, zapatrzony w nagrobek; na plecach wciąż czułem jego widmowe echo. Zupełnie jakby jej imię pozostało wypalone na mojej skórze przez zimny kamień i tkaninę płaszcza.

CATHERINE PAULINE CASTOR

UKOCHANA CÓRKA I SIOSTRA

Jedynie te słowa i dwie daty: tak bardzo bliskie siebie.

Moja komórka, ustawiona na wibrowanie, zaczęła wiercić mi się w kieszeni jak szczur, wrywając mnie z ponurego zamyślenia. Przyłożyłem ją do ucha.

- Halo?

- Castor.

- Z początku nie mogłem skojarzyć tego głosu, lecz lekko stłumiony dźwięk, sugerujący spuchniętą wargę, stanowił wystarczającą wskazówkę.

- Gwillam. Jak żyjesz?

Nie zaszczylił mnie odpowiedzią.

- Miałaś rację - rzekł jedynie. - Wracaj tu najszybciej jak możesz, bo musimy porozmawiać.

Dawne tragedie i obecne wkurzenie nie dodały mi cierpliwości.

- Czyżby? O czym?

- O Salisbury. Przyjedź i uratuj tych ludzi, Castor, bo są w piekle. A ja nie mam dość sił, by ich wydostać.

19

Wieżowce spowijała cisza, większość świateł zgasła. Tu i tam samotne okno rozbłyskiwało żółtobiałym blaskiem - ich losowe położenie upodobiało osiedle Salisbury do gwiazdozbioru, którego nikt jeszcze nie zdążył nazwać. Dłuższy czas obserwowałem kilka z nich, lecz nic się za nimi nie poruszało.

Nic też nie poruszało się w miejscu, w którym byłem. Przyjechałem taksówką z Kings Cross, lecz poleciłem kierowcy zatrzymać się na przejeździe, na którym zaatakowano Kenny'ego, teraz znów otwartym dla ruchu, lecz mało uczęszczanym o tak późnej porze, toteż nikomu nie przeszkadzaliśmy. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić po drodze do Matta, lecz nie wiedziałem, jak sformułować pytanie, które chciałem mu zadać. Jeśli się myliłem, coś takiego mogłoby zrujnować związek znacznie mocniejszy niż nasz.

Zatem, oto ja: samotny szeryf jadący na pomoc bez wsparcia rewolwerów. Dysponowałem jedynie kolejnym kawałkiem układanki i narastającym we mnie cierpkim przekonaniem, że cena za coś więcej będzie wyższa niż ta, którą zapłacił Faust.

Śledzony podejrzliwym spojrzeniem taksówkarza wysiadłem z wozu i podszedłem na skraj przejazdu, patrząc w stronę osiedla Salisbury. Nawet nie sięgałem po flet, bo go nie potrzebowałem, skupiłem się jedynie na moim zmyśle śmierci, zamknąłem oczy i uszy, by lepiej ujrzeć i usłyszeć to, co miałem przed sobą.

Miazma kipiała gniewem. Nie poszerzyła się, lecz pogłębiła - była teraz jak niewymazywalna gmatwanina wrzeszczącego zła, przyszpilona i rozpięta nad tą częścią miasta. Wisiała przede mną niczym pleśniejące zasłony, tak wyraźnie obecna, że miałem wrażenie, że mógłbym sięgnąć ku niej ręką, rozsunąć kurtynę i spojrzeć w zupełnie inne miejsce. Grosik dla podglądacza.

- Jedziemy gdzieś jeszcze, koleś? - spytał zza moich pleców taksjarsz.

Mimo włączonego licznika wyraźnie nie lubił marnować czasu. Wielka szkoda, bo chętnie przeciągnąłbym to jeszcze trochę.

Ale też z odległości mili nie mogłem zrobić nic więcej, a w tym miejscu traciłem nie tylko czas. Wróciłem do taksówki.

- New Kent Road - powiedziałem. - Osiedle Salisbury.

Włączyliśmy się do ruchu i zacząłem rozmyślać o tym, co muszę zrobić. Obietnicach, które muszę złamać, niewinnych ludziach, których mam okłamać. Durnym ryzyku, które podejmę, udając, że wiem co robię. Innymi słowy kolejny zwykły dzień pracy. Może powinienem przyłożyć się bardziej do mojej kariery klauna na dziecięcych przyjęciach?

Jazda do Salisbury zabrała nam pięć czy sześć minut, z każdym pokonanym metrem powietrze wokół mnie jakby gęstniało i ciemniało. Zapłaciłem kierowcy i wspiałem się po schodach na betonowy plac, na którym bez szczególnego zaskoczenia zobaczyłem niewielką bandę czekających na mnie wesołych chłopców, dziewczynek i żywych trupów Gwillama. Gość o płaskiej twarzy - Feld - też tam był, reszty nie znałem. Obok niego stał niski, przysadzisty i brzuchaty facet w tanim garniturze - wyglądał jak czyjś gruby, wesoły wujek, choć efekt Świętego Mikołaja psuła nieco paskudna blizna, biegnąca przez twarz wstęgą wypukłego, stwardniałego ciała - a także twardziel, od stóp do głów ubrany w czerń, gotów do nocnych działań i może trochę zbyt entuzjastyczny. Miał jednak imponujące mięśnie; z drugiej strony, ciągle towarzystwo odrodzonej chrześcijańskiej menażerii Gwillama z pewnością sprawiało, że normalny człowiek zaczynał wpadać w kompleksy. Biedak pewnie spędzał na siłowni całe boże dni.

- Panie Castor - powiedział człowiek w czerni. - Ja jestem Eddings, a to - wskazał ręką grubasa - jest Speight. W drodze o wszystkim panu opowie.

Nawet nie próbował przedstawić mi Felda - może wiedział, że już się spotkaliśmy.

Odwrócił się i poprowadził nas przez betonowy plac. Kiedy ruszyłem za nim, Speight dogonił mnie, a Feld zamykał tyły. W pobliżu nie widziałem nikogo innego, a cisza była głębsza niż kiedykolwiek. Nie była to tylko nieobecność odgłosów z pobliskich wieżowców - dźwięki samego miasta, hałas samochodów na ulicy zaledwie parę metrów za nami, łoskot pociągów i krzyki wesołych pijaczków, cichły z każdym kolejnym krokiem. Zasłony - przechodziliśmy przez nie i opadały za naszymi plecami.

- Ostatnia noc była bardzo zła - mówił niski grubas, Speight. Miał wytworny akcent z lekkim walijskim zabarwieniem. - Doszło do paru starć. - Wskazał ręką. - Wezwano policję, lecz walki objęły także kładki. Mnóstwo ludzi ucierpiało, niektórzy odnieśli ciężkie obrażenia. Nawet załogi karetek, próbujące opatrywać rannych, też zostały zaatakowane.

- Dziś zatem jest lepiej. - Uniosłem wzrok ku górującym nad nami złowieszczym wieżowcom: mrocznym olbrzymom o niesymetrycznych oczach.

Speight spojrzał na mnie tak, jakby podejrzewał, że żartuję.

- Nie - odparł, przeciągając tę sylabę. - Dziś jest gorzej.

Gwillam czekał na nas u stóp bloku Westona, w dłoni trzymał Biblię, otaczała go kolejna niewielka grupka wielozadaniowych wyznawców. Patrzył, jak się zbliżamy, a Speight już się więcej nie odezwał - ewidentnie resztę informacji miał mi przekazać szef we własnej osobie.

Gwillam pozdrowił mnie skinieniem głowy, odpowiedziałem tym samym. Wziąwszy pod uwagę fakt, że kiedy ostatnio się spotkaliśmy, przywaliłem mu w twarz, żaden z nas nie miał ochoty na uprzejmą pogawędkę. Wyglądało na to, że całkiem doszedł do siebie, choć zastanowiłem się przelotnie, czy równie łatwo otrząsnął się po duchowym laniu spuszczonego przez Juliet.

- To demon - oznajmił beznamiętnie.

Wzruszyłem ramionami. Zakładałem, że nie ściągnął mnie aż tutaj tylko po to, by mi powiedzieć coś, co już wiedziałem.

- Tak jak mówiłeś, wyraźnie przyciągają go rany - podjął Gwillam. - A jego obecność zniekształca percepcję ludzi, z początku subtelnie, ale z czasem coraz bardziej i głębiej. Moi ludzie wymieniają się co dwie godziny i ledwo udaje nam się go tutaj utrzymać.

- Wygląda na to, że radzicie sobie nieźle - zauważyłem, wskazując gestem pogrążone w ciszy osiedle. - Nie ma żadnych zamieszek. Nic nie miota się w nocy.

- To nie znaczy, że nie próbuje - rzekła kobieta stojąca po prawicy Gwillama.

Była wysoka i dobrze zbudowana, na swój posagowy sposób atrakcyjna. To pierwsze, co zauważyłem, potem zarejestrowałem koński ogon, a potem kocią kołyskę ze sznurka oplecionego wokół dłoni. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że ją znam. Kiedy widziałem ją na kładce, było ciemno, a wcześniej, kiedy towarzyszyła Gwillamowi, omyłkowo wziąłem ciasno spleciony sznurek na jej dłoniach za bandaż. Zapewne w ten właśnie sposób skupiała swoją moc. Była egzorzystką jak ja i Gwillam. Zwróciłem się zatem do niej, choćby po to, by uzyskać świeżą perspektywę i mieć pretekst do niepatrzenia w kwaśno skrzywione oblicze Gwillama.

- Mów dalej - rzekłem.

Zerknęła na ojczulka, prosząc wzrokiem o pozwolenie. Udzielił go pełnym rezygnacji gestem.

- Próbowaliśmy zwykłych egzorcyzmów. Ale to coś walczy. Usiłuje nas ściągnąć na swój teren.

Przypomniałem sobie swą własną, prymitywną próbę w szpitalu i czarną otchłań, w której na krótko stanąłem naprzeciw owego stworu: o tak, dokładnie wiedziałem co ma na

myśli. Przytaknąłem i znów zaczęła mówić. Jej spokojny, beznamiętny ton kontrastował osobliwie z opisywanym koszmarem.

- Peyer zaczął, a potem... próbował wydłubać sobie oczy. Z jednym mu się udało, Feld zdołał go powstrzymać, nim załatwił drugie. Potem wykorzystywaliśmy przewagę liczebną: jeden egzorzysta próbował krępować demona, dwoje lub troje innych czuwało nad nim, snując blokady niedopuszczające, tak by stwór nie mógł się zbliżyć. - Uniosła ręce, jakbym w skomplikowanej płataninie nici mógł odczytać ich klęskę. - Nic to nie daje, bo demon tak naprawdę nie skupia się w tym miejscu. Bardziej... jakby...

- Jakby żył w ranach - dokończyłem.

Skinęła głową.

- A do tej pory większość mieszkańców osiedla odniosła już jakieś obrażenia. Jest wszędzie wokół. W stu czy nawet tysiącu kryjówek. Kiedy przeganiamy go z jednego nosiciela, odchodzi. Wycofuje się. Potem, gdy tylko odwracamy wzrok, wraca. Spędziliśmy tu całą noc i jedyne co nam się udało, to skupienie jego uwagi na nas, tak że nie psoci nigdzie indziej. Ale nie możemy robić tego wiecznie. A on najwyraźniej rośnie w siłę.

To mnie nie zdziwiło. Jeśli rany stanowiły jego pożywkę i radość, a na kilkuset metrach kwadratowych osiedla zgromadziło się tysiąc rannych ludzi, oznaczało to, że kielich demona jest pełen po wręby. A jeśli mężczyźni, kobiety i dzieci, odnosząc rany, dadzą mu nowy punkt zaczepienia i schronienie, jego rozrost mógł następować w tempie wykładniczym, niemożliwym do powstrzymania.

- Uważamy zatem, że jest nam potrzebne świeże spojrzenie - podsumował z napięciem Gwillam, patrząc na mnie zimno, wyczekująco. - A ponieważ wiedziałeś większość z tego przed nami, mieliśmy nadzieję, że zdołasz nam poradzić, co mamy dalej począć.

- Przykro mi, że muszę cię zawieść, ojczy - odparłem - ale doszłicie dalej niż ja. Kiedy spotkałem tego demona, miałem szczęście, że udało mi się ująć cało, z nietkniętą duszą i skórą.

Kątem oka dostrzegłem, jak ramiona kobiety opadły. Gwillam pokręcił głową.

- W takim razie przyjechałeś tu na próżno. Przykro mi, że zająłem ci czas. Jeśli nam wybaczysz, wrócimy do pracy, choć w ostatecznym rozrachunku może okazać się próżna.

- Jest jeszcze jedno, czego moglibyśmy spróbować - oznajmiłem.

Gwillam obracał się już do mnie tyłem, ale zamarł wyczekująco.

- Chłopak - dodałem. - Bic.

- William Daniels - przetłumaczył Gwillam.

- Właśnie. Uważałeś, że współkieruje nim Jezus.

- Castor, przyznałem już, że myliłem się co do tego, co się tu dzieje.

- Ale miałeś powód, by tak przypuszczać, prawda?

Gwillam wpatrywał się we mnie, czekając co powiem dalej. Wszyscy inni także wbijali we mnie wzrok i we wszystkich zmęczonych oczach wyczuwałem nowe zainteresowanie. Tworzyli tak wspaniałą widownię, że chętnie zabrałbym ich ze sobą do domu. Gdybym mieszkał w Guantanamo.

- On był pierwszy - powiedziałem niecierpliwie. - I domyślam się, że przez długi czas jedyny. Ten stwór znalazł go na długo przed tym, nim skrzywdził kogokolwiek innego. Jest telepatą: ma dar pozwalający odczytywać myśli i uczucia. Większość egzorcystów też dysponuje czymś takim, choćby w śladowym zakresie, ale on to coś więcej. Jest jak satelita radiowy nastawiony do wewnątrz. I odebrał sygnał demona ran.

- Czy dlatego demon tu przybył? - spytał przeciągle niski facet, Speight.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Przybył z powodu innego chłopaka, Marka Blaineya, który zmarł tu rok temu. Mark się kaleczył. Uważał rany bądź zadawanie ran za... Sam nie wiem. Chyba podniecające. Pociągające. Dużo o nich rozmyślał. Miał na ich punkcie obsesję. Ciął się na różne sposoby, różnymi przedmiotami. I w jakiś sposób gdzieś po drodze ten stwór go zauważył. Przybył do niego. Kiedy się spotkaliśmy w miejscu, w którym mieszka, wymówił jego imię. Przybył, szukając Marka, ale został z powodu Bica. A teraz poszerzył swój krąg przyjaciół. Taka przynajmniej jest moja teoria.

- Gwillam się zastanowił. Spojrzenia wszystkich powędrowały ku niemu, bo on był tu szefem, dawcą prawdy. Na tym właśnie polega kłopot z Kościołem: to ścisła hierarchia, w której wszyscy robią to, co każe facet stojący szczebel wyżej. I nie byłoby to takie złe, gdybym na najwyższym stopniu zamiast Boga stał ja.

- Podczas naszego śledztwa dowiedzieliśmy się o Marku Blaineyu - przyznał Gwillam.

- Uznaliśmy go za wczesny objaw.

- Z początku ja także - zgodziłem się. - Ale pielęgniarka ze szpitala Royal London naprostowała moje poglądy. On nie jest symptomem, Gwillam. Jego śmierć wyróżnia się jak biskup w burdelu, jeśli wybaczysz mi to porównanie. Na ciele nie znaleziono żadnych ran klutych ani ciętych. Po prostu zeskoczył z kładki. Można zatem rozsądnie założyć, że to nie demon doprowadził do jego śmierci. Mark nie zginął z powodu demona: sprowadził go, a potem umarł z innej przyczyny.

I chyba wiem jakiej, dodałem w myślach. „Może wyrównał rachunki z Bogiem, ale nigdy nie wyrówna rachunków ze mną”, powiedział Richie. Nie wiedziałem, że Matt także będzie miał problemy na boskim froncie - nie da się wyprzeć grzechu podobnego kalibru.

- Uważasz zatem, że jeśli spróbujemy egzorcyzmów Williama Daniela... - zaczął Gwillam.

- Nie - przerwałem mu niecierpliwie. - Już tego próbowałem. Może udałoby się kiedyś, gdy demon dotknął tylko jego, ale teraz już nie. Jak mówiłeś, zapuścił korzenie w zbyt wielu ludziach. Po prostu się przeniesie i zaatakuje od innej strony.

- W takim razie co? - spytał niecierpliwie Gwillam.

Powiedziałem mu, co mam na myśli.

Nie spodziewałem się, że następna część rozmowy pójdzie gładko. Mimo wszystko jednak nie doceniłem czystego, nieustępliwego uporu Gwillama w obliczu czegoś, czemu nie ufał i nad czym nie potrafił zapanować.

Był wstrząśnięty tym, co zaplanowałem, i natychmiast stanął okoniem. Na początek chciał poznać nazwiska i adresy. Chciał też przejąć dowodzenie nad operacją i zostawić mnie tutaj jako zakładnika wśród swoich ludzi, by zapewnić sobie współpracę wszystkich, których musiałbym zaangażować. I wreszcie zażyczył sobie wolnej ręki co do możliwych przyszłych sankcji, łącznie z egzorcyzmowaniem bądź zniszczeniem w inny sposób wszelkich nie ludzi, którzy odegraliby jakąś rolę w moich planach.

Ja z kolei powiedziałem mu, że wszystkimi detalami, w jakich dokładnie pozycjach może się pierdolić.

Kłóciliśmy się zawzięcie co najmniej pół godziny, aż w końcu osiągnęliśmy impas. Ludzie Gwillama otaczali całe osiedle, pełnili też straż na wszystkich kładkach, a pocziwy księżulo kategorycznie odmówił zgody na zabranie Bica nawet za pozwoleniem rodziców - chyba że pośle ze mną swój oddział i pokieruje wszystkim. Odpowiedziałem, że to się nie uda i że skazuje mieszkańców Salisbury na śmierć tysiąca ran. A on odparł, choć może nie tymi słowami, że ich cierpienie to część boskiego planu.

W końcu poddałem się i zostawiłem ich samym sobie. Przynajmniej nie powstrzymali mnie przed wizytą na ósmym piętrze bloku Westona u Bica i jego rodziny. Mogło się zrobić ciekawie, bo Gwillam miał po swej stronie poważne siły, a ja byłem w dość marnym nastroju, by nie odpuścić. Kiedy jednak szedłem przez plac i podwójne drzwi, wciąż prowadził szeptaną naradę ze swymi przydupasami.

Okazało się, że windy nie działają, toteż wyszedłem na schody zewnętrzne i rozpocząłem wędrówkę do nieba, nie oglądając się za siebie, w obawie że spojrzę wprost na Gwillama, który mnie odwoła. Drepcząc po schodach, usłyszałem za plecami pośpieszne

kroki. Odwróciłem się i zaczekałem - wołałem spotkać się oko w oko z tym co mnie ściga. W tym miejscu lepiej niczego nie przyjmować na wiarę.

To była wysoka kobieta z kocią kołyską oplecioną wokół dłoni.

- Ojciec Gwillam zmienił zdanie - oznajmiła z prostotą, zatrzymując się trzy stopnie niżej.

Zauważyłem z uznaniem, że nawet nie zadyszała się po biegu po schodach. Gdzieś w głębi mego umysłu przebudziło się dziecięce zauroczenie Ellen Ripley i przypomniało mi o czasach, gdy zasiadało na honorowym miejscu w pałacu mojego libido.

- Co do czego? - spytałem.

- Co do chłopca. Mówi, że jeśli pozwolisz komuś z nas pojechać z tobą, żebyśmy mieli pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziesz mógł to zrobić.

- Już mówiłem... - zacząłem.

Ona jednak pedantycznie nauczycielskim gestem uniosła palec, uciszając mnie.

- Podwójne zabezpieczenie. Ktokolwiek z tobą pojedzie, nie pozna adresu, a ty będziesz mógł zrobić co tylko zechcesz, by się upewnić, że nie zapamięta trasy. - Spojrzała na mnie wyczekująco. - Wychodzimy ci naprzeciw, Castor. Reszta zależy od ciebie. Jedno z nas musi pojechać, ale na twoich warunkach. Zgoda?

- Zastanowię się nad tym - odparłem, ale wyłącznie dla zachowania twarzy. Wiedziałem, że lepszej oferty nie dostanę i nie pozostało nam żadne inne wyjście.

Zamiast pokazać jej, jak bardzo dokładnie czuję się przyparty do muru, odwróciłem się i znów ruszyłem na górę.

Kobieta pomaszerowała za mną, aż do ósmego piętra utrzymując pełen szacunku dystans trzech kroków.

- Nie musisz mnie prowadzić za rękę - rzuciłem przez ramię.

- Nie? A wołałbyś za coś innego?

Nie takiej riposty spodziewałem się od kobiety pochodzącej z kręgów kościelnych - nawet jeśli mówimy tu o tajnych kościelnych operacjach. Z drugiej strony, kiedy poznałem Sue Book, była kościelną, a teraz żyje w partnerskim związku z demonem. Z tymi misjonarkami nigdy nic nie wiadomo.

- Żyję w celibacie - uciałem. - Jedyne ludzie czystego serca mogą odnaleźć Świętego Graala.

Kiedy mijałem drzwi Kenny'ego, obecnie zabite gwoździami i zaklejone taśmą policyjną, poczułem bolesne mrowienie skóry, jakby ktoś oblał mnie kwasem akumulatorowym. Byłem niemal pewien, że to nie reakcja psychosomatyczna, choć do tej

pory orientowałem się w koszmarach, które rozgrywały się za tymi drzwiami, na tyle, że nie musiałem szukać wyjaśnień nadprzyrodzonych. Czyżby jednak demon ran znalazł sobie fizyczny punkt zaczepienia? Czy egzorcyzmy przeprowadzone w sypialni Marka Blaineya miałyby większą szansę powodzenia?

Byłem gotów się założyć, że nie, że to jedynie kolejna stracona okazja, podobnie jak Bic. Przynajmniej z Bikiem mieliśmy jeszcze jedną niewielką szansę na naprawę sytuacji. Choć nie wiem, czy „naprawa” to właściwe słowo.

Zapukałem i drzwi otworzyła Jean Daniels. Wyglądała jak kobieta, która zażyła leki, by przeprowadzić na sobie własnoręczną operację na otwartym sercu i została odwołana w połowie procedury. Spojrzała na mnie pustymi oczami, potrzebującymi kilku sekund, by zrozumieć co widzą.

- Pan Castor - wymamrotała. - Wrócił pan. Dzwoniłam parę razy i zostawiałam wiadomości, ale pan nie...

- Nie było mnie w domu - odparłem - więc ich nie dostałem. Bardzo mi przykro. Możemy wejść?

Skinęła głową i odsunęła się, przepuszczając mnie, i w tym momencie uświadomiła sobie, że nie jestem sam.

- To jest... - rzekłem, wskazując kobietę z kocią kołyską. - Właściwie, kim ty, do diabła, jesteś?

- Trudie Pax - przedstawiła się, wyciągając rękę do Jean. - Pracuję z ojcem Gwillamem.

Jean cofnęła się o krok, jakby dłoń Trudie była czymś skażona.

- Mówiliśmy już ojcu Gwillamowi, że nie mamy mu nic więcej do powiedzenia - oznajmiła zimno.

- A my to przyjęliśmy - odparła słodko Trudie. - Tak czy inaczej, pani Daniels, nie wierzymy już, że pani syn został dotknięty przez Boga. Wydarzenia ostatnich dni dowiodły, że się myliliśmy. Ale Castor pomyślał o czymś, co mogłoby poprawić stan Williama, i przyszliśmy tu razem, żeby udzielić mu wszelkiej możliwej pomocy.

Z głębi mieszkania wynurzył się Tom. Stanął za żoną, więc wszystko usłyszał. Wyglądał równie mizernie jak Jean, lecz jednocześnie wojowniczo. Ale to Jean od razu wyłapała najważniejszy element krótkiej przemowy Trudie. Kiedy spojrzała na mnie, jej twarz rozjaśniło coś na kształt nadziei.

- Może mu pan pomóc? - spytała.

- Proszę mi go pokazać - odparłem wymijająco.

Jean poprowadziła nas - nie do salonu, gdzie byłem przedtem, lecz do sypialni odchodzącej w lewo od korytarza. Przechodząc przez drzwi, zadrzałem mimowolnie, sprawił to jednak sam pokój, ponieważ rozkład mieszkania był identyczny jak u Kenny'ego, a Bic mieszkał w tym samym pokoju co Mark.

Straceni chłopcy, zajmujący te same egzystencjalne kwatery. Ale Bic był przynajmniej kochany i zadbany: i nie spadnie z krawędzi świata, tak jak to zrobił Mark. A przynajmniej, jeśli w jakikolwiek sposób zdołam temu zaradzić.

Leżał na swym łóżku na kołdrze, znów ubrany w piżamę ze Spidermanem. Wymięty koc obok zapewne w którymś momencie go przykrywał, widziałem jednak, czemu nie został na miejscu. Bic wzdrygał się i trząsał, jego głowa i kończyny pozostawały w nieustannym ruchu, a szeroko otwarte oczy zerkały z boku na bok, przeczesując pokój od ściany do ściany, jakby próbował ustalić źródło irytującego dźwięku.

Cały czas mamrotał pod nosem, a kiedy usiadłem w nogach łóżka, znalazłem się dość blisko, by zrozumieć część słów.

- Rozkwita jak kwiaty, jakby tam był, bo go straciłem, straciłem, straciłem. Dopóki go nie znalazłem... nie znalazłem i nie przyspiliłem. Ratuje mi życie co godzinę, co dzień. Szyję. Zaszycam się igłą, zaszycam dziury, ale wy widzicie tylko blizny i nie słyszycie, kiedy wszystkie te usta, okrągłe czerwone usta gadają, gadają, gadają.

Pomacałem jego czoło, lecz tak jak poprzednim razem mówiła Jean, nie wyczułem gorączki. Skóra Bica była chłodna.

- Byliście z nim znowu w szpitalu? - spytałem.

Tom popatrzył na Jean, a po chwili wahania i udręczonym zerknięciu na Trudie pokręciła głową.

- A co by z nim tam zrobili? Podali leki? Rozkroili? Uspokaja się tylko wtedy, kiedy trzymam go za rękę i do niego mówię. To... sprowadza go do nas na parę minut. Poinformowaliśmy szkołę, że cierpi na gripę żołądkową, by nikogo nie przysyłali. Boję się, że go zabiorą. Mogą uznać, że ma nie po kolei w głowie. Mogą zabrać go gdzieś i nie dopuścić nas do niego. - Uniosła ostrzegawczo palec ku twarzy Trudie. - Jeśli kogoś tu ściągniesz - oznajmiła - zabiję cię.

Trudie zignorowała palec i przyjęła groźbę bez słowa protestu.

- Wszyscy chcemy tego co najlepsze dla Williama.

- Billy'ego - mruknęła cierpko Jean, z powrotem odwracając się do mnie. - Ma na imię Billy. No to jaki jest plan, panie Castor? Co pan wymyślił?

Nadszedł czas na stawienie czoła prawdzie, czas, by ją wyznać bądź się zamknąć. A że jestem tchórzliwym draniem, skłamałem.

- Jest jeszcze jeden lekarz - oznajmiłem. - Niedaleko stąd. To w pewnym sensie specjalista od podobnych przypadków i jest mi winien przysługę.

Tom i Jean nie wyglądali na przekonanych.

- Specjalista? - powtórzył Tom. - Od... tego, na co cierpi Billy? Tego opętania? Przytaknąłem.

- Jak się nazywa? - spytała Jean.

- Na pewno o nim nie słyszeliście - zapewniłem ją, ale wciąż wbijała we mnie wzrok, z mieszaniną nadziei i niepokoju, których równowaga zmieniała się z każdą chwilą. - Ditko - oznajmiłem. - Doktor Rafael Ditko.

20

Kiedy wróciliśmy do Gwillama, nadal okazywał dezaprobatę wobec całego planu.

- Zdajesz sobie sprawę - ostrzegł - że próbując zapanować nad tym zagrożeniem, ryzykujesz uwolnienie czegoś znacznie gorszego?

- Owszem - zgodziłem się. - Wiem o tym. Jeśli potrafisz wymyślić inny plan, nieangażujący Asmodeusza, bardzo proszę. W przeciwnym razie zaczynam działać.

Książd obdarzył mnie zbolałym spojrzeniem.

- Ta sytuacja... - zaczął i jakby zabrakło mu słów.

- Całkiem ci odpowiadała, kiedy Rafi siedział u Stangera.

- Zgadza się. Bo sami mogliśmy go monitorować. Teraz ukrywasz go gdzieś i mamy tylko twoje słowo na to, że zastosowane środki ochronne wystarczą, by powstrzymać Asmodeusza.

- Tak.

Gwillam się najeżył.

- Co tak?

- Tak, macie tylko moje słowo. I więcej nie dostaniecie. To co, robimy to czy nie?

Jeszcze parę chwil miażdżył mnie wzrokiem, po czym krótko skinął głową i odszedł.

Nadal jednak minęło sporo czasu, nim ruszyliśmy w drogę. Dowiezenie mnie i Trudie Pax do Imeldy, tak by kobieta z Anathematy nie poznała drogi, okazało się niezwykle kłopotliwe i zabrało nam niemal godzinę. Kazałem Gwillamowi zorganizować samochód, a potem z niego zrezygnowałem, bo gdy czekaliśmy na jego przybycie, uświadomiłem sobie, że bardzo łatwo mógł podrzucić do niego lokalizator. Do diabła, może nawet nie musiał - w dzisiejszych czasach wystarczy zwykła komórka, zakładając, że Trudie ją miała.

Zdecydowałem się zatem na plan B, który wymagał zaangażowania Nicky'ego. To mistrz świata w paranoi, a już wcześniej wiedziałem, że bardzo spodoba mu się idea przerobienia Gwillama. Kiedy zadzwoniłem i spytałem, jak według niego mamy to załatwić, namyślał się zaledwie parę minut.

- Przysyłam do ciebie przyjaciela - rzekł. - Bądź gotów. Nazywa się Cheadle i jest bardzo dobry. Wręcz przerażająco zorganizowany. Ale trzeba mu będzie zapłacić.

- Ile? - spytałem, przez moment spłoszony, próbując sobie wyobrazić, co przerażająco zorganizowany oznacza dla kogoś o umyśle Nicky'ego.

Pieniądze nie miały znaczenia - Gwillam będzie musiał opłacić rachunek, bo mnie samego dzieliła od totalnego bankructwa jedynie garść drobniaków - ale chciałem wiedzieć, ile zażądać.

- Powiedzmy parę setek. I datek na fundusz wdów i sierot.

- Na co?

- To napiwek, Castor. Jeśli facet będzie zadowolony, nie pozostawi nowych wdów i sierot.

Przekazałem wiadomość i Gwillam zgodził się niechętnie, z cierpką miną.

- Masz już moje słowo - rzekł zimno. - To powinno ci wystarczyć, Castor. Jestem sługą bożym i zawsze słucham głosu sumienia.

- Jasne - zgodziłem się. - I byłoby to dla mnie coś, co nazywają dowodem wiary. Bardzo cenionym w kręgach religijnych, lecz wszędzie indziej uważa się, że zazwyczaj lepiej jest trącić paści kijem, nim włożyć się w nie nogę.

Cheadle zjawił się dziesięć minut później czerwoną furgonetką „Bedford” z napisem na boku ODPLYWY I ŚCIEKI - litery były tak żółte, że bolały od nich oczy. Nie zaparkował na ulicy, tylko wjechał na stopnie wiodące na plac i zwolnił tuż przed nami, wyskakując ze swego miejsca, miast spokojnie zejść, i mierząc nas spojrzeniem oczu szarych jak rewolwerowe kule.

Był drobnym, lecz bardzo mocno zbudowanym mężczyzną, otoczonym ponurą aurą, która odbiera wszystkim w promieniu dziesięciu metrów ochotę do banalnych rozmówek. Jego bezkształtne ubranie wyglądało jak zrobione z zamszu czy może krótkiego futra, przy którym wciąż wisiało parę nieszczęsnych zwierzaków. Wśród siwych włosów na skroniach dostrzegłem jasnobrązowe, nikotynowe pasma. W dłoni trzymał niewielki plecak, dyndający na jednym pasku, drugi był urwany.

- Który to Castor? - spytał, rozglądając się.

Uniosłem rękę jak uczeń.

- Dobra - rzekł. - Pojedziesz z przodu. Opracowałem już trasę, więc nie masz tu nic do gadania. Gdzie jest ten drugi?

- To ja - oznajmiła Trudie Pax.

- Ściągaj ciuchy - polecił Cheadle, rzucając plecak na ziemię - i włóż te tutaj.

Trudie, wyraźnie odrobinę oszołomiona, podniosła go i sprawdziła zawartość.

- Są nowe - zapewnił Cheadle. - Kupiłem je po drodze w markecie. XL. Jeśli będą za duże, to nie ma znaczenia. Możesz podwinąć rękawy i nogawki.

- Muszę pójść w ustronne miejsce - powiedziała Trudie.

- Nie, nie musisz - uciał Cheadle. - Zrobisz to tutaj. Możesz zostać w bieliźnie, a zresztą wszyscy z pewnością już to widzieliśmy. Ale żadnych kieszeni, kapturów, guzików ani zamków. Tak już jest, skarbie. Albo się zgodzisz, albo spadaj.

Gwillam skinął głową i Trudie zaczęła się rozbierać. Mówcie co chcecie o fanatykach religijnych, ale ich oddanie sprawie musi budzić podziw. A niektórzy, zauważyłem mimowolnie, mają też bardzo kształtne tyłki.

Zawartość plecaka okazała się workowatym niebieskim dressem ozdobionym z przodu logo Nike, które nikogo nie oszukało.

Podróbkowy szyk. Trudie włożyła go bez słowa skargi i sięgnęła po but.

- I żadnych butów - powstrzymał ją Cheadle. - Mamy ciepłą noc, skarbie, nie zaziębisz się. A teraz przyjrzyjmy ci się.

Z bocznej kieszeni plecaka wyjął ręczny czytnik elektroniczny - dla mojego fachowego oka niczym się nieróżniący od tych używanych przez ochroniarzy na lotniskach - i przesunął nim od stóp do głów wzdłuż stojącej naprzeciw z założonymi rękami i spuszczonego wzrokiem Trudie. Jej twarz miała wystudiowane obojętne wyraz: jeśli czuła oburzenie i poniżenie, to ich nie okazywała.

- Dobra - rzucił Cheadle - jesteś czysta. Jedziemy.

- Muszę sprowadzić chłopca - poinformowałem go. - Bica. Nicky ci wyjaśnił?

Cheadle wzruszył ramionami, odwracając się do mnie plecami.

- Nie prosiłem o wyjaśnienia. Powiedział, że będzie was troje i żebym zabrał coś, na czym można położyć dzieciaka. Nic więcej nie muszę wiedzieć. Rób to, co musisz, ja tymczasem posadzę twoją przyjaciółkę z tyłu. Chodź, skarbie.

Poprowadził Trudie na tył furgonetki i szarpnięciem otworzył drzwi. Ja ruszyłem na górę i odebrałem Bica od rodziców.

- Proszę go pilnować - rzekła Jean, gdy dźwignąłem go w objęciach, tonem pośrednim między prośbą i ostrzeżeniem.

- Słowo skauta - odparłem. - Wierz mi, Jean, nikomu nie pozwolę go skrzywdzić.

A przynajmniej zrobią to po moim trupie, i pewnie paru innych.

Bic prawie nic nie ważył: pewnie mógłbym ponieść go jedną ręką. Ale żebra przypominały mi o niedawnych przygodach i kiedy dotarłem z powrotem na parter i betonowy plac, musiałem przystanąć, żeby złapać oddech. Cheadle czekał w furgonetce.

Zbiry Gwillama stały obok zbite w grupkę - faceci wyglądali groźnie, bo ni cholery nie potrafili inaczej.

Cheadle otworzył przede mną tylne drzwi furgonetki. Zajrzałem do środka i zamarłem. Trudie siedziała po turecku na podłodze, ręce miała skute za plecami. Założył jej na głowę coś, co bardzo przypominało osprzęt sado-maso: hełm z gumową maską, zapięty pod brodą i wokół szyi na dwa grube pasy. Maską nie miała otworów na oczy.

- Może w tym oddychać? - spytałem.

- Jasne, że może - warknął Cheadle. - Po prostu nic, kurna, nie widzi. Połóż dzieciaka tam.

Wskazał ręką nagi i zdecydowanie pokalany materac, rzucony ukośnie na podłogę furgonetki. Pochyliłem się i ostrożnie złożyłem na nim Bica. Nadal się wzdrygał, szarpał i mamrotał, ale ani na moment się nie ocknął. Pożałowałem, że nie zabrałem koca. Cheadle miał rację, noc była dość ciepła, by chłopak nie wymagał przykrycia, ale jego obecność sprawiałaby, że mniej przypominałoby to porwanie.

Kierowca zatrzasnął drzwi i ruszyłem do wejścia od strony pasażera.

- Trudie jest pod twoją pieczę, Castor - przypomniał mi Gwillam. - Tak samo jak chłopiec.

Skinąłem głową.

- Powinniśmy wrócić w ciągu godziny - rzekłem. - Tak czy inaczej. I bądźcie gotowi. Chcę już mieć to z głowy. I Gwillam... jeśli ktoś będzie nas śledził, zatrzymamy się. Drugiej szansy nie będzie.

Wdrapałem się na fotel pasażera i usłyszałem metaliczny szczęk, gdy Cheadle zamknął drzwi od swojej strony.

- Masz przy sobie komórkę? - zapytał.

- Tak - przyznałem.

- Wyłącz ją. Może nie znają twojego numeru, ale jeśli znają, równie dobrze mógłbyś zostawiać za sobą szlak okruszków. Lepiej na wszelki wypadek włóż ją tam.

Wskazał leżącą u moich stóp skrzynkę. Myślałem, że są w niej narzędzia, ale kiedy ją otworzyłem, okazało się, że ma o wiele grubsze ścianki, a przestrzeń w środku mniejszą. Była zapchana sprzętem telekomunikacyjnym - głównie jakimiś ezoterycznymi urządzeniami, których przeznaczenia nie znałem i wolałem nie odgadywać; były tam nawet gołe obwody drukowane.

- No dobra - oznajmił Cheadle. - Ruszamy.

Cofnął się, zjeżdżając tyłem po schodach, bum, bum, bum i dalej na wsteczny aż do ulicy.

- Czy Trudie nic nie będzie? - spytałem.

Zerknął przez ramię.

- Nie powinno - mruknął, - jeśli nie ma problemów z uchem wewnętrznym.

W ściankę za nami wbudowano okienko obserwacyjne, które zapewne wychodziło na tylny przedział furgonetki, kiedy jednak spróbowałem je otworzyć, Cheadle zatrzymał moją dłoń i pokręcił głową.

- Nie, nie, nie. Wielka włączęga już się rozpoczyna. Zapewniam pełną profesjonalną obsługę, satysfakcja gwarantowana, i przykrywamy klatkę kocem, żeby ptaszek mógł spokojnie drzemać. Masz moją forszę?

Wręczyłem mu banknoty, które wyczarował skądś wcześniej Gwillam. Cheadle rozłożył je w wachlarz i skinął głową, wyraźnie usatysfakcjonowany.

Czterdzieści minut jeździliśmy po południowym Londynie, skręcając w każdą boczną alejkę i zakamarek, jaki Cheadle zdołał znaleźć. Włączył radio, ale dobiegała z niego tylko dudniąca linia basów.

- Masz zepsute głośniki - zauważyłem.

- Bynajmniej - odparł Cheadle. - Działają jak trzeba, ale są zamontowane z tyłu. Jeśli ta panna próbuje się zorientować po odgłosach, któredy jedziemy, to będzie miała problem. Co do ciebie i mnie, musimy się zadowolić dowcipną konwersacją.

Która, jak się okazało, oznaczała martwą ciszę. Siedziałem spokojnie i patrzyłem, jak Cheadle pracuje.

Nie tylko błąkał się losowo po mieście - cały czas sprawdzał, czy nie jesteśmy śledzeni, tak często wpatrując się we wsteczne lusterko, że naprawdę się bałem, że na kogoś wpadniemy. W pewnym momencie zatrzymał się, wyciągnął telefon z pancерnej skrytki i zadzwonił. Nic nie mówił, ale słuchał pół minuty, po czym wyłączył go i schował z powrotem.

- Często robisz takie rzeczy? - spytałem, gdy jechaliśmy przez Camberwell Church Street.

Cheadle zacmokał z dezaprobatą.

- Robię to, za co mi płacą.

- Nicky mówił, że już dla niego pracowałeś - zauważyłem.

- Nie znam żadnego Nicky'ego - uciął tonem świadczącym wyraźnie, że dalsze pytania nie będą mile widziane.

Gdy zajechaliśmy pod dom Imeldy, właśnie wschodził księżyc, oceniałem zatem, że dochodzi pierwsza w nocy. Cheadle zczekał z tyłu furgonetki oparty o drzwi, podczas gdy ja wspiąłem się po schodach, by pomówić z gospodynią.

Nie byłaby zachwycona moim przybyciem, nawet gdybym nie wyciągnął jej z łózka. Otuliła się ciaśniej obszerną jak namiot nocną koszulą w kwiatki i przeszła mnie wzrokiem, z twarzą groźną jak ostrzał artyleryjski.

- Już o tym rozmawialiśmy, Castor - warknęła.

- Owszem - przyznałem. - Ale sytuacja się zmieniła, Imeldo. Tu chodzi o życie dziecka. Musisz mi na to pozwolić.

Był to, przyznaję, tani trik. Ale sam się narzucał, a ja jestem tanim draniem i biorę to, co pcha mi się w ręce. Imelda sama jest matką, a Lisa jest jedyną istotą w jej życiu, do której nie podchodzi z cynizmem i goryczą. Opowiedziałem zatem o Bicu i pozostawiłem jej decyzję. Oto, jak wielkim jestem sukinsynem.

Pięć minut później otwierała drzwi prowadzące do Rafiego, wcześniej usunąwszy z nich amulety. Była z nami Trudie: Cheadle uwolnił jej ręce, ale nadal miała na głowie hełm i maskę. Kiedy weszliśmy do środka, Rafi spojrział na nas z tępym zdumieniem: ja wszedłem pierwszy, trzymając w ramionach Bica, za mną Cheadle prowadzący Trudie za ramiona i w końcu Imelda z miną zbitego psa.

Nastąpiły kolejne wyjaśnienia, podczas których Trudie siedziała na krześle w kącie, przypominając pikantną wersję Ślepej Sprawiedliwości, a Bic leżał na kanapie, jęcząc i coś mamrocząc. Rafi zareagował na moją prośbę niechęcią i strachem. Odkąd się tu wprowadził, przywykł do bycia jedynym mieszkańcem własnego mózgu, a ja zamierzałem teraz obudzić z wykopem śpiącego sublokatora.

- Nie ma innego sposobu? - spytał.

- Żaden nie przychodzi mi do głowy - odparłem. - Ale wierz mi, Rafi, jestem otwarty na propozycje.

Rafi spojrział błagalnie na Imeldę, która pokręciła głową jak skała krzycząca „tu się nie ukryjesz!”.

- Jeśli pytasz mnie, czy to bezpieczne - rzekła surowo - to, skarbie, muszę ci powiedzieć, że nie wiem. Jak dotąd, z Castorem mniej więcej dawaliśmy sobie radę - przez większość czasu udawało nam się zagnać w kąt tego paskudnego stwora. Ale to coś zupełnie innego. Obudzimy go i spuścimy ze smyczy. Nikt nie potrafi zgadnąć, czy po wszystkim uda nam się uśpić go z powrotem, a jeśli ktoś powie inaczej, to skłamię.

- Ale tym razem mamy kogoś do pomocy - przypomniałem.

Imelda zerknęła na Trudie, która siedziała spokojnie, nieświadoma naszych argumentów z powodu swego kaptura BDSM.

- Możesz to z niej zdjąć? - spytała Cheadle'a.

- Nie - odparł krótko Cheadle. - Ale wy możecie. Nie obchodzi mnie, co będziecie robić w tym pokoju, byle tylko przed wyjazdem znów była zapakowana w kokardki i wstążki. Zaczekam na dole. I możecie powiedzieć tej pani, że jeśli zejdzie na dół z otwartymi oczami, przywalę jej w kark pięcioma funtami drobniaków. Może nawet to przeżyje, ale z pewnością jej się nie spodoba.

Wyszedł bez dalszych ceregieli. Imelda pomogła mi odpiąć paski, zdjęliśmy maskę z zarumienionej, spoconej twarzy Trudie.

- Dzięki Bogu! - rzuciła. - Już myślałam, że się uduszę w... - Urwała, wbijając wzrok w Rafiego.

Po paru chwilach przeżegnała się: cztery szybkie, zdecydowane ruchy prawej ręki, którą następnie zacisnęła w pięść.

- Potworność - rzuciła.

- Zwykle mówią mi Rafi - odparł ponuro Rafi.

Trudie kiwnęła głową.

- Wiem. Jesteś tylko naczyniem. Oczywiście słyszałam o tobie. Mamy... materiały na twój temat. W pewnym momencie zastanawialiśmy się nawet, czy cię nie zabić, ale większość członków Towarzystwa jest zdania, że Asmodeusz by to przeżył i mógłby swobodnie wybrać sobie innego nosiciela. Toteż zostawiliśmy cię w spokoju.

W ciężkiej ciszy, która zapadła po jej słowach, powiodła wzrokiem po naszych twarzach.

- No dobrze - rzekła. - To było nietaktowne, prawda? Przepraszam. Zamknę się, dopóki nie będziecie mnie potrzebować.

- Mamy zamiar przebudzić... potworność - poinformowałam ją - i musimy się upewnić, że zdołamy nad nią zapanować. I oczywiście po wszystkim usnąć z powrotem. Masz jakiś pomysł?

- Podany dożylnie tlenek srebra - odparła bez chwili wahania.

Teatralnym gestem poklepałem się po kieszeniach płaszcza, przeszukałem je i wzruszyłem ramionami.

- Sam nalegałeś, żebyśmy zostawiła ubranie - odparła Trudie nieco urażonym tonem. - W takim razie amulety. Mnóstwo amuletów. Na drzwiach, na ścianach i pewnie też na jego ciele.

- Amulety powstrzymują go przed przebudzeniem, kiedy śpi - zaprotestowała Imelda. - Nie zatrzymają go, kiedy się obudzi i rozpędzi. Jest na to za stary i za sprytny. Możesz przybić do niego tysiąc pieczęci, a i tak znajdzie sposób, by przemknąć się między nimi i rzucić na ciebie.

- No to pentagram - powiedziała Trudie.

Spojrzeliliśmy na nią ze zdumieniem.

- Umiesz narysować pentagram? - spytałem ostro.

Moje zdumienie wyraźnie ją zaskoczyło.

- Oczywiście.

- Ze wszystkimi bajerami?

- Tak. A czemu nie?

- Jak na katoliczkę, masz dość bogate wykształcenie. Nie spodziewałem się - mruknąłem.

- Korzystamy ze wszystkich metod, które działają - odparła zimno Trudie, jakbym oskarżył ją o sypanie z wrogiem. - Jesteśmy żołnierzami, Castor, nie pastorami czy pustelnikami. Mamy inne cele.

- Najwyraźniej.

Zerknąłem na Imeldę, która szybko skinęła głową, i na Rafiego, który z rezygnacją, bezradnie wzruszył ramionami.

- Właśnie przez czarną magię wplątałem się w to pieprzone bagno - rzekł z nutką goryczy. - Nie pytaj mnie o zdanie. - Urwał, przełknął ślinę, znów wzruszył ramionami. - Tak samo jak ty, nie chcę śmierci tego dzieciaka. Jeśli to jedyne wyjście, zaczynajcie. Ale jeżeli Asmodeusz rozszarpie wam gardła, starajcie się nie krwawić na moich Kerouaców.

- W takim razie magiczny krąg. Do roboty.

Imelda poszła po kredę. Tymczasem Rafi, Trudie i ja przesunęliśmy na bok meble i zwinęliśmy dywan. Kiedy podciągnęliśmy kanapę pod ścianę, Bic przebudził się na chwilę, patrząc na nas nieco trzeźwiej.

- Czerwone morze - rzekł nawet dość wyraźnie. - Krew to słona woda. To wszystko.

- Lisa śpi na górze - przypomniała nam Imelda, wracając z kredą. - Załatwmy to po cichu.

- Inwokację możemy wygłosić cicho - odparła Trudie. - Ale nie mamy pewności, że zapanujemy nad wszystkim, co zrobi demon po przebudzeniu.

Imelda dokładnie zamknęła drzwi.

- Dzięki za przypomnienie - mruknęła, posyłając mi spojrzenie, które odrzuciłoby mnie na dziesięć kroków, gdybym już nie opierał się o ścianę.

Teraz w pokoju zrobiło się nieco ciasno. Nie mogliśmy stanąć na pustym miejscu pośrodku, bo Trudie szykowałą się do narysowania kręgu, a pod ścianami po bokach stały odsunięte meble.

- Zamierzam użyć pieczęci Bafometa, nakreślonej według liturgii Lewiatana - poinformowała Trudie, szkicując pierwszą linię. - Tej Stanisłasa de Guaity, nie LaVeya z Hell's Kitchen. Panie Ditko, lepiej niech pan stanie wewnątrz kręgu, nim go zamknę.

- A Bica? - spytałem.

Spojrzała na mnie i wiedziałem, że się zastanawia.

- Na zewnątrz - rzekła w końcu. - Jeśli właściwie sformułujemy przywołanie, Asmodeusz nie będzie musiał przekraczać kręgu, by dotknąć chłopca na poziomie psychicznym. A w ten sposób jest nas czworo, co daje silną liczbę. Czy mam sama dokonać przywołania, panie Castor, czy pan woli to zrobić? Zna pan tego demona lepiej ode mnie.

- Chciałbym zobaczyć, jak pracujesz - odparłem i stwierdziłem to można śmiało zakwalifikować do kategorii „niepełnej prawdy”.

Faktycznie byłem ciekaw, jak do tego podejdzie, ale chciałem też oszczędzić własną moc, na wypadek gdyby na którymś etapie Asmodeusz zaczął się ciskać. Pierś wciąż miałem osłabioną po odniesionych obrażeniach, a normalnie nie próbowałbym tak ryzykownej sztuczki nawet w pełni sił. Gdyby na świecie pozostało mi jakiegokolwiek inne wyjście, teraz też bym nie próbował.

Umieściliśmy Bica przy południowym wierzchołku gwiazdy - Trudie ponownie się poskarżyła, że zmusiłem ją do przyjazdu bez narzędzi, nie mogła więc sprawdzić dokładnej orientacji geograficznej - i zajęliśmy miejsca w trzech innych kardynalnych punktach. Trudie wybrała wschodni, bo to był rytuał satanistyczny, a wschód to domena Szatana. Rafi wszedł do kręgu i usiadł pośrodku na podłodze, krzyżując nogi.

- Będę miał cały tyłek w kredzie - narzekał. Pewnie to miał być żart, ale nam nie było do śmiechu. Trudie odwinęła z dłoni sznurek, rozprostowała palce i zaczęła pleść nową kocia kołyskę. Jednocześnie nuciła wiersz, nie było to jednak coś, czego mógłbym się spodziewać w ustach praktykującego satanisty - ani nawet chrześcijanina - lecz dziecinna wyliczanka, zaczynająca się od znajomej sekwencji „Jabłko, gruszka, śliwek garść...”, jednak wymamrotana tak szybko i nisko w głębi gardła, że nie dało się jej zrozumieć.

Nozdrze omiotła mi smuga kwaśnej, niepokojącej woni - przypominała cierpki smród kwasu mrówkowego, kiedy przypiecze się mrówkę wiązką światła padającą przez lupę. Pośrodku kręgu Rafi zadrżał nagle i jego ramiona się napięły.

- Johnny stłukł butelkę - nuciła Trudie - i zrzucił na mnie winę. Powiedziałam mamie, tacie...

Jej palce śmigały pomiędzy sznurkami niczym maleńkie wrzeciona. Powoli, linia za linią, pojawiał się wzór. Powietrze w pokoju gęstniało. W korytarzu za nami gwałtownie zamiauczał kot i dokładnie w tym samym momencie Rafi jęknął. Zapewne był to tylko zbieg okoliczności, ale wyglądał, jakby moc, którą kierowała w jego stronę Trudie, trafiała dalej po drodze w przypadkowe cele.

Jej ruchy jeszcze przyśpieszyły, osiągając crescendo. Uniosła dłonie, połączone płataniną kociej kołyski, a potem szarpnęła dwa razy i sznurek jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozplątał się i zawisł, dyndając na palcu prawej dłoni. Tymczasem lewa nakreśliła w skażonym powietrzu arabeskę.

Rafi opadł bezwładnie, a potem zeszywniał. Jego kończyny przybrały gwałtownie zupełnie nową konfigurację, gdy śpiący pasażer obudził się i przeciągnął. Patrzyłem, jak z ludzkiego ciała wyłania się demon. Pod pewnym względem nic się nie zmieniło: przypominało to bardziej jeden z owych rysunków *trompe l'oeil*, na którym ten sam zarys oglądany pod dwoma różnymi kątami może przedstawiać kobietę z parasolką albo atakującego nosorożca. To samo działo się tutaj - Rafi nie wyglądał inaczej, ale zamienił się w coś zupełnie innego.

Próbowałem zachować spokój i rozsądek, lecz mimo to zalała mnie fala potężnych uczuć: oburzenia, że mój przyjaciel musi to znosić, odrazy, że wbrew własnemu instynktowi i argumentom Imeldy musiałem ocucić to coś, a także ukrytego pod nimi mdlącego poczucia winy, które budził we mnie każdy kontakt z Asmodeuszem - ponieważ gdybym okazał się lepszym egzorcystą, w ogóle by go tu nie było.

- Kto woła tak głośno? - spytał łagodnie demon, unosząc swą głowę, głowę Rafiego, i przekręcając pod nienaturalnym kątem, by móc spojrzeć wprost na Trudie. Jego głos był jak żyłki zbyt dokładnie golące mój umysł. - Podejź bliżej, dziewczynko. Niech ci się przyjrzę.

- Asmodeuszu - rzekłem z jego prawej strony. - Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, zaproponowałeś mi pewien układ.

- Dojdę do ciebie, Feliksie - warknął Asmodeusz - kiedy będę gotowy. Ale najpierw, jak każe dobre wychowanie, pozwól mi skosztować żołnierzy Chrystusa. Nie sprowadziłeś ich chyba, żeby złożyć mi w ofierze, prawda?

- Nakazuję ci pozostać na miejscu. - Trudie bardzo starała się nie wzdrygnąć, gdy Asmodeusz pochylił się, by lepiej jej się przyjrzeć. - I... nie poruszać się bez naszego nakazu, wyrażonego prostymi słowami. *Qui tacet non consentiri videtur.*

Przystojna twarz Rafiego zmieniła się nagle, dolna szczęka opadła niczym ciepły воск, ukazując otwarte, bezkształtne usta, pełne zbyt wielu zębów. Ramiona Trudie podskoczyły, jej dłonie na moment uniosły się odruchowo, potem jednak zapanowała nad sobą i znów je opuściła.

Asmodeusz odetchnął głęboko.

- Mmmm - zagrział z aprobatą. - Tak dokładnie wyszorowana, że nie czuć nawet woni mięsa. Ale teraz posikałaś się troszeczkę, prawda skarbie? Byłaś niemal pewna, że twój mały krąg wytrzyma, ale zawsze pozostaje odrobina dręczących wątpliwości, mam rację? Bo przypuścimy, że Bóg będzie zbyt zajęty, by patrzeć na ptaszki na targowisku. Haps. Kłap. I gdzie jest mała Trudie?

- Nie skrzywdzisz nikogo w tym domu - rzekła stojąca za nim Lodownia zimnym, ostrym głosem.

Asmodeusz warknął - nisko, przeciągle, jak odległy grzmot. Nie patrzył na Imeldę ani na mnie, ale też nas znał całkiem dobrze. Skupiał się na Trudie, bo w jego naturze leży sprawdzanie wszystkich zmiennych przed wykonaniem ruchu. Opuścił głowę; stawy Rafiego trzeszczały głośno, gdy demon nadawał swemu cielesnemu przybytkowi odpowiednie kształty.

- Nie - zgodził się. - Jeszcze przez jakiś czas nie. Jesteście bezpieczni, jakby sam Bóg wziął was w swoje objęcia, moje gołąbeczki. A Castor? Castor ma jeszcze mniej powodów do obaw. Jak mówił, zawarliśmy układ. Nawet najmizerniejszy piekielny wyskrobek zaświadczy, że Asmodeusz zawsze dotrzymuje słowa. - W końcu jego głowa obróciła się tak, że znalazłem się w jego polu widzenia. - Jak to szło, Feliksie?

Spojrzenie w owe czarne nieprzeniknione oczy stanowiło jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie zrobiłem w życiu, ale nie było mowy, bym dał mu satysfakcję, odwracając wzrok.

- Powiedziałeś, że jeśli dam ci skosztować istoty, która nawiedza Salisbury, wyjaśnisz mi, jak z nią walczyć - rzekłem.

Asmodeusz skinął głową, od niechcienia drapiąc się po brodzie - brodzie Rafiego - i pozostawiając na skórze krwistoczerwone smugi, bo jego paznokcie zamieniły się w dwucalowe szpony.

- Owszem, tak powiedziałem - zgodził się. - I co? Nadeszła Gwiazdka?

Skinieniem głowy wskazałem Bica, skulonego w pozycji płodowej w najniższym punkcie gwiazdy. Odkąd pojawił się Asmodeusz, chłopiec umilkł i znieruchomiał, wcześniejsze mamroty i tiki gwałtownie ustały. Teraz przypominał posąg: studium głównej roli w nowej wersji Piety.

- Proszę - powiedziałem.

- Ten mały kąsek? - zadrwił Asmodeusz. - Potrzebuję tyle, by poczuć smak na języku, Castor. Chcesz skorzystać z mojej oceny, mojego wysublimowanego smaku. Trudno oczekiwać, bym wyrobił sobie zdanie po pierwszym kąsie.

- Demon z Salisbury dotknął tego chłopca jako pierwszego - oznajmiłem, ucinając jego gadaninę - i położył na nim swą dłoń mocniej niż na kimkolwiek innym. Wierz mi, znajdziesz tam dość, by móc zrobić co trzeba. Ale najpierw muszę uzyskać od ciebie obietnicę - wiążącą obietnicę - że chłopiec nie ucierpi.

- Ach. - Spojrzenie demona powędrowało z powrotem ku mnie, kąciki jego ust uniosły się w ironicznym uśmiechu. - Tu możemy mieć pewien problem.

- Ach tak?

- Owszem, ach tak. Wiążącą obietnicę? Co w całym Stworzeniu mogłoby zmusić mnie do jej dotrzymania wbrew mej woli?

- W takim razie nie mamy umowy.

Podniosłem się z ziemi, wyciągnąłem flet i przytknąłem do ust, wygrywając akord, który Asmodeusz z łatwością rozpoznał - tę samą melodię, którą zawsze grałem, by przegnać go w najgłębsze zakamarki umysłu i pozwolić Rafiemu odrobinę odpocząć, pobyć samotnie w swojej głowie.

- Nie - powiedzieli jednocześnie Asmodeusz i Trudie Pax.

Nie spuszczać z niego wzroku, uniosłem w ostrzegawczym geście dłoń, dając Trudie znak, by się nie wtrącała. Była tu, bo Gwillam nie pozwolił mi samemu zabrać Bica, ale nic poza tym, i nie dawało jej to prawa głosu w negocjacjach. Opuściłem flet.

- Mów dalej.

Demon wyszczerzył zęby w grymasie, który mógł być zarówno uśmiechem, jak i groźbą.

- Muszę przyznać - rzekł - że tylko udawałem obojętność. Chcę tego. Od dawna już nie kosztowałem esencji innego demona. Zbyt długo odmawiałem sobie tej przyjemności. Jestem zatem skłonny... ugiąć się nieco, by do tego doprowadzić. - Przyglądał mi się zmrużonymi oczami.

Czekałem bez słowa.

- Wasz krąg - podjął - już i tak krępuje mnie pod pewnymi względami. Gdybym do już istniejących pieczęci dodał te z moim imieniem - prawdziwym imieniem - mielibyście nade mną znacznie większą władzę. Gdybym złamał dane słowo, moglibyście mnie trwale okaleczyć. A nawet, jeśli wystarczyłoby wam sił, spróbować zniszczyć.

- Fajnie - odparłem. - Tyle że miałbym tylko twoje słowo co do prawdziwości owego imienia, a nie potrafię czytać tych symboli. Równie dobrze mógłbyś tam napisać George W. Bush, a ja i tak bym się nie zorientował, prawda?

- Zasada podobieństw... - zaczęła Trudie Pax.

- Trudie - warknąłem. - Przysięgam, że jeśli jeszcze raz otworzysz usta, wystawię cię siłą za drzwi.

Obdarzyła mnie przeciągłym, nieprzychylnym spojrzeniem, ale umilkła.

- Twoja towarzyszka ma rację - powiedział Asmodeusz. - Fałszywe imię sprawiłoby, że krąg zacząłby migać i falować, a zamknięta w nim przestrzeń pękać. Ucierpielibyśmy wszyscy, a ja, uwięziony wewnątrz, ucierpiałbym najbardziej. Wiedziałbyś, że napisałem prawdę, bo nie wrzeszczałbym.

Pokręciłem głową.

- Nie przepadam za tymi magicznymi bzdetami i w niczym nie uwierzę ci na słowo. Spróbuj jeszcze raz.

Długą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

- Przełożę to dla ciebie na muzykę - warknął Asmodeusz.

- Zgoda - odparłem natychmiast. Bo od początku właśnie na to liczyłem.

- Zamknij oczy - polecił - i zatkaj uszy. Może polecieć z nich trochę krwi, ale nie da się temu zaradzić.

Przycisnąłem dłonie do uszu, lecz nie zamykałem oczu. Mówcie sobie co chcecie na temat moich manier i miłości do bliźnich, ale pani Castor nie wychowała głupich dzieci.

Asmodeusz uczynił gest i w moim umyśle znikąd pojawiła się skomplikowana sekwencja nut. Wiedziałem bez niczyjej pomocy co to: fragment jego esencji - ta część jego, którą da się przełożyć na muzykę i udostępnić mojemu zmysłowi śmierci. Dawał mi środek do zniszczenia go: czarodziejską kulę. Nagle przepełniło mnie oszalamiające poczucie tryumfu i z najwyższym trudem zachowałem pokerową twarz. Kiedy to się skończy, będę miał niemal wszystko czego trzeba, by raz na zawsze uwolnić Rafiego od brzemienia, które dźwigał przez ostatnie trzy lata. Będę mógł w końcu przyszpilić Asmodeusza do ściany i pozwolić mojemu przyjacielowi odejść.

Opuściłem ręce. Uszy wypełniały mi łoskot i ryk, jakby ktoś użył właśnie mego mózgu jako serca dzwonu.

- Dobra - rzekłem i nie usłyszałem własnego głosu. - Oto, jak to rozegramy. Możesz posilić się wszystkim wewnątrz chłopca, co nim nie jest. Każdą cząstką demona więżącego jego duszę. Zabierz go i zrób z nim co tylko chcesz, ale pamiętaj, że w trakcie nie możesz go skrzywdzić i nie pozostawisz w nim niczego co nie jest człowiekiem. Ani cząstki siebie bądź tej innej istoty. Odpowiadaj. Tak czy nie, Asmodeuszu? Nic z tego nie podlega dyskusji.

Wargi demona się poruszyły - czy raczej poruszyły się wargi człowieka i przemówił przez nie demon. Nie usłyszałem słowa, ale mogłem je odczytać - a kiwnięcie głową oznacza to samo w każdym języku.

Asmodeusz podpełzł jak pająk do południowego krańca pentagramu. Patrzył na Bica z drapieżną radością. Powoli pochylił się, tak daleko jak tylko mógł, opuszczając ciało na zgiętych rękach i odginając wyciągniętą szyję, tak że w końcu czubek jego brody dotknął ziemi zaledwie cal od twarzy Bica. Chłopiec wyglądał jakby spał - oczy miał zamknięte, ciało trwało w bezruchu, a twarz nie wyrażała niczego.

Asmodeusz wymówił kolejną sylabę - i znów widziałem jedynie ruch warg, nie słysząc dźwięku - i coś wzniosło się znad nieruchomej postaci Bica, niczym para znad garnka.

Z pewnością widzieliście kiedyś kota z myszą. Cóż, gdyby kot i mysz były w dziewięćdziesięciu procentach niewidzialne i się nie poruszały, przypominałyby nieco to, co oglądaliśmy: stwór, który wynurzył się z Bica, zderzył się z innym stworem, wypuszczonym ze złowieszczym sykiem spomiędzy zaciśniętych zębów Asmodeusza i oba przeniknęły się nawzajem pośród prądów i wirów powietrza. Nie była to jednak bitwa, bo Asmodeusz w żadnym momencie nie musiał ani trochę się wysilić. Całkiem możliwe, że stwór tkwiący wewnątrz Bica, będący zaledwie cząstką większej istoty wiszącej nad Salisbury, walczył o życie. Asmodeusz jedynie się bawił, przeciągając przyjemność.

A potem w końcu, po niemal minucie, demon głośno wciągnął powietrze, niemal zamykając oczy. Jego głowa przechyliła się najpierw w lewo, potem w prawo, wciąż wyszczerzał zęby w upiornym grymasie.

Utrzymywał tę pozycję dość długo, by dzwonięcie w mych uszach ucichło, a powietrze w pokoju, które złowrogo pochłodziło, powoli wróciło do normy. Gęsia skórka na naszej skórze zniknęła, a kot w korytarzu - czy może inny kot - miauknął rozdzierająco. I przez cały ten czas Bic nawet nie drgnął.

- Skończyłeś? - spytała Imelda Asmodeusza głosem ociekającym odrazą.

- Och, moja pani - wymamrotał demon. - Istotnie skończyłem i jestem zadowolony. Nawet nie wiecie, od jak dawna nie spożyłem tak smacznego posiłku. Owszem, skromnych rozmiarów, ale co za smak! Doskonały.

- W takim razie daj mi to czego chcę, ty wredny draniu, i zakończmy to - rzuciłem.

Asmodeusz wyprostował się równie wolno, jak wcześniej skłonił, i rozmasował prawe ramię, jakby chciał przegnać skurcz.

- To, czego chcesz - powtórzył miękko. - O tak, Castor, mam to czego chcesz. Skosztowałem cząstki i poznałem całość. Mogę dać ci miksturę tak potężną, że ten nowo wykluty smarkacz, śmiący nazywać się demonem, wyparuje pod jej działaniem jak krople wody na rozgrzanej patelni. - Wytrzymał mój wzrok. - Ale musisz powiedzieć „proszę” - oznajmił otwarcie szyderczym tonem.

- Nie wkurzaj mnie - ostrzegłem ponuro. - Mam cię w garści.

- Bo ci na to pozwoliłem - zgodził się Asmodeusz. - Ale nadal uważam, że zasługuję na odrobinę szacunku, bo gdzie byś był beze mnie? Zostałby tylko dumny, ogłupiały wypierdek, uwięziony na scenie i niewiedzący, co zagrać na bis.

- Nadal mogę zagrać twoją melodię - przypomniałem cicho i w mojej dłoni znów pojawił się flet.

- Nie - odparł Asmodeusz. - Nie możesz. Jeszcze nie. Bo jeśli zrobisz to teraz, nie dostaniesz tego, po co przyszedłeś. Poproś mnie o amunicję, Castor. Masz już melodię, która oznacza mnie; poproś o drugą, oznaczającą tamtego.

- Daj mi melodię - poprosiłem.

- Proszę.

- Daj mi ją, proszę.

- Zapisz ją w moim umyśle - odpowiedział Asmodeusz.

- Zapisz ją w moim umyśle.

- Tak głęboko, bym nigdy jej nie zapomniał.

- Co?

- Powiedz to!

Przełknąłem ślinę.

- Tak głęboko, bym nigdy jej nie zapomniał.

- Jest twoja - wyszeptał Asmodeusz, uśmiechając się tak szeroko, że twarz Rafiego o mało nie pękła na pół.

I wtedy, zupełnie jak przedtem, w mój umysł wbiły się dźwięki, tak mocno jak śledzie od namiotu w zamarznątej ziemi. Wnikały z większą siłą niż przedtem i znacznie głębiej, aż sapnąłem i zeszywniałem z bólu.

I zobaczyłem, co robi Asmodeusz, o sekundę za późno, by cokolwiek zmienić.

- Nie!

- Za późno - upomniał mnie demon. - Muszę przyjąć pierwszą odpowiedź.

Postąpiłem krok naprzód, moja ręka uniosła się gwałtownie, kierowana durnym, debilnym odruchem. Trudie Pax trąciła mnie mocno z boku i odciągnęła, nim zdążyłem przekroczyć krąg i znaleźć się w łapach demona.

- Nie! - powtórzyłem, gwałtownie potrząsając głową i dławiąc się.

Próbowałem sobie przypomnieć, ale Asmodeusz zapisywał nową melodię - egzorcyzm, który miał zniszczyć demona z Salisbury - dokładnie w tym samym miejscu w moim umyśle, gdzie wcześniej zapisał swoją własną: nadpisywał jedną sekwencję nut drugą. Dał mi sposób wyrwania go z Rafiego z gałęziami i korzeniami, a potem odebrał go z równą łatwością.

- Ty draniu - jęknąłem. - Wredny, oszukańczy draniu!

Asmodeusz roześmiał się.

- Grałem według twoich zasad, Castor - rzekł, kręcąc głową i z powrotem siadając na podłodze. - Nie moja wina, że nie do końca wszystko przemyślałeś. Hej, bądź wdzięczny, że wyszedłeś z tego cało. Mogłem tak napełnić całą twoją głowę tą pierdoloną muzyką, że do końca życia tylko byś się bezmyślnie ślinił. - Oblizwał wargi, napawając się resztkami swego odrażającego posiłku. Jego oczy się zamglily. - Ale wówczas nie zrozumiałbyś dowcipu - dodał refleksyjnie. - A to w znacznym stopniu odebrałoby mu smak.

21

Ponad półtorej godziny później wróciliśmy na osiedle. Potrzebowaliśmy mnóstwa czasu, by przegnać Asmodeusza z powrotem w zakamarki umysłu Rafiego - demon był we frywolnym nastroju, a ja nie do końca panowałem nad sobą. Potwornie bolała mnie głowa, po tym, jak wepchnął w nią swoje ekto plazmatyczne paluchy, i cały trząłem się z wściekłości, której nie mogłem wykorzystać ani przełknąć.

- Po wszystkim powinieneś chyba wziąć sobie urlop, Castor - zadrwił Asmodeusz, kiedy grałem. - Może wyskoczyć na Karaiby czy w podobne miejsce. Upić się, podupczyć i sprawdzić, czy nie poprawi ci to humoru.

Puściłem mimo uszu jego tanie szyderstwa i, gnany gorącą, daremną furia, posyłałem w jego stronę fale dźwięków. Tymczasem Imelda siedziała po turecku naprzeciw mnie i pochylała głowę, odgrywając nieruchomy taniec lodówki. Tkwiący pomiędzy lodem i ogniem demon śmiał się i żartował, gwizdząc fałszywie do wtóru mojej mdlącej kołysanki.

Nie był to egzorcyzm, jedynie środek usypiający. Ta sama melodia, którą grywałem Rafiemu, odkąd trzy lata wcześniej zaraził się swoją demoniczną chorobą. Wolałbym zagrać zupełnie inną, ale Asmodeusz mi ją ukradł.

Będę musiał zadowolić się uprzątnięciem stajni Augiasza na osiedlu Salisbury. Teraz przynajmniej mogłem to zrobić. A Bic obracał się we śnie coraz bliższy jawy, twarz miał spokojną, jego pierś miarowo unosiła się i opadała. Wszystko wyszło świetnie, tyle że Asmodeusz w jakiś sposób zdołał przywalić mi w dupę, mimo że pilnowałem go jak wściekły.

Stopniowo, krok za krokiem, oplataliśmy go łańcuchami i zaganialiśmy do ciemnicy w duszy Rafiego. Odszedł z uśmiechem, napawając się swoim dowcipem, ale odszedł. Odsunąłem flet od ust, kilka razy poruszyłem zeszywniałymi palcami i wsłuchałem się w ciszę otulającą pokój.

- Gdzie ja jestem? - spytał sennie Bic i usiadł. - Gdzie mama?

- Jesteś wśród przyjaciół - zapewniłem go, zaskoczony tym jak słabo i ochryple brzmi mój własny głos. - Imeldo, dzięki za wszystko. Jestem ci coś winien i znajdę sposób, by zapłacić.

Nie poruszyła się, lecz jej głowa uniosła się powoli i Imelda spojrzała na mnie.

- Sami znajdźcie drogę do wyjścia - poleciła z kamienną miną, jakby nie dosłyszała podziękowań. - Ja zostanę tutaj, dopóki nie będę mieć pewności.

- On śpi - powiedział Rafi głosem jeszcze słabszym niż mój. - Poczuję, gdyby wciąż był przytomny.

- Raz już nas oszukał - przypomniała Imelda. - Wtedy gdy pozostawił część siebie w twojej dłoni. Nic nie powstrzymuje go przed powtórzeniem tej sztuczki, toteż nie zamierzam brać niczego na wiarę.

Odprowadziła nas do drzwi. Trudie chciała wziąć Bica za rękę, ale zdążyłem pierwszy i zamiast tego wręczyłem jej hełm.

- Przykro mi - powiedziałem. - Zasady to zasady.

Wzięła go, patrząc na mnie z lekko zboląłą miną i bez słowa ponownie nałożyła.

Imelda zastąpiła mi drogę.

- Kiedy dziś skończysz - oznajmiła - wrócisz tu i zabierzesz swojego przyjaciela. Nie mam nic przeciwko Rafaelowi, a Pamela to najśłodsze dziecko pod słońcem, ale muszę myśleć o własnym maleństwie. Mam dosyć, Castor. To twoje wypowiedzenie.

- Mogłabyś dać mi tydzień? - poprosiłem. Nie sądziłem, żebym zdołał poradzić sobie z czekającym mnie zadaniem, a co dopiero z tym. - Tydzień czy dwa, żebym mógł poszukać innego miejsca? Mówię serio, Imeldo. Nie wiem, czy tak szybko zdołam cokolwiek wykombinować. A wiesz, co może się stać, jeśli...

Uciszyła mnie, zimno i szorstko, przesuając między nami rękę w geście *no pasaran*.

- To twój problem - oznajmiła. - Nie mój. Nie po dzisiejszej nocy.

Skinąłem głową, uznając jej argument. Zeszła na dół poinformować Cheadle'a, że skończyliśmy, a ja tymczasem ponownie obwiązałem Trudie niczym indyka BDSM. Bic przyglądał mi się wielkimi zdumionymi oczami.

- Kiedy odwieziemy cię do domu, wszystko zrozumiesz - obiecałem.

A potem, gdy otworzył usta, by zadać pytanie, uciszyłem go tchórzliwym:

- Mama ci to wyjaśni.

Za moimi plecami zmaterializował się Cheadle.

- Gotowi? - spytał pogodnie. - No to ruszajmy, potem mam jeszcze jedną robótkę.

Omam nie spytałem jaką i czy zawsze przyjmuje wszystko równie spokojnie jak ten dziwny, nadprzyrodzony cyrk. Ale wiedziałem, że nie powinienem oczekiwać żadnej odpowiedzi, którą mógłbym do czegoś wykorzystać.

Sprowadziliśmy między sobą Trudie, Imelda maszerowała za nami z Bikiem. Tym razem usiadł z przodu, otulając ramiona pożyczonym od Imeldy kocem. Trudie znów trafiła do zamkniętego tylnego przedziału, wcześniej Cheadle sprawdził wytrzymałość więzów.

- Już niedługo - oznajmił, zatraskując drzwi. Najwyraźniej adresował te słowa do Bica, który kiwnął głową.

Od chwili przebudzenia niemal się nie odzywał, ale nie dlatego, że był senny bądź oszołomiony. Wręcz przeciwnie - sprawiał wrażenie doskonale czujnego i zamyślnego, o czymkolwiek jednak myślał, nie uznał za stosowne dzielić się tym z innymi.

Kiedy dotarliśmy do Walworth Road i ujrzelśmy na nocnym niebie pomarańczową łunę, uświadomiłem sobie, że noc nie dobiegła jeszcze końca. Od zachodu słońca minęło wiele godzin i wiele miesięcy od ognisk z piątego listopada, nie istniało zatem żadne logiczne wytłumaczenie zmiany niebiańskich dekoracji.

- Ktoś rozpałił ognisko - zauważył sucho Cheadle.

I rzeczywiście, parę przecznic dalej dotarliśmy do luki między budynkami, w miejscu gdzie wyburzono stare sklepy, i ujrzelśmy stojące niecałą milę dalej osiedle Salisbury. Jeden z wieżowców płonął, ogień wylewał się oknami trzech najwyższych pięter.

- To nie blok Westona - pocieszyłem Bica. - Jest za daleko.

- A poza tym to nie... - Chłopak zająknął się i wyraźnie zabrakło mu słów. Zamiast tego pokazał rękę, a ja kiwnąłem głową. Żadnych ran. Demon uwielbiał rany: ogień go nie pociągał. Zatem pożar stanowił jedynie efekt uboczny czegoś innego.

Na ulicy pod osiedlem ujrzałem trzy rzędy zaparkowanych radiowozów i wozów strażackich oraz tłum mundurowych, którzy obsiedli schody niczym stado wron po wypatrzeniu szczególnie smakowitej padliny. Na ich widok Cheadle zaklął. Powoli i ostrożnie, obdarzając gliniarza na drodze uśmiechem i pełnym szacunku skinieniem, wyminął zaparkowane suki i nie zwalniając, pojechał dalej.

- Wysadź nas tutaj - poprosiłem.

Cheadle skrzywił się i pokręcił głową.

- Zaparkujemy za rogiem - wymamrotał. - Na Balfour Street. Będziecie musieli trochę pomachać nogami, jasne? Gdyby zobaczyli, co mamy z tyłu, trafilibyśmy ekspresem do paki.

Oczywiście miał rację - połączenie skutej i oślepionej Trudie i Bica w piżamie wystarczyłoby, by nawet najbardziej wyluzowany gliniarz sięgnął po kajdanki.

Skręciliśmy w następną ulicę i zatrzymaliśmy się przy krawężniku. Poszedłem za Cheadle'em na tył furgonetki i gdy tylko otworzył drzwi, po raz ostatni tej nocy rozwiązałem Trudie.

- Przykro mi, że musiałś przez to przechodzić - powiedziałem.

- Nie musiałam przez to przechodzić - odparła, rozcierając przeguby. - Nie, gdybyś uwierzył mi na słowo.

Przez moment patrzyliśmy sobie w oczy i dostrzegłem w nich coś jakby wyrzut.

- Co ty właściwie masz przeciwko nam, Castor? Według naszych informacji sam się wychowałeś w katolickiej rodzinie.

- To nie z katolikami mam problem - odparłem - tylko z organizacjami paramilitarnymi.

- Możesz sobie darować to para. Toczymy prawdziwą wojnę. A ty lepiej niż ktokolwiek inny wiesz, o jaką stawkę.

- O żadną stawkę. - Nawet we własnych uszach mój głos zabrzmiał szorstko, ale też miałem za sobą długą noc. - Nie w tym sensie, o jakim myślisz. *Loup-garous*, duchy, zombie... większość istot, z którymi mam do czynienia jako egzorcysta, to jedynie ludzkie dusze o innych smakach. Demony to co innego, ale nie tworzą armii. Toteż nie toczycie wojny. Chyba że każdy farmer, który sięga po strzelbę i rusza w stronę kurnika, bo w środku nocy słyszy piski i trzepy, też toczy wojnę.

Trudie spojrzała nade mną, przez otwarte drzwi furgonetki w stronę płonącego wieżowca. Powietrze niesło ze sobą smak dymu i lekko piekły od niego płuca. Nie musiała nic mówić. Z niewiadomych powodów uznałem, że ja owszem.

- No tak - podjąłem. - Przyznaję, demony to inna sprawa. Jak mówiłem, różnią się od reszty. Ale przecież w tym właśnie rzecz. Wy traktujecie umarłych - wszystkich umarłych - jak wrogów. Może i jestem egzorcystą, ale przynajmniej podchodzę do swej pracy nieco bardziej wybiórczo niż granat ciśnięty do zatłoczonego pokoju.

Trudie wyraźnie miała ochotę kontynuować spór, i może nawet podkreślić go nieco mocniej, lecz Cheadle tupał niespokojnie, a noc płonęła.

- Daruj sobie - poradziłem. - Możemy wrócić do wielkiej politycznej debaty, kiedy Londyn przestanie się palić.

- Castor...

Ja jednak zdążyłem wysiąść z furgonetki.

- Chodź - powiedziałem do Bica. - Zaprowadzimy cię do domu. Panie Cheadle, to był zaszczyt patrzeć jak pan pracuje.

- Dzięki. - Cheadle odpowiedział skinieniem głowy, kryjącym w sobie najdrobniejszy możliwy okrucuch uprzejmości, i wsiadł do kabiny. - Gdybyś mnie potrzebował, wiesz gdzie szukać. Ceny w zależności od zlecenia. Nietypowe godziny to moja specjalność.

Trudie ledwie zdążyła wyskoczyć, a Cheadle odjechał z piskiem opon, hamując ostro po jakichś dziesięciu jardach, tak by siła rozpędu zatrzasnęła tylne drzwi. Potem znów zmienił bieg i zniknął w mroku, z szybkością, jaką rzadko się obserwuje w centrum Londynu.

Poprowadziłem Bica z powrotem na ulicę, do stopni wiodących do głównego wejścia na osiedle. Trudie dogoniła nas, ale nie próbowała wracać do rozmowy.

Nim wspięliśmy się na górę, zatrzymał nas konstabl, unosząc dłonie.

- Przepraszam pana - powiedział - mamy pożar i musieliśmy zamknąć ulicę. Nie może pan przejść.

- On tam mieszka. - Położyłem dłoń na ramieniu Bica.

Gliniarz zmrużył oczy i odwrócił głowę.

- Mamy tu ludzi z opieki społecznej - oznajmił. - To ci w żółtych kurtkach, przyjechali własną furgonetką. Proszę ich znaleźć, zajmą się nim.

- Muszę się tam dostać - nalegałem.

Obdarzył mnie spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

- Tam na osiedlu toczy się prawdziwa trzecia pieprzona wojna światowa - rzekł. - Proszę już odejść, dobrze?

Lecz w tym momencie wypatrzyłem znajomą postać, przeciskającą się z tyłu pomiędzy dwoma radiowozami.

- Basquiat! - ryknąłem. - Tutaj!

Odwróciła się i zobaczyła mnie, a po jej twarzy przebiegła cała gama emocji. Przez moment sądziłem, że znów się odwróci, jak Dick Whittington, i nie zwalniając, pójdzie dalej. Potem jednak powiedziała coś krótko i na temat jednemu z mundurowych, kręcących się tuż obok, a kiedy odbiegł wypełnić rozkazy, pomaszerowała ku nam. Nie wyglądała na zachwyconą: a biorąc pod uwagę wynik naszej ostatniej rozmowy, ja także.

- To demon - oświadczyłem, podając jej swoją wersję, nim zdążyła otworzyć usta.

Basquiat skrzywiła się, wodząc wzrokiem ode mnie do Bica, a potem do Trudie.

- My uważamy, że to wojna gangów - odparła. - Z powodu obecności gangów. I wojny. Castor, zdawało mi się, że kazałam ci zostać tam, gdzie mogę cię znaleźć.

- Owszem - zgodziłem się.

- A jednak wyjechałeś. Przysłałam kogoś po ciebie pod podany adres i dowiedziałam się, że jesteś na północy i szukasz swych podzielonych korzeni.

- Zgadza się, byłem tam i znalazłem coś jeszcze, Ruth. Dowiedziałem się, z czym mamy do czynienia. Myślę, że to coś odpowiada za śmierć Kenny'ego Seddona. Myślę, że od

tego czasu zabiło wiele innych osób. I myślę, że będzie to robić dalej, jeśli nie pozwolisz mi tam wejść i tego załatwić. Najlepiej byłoby teraz.

Oczy Basquiat się zwięzły.

- Twój brat zabił Kenny'ego Seddona - oznajmiła. - A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Ruth, połamię ci palce. Założę się, że to na jakiś czas poważnie ograniczy twój repertuar.

- Co się tam dzieje? - spytałem, wskazując ręką najbliższe wieżowce. - Jedyne nastolatki wojujące na kładkach? Macie tu dwadzieścia radiowozów i pożar, którego wyraźnie nie możecie ugasić. To się wymyka spod kontroli, sierżancie.

- Już się wymknęło - warknęła Basquiat. - Gangi zabarykadowały dwie trzecie kładek. Możemy dostać się tylko do Barratta, Marstona i Longleya. Pożar wybuchł w bloku Carlisle'a, na południowym końcu osiedla.

- Nie dostaniecie się z parteru?

Obdarzyła mnie zniecierpliwionym spojrzeniem.

- Masz mnie za idiotkę, Castor? Pożar jest na czternastym piętrze, a oni powyciągali wszystkie meble i wyrzucili na klatki schodowe. Nie każę moim funkcjonariuszom przebijać się przez to wszystko pod gradem cegieł i butelek, a co dopiero mówić o nieszczęsnych strażakach.

- W takim razie, co robicie? - spytałem.

- Wezwaliśmy dwa oddziały szturmowe z Colindale - odparła. - Kiedy tu dotrą, wejdziemy. A tymczasem nie włącz mi w drogę.

- Nie. Castor jest z nami. - Ów głos należał do Gwillama, choć jeszcze przez moment go nie widziałem. Zobaczyłem tylko Felda, który oczyszczał drogę szefowi wśród policjantów i strażaków, po prostu przechodząc między nimi.

Basquiat odwróciła się w chwili, gdy pojawił się Gwillam. Feld usunął ostatnie przeszkody, odsuwając się uprzejmie i ściągając paru nieświadomych strażników z chodnika na ulicę.

- Pamięta mnie pani, sierżancie - powiedział Gwillam. To było stwierdzenie faktu, nie pytanie. - Spotkaliśmy się wczoraj i znów dziś wieczorem. Mam też wrażenie, że czytała pani list, który łaskawie zechciał przysłać nadkomisarz.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę papieru i wręczył Basquiat, ona jednak nie próbowała jej nawet wziąć.

- Widziałam - zgodziła się. - Ale nie pamiętam, by dawał panu prawo chodzenia po naszym terenie i dołączania do swej grupy niezaangażowanych cywilów.

Gwillam nadal nie opuszczał kartki.

- To będzie akapit trzeci - oznajmił zimno.

Basquiat wyrwała mu list, przeczytała i cisnęła z powrotem. List spadł na ziemię, z której podniósł go Feld, schylając się z cichym sapnięciem.

- Tam umierają ludzie - rzuciła Basquiat napiętym głosem.

- Pracujemy nad tym - powiedział Gwillam. - I zasięgamy opinii - wskazał mnie - wielu osób.

Basquiat potrząsnęła głową.

- Po prostu nie wchodźcie mi w drogę - warknęła. - Nie wchodźcie mi, kurwa, w drogę.

Odeszła, mocno trącając ramieniem mijanego Felda. Olbrzym nie zareagował - pewnie w ogóle niczego nie poczuł.

- I jak się udała wasza ekspedycja? - spytał Gwillam. Mówił do Trudie, która pokiwała głową.

- Mam to, czego trzeba - oznajmiłem. - Cieszę się, że spisaliście się równie dobrze.

Nie zwracając uwagi na ostatni strzał, Gwillam na moich oczach przeistoczył się w sprawnego organizatora.

- Trudie - rzucił - złóż raport Sallisowi. Nadal pracujemy nad powstrzymaniem dalszego rozprzestrzeniania się wpływów demona. Jeśli zdoła zakazić umysły policjantów bądź strażaków, bardzo szybko może dojść do eskalacji. Feld, odprowadź chłopca do rodziny.

- Nie możecie tego zrobić - zauważyłem. - Bica mieszka w bloku Westona, jednym z tych po drugiej stronie barykad. I, Gwillam, tam właśnie będę musiał pójść.

- Któryś z policjantów wspominał, że niedaleko stoi furgonetka pomocy. - Trudie położyła dłoń na ramieniu Bica. - Zaprowadzę go tam i dołączę do was.

Bica spojrzał na mnie. Skinąłem głową.

- Idź z nią - powiedziałem. - Dopilnuję, by twoim rodzicom nic się nie stało, i przyprowadzę ich do ciebie, gdy tylko to się skończy.

Chłopiec z wahaniem pozwolił się odprowadzić. Odwróciłem się do Gwillama, który przyglądał mi się z czymś na kształt nieufności.

- Czemu to miejsce jest takie istotne? - spytał ostro. - Dlaczego nie możesz przeprowadzić egzorcyzmów stąd?

- Bo, kurwa, nie mogę, jasne? - warknąłem. - Jeśli uważasz, że ty możesz, bardzo proszę. Będziesz próbował z szalupy złapać na wędkę wieloryba. On jest zbyt wielki, Gwillam. Nie przypomina duchów, które wzywamy w dowolne miejsce. Kiedy próbowałem czegoś takiego w Royal London, wylądowałem w miejscu wyglądającym jak podziemia

piekieł. I widziałeś, co się stało z twoimi ludźmi, kiedy usiłowali z nim walczyć. Umościł się w tysiącu różnych miejsc - każdym kawałku zranionego ciała na osiedlu. Ale ma główny punkt zaczepienia - miejsce, w którym po raz pierwszy przebił się na nasz poziom rzeczywistości. I domyślałam się, że to miejsce to mieszkanie Kenny'ego.

- Dlaczego akurat tam? - naciskał Gwillam.

Nagle ogarnęła mnie gwałtowna fala znużenia. Czuję się, jakbym wyjaśniał to setki razy.

- Bo Mark Seddon się kaleczył, a temu demonowi staje na widok ran ciętych. Sam się domyśl.

- Chłopiec swoim postępowaniem coś przywołał. Wywołał go nieświadomie.

- Właśnie. Jeśli się mylę, zmienimy miejsce i znów spróbujemy. Ale, tak czy inaczej, to coś do nas nie przyjdzie. Jeśli mamy mieć szansę, musimy zacząć szukać.

Gwillam zerknął na Felda, który - choć wydawało się to niemożliwe - wyprostował się, jeszcze wyżej unosząc głowę i czekając na rozkazy.

- Sprowadź tu pozostałych - polecił. - Wszystkich. Spotkamy się na ósmym piętrze bloku Marstona.

Feld skinął krótko głową i odszedł, a tłum rozstąpił się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Tyle że do wtóru znacznie liczniejszych przekleństw.

- Czego potrzebujesz ode mnie? - zapytał Gwillam.

- Jak największego wsparcia - przyznałem. - Demon z pewnością będzie walczył, i to ostro. A walczy w innej wadze. Twoi ludzie będą musieli mnie pilnować i - jeśli zdołają - bronić, tak bym nie musiał się martwić tym, że ktoś usmaży mi płat czołowy.

Gwillam przytaknął.

- W porządku.

- Najpewniej będę także potrzebował ochrony fizycznej. Najlepszy możliwy scenariusz jest taki, że ludzie na kładkach miotają się bez celu. Najgorszy, że demon do pewnego stopnia nad nimi panuje. Tak czy inaczej, mogliby mnie pokroić, nim zdołam zagrać pierwszy takt.

- Dołożę wszelkich starań, by do tego nie dopuścić - obiecał Gwillam. - I, Castor...

- Zatrzymałem się w połowie pierwszego stopnia.

- Co?

Z wyraźną starannością dobierał słowa.

- W organizacji, której mam zaszczyt służyć - powiedział - ktoś o takiej historii i wybitnych zdolnościach mógłby awansować wyżej i szybciej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

- Co ty powiesz - odparłem. - No, proszę. Jesteśmy na szczycie góry w południowym Londynie, Gwillam, a ty pokazujesz mi wszystkie królestwa tego świata. A teraz zgadnij, co ci odpowiem.

- Mówię serio.

- *Retro me, Satanas.*

- Powiedziałem...

- Że mówisz serio. Ja także. Zabieraj łapy z moich spodni, ty bogobojny draniu. Dopóki trzeba, jestem po twojej stronie, ale nie sądz choćby przez chwilę, że nie skopię ci tyłka, kiedy następnym razem spotkam cię bez ochrony.

Dotknął stłuczonego policzka.

- No cóż - powiedział spokojnie. - Musiałem spróbować. Kochaj przyjaciół swoich...

- Uważasz, że uczniowie to to samo co przyjaciele? - spytałem ostro. - Spróbuj spytać Jezusa.

Na kładce przed nami panowała niesamowita cisza, lecz zaścielające ją śmieci i potrzaskane szkło świadczyły jasno, że jest ona stosunkowo świeżej daty. W zjadliwym blasku policyjnych reflektorów ciemne, nieregularne plamy i smugi na popękany beton wydawały się czarne, lecz byłem gotów się założyć, że po bliższym przyjrzeniu ujrzemy rdzawobrazowy odcień zaschniętej krwi.

Naprzeciw nas stał wieżowiec Boatenga, a za nim Westona, jakieś pięćdziesiąt metrów przez ziemię niczyją i w głąb doliny śmierci.

Do tej pory szło nam całkiem łatwo. Magiczny dokument Gwillama i wyczarowana przez niego policyjna eskorta doprowadziły nas schodami do bloku Marstona i przez barykadę policyjną. Po drodze mijaliśmy bardzo dużą liczbę spiętych młodych konstabli, czekających na przybycie oddziału szturmowego i robiących w gacie ze strachu, że będą musieli znów stanąć do walki.

Teraz jednak znaleźliśmy się na pierwszym froncie. Za powybijanymi szybami poruszały się niewyraźne cienie: a pomiędzy nami i Buatengiem wznosiła się stercząca niebezpiecznie w górę - jakby ktoś próbował odbudować wieżę Babel z kawałków porozwalanych mebli - barykada. Z tego co widziałem, nikt za nią nie czuwał, ale też kilka godzin starć zapewne przerzedziło szeregi poszukiwaczy wrażeń gotowych unieść głowę, by się rozejrzeć i przyjąć na czoło gumową kulę albo pojemnik z gazem łzawiącym. Ci, którzy zostali po drugiej stronie barykady, to ludzie z nieco większymi mózgami, a tym samym z definicji niebezpieczniejsi.

- Tu może nas pan zostawić - powiedział Gwillam, zwracając się do towarzyszącego nam mundurowego sierżanta. - Dalej moi ludzie poradzą sobie sami.

Jego ludzie oznaczali Felda o płaskiej twarzy, okaleczonego lecz sympatycznie misiówatego Speighta, faceta w czerni, którego nazwiska nie zdołałem zapamiętać, i jeszcze dwoje egzorcyistów z kręgów biurowych Anathematy - bardzo młodego mężczyznę i starszą kobietę - których w ogóle nikt mi nie przedstawił.

- Proszę zaczekać - wtrąciłem. - Nie macie może czegoś, czym moglibyśmy się osłonić? Przenośnych tarcz, czegoś takiego?

Sierżant, odziany w kewlar i spocony jak świnia, gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, dopóki nie zjawią się oddziały szturmowe. Spodziewamy się ich przybycia za góra dwadzieścia minut, ale potem będą musieli zająć pozycje. A pożyczanie sprzętu wymagałoby rozmowy z ich dowódcą. Na waszym miejscu raczej nie liczyłbym na sukces.

- My się tym zajmiemy - powtórzył Gwillam, wskazując ręką schody, na znak, że obecność sierżanta nie jest już mile widziana.

Facet pozdrowił nas skinieniem głowy i odszedł z kwaśną miną.

- Feld - rzucił Gwillam. - I Speight.

Wielkolud zmaterializował się u jego lewego boku, Święty Mikołaj z bliznami na twarzy - u prawego. Obaj skłonili głowy, czekając na rozkazy.

- Zamierzam spuścić was ze smyczy - oznajmił Gwillam. - Chcę, żebyście oczyścili nam drogę, i to idealnie, nie zabijając nikogo. To operacja policyjna i musimy dołożyć wszelkich starań, by nie złamać ich przepisów.

- A kości i tkanki miękkie? - zapytał Speight. Z niewiadomych przyczyn pytanie to, wypowiedziane z lekkim wytwornym akcentem, zabrzmiało jeszcze głośniejszym, głośniejszym głuchym, gardłowym głosem Felda.

- Ciało to tylko marność - zauważył Gwillam. - Słabnie i usycha, a jego kwiat więdnie. Róbcie co musicie, moi synowie, i zabierzcie ze sobą moje błogosławieństwo.

W odpowiedzi obaj nonszalancko zrzucili buty i zdjęli płaszcze. Potem zdjęli resztę ubrań, układając je starannie pod ścianą.

Ojciec Gwillam pochylił głowę jak w modlitwie, lecz było to tylko powierzchowne podobieństwo. Kiedy Gwillam cytuje z Biblii, jego moc przepływa przez słowa, tak jak moja przez muzykę - odprawiał rytuał uwolnienia.

- Nie czytaliście, co wam Bóg powiedział w słowach? Potęgą wzburzył pramorze, roztrzaskał Rahaba swą mocą, wichurą oczyszcza strop nieba. Bo myśli moje nie są myślami

waszymi ani wasze drogi moimi drogami. Drzewo życia - owocem prawego, człowiek mądry ludzi zjednywa...

I podczas gdy mówił, z obydwoma stojącymi u jego boku mężczyznami zaczęło dziać się coś naprawdę odrażającego. Ramiona Felda stały się jeszcze szersze, a jego płaska twarz jakby się pochylała, a oczy przesunęły do przodu. Speight, już i tak niski, stał się jeszcze niższy i opadł na czworaki, jego zuchwa zaczęła się wydłużać i poszerzać, aż w końcu rozmiarami dorównała wnykom na niedźwiedzie. Z pleców zaczęła wyrastać szczecina, włosy na głowie wydłużyły się, tworząc najeżoną grzywę, która wyglądała jakby przy najlżejszym dotknięciu mogła pokaleczyć skórę jak brzytwa.

Obaj mężczyźni, zgodnie z moimi wcześniejszymi podejrzeniami, byli *loup-garous* - ludzkimi duszami, które wdarły się siłą w ciała zwierząt, dokonując kompromisowego powrotu do świata żywych. W tym przypadku jednak nie miałem pojęcia, jakie zwierzęta uczestniczyły w przemianie. Coś w zwiększonej masie ramion Felda sugerowało goryla, lecz jego zębata paszcza i szponiaste łapy wyglądały jakby ktoś skrzyżował łasicę z lampartem i totalnie spieprzył pionowe proporcje. Speight w ogólnych zarysach przypominał wielkiego psa, lecz kolce jego grzywy kojarzyły się z jeżozwierzem i z pewnością żadna istota, która chodziła, pęzała bądź tańczyła kankana na tej ziemi, nie mogła się pochwalić podobną paszczą.

- Napisz w księdze wszystkie słowa - zaintonował Gwillam - które Bóg wyrzekł do ciebie. Słońce, by dniem władało, księżyc i gwiazdy, by władały nocą, bo Jego łaska na wieki.

Feld stanął na czterech łapach, wyciągając swoje wydłużone ciało i wyginając kręgosłup niczym łuk. Przerażające zęby Speighta zatrzęsnęły się z odgłosem stu włóczni uderzających w sto tarcz.

Gwillam spojrział w lewo, potem w prawo i wyraźnie usatysfakcjonował go ów widok.

- Idźcie - polecił.

Feld i Speight wystartowali do biegu - tak szybko, że zamienili się w rozmazane plamy, pozostawiając nam przed oczami jedynie niewyraźne powidoki. Z góry posypały się na nich cegły, butelki, a nawet stalowe framugi okienne - to obserwatorzy z wyższych pięter zareagowali na atak na barykadę. Lecz pociski lądowały w miejscach, które dwa *loup-garous* zdążyły już opuścić. W niecałe dwie sekundy pokonały całą długość zasłanej śmieciami kładki i wspięły się na barykadę.

A potem zniknęły nam z oczu i mogliśmy je śledzić, wyłącznie nasłuchując. Gdybym miał taką możliwość, większość z towarzyszących im dźwięków wolałbym zapomnieć: trzaski, hurgoty, a nawet krzyki brzmiały jeszcze dość niewinnie, ale towarzyszyły im

znacznie bardziej złowieszcze odgłosy: zdławione bełkoty, wilgotne mlaśnięcia i pluski oraz, w jednym przypadku, budzący dreszcz trzask mogący jedynie obrazować uderzenie czaszki o nieustępliwy, bezlitosny beton.

Sekundę później znad barykady wyłoniła się smukła głowa Felda. Machnął na nas ręką, której zakrzywione szpony pokrywała ciemna krew.

- Ty pierwszy - powiedział Gwillam.

Puściliśmy się pędem, ale tym razem powitalne bombardowanie okazało się znacznie skromniejsze i mniej celne - obserwatorzy z okien wyraźnie widzieli, co się stało po drugiej stronie barykady, i słowa „szok” oraz „groza” są za słabe, by opisać ich reakcję.

Mimo wszystko jednak, w chwili gdy pokonywałem szczyt chwiejnej, zdradzieckiej blokady, celnie ciśnięta cegła przeleciała stanowczo zbyt blisko mojej głowy, a kiedy na wpół ześliznąłem się, na wpół spadłem na drugą stronę, telewizor z płaskim ekranem uderzył w ziemię i eksplodował dwie stopy ode mnie, zasypując mnie milionem odłamków utwardzonego plastiku.

Lecz drzwi przed nami stały otworem, a po drugiej stronie czekała bezpieczna przystań. Nieważne, po czym deptałem i jakich niewybaczalnych czynów wciąż dokonywały dwa wyprzedzające nas wilkołaki, oczyszczające nam drogę. Biegłem za nimi, gdy nagle poczułem, jak coś uderza mnie w ramię. Nawet nie zaboląło i kiedy zerknąłem w dół, zrozumiałem dlaczego: to nie była butelka ani odłamek muru, lecz czyjś odcięty kciuk.

- Jezu Chryste! - wrzasnąłem odruchowo.

Głowa Speighta obróciła się gwałtownie; ryknął, rozwierając tuż przede mną swoje upiorne szczęki. Facet w czerni - Eddings, tak się nazywał - pchnął mnie naprzód za drzwi, jednocześnie skacząc pomiędzy mnie i *loup-garous*.

- Nie, Speight! - warknął. - Zostaw go!

Przewrażliwione katolickie wilkołaki: lepiej pamiętać, by w ich obecności nie wzywać imienia Boga nadaremnie.

Oparłem się o ścianę, dysząc ciężko. Speight i Feld zostali z tyłu, naprzeciw drzwi, przez które weszliśmy. Oczywiście, ponieważ schody mieściły się na zewnątrz budynku, nikt nie mógł nas zaskoczyć, dopóki drzwi wytrzymają.

Chyba że przyjechałby windą.

Dokładnie w tym momencie, z idealnie ironicznym wyczuciem chwili, zadźwięczał dzwonek. Eddings odwrócił się, patrząc w stronę wind. Wyświetlacze nad trojgiem drzwi nie działały, w żaden sposób zatem nie dało się stwierdzić, która ruszyła i czy kieruje się na nasze

piętro. Wybrałem środkową i stanąłem dokładnie naprzeciw niej, czekając, co się z niej wynurzy, lecz Eddings położył mi dłoń na ramieniu i pokręcił głową.

- Idź do środka - rzekł z napięciem, wskazując mieszkanie Kenny'ego. - Kiedy odprawisz egzorcyzmy, to wszystko się skończy. Na razie jedynie powiększamy liczbę ofiar.

- A co z Gwillamem? - spytałem. - Nie zaczekamy na niego?

Eddings obejrzał się w stronę dopiero co pokonanej barykady. Ja też. Nie dostrzegłem ani śladu ruchu.

- Nie - rzekł. - Ojciec Gwillam dołączy do nas, kiedy będzie mógł. We troje powinniście sobie poradzić. Jeśli nie, daj mi znać, a przyślę do was Speigha.

Spojrzałem na koszmarnego stwora, przycupniętego przed windą po prawej, niczym kot Frankensteina przed największą na świecie mysią norą.

- Speigha? - powtórzyłem.

- To egzorcyzta - przypomniał Eddings. - Kiedy jest w ludzkiej postaci. Idźcie, sami zajmijmy się tym, co się tu zjawi.

Aby uciąć dalsze spory, kopniakiem wyważył zabite gwoździami drzwi mieszkania Kenny'ego. Łatwo mu poszło, zarząd domu bowiem nie przyłożył się do dzieła, doskonale świadom faktu, że i tak nie wytrzyma ono dłużej niż dzień czy dwa.

Wszedłem do środka i ruszyłem na dół schodami, tuż za mną maszerowali kobieta i chłopak. Usłyszałem, jak Eddings odstawia na miejsce kawał dykty, zapewniając nam choćby pozór prywatności.

W salonie, zgodnie z moimi oczekiwaniami, panował straszny bałagan. Najprawdopodobniej drzwi zablokowano dlatego, że ktoś zdążył się już włamać i na myśl o tej znajomej kolejności wydarzeń omal nie zatęskniłem za Walton z czasów mojej młodości. Pod stopami chrzęściły nam połamane ramki zdjęć i odłamki porcelany.

Sypialnia Marka natomiast pozostała nietknięta - być może dlatego, że nie było tu niczego, co można by ukraść bądź zniszczyć. Przysiadłem na skraju łóżka i gestem poleciłem pozostałej dwójce zająć stanowiska.

- Macie jakieś imiona? - spytałem.

- Gwiazda Odrodzonego Bytu Phillips - powiedziała stara kobieta.

- Caryl Langford Phillips - dodał chłopak. - Przez „y”. Jak Caryl Chessman.

To ci dopiero, kurwa, dobry omen. Wyjąłem flet i zrzuciłem płaszcz. Nagle zrobiło się nieprzyjemnie gorąco.

- Dobra - powiedziałem. - Carylu. Pani Phillips. Gdybyśmy byli plutonem egzekucyjnym, dziś oboje strzelalibyście ślepakami. To ja zabiję tego stwora. Co do was,

chcę tylko, abyście stworzyli wokół mnie barierę, by nie mógł rozszarpać mi duszy na konfetti.

Kobieta skinęła głową, lecz Caryl przez „y” nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- A jeśli to nas zaatakuje? - spytał.

- Nie zaatakuje - obiecałem. - Kiedy zacznę grać, całkowicie skupi się na mnie. No dobra, wyciągajcie sprzęt i szykujcie się.

Obserwowałem ich kątem oka, powtarzając w myślach melodię otrzymaną od Asmodeusza, niczym krawiec oglądający belę materiału przed rozpoczęciem krojenia. Materia musiała być solidna i w jednym kawałku. Gdybym gdzieś spuścił szew, wszyscy zginęlibyśmy w tym pokoju, zapewne zamotani we własne wnętrzności.

Metoda dokonywania egzorcyzmów stosowana przez Gwiazdę Odrodzonego Bytu najwyraźniej opierała się na grze w kamyki - dziecięcej zabawie, w której wyrzuca się w powietrze podobne do kostek kamyki i łapie w coraz bardziej skomplikowany sposób. Oczywiście w dzisiejszych czasach większość dzieci zamiast kamyków używa kawałków plastiku z zaokrąglonymi końcówkami, czystym przypadkiem podobnych do kości. Starsza pani miała natomiast prawdziwe kości: w sumie dziesięć paliczków, wypolerowanych i błyszczących, jasnokremowych z brązowymi drobinkami - ich kolor skojarzył mi się ze śmietaną, której pozwolono porządnie zgęstnieć.

Chłopak trzymał w dłoniach książkę. Przez moment zakładałem, że sztuki egzorcyzmów nauczył się od Gwillama i że czeka mnie kolejne pieprzone czytanie z Biblii. Lecz karty książki okazały się czyste, a on wyjął z kieszeni spodni kawałek węgla, wybrał jedną stronę i przyglądał nerwowo palcami.

Nie było sensu przeciągać tej agonii. Albo się uda, albo nie. Zacząłem grać, pomijając zwykły etap eksperymentalno-badawczy, bo melodia tkwiła już w mojej głowie, doskonała i ukończona. Zaczynała się szybko i wysoko, potem jednak opadała niebezpiecznie w żalosne decelerando: porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tutaj gracie.

Z początku nic się nie działo. Ponieważ grałem dość cicho, nadal słyszałem dobiegające z zewnątrz dźwięki - wykrzykiwane rozkazy i odpowiedzi, głośny tupot - poważnych ludzi zajmujących pozycje. Zjawił się oddział szturmowy i, w co trudno uwierzyć, wyglądało na to, że sytuacja jeszcze się pogarsza.

Ale my mieliśmy swoje okienko i zamknięci wewnątrz niego tworzyliśmy muzykę. No, przynajmniej ja, stara kobieta bowiem rzucała kośćmi, a chłopak szkicował obsesyjnie kanciaste linie, przemieniając papier we fraktalny krajobraz.

Powietrze zaczęło gęstnieć i wrzeć. Coś wielkiego i rozproszonego zwróciło na nas uwagę.

Ciemność opadła niczym zasłona, była to jednak ciemność przetykana światłem - zasłona łopocząca na silnym wietrze, pozwalająca dostrzec na moment pod swymi fałdami srebrne, nasycone światło, podobne do blasku nadciągającej burzy. Wszystko działało jak należy: Gwiazda Odrodzonego Bytu i Caryl przez „y” pilnowali moich pleców, toteż demon nie mógł zaciągnąć mnie do swego czarnego w czerni piekła, tak jak to zrobił w szpitalu Royal London. Mógł jedynie zabrać jego fragment ze sobą, kiedy zjawił się w pokoju i zaczął gęstnieć wokół nas niczym złowieszczy cień, gniewny i zagubiony.

Mam cię, skurwielu. Twój teren, ale moje zasady. A teraz położymy cię na ruszcie i zobaczymy, jakiego koloru puścisz soki.

Przesunąłem palce na otworach fletu, przyspieszając, jakbym wrzucił drugi bieg. Grałem teraz głośniej, bo większa głośność oznacza większy ból, a demon naprawdę cierpiał. Próbował mnie zaatakować, ale mu się to nie udało, bo węgiel i kości chroniły mnie niczym objęcia samego Boga. Teraz spróbował się wycofać, było już jednak za późno. Tkwił w zagrodzie z kolczastego drutu muzyki, diabelskim ciernistym zagajniku. Nie mogąc uciec ani zaatakować, szarpał się, rozdzierając swą substancję o dźwięki.

I wtedy go ujrzałem. Jedynie przez moment, ale widziałem go. Patrzył na mnie przez poszarpane strzępy swej własnej ochronnej ciemności, tak jak wtedy, w bezświetlnej otchłani, kiedy spotkaliśmy się przy szpitalnym łóżku Kenny'ego. Nie patrzyliśmy sobie w oczy, bo w tym synestetycznym wirze widzenie i słyszenie stanowiły jedynie metafory oznaczające coś zupełnie innego.

Powiedzmy zatem, że go poznałem.

Zaledwie jedna synapsa zaskoczyła w moim umyśle, domykając ostatnie ogniwo skojarzeń, które podświadomie wyczuwałem już wcześniej, lecz do tej chwili nie dopuszczałem go do siebie.

„Drzwi się otwierają”, powiedział Asmodeusz. „Skorupka jajka pęka. Nazwij to metamorfozą. Nazwij transformacją”.

Juliet czytająca *Bardzo głodną gąsieniczkę*: „Mała gąsieniczka wysunęła nos z kokonu i rozejrzała się w zachwycie”.

Duch Kenny'ego, zawodzący: „Jest już zbyt wielki i zmusił mnie...”.

Zaledwie jedna nuta, jeden gest, jeden oddech dzieliły mnie od ostatniego ciosu miłosierdzia, gdy zrozumiałem wreszcie, czym jest owa demoniczna obecność. Co więcej,

pojąłem cały bezmiar zdrady Asmodeusza i jego nienawiści do mnie. Jakże doskonale mnie wystawił, jak wiele poziomów perwersyjnego sadyzmu krył jego plan.

Flet wypadł mi z rąk. Spadając, roztrącił kości, na co starsza pani krzyknęła ze strachu i zaskoczenia, ale spóźniła się o sekundę, bo nagła cisza otworzyła dziurę w sieci, a demon wysliznął się przez nią i zniknął, zbyt zajęty ocaleniem siebie, by kogokolwiek ranić.

- Co ty wyprawiasz?! - ryknął Caryl.

- Zamknij się.

Mówiłem tak zdławionym głosem, że pewnie w ogóle nie zrozumiał słów.

Chwiejnie dźwignąłem się na nogi i dotarłem do drzwi, nim znów ugięły się przede mną. Najpierw na podłodze wylądowały kolana, dłonie sekundę później. Ledwo mogłem oddychać.

Moja pierś unosiła się i opadała, lecz do mózgu nie docierała nawet odrobina tlenu.

- Panie Castor. - Coś zimnego dotknęło mego gardła: lufa małego pistoletu. Poświęcona broń. Staruszka chowała w rękawie poświęconego gnata. Czyż to nie zabawne? - Proszę dokończyć egzorcyzmy.

- Pier-dol-się - wydyszałem.

- Proszę dokończyć egzorcyzmy, albo będę musiała strzelić. Tak mały pocisk zapewne pana nie zabije, ale jeśli wyceluję prosto w kręgosłup, mogę niemal zagwarantować, że pozostanie pan sparaliżowany do końca życia.

Nie odpowiedziałem.

- Pański wybór, panie Castor. Proszę decydować, co mam teraz zrobić. - W głosie starszej pani dźwięczała stal. Nadawałaby się na zakonnicę; może zresztą nią była, nim usłyszała wezwanie Gwillama.

- Módl się - zaproponowałem z pełnym gorczy zdławionym śmiechem. - Módl się za niego.

Pistolet jeszcze przez moment pozostał na miejscu, a potem zniknął.

Kiedy następnym razem uniosłem wzrok, byłem sam. Ale nie do końca - w wielkim mieście nigdy nie jesteśmy naprawdę sami. Krzyki, łoskoty i odgłosy walki, gdy oddział szturmowy zderzył się z mieszkańcami osiedla Salisbury dokładnie za moim oknem, wystarczyły aż nadto, by mi o tym przypomnieć.

22

Z wygodnego schronienia sypialni Marka patrzyłem, jak kończy się świat. A przynajmniej tak to wyglądało. Wiem, brzmi melodramatycznie, ale niełatwo zachować wyczucie proporcji, kiedy wiatr niesie gorzki swąd palonych ciał i słabnącego gazu łzawiącego, a nieświadome armie zderzają się w mroku nocy na waszych złaknionych snu oczach.

Gdy oddziały szturmowe przypuściły pierwszy atak, odkryły, jak ciężki mają orzech do zgryzienia. Funkcjonariusze pokonali barykady na parterze i kładkach trzeciego piętra, ale nie mogli się przebić na ósme i dwunaste - im wyżej docierali, tym gorzej im szło. Pleksiglasowa tarcza to świetna ochrona przed ciśniętą cegłą czy koktajlem Mokotowa, ale przegrywa w starciu ze spadającym z nieba fotelem. W końcu wycofali się, pozostawiając po sobie kilka nieruchomych ciał - niektórych w mundurach, innych nie.

Drugi szturm został lepiej skoordynowany, wyraźnie ściągnięto też posiłki. Wykorzystując jako bazę wieżowce po północnej stronie osiedla, najpierw oczyścili wyższe kładki, zmiatając barykady i przeciwników strugami z armatek wodnych, i dopiero potem sami wkroczyli do akcji. Kierunek z góry na dół oznaczał, że nie byli narażeni na atak z wyższych pięter i radzili sobie całkiem nieźle, mijając mnie w drodze do południowych bloków, na których za pierwszym razem połamali sobie zęby.

Wkrótce jednak zaczęli wyraźnie zwalniać, bo poczuli na sobie dotknięcie demona. Jeden za drugim zaczęli interesować się potłuczonym szkłem na kładkach, wbijając sobie eksperymentalnie odłamki w dłonie bądź wszczynając walki na noże z mieszkańcami lub niedawnymi kolegami.

Dzięki tak wielu tanom, w których mógł zapuścić korzenie, tak wielu pochlastanym, połamany ciałom, moc demona rosła w tempie wykładowym. Moje dłonie także swędziały nieznośnie i co chwila w moich myślach pojawiał się zestaw do kaleczenia, ukryty w szafie Kenny'ego. Mógłby się przydać, gdybym przypadkiem musiał...

Nie! Zacząłem odgrywać raz po raz kilka pierwszych taktów melodii, by nie dopuścić do zagnieżdżenia się w mojej głowie podstępnych macek demona. I starałem się nie myśleć o krwi. Krwi, która tętni w oskarżycielskim sercu każdego z nas. Krwi gęściejszej niż woda.

Nie mogłem pozbierać myśli, pokonać pola minowego dławiącej rozpacz, tak by móc zacząć się zastanawiać nad jakimś wyjściem. Niestety, żadnego nie dostrzegalem. Może tym razem naprawdę dotarłem do ściany, bo nie mogłem dokończyć egzorcyzmów, a już dawno przekroczyliśmy etap, na którym kilka amuletów przybitych nad drzwiami mogło cokolwiek działać.

Ale to wbrew mojej naturze - poddać się tylko dlatego, że przeciwnik ma przewagę liczebną i zbrojną, a ja tkwię w ślepym zaułku z niemal pustym bakiem. Zmusiłem odretwiały, leniwy umysł do skojarzenia paru myśli i otrzymałem trzy pomysły, które razem miały nawet pewien sens.

Matty. Juliet. Gary Coldwood.

Najpierw Coldwood. Wyłowiłem z kieszeni komórkę, na próżno usiłowałem przypomnieć sobie numer i w końcu znalazłem go na liście ostatnio odebranych rozmów.

Cóż za cudowne, budzące podziw osiągnięcie nowoczesnej techniki - nawet z serca Armagedonu można zadzwonić do znajomego, opowiedzieć o swoich przeżyciach i pogawędzić.

Za pierwszym razem nic: telefon dzwonił prawie minutę, po czym przełączył mnie na pocztę głosową. Nie miałem czasu się z nią pieprzyć, a zresztą coś mi mówiło, że Gary nieprędko będzie miał okazję odsłuchać wiadomości.

Spróbowałem ponownie. Rozłączyłem się. Trzeci raz...

- Halo? - Głos Coldwooda, zza którego przebijała wieża Babel innych głosów, dźwięków, syren. Słyszałem te same syreny, wyjące w krwawej dali, tyle że lekko przesunięte w fazie, bo fale radiowe i dźwiękowe maszerują w różnym tempie.

- Cześć, Gary.

- Castor? Do ciężkiej cholery, gdzie ty jesteś? Basquiat mówiła, że...

- Blok Westona, mieszkanie numer sto trzydzieści siedem - odparłem.

- Chryste Panie, ja pierdolę! Ty wciąż tam jesteś!

- A ty gdzieś na obrzeżach, zgadza się? New Kent Road?

- Po przeciwnej stronie. Henshaw Street. Posłuchaj, jeśli chcesz pomocy, to zapomnij. Nie możemy nawet się zbliżyć. Pałeczkę przejęły oddziały szturmowe, a ich dowódca kiepsko się dogaduje z innymi. Dają dupy na całego, ale nic, kurwa, nie możemy zrobić. Każe nam eskortować sanitariuszy i ewakuować ludzi z północnej części osiedla.

- Nie chcę pomocy, Gary. Chcę Matta. Musisz go tu sprowadzić.

Po drugiej stronie zapadła cisza, zakłócana jedynie wyciem syren i wykrzykiwanymi rozkazami.

- Słyszysz mnie, Gary?

- Nie. Nie jestem pewien. Zdawało mi się, że powiedziałeś, żebym sprowadził do ciebie brata.

- Zgadza się.

W odpowiedzi usłyszałem pełen niedowierzania śmiech.

- Czy w którymś momencie nie upadłeś przypadkiem na głowę, Fix? Mówiłem już: nie dam rady się tam dostać. A twój brat jest oskarżony o morderstwo.

- Którego nie popełnił. Ale nie w tym rzecz. Na całym świecie tylko on może to powstrzymać.

- Czemu? - w głosie Coldwooda dźwięczało napięcie. - Wyjaśnij mi tę logikę. Nie, właściwie nie trudź się, bo i tak, kurwa, do tego nie dojdzie.

Rozłączył się. Znów wybrałem numer. Nie miałem nic do roboty poza waleniem w to samo miejsce, z nadzieją że w końcu ustąpi. W przeciwnym razie będę tu siedział, dopóki demon nie przełamie mojej obrony, a potem zapewne zajmę się tym, czym wszyscy inni.

- Fix, odpieprz się! - wrzasnął do słuchawki Gary.

- Bardzo bym chciał, Gary. Wierz mi. Ale jeśli to zrobię, zginie jeszcze więcej ludzi, w tym wielu twoich, chyba że się wycofacie i pozwolicie, by wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci na osiedlu porznęli się na kawałki. Ja nie żartuję. Sprowadź tu Matta, a może coś zdziałamy

Odpowiedziała mi cisza, uznałem to jednak za dobry znak. Nadal słyszałem odgłosy w tle, więc przynajmniej się nie rozłączył.

- Daj mi jakoś powód - rzucił Gary.

Uznałem, że nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie.

- Daję ci wszystko, co mogę. Matt jest kluczem. Co cię to kosztuje? Wyciągnij go z celi i ściągnij tutaj. Jeśli się obawiasz, sam możesz go zakuć w kajdanki. Albo siedź tam sobie i patrz, jak połowa Południowego Londynu idzie w diabły.

- To nie połowa Południowego Londynu, tylko jedno osiedle. Tysiąc ludzi.

- Na razie - zgodziłem się. - Na razie tylko tyle.

- Kurwa! - wybuchnął Gary. - Nawet gdybym zechciał go tu ściągnąć, to niby jak?

- Jeśli potrzebujesz towarzystwa, dzwonisz do agencji towarzyskiej.

- To jakiś żart?

- Juliet.

Gary znów się roześmiał, tym razem jeszcze mniej przekonująco.

- Juliet. Jasne. Bo w tej sytuacji potrzebujemy tu jeszcze jednego demona.

- Juliet spotka się z tobą w komendzie. Przyprowdzi tu Matta. Jeśli chcesz, też możesz przyjść.

- A wtedy co? Pomachasz czarodziejską różdżką?

- Nie - przyznałem. - I pewnie zda się to psu na budę. Ale mam stuprocentową pewność, że wszystko inne także. Jeśli chcesz to zakończyć, Gary, ściągnij tu mojego pieprzonego brata. Pogadamy o grzechach, bo księża to fachowcy w tej dziedzinie, i pod jego przewodem pomodlimy się wspólnie. I może o wschodzie słońca wciąż będziemy żywi. W przeciwnym razie załatw więcej worków na zwłoki.

Odczekałem chwilę, nasłuchując, czy nie rzuci w odpowiedzi kolejnym durnym pytaniem, a potem rozłączyłem się i zadzwoniłem do Juliet.

- Feliksie... - W zwykłym kocim pomruku jej głosu dźwięczała niebezpieczna nuta. - Jestem zajęta.

- A co robisz?

- Uprawiam seks.

- No to zadzwoń, kiedy dojdiesz do etapu papierosa. Przepraszam, że wam przeszkadzam, ale to nie może czekać, aż sobie ulżysz.

- Właśnie dochodzę, Castor. Sukuby potrafią całymi dniami powstrzymywać orgazm. Nie brak nam wytrzymałości, tylko cierpliwości. Gadaj, czego chcesz.

- Już wszystko rozumiem - poinformowałem ją. - Tę istotę w Salisbury i to, dlaczego ni z tego, ni z owego zrobiłaś się skryta. W sumie to objawienie, Juliet, że istnieją rzeczy, które mogą wywołać rumieniec nawet u seksdemonia.

Nie próbowała nawet robić uników ani zaprzeczać.

- Naprawdę wiesz, co się dzieje - spytała ostro - czy jedynie blefujesz z nadzieją, że coś wygadam?

Zatem w trzech zwięzłych zdaniach powiedziałem jej prawdę, tak jak ją widziałem. Zdołałem zapanować nad głosem, lecz ręka mi się trzęsła jak w ostatnim stadium malarii.

- No dobrze - rzekła Juliet. - I co teraz?

- Po prostu powiedz... mam rację? Tak się to stało?

- Tak. Chyba tak. W ogólnym zarysie. Po co do mnie dzwonisz, Castor?

- Bo wspominałaś, że próbowałaś go egzorcyzmować. Bajerowałaś mnie, Juliet, czy naprawdę chcesz pomóc?

- Nie mam czasu na bajerowanie - przypomniała z lekką irytacją. - Proszę, przejdź do rzeczy. Jestem w trakcie zaspokajania kochanki - to moje drugie powołanie. Ale skoro tam

dzieje się coś złego, zwiastującego znacznie gorsze rzeczy, to owszem, jeśli będę mogła, pomogę.

- Ale nie udzielając informacji.

- Wiesz dlaczego milczałam, Castor. I nadal muszę zdecydować, czy mogę wierzyć w twoją dyskrecję. Mów, czego ode mnie oczekujesz.

- Kiedy będziesz pewna, że w pełni zadowoliliś Susan, pojedź na komisariat na Uxbridge Road i odbierz mojego brata. Gary Coldwood ci go przekaże. Możliwe też, że zechce do was dołączyć. Tak czy inaczej, musisz dostarczyć tu Matta, przez piekło, zasieki, i może kilka katolickich wilkołaków.

- Tu, czyli...?

- Salisbury, Blok Westona, mieszkanie sto trzydzieści siedem.

- Zjawię się, kiedy tylko będę mogła.

- Juliet...

Chwila ciszy.

- Tak, Castor?

- Nicky mówił, że jesteś najmłodsza z rodziny. „Siostrą jest Bafometa i najmłodszą z rodu”, bla bla bla.

- No i?

- Kim zatem... - Pytanie zawisło w powietrzu, bo nie wiedziałem, jak je zakończyć.

- To było bardzo dawno temu, Castor - odparła zimno Juliet. - Nie pamiętam.

Rozłączyła się.

Teraz mogłem już tylko czekać.

I oglądać przedstawienie.

23

Zajęło im to dwie godziny, ale zważywszy na okoliczności, uważam, że to i tak imponujący wyczyn. Z drugiej strony, drużynowy bieg przełajowy przez Londyn w składzie gliniarz, demon i ksiądz nigdy nie stanie się dyscypliną olimpijską, nie mam zatem żadnego materiału porównawczego.

Teraz, gdy przynajmniej częściowo pozbierałem się do kupy po spieprzonych egzorcyzmach, zrozumiałem, że nie jestem całkiem bezradny. Z fletem w dłoni, stanąłem przy oknie i zagrałem - pierwszą część rytuału egzorcyzmów, przywołanie, ściągające ku mnie demona i uwalniające w ostatniej chwili tylko po to, by wezwać go ponownie.

Było to wyczerpujące i na dłuższą metę do niczego nie prowadziło, angażowało jednak część psychicznych mocy potwora, dzięki czemu większość policyjnych oddziałów szturmowych ocknęła się z transu, otarła krew z rąk i wycofała się rozpaczliwym biegiem. Zostało zaledwie kilku, zapewne tych, w których demon zdołał wnikać najgłębiej i najszybciej. Może byli to goście, którzy już wcześniej przejawiali skłonność do samookaleczeń, albo fetysz bólu i ran.

W mieszkaniach osiedla natomiast nic się nie poruszyło. Nie doszło do generalnego exodusu, nie słyszałem chóralnych okrzyków przerażenia budzących się ludzi, do których dociera groza tego, co robili tej nocy. Demon panował nad nimi niepodzielnie i nie zdołałem zerwać tej więzi - zanadto mnie wyprzedził. Niektórzy zapewne nigdy się nie obudzą.

Niebo po lewej, za Szpitalem Guya, zaczęło odrobinę jaśnieć, ale potem jakby zmieniło zdanie: słońce uparcie pozostawało za horyzontem, a zenit był czarny jak serce zboreźnika. Może ktoś odwołał świt.

Ożywienie w dole świadczyło, że policyjne oddziały szturmowe wróciły. Zaledwie jeden nieduży oddział, nadchodzący z północy, zбитy w ciasną grupkę, kojarzącą się nieco z rzymską formacją „żółwia”.

Na barykadach i za szybami coś się poruszyło. Demon zbierał siły - jedna istota, patrząca tysiącem oczu. Uniosłem do ust flet i znów zagrałem, byłem jednak słaby i rozkojarzony z niedospana i palce ześlizgiwały mi się z otworów. Nie mam pojęcia, czy cokolwiek zdołałem.

Z góry posypały się pociski, lądujące z trzaskiem na betonie wokół oddziału odzianych w kewlar gliniarzy. Parę butelek, a także coś większego i cięższego, dotarło do celu, uderzając o podniesione tarcze z gromkim łoskotem, który odbijał się echem w niesamowitej ciszy spowijającej całe osiedle. W którejś z butelek krył się koktajl Mołotowa - i po sekundzie tarcze pokryła rozszerzająca się migotliwa siatka ognia.

Jeden z policjantów, który został z tyłu, gdy reszta ruszyła naprzód, pojawił się znikąd i puścił biegiem za kolegami. Sądziłem - oni pewnie też - że próbuje do nich dołączyć, potem jednak uniósł rękę, ściskając coś ostrego, i wydał okrzyk bardziej przypominający jęk agonii torturowanej ofiary niż bitewny. Gumowa kula powaliła go jakieś dziesięć jardów od żółwia - nogi ugięły się pod nim i runął ciężko na ziemię. Leżał tam, wstrząsany drgawkami, próbując się podnieść, a ręce trzepotały mu jak u konającego ptaka.

Z góry poleciały kolejne cegły i butelki, lecz żółw parł naprzód, prosto ku mnie - a potem zasłoniła go kładka dokładnie pod moim oknem. Teraz mogłem oceniać, co się dzieje, wyłącznie po rytmicznych dźwiękach, docierających do moich uszu. Kolejne krzyki i jeszcze parę strzałów. Łomot i zgrzyt, towarzyszący przesuwaniu czegoś ciężkiego.

A potem żółw wycofał się tą samą drogą, poruszając się w równie powolnym tempie, wymuszonym koniecznością unoszenia chroniących głowy tarcz.

Jak wspominałem, w tym momencie mój mózg nie pracował zbyt sprawnie. Potrzebowałem chwili, by zrozumieć, jaki ładunek dostarczył żółw. Wszedłem z sypialni, wspiąłem się po schodach i ostrożnie wysunąłem przez zabite deskami drzwi Kenny'ego na korytarz.

Na klatce schodowej poniżej panował chaos. Najwyraźniej policja straciła kontrolę nad pomostami trzeciego piętra i pogrążeni w transie krwi szaleńcy zapuścili się na północ, by odzyskać utracone tereny. Teraz tego żalowali, bo Juliet sunęła przez nich jak kosa przez zboże.

Nie zszedłem, by do niej dołączyć - biorąc pod uwagę moją niemrawość, tylko bym przeszkadzał i najprawdopodobniej skończył z butelką roztrzaskaną na głowie bądź nożem między zębami. Zagrałem jednak przywołanie, ściągając ku sobie część uwagi demona, z nadzieją że być może na moment jego władza nad opętanymi sługami osłabnie.

Teraz widziałem już wyraźnie niedobraną trójkę przybyszów: Coldwood szedł pierwszy, za nim Matt, zerkający z przerażeniem w prawo i w lewo, a Juliet zamykała pochód, niespiesznie i beznamiętnie - namiętności zachowywała na inne okazje - wykańczając po drodze kilku ostatnich napastników. Jeden z szaleńców dźgnął ją nożem w ramię; złapała jego rękę w bezlitosny uchwyt, wyciągnęła ostrze z własnego ciała i zwróciła

mu rękojeścią naprzód. Mężczyzna osunął się ciężko na ścianę, ze złamanego nosa płynęła krew. Zdumiało mnie - i ucieszyło - że go nie zabiła. Jedną z najtrudniejszych lekcji, jakie musiała opanować Ajulutsikael, gdy podjęła decyzję o zamieszkaniu wśród ludzi i stała się Juliet, było powstrzymywanie się od zadawania ciosów.

- Tutaj! - zawołałem.

Gary uniósł głowę i zobaczył mnie. Parę chwil później wraz z Mattem pokonywali ostatnie stopnie. Poprowadziłem ich do mieszkania Kenny'ego i na dół, do jego wybebeszonego salonu.

- Co za cholerna kaszana - poskarżył się Gary.

Puściłem jego słowa mimo uszu i spojrzałem na Matta. Po drodze trochę oberwał - miał siniec na policzku i poszarpane skaleczenie grzbietu dłoni - ale nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń.

Na razie.

- Po co tu jestem? - spytał, rozglądając się oczami pełnymi grozy. - Czemu mnie tu ściągnąłeś, Felix? Czy to tutaj...

- Tak - odparłem. - To tutaj mieszkał. Usiądź, Matt. Przysuń sobie jakiś połamany mebel i posadź na nim tyłek, bo nie wyjdiesz stąd, dopóki nie usłyszymy prawdy.

Juliet weszła do pokoju, rozcierając ręce.

- Jest gorzej, niż przypuszczałam.

Wzruszyłem ramionami.

- Sama wiesz najlepiej.

- Przejdź do rzeczy - zasugerował Coldwood.

Opierał się o ścianę tuż obok drzwi, ręce skrzyżował na piersi. Miał spuchniętą wargę i mówił nieco niewyraźnie, ale jemu także najwyraźniej się upiekło. Natomiast nieskazitelną białą skórę Juliet przecinała siatka krzyżujących się świeżych ran, z których żadna nie przetrwa długo - jej obrażenia goiły się szybko i z pewnością sama z rozmysłem stawiała między pozostałą dwójką a najgorszymi napastnikami.

- Do rzeczy - powtórzyłem. - Jasne. Matt, wciąż nie usiadłeś.

- Nie chcę siadać - oświadczył Matt. - Nie w tym miejscu. - Rozejrzał się wokół z nienawiścią i strachem.

- Dobra - odparłem. - Stój sobie. Zacznijmy od tego co oczywiste. Masz syna. Czy przynajmniej miałeś. Teraz już nie żyje. I tu - dokładnie tu - leży nasz jebany problem.

Matt wydał z siebie zduszony jęk, cofnął się chwiejnie o krok, potem dwa, i powoli osunął się na kolana. Zapewne uznacie, że zachowałem się niepotrzebnie brutalnie, ale

czekały nas jeszcze gorsze rzeczy i uznałem, że nie ma sensu się obcyndalać ze względnie prostymi faktami.

- O, Boże - jęknął Matt. - O, Boże!

- Ale przecież już to wiedziałeś - podjąłem. - Musiałeś wiedzieć. Anita nie obnosiła się z tym, ale nazwała go imieniem następnego ewangelisty. No i jak inaczej Kenny mógł cię tu ściągnąć na spotkanie, Matt?

- Powiedział... ale ja nie... - Przerażony Matt patrzył na mnie, błagalnie. - Nie miałem pewności. Ja nie.... Nie chciałem, żeby to była prawda. Bo gdyby była, znaczyłoby to....

- Znaczyłoby to, że porzuciłeś swojego dzieciaka, pozwalając, by wychował go psychopata - dokończyłem. - Zastanawiałem się nad tym. Wziąwszy pod uwagę wiek Marka, to się musiało stać, kiedy wróciłeś z seminarium i zanim trafiłeś do pierwszej parafii. Zgadza się?

Matt wciąż gapił się na mnie, nie mogąc odwrócić wzroku, niezdolny mówić.

- Zgadza się? - powtórzyłem.

Szczegóły miały znaczenie. Nie mogłem mu odpuścić, choć widziałem, jak bardzo rani go każde słowo. Wiedziałem, że za moment zranię go jeszcze bardziej.

- To był... to był ostatni raz - powiedział. - My już... Ja ją kochałem, Feliksie. O mało nie zrezygnowałem dla niej z Kościoła. Zamiast tego zrezygnowałem z sumienia. Zrobiłem to, co każdy tchórzliwy goguś: poszukałem łatwej pociechy, odkładając trudną decyzję. Ale, przysięgam ci, Feliksie, że nie miałem pojęcia o dziecku. Moim dziecku. Gdybym wiedział, wróciłbym do niej. Byłbym z nią, dokądkolwiek by nas to doprowadziło.

- I nigdy już jej nie widziałeś?

Pokręcił głową, po jego policzkach ścigały się łzy.

- Ja... ja tylko... usłyszałem...

Na dłuższy czas umilkł, dusząc w sobie ból. Juliet spojrzała na mnie pytająco; zapewne zastanawiała się, czy to wszystko do czegoś prowadzi, czy stanowi jedynie pokaz czystego sadyzmu.

Coldwood także mnie obserwował, czujnie, agresywnie. Został wciągnięty w tę sprawę wbrew woli, a teraz wiedział już, że ma ona związek zarówno z jego śledztwem, jak i z obecnymi zamieszkami. Nie był szczęśliwy, ale pozwalał mi rozegrać moją kartę. A w moim rozdaniu żyletki zastępowały asy.

- Kenny skontaktował się ze mną dopiero po zniknięciu Anity. - Ledwie słyszałem Matta, przemawiał bowiem do własnej piersi, pochylony tak nisko, że niemal dotykał podłogi.

- Powiedział... powiedział, że dawno temu urodziła moje dziecko. Mówił, że zna wszystkie

szczegóły. Nazwiska. Adresy. Jeśli się z nim spotkam - na przejeździe nad Borough Road - to mi opowie. Opowie wszystko.

- I opowiedział? - wtrącił Gary.

Matt, zaskoczony, uniósł głowę. Najwyraźniej zapomniał, że nie jesteśmy sami.

- Nie - odparł. - On tylko... oznajmił, że mnie okłamał. Że nie było żadnego dziecka. A potem, że było, ale już nie żyje. Zabiło się... zabiło się brzytwą.

- I pokazał ci tę brzytwę - odgadłem. - Kazał ci jej dotknąć.

Matt skinął głową.

- Nic z tego nie zostanie uznane w sądzie - powiedział jakby do siebie Coldwood. - No dobra, kupuję to, że Kenny nienawidził prawdziwego ojca dzieciaka Anity i może uważał, że musi mu coś udowodnić. Ale poszatkowanie samego siebie brzytwą tak, by wyglądało to na robotę tamtego? Widzę w tym planie kilka poważnych dziur, a wy?

- To plan, któremu trudno się oprzeć - odparła Juliet - gdy do ucha szepcze ci demon ran. Krew i ból wydają się wtedy nieodparcie pociągające. Kenny Seddon próbował je po prostu wykorzystać w innym celu.

- Ale to nadal nie pasuje - zauważył bez ogródek Gary. - Wciąż pozostaje kwestia kąta nachylenia ran. Część zadał sobie sam, ale części nie mógł w żaden sposób. Wrabianie nie wyjaśnia faktów.

- To już nie ma znaczenia - wtrąciłem.

- Czyżby? - głos Gary'ego ociekał złośliwą ironią. - A mnie się zdawało, że ma. Twój pierdolony brat zostanie oskarżony o morderstwo, ty nadęty fiucie!

- Mój pierdolony brat - warknąłem, nie mogąc dłużej utrzymać nerwów na słabnącej wodzy - uważa, że jego największy grzech to pierdolony numer z Anitą Yeats osiemnaście pierdolonych lat temu. A tymczasem to pierdalone to! - Rozłożyłem szeroko ręce, wskazując zamaszystym gestem nie tylko pokój, mieszkanie, blok, ale całe osiedle Salisbury w jego przypalonej, strzaskanej, poprzebijanej, ponacinanej i zakrwawionej grozie. - Oto twój największy grzech, Matty. Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi?

W dzieciństwie wiosną wyprawialiśmy się do Siedmiu Sióstr - lejów po bombach w Trójkacie Walton, które z czasem zamieniły się w stawy - i łowiliśmy skrzek. Przynosiło się go do domu w słoiku po dzemie, przekładało do plastikowego wiaderka bądź miski, ukrywało w ustronnym kącie ogrodowej szopy albo, w przypadku posiadania prawdziwej żyłki hazardzisty (czy też pobłażliwej mamy), swojego pokoju, i czekało, aż małe czarne kropeczki w sercu przejrzystej galarety zamieniają się w kijanki. Potem kijankom wyrastały łapki i po

paru tygodniach zmieniały się w mikrominiaturowe żabki. Było to fascynujące widowisko, znacznie bardziej zajmujące niż inne męskie rozrywki. Można się było na nie gapić godzinami i czuć, że jest się częścią większej, pierwotnej magii.

Teraz, wodząc wzrokiem od Juliet do Matta i z powrotem, przypomniałem sobie tamto uczucie.

- Chcesz mu sama powiedzieć? - spytałem. - Czy wolisz zostawić to mnie?

Juliet uniosła brew.

- Decyzja należy do ciebie, Castor. To, co zaraz powiesz, nie ucieszy nikogo, kto cię usłyszy. Zachowałam ten sekret nie dlatego, że się bałam, co zrobicie z tą wiedzą, tylko ponieważ na nic, absolutnie na nic się wam ona nie przyda.

- Mark lubił się kaleczyć - poinformowałem brata, który wyprostował się ze swego płodowego skłonu i patrzył na mnie z agresywnym niepokojem. - Ranił się dla przyjemności. Zazwyczaj żyletkami, czasem innymi ostrymi przedmiotami, które znajdował i zachowywał na później.

- Czemu mi to mówisz, Feliksie? - spytał gwałtownie Matt.

- Bo musisz się dowiedzieć. Dla niego cały ten proces miał w sobie coś erotycznego. Czytałem jego wiersze i pisał tylko o tym. Jakie piękne są rany: podobne do kwiatów, żywnych rzecznych dolin i ust, przemawiających w języku bardziej elokwentnym niż słowa. Nigdy nie porównał ich do kobiecej pochwy, ale do tego się to sprowadzało. To przez jego wychowanie, Matt. Kenny był sadystycznym skurwielem - dobrze o tym wiesz - a Anita wmówiła sobie, że jest bezwartościowym śmieciem, który nie zasługuje na nic lepszego w życiu. Jednego tylko, kurwa, nie rozumiem: jakim cudem najsilniejsza, najbardziej samodzielna i pełna życia dziewczyna, jaką znalіśmy, zamieniła się w ten... ten podnózek. Może dlatego, że jedyny facet, którego naprawdę kochała, zrobił jej dziecko, po czym odszedł, pogwizdując „Jezusa słońkiem chcę zostać dziś”. A może przez coś innego. Nie wiem. Nie było mnie przy tym. Tak czy inaczej, Mark miał w swym życiu to coś - coś pomiędzy hobby a romanssem. Ostrza. Rany. Krew. A potem umarł i jego dusza została tutaj, podobnie jak wiele innych - uwięziona w bagnie, zbyt skrepowana niedokończonymi sprawami, by odejść. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem, ale na świecie powinno być więcej młodych duchów niż tych starych. Śmierć w wieku siedemnastu lat? Jak po czymś takim można odejść spokojnie w ostatnie spierdalaj? Jak można uznać, że nadszedł nasz czas?

Z gardła Matta uleciał przykry dźwięk, połączenie rozpacz, bólu i protestu. Nie chciał dłużej słuchać. Ale ja musiałem mu powiedzieć. Musiał zrozumieć, co będzie dalej.

- Sądziłem, że wezwał demona przypadkiem, Mate. Byłem pewien, że tak to się stało. Że jego obsesja otworzyła drzwi dość szeroko, by wtargnął przez nie stwór, który kocha rany i żyje wewnątrz nich. Że pozostawił ślad, po którym dotarł tu tamten. Jakby jego dusza miała własny zapach. Ale oszukiwałem siebie. Po pierwsze, dlatego że prawda była zbyt szalona, by w nią uwierzyć, ale też dlatego, że zbyt trudno ją było zaakceptować. Za bardzo bolała. Kiedy Juliet nie chciała mi powiedzieć, co się tu dzieje, w mojej głowie włączył się dzwonek alarmowy, ale nie wiedziałem, co o tym myśleć. A potem poznałem Bica, chłopca z sąsiedniego mieszkania. Był najbliższym kolegą Marka, może nawet przyjacielem, i pierwszą duszą, w której zagnieździł się demon. Przez kilka miesięcy nie robił nic innego. Mieszkał tam, w jednej małej duszy, dopóki nie zebrał dość sił, by spróbować szczęścia gdzie indziej. Czemu wybrał akurat jego? Nie ma żadnych blizn, więc się nie ciął. Demon także go nie kaleczył. Wszystkich innych owszem, albo zmuszał, by sami zadawali sobie tany, ale Bica traktował niezwykle łagodnie. Potrzebował krwi - nie mógł przetrwać bez niej - ale sprawił, że Bic krwawił z nienaruszonej skóry.

Teraz Matt patrzył na mnie z czystą, nieskrywaną zgrozą, a Coldwood, lekko spóźniony, lecz szybko doganiający resztę, zaklął.

- A potem spotkałem go osobiście - ciągnąłem - i stwór przemówił do mnie. Tylko jedno słowo. „Mark”. Myślałem, że chce mi powiedzieć, po kogo przybył, ale nie.

- Nie, Feliksie - błagał Matt. - Nie.

- On mi się przedstawił. Mark nie wezwał demona. Mark jest demonem. Otaczają nas przerzuty zrakowacialej duszy twojego syna, pasożytującej na niewinnych i doprowadzającej ich do zniszczenia.

Błagania Matta zamieniły się w nieartykułowany okrzyk cierpienia. Zaczął walić głową w podłogę. Wraz z Coldwoodem jednocześnie skoczyliśmy naprzód, lecz gibkie ciało Juliet nie podlega tym samym ograniczeniom co zwykle ludzkie powłoki i dotarła do celu, nim jeszcze na dobre wystartowaliśmy z miejsca. Chwyliła Matta w nierozzerwalny uścisk, a on przywarł do niej, mamrocząc niezrozumiałe sylaby.

- Chyba zrozumiał, co chciałeś mu powiedzieć - rzekła do mnie spokojnym, beznamiętnym tonem.

- Czy tak właśnie powstają wszystkie demony? - spytałem. W ustach zaschło mi tak bardzo, że nie mogłem przełknąć śliny. - Tym właśnie jesteś?

- Nie twoja sprawa, czym jestem, Castor. Jeśli jeszcze raz poruszysz ten temat, zrobię się nieuprzejma.

- Nie mogę uwierzyć, że sam tego nie odgadłem. - Słowa wylewały się z moich ust bez udziału woli. Zupełnie jakby nic z tego nie było prawdą, dopóki nie wypowiedziałem tego głośno, albo dopóki ona tego nie potwierdziła. Teraz musiałem żyć z tą wiedzą, a poważnie wątpiłem, czy potrafię. Spotkaliśmy nieprzyjaciela i odkryliśmy, że to my sami. Najnowszy potwór w mieście okazał się moim własnym pieprzonym bratankiem. - Właściwie to powinno być oczywiste. Zombie to ludzie. Wilkołaki to ludzie. Dlaczego więc demony także nie miałyby być ludźmi? To pierdzielona brzytwa Ockhama: jedyny wspólny element, który nadaje sens wszystkiemu. Ale jakim cudem stał się taki wielki, Juliet? Jak może być tak kurewsko wielki i kurewsko silny, skoro to... - następne słowo miało kwaśny, niemal nieprzyzwoity posmak, gdy formowały je moje wargi - noworodek?

Juliet patrzyła na mnie tak długo, że sądziłem już, że nie odpowie. Potem jednak machnęła ręką w geście mówiącym nader dobitnie, że próby opisanie mi tego przypominają usiłowania zmieszczenia oceanu w szklance od piwa.

- Wielu z nas zaczyna jako... ogromni i rozproszeni. Bezcielesne emocje. Czysta moc, ale nie skupiona. Jak para, która wypełnia całą dostępną przestrzeń. Z czasem, bardzo powoli, zaczynamy gęstnieć. Odnajdujemy własną postać.

- Ale wywodzicie się z dusz? - Matt wpatrywał się w nią z krańcową grozą. - Z ludzkich dusz?

Juliet znów odpowiedziała gestem bliskim wzruszeniu ramion.

- Dobry Boże! - wyszeptał Matt. - Mój dobry Boże!

- Poprawcie mnie, jeśli się mylę - warknął Coldwood. - Choć to niewątpliwie fascynujące z religijnego punktu widzenia, to chyba ni chuja nam się nie przyda? Albo potrafisz się z tym rozprawić, Fix, albo nie. Wybieraj.

- Pierwszym duchem, jakiego egzorcyzmowałem w życiu, była moja siostra, Gary. - Podkreśliłem swoje słowa, gwałtownie kręcąc głową. - Nie zamierzam tego powtarzać. Tym razem kolej na Matta.

- Na mnie? - Głos Matta drżał. Mój brat uniósł poczerwieniałą, mokrą od łez twarz i spojrzał na mnie.

- Według mnie to nasza jedyna szansa. Jest twoim potomkiem i wyczuwa łączące was pokrewieństwo. Ciebie jednego być może wysłucha. Większość duchów zostaje na tym świecie, bo nie potrafi wbić sobie do głowy, że ich życie dobiegło końca. Są związane ze wszystkim, czego nie zrobiły, albo czego żałują. Musisz mu powiedzieć, że już dobrze. Pogodzić się z nim. Musisz poprosić, by odszedł, z własnej woli. To jedyny sposób.

A przynajmniej, dodałem w duchu, jedyny, który nie zmusza mnie do bisowania mojego największego grzechu. Katie. I znów pomyślałem, jak wielkim draniem jest Asmodeusz; jak precyzyjnie niemal doprowadził mnie do tej masakry niewiniątek. Albowiem tym właśnie był Mark, mimo swego śmiercionośnego zadurzenia w ranach. Jego prawdziwy ojciec nie wiedział o jego istnieniu, ojczym był parszywym sadystą, a marka zapewne załamała się jeszcze przed jego narodzeniem. Od początku dostał do ręki wyłącznie znaczone karty. A potem, gdy w końcu wyrwał się z tego getta i przemienił w coś wielkiego, potężnego i strasznego, zjawił się stryjek Felix z magiczną bazooką.

Nie. Przykro mi. Zabójca Krewnych już nie wróci. A w każdym razie nie dziś.

- Oni nigdy się nie spotkali - przypomniała Juliet. - Nie ma powodu, dla którego demon miałby rozpoznać w Matcie swego ojca.

- Nie - przyznałem. - Może to tylko moje pobożne życzenia. Ale to jedyny nabój, jaki nam pozostał, bo mówię ci, że ja nie dam rady. Już się wystrzelałem.

Matt zdołał jakoś zapanować nad sobą i podniósł się z ziemi. Zdumiewające, ale bliskość Juliet najwyraźniej go nie podnieciła: może sprawiło to kłębowisko targających nim emocji - albo może, tuląc kogoś w matczynym uścisku, wydzielala inne feromony.

- Zrobię to - oznajmił ponuro, lecz spokojnie. - Ja... Oczywiście. Tak, muszę to zrobić. Rozumiem, czemu to muszę być ja.

Spojrzał na mnie, próbując ukryć strach. Strach przed starciem z demonem. A może przed pierwszym spotkaniem z synem w tych mało sprzyjających okolicznościach? Zapewne jeden i drugi.

- I co teraz? - spytał. - Ty zagrasz na flecie, a ja... ja go zawołam?

- Flet to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy. Kiedy gram tę melodię, to jakbym wykręcał mu rękę za plecami i wbijał twarz w ścianę. Dziś w nocy doświadczył tego po wielokroć. Nie, myślę, że zastosujemy inne podejście do sprawy.

Poszedłem do sąsiedniej sypialni. Podobnie jak w salonie, zastałem tam ślady przeszukania, tyle że w tym przypadku nie było ono z pewnością zbyt dokładne. Kilka wyciągniętych szuflad, parę rozrzuconych ciuchów i nic poza tym. Kimkolwiek byli złodzieje, nieszczególnie się przyłożyli, i opatrność bądź przypadek sprawiły, że zabrakło im pary, nim dotarli do szafy.

Przeszedłem z powrotem przez pokój Marka, trzymając w dłoniach jego zestaw do nacinania. Raz jeszcze, gdy tylko go dotknąłem, poczułem głębokie, natrętne pulsowanie dawno minionych uczuć, pozostawionych przez chłopaka: echo jego radości i podniecenia. Postawiłem pudełko na podłodze pośrodku salonu, tak by wszyscy je widzieli.

- Jeśli Mark miał emocjonalną kotwicę, to właśnie ona - oznajmiłem.

- Co to takiego? - chciała wiedzieć Juliet.

- Jego sprzęt. Pudło pełne żyłek, przyprawionych dla odmiany kilkoma innymi ostrymi przedmiotami oraz środkiem dezynfekującym. To właśnie nimi się ciął.

Matt skrzywił się, ale wyraźnie wiedział, czego po nim oczekuję. Ukląkł i dotknął dłonią wieka pudła. A potem zamknął oczy i wymówił imię Marka.

Nic się nie wydarzyło. Nastawiwszy moją psychiczną antenę na pełną moc, wsłuchiwałem się w niesamowitą ciszę zalegającą za oknami. Wciąż było tam ciemno. Zerknąłem na zegarek - minęła siódma. Na niebie powinny się już pojawić pierwsze zorze.

Matt zawołał ponownie, nieco głośniejszym głosem. Wciąż nic. Żadnego poruszenia, ani na poziomie psychicznym, ani w świecie brutalnych, namacalnych ciał.

Przez następne parę minut Matt nawoływał imię Marka, lecz nikt nie odpowiadał.

- No dobra - rzekłem w końcu. - Pomysł wydawał mi się niezły. Przykro mi, że zmarnowaliście tu czas.

- Gdzie on umarł? - spytała Juliet.

Wszyscy spojrzeliśmy na nią.

- Ten chłopak - doprecyzowała niepotrzebnie. - Gdzie dokładnie umarł? W tym pokoju?

- Nie. - Coldwood wskazał ręką. - Na zewnątrz. Rzucił się z kładki.

- W takim razie to tam powinniśmy pójść.

Wiedziałem, że chwytamy się brzytwy, ale warto było spróbować. Skinąłem głową i schyliłem się po leżący na podłodze sprzęt do nacinania, lecz Matt zdążył już go podnieść i wyraźnie nie miał ochoty oddawać pudła komukolwiek.

- Chodźmy - powiedziałem.

Korytarz był pusty. Otworzyliśmy wahadłowe drzwi - z pewnym trudem, bo przeszkadzało w tym potłuczone szkło i śmieci na podłodze - i wyszliśmy w ciemność. Odruchowo obejrzałem się na wschód. Wąziutka smuga światła, którą dostrzegłem wcześniej, zniknęła, i niebo od horyzontu po zenit powlekała nieprzenikniona czerń. Tyle że nie widziałem żadnego horyzontu. Najbliższe wieżowce wyrastały z mroku niczym czarne skalne urwiska, podziurawione ciemniejszymi jaskiniami patrzących na nas powybijanych okien. Za nim rozciągała się nicość.

Gdy rozproszyliśmy się na kładce, Matt pozostał na przodzie. Odgarnął stopą na bok śmieci, ukląkł i postawił sobie zestaw do kaleczenia między kolanami. Spojrzał w ślepe, czarne niebo.

- Mark - powiedział raz jeszcze. - Tu Matthew, twój... - zająknął się na tym słowie, ale w końcu zdołał je wykrztusić - twój ojciec. Proszę, przestań. Proszę, zostaw tych...

Nie zdołał nawet dokończyć zdania. Wiatr, który zerwał się znikąd, pozbawił go oddechu. Uderzył w nas całą siłą, tak mocno, że wraz z Coldwoodem pojechaliśmy w tył na śliskim, zdradliwym podłożu z ceglanego pyłu i tłuczonego szkła. Juliet pochyliła się lekko i ustała w miejscu.

Sekundę później uświadomiliśmy sobie, że zaścielające kładkę kurz i śmieci nawet nie drgnęły. Wiatr nie miał nic przeciwko materii, miał natomiast wiele przeciw nam.

- Mark! - krzyknął Matthew i ciemność pochłonęła ów dźwięk tak, że stojąc zaledwie kilka stóp dalej, ledwie go usłyszałem.

Usłyszałem za to odpowiedź, również stłumioną, lecz dobywającą się z wielu gardeł. Nadeszła z okien nad nami, w których widziałem teraz spoglądające na nas jasne kleksy twarzy.

Nie wyglądało to najlepiej. Juliet wbijała wzrok w Matta. Dotknąłem jej ramienia i kiedy zwróciła się ku mnie, wskazałem ręką w górę. Pokiwała głową. Była świadoma obecności obserwujących nas ludzi, nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że tam są.

Matt wciąż mówił, teraz już bez przerwy, lecz wiatr z otchłani porywał i rozpraszał jego słowa, tak że do mnie nie docierały. Widząc, jak Juliet mija mojego brata i zajmuje pozycję na dalszym końcu kładki, stanęliśmy z Garym na posterunku przy drugim wyjściu.

Zatakowali nagle, z obu stron jednocześnie, z przerażającym, bezwzględnie zdeterminowanym szaleństwem ludzi opętanych. Było ich kilkudziesięciu i, wstrząśnięty, uświadomiłem sobie, że znam niektórych: członków bandy, do której należał starszy brat Bica. Pędzili ku nam, ściskając w dłoniach ostre odłamki szkła, po ich przegubach ściekała krew. Gary walczył gołymi pięściami, ja natomiast wyrwałem zza pazuchy flet i zagrałem im prosto w twarze pierwsze piskliwe nuty egzorcyzmów demona ran. Zadziałały jak psiknięcie sprejem pieprzowym - napastnicy zwolnili i zawahali się, co w pierwszych paru sekundach ocaliło Gary'ego przed natychmiastowym filetowaniem. Potem, choć teraz poruszali się jak lunatycy, musiał walczyć na śmierć i życie. Niewielka szerokość kładki działała na naszą korzyść, ale było ich tak wielu, a wystarczyłoby tylko jedno szczęśliwe pchnięcie. Coldwood uskakiwał i wymachiwał pięściami, obracał się i kopał, stosował wszystkie nieczyste zagrania, jakich uczą w gliniarskich szkołach. Schowałem flet i dołączyłem do niego, nucąc suchymi ustami melodię egzorcyzmów.

Przez tłoczną, gorączkową minutę jakoś sobie radziłem; potem nóż z prawdziwej stali, nie ze szkła, ciśnięty przez któregoś z najbliższych napastników, trafił mnie w lewe ramię

niedaleko gardła. Musiał być wściekle ostry - gruby materiał szynela zatrzymałby tępe ostrze. Albo może magia demona działała niczym błogosławieństwo na noże. Tak czy inaczej, wbił się we mnie po rękojęść, a ja krzyknąłem z szoku i bólu.

Wymierzyłem kolejny cios, prawą ręką, ale że jestem szmaja, brakowało mu szczególnego przekonania. Odważny nastolatek, z którym walczyłem, przyjął go wprost na podbródek, po czym skoczył ku mnie i zacisnął mi palce na gardle. Drugą ręką uniósł ostry kawał szła, zamierzając wbić mi go w twarz.

Ktoś walnął go od tyłu, tak że poleciał na mnie. Złapałem go za włosy, uniosłem głowę, odsuwając ją od siebie i rąbnąłem czołem prosto w nos, dając mu sporo do myślenia. Szarpnął się i znieruchomiał, a ja odturlałem go niezgrabnie na bok jedną ręką.

Ledwie dojrzałem swojego wybawcę, bo przeskoczył nade mną i popędził w stronę Matta. Zobaczyłem, jak w locie nurkowym skacze na faceta, który przedostał się przez nasz ostatni bastion i miał właśnie poderznąć Mattowi gardło. Nieco dalej, Juliet kołysała się i wirowała w skomplikowanym balecie śmierci; nieruchome, uszkodzone ciała fruwały dokoła i odlatywały na boki, podczas gdy jej ręce i nogi tkwały w powietrzu sieć pełnej gracji przemocy.

Potem skupiłem uwagę na kilku spóźnionych napastnikach, wciąż próbujących wypatroszyć Coldwooda. Cios w kark połówką cegły, choć zadany moją słabszą prawicą, zniechęcił dwóch z nich, a Gary osobiście załatwił ostatniego kolanem i łokciem.

Patrzyliśmy po sobie, zdyszani, potrzebując trzech pełnych sekund, by zarejestrować fakt, że ataki ustały. Wiedziałem, że to nie potrwa długo. Demon cisnął w nas najbliższymi dostępnymi narzędziami. Miał na podorędziu jeszcze tysiące i będzie potrzebował zaledwie chwili, by posłać je do boju. Mógł nam zwalić na głowy wszystkich mieszkańców osiedla. A wtedy co? Nawet gdyby udało nam się przeżyć, co byśmy zrobili, gdyby przeklęty stwór zaczął szukać narzędzi jeszcze dalej?

Juliet ruszyła ku nam, nie zwracając uwagi na ciała, po których deptała. Wpatrywała się w przybysza stojącego naprzeciw Matta, który podnosił się powoli. Wyraźnie nie mogli oderwać od siebie wzroku.

Nagle zorientowałem się, że też znam tego faceta. To był nieboszczyk, którego spotkałem tu pierwszego dnia i później na kładce nad Love Walk. Mężczyzna mówiący kobiecym głosem, który przeprosił, próbując zepchnąć mnie w objęcia śmierci.

Postąpiłem ku niemu krok, a on zerknął na mnie. Pozdrowił mnie skinieniem głowy, lecz jego oczy się zwężyły, jakby mój widok przywoływał przykre wspomnienia.

- Mam nadzieję, że między nami kwita - rzekł.

I znów ten głos: *trompe l'oleil* dla ucha. Niewłaściwy głos, niewłaściwy wiek, niewłaściwe - co? Koniec mapy, ot co. Londyn, nie Liverpool. Teraz, nie wtedy.

- Nie byłam pewna, co zamierzasz - podjął. - Gdybyś spróbował przeprowadzić egzorcyzmy, zabiłabym cię. - W dłoni trzymał nóż: ciężki, brutalny, obosieczny, wyglądający, jakby dało się nim obedrzeć ze skóry i oprawić nosorożca. Uniósł go, jakby chciał zilustrować swoje słowa. - Zrobiłabym to, Fix. Podjęłam już decyzję. Wiem, czym jesteś. Co potrafisz. Sam mi opowiedziałeś bardzo dawno temu. Ale... ty nie próbowałeś zrobić mu krzywdy. Rozmawiałeś z nim.

Jego wzrok znów powędrował w stronę Matta. Powoli, z wahaniem, uniósł rękę, jakby chciał dotknąć jego policzka, zatrzymał się jednak i cofnął dłoń.

- Nie udało się - oznajmił Matt. - Nie chciał mi odpowiedzieć. Ale może gdybyśmy spróbowali razem...?

Blady mężczyzna zaczerpnął tchu. A przynajmniej jego pierś poruszyła się, jakby usiłował to zrobić. Nie towarzyszył temu żaden dźwięk i przez moment zdawało się, że nie jest w stanie mówić. Zacisnął pięści, jego twarz wykrzywiło coś jakby grymas. Potrzebowałam chwili, by zrozumieć, że próbuje nie tylko oddychać, ale i płakać. Zombie nie są zdolne do żadnej z tych czynności.

W końcu skinął głową. Lecz jednocześnie odwrócił się do mnie.

- Sami - powiedział. - Tylko my dwoje. Fix, ty nie możesz brać w tym udziału. Zwłaszcza ty.

Uniosłem przed siebie obie dłonie.

- W porządku - powiedziałem, lecz zdradził mnie ochryply, zmęczony głos.

Wcale nie było w porządku. Byłem wykończony, a rana bolała przeraźliwie. Krew z ramienia znalazła sobie drogę wewnątrz rękawa i spływała mi po palcach, ściekając na ziemię z nieustannym kap-kap-kap, nienaturalnie głośnym w zalegającej wokół ciszy. Czułem na sobie ciężar uwagi demona, przyciąganej przez głęboką ranę. A potem jego przytłaczające, niewidzialne spojrzenie minęło mnie i powędrowało ku dwóm postaciom pośrodku kładki.

Zacząłem się cofać, krok za krokiem. Juliet i Coldwood zrobili to samo. Coldwood zerknął na mężczyznę, który zjawił się znikąd, żeby nam pomóc.

- No dobra - spytał w końcu. - Czy on też stanowi część programu?

- Nie - odparłem. - Szczęśliwe zrządzenie losu. Co jakiś czas musi dla odmiany zadziałać na naszą korzyść.

- Jak on się nazywa?

- Pokręciłem głową. To była długa historia, nie znałem co najmniej jej połowy i czułem zbyt wielkie zmęczenie, by próbować wyjaśniać te części, w których się nie orientowałem.

- Ciało należało do mężczyzny imieniem Roman - rzekłem. - Ale to było jakiś czas temu. Myślę, że obecnie reaguje raczej na imię Anita.

Coldwood zdumiał się wyraźnie.

- Anita, tak jak...?

- Zgadza się. Jak Anita Yeats. Była, jakkolwiek chcesz to nazwać, Kenny'ego. Umarła i powróciła.

- I co, przeszła zmianę płci? - dopytywał się Gary zbolalym tonem.

- Mniej więcej. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto zombie trzyma się własnego ciała. Anita wybrała gościa, z którym sypiała. Może, jeśli ją spytasz, wyjaśni, dlaczego.

Odwrociłem się od niego na znak, że uważam rozmowę za zakończoną, bo trącała we mnie odsłonięty nerw. Zza pleców dobiegł mnie głos Matta, potem Anity. A potem znów Matta, przerywany czymś, co brzmiało jak szlochanie. Musiałem odejść - z tego miejsca wciąż mogłem dosłyszeć jakieś słowa, a nie czułem się na to dość silny. Otworzyłem pchnięciem wahadłowe drzwi i wróciłem do bloku Westona. Przez moment wydawało mi się, że podłoga pod moimi stopami kołysze się i przesuwą. Oparłem się ciężko o ścianę, czekając, aż zawroty głowy miną. Zamiast tego stały się jeszcze silniejsze. Samo utrzymanie się w pionie wymagało ogromnego wysiłku.

- Chryste - wymamrotałem - potrzebny mi kawał plastra i trochę jodiny.

Gary obejrzał uważnie nóż, wciąż sterczący mi z ramienia.

- Potrzebny ci szpital - poprawił. - Jeśli to wyjmiemy, wykrwawisz się jak zarżnięta świnia.

W odpowiedzi uniosłem rękę pokrytą smugami krwi. Na Garym jej widok nie zrobił najmniejszego wrażenia.

- To nic w porównaniu z Niagarą, jaką ujrzysz po wyjęciu tego noża. Zostań tam, Fix. Nawet się, kurwa, nie rusz.

Wyjął komórkę, wybrał numer i zaczął mówić coś szybko, ale nie rozumiałem co. Juliet też coś mówiła. Patrzyła w stronę, z której przyszliśmy, na kładkę. Odwróciłem głowę - a ściślej, całe ciało, bo nie byłem już w stanie ruszać samą szyją - i podążyłem wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem.

Matt przemawiał w niebo. Odziana w pożyczone ciało Anita stała obok; ręce zacisnęła w pięści, wyginała szyję, odchylając głowę, jej blada skóra jarzyła się blaskiem w ciemności. Nad nimi, niemal w zasięgu ręki, wisiało coś czarniejszego niż mrok. Głos tego czegoś był jak bezdźwięczne pulsowanie w mojej głowie, diastole i systole, skurcz przedsionków i komór, obdarzony głosem obieg mojej krwi. Anita uniosła nad głowę ręce - ręce Romana - nie w geście poddania, lecz jakby chciała dosięgnąć czegoś, wiszącego nad nią w powietrzu, ściągnąć to ku sobie. Matt położył jej dłonie na ramionach, udzielając sił, pociechy, czy może po prostu przytrzymując się kurczowo, żeby nie upaść na kolana.

Pomyślałem o ich występie w jasełkach: „Chodź, Józefie, zbliża się czas rozwiązania. Musimy dotrzeć do Betlejem, nim narodzi się dziecko”. To było dla mnie za dużo. Zamknąłem oczy i odwróciłem głowę.

Ale ciemność wciąż tam była, zalegała pod moimi powiekami. Wypełniała przestrzeń wokół mnie, tak wielka i rozległa, że w gruncie rzeczy sama stała się miejscem, w którym stałem. I nagle przypomniałem sobie, że już tu byłem, w tej samej nieprzeniknionej czarnej otchłani, rozmawiając z *geniusem loci*, który najpierw podał swe imię, a potem poprosił mnie - błagał - bym został.

„Już stąd nie wyjdiesz?”.

Tyle że ja odebrałem to jako groźbę, a nie prośbę samotnego chłopca, by nie zostawiać go samego w mroku.

Bezświatlny ogrom wezbrał w sobie i zaczął maleć - wycofywał się ode mnie, skupiając swą straszliwą esencję w coraz ciaśniejszej przestrzeni. Wkrótce stał się niemal niewidzialny: odległy punkcik antyświatła, niewiarygodnie mały, boleśnie wyraźny. A potem zgasł, jak kropka pośrodku ekranu tuż przed wyłączeniem starego kineskopowego telewizora. Pozostawił po sobie nieobecność, niemal równie czarną, lecz pozbawioną istoty i celu.

Dobiegający z bliska metaliczny brzęk sprawił, że gwałtownie otworzyłem oczy. Nóż wypadł mi z ramienia, a Coldwood, wciąż gadający przez telefon, wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

Wsunąłem palec przez dziurę w kołnierzu szynela, próbując wymacać ranę. Zniknęła. Moja skóra była cała, nietknięta.

Demon - mój krewniak, jedyny syn brata - wycofał się ze mnie, a to stanowiło oznakę jego niełaski. Parę sekund później zza wieżowca Boatenga wyrzało wschodzące słońce i - nie napotkawszy oporu - rozpuściło swe promienie po całym nagle bezchmurnym niebie.

Betlejem. Tam właśnie wszyscy zmierzamy - bestie, mesjasze i nieszczęsna piechota, pełzniemy razem do miejsca, gdzie w końcu zostaniemy policzeni.

24

Gdy tylko opuścił nas duch Marka, stan Anity zaczął się pogarszać.

Widywałem to już wcześniej. Nie był to rozkład fizyczny, lecz znacznie subtelniejsza, nieubłagana kapitulacja, osłabnięcie motywacji siły napędowej, woli, która pozwala czemuś tak ulotnemu i kruchemu jak duch podporządkować sobie materialne ciało. Pożegnanie z synem i pogodzenie z Mattem doprowadziło do przesunięcia wewnątrz niej kluczowej równowagi, pozwalającej zapanować nad wypożyczoną cielesną powłoką, i z każdą chwilą traciła nad nią władzę. Zaczęła już hamowanie przed ostatecznym postojem.

Usiedliśmy razem pośród szczątków kładki, dotrzymując jej towarzystwa, gdy czekała na swą drugą śmierć. Opowiedziała nam o pierwszej: o tym, jak Kenny przyłapał ją z Romanem in flagranti, w końcowej fazie namiętnego numerku w ciasnej kuchni.

Zanim to się zaczęło, prasowała, i właśnie żelazkiem Kenny ją zabił. Właśnie się obracała, próbując uwolnić się z objęć Romana, kiedy ją uderzył i była to ostatnia rzecz, jaką poczuła. Lecz Kenny tłukł ją długo po tym, jak umarła. Wiedziała o tym, bo... no cóż, bo widziała rezultat. Później.

Ocknęła się w ziemi: płonący strzep świadomości, przepelniony strachem i niepokojem, niemogący pojąć, czemu nie ma oczu, którymi mógłby widzieć, ani rąk, mogących wykopać go z nieokreślonego miejsca, gdzie tkwił uwięziony.

Spróbowała zrobić trick z zombie, ale bez powodzenia. Z jej własnego ciała została miazga - kości miała połamane w tak wielu miejscach, że w środku przypominały dziecięce bierki.

Tuż obok spoczywało ciało Romana, a jego zabiła pojedyncza rana kłuta w szyję. Anita nie miała pojęcia, czemu Kenny porzucił żelazko i użył noża - może był to nóż kuchenny, po który sięgnął Roman, by się bronić, i Kenny nim właśnie go załatwił. Nie miało to jednak znaczenia. Duch Romana odszedł po swą wiekiustą nagrodę, a ciało leżało w ziemi z metaforyczną tabliczką na piersi: DO WYNAJĘCIA, NIEUMEBLOWANE.

Anita wprowadziła się i usiadła. Kenny pogrzebał ich na swojej komunalnej działce i niespecjalnie się przyłożył, bo nie bywał tam nikt, prócz niego. Starannie ułożyła z powrotem

warstwę ziemi tak, by nie został żaden ślad po tym, co zaszło, i ruszyła wyrównać rachunki ze swym mężem-skurwielem.

Nie była jednak pewna, jak się do tego zabrać. Uznała, że nie może iść na policję, bo w żaden sposób nie zdołałaby dowieść, kim jest. Nie wiedziała nawet, czy powtórnie narodzeni mogą zeznawać w sądzie ani czy kiedy zainteresują się nią władze, będzie mogła odejść wolno. Czy zabranie ciała Romana to przestępstwo? Czy przegnają ją z niego i wykopią w nicość? Nie mogła na to pozwolić.

Spędziła też pod ziemią więcej czasu, niż sądziła - prawie cały rok - i dlatego nie zastanowiła jej zmiana pogody. Kiedy wróciła na osiedle, odkryła, że Mark nie żyje. Szok i ból o mało nie zabiły jej na miejscu, ale czystą siłą woli zdołała utrzymać się przy życiu, zdecydowana pozostać na tym świecie dość długo, by zobaczyć, jak Kenny dostaje za swoje.

Zatem, podczas gdy Kenny śledził Matta, ona śledziła Kenny'ego. A kiedy Kenny w końcu zastawił swą chorą, przesadnie skomplikowaną pułapkę, obserwowała go, ukryta nieopodal. Widziała, jak Matt się zjawił. Widziała, jak odszedł. Widziała, jak Kenny zaczął się kaleczyć po rękach i twarzy, wyciskając dość krwi, by móc napisać na przedniej szybie nazwisko Matta. Powiedziała, że zachowywał się jak oszalały, napawał się tym. Bez wątplenia demon ran już go opętał i wpływał na jego myśli i czyny. Nie on odpowiadał za nienawiść Kenny'ego do Matta - tkwiła w nim wcześniej, odkąd dowiedział się, że Matt jest ojcem Marka. Ale z pewnością to demon sprawił, że zemsta Kenny'ego przybrała akurat taką postać.

Anita ponad godzinę obserwowała zaparkowany samochód. Kiedy upewniła się, że Kenny zemdłał z wykrwawienia, dokończyła dzieła scyzorykiem Romana. Patrząc na niego z góry pojęła, że nigdy nie nadarzy jej się lepsza okazja - ciało zombie było zbyt powolne i nieskoordynowane, by mogła walczyć z przytomnym Kennym. Pokusa była zbyt silna i nagle Anita odkryła, że ściska w dłoni nóż i wbija mu go w gardło. Być może znów sprawił to demon ran, choć Bóg jeden wie, że miała dość własnych powodów, by pragnąć śmierci drania.

- Poderżnięcie gardła temu sukinsynowi było najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam - oznajmiła ustami nabierającymi coraz ciemniejszej gnilnosinej barwy. - Żałuję tylko... że nie zrobiłam tego, kiedy byliśmy wszyscy... dziećmi. Żałuję...

Pokręciła głową, niezdolna oddać słowami poczucia smutku i zmarnowanych lat.

- Scyzoryk - wtrącił Coldwood, jak zawsze glina pełną gębą. - Ten, którym wykończyłaś Seddona. Jest jakaś szansa, żeby...

- Miałam go w kurtce - oznajmiła Anita. - W kieszeni mojej kurtki. Była cała mokra od krwi. Nie mogłam znieść jej dotyku na skórze, więc ją zdjęłam i... i wyrzuciłam. Nie wiem gdzie.

- Ja wiem - poinformowałam Coldwooda. - Pod przejazdem jest parking. Spojrzałem na niego, kiedy pierwszy raz przywiozłeś mnie na miejsce zbrodni, i zobaczyłem kurtkę leżącą obok kubłów. Z ziemi pewnie jej nie widać, więc może wciąż tam leży.

Coldwood poszedł wykonać kolejny telefon, a Anita umilkła. Potem jednak przypomniała sobie coś jeszcze i poszukała mnie wzrokiem.

- Fix - wymamrotała - przepraszam, że cię zraniłam. Wiedziałam... wtedy już wiedziałam, czym stał się Mark, i sądziłam, że przychodzisz go odesłać. Kiedy cię zobaczyłam, tak bardzo się wystraszyłam, że nie myślałam logicznie. Nie byłam... sobą. - Wywróciła oczami, dostrzegając tkwiącą w tych słowach ironię.

- W tym czasie w Salisbury nikt nie był sobą - przypomniałem. - W porządku, Anito. W pewien osobliwy sposób nawet mi pomogłaś, bo leżąc w szpitalu, po raz pierwszy zobaczyłem Marka i zacząłem składać do kupy całą historię.

- Nita - odezwał się Matt łamiącym się głosem. - Tak mi przykro. Tak mi przykro, że cię zostawiłem. Gdybyś mi powiedziała... gdybym wiedział, że jesteś w ciąży...

Anita wpatrywała się w niego, zdumiona.

- Wiedziałam, że byś wrócił - mruknęła. - Ale... nie chciałam cię zmuszać, Matty. Nie w ten sposób. Co byś czuł... gdybyś się ze mną ożenił, bo cię zaszantażowałam? I gdybyś zrezygnował... ze wszystkiego, czego pragnąłeś... żeby być ze mną? Znienawidziłbyś mnie.

Matt pokręcił głową, w przeczeniu bądź proteście; teraz szlochał już otwarcie. Anita uniosła rękę, żeby dotknąć jego twarzy.

- Nie płacz - powiedziała. - Nie chcę, żebyś płakał. Powinieneś mnie pobłogosławić. Teraz, kiedy wysłuchałeś mojej spowiedzi.

Matt jednak tego nie zrobił i chyba rozumiem, czemu nie mógł się zmusić, choć wiedział, że te słowa by ją pocieszyły. Wymawiając formułę błogosławieństwa, z powrotem stałby się księdzem i był to zbyt wielki skok z miejsca, w którym znalazł się teraz, w kierunku, w którym nie potrafił się zwrócić.

Zamiast tego pocałował ją. Jej wargi gniły, bo ciało nie żyło od dwóch lat, i w ogóle nie należało do niej. Ale też czekali na ten pocałunek znacznie dłużej niż dwa lata - zapewne okoliczności nie miały aż takiego znaczenia, jak moglibyście sądzić.

Juliet, znudzona czekaniem, aż sam pojnę aluzję, złapała mnie za kłapy i odciągnęła na bok, z kładki w ruiny bloku Westona. Kto by pomyślał, że kiedyś będę pobierał lekcje taktu u zrodzonego w otchłani potwora.

Choć nagle przyszło mi do głowy, że to określenie wymaga doprecyzowania.

- Juliet? - zagadnąłem nieśmiało.

- Tak, Castor?

Starannie dobieierałem słowa.

- Zawsze miałem pewne... konkretne opinie na temat piekła. W obliczu znanych mi dowodów wydawały się sensowne. Piekło to jakby punkt na moralnym kompasie. Miejsce, do którego trafiają po śmierci źli ludzie, a mieszkające tam demony same także muszą być złe, bo inaczej by się tam nie znalazły.

Juliet przyglądała mi się beznamiętnie.

- Owszem. I?

- I... jak wiele z tego to bzdury?

Zapadła cisza, w której słyszeliśmy Coldwooda, sztorcującego piętro niżej swoich podwładnych.

- Która część? Ta najbliższa pieprzonego przejazdu. Widzisz kubły na kółkach? To właśnie tam, do kurwy nędzy. Zajrzyj za nie. Nie obchodzi mnie, jaki panuje tam bajzel...

- Powiedz mi, Castor - spytała Juliet tonem zbolalej, wielokrotnie wystawianej na ciężkie próby cierpliwości - jak wiele demonów zostało wywołanych przez jak wielu nekromantów, magów, uczonych, hobbystów i pełnych zapału debili? Przez stulecia, począwszy od średniowiecza, gdy napisano pierwsze grimoiry, aż do dnia dzisiejszego, kiedy grimoiry praktycznie nie mają znaczenia, bo jedno nieostrożne słowo wystarczy do wezwania ogara piekieł? Jak myślisz, ile ich było?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam pojęcia. Setki? Tysiące?

- Albo dziesiątki tysięcy. I żaden z nich nigdy nie rozmawiał o tych sprawach z tymi, którzy je przywołali.

- Tego nie wiemy.

- Wierz mi - odparła Juliet - taka jest prawda. Żaden z nich. Dawno temu uprzedziłam cię, że istnieją rzeczy, o których nie jestem gotowa z tobą dyskutować. I że to jedna z nich. Nadal tak jest.

- Czemu? Bo się boisz? - spytałem ostro, nadal zbyt obolały, by zachować rozsądną ostrożność. - Ponieważ sądzisz, że w jakiś sposób wykorzystam te informacje przeciw tobie?

- Może nie ty. I nie przeciwko mnie. Ale ktoś kiedyś to zrobi. Przeciwno moim pobratymcom.

- Juliet, zarabiasz na życie jako pieprzona egzorcystka. Już jesteś zdrajczynią, więc czemu się szczypiesz?

Nagle postąpiła krok ku mnie, a minę miała tak groźną, że odruchowo uniosłem pięści, jakbym miał choć cień szansy w starciu z nią, gdyby postanowiła mnie załatwić. Ona jednak chwyciła mnie za brodę i przytrzymała moją głowę, przysuwając do niej twarz. Zwykle zdarza się to tylko w moich snach.

- Widzisz różnicę między publiczną egzekucją zbrodniarza a aktem ludobójstwa? - Mówiła bardzo cicho, lecz niezwykle wyraźnie.

- Z zazady jezdem brzeciwny obu - wymamrotałem.

- Mnie zupełnie nie przeszkadza to pierwsze, natomiast drugiego generalnie wolałabym unikać. - Puściła mnie, lecz nadal stała tak blisko, że powietrze między nami wypełnił jej boleśnie piękny zapach. - Zrozum mnie dobrze, Castor. Przeszło mi przez myśl, by nie pozwolić wam - żadnemu z was - odejść stąd ze zdobytą dziś wiedzą. Kilka dodatkowych ofiar zamieszek nie zdziwiłoby nikogo i nie stałoby się przedmiotem specjalnego śledztwa. Ale zanadto się z wami zbratałam i sama o tym wiem. Nie potrafię nie myśleć o tobie jako o przyjacielu. Czy też, ujmując to mniej sentymentalnie, gdybym musiała cię zamordować, to by mnie nie uszczęśliwiło. Zatem przeżyjesz. I w dodatku dostaniesz gratis trzy cenne rady. Nie zgłębiaj dalej tego tematu. Nie zadawaj pytań, na które wolałbyś nie poznać odpowiedzi. I ani przez moment nie zakładaj, że jeśli zmusisz mnie do wyboru pomiędzy tobą a całą moją rasą, wybiorę ciebie.

Miałem właśnie odpowiedzieć, ale nie zdołałem, bo przycisnęła usta do mych warg i pocałowała mnie - mocno, namiętnie.

Był to nasz trzeci pocałunek i różnił się od pozostałych dwóch. Pierwszy, dawno temu, kiedy Gabriel McClennan po raz pierwszy przywołał Juliet, stanowił preludium do pożarcia mojego ciała i duszy, zgodnie z otrzymanymi przez nią rozkazami; był w istocie atakiem, który przeżyłem wyłącznie dzięki ślepemu zrządzeniu losu i szczęśliwemu ratunkowi. Drugi użyczył mi dość jej sił, bym zdołał przeżyć najtrudniejsze i najbardziej mordercze egzorcyzmy w moim życiu: stanowił dar i nigdy nie przestanę być za niego wdzięczny.

Ten pocałunek natomiast był ostrzeżeniem. Miał mi przypomnieć o jej mocy i o tym, jak niewielkim wysiłkiem mogłaby mnie zniszczyć.

Kiedy nasze wargi w końcu się rozłączyły, osunąłem się w tył i o mało nie upadłem. Juliet jednak przytrzymała mnie w pionie silną ręką, obejmując mnie w pasie.

- Wolałabym - oznajmiła - nie musieć wybierać.

Ostrożnie oparła mnie o ścianę i odeszła.

W końcu pozbierałem się w sobie i znów zacząłem dostrzegać otaczający mnie świat. Matt nadal klęczał obok Anity na kładce. Z tej odległości nie potrafiłem stwierdzić, czy Anita wciąż się porusza i mówi, czy też jej duch już odszedł, lecz podejrzewałem, że tak czy inaczej Matt wolałby, by mu nie przeszkadzano. Z dołu nadal dochodził głos Coldwooda, gadającego przez telefon - kazał właśnie swoim lokajom zawieźć znalezisko do laboratorium kryminalistycznego na Lambeth Road i zostać tam, dopóki nie dostaną wyników.

Potykając się, ruszyłem do windy i nacisnąłem guzik przywołania. Zjawiała się natychmiast i, jak przystało na wiek cudów i dziwów, nie śmierdziała nawet szczykami. Zjeżdżając na dół, wydawała z siebie jednak przeraźliwe zgrzyty, a jej podłoga podskakiwała i dygotała mi pod stopami, jakby jeden z narożników kabiny ocierał się o ścianę szybu. Poczulem ogromną ulgę, gdy dotarłem na parter, i drzwi, po paru złowieszczych szcęknięciach i klekotach, rozsunęły się przede mną.

Na zewnątrz, na betonowym podjeździe sanitariusze krążyli między pozostałymi wieżowcami i flotyllą czekających karet, dźwigając na noszach ciała - dzięki Bogu wyłącznie żywe, ale martwe zapewne zostawiali na miejscu, uznawszy, że mają zdecydowanie niższy priorytet. Policjanci i drużyny strażackie także nie próżnowali, rozbierając barykady i zamykając kolejne klatki schodowe do wtóru słów wykrzykiwanych do krótkofalówek.

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi, gdy przedarłem się przez cały ten zamęt i zszedłem po schodach na New Kent Road. Jeszcze więcej karet i policji. Za barierkami klębili się też reporterzy z mediów i miłośnicy katastrof.

O mało nie wyminąłem Trudie Pax, nie dostrzegając jej. Siedziała zgarbiona na krawężniku i wbijała wzrok w ziemię.

- To była długa noc - zagadnąłem. - Jak tam Bic?

Na dźwięk mojego głosu wzdrygnęła się i spojrzała na mnie, zaskoczona, jakby przez moment zapomniała, gdzie jest.

- Castor...

W pośpiechu zerwała się na równe nogi, ale potem, kiedy już wstała, sprawiała wrażenie, jakby nie wiedziała, co ma robić dalej. Jej ręce poruszały się bezcelowo i nagle uświadomiłem sobie, że płacze.

- Co? - spytałem. I wtem, znikąd, ogarnęło mnie straszne przecucie: coś jak reakcja zmysłu śmierci, tyle że bez udziału jakiegokolwiek ducha. - Co się stało? Coś nie tak z dzieciakiem?

Trudie pokręciła głową, ale na jej twarzy dostrzegłem coś jeszcze: jakby poczucie winy, czy może wstyd. Złapałem ją za ramiona.

- Gdzie on jest? Dokąd go zabrali?

Zerknęła w lewo. Odwróciłem głowę i ujrzałem jasnozielony namiot. Dwie czy trzy pielęgniarki krzątały się wokół dużego podgrzewanego balonu z wodą, a pół tuzina innych rozdawało oszołomionym miejscowym kubeczki z gorącymi końskimi szczynami. Punkt sanitarny.

- Jest... jest tam - oznajmiła.

I w tym momencie go zauważyłem: nadal ubrany w pidżamę siedział obok ojca, a matka klęczała przed nim i wycierała mu zabrudzoną twarz kawałkiem wilgotnej ściereczki z mikrofazy. Czyniła to z bezlitosnym skupieniem, właściwym wszystkim matkom, kiedy zdecydują, że ich potomek wymaga publicznego mycia, a Bic walczył jak każde dziecko, wierząc się i uchylając, i próbując jak najbardziej utrudnić jej pracę.

- Nic mu nie jest - powiedziała Trudie. I faktycznie, było to widać gołym okiem.

- W takim razie, co innego cię gryzie? Bo nie wyglądasz... Urwałem, bo nagle zaczęło do mnie docierać, co jest nie tak.

Cały czas patrzyłem na Bica i w końcu dostrzegłem to, co od początku miałem przed nosem. Niewłaściwą pidżamę: gładką błękitną flanelę zamiast stada superbohaterów. Na polu bitwy? Ktoś miałby czas, żeby pośród tego wszystkiego go przebrać? I to nie w dzieńne ciuchy, lecz kolejną pidżamę?

- Nie wiedziałam - mówiła Trudie piskliwym, napiętym głosem. - Nie powiedzieli mi.

Zapatrzyłem się na nią z nagłą, niemal obezwładniającą ciałą grozą.

- Kiedy... kiedy Cheadle kazał ci się przebrać...

- Ojciec Gwillam polecił Sallisowi przyczepić chłopcu pluskwę GPS. Nic mi nie powiedział, Castor. Kiedy mówiłam, że powinieneś mi zaufać, nie żartowałam. Nigdy cię nie okłamałam. Powiedziałam im, że odchodzę z zakonu...

Ja jednak już biegłem. Musiałem się przedostać przez blokady policyjne na ulicę, gdzie jeżdżą samochody. Walworth Road - tam powinienem złapać taryfę. Ale tłum gapiów ciągnął się aż do szczelin zagłady i aby się przez niego przebić krokiem szybszym niż artretyczne kuśtykanie, musiałbym chyba zatłuc wszystkich na śmierć.

Coldwood. Zawróciłem na pięcie w stronę schodów, i zobaczyłem go niemal natychmiast. Właśnie schodził. Ruszyłem ku niemu, ale ktoś złapał mnie za rękę. Znow Trudie, z twarzą poczerwieniałą od płaczu.

- Pozwól mi pójść ze sobą. Pozwól pomóc...

- Kiedy będę potrzebował twojej pomocy - warknąłem - połknę żyłkę. Szybciej działa.

Wyrwałem się gwałtownym szarpnięciem i wrzasnąłem do Gary'ego akurat w chwili, kiedy otwierał tylne drzwi wielkiego czarnego glinowozu. Zobaczył mnie i zamarł.

- Muszę się dostać do Peckham - wydyszałem.

- Może choć raz przejdź się piechotą? - zaproponował chłodno. - Właśnie mam zamiar uwolnić twojego brata od zarzutu morderstwa, a potem będę musiał tu wrócić. Czeka mnie upojny dzień sprzątanania po tej awanturze.

- Gary, mówię poważnie. Muszę się dostać do Peckham, i to, kurwa, teraz. To nie może czekać.

Spojrzał na mnie pytająco i otworzył usta, żeby znow zacząć marudzić. Ze wściekłym okrzykiem złapałem go za kłapy i ryknąłem mu w twarz:

- Asmodeusz! Pierdolony Asmodeusz! Pamiętasz kościół Świętego Michała w Acton? Abbie Torrington? Worki z ciałami w centrum handlowym Whireleaf?

- Wsiadaj - rzucił Gary. - Zabierz go tam, gdzie zechce - dodał pod adresem kierowcy.

- Ja zbiorę oddział antyterrorystyczny i pojedę za wami.

O dziwo, Trudie Pax wciąż się mnie trzymała. Wsiadła do wozu z drugiej strony równo ze mną. Wykopanie jej sprawiłoby mi satysfakcję, ale oznaczałoby stratę dziesięciu, dwudziestu sekund - albo i więcej, gdyby stawiała opór - no i zawsze mogłem załatwić to podczas jazdy.

Podąłem kierowcy adres Imeldy Probert i czekałem, cierpiąc katusze niecierpliwości, podczas gdy on manewrował powoli, ostrożnie między połączonymi armiami strażaków i pielęgniarzek. Gdy tylko jednak wydostaliśmy się poza nie, włączył syrenę i docisnął pedał gazu, tak że siła przyśpieszenia wbiła mnie w skórzane oparcie.

Trudie coś mówiła, ale jej słowa spływały po mnie jak pieśni wielorybów. Próbowałem zdecydować, którego z wielu koszmarnych scenariuszy obawiam się najbardziej.

I na który w skrytości ducha liczę.

25

Drzwi frontowe domu Imeldy były wyłamane i wisiały na jednym zawiasie.

Drzwi Rafiego na piętrze wydawały się nietknięte, lecz z bliska dostrzegłem, że ktoś wpakował kilkanaście kul w zamek, tak że metalowa płytko po prostu oddzieliła się od strzaskanej framugi.

Po Rafim nie zostało ani śladu, był tam jednak Sallis. Patrzył w pustkę. Przyciśnięte do brzucha ręce nie zdołały powstrzymać jaskrawej lawiny wnętrzości, które wyskoczyły jak diabeł z pudełka z wielkiej dziury w dole tułowia. Feld też tam był, a przynajmniej jego część. Trudie zwymiotowała głośno w kącie. Zostawiłem ją tam, wciąż krztuszącą się i zapłakaną.

Krwawe ślady stóp prowadziły na górę, na drugie piętro. Drzwi do mieszkania Imeldy zostały wyrwane i odrzucone z wielką siłą na drugi koniec podestu; leżały na podłodze w dwóch kawałkach.

Wszedłem do środka. Serce tłukło mi się w piersi w obląkańczym, nieprawdopodobnym tempie uczennicy, która skacze przez skakankę najarana adrenaliną i przegina z szybkością: zaraz upadnie, pokonana przez własny przesadny optymizm; zaraz, po raz ostatni, na dobre wyląduje na asfalcie.

Imeldę znalazłem w kuchni, obecnie przypominającej rzeźnię. Jej głowa spoczywała na kolanach Lisy; sama Lisa była w szoku, krańcowo wyczerpana i zapędzona przez rozpacz w miejsce, z którego nie wywołało jej moje przybycie. Nawet nie drgnęła.

Natomiast Imelda owszem. Zdumiewające, ale pozostała w niej jeszcze odrobina życia, choć nie potrafiłem pojąć, jakim cudem ludzkie ciało mogło znieść tak wiele ran, tak wiele katuszy, i nie wyzionąć tkwiącego w nim ducha.

Nie mogła mówić. Sądząc po krwi, pokrywającej dolną część jej twarzy niczym namalowana broda, Asmodeusz wyrwał jej język. Mogła jednak odrobinę poruszyć prawą ręką. Uniosła ją, niczym Atlas dźwigający ciężar całego świata. Ręka zadrżała, ale pozostała w górze, podczas gdy pierś Imeldy uniosła się i opadła trzy razy. Trzy ostatnie, mordercze oddechy.

Wycelowała ją we mnie.

A ja skinąłem głową, przyjmując zarówno oskarżenie, jak i wyzwanie widoczne w owych umęczonych, wściekłych oczach.

Ty to zrobiłeś.

Rozmawiałeś z nim, a on oplótł cię siecią swoich kłamstw.

Dałeś mu się pożywić i urósł w siłę.

Pozwoliłeś głupcom wyśledzić cię tutaj i głupcy go wypuścili. Cokolwiek zamierzali - zniszczyć go, a może dodatkowo skępować - w swej ślepej arogancji zwrócili mu wolność.

Ty mnie zabiłeś, Castor.

A teraz będziesz musiał zabić swojego najlepszego przyjaciela.